Lars Saabye

CHRISTENSEN

Beatlesi

Powieść

„The Beatles. Zespół, który odmienił moje życie, a później, jak się okazało, wszystko dookoła". **WOJCIECH MANN,** Program 3 Polskiego Radia

„Bohaterowie Christensena są jak Wojciech Mann. Szalona czwórka z Oslo, zakochana w czwórce z Liverpoolu, wkracza w dorosłe życie, nucąc najsłynniejsze piosenki świata. *Beatlesi* to chwilami wręcz hipnotyzująca, mądra opowieść o dojrzewaniu, przyjaźni i o tym, że życie zawsze nas przechytrzy, pisząc dla nas własny scenariusz". **MICHAŁ NOGAŚ,** Program 3 Polskiego Radia

Lars Saabye

CHRISTENSEN

Beatlesi

Z norweskiego przełożyła
Iwona Zimnicka

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ I

I Feel Fine. Wiosna 1965

She's a Woman. Lato '65

Help. Jesień '65

Rubber Soul. Zima '65 / '66

Paperback Writer. Wiosna '66

Yellow Submarine. Lato '66

Revolver. Jesień '66

Strawberry Fields Forever. Wiosna '67

A Day in the Life. Lato '67

CZĘŚĆ II

Hello Goodbye. Jesień '67

Revolution. '68

Carry That Weight. '69

Let It Be. Wiosna / lato '70

Golden Slumbers. Jesień / zima '70–'71

CZĘŚĆ III

Come Together. Lato ’71

Sentimental Journey. Jesień ’71

Working Class Hero. Jesień ’71

My Sweet Lord. Jesień ’71

Wild Life. Jesień / zima ’71

Revolution 9. Zima / wiosna / lato ’72

Love Me Do. Lato / jesień ’72

Przypisy

Tytuł oryginału: BEATLES

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK
Redakcja: HENRYKA SALAWA
Korekta: KAMIL BOGUSIEWICZ, JACEK BŁACH, EWELINA KOROSTYŃSKA
Projekt okładki: Bleu T
Zdjęcia na okładce:
© Inge Yspeert / Corbis / Profimedia (ulica)
© Hulton-Deutsch Collection / Corbis / Profimedia (dzieci)
Opracowanie okładki oraz układ typograficzny: MAREK PAWŁOWSKI
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

Copyright © Cappelen Damm AS 2001
© Copyright for the Polish translation by Iwona Zimnicka
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05861-9

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

CZĘŚĆ I

I FEEL FINE
WIOSNA 1965

Siedzę w letnim domu, jest jesień. Prawa ręka mnie irytuje, te szwy w poprzek i wzdłuż, a zwłaszcza palec wskazujący. Haczykowaty i zakrzywiony jak szpon. Cały czas muszę na niego patrzeć. Wczepia się w piszący na czerwono długopis. To wyjątkowo brzydki palec. Szkoda, że nie jestem mańkutem, kiedyś bardzo tego chciałem – być mańkutem i grać na gitarze basowej. Ale potrafię lewą ręką pisać pismem lustrzanym, jak Leonardo da Vinci. Mimo wszystko piszę prawą, ignorując okaleczoną rękę i ten odrażający palec. Pachnie tu jabłkami, ich silny aromat bije od starego stołu, przy którym siedzę na środku ciemnego pokoju. To mój pierwszy wieczór tutaj, a okiennice zdjąłem tylko z jednego okna. Na parapecie leży mnóstwo martwych owadów, much, komarów, os, z suchymi, cienkimi nóżkami. Zapach owoców rozmiękcza mi głowę, moja gładka czaszka coś we mnie wyzwala, cienie tańczą pod ścianami w świetle księżyca, które wpada przez jedyne okno i przemienia pokój w staroświecką dioramę. I tak jak ojciec Oli, golarz z Solli plass, który w każde urodziny źle zakładał film w projektorze, przez co oglądaliśmy trzy filmy z Chaplinem od tyłu, tak teraz ja odwracam się i wyruszam wstecz. Wcale się nad tym nie zastanawiam, szpula za moimi oczami zatrzymuje się nagle na jednym konkretnym obrazie, chwytam go na kilka sekund, zamrażam, a potem wprawiam w ruch, bo jestem wszechmogący. Przydaję mu głosów, dźwięków, zapachów i światła. Wyraźnie słyszę chrzęst żwiru pod butami, kiedy przemykamy się przez Vestkanttorget, lekko kręci mi się w głowie po zaciągnięciu się dymem aż do brzucha i ciągle jeszcze czuję łokieć Ringa, który miękko szturcha mnie w bok; wszyscy czterej zatrzymujemy się w rządku, a John wskazuje na czarnego, wypolerowanego do połysku mercedesa, który stoi zaparkowany przed sklepem zoologicznym Naranja.

To George odezwał się pierwszy:

– Jest twój, Paul!

Wszyscy wiedzieli, że jestem specjalistą od mercedesów. Nie potrzebowałem nawet narzędzi. Wystarczyło obrócić okrągłą nasadkę trzy razy w lewo, gwałtownie puścić i wyciągnąć, bo mocowanie już dawno nie trzymało. Pognaliśmy w górę skarpy po schodach, pod swetrem czułem gorące łaskotanie. Oceniliśmy sytuację.

– Za dużo ludzi – szepnął John.

Zgodziliśmy się z nim. Pod jabłoniami na rogu stało dwóch mężczyzn, a niedaleko przez ulicę przechodziła starsza pani.

– Nie ma sensu ry-ry-ryzykować – wymamrotał Ringo.

– Już mamy jednego opla i dwa fordy – przypomniał George.

– Ale to przecież 220 S! – powiedziałem.

– Załatwimy go kiedy indziej – stwierdził John.

Nie było jednak pewności, że mercedes będzie tam stał nazajutrz. Poczułem nagle w sobie to ssanie, ten zasysający wir, który później pojawiał się tak często, i przestałem słuchać chłopaków. Spokojnie przeszedłem na drugą stronę ulicy, sam, nachyliłem się nad maską, serce wciąż mi biło powolnymi, obojętnymi uderzeniami, od strony szkoły Berlego schodziła jakaś para, tamci dwaj faceci pod kwiatami jabłoni zerkali na mnie, papugi na wystawie niemo krzyczały. Trzy razy okręciłem poroże mercedesa, gwałtownie puściłem, pociągnąłem i schowałem je pod sweter. John, George i Ringo byli już daleko, mieli odejść swobodnie, ale od tyłu wyglądali jak trzy latarnie z czerwonymi żarówkami. John odwrócił się, zamachał do mnie wściekły, odmachałem mu z uśmiechem, wtedy puścili się biegiem w stronę Uranienborg. Ja wciąż stałem na miejscu przestępstwa, rozglądałem się, ale nikt nie zareagował. Ruszyłem za nimi, powoli, jakby po to, żeby wszystko przeciągnąć, żeby naprawdę poczuć, jak to jest, dać właścicielowi auta szansę na złapanie mnie. Cudowne nerwowe ciepło rozlało mi się po ciele. I nikt za mną nie szedł. Wyciągnąłem łup na wierzch, uniosłem go triumfalnie i pobiegłem za resztą.

Czekali przy Facecie na Schodach, wszyscy trzymali w rękach torebki mrożonego soku.

– Wa-wa-wariat jesteś – stwierdził Ringo.

– Cholera, a jak któregoś dnia nas złapią? – mruknął John.

Spojrzał na mnie bez uśmiechu. Sprawiał wrażenie trochę zdenerwowanego, wręcz nieszczęśliwego, kiedy tak siedział z tą torebką mrożonego soku, machając papierosem.

Dochodziła dziewiąta. Ściemniło się, a my tego nie zauważyliśmy. Facet na Schodach pogasił światła w swoim sklepiku, powlekliśmy się więc w dół Bondebakken. Oddałem znaczek mercedesa George'owi, to on je przechowywał w skrzynce pod łóżkiem, zasłonięte tygodnikami.

– Teraz mamy już sześć takich – oznajmił.

– Ale żadnego z 220 S!

– Nie widzę żadnej ró-ró-różnicy – stwierdził Ringo.

– Nie ma znaczenia, czy w i d z i s z. Chodzi o to, że w i e s z – powiedziałem.

– A ile mamy fiatów? – spytał John.

– Dziewięć – odparł George. – Dziewięć fiutów.

– Brachol przywiózł pornosa z Kopenhagi – przypomniało się Johnowi.

Stanęliśmy jak wryci.

– Z Danii? – szepnął Ringo, zapominając o jąkaniu.

– Grał mecz w ręczną w Kopenhadze. Cholera.

– No i jaki... Jaki jest...

– Fajny – odparł John. – Muszę lecieć.

– Przynieś jutro – poprosił George.

– Przynieś! – zawołał Ringo, wymachując w powietrzu śrubokrętem. – Przynieś!

Poszedłem z Johnem. Zmierzaliśmy w tę samą stronę, w dół Løvenskiolds gate, George i Ringo posunęli w kierunku Solli plass. Nie odzywaliśmy się do siebie. Piach wysypany zimą chrzęścił pod butami, na chodniku leżały w rządku zaschnięte psie gówna. To były pewne oznaki nadchodzącej wiosny, chociaż ciągle jeszcze było dość chłodno i ciemno, zaledwie połowa kwietnia. Spojrzałem na swoje buty i poczułem radość, bo mama obiecała, że w maju dostanę nowe, a te, które miałem teraz, przypominały raczej pionierki i były ciężkie jak ołów. Buty Johna też nie zachwycały, on wszystko, w czym chodził, dostawał w spadku po swoim bracie, Stigu, który był o dwa lata starszy i miał metr osiemdziesiąt pięć

wzrostu, dlatego buty Johna były zawsze takie wielkie, że musiał najpierw zrobić krok w nich w środku, żeby ruszyć dalej.

– Wydaje mi się, że zaczynamy mieć dosyć tych znaczków – powiedział John, nie patrząc na mnie.

– Może powinniśmy zbierać tylko te różnych marek – zaproponowałem.

– Mamy już dosyć – powtórzył.

– Możemy sprzedać te, które się powtarzają.

John gwałtownie przystanął i mocno złapał mnie za ramię.

– Patrz tutaj! – krzyknął, wskazując na chodnik.

Zdrętwiałem. Przed nami leżał sznurek. Sznurek. Biały sznurek na ziemi tuż przed nami.

– Granaciarz[1] – szepnął John.

Nie odpowiedziałem, tylko dalej się gapiłem.

– Granaciarz – powtórzył John, cofając się o krok.

Stałem o metr, może nawet mniej, od sznurka. Jeden jego koniec znikał w żywopłocie, drugi był przywiązany do kratki ściekowej w rynsztoku.

– Nie ma pewności, że to Granaciarz – powiedziałem cicho.

– Co robimy? – wydusił z siebie John za moimi plecami. – Dzwonimy po gliny?

– To wcale nie musi być Granaciarz, chociaż to rzeczywiście dziwny sznurek – ciągnąłem, głównie do siebie.

– Tamci dwaj chłopcy z Grefsen zadzwonili po gliny – syknął John. – Możemy wylecieć w powietrze!

Nagle jakbym zaczął się roztapiać. Roztopiłem się i już mnie nie było. Zrobiłem krok do przodu, nachyliłem się, usłyszałem za plecami wrzask Johna i pociągnąłem z całej siły.

Huknęło jak cholera, ale dlatego że do drugiego końca sznurka przymocowano sześć metalowych puszek. John już dawno był na chodniku po drugiej stronie, okopał się za latarnią. Pokazałem mu łup, wynurzył się z okopu. W tej samej chwili zza żywopłotu buchnął śmiech. John, pobielały na twarzy, z zaciśniętymi szczękami, jednym skokiem pokonał żywopłot i wyciągnął na światło dzienne dwóch gnojków. Ustawił ich przy jakimś

oplu, przeprowadził rewizję osobistą, a potem, wskazując na mnie i na sznurek, powiedział:

– Wiecie, ile lat można dostać za coś takiego?

Szczeniaki pokręciły głowami.

– Pięć! – zawołał John. – Pięć lat! Poślą was do Jæren, pewnie nawet nie wiecie, gdzie to jest, ale to cholernie daleko, a tam każą wam przetaczać głazy! Przez pięć lat. Zrozumiano?

Smarkacze pokręcili głowami.

John związał ich sznurkiem i pognał w dół ulicy. Uciekali jak szaleńcy, a ludzie podchodzili do okien, myśląc, że to jakieś wesele. Brzęk puszek słyszeliśmy jeszcze z odległości kilku kwartałów.

– Dlaczego oni tego nie zdejmą? – John podrapał się w ucho.

– Pewnie uważają, że tak jest fajnie.

– Pewnie tak.

Powlekliśmy się dalej.

Po jakimś czasie John powiedział:

– Jesteś naprawdę szalony. Mogłeś wylecieć w powietrze!

– Jakie zdjęcia są w tym piśmie, które przywiózł twój brachol?

– Wielkie cipy. Dwa razy większe niż w „Cocktailu" i...

Gwałtownie urwał. Nie miałem siły się dopytywać, więc tylko czekałem, aż John sam powie resztę.

– No i nie ma na nich włosów – wyrzucił z siebie.

– Nie ma włosów?

– Nie ma. Zgolone.

– Tak można?

– Na to wychodzi.

– Ojciec Ringa jest golarzem – przypomniałem.

– Wszystko widać – dodał John.

– Wszystko?

– No.

Rozstaliśmy się przy kinie Gimle. John skręcił w stronę Thomas Heftyes gate, ja poszedłem dalej, na Skillebekk. Nie mogłem pozbyć się z myśli tych

łysych cipek. Usiłowałem je sobie wyobrazić, ale po prostu nie umiałem. Najbliższe temu obrazowi wydawało mi się zdjęcie nagiej kobiety w encyklopedii, chociaż tamto zdjęcie zostało chyba przerobione, w każdym razie cipka na nim była gładką płaszczyzną bez jednego włoska, no i bez żadnej szpary; pewnie prawdziwej kobiety nie mogli pokazać w encyklopedii.

Kiedy skręciłem w Svoldergata, zaczęło padać, taki ciepły, delikatny deszcz, na którym prawie się nie moknie i którego nie widać. Miałem wrażenie, jakby w twarz uderzało mnie mnóstwo włosków, małych, krótkich, ciemnych włosków, a na całej ulicy unosił się dziwny zapach, mniej więcej taki jak w łazience z prysznicami przy sali gimnastycznej, i nigdzie nie było widać żywej duszy. Na ostatnim odcinku puściłem się biegiem, bo już i tak byłem trzy kwadranse spóźniony.

Ale przy skrzynkach na listy gwałtownie zahamowałem. Leżała na nich brązowa koperta. Obok listonosz zostawił kartkę z pytaniem. Na naszej klatce schodowej nie mieszkał nikt, kto by się nazywał Nordahl Rolfsen. Czy ktoś mógłby mu pomóc? Ja mogłem. List był do mnie. Wsunąłem kopertę pod koszulę, na palcach wszedłem na górę i przekradłem się do swojego pokoju. Tam ostrożnie otworzyłem list, cały czas nadstawiając uszu, czy nikt nie nadciąga. W ogłoszeniu w tygodniku „Nå" napisali prawdę. Staranne, dyskretne opakowanie. Tuzin rubinów extra, różowych. Jedenaście koron. Ale nie musiałem za nie płacić. Nikt nie wiedział, kim jest Nordahl Rolfsen. Sprytnie. Nie miałem odwagi otworzyć gładkiej paczuszki, tylko trzymałem ją w dłoni, słuchając deszczu, który padał za oknem, jego włosów szeleszczących po szybie. W końcu schowałem wszystko do trzeciej szuflady, pod „Pop Extra", czasopisma o Beatlesach i książkę z serii *Conquest*.

Był czwartek, na pewno, bo na następny dzień mieliśmy zadane wypracowanie, ostatnie przed egzaminem, a wypracowania zawsze oddawało się w piątki, żeby nasz wychowawca, Beret, miał jakąś rozrywkę na weekend. Nie napisałem jeszcze ani słowa. Mój wcześniejszy plan polegał bowiem na tym, żeby zacząć kaszleć już dziś wieczorem, przeciągłym, szczekliwym, rozpaczliwym kaszlem, który nie pozwoli rodzicom zasnąć jeszcze długo po północy. A następnego dnia rano

wystarczy tylko rozgrzać czoło o poduszkę, mama od razu stwierdzi trzydzieści dziewięć i pięć i nie puści mnie do szkoły. Ale nie chciałem być ostatnim, który obejrzy pornosa brata Gunnara. Postanowiłem napisać wypracowanie, kiedy rodzice pójdą już spać. Mama stanęła w drzwiach z moją kolacją i szklanką mleka.

– Mogłeś po powrocie do domu przynajmniej do nas zajrzeć – powiedziała.

Wziąłem od niej talerzyk i szklankę.

– Siedzimy w salonie. To nie tak daleko – dodała.

– Wiem.

– Gdzie byłeś?

– Na szkolnym podwórzu.

– Tak późno?

– Graliśmy w dwa ognie.

Zrobiła krok do przodu i już wiedziałem, że sprawa się przeciągnie. Wiedziałem też dokładnie, co mama powie i jak sam powinienem odpowiadać.

– Naprawdę musisz wieszać na ścianach wszystkie te paskudne zdjęcia?

– Ja uważam, że są ładne.

– Ładne! – Mama prawie krzyknęła, wskazując na plakat tuż pod sufitem.

– To Animalsi – wyjaśniłem.

Znów spojrzała na mnie.

– Musisz się ostrzyc – stwierdziła. – Niedługo włosy zaczną ci spadać na uszy.

Pomyślałem o ojcu, który był prawie łysy, i zaczerwieniłem się, bo przed oczami nagle stanęła mi straszna postać, potworna głowa, jakiś szalony mieszaniec. Mama podeszła bliżej i spytała, co mi jest.

– Co mi jest? – powtórzyłem zachrypniętym głosem.

– Tak. Nagle się zrobiłeś taki dziwny.

Rozmowa przybrała zdecydowanie nieoczekiwany i niebezpieczny obrót. Zacząłem demonstracyjnie jeść, ale mama dalej stała, oparta

o futrynę.

– Spędziłeś dzisiejszy wieczór z jakąś dziewczynką? – spytała.

To pytanie było tak głupie, nie na miejscu, idiotyczne, wyciągnięte z kapelusza, że zamiast ją wyśmiać, rozzłościłem się:

– Byłem z Gunnarem! Z Sebastianem i z Olą!

Pogłaskała mnie po głowie.

– Mimo wszystko uważam, że powinieneś się ostrzyc.

Mimo wszystko? O co jej chodzi? Jaką pułapkę tym razem na mnie zastawiła? Zmobilizowałem resztkę sił i wysunąłem argument, który zawsze do pewnego stopnia działał na mamę, bo kiedyś chciała zostać aktorką.

– Rudolf Nuriejew też ma długie włosy!

Wolno skinęła głową, na jej twarzy rozlał się uśmiech, a potem, o Boże, drugi raz położyła mi rękę na głowie.

– Możesz ją przyprowadzić do domu.

Byłem pewien, że jestem najczerwieńszą bladą twarzą na całym Zachodzie, z wyjątkiem Jenseniusa, śpiewaka operowego, który mieszkał piętro wyżej, wypijał dziennie trzydzieści mocnych piw eksportowych i powtarzał, że świat pozostaje w ruchu dzięki zastawowi za butelki i sztuce.

Ojciec jak zwykle siedział w fotelu przy półce z książkami, nad tygodnikiem „Nå” ze zdjęciem piosenkarki Wenche Myhre na okładce. Intensywnie pracował nad krzyżówką. Podniósł wąską, bladą twarz i spojrzał na mnie.

– Odrobiłeś lekcje?

– Tak.

– Jak jesteś przygotowany do egzaminu?

– Dobrze. Tak mi się wydaje.

– Tobie się nic nie może wydawać. Musisz wiedzieć.

– Jestem dobrze przygotowany.

– Cieszysz się, że idziesz do szkoły realnej[2]?

Kiwnąłem głową.

Ojciec uśmiechnął się przelotnie i znów zatonął w krzyżówce. Powiedziałem „dobranoc”, ale kiedy się odwróciłem, usłyszałem jego głos:

– Jak się nazywa perkusista z The Beatles?

Wyglądał bardzo dziwnie, kiedy pytał, i mam wrażenie, że nawet trochę się zarumienił. Dla usprawiedliwienia od razu wskazał na tygodnik.

– Ola – zacząłem, ale ugryzłem się w język. – Ringo. Ringo Starr. Chociaż jego prawdziwe nazwisko to Richard Starkey – błysnąłem.

Ojciec z zapałem wpisał litery w kratki, pokiwał głową i powiedział:

– Świetnie. Pasuje.

Leżałem i czekałem, aż się położą. Gdybym teraz zapalił światło, przyszliby zapytać, co się stało, bo przez szparę widać było, czy u mnie się świeci. Słyszałem deszcz padający na zewnątrz, słyszałem pociągi, które z głośnym sapaniem przejeżdżały w odległości zaledwie stu metrów ode mnie, między moim pokojem a zatoką Frognerkilen. Wiedziałem dokładnie, dokąd jadą, ale też i nie było zbyt wielu linii do wyboru. I chociaż te pociągi wcale nie jechały daleko i nie przekraczały granic Norwegii, to jednak zawsze przywodziły mi na myśl dalekie kraje, zrolowane na drążkach zawieszonych za katedrą. Słysząc pociągi, myślałem również o gwiazdach, o kosmosie, wszystko wtedy oddalało się od moich oczu, zaczynałem opadać do tyłu, jakby w głąb siebie, a jeśli wtedy krzyczałem, przybiegali rodzice, pojawiali się w postaci maleńkich kropek daleko, bardzo daleko, i powoli wyciągali mnie z powrotem na powierzchnię. Ale tym razem nie krzyczałem. Słyszałem pociągi i tramwaj nazywany Złotą Rybką, z jazgotem przejeżdżający przez Olaf Bulls plass. A wśród tego wszystkiego były jeszcze ściszone głosy rodziców i radio, zawsze włączone, a w radiu zawsze opera, brzmiąca tak samotnie i smutno, smutniej niż wszystko, co znałem, śpiew z innego świata, szarego, pogrążonego w bezruchu, taki zimny i martwy. Na ścianach wokół mnie wisiały zdjęcia twarzy, które również śpiewały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, gitary i bębny milczały. Rolling Stonesi, Animalsi, Dave Clark Five, Hollies, Beatlesi. Beatlesi. Zdjęcia

Beatlesów. Śnili mi się Ringo, John, George i Paul. Śniło mi się, że jestem jednym z nich, że jestem Paulem McCartneyem, mam jego okrągłe, smutne oczy, na których widok wszystkie dziewczyny piszczą do nieprzytomności, śniło mi się, że jestem leworęczny i że gram na gitarze basowej. Nagle poderwałem się z łóżka, całkowicie przytomny. Przecież jestem jednym z nich, pomyślałem i głośno się roześmiałem. Jestem jednym z The Beatles.

Było wpół do dwunastej, rodzice poszli już spać. Wziąłem się do dzieła. Miałem wybór z trzech tematów. Pierwszy od razu wykluczyłem. „Moja rodzina". Ojciec jest bankowcem i rozwiązuje krzyżówki. Mama w młodości chciała zostać aktorką. Mam na imię Kim. To się po prostu nie dało. Kolejny temat brzmiał: „Jeden dzień w szkole". Również go wykluczyłem. Nawet kłamstwo ma swoje granice, ma je nawet dla mnie. Można łgać do pewnego punktu, w dodatku całkiem nieźle, ale później po prostu wszystko staje się idiotyczne. Pozostał mi ostatni temat: „Twoje plany po skończeniu szkoły podstawowej". Zeszyt do wypracowań znalazłem w stosie paczek ze starymi drugimi śniadaniami. Z poprzedniego wypracowania dostałem tróję. Ale to ojciec je napisał. „Moje hobby". Uznał, że oczywiście muszę pisać o znaczkach pocztowych, chociaż miałem jedynie dwa trójkątne z Wybrzeża Kości Słoniowej. Ojciec dostał tróję. Postanowiłem więc zaryzykować. Włożyłem świeży nabój do pióra i zacząłem pisać od razu atramentem. Nie było odwrotu. Czułem łaskotanie w krzyżu, napięcie czyniło ze mnie niemal geniusza. Najpierw zamierzałem skończyć szkołę realną i liceum. Później planowałem studiować medycynę i zostać lekarzem w jakimś ubogim kraju, gdzie miałem żyć i umrzeć dla chorych Murzynów. Wydusiłem z siebie trzy i pół strony i zakończyłem jakąś uwagą o Nansenie, ale biegun północny nie bardzo mi się zgodził z Murzynami, i dopiero wtedy sobie przypomniałem, że należało napisać o Albercie Schweitzerze, ale było już za późno. Zamknąłem zeszyt bez przeczytania tego, co napisałem, a czas musiał płynąć niesamowicie szybko, bo z hukiem przejechał ostatni pociąg do Drammen i cały świat ucichł. Deszcz przestał padać. Tramwaje przestały jeździć. Rodzice spali. I sam też już zasypiałem, gdy nagle pokój wypełnił czysty falset, płynął z góry, ale to nie był Bóg, tylko Jensenius, który rozpoczął swoją nocną wędrówkę, oszalały nocny słowik chodził tam

i z powrotem, śpiewając stare pieśni z czasów swojej wielkiej światowej sławy.

Z Jenseniusem koncertującym nad głową zaśnięcie stało się niemożliwe, chociaż jego śpiew nie był wcale aż tak smutny jak tamte głosy w radiu. Słuchanie Jenseniusa raczej trochę przerażało, a gdy dodatkowo widziało się śpiewaka, stawało się niemal wyłącznie komiczne. Jensenius był kolosem, bardzo podobnym do tego faceta ze zdjęcia na opakowaniu IFA, słonych pastylek na gardło, zresztą również śpiewaka operowego. Nagle coś mi się przypomniało. W piątej klasie wyciąłem podpis tego faceta z pudełka pastylek, Ivara Frithjofa Andresena, i wmówiłem Gunnarowi, że to cenny autograf światowej sławy śpiewaka. Gunnar odkupił go ode mnie za dwie korony, bo zbierał autografy, wszystkich, od rajdowca Arnego Ingiera po towarzysza Lin Piao. Zastanawiał się tylko, dlaczego ten autograf jest na takim grubym papierze. To nie papier, powiedziałem, to k a r t o n. Najlepszy, jaki może być. A dlaczego taki cholernie mały? Bo wycięty z sekretnego listu. Trzy dni później Gunnar przyszedł do mnie, spytał, czy mam ochotę na słone pastylki, wyjął pudełko IFA i wcisnął mi je w gębę. Nie był nawet wściekły. Po prostu zaskoczony. Oddałem mu pieniądze i od tej pory nie robiliśmy już ze sobą żadnych interesów.

No więc Jensenius, śpiewak operowy z naszej klatki schodowej, przypominał zeppelina, a z tego kolosalnego pojazdu wydobywał się głos tak wysoki i cienki, jakby w środku siedziała mała dziewczynka i właśnie ona śpiewała. O Jenseniusie krąży wiele historii, nie bardzo wiem, w które mam wierzyć, ale podobno dawał cukierki małym dziewczynkom, chłopcom też, i lubił ich przytulać. Kiedyś był, zdaje się, barytonem, lecz pomajstrowali mu przy podwoziu i teraz jest sopranem. Chla jak niedźwiedź i śpiewa jak anioł. Mam ochotę nazywać go Wielorybem, bo wieloryby również śpiewają, a śpiewają, ponieważ są samotne i morze jest dla nich za wielkie.

Zasypiam, pierwszego dnia.

Wypracowania oddaliśmy na pierwszej lekcji, po odmówieniu *Ojcze nasz*. Modlitwę miał prowadzić Smok, ale on nigdy nie potrafił dojść dalej niż do

„święć się imię Twoje”, zawsze wtedy tracił mowę, czerwienił się i zaciskał ręce, aż mu bielały kostki, tym razem też musiał go zastąpić Gąsior, jemu poszło gładko jak po maśle, a my, cała reszta, staliśmy przy ławkach wyprężeni jak struny i mamrotaliśmy ile wlezie. Dyżurnym w tym tygodniu był Seb. Krążąc między rzędami, zebrał nasze zeszyty, po czym ułożył je w równiutkim stosie na katedrze przed Beretem, który ze zdumieniem patrzył na klasę.

– Wszyscy oddali? – spytał cicho.

Seb kiwnął głową i wrócił na swoje miejsce. Siedział na samym końcu w rzędzie pod oknem, ja za Gunnarem w środkowym, a Ola z przodu przy drzwiach, zawsze pierwszy wychodził i ostatni wchodził. Moje miejsce było zresztą bardzo dobre, bo Gunnar miał plecy dostatecznie szerokie, żeby ukryć za nimi całą encyklopedię. Odwrócił się do mnie i spytał szeptem:

– Na który temat pisałeś?

– Plany na przyszłość.

– A kim zostaniesz?

– Lekarzem w Afryce.

– Seb będzie misjonarzem. W Indiach.

– A ty co pisałeś?

– Będę pilotem. A Ola fryzjerem damskim.

– Przyniosłeś to pismo?

Gunnar pospiesznie kiwnął głową i usiadł prosto.

Beret wciąż spoglądał na klasę, jakbyśmy byli nowym krajobrazem, który roztoczył się przed nim w całej okazałości, a nie siódmą A, dwudziestoma dwoma żółtodziobami z tłustymi włosami, pryszczami i rękami w kieszeniach.

– W s z y s c y oddali? – powtórzył.

Żadnej reakcji.

– Kto n i e oddał? – zmienił pytanie.

Cisza w klasie. Zasiany mak. Jedynie tramwaj na Briskeby przejechał ze zgrzytem gdzieś głęboko na dnie świata, bo jako najstarsi mieliśmy lekcje na ostatnim piętrze.

Beret wstał i zaczął się przechadzać tam i z powrotem po podwyższeniu. Za każdym razem, gdy dochodził do katedry, poklepywał nasze zeszyty i coraz szerzej się uśmiechał.

– Uczycie się – powiedział. – Uczycie się, a moja praca może wcale nie poszła na marne. Wkrótce na własnej skórze doświadczycie, że t e r m i n o w o ś ć to jeden z kamieni węgielnych świata dorosłych. W szkole realnej staniecie w obliczu innych, o wiele surowszych wymagań, zwłaszcza ci, którzy celują ku liceum i uniwersytetowi. Wkrótce to zrozumiecie, a najlepiej, gdybyście zrozumieli już teraz. Ale może ten piękny stos zeszytów świadczy o tym, że j u ż zrozumieliście, jeśli nie wszystko, to przynajmniej sporo.

Siedziałem w środkowym rzędzie, za bezpiecznymi plecami Gunnara. Beret przemierzał swoją scenę, przemawiając ciepłym, drżącym głosem. Nikt go nie słuchał, ale wszyscy się cieszyli, bo przynajmniej nie musieliśmy analizować budowy zdań złożonych ani czytać *Terjego Vigena* Ibsena. Po pewnym czasie umilkł też jego głos – to taka moja sztuczka, potrafię w pewnym sensie wyłączyć dźwięk, niekiedy bywa to bardzo przyjemne. Nauczyciel zmienił się w postać z niemego filmu, wykonywał gwałtowne i wyraziste ruchy, a jego usta pracowały z przesadną starannością, żeby tępa publiczność na sali mogła się domyślić, co mu leży na sercu. A od czasu do czasu na tablicy pojawiało się wyjaśnienie w formie pisemnej: „Kiedy pójdziecie w wielki świat, bądźcie gotowi. – Walczcie za ojczyznę i za język norweski. – Ćwiczenie czyni mistrza. – Nadstawiaj lewy policzek i zawsze najpierw pytaj. – Bjørnstjerne Bjørnson". Tuż przed dzwonkiem zrozumiałem, że Beret się cieszy. Cieszył się, ponieważ ten jeden jedyny raz, ten ostatni, oddaliśmy wypracowania na czas. Beret się cieszył i nas kochał. Właśnie wtedy rozległ się dzwonek i wszyscy rzucili się do drzwi, chociaż Beret był w połowie zdania, i gdy go teraz widzę, mam przed oczami niedużą, szarą postać w za dużym przekrzywionym fartuchu, rzadkie włosy opadły mu na czoło, a twarz błyszczy z wysiłku i ze szczęścia. Wciąż stoi w tym samym miejscu i niemo przemawia do dwudziestu dwóch szalonych chłopaków, którzy wybiegają z klasy jak konie wypuszczone na łąkę, on zaś ciągle tkwi we własnym świecie, równie samotny, jak samotny musi być Jensenius, ale szczęśliwy, bo nareszcie wyzbył się goryczy, więc jest szczery, pełen życzliwości i ciepła dla nas.

Ale tak to wygląda teraz. Wtedy niemy film na dźwięk dzwonka gwałtownie się urwał. Beret natychmiast zniknął, jakby w wyniku zakłóceń technicznych, a ja przyczepiłem się do Gunnara. Kurs wiódł prosto do kibla, w którym w końcu zebrało się jakichś dziesięciu, piętnastu chłopaków. Ktoś więc wyraźnie nie utrzymał języka za zębami, najpewniej Ola, bo Ola miał najsłabszą twarz pokerzysty na świecie, wszystkie mięśnie twarzy zaczynały mu drgać, kiedy tylko dostał parę trójek.

– Gdzie to masz?! – dopominał się Smok.

– To nie cyrk – odparował Gunnar.

– Oszukujesz – stwierdził Smok. – Wcale nie przyniosłeś!

Gunnar tylko na niego patrzył, długo, aż gruby, spocony Smok się zaniepokoił i zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Kiedy kogoś oszukałem? – spytał Gunnar.

Przypomniała mi się tamta historia z pastylkami IFA, więc odwróciłem głowę, bo wszyscy wiedzieli, że Gunnar nigdy nikogo nie oszukał, a Smok, zawstydzony, czerwony i zasapany, został powoli, acz stanowczo wypchnięty z kręgu.

Gunnar przez chwilę się w nas wpatrywał. W końcu spod swetra i koszuli wyjął dużą białą kopertę. Krąg wokół niego jeszcze bardziej się zacieśnił, kiedy otworzył kopertę i wyciągnął pismo. Potem nagle, jakby mu się już dłużej nie chciało, wręczył mi je, bez jednego słowa. Wszedł do kabiny i zamknął za sobą drzwi.

Teraz to ja stałem się centrum tego kręgu. Wszyscy mnie pospieszali, trącali, popychali, bo przerwa niedługo się kończyła. Zacząłem przerzucać kartki. Natychmiast wychwyciłem niepokój, sam go odczułem, bo wcale nie chciałem oglądać takich rzeczy. Na pierwszych zdjęciach były zbliżenia ogolonych cipek. Zgromadzeni nie wydawali z siebie żadnego dźwięku, nikt się nie śmiał, nikt nie chichotał, było cicho jak w grobie. Przerzucałem kartki coraz szybciej, cipki od góry i od dołu, całe strony wielkich szpar po przekątnej, od rogu do rogu. Wreszcie pod koniec zaczęło to być do czegoś podobne, pojawiły się całe babki, wielkie cycki, mnóstwo włosów, i nagle zobaczyliśmy zdjęcie faceta wciskającego głowę między uda kobiety.

– Co on robi? – spytał jakiś głos.

– Liże – odpowiedział inny głos, to był Gunnar. Wyszedł już z kabiny i chichotał.

Na chwilę zapadła cisza, zupełna cisza.

– Liże?

– Liże cipkę tej babki, chyba widzisz – włączył się jeszcze ktoś.

– Liże… cipkę!

Smok stał na samym skraju i przewracał oczami.

– No.

– No i jak… jak… jak to smakuje, co?

– Jak trawa – powiedziałem natychmiast. – Jeśli się ma szczęście. Ale jeśli dostaniesz skwaśniałą, to smakuje jak stare salami i tenisówki.

Ktoś schodził po schodach. W gromadzie niewinnych owieczek zapanowało poruszenie. Gunnar spojrzał na mnie zdezorientowany, nagle wręczył mi kopertę i ruszył do wyjścia razem z innymi. Stałem tyłem i wkładałem pismo do koperty, kiedy dyrektor złapał mnie za ramię i odwrócił do siebie.

– Co tam masz? – spytał.

Przez moment już widziałem, jak cały świat wali się w gruzy, wszystko leciało, wszystko się sypało z taką samą prędkością, to nie miało końca. Dyrektor nachylał się nade mną jak galion na dziobie statku, sam musiałem się odchylić, żeby móc mu spojrzeć w oczy. Wszystko spadało, spadaliśmy razem, to było jeszcze przyjemniejsze niż stanie na szczycie dziesięciometrowej wieży na kąpielisku Frogner, tuż przed wielkim skokiem, chociaż jeszcze nie skakałem z tak wysoka.

– To czasopismo, które dostałem od ojca. Mam je pokazać naszemu wychowawcy.

– Co to za pismo?

– Broszura turystyczna o Afryce. Mój stryj był w Afryce na Wielkanoc.

Dyrektor długo mi się przyglądał.

– A więc twój stryj był w Afryce?

– Tak – potwierdziłem.

Jeszcze bardziej się nade mną nachylił, jego oddech stał się nie do wytrzymania, śledź, tran i tytoń. W końcu jednak zrobił krok do tyłu

i krzyknął:

– No to wyjdźże stąd wreszcie, chłopcze!

Pobiegłem po schodach na górę, na światło słońca. Rozległ się dzwonek, a ja poczułem się tak, jakby dzwonił we mnie, gdzieś między uszami. Pozostałe skunksy stały przy budynku, w którym mieściła się sala gimnastyczna. Wpatrywały się we mnie tak, jakbym właśnie wylądował i był mały, zielony i oślizgły.

– I jak… jak… – wydusił z siebie Smok.

– Lubi, żeby były gładkie, polane kefirem – rzuciłem i spokojnie ich minąłem.

Nagle poczułem, że jestem wycieńczony, kompletnie wypompowany. Nauczyciel od WF-u pokrzykiwał na nas w drzwiach, więc szurając nogami, powlekliśmy się do przepoconych szatni z drewnianymi ławkami, żelaznymi wieszakami i podłogą zawsze śliską od pary z pryszniców. Było mi wszystko jedno, czy będziemy ćwiczyć na dworze, czy nie. Nagle tuż obok mnie znalazł się Gunnar. Trochę zwolniliśmy. Dyskretnie przekazałem mu kopertę, zawinął ją w zdjęty wcześniej sweter.

– Jestem gnojkiem – mruknął.

Przystanęliśmy.

– Zostawiłem cię – ciągnął Gunnar. – Zdradziłem.

– To ja trzymałem w ręku to czasopismo.

– Oddałem ci kopertę i wyszedłem. Jestem dupkiem.

– Nie dałbyś rady się wyłgać.

Gunnar podniósł głowę, na jego szeroką twarz powoli wypływał coraz większy uśmiech.

– To prawda. Nie dałbym rady.

Roześmialiśmy się. Gunnar się przygarbił, jedną ręką zaczął boksować w powietrzu, po czym nagle spoważniał, bardziej niż kiedykolwiek. Powiedział cicho, ale dobitnie:

– Pamiętaj, Kim. Zawsze możesz na mnie liczyć!

A potem ujął moją rękę, bardzo uroczyście. Silnymi palcami ścisnął mi palce jak pęczek pietruszki, a ja zacząłem się zastanawiać, czy nie widziałem już podobnej sceny w *Ilustrowanych Klasykach*, może w *Lordzie*

Jimie albo w *Ostatnim Mohikaninie*, aż w końcu uświadomiłem sobie, że to było w jednym z odcinków *Świętego*, i już zacząłem się cieszyć na wieczór, bo był piątek i w telewizji puszczali kryminał.

– I aż sześć ze-ze-zero! – zawołał Ringo, kiedy skręciliśmy koło Stadionu Bislett po drodze do Trafiki Kårego na Thereses gate. Siedział na moim bagażniku, bo jego rower nie miał szprych, po tym jak na Bondebakken zawiodły hamulce i spanikowany Ringo wsunął buty w przednie koło. Wyglądał potem tak, jakby się potknął o krajalnicę do jajek.

– Sze-sze-sześć zero, rany! – powtórzył. – Sześć ze-ze-zero!

– Gdyby to jeszcze była Anglia albo Szwecja, ale Tajlandia… – Prychnąłem.

– Wszystko jedno! Sześć go-go-goli!

Thereses gate zaczęła piąć się jeszcze bardziej stromo i zabrakło mi oddechu do dalszej rozmowy. John i George jechali przed nami slalomem, cały czas pokrzykując, a na samym dole pojawił się tramwaj, trzeba więc było mocno naciskać na pedały, żebyśmy dotarli do Trafiki Kårego, zanim nas dogoni.

– Gdzie właściwie le-le-leży Tajlandia? – spytał Ringo.

– Na lewo od Japonii – wysapałem.

Udało nam się wyprzedzić tramwaj i już się cieszyłem na drogę w dół, bo była kolej George'a na wożenie Ringa z tyłu.

– Szlag mnie trafi, jeśli w tym roku dadzą mnie na skrzydło – powiedział John.

– Będzie dobrze, jeśli w ogóle wezmą nas do drużyny – oświadczył George.

– Jak będę musiał grać z ty-ty-tyłu, to mi się nie będzie chcia-chcia-chciało – powiedział Ringo. – Denerwuję się, kiedy tylko tak sto-sto-stoję.

Całym plutonem weszliśmy do Kårego, do tego ciemnego sklepu, do Trafiki Kårego, w środku unosił się dziwny zapach, owoców i dymu, potu, czekolady i lukrecji. Wiedzieliśmy, że pod ladą leżą zakazane czasopisma, „Cocktail" i „Kriminaljournalen", ale od czasu tamtego pornosa brata

Gunnara to już nie było nic wielkiego, coś jakby przepadło, w pewnym sensie został żal.

Miła twarz boksera z zajęczą wargą wyłoniła się z ciemności, chyba Kåre nas pamiętał z zeszłego roku.

– Składka członkowska? – spytał.

Pokiwaliśmy głowami, każdy położył swoją dychę na kontuarze, Kåre wyjął cztery karty, podaliśmy mu swoje nazwiska.

– Urodzeni w pięćdziesiątym pierwszym – mruknął. – To znaczy, że w tym roku w młodzikach.

– Dużo osób się zgłosiło? – spytał John.

– Mamy dobre drużyny na wszystkich poziomach. – Kåre się uśmiechnął.

– A jak pójdzie tym z Fri-Fri-Frigg w lidze, co? – spytał Ringo.

– Wygramy – oświadczył zdecydowanie Kåre.

– No i pokonaliśmy Tajlandię, sze-sze-sześć zero, no nie? – dodał Ringo z zachwytem. Ciągle to przeżywał.

– Treningi zaczynają się we wtorek – zapowiedział Kåre. – O piątej na boisku Frigg.

– Będzie w tym roku wyjazd do Danii? – dopytywał się George.

– Pewnie tak. Trenujcie ostro, to pojedziecie.

Dostaliśmy karty członkowskie, kupiliśmy jedną colę na spółkę, ale o fajki nie mieliśmy odwagi poprosić, bo może Kåremu nie spodobałoby się, że chłopaki z Frigg palą, no a żaden z nas nie chciał, by go ominął wyjazd do Danii.

Po wyjściu na ulicę Ringo spojrzał na Johna i spytał cicho:

– Co zrobiłeś z tym pi-pi-pismem?

– Wywaliłem – odparł John.

– Wy-wy-wywaliłeś?!

– No.

Właściwie wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, ale Ringo się nie poddawał.

– A co na to twój bra-bra-brachol?

– Uważa, że to w porządku.

Wskoczyliśmy na rowery i pognaliśmy w dół Thereses gate. Ciepłe powietrze dzwoniło w uszach, śpiewaliśmy *I Feel Fine* tak głośno, że aż echo się niosło między domami. George zawołał, że jego prędkościomierz dochodzi do osiemdziesiątki, wprawdzie nie zawsze można mu było ufać, ale i tak pędziliśmy, nie musieliśmy wcale pedałować aż do Bogstadveien.

– Do 17 Maja[3] zostało mniej niż miesiąc – zauważył John.

– Do egzaminu też już niedaleko – dodał George.

– I do lata! – zawołał Ringo.

Przez chwilę milczeliśmy, bo trochę dziwnie nam się myślało o lecie, o tym, że kiedy minie, możemy trafić do różnych klas, a może nawet do różnych szkół. Ale przysięgliśmy sobie wierność. Nic nie mogło nas rozdzielić, a Beatlesi nigdy się nie rozpadną.

Najpierw biegaliśmy wokół boiska, potem trochę poćwiczyliśmy główki, a później podzielono nas na dwie drużyny, po ośmiu w każdej. Korzystaliśmy z wielkich bramek seniorów i Szkoły Policyjnej, bramkarze między tymi słupkami czuli się jak karzełki i nawet gdy starali się podskoczyć jak najwyżej, i tak nigdy nie zdołali dotknąć poprzeczki. Przypominali śledzie w ogromnej sieci. John i ja trafiliśmy do tej samej drużyny. On był środkowym pomocnikiem, ja grałem na prawej obronie. Przeciwko sobie miałem Ringa na lewym skrzydle, George był środkowym obrońcą i najwyraźniej nie najlepiej się czuł, kiedy John ruszył przed siebie jak czołg, miażdżąc wszelki opór. Ja stałem na swoim miejscu i zgarniałem piłki na środek. George'owi kilka razy udało się zatrzymać Johna, ale nie wiem, czy John po prostu nie oddał mu piłki, żeby wszystkich nas wzięli do drużyny. Pod koniec Ringo przechwycił piłkę i popędził wzdłuż linii bocznej. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko mnie, szepnął tak, żebym tylko ja mógł to usłyszeć:

– Prze-przepuść mnie! Prze-prze-przepuść!

Stałem na swojej pozycji na szeroko rozstawionych nogach i się nie ruszyłem; mogłem przepuścić Ringa, bo już wykonałem kilka solidnych podań i liczyłem, że miejsce w składzie mam zapewnione. Stałem więc nieruchomo, Ringo mógł mnie okrążyć jak kolumnę i posłać piłkę do pięknej główki ulizanego napastnika przed bramką. No ale oczywiście

chciał się popisać, zaczął wyczyniać jakieś idiotyczne sztuczki, jakby był w Brazylii. Ci z jego drużyny zaczęli do niego wrzeszczeć, więc zrobił w końcu ostateczny zwód, zgarbił się i wpadł prosto na mnie. Obaj polecieliśmy na gęby, piłka się odtoczyła za linię, więc to ja rzucałem z autu.

– Ch-cho-cholera – wysyczał Ringo. – Jasna cho-cho-cholera!

– Przecież się nie ruszyłem!

– A skąd mo-mo-mogłem wie-wie-wiedzieć? Przecież o-o-obrona nigdy nie stoi nie-nie-nieruchomo!

Nasza drużyna, Johna i moja, wygrała chyba siedemnaście do jedenastu, a później było podsumowanie i krytyka. Kilku chłopaków już miało całkowitą pewność. Aksel na bramce, Kjetil i Willy w ataku. I John, pług śnieżny, też właściwie został już wybrany. George wyglądał na bardzo zmęczonego, a Ringo był wściekły.

– W najbliższy weekend jest mecz! – zawołał trener Åge. – W sobotę. Przeciwko Slemmestad. W Slemmestad.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy byliśmy świadomi powagi sytuacji.

– Ten mecz musimy wygrać! – ciągnął trener.

Wrzasnęliśmy.

– Świetnie, chłopcy! Wszyscy, którzy są tu dzisiaj, stawiają się w tym samym miejscu w sobotę o trzeciej. Do Slemmestad pojedziemy autobusem. I większość będzie miała okazję spróbować swoich sił na boisku. Ale nawet jeśli któryś nie zagra w pierwszym meczu, to i tak dostanie szansę później, prawda?

Drużyna się rozproszyła. Jedni odeszli pojedynczo, inni w grupkach. My czterej staliśmy na środku wielkiego boiska, oceniając się nawzajem.

– Myślicie, że wszyscy zagramy? – spytał John.

– Ten dureń mnie nie prze-prze-przepuścił, chociaż go pro-pro-prosiłem. – Ringo wskazał na mnie.

– No ale przecież ja ani drgnąłem!

– Właśnie dla-dla-dlatego! Przecież to ja-ja-jasne, że pomyślałem, że prze-prze-przesuniesz się na lewo. Dlatego ruszyłem pro-pro-prosto. Brudna za-za-zagrywka!

Nagle John umilkł. Znieruchomiał jak wyżeł, zapatrzony w coś od strony budynku radia i telewizji, i szepnął nieswoim głosem:

– Czy to... czy to nie Per Pettersen tam idzie?

Spojrzeliśmy. Tak było. To naprawdę był Per Pettersen. We własnej osobie. Szedł w naszą stronę niedbałym krokiem, w białych krótkich spodenkach i biało-niebieskiej bluzie, z torbą zarzuconą na ramię.

– Muszę mieć jego autograf! – zawołał John. – Macie coś do pisania?

Oczywiście na trening nie wzięliśmy ze sobą ołówka ani tym bardziej kartki. Per Pettersen się zbliżał, więc John zaczął rozpaczliwie szukać czegoś w trawie, bo nie mógł przepuścić takiej okazji, ale jedyną rzeczą, jaką znalazł, był papierek po gumie do żucia Zip. Zanim rozprostował go na udzie, Per Pettersen już był przy nas.

– Autograf – wydusił z siebie John, wręczając mu papierek.

Per Pettersen zatrzymał się i spojrzał na nas pogodnie. Potem ze śmiechem odstawił torbę.

– Nie mam nic do pisania – przyznał John.

Per wygrzebał z torby długopis i podpisał się na papierku, od którego bił słodki zapach. Per Pettersen, dwa piękne P. Już miał odejść, gdy na przód wysunął się Ringo, który wcześniej cały czas przestępował z nogi na nogę.

– Nie mógłbyś raz do mnie strzelić?

Per zatrzymał się i odgarnął do tyłu niesforną grzywkę.

– Mogę. Ustaw się.

Ringo spojrzał na nas, cały czerwony, i pognał do bramki. Ustawił się możliwie najbardziej na środku i zgiął wpół jak homar. Per Pettersen położył piłkę na ziemi, zrobił kilka kroków do tyłu i parę razy kopnął w trawę.

– Biedny Ola – powiedział cicho George. – Kompletnie mu odbiło. Przecież jak złapie piłkę, to przeleci razem z nią przez siatkę.

Per Pettersen podbiegł, kopnął i nagle Ringo znalazł się na ziemi z piłką w objęciach. Nie ruszał się z miejsca. Minę miał tak zdziwioną, jakby w ogóle nie rozumiał, co się stało. W końcu się podniósł i chwiejąc się na nogach, podszedł do nas. Per Pettersen zarzucił torbę na ramię, odgarnął grzywkę do tyłu i zawołał do Oli:

– Świetna obrona!

I poszedł sobie.

Ola wyglądał na bardzo zmęczonego. Ledwie mógł utrzymać piłkę w rękach. Ale był szczęśliwy.

– Mocne było? – spytał ostrożnie George.

– Naj-naj-najmocniejszy strzał, jaki w życiu poczułem – odparł Ringo. – Gordon B-B-Banks miałby problemy z ró-ró-równowagą.

– Fantastyczna parada – stwierdził John. – Idealnie.

– Skąd wiedziałeś, jak on strzeli? – dopytywał się George.

– Wy-wy-wykiwałem go – odpowiedział Ola. – U-u-udałem, że się rzucam w prawo. A potem się okręciłem w le-le-lewo. No i miałem piłkę w rę-rę-rękach.

Ruszyliśmy w stronę rowerów, które leżały w wysokiej trawie przy Slemdalsveien.

– Myślicie, że Per Pe-Pe-Pettersen powie o tym Kå-Kåremu i Å-Å-Ågemu? – spytał Ola.

– Możliwe – odparł John. – Jeśli się zobaczą.

– No to może wtedy wezmą mnie na bra-bra-bramkarza. Na sta-sta-stałe.

Ola ciągle miał dziwnie daleki wzrok. Zachowywał się tak, jakby nie do końca nas poznawał.

– Chodzi o to, żeby mieć ko-ko-kontakt wzrokowy – powiedział. – Widziałem białka jego oczu. Stracił pe-pe-pewność siebie i pi-pi-piłka była moja.

Podprowadziliśmy rowery do kiosku koło Szkoły Policyjnej i zafundowaliśmy Ringowi colę. Uznał, że na nią zasłużył, i wypił duszkiem całą butelkę. Po odebraniu zastawu pooglądaliśmy wraki samochodów za drewnianym płotem, myśląc o ludziach, którzy wcześniej siedzieli w tych autach. To było straszne, jakby ciągle jeszcze w nich tkwili, zakrwawieni i zmasakrowani, upiory we wrakach. Przy bramie wilczur strażnika zaczął na nas warczeć, białe zęby zdawały się świecić w czerwonym pysku. Trochę zmarznięci, ruszyliśmy w stronę Majorstua, pokazując sobie reklamę Durexu na budynku Vinkelgården nad zegarem, na którym dochodziła już

siódma. Ringo znów siedział z tyłu na moim bagażniku i powoli odzyskiwał kontakt z ziemią po tamtej bramkarskiej paradzie, w końcu zawołał na całe gardło:

– Do du… Do du…

A Seb dokończył:

– Do dużej dojdzie sławy!

Potem Gunnar wrzasnął z całych sił:

– Do chu… Do chu…

A ja odkrzyknąłem:

– Do chóru go zapisać!

Nie było to jedyne zawołanie, jakie znaliśmy. Umieliśmy też o żołnierzu, co się ze…sunął z konia i spadł na du…ży głaz, ale zaraz wszystkie głosy ucichły, bo na Valkyrien stały Nina i Guri z klasy C, więc z bijącymi sercami podjechaliśmy pod krawężnik na piszczących oponach.

– Gdzie byliście? – spytała Guri.

– W szkole tańca – odpowiedział Seb.

Dziewczyny się roześmiały, a Seb urósł na siodełku.

– Nie podrzucilibyście nas do parku Urra? – poprosiła Nina.

Jechaliśmy akurat w tamtą stronę, więc nam to pasowało, ale tak samo pasowałoby, nawet gdybyśmy mieli jechać aż do Trondheim. Teraz przynajmniej jedno było pewne, a mianowicie, że Ola musi zreperować swój rower, i to szybko, no bo siedział z tyłu na moim, więc Nina i Guri wsiadły na rowery Gunnara i Seba, tym samym ja straciłem szansę. Pomknęliśmy w dół Jacob Aalls gate, dziewczyny piszczały, a ja chyba mimo wszystko poczułem pewną ulgę, myśląc o tym, że Ola nie ma teraz swojego roweru i siedzi u mnie na bagażniku, bo inaczej Guri i Nina musiałyby wybierać między nami czterema i dwóch by przegrało, więc chociaż zwisały nam smarkule z mysimi warkoczykami i cycuszkami jak rodzynki, to jednak nie byłoby fajnie jechać z pustym bagażnikiem, pogwizdywać, mrużyć oczy od zachodzącego słońca i udawać, że nic się nie stało.

Odstawiliśmy dziewczyny do parku Uranienborg, nazywanego przez nas w skrócie Urra, i tam znów zawiśliśmy nad kierownicami, nie patrząc

na siebie i jakby czekając, że coś spadnie z nieba, aż wreszcie Ola wyburczał:

– Obroniłem ka-ka-karnego, którego strzelił Per Pe-Pe-Pettersen!

– Kto? – spytała Nina.

– Ja! Ja o-o-obroniłem karnego Pera P-P-Pettersena!

– A kto to jest Per Pettersen?

Ola spojrzał na nas pełnym rozpaczy, błagającym o pomoc wzrokiem, ale musiał radzić sobie sam. Równie dobrze mógł powiedzieć, że obronił czternaście kolejnych karnych strzelonych przez Pelego, i tak nie zrobiłoby to większego wrażenia.

– P-P-Per Pettersen! Przecież on gra w re-re-reprezentacji!

– No to fajnie – powiedziała Guri.

Dalszej rozmowy o fantastycznej obronie Oli nie było. Dziewczyny ruszyły w stronę ławki, a my pozwoliliśmy im odejść, w końcu jednak poszliśmy za nimi. Na drzewach były małe, zielone pączki, lepkie w dotyku, a ciemność nadciągnęła jak wielki cień i wszystkich nas okryła. Zimno było tak stać w krótkich spodniach, z zielonymi kolanami i łokciami. No i oczywiście nic się nie wydarzyło. Prawdę mówiąc, pamiętam lepiej wszystko to, co się nie wydarzyło. Bo to, co się nie stało, ale mogło się stać, było o wiele wspanialsze od tego, co się naprawdę stało w pewien kwietniowy wieczór w parku Urra w 1965 roku.

O Berecie można wiele powiedzieć, ale trzeba przyznać, że kiedy spadał, to z wysokiego konia. Już gdy szedł korytarzem, zorientowaliśmy się, że rozczarowanie znów złapało go za kołnierz i wytrząsnęło drwinę i ironię na powierzchnię jego suchego, przesyconego goryczą ciała. Niosąc plik zeszytów pod pachą, stawiał szybkie, rytmiczne kroki, niczym dyrygent orkiestry dętej. Jego wzrok świdrował nas jak promienie Roentgena, a pod włochatym nosem czaił się idiotyczny uśmieszek. Nie odezwał się ani słowem. Wpuścił nas do klasy, usiadł przy katedrze z zeszytami ułożonymi przed sobą w groźną wieżę i tak siedział, milczący jak kapeć.

Nie mogłem się powstrzymać, musiałem szepnąć do Gunnara:

– Mowę mu odebrało. To szok.

Beret natychmiast się poderwał, skoczył między rzędy i stanął nade mną. Ujął się rękami pod boki, mięśnie jego twarzy przypominały twarde supły powleczone skórą, a ja przez chwilę pomyślałem o stryju Hubercie, o tym, że biedny stryj Hubert ma nie wszystko po kolei w głowie, chociaż jest bratem ojca, może Beret też nie jest do końca zdrowy. Mowy mu jednak nie odebrało.

– C o p o w i e d z i a ł e ś?!

Podniosłem głowę i popatrzyłem na niego. Nigdy wcześniej nie zauważyłem, że tych włosków w nosie ma aż tyle. Jakby z dziurek wystawały mu czarne pędzle do golenia.

– Spytałem o coś Gunnara.

– A o c o spytałeś Gunnara?

Nagłym ruchem chwycił go za kark i krzyknął:

– Gunnar! O co Kim cię spytał?

To się nie mogło dobrze skończyć, bo przecież Gunnar potrafił mówić wyłącznie prawdę. Kiedy próbował kłamać, od razu się zacinał, zwyczajnie nie dawał rady. Widziałem, jak kark dosłownie oblewa mu się czerwienią, jakby ktoś go przypalił rozgrzanym żelazkiem.

Głośno odpowiedziałem zamiast niego:

– Spytałem tylko, czy Gunnar ma gumkę do ścierania.

Beret błyskawicznie odwrócił się do mnie. Jego usta całkowicie zniknęły w twarzy, po czym znów się ukazały, a jednocześnie w moje czoło wycelowany został rozedrgany palec wskazujący. Cieszyłem się, że nie jest naładowany.

– Kiedy pytam Gunnara, to G u n n a r ma odpowiadać, a nie ty! Jasne?

– Chyba nie ma różnicy, kto odpowiada, skoro odpowiedź będzie taka sama – odparłem, niemal powalony własną logiką.

Dłoń Bereta zbliżyła się, chwyciła mnie za ramię, uniosła z krzesła i pociągnęła do katedry. Musiałem tam stać, kiedy Beret z wściekłością przeglądał zeszyty. I kiedy tak stałem, ogarnęło mnie pewne współczucie dla niego, bo klasa siódma A przedstawiała żałosny widok. W końcu Beret odnalazł mój zeszyt i zamachał mi nim przed nosem.

– Skoro jesteś taki mocny w gębie, to może mógłbyś teraz powiedzieć całej klasie, wszystkim twoim inteligentnym, bystrym, zaangażowanym i spragnionym wiedzy kolegom, jakie są twoje plany na przyszłość.

Nie odezwałem się, ominąwszy wzrokiem całe to bagno, wyjrzałem przez okno. Na dachu po drugiej stronie ulicy pracowali jacyś ludzie. Przywiązali się liną do komina, żeby nie spaść. Chętnie pospacerowałbym sobie tak wysoko, bez żadnej liny. Poczułem swędzenie w okolicach krzyża, a mózg jakby zaczął mi wrzeć. Balansować tak, na samiutkim brzeżku… Zaraz jednak znów dotarł do mnie głos Bereta, był jak ciepły oddech na policzku.

– Zawsze na wszystko masz gotową odpowiedź, więc powiedz teraz, kim zamierzasz zostać.

– W wypracowaniu napisałem, że będę lekarzem, ale to dlatego, że nie wiem, kim chcę być. No i napisałem jeszcze, że chcę wyjechać do Afryki, żeby wypracowanie było dostatecznie długie.

Beret tylko na mnie patrzył. Widziałem, że traci siły, niewiele brakowało, żeby się poddał. Przez chwilę było mi go żal, chętnie bym mu pomógł, ale nie wiedziałem jak.

– Siadaj – powiedział. – I milcz, kiedy nikt cię nie prosi, żebyś mówił.

Atmosfera w klasie nieco się rozluźniła. Wszystkie znaki wskazywały na to, że Beret zaraz się podda. Ale wciąż jeszcze walczył mężnie, desperacko i z zadyszką. Musiał nawet wyjść na korytarz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Wrócił z zaciśniętymi pięściami i nachylił się nad katedrą, mrużąc oczy.

– W klasie jest dwudziestu dwóch uczniów, prawda? Dwudziestu dwóch bystrych, inteligentnych, uprzejmych, schludnych, uczciwych, a przede wszystkich ambitnych chłopców. Zgodzicie się ze mną?

Nie czekał na odpowiedź. Oczywiste było, że się zgadzamy.

– Dziesięciu z was chce zostać pastorami. Czy wszyscy, którzy mają zamiar zostać pastorami, mogą teraz podnieść rękę?

Ręce uniosły się z wahaniem. Jednocześnie wzbierał chichot. Pastorem zamierzał zostać również Smok.

Beret wskazał na niego łagodnym gestem.

– Ty też chcesz zostać pastorem. No to najpierw naucz się *Ojcze nasz*. Na pamięć! I staranniej szoruj zęby, bo inaczej parafianie padną ci przy pierwszym alleluja!

Smok wbił wzrok w ławkę, tłuszcz na karku mu się trząsł. Widzieliśmy, że w tej chwili nienawidzi Bereta, że mógłby na miejscu zostać mordercą. Pozostali pastorowie również jakby stracili pewność siebie. Cieszyłem się, że zostanę lekarzem w Afryce.

– Czyli dziesięciu pastorów – podsumował Beret. – Możecie już opuścić te swoje świątobliwe ręce. Dalej mamy pięciu misjonarzy. P i ę c i u! To znacznie wykracza ponad przeciętną. Możecie się pokazać?

Pięć rąk w górze. Wśród nich ręka Seba.

– A więc wy chcecie zostać misjonarzami. W Indiach. W Afryce. W Australii. Ale powiedzcie mi, po co nosić drwa do lasu? Dlaczego nie zacząć działać tu, na miejscu? Dlaczego najpierw nie chrystianizować Norwegii? Na przykład tej klasy? Dlaczego po prostu nie zacząć tu i teraz, od nawracania klasy siódmej A, z jej wychowawcą włącznie?

Żaden z misjonarzy nie odpowiedział. Seb siedział z krzywym uśmieszkiem, odchylony do tyłu i oparty o ścianę. Beret wziął go na muszkę.

– Sebastian! – ryknął. – Powiedz nam, dlaczego chcesz zostać misjonarzem! No mów!

Seb z powrotem lekko nachylił się do przodu, uśmieszek nie znikał mu z twarzy, a ten uśmieszek nie zawsze dawało się zrozumieć, nie wiadomo było, czy Seb śmieje się z siebie, z ciebie czy w ogóle z niczego.

Odpowiedział spokojnie:

– Chciałbym podróżować.

– I do tego musisz być misjonarzem?! Czy moje uszy dobrze słyszą?

– Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Czy ty sobie ze mnie drwisz?

– Nie. Mógłbym też zostać marynarzem, ale jakoś mi nie wyszło.

– Drwicie sobie ze mnie!

Zwracał się teraz do całej klasy, ba, wręcz do całego świata. Płaską dłonią uderzył w stos zeszytów, aż zakołysała się cała katedra. Przeszedł na

podwyższenie. Tam się zatrzymał, dokładnie w miejscu, w którym słońce wpadało do klasy jak reflektor, ale nagle jakby zapomniał swojej kwestii, a żadnego suflera nie było. Wyjął chusteczkę do nosa, lecz nie ukazały się żadne gołębie czy króliki, tylko wytarł nią twarz, to była mała twarz, a chusteczka ogromna, wręcz obrus, wypłowiała, pożółkła i niezbyt czysta. W końcu opuścił snop światła i zszedł na dół do sali, do bezmózgiej i bezbożnej publiczności. Stanął przed Olą, który sklęsł jak przebita piłka. Beret pogłaskał go po głowie.

– Tu mamy jednego, który zdecydował się na porządny zawód. Dokonał wyboru stosownego do swoich możliwości. Ale powiedz mi, dlaczego chcesz być fryzjerem d a m s k i m?

Śmiech poniósł się po klasie falą, jak liźnięcie. Z Oli uszło już prawie całe powietrze. Wydawało się niemożliwe, żeby dał radę wyplątać się z tego supła bez natychmiastowej pomocy. Gunnar i ja rozpaczliwie usiłowaliśmy coś wymyślić, ale on sam nas uprzedził, piłka znów zaczęła się odbijać. Ola się wyprostował i suchym, nie swoim głosem oświadczył:

– Bo tata mówi, że chło-chło-chłopcy niedługo przestaną się strzyc.

Beret kilka razy kiwnął głową, zasmucony. Gunnar, Seb i ja odetchnęliśmy z ulgą, Ola sam sobie poradził, a reszta matołków zaakceptowała tę odpowiedź. Zaczęli tylko zaczesywać włosy na czoła i ściągać je na uszy, a Beret pokłusował z powrotem na swoje miejsce w słońcu.

– Mamy jeszcze kierowcę samochodów wyścigowych, dwóch pilotów i jednego spadochroniarza… – Poprawił się na krześle. – No i mamy też jednego, który opisał dzień w szkole.

Zrobiło się cicho i wszyscy wbili oczy w Gąsiora. Bo oczywiście to Gąsior wybrał ten temat i został przywołany do katedry. Beret przerzucił kartki w jego zeszycie i przeczytał na głos:

– „Nasz wychowawca jest najlepszym nauczycielem na świecie”.

Po klasie poniósł się szum. Gąsior skurczył się jak wełniany sweter we wrzątku i wszyscy byli zgodni, że to najśmielsze twierdzenie od czasów tego o Jezusie chodzącym po wodzie.

Beret tylko się rozejrzał, jego wargi narysowały cienki, bezkrwisty uśmiech, a oczy, pozbawione wszelkiej nadziei, zapadły się głęboko.

Powolnym ruchem odwrócił się do Gąsiora.

– Czy ja jestem najlepszym nauczycielem na świecie?

Jeszcze nigdy w siódmej A nie zapadła taka cisza. Zatrzymał się puls, czas niczym ogromna pokrywa nakrył nas jak garnek, który wkrótce musi eksplodować.

– Czy ja jestem najlepszym nauczycielem na świecie? – powtórzył Beret, spokojniej niż kiedykolwiek.

– Nie – odparł Gąsior i wtedy zadzwonił dzwonek na przerwę.

Dostałem tróję z plusem, tak jak Seb. Gunnar i Ola zaliczyli po czwórce.

– Na zakończenie szkoły musimy kupić Beretowi jakiś prezent – stwierdził Gunnar.

– A co? – spytał Ola.

– Skąd mam wiedzieć? Po prostu musimy mu coś kupić, żeby się trochę ucieszył.

– Możemy mu dać płytę Beatlesów – zaproponował Seb.

– Nie wiadomo, czy ma gramofon – zauważył Gunnar.

– Liczy się intencja, mój stary zawsze tak mówi – powiedziałem.

– No to nie musimy nic ku-ku-kupować – stwierdził Ola.

W autobusie panowała atmosfera podniecenia i napięcia. Åge stał z przodu koło kierowcy i rozprawiał o taktyce, to na środkowym polu miała zostać wygrana ta bitwa. Już wyobrażałem sobie długi dzień w roli prawego obrońcy, na szczęście świeciło słońce. Siedziałem obok Johna, za nami usadowili się Ringo z George'em. George cały czas wyglądał przez okno, w ogóle nie słuchając, z nim zawsze tak było, nie słuchał, a jednak w jakiś sposób wszystko mu wychodziło, przypuszczam, że dzięki wrodzonym zdolnościom. W przeciwieństwie do niego Ringo bardzo się martwił, jego historyczna bramkarska parada skryła się głęboko w zakamarkach pamięci i chociaż zdarzyła się zaledwie przed kilkoma dniami, naprawdę zaczął już wątpić, czy to się w ogóle stało, bo może tylko mu się przyśniło. W dodatku Aksel z Hoff – błyskawicznie działające

przesuwne drzwi – był stałym bramkarzem w drużynie i na tej pozycji na razie nikt nie mógł mu zagrozić.

Smutny Ringo wcisnął głowę między Johna i mnie.

– To się ź-ź-źle skończy – powiedział cicho.

– Źle?! – zawołał John. – Wbijemy te kapuściane łby w trawę!

– Ze-ze-ze mną – ciągnął nieprzekonany Ringo. – Strzelę sa-sa-samobója. Czuję to w ko-ko-kościach.

– Akselowi nie tak łatwo wbić gola – zauważyłem.

– To przez te nogi – mruknął Ringo. – Nie chcą mnie słu-słu-słuchać. Strzelę sa-sa-samobója.

Opadł z powrotem na siedzenie, a już zbliżaliśmy się do Slemmestad, które mnie kojarzyło się wyłącznie z białym dymem unoszącym się z komina fabryki cementu; widywałem go latem, kiedy na przystani w Nesodden łowiłem ryby na puszkę.

Ale dopiero w szatni powaga sytuacji objawiła się jak gwóźdź wbity w żołądek. Cuchnęło tu potem jeszcze z epoki kamiennej i starymi tenisówkami. Siedzieliśmy na drewnianych ławkach ze spuszczonymi głowami, wpatrzeni we wciąż jeszcze czyste buty do gry, w korki na podeszwach, długie białe sznurowadła. Åge stał przy drzwiach z notesem w ręku i przenosił wzrok po kolei na każdego z nas. Obok na podłodze królowała skrzynka z biało-niebieskimi strojami. Panowała cisza. Taka cisza, że słychać było śpiew ptaków na zewnątrz. Wreszcie Åge zaczął mówić. Wyciągnął strój bramkarza i rzucił go Akselowi. Nikt nie spodziewał się niczego innego. Ale lewym obrońcą ku zaskoczeniu wszystkich został chłopak z Nordberg, który w opinii wielu był szpiegiem i agentem klubu Lyn. Mnie wybrano na prawego obrońcę, wciągnąłem przez głowę koszulkę, świeżo wypraną, sztywną, z numerem dwa na plecach. George miał grać na lewym skrzydle, a John na środku. Ringowi, podobnie jak siedmiu innym, przypadło podpieranie ścian, ale wyglądał niemal tak, jakby mu ulżyło. Poklepywał nas po plecach, powtarzał, że wszystko będzie dobrze, bo ci ze Slemmestad to same pigmeje, więc wygramy co najmniej dwadzieścia pięć do zera. Wybiegliśmy gęsiego, pajace ze Slemmestad już wcześniej zaczęły rozgrzewkę, a wzdłuż bocznej linii jedenastu ojców wrzeszczało i wymachiwało rękami.

Trawa jeszcze nie całkiem wyrosła, boisko pokrywała głównie miękka ziemia. Pokopaliśmy trochę do siebie, kilka razy strzeliliśmy do bramki, żeby się przyzwyczaić do piłki. Jakiś tłusty wieśniak dmuchnął w gwizdek, Kjetil i kapitan drużyny ze Slemmestad spotkali się na środku i zagrali w orła i reszkę z takim skutkiem, że musieliśmy się przenieść na drugą połowę. Kilka godzin zajęło mi wytłumaczenie temu geniuszowi z Nordberg, że zajął złą pozycję, moją. Wreszcie ustawiliśmy się jak należy, stanęliśmy jak posągi, piłka leżała na środku, sędzia zagwizdał i John rozpoczął grę. Wszyscy zaczęli się wolno poruszać. Piłka przeszła na naszą połowę boiska, środkowy obrońca, dryblas z Ruseløkka, machnął nogą i przerzucił ją pod bramkę wroga. Wszyscy tam pognali, ale bramkarz skoczył w tłum i wylądował na piłce całym ciałem. Rozległo się tupanie i oklaski kibiców gospodarzy. Tego bramkarza należało wykiwać, z ataku na wprost nic by nie przyszło. Piłka wróciła do nas, trochę krążyła po środkowym polu, tłusty sędzia zawsze był po złej stronie boiska i za każdym razem, gdy docierał zdyszany, piłka znów była oddawana do tyłu. W końcu dopadł jej John, przyspieszył, kierując się ku bramce, ale jakiś łobuz ze Slemmestad podciął mu nogi i John runął na twarz w delikatną trawę. Sędzia oczywiście stał odwrócony tyłem i nie miał pojęcia, gdzie jest piłka. Ci ze Slemmestad zaczęli nas przyciskać. Łobuz przesunął się na moją stronę, dostał ładne podanie w biegu, dogonił piłkę i ruszył na mnie. Przy bramce było gęsto od ludzi, którzy krzyczeli i machali głowami. Łobuz podbiegł bliżej, miał dzikość w oczach, chciałem zerwać z niego koszulkę albo wtłoczyć mu nos do głowy, ale nie miałem czasu, żeby dokładniej to przemyśleć. Przyjąłem go na bark, wbiłem mu piętę w stopę, drugą nogą przetoczyłem piłkę do tyłu, błyskawicznie się odwróciłem i okrążyłem padającego wroga, dostrzegłem Johna pędzącego przez boisko, posłałem mu wysokie podanie, piłka poleciała za nim w powietrzu i wylądowała przy jego kostce, przyklejając się do niej jak guma do żucia. Nawet mnie to zaimponowało. John miał wolną drogę, bęcwały ze Slemmestad biegły za nim zziajane, Johnowi został teraz jeszcze tylko bramkarz, ale ten idiota rzucił mu się wprost pod nogi, obaj się przetoczyli i w końcu desperado ze Slemmestad podniósł się chwiejnie, z piłką w rękach i zalanym krwią nosem. Nareperowano go za pomocą tamponów z waty i butelki oranżady Solo. Należało go kiwać, to akurat było pewne.

Mecz wpadł teraz w dolinę fali. Pozostawało jedynie wybijanie piłek na środek boiska, gdzie akcje kończyły się zwarciami i walką wręcz. W końcu jednak jakiś głąb ze Slemmestad uwolnił się i przedarł na lewą stronę. Zostawił wszystkich za sobą i pognał ku linii końcowej. Ruszyłem sprintem, żeby pomóc lewemu obrońcy i zablokować tamtego. Ale tego nie powinienem był nigdy robić. Obrońca, kiedy się zorientował, że przebiegłem na jego stronę, zaczął wrzeszczeć, że mam stamtąd spadać, bo to jego pozycja, czego ja tu, u diabła, szukam. Całkiem zapomniał o głąbie ze Slemmestad, który przemknął obok niego. Aksel zaczął krzyczeć, więc musiałem mimo wszystko wkroczyć do akcji. Zderzyłem się z głąbem w pędzie, wykręciłem ciało w prawo, a jednocześnie wysunąłem zgięty lewy łokieć na wysokość nerek. Głąb nie wytrzymał. Piłka była przy moich nogach i już miałem ją spokojnie podać Akselowi, kiedy nasz lewy obrońca zaatakował mnie od tyłu. Kopnął mnie w łydkę i popchnął, biały jak ściana. Oczywiście zaraz pojawił się kolejny bęcwał ze Slemmestad, przechwycił piłkę i ruszył na bramkę. Aksel nie rzucił mu się pod nogi, o nie, zaczekał, aż padnie strzał, wtedy wykonał piękną paradę i zawisł w powietrzu wyprężony jak linijka, piłka przykleiła mu się do rąk, wówczas otworzył spadochron i miękko upadł na ziemię. Agent z Nordberg sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego, ale ciągle twierdził, że to jego strona. Zaproponowałem, żeby ustawił tabliczkę z napisem „teren prywatny", i wycofałem się na swoje miejsce.

Do końca pierwszej połowy zostało zaledwie parę minut. Aksel podał mi piłkę, przemieściłem się z nią jak najdalej ku linii środkowej, jako obrońca nie powinienem jej przekraczać. Podałem piłkę Kjetilowi, on wykiwał trzech pajaców, z boku pojawił się Willy, murem przedarli się przez resztę obrony, a ten sposób gry jeszcze nie dotarł do Slemmestad. Bramkarz zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała, rzucił się im do nóg, ale tam, gdzie się rzucił, nie było ani nóg, ani piłki, Willy mógł więc przepchnąć piłkę przez linię bramkową nosem, tyle miał czasu, całkowite wykiwanie, jeden zero, taniec wojenny i fikołki. Ptaki zagłuszyły gwizdek sędziego, trzymały naszą stronę, to musiały być przelotne ptaki z Tørtberg, ze stadionu Frigg, to było oczywiste.

Podczas przerwy zebraliśmy się wokół Ågego. Nie był całkiem zadowolony, chociaż prowadziliśmy. Powiedział, że obrona jest słaba,

niezdecydowana. Zdjął nieodpowiedzialnego środkowego obrońcę, ściągnął Johna na środek i jako środkowego napastnika włączył do gry sprintera z Majorstua z osobistym rekordem siedem koma sześć na sześćdziesiątkę. George dalej miał grać na lewym skrzydle. Do tej pory nie bardzo się popisał, ale też nie skompromitował. No i oczywiście wyrzucony został szpieg Lyn. Åge dokonał szybkiego przeglądu rezerw, zatrzymał się przy Ringu, wskazał na niego. Ringo zrobił krok naprzód, uda już miał napięte jak struny. Dostał koszulkę bałwana z Nordberg, a ręce tak mu się trzęsły, że o mało cały się w nią nie zaplątał.

Po przerwie, kiedy znów mieliśmy wybiec na boisko, Åge mnie zatrzymał i powiedział cicho:

– Nie wszyscy sędziowie są tak samo ślepi. Graj nogami i głową, nie łokciami.

Powlokłem się za resztą i ustawiłem na swojej pozycji po prawej stronie. Usiłowałem nawiązać kontakt z Ringiem, ale on nie był do końca obecny, wpatrywał się tylko w trawę i ściskał rękami uda. John pomachał mi, pokazał znak zwycięstwa i zaczęła się druga połowa. Od razu zrobił się młyn, nikt nie widział piłki, ale wszyscy kopali jak szaleni. Wreszcie wystrzeliła w powietrze, w naszą stronę. John podskoczył do główki i chociaż nie był zbyt wysoki, udało mu się pokonać gnojków ze Slemmestad i posłać piłkę do Ringa, który wbiegł na boisko. Ringo się rozpędził, kopnął z całych sił, trafił trochę ukosem i piłka pomknęła w stronę szatni. Idealne przeciąganie czasu. Ojcowie zaczęli gwizdać, ale zagłuszyły ich ptaki, ciągle trzymające naszą stronę. Znów wycofaliśmy się do obrony, przy piłce doszło do kolejnego zwarcia, z gromady nagle wyłonił się George z piłką przy stopie, pociągnął ją za sobą wzdłuż linii bocznej, zwodem ominął jednego cementowego słupa i posłał wykręconego rogala w stronę bramki. Kjetil przyjął go na czoło, piłka walnęła w poprzeczkę, a bramkarz tylko stał i patrzył się w niebo. Piłka wylądowała mu przy stopach, więc skoczył na główkę między wściekłe nogi kopiące ze wszystkich stron. Z jakiegoś tajemniczego powodu również tym razem wydostał się z tej plątaniny z piłką w objęciach. Był gorszy niż japoński kamikadze.

Dalej gra toczyła się głównie na połowie Slemmestad. John przesunął się bardziej do przodu, ale Åge wrzasnął do Ringa i do mnie, że mamy się

trzymać swoich pozycji na wypadek kontry. I właśnie wtedy to się stało. Byłem daleko z przodu i wąchałem środkową linię, kiedy piłkę długim podaniem przerzucono na naszą połowę. Ringo zaczął się kręcić w kółko jak igła w kompasie, dwie zebry ze Slemmestad rozpoczęły długi sprint, ja też pognałem za lecącą w powietrzu piłką, toczyła się walka o sekundy. To się stało przy linii szesnastu metrów. Ringo miękko opanował piłkę. Ja i John odcięliśmy tamtych dwóch napastników ze Slemmestad, więc wszystko powinno być w zasadzie bardzo proste. Czekaliśmy tylko na delikatne podanie Ringa do Aksela. Ale on zamiast tego zagrał całym ciałem i posłał idealnie podkręconą piłkę prosto w górny lewy róg. Nie do obrony. Wszyscy znieruchomieliśmy. Staliśmy i tylko się gapiliśmy. Aksel niczego nie rozumiał, nie mógł oderwać wzroku od piłki kołyszącej się w siatce. Tchórze ze Slemmestad z wrzaskiem rzucali się sobie na szyje, a Ringo ze zwieszoną głową czubkiem buta kopał ziemię. Nie bardzo mogłem zobaczyć, co się dzieje z jego twarzą, ale wydobywały się z niego jakieś dziwne dźwięki, a plecy mu się trzęsły. Sędzia gwizdnął w swój śmierdzący gwizdek, aż ptaki skuliły się na gałęziach i pochowały dzioby w piórkach.

Ringo zszedł z boiska. Zwyczajnie sobie poszedł. Wyminął Ågego i skierował się prosto do szatni. Do gry wysłano nowego, chłopaka z Frøn, który miał tak krzywe nogi, że między nimi mogła przejść połowa drużyny ze Slemmestad. Rozglądaliśmy się za Ringiem, ale zniknął. Do końca meczu zostało dziesięć minut.

Drużyna gospodarzy poczuła teraz krew, przeprowadzali kolejne ataki. John walczył jak tygrys, ja też się nie obijałem, bo pozostało nam już tylko jedno: naprawić wpadkę Ringa. Musieliśmy wygrać. Gdzieś daleko George dawał znaki, żeby podać mu piłkę, ale o długich podaniach nie było mowy, gra zbiła się w grudki jak kwaśne mleko. Walczyliśmy jeden na jednego, bez względu na to, gdzie była piłka. A czas płynął. Åge wrzeszczał z bocznej linii, ale nikt nie słyszał słów. Do końca zostało zaledwie kilka minut. Wszyscy zawodnicy byli na naszej połowie, Aksel biegał między słupkami jak kangur i wymachiwał rękami, kiedy w końcu przejąłem piłkę, tyłem wycofałem się z młyna i zobaczyłem, że John już puścił się biegiem na pustą połowę Slemmestad. Włożyłem w wykop całą siłę, odchyliłem ciało do tyłu i posłałem fruwającą piłkę, która przecięła powietrze jak zdalnie

sterowana mewa. John przechwycił ją w biegu, złapał na sznurowanie buta, dziesięciu zawodników już gnało za nim, aż ziemia dudniła, bramkarz czekał, gotowy, żeby rzucić mu się pod nogi, lecz John po prostu przerzucił piłkę lobem, skoczyła za nią cała dziesiątka, ale było już za późno. Piłka wsunęła się do bramki jak ręka w rękawiczkę. Teraz odbył się taniec deszczu w połączeniu ze skokami wzwyż, kibice gospodarzy rwali włosy z głów, betoniarze ledwie zdążyli wykopać piłkę, a już sędzia odgwizdał mecz. Ptaki poderwały się z gałęzi, ćwierkaniem oznajmiając nasze zwycięstwo.

Pognaliśmy do szatni, żeby znaleźć Ringa. Ale tam nikogo nie było. A koszulka, ta z numerem czternaście na plecach, leżała starannie złożona na ławce. Ubranie Ringa zniknęło. Znów wybiegliśmy na górę.

– Może siedzi w autobusie – podsunął George.

Okrążyliśmy budynek, kierując się na parking. Autobus był pusty. Wróciliśmy do Ågego i spytaliśmy, czy nie widział gdzieś Ringa.

– Ringa?

– Oli – wyjaśnił John.

– Świetna bramka. – Åge poklepał go po ramieniu. – Warta złota. Przesunę cię z powrotem do ataku.

– Widziałeś Olę? – zniecierpliwił się George.

– A nie ma go w szatni?

– Nie ma.

Ringo zapadł się pod ziemię. Szukaliśmy go wszędzie, ale przepadł bez śladu. W końcu musieliśmy wsiąść do autobusu, bo trzeba było wracać. Bez Ringa. Atmosfera nie była taka, jaka powinna być. Åge wyglądał na zdenerwowanego. Każdy miał jakieś obrażenia wymagające opatrunku. Koszulki cuchnęły potem i cementem, mieliśmy zabrać je do domu i sami uprać.

– Jest coś takiego, co się nazywa zwiastuny – powiedział cicho Seb.

– Zwiastuny? – Gunnar odwrócił się do niego.

– Tak, takie znaki zapowiadające, że coś się stanie. On mówił, że czuje to w nogach, już wtedy, kiedy jechaliśmy w tę stronę, prawda?

Zamyśliliśmy się, patrząc niepewnie jeden na drugiego.

– Może ten samobój był postanowiony z góry? – ciągnął Seb.

– Postanowiony z góry? – powtórzyłem. – Przez kogo?

– Przez... przez... No nie wiem, może przez Boga. – Seb się zaczerwienił.

Umilkliśmy. Myśl o tym, że Bóg miałby się mieszać do meczu młodzików ze Slemmestad i Frigg, nie bardzo chciała pomieścić się nam w głowach.

– To znaczy, że Bóg strzelił bramkę za mnie? – wkurzył się Gunnar.

– Nie, nie – odparł słabym głosem Seb. – Pomyślałem tylko, że to było... dość dziwne.

– Po prostu miał pecha – stwierdził Gunnar. – To się mogło przydarzyć każdemu.

– Pecha! Przy takim strzale!

– On nie jest przyzwyczajony do gry w obronie – powiedziałem. – Może się zapomniał. Może mu się wydawało, że gra w ataku.

To nas uspokoiło. Autobus jechał przez dzielnicę Sjølyst. Mieliśmy wysiąść przy kościele na Frogner. Siedzieliśmy każdy osobno i zastanawialiśmy się, gdzie mógł się podziać Ola. Albo wyruszył do domu piechotą, albo wsiadł w pociąg, jeśli miał pieniądze. Albo tam został. O cholera.

Åge przyszedł do nas na tył i przykucnął.

– Zadzwonię do jego rodziców. Spytam, czy wrócił.

Chórem pokiwaliśmy głowami.

– I pilnujcie, żeby przychodził na treningi. Każdy może mieć zły dzień. Na pewno znajdziemy dla niego miejsce.

– On dobrze broni – powiedział Seb.

– Aha. – Åge spojrzał na nas z namysłem. – Ale raczej trudno będzie odebrać miejsce Akselowi.

– Mógłby być rezerwowym bramkarzem – zaproponował Gunnar.

Åge wstał.

– To jest jakiś pomysł. Zastanowię się nad tym.

Wysypaliśmy się z autobusu, kiedy zatrzymał się przy kościele. Pozostawało nam do zrobienia tylko jedno. Całym oddziałem ruszyliśmy

na Observatoriegata. Ale Ola nie wrócił do domu. Otworzył nam jego ojciec.

– Ola nie wrócił z wami? – spytał.

Gunnar i Seb popatrzyli na siebie speszeni. Ja odchrząknąłem i powiedziałem:

– My po meczu mieliśmy jeszcze trening na Tørtberg. Ola wrócił z chłopakami z naszej klasy, których spotkaliśmy na Majorstua.

– Jeszcze go nie ma. – Fryzjer Jensen podciągnął rękaw koszuli i spojrzał na zegarek, uniósł wyczesane brwi i lekko pokręcił głową. – Nie wiecie, gdzie on jest?

– Pewnie razem z Puckiem albo Gąsiorem – odparłem szybko. W tej samej chwili pojawiła się też matka Oli. Drobna, szczupła pani, z kręconymi włosami i zatroskanymi oczyma.

– Coś się stało?

Gdzieś w głębi mieszkania zadzwonił telefon, na pewno Åge, dlatego się wycofaliśmy, tyłem zeszliśmy po schodach i wypadliśmy na ulicę.

Nie mogliśmy iść piechotą do Slemmestad. Nie pozostawało nic innego, jak wracać do domu. Przeciągaliśmy to jednak ze słabą nadzieją, że Ola się pojawi. Nie pojawił się. Nieprzyjemnie się robiło na myśl, że może właśnie teraz idzie sam drogą, w dodatku niewykluczone, że niewłaściwą. Ściemniało się. Zziębnięci, umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia o piątej w parku imienia Mogensa Thorsena, przez nas w skrócie nazywanym parkiem Mogga. Rozeszliśmy się do domów. Słońce zachodzące za czerwonymi chmurami nad Holmenkollen spowijało jeszcze miasto płaskim, mrocznym światłem. Należało jak najszybciej znaleźć się w domu, bo rozpoczęła się już zwykła sobotnia wojna. Banda z Frogner mogła zaatakować w każdej chwili. Przemykałem się pod murami, na każdym rogu ze strachem wyglądałem zza węgła, myślałem o Oli i o kastetach, o rozwalonych czaszkach, o kościach nosowych wbijanych w mózg; jeden gość kilka lat temu dostał gwoździem w oko, wbity w gałkę oczną gwóźdź nie przestawał drgać.

Ostatni kawałek pokonałem biegiem.

Pod prysznicem zmyłem z siebie brud ze Slemmestad i usiadłem w salonie z rodzicami, musiałem opowiedzieć o meczu, dostałem gorącą

kiełbaskę w ziemniaczanym naleśniku i pommac, szwedzką oranżadę. Ale nie mogłem usiedzieć na miejscu. Może Olę porwali, załadowali do worka i wrzucili do fiordu. Albo może sprzedali go jako niewolnika do Arabii, takie rzeczy się przecież zdarzały. Musiałem zadzwonić. Palce mi się trzęsły nad tarczą telefonu.

Odebrała jego matka.

– Zastałem Olę? – spytałem. – Mówi Kim.

– Tak.

Ola żył. Osunąłem się na najbliższe krzesło.

– Mogę z nim rozmawiać? – spytałem szeptem.

– Leży w łóżku. Jest chory.

– Chory?

– Tak mówi.

– A jutro będzie zdrowy? – spytałem chytrze, cały się kurcząc w ubraniu.

– Możesz próbować – odpowiedziała mi wysokim, nieco matowym głosem.

Zanim odłożyła słuchawkę, gotów byłem się założyć, że gdzieś w tle słyszę szczęk nożyc. To zapewne Valdemar Jensen trenował na sucho, przygotowując się do fryzjerskich mistrzostw Norwegii w Lillesand. A może to moje własne serce tłoczyło krew do głowy krótkimi, mocnymi szarpnięciami, gwałtownymi jak pierwszy akord *A Hard Day's Night*.

Umówiłem się z Gunnarem i Sebem, że się spotkamy w parku Mogga o piątej, ale to było trudne, bo w niedzielę przyszedł na obiad stryj Hubert, stanął w drzwiach o trzeciej i od tej chwili wszystko zaczęło się toczyć na pół gwizdka. W zasadzie nie bardzo wiem, co takiego było ze stryjem Hubertem, ale miał w głowie supły, które nie chciały się rozplątać, czasami supłały się bardziej niż zwykle, a w tę niedzielę okazały się zaciśnięte wyjątkowo mocno. Zaczęło się już w drzwiach. Stryj wysuwał rękę trzydzieści cztery razy, nic przy tym nie mówiąc, aż w końcu ojciec musiał go dosłownie wciągnąć do mieszkania i posadzić na krześle. Obaj mieli czerwone, spocone twarze, a mama prędko nakryła dla jeszcze jednej osoby.

Stryj Hubert mieszkał sam w jednym z bloków przy Marienlyst, rysował ilustracje do powieści w odcinkach zamieszczanych w tygodnikach i do romansów, więc może nic dziwnego, że był taki, jaki był. Ojciec już wyłysiał, ale Hubert miał wszystkie włosy na miejscu. Posiedział chwilę na krześle przy regale z książkami, trochę się uspokoił, rozluźnił, uszło z niego powietrze jak z balonu, oddychał ciężko i głęboko. Ale na mój widok znów się ożywił.

– Podejdź bliżej, podejdź bliżej! – zawołał, wymachując rękami.

Podszedłem. Obiema dłońmi ujął moją rękę i zaczął nią potrząsać, spodziewałem się, że będę musiał tak stać ze dwie godziny. Na szczęście puścił mnie już po kwadransie.

– Młody Kim, nadzieja rodziny. Jak się miewasz?

– Bardzo dobrze – odparłem i schowałem ręce do kieszeni.

– Cieszę się, że to słyszę. Sądzisz, że powinienem się ożenić?

Ojciec zrobił wielki krok do przodu, nachylił się i wsunął między nas drżącą głowę.

– Żenisz się?!

– Zastanawiałem się nad tą sprawą, drogi braciszku. A co wy na to?

Ojciec się wyprostował i przez zaciśnięte usta wymamrotał:

– Kim, idź do kuchni pomóc mamie!

Nie miałem innego wyjścia. Mamę zastałem nad halibutem. Para buchała jej w twarz. Mogło się wydawać, że płacze.

– Stryjek Hubert się żeni – oznajmiłem.

Musiałem wyjąć jej półmisek z rąk.

– Co? Co ty wygadujesz?

– Powiedział, że chce się ożenić.

Natychmiast wyszła z kuchni. Zostałem z parującą rybą, między masłem pietruszkowym, ziemniakami i budyniem karmelowym. Słyszałem, że w salonie toczy się gorączkowa rozmowa. Ojciec mówił ściszonym, rozeźlonym głosem, dokładnie takim jak wtedy, gdy przynosiłem ze szkoły marne stopnie. W głosie mamy słychać było rezygnację, ale stryj Hubert tylko się śmiał.

Wkrótce mama wróciła do kuchni i zaczęliśmy stawiać obiad na stole.

Początkowo szło gładko. Wszyscy sobie nałożyliśmy i wszystko było jak należy, z wyjątkiem twarzy ojca, napiętej jak rakieta do tenisa. Przy dokładce nie mogłem się dłużej powstrzymać:

– Z kim się żenisz? – wypaliłem.

Głos ojca uciął moje dalsze pytania. Wypowiedział moje imię tak, jakby warknął, „i" w środku całkiem zniknęło, pozostały jedynie dwie zniekształcone spółgłoski. Km! Mama się skuliła, stryj Hubert przenosił wzrok z jednego na drugie, a kiedy miał dołożyć sobie ziemniaków, kompletnie się zakleszczył. Widziałem to po nim. Zatrzymał łyżkę w połowie drogi do talerza i w tym miejscu już została, sprawiał wrażenie, jakby walczył, zacisnął zęby, policzki mu drżały, a łyżka z ziemniakami zaczęła się poruszać nad stołem tam i z powrotem, bardzo szybko, osiągnął co najmniej mistrzostwo świata w balansowaniu ziemniakami. Ojciec był bliski eksplozji, mama schowała się w kuchni, a stryj Hubert nie przestawał poruszać łyżką z ziemniakami wte i wewte. Żałowałem, że nie wiem, co się dzieje w jego głowie, wyglądał bardzo nieszczęśliwie, a jednocześnie wydawał się zdecydowany. Kiedy wreszcie skończył, po czterdziestu trzech powtórkach, wycieńczony, ale usatysfakcjonowany opadł na krzesło, obrus był zielony od pietruszki, ojciec siny na twarzy, a mama przyniosła z kuchni więcej białej ryby.

Kiedy zaczęła zbliżać się piąta, a my jeszcze nie doszliśmy do deseru, nie mogłem dłużej usiedzieć. Podjąłem ryzyko, chociaż wiedziałem, że zbyt wczesne odejście od stołu to grzech śmiertelny.

– Umówiłem się z Gunnarem i Sebastianem – powiedziałem prędko. – O piątej. Będę mógł iść?

Ku mojemu zdumieniu na twarzy ojca pojawiła się ulga.

– W porządku – odparł. – Tylko nie wracaj za późno.

Poderwałem się. Nie miałem odwagi jeszcze raz podawać ręki Hubertowi. Mama wystąpiła z kilkoma łagodnymi upomnieniami, ale wszyscy wydawali się zadowoleni z tego, że wychodzę. Wyskoczyłem przez okno, miękko wylądowałem okrakiem na koniu, tak jak Zorro w kinie Frogner, i pogalopowałem do parku Mogga.

John i George siedzieli oparci o kierownice i kurzyli craveny. Podjechałem do nich, gwałtownie skręcając na żwirze.

– Masz jakieś wieści o Oli? – spytał John.

– Leży w łóżku. Twierdzi, że jest chory.

Wypstryknięty przez George'a pet zatoczył wielki łuk w stronę drabinek. George wytarł usta i oświadczył:

– Wiem, jak go wyciągnąć.

– Jak? – John zaciągnął się tak mocno, że żar dotarł mu aż do warg, i wypluł niedopałek.

– Poczekaj, to zobaczysz – powiedział George.

Skręciliśmy w Drammensveien i jadąc jeden przy drugim, okrążyliśmy Bibliotekę Uniwersytecką. To był bardzo śmiały projekt. Niełatwo uzdrawiać chorych, zwłaszcza kiedy rodzice są w domu. Skoro człowiek już raz położył się do łóżka, to musiał dla zachowania pozorów pozostać w nim przez jakiś czas, inaczej mogło to mieć katastrofalne skutki w razie następnych ataków.

Otworzył nam ojciec Ringa.

– Musimy porozmawiać z Olą – oznajmiłem zdyszany.

– Leży w łóżku.

– Chodzi o lekcje – wyjaśniłem.

Teraz przyszła też i matka. Stanęła obok fryzjera.

– Tylko się pospieszcie – zadecydowała.

Zastaliśmy Ringa nakrytego ogromną jasnoniebieską kołdrą. Ledwie mu było widać oczy. Zamknęliśmy drzwi i stanęliśmy przy łóżku. W pokoju pachniało kamforą.

– Co zrobiłeś ze wszystkimi plakatami? – spytałem, patrząc na puste ściany.

– Ojciec zerwał – odpowiedziała kołdra. – Du-du-dureń!

Jeszcze głębiej zapadł się w materac.

– A co ci dolega? – spytał George.

Ringo zaniósł się kaszlem. Kołdra poruszała się w górę i w dół.

– Jestem cho-cho-chory – powiedział łamiącym się głosem. – Za-za-zarażę was.

Chwilę milczeliśmy. Sprawa była poważniejsza, niż nam się wydawało. Na podłodze leżał plik komiksów z Donaldem, obok zjedzona do połowy tabliczka mlecznej czekolady.

– Gdzie ty się właściwie podziałeś? – spytał ostrożnie John.

Odpowiedzi nie było. Wszyscy się denerwowaliśmy, przeczesując umysły w poszukiwaniu jakichś mądrych słów. W końcu to Ringo się odezwał, głosem starca, głuchym, suchym i pełnym goryczy.

– Jestem skończony na bo-bo-boisku. To już mi-mi-minęło. Ko-ko-koniec.

Zniknął całkiem. Wszyscy jak jeden mąż przełknęliśmy kule w gardłach, przysięgam. Uzdrawianie musiało się zacząć na poważnie.

– Każdy może mieć pecha – powiedziałem. – Nie ty pierwszy strzeliłeś samobója. A skoro już tak się stało, to powiem ci, że to był cholernie dobry strzał!

Próbowaliśmy się śmiać. Z łóżka nie dobiegał żaden dźwięk.

– Åge rozmawiał z nami w powrotnej drodze. Wcześniej gadał z Perem Pettersenem. Chce, żebyś był rezerwowym bramkarzem.

Pojawił się pędzel włosów. Spod kołdry wydobył się głos, ściszony, ale wyraźny.

– Re-re-rezerwowym bramkarzem? Tak po-po-powiedział? Nie był wku-wku-wkurzony?

– Przecież wygraliśmy dwa jeden!

– Wy-wy-wygraliśmy?!

– John strzelił – wyjaśniłem. – Solowy atak ze środka boiska.

Spod kołdry wynurzyła się cała twarz Ringa. Patrzył na Johna.

– Ty-ty-ty strzeliłeś?

– No. Nie ma o czym gadać. Najważniejsze, że wygraliśmy. Bałwany ze Slemmestad nie dały rady strzelić nawet samobója!

Śmiech rozładował atmosferę. Ringo aż podskakiwał w łóżku, chociaż był taki chory. Zza drzwi dobiegł odgłos dreptania.

– Wyjdź z nami – powiedziałem.

– Nie mo-mo-mogę. Jestem cho-cho-chory.

George się nachylił, położył rękę na ramieniu pacjenta i tak ją trzymał.

– Mam dla ciebie prezent. Na tyłach Zamku stoi… stoi volvo special.

Przez pokój przebiegło westchnienie. Ringo już wyskoczył z łóżka.

– Takie… Ta-ta-takie jak ma Świę-Świę-Święty! – wyjąkał z zachwytem.

– No właśnie. Jest twoje.

Dalsze gadanie nie miało sensu. Ringo się ubrał i czterech desperatów przeszło przez mieszkanie. W przedpokoju stali fryzjer z żoną.

– Co ty robisz? – zawołała przerażona matka.

– Wy-wy-wychodzę. – Ringo zmiażdżył wszelki opór.

– Jesteś chory – przypomniał ojciec.

– Wy-wy-wyzdrowiałem.

– Wobec tego pójdziesz jutro do szkoły – oświadczyła ostro matka. – Żebyś wiedział.

– Wie-wie-wiem.

Wybiegliśmy z mieszkania i zjechaliśmy na dół po poręczy, a że Ringo ciągle jeszcze nie naprawił roweru, usiadł na bagażniku Johna i wzięliśmy kurs na Parkveien.

– A jak dotarłeś do domu ze Slemmestad? – zawołałem.

– Sto-sto-stopem – oznajmił z dumą Ringo. – Cię-cię-ciężarówką. Taką od przeprowadzek. Kierowca dał mi nawet skręta!

– O cholera.

– W schowku na rękawiczki miał „Cocktail". Na-na-naprawdę.

Ścięliśmy skrzyżowanie przed ambasadą amerykańską i ostrożnie podjechaliśmy na tyły Zamku.

– To volvo stoi na Riddervolds gate – wyjaśnił George. – Widziałem je, kiedy szedłem dzisiaj tamtędy z mamą. Na szwedzkich numerach.

– W okolicy jest sporo glin – zauważył John.

– I tak go bie-bie-bierzemy! – warknął Ringo z tylnego siedzenia. – Będziemy go-go-go mieć!

W brzuchu poczułem pustkę, którą gwałtownie wypełniły podniecenie i słodki lęk, nabierały coraz większej intensywności, to było naprawdę przyjemne. Spokojnie skręciliśmy w Riddervolds gate i tam, prawie na

samym rogu Oscars gate, stało lśniące bielusieńkie volvo special. Zeskoczyliśmy z rowerów, stanęliśmy jeden przy drugim i mrużąc oczy, rozglądaliśmy się na wszystkie strony. Chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy przeszedł mężczyzna w kapeluszu, nie odezwaliśmy się, dopóki nie zniknął. Z drzewa za naszymi plecami wzbiły się w powietrze dwie wrony, a my drgnęliśmy przestraszeni. W duchocie popołudnia nasze serca, wielkie i czerwone, waliły mocno.

– Ustawmy się z rowerami na rogu – szepnąłem. – Kiedy Ringo już będzie miał znaczek, wskoczy na bagażnik Johna i zjedziemy w dół Oscars gate, miniemy Vestheim i pognamy prosto na Skillebekk. Na tej trasie nikt nas nie dogoni.

Reszta pokiwała głowami. Ringo dostał od George'a śrubokręt, podprowadziliśmy rowery na sam róg. Na kamiennym murku leżał kot i gapił się zmrużonymi oczami, ale nie miał zamiaru na nas donosić, trzymał naszą stronę. W górę Briskebyveien ze szczękiem jechał tramwaj, w kościele rozdzwoniły się dzwony. Potem zapadła cisza. Minęliśmy volvo, Ringo został, odczekał parę sekund, po czym ruszył do ataku. Rozległo się kilka paskudnych zgrzytów, takich jak przy drapaniu paznokciem po tablicy, chyba nawet sam król musiał je usłyszeć. Nie mieliśmy odwagi się odwracać, trwało to nieskończenie długo, cały świat zamarł, szykując się do skoku. Krew odpłynęła mi z głowy jak ulewny deszcz. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie denerwowałem. A jednocześnie byłem pewien, że w ogóle bym się nie bał, gdybym to ja stał przy samochodzie zamiast Ringa. Dziwne.

Wreszcie za naszymi plecami coś zaczęło się dziać. Ringo podbiegł, wskoczył na bagażnik Johna, a my trzymaliśmy już nogi w pogotowiu na pedałach, więc ruszyliśmy błyskawicznie i pognaliśmy w stronę Skillebekk. Siedzieliśmy na ławeczce przy fontannie, zanim Święty zdążył włożyć buty. Otarliśmy pot i oniemiali oglądaliśmy znaczek volva, ważyliśmy go w dłoni, pełni ulgi i szczęśliwi. George wyjął z kieszeni paczkę cravenów i posłał w koło.

– Najlepszy, jaki do tej pory zdobyliśmy – powiedział John. – Cholera, ale się denerwowałem.

– Dla-dla-dlaczego? – Ringo zaciągnął się dymem tak głęboko, że dostał zbieżnego zeza, linie wzroku skrzyżowały mu się jak rozwarte nożyce.

Siedzieliśmy tak, była niedziela, dookoła gęstniał wieczór, ciepły i lepki, i zanim zdążyliśmy się zorientować, lunęło, krople odbijały się od ziemi, podskakując na metr, a konie za nami parskały.

– Jedziemy do mnie! – zawołał John. – Starych nie ma!

Popędziliśmy na rowerach z taką prędkością, że chlapacze powiewały nam koło uszu, a potem ścisnęliśmy się u Johna w pokoju, przemoczeni i zmęczeni. John ustawił gramofon na środku na podłodze i puścił ostatni singiel Beatlesów. *Ticket to Ride*. Słuchaliśmy z namaszczeniem, bębenki mieliśmy wyczulone jak nietoperze. Wstrzymywaliśmy oddechy, dopóki nie ucichły ostatnie dźwięki gitar i igła nie zaczęła drapać wewnętrznych rowków.

Gunnar puścił płytę jeszcze raz. Leżeliśmy na podłodze z uszami przy głośnikach, w ciałach nam dudniło, znaliśmy angielski na tyle, by rozumieć, o czym jest ta piosenka, i zastanawialiśmy się, kto, do jasnej cholery, chciałby uciec w taki sposób, ta dziewczyna musiała mieć nie po kolei w głowie. Ogarnęło nas rozgoryczenie i z okrucieństwem myśleliśmy o wszystkich dziewczynach na całej kuli ziemskiej. Ramię gramofonu znów przesunęło się na środek, zgarnęliśmy mokre grzywki na czoła.

– Powinniśmy założyć zespół – oświadczył Seb.

Spojrzeliśmy po sobie. Zespół. Jasne. Mogliśmy założyć zespół, a wtedy Nina, Guri i wszystkie pozostałe siusiumajtki z siódmej C musiałyby się ustawić bardzo daleko w kolejce.

– Jak się będzie na-na-nazywał? – spytał Ola.

Gunnar przyniósł słownik angielsko-norweski i zaczął go wertować.

– Może The Evilhearted Devils and Shining Angels – zaproponował Seb. Wymówił to trochę nieporządnie, ale zrozumieliśmy, o co mu chodzi.

– Za długie – orzekłem. – Nazwa musi być krótka, kiedy już ludzie będą pytać o płyty. Dirty Fingers brzmi dobrze.

– Dirty Fingers and Clean Girls – uzupełnił Seb.

– Prze-przecież u nas nie będzie dzie-dzie-dziewczyn, co nie? – zawołał Ola.

– Mam – oznajmił Gunnar, podnosząc głowę znad słownika. – Będziemy się nazywać The Snafus.

– Platfus? – Ola spojrzał na niego zdezorientowany.

– Snafus – powtórzył Gunnar.

– A co to znaczy? – spytał Seb.

– Skrót od *Situation Normal, All Fouled Up* – odczytał głośno i wyraźnie Gunnar.

– No ale co to zna-zna-znaczy? – dopytywał się Ola.

– Jeden wielki chaos.

Po namyśle się zgodziliśmy. Żaden nie miał lepszej propozycji. Nazwa była krótka, łatwa do zapamiętania, podobało nam się jej rozwinięcie. The Snafus.

– Podwędzę staremu cygaro – oświadczył Gunnar. – Trzeba to uczcić! – Przyniósł wielką pałkę z opaską na brzuchu, odgryzł końcówkę i wypluł ją przez okno. Pokój od pierwszego pociągnięcia wypełniły kłęby dymu, zaczęliśmy kaszleć i charczeć, przewieszeni przez parapet, ale wszyscy zgodnie stwierdziliśmy, że cygaro to cholernie dobra rzecz, najlepsza, jakiej mieliśmy okazję posmakować.

– A co będziemy gra-gra-grać? – spytał wśród dymu Ola.

Z tym było gorzej. Ola był w najlepszej sytuacji, bo grał na werblu w chłopięcej orkiestrze dętej. Słuchaliśmy jej co roku w święto 17 Maja. Gunnar umiał zagrać tylko dwa chwyty na gitarze swojego brata, za to nieźle potrafił przyspieszyć, Seb grał na flecie prostym, a ja nie umiałem nic.

– Ty możesz śpiewać – orzekł Seb.

– Śpiewać! Przecież nie umiem, do cholery!

– Możesz się nauczyć – podsunął Gunnar.

– To znaczy, że mam być wokalistą?

– Musisz się nauczyć porządnie w r z e s z c z e ć – stwierdził Seb. – Tak jak na *I Wanna Be Your Man* i na *Twist and Shout*.

Pomyślałem o lekcjach śpiewu w szkole. *Wśród wzgórz i skał. Trzej mali dobosze. Zielenią się lasy*. Może mój głos nigdy nie dostał odpowiedniego materiału do pracy? Może Jensenius mógłby nauczyć mnie śpiewać?

– Dobra! Stawiam się jako wokalista!

Gunnar znów przypalił cygaro i posłał je w koło. Z oczu trysnęły mi łzy, ale w tym dymie i tak nikt tego nie zauważył. Zaczęliśmy puszczać wszystkie płyty Beatlesów, poczynając od *Love Me Do*.

W połowie *Can't Buy Me Love* otworzyły się drzwi. Gunnar tak się wystraszył, że porysował płytę. To był tylko jego brat, Stig, chociaż to wcale nie takie tylko, Stig szedł do pierwszej licealnej w Szkole Katedralnej, miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a włosy sięgały mu do połowy uszu. Stanął w drzwiach i mrużąc oczy, spytał:

– Castro was odwiedził, czy jak?

Nie zrozumieliśmy tego, ale i tak się roześmialiśmy, bo przynajmniej pojęliśmy, że to żart. Stig zamknął drzwi i wszedł do nas. Złożył swoje długie ciało jak scyzoryk i usiadł na podłodze. Szacunek odebrał nam mowę, baliśmy się otworzyć usta, bo wiedzieliśmy, że się wygłupimy, gdy tylko jakiś dźwięk przetoczy się po naszych poparzonych językach. Gunnar wyglądał na trochę onieśmielonego, ale też dumnego, nie wszyscy mieli starszych braci, którym chciało się zadawać z fąflami ledwie odrosłymi od ziemi.

Stig popatrzył na nas, głęboko zaciągnął się cygarem, a z ust nie wydobył mu się nawet najmniejszy kłębek dymu. Czekaliśmy i czekaliśmy, ale cały dym został u niego w środku, niczego podobnego wcześniej nie widzieliśmy.

– Słuchacie Beatlesów? – spytał dobrodusznie.

Pokiwaliśmy głowami, mamrocząc, że tak, że Beatlesi są świetni, zwłaszcza ten ostatni singiel, *Ticket to Ride*.

– A to słyszeliście? – spytał i pokazał nam longplay, który ze sobą przyniósł, na okładce było zdjęcie kościstego, chudego jak szczapa faceta, ze sztywnymi lokami i bardzo garbatym nosem.

Nie słyszeliśmy.

– Bob Dylan – wyjaśnił Stig. – Największa bomba, jaka kiedykolwiek spadła na ziemię.

Delikatnie wyjął płytę z okładki i położył na talerzu. Przestawił obroty na trzydzieści trzy i uciszył nas, chociaż siedzieliśmy cicho jak świeżo spadły śnieg.

– Posłuchajcie tego – szepnął Stig. – *Masters of War*. Jednocześnie myślcie sobie o Wietnamie.

– Wie-wie… czym? – wyrwało się Oli. Twarz świeciła mu na czerwono jak zorza polarna. Stig musiał go szybko podkształcić.

– O Wietnamie – wyjaśnił. – To taki malutki kraik po drugiej stronie kuli ziemskiej. Amerykanie bombardują tam niewinnych ludzi. Zrzucają coś, co się nazywa napalm. Wiecie, co to jest napalm?

Płyta zaczęła się obracać. Stig trzymał igłę milimetr nad rowkiem. Nie wiedzieliśmy, co to jest napalm.

– To taka substancja, która przykleja się do skóry i płonie, a człowiek nie ma szans. Napalm się pali pod wodą! Słyszycie? Pali się p o d wodą!

Nagle zamilkł. W głośniku zaszumiało, zaraz potem rozległy się twarde dźwięki gitary akustycznej, akordy, których nigdy nie zapomnę, i głos, który ciął mózg jak żyletka. Nie wszystko zrozumieliśmy, ale dotarło do nas najważniejsze, to było straszne, aż ciarki przeszły mi po plecach. *And I'll stand over your grave till I'm sure that you're dead*. To zrozumieliśmy. I nabraliśmy ochoty, żeby wyjść na ulicę i spuścić lanie jakimś dorosłym draniom. To była uroczysta chwila, bo od tej pory nie mogliśmy już być tymi, którymi byliśmy przedtem, teraz już lepiej wiedzieliśmy, jak jest.

Stig schował płytę z powrotem do koszulki i wstał. Górował nad nami. O cokolwiek by nas poprosił, i tak byśmy się zgodzili. Tak bardzo pragnęliśmy, żeby wydał nam jakiś rozkaz, zlecił śmiertelnie ważne i śmiertelnie niebezpieczne zadanie, skoczylibyśmy za nim w ogień i w wodę.

Ale on tylko rzucił kącikiem ust:

– Dobrze wywietrzcie, zanim starzy wrócą, chłopaki.

Jadąc rowerem do domu, próbowałem śpiewać tę nową piosenkę, ale nie bardzo mogłem uchwycić melodię, umykała mi za każdym razem, gdy chciałem zacząć, jakbym już ją zapomniał. Ale to nieprawda, że tak łatwo się zapomina, człowiek wszystko magazynuje w sobie i nagle któregoś dnia coś się pojawia, w jakiejś chwili, w jakimś miejscu, tak jak teraz potrafię nagle poczuć zapach mokrego bzu, bzu po deszczu, chociaż jest głęboka jesień. Pedałowałem przez Drammensveien, próbując sobie przypomnieć słowa, melodię, głos. Ale kiedy skręciłem w Svoldergata, musiałem się

skupić na czymś innym. Gwałtownie zahamowałem, bo z bramy wyszedł stryj Hubert. Zatrzymał się, stanął, popatrzył na swoje stopy, potem się cofnął, wyszedł, cofnął się, i tak to trwało, aż w końcu zacząłem liczyć, bo może w tym wszystkim, co robił, krył się jakiś system, jakiś tajemny kod. Stryj Hubert wychodził z klatki i wracał dwadzieścia jeden razy, aż w końcu nabrał rozpędu i zniknął za rogiem. Odprowadziłem konia do stajni, dałem mu worek siana i ruszyłem po schodach na górę. Już wyciągałem rękę z kluczem, gdy usłyszałem dobiegający z salonu głos ojca, podniesiony i histeryczny, przedzierał się przez drzwi jak piła. Nie ruszałem się z miejsca, delikatnie tylko oparłem się o futrynę.

– To niemożliwe. To po prostu niemożliwe. Skandal! Dwadzieścia jeden lat!

Głosu mamy nie słyszałem, pewnie siedziała na kanapie z rękami na kolanach, z lekko nieszczęśliwą miną. Głos ojca nie cichł:

– Przecież ona mogłaby być jego córką. To… to ohydne! Dwadzieścia jeden lat!

W końcu zapadła cisza. Wziąłem głębszy oddech, otworzyłem drzwi najdelikatniej, jak potrafiłem, i przemknąłem się do swojego pokoju. A dziś w nocy mam ochotę latać albo spadać, lecieć do tyłu, w dół, tam gdzie nikt mnie nie przyjmie, do czarnej dziury w niebie.

Bomba wybuchła następnego dnia, w poniedziałek, przy obiedzie z resztek pozostałych z niedzieli. Ojciec nagle odłożył sztućce, starannie otarł usta.

– Powiem wam, że Ahlsen, szef naszego oddziału, nieźle się dzisiaj wściekł. W weekend odwiedził go bardzo ważny klient ze Szwecji, a w niedzielę ktoś zniszczył temu klientowi samochód.

– Zniszczył? – powtórzyła mama.

– Tak. Jacyś chuligani odłamali znaczek z przodu i porysowali lakier. A to był bardzo ekskluzywny samochód, volvo special. Taki, jakim jeździ Święty – zwrócił się do mnie, licząc, że mi tym zaimponuje ponad wszelkie granice.

– Aha – powiedziałem tylko.

– Nie wiesz przypadkiem, kto robi takie rzeczy? – spytał nagle, przygważdżając mnie wzrokiem.

– Ja? Jak to? Skąd miałbym wiedzieć?

– No tak. Oczywiście nic o tym nie wiesz. – Ojciec przeniósł spojrzenie na matkę. – Rzecz jasna, zgłosili to na policję. Okazało się, że ostatnio było więcej podobnych skarg. Bezczelne gnojki!

Po obiedzie dostałem przepustkę i popędziłem jak szalony rowerem do Gunnara. Opowiedziałem mu, co się stało, razem pojechaliśmy do Oli, wyciągnęliśmy go z domu i zziajani pognaliśmy do Seba, mieszkał tuż za rogiem. Otworzyła nam jego matka, na nasz widok nie zdołała pohamować śmiechu.

– Przybyliście prosto z Księżyca?

– Chodzi o 17 Maja – wyjaśniłem. – Może będziemy w grupie niosącej flagi.

Ola spojrzał na mnie z głupią miną, na szczęście Gunnar unieszkodliwił go palcem wbitym w krzyż. Wydał z siebie krótki jęk, ale milczał.

– Sebastian jest u siebie. Odrabia lekcje.

Ruszyliśmy tam przy wtórze dochodzącego z tyłu śmiechu jego matki i o mało nie wystraszyliśmy Seba do obłędu, wpadając do niego do pokoju.

– O-o-dkryli nas! – pisnął Ola. – O-o-odkryli!

– Nie mów tak głośno, do cholery! – syknął Gunnar.

– Co odkryli? – spytał Seb.

Opowiedziałem mu, co i jak. Gunnar stał przy drzwiach i pilnował, żeby nikt nie podsłuchiwał.

– Ale przecież nie wiedzą, że to my – stwierdził w końcu Seb.

– Na razie nie. Ale musimy się pozbyć łupu!

Seb wyciągnął skrzynkę. Skupiliśmy się wokół niej. Na samym wierzchu leżało kilka czasopism, niżej był metal, wypolerowany jak srebrne sztućce moich rodziców, prawdziwy skarb hrabiego Monte Christo.

Podjąłem decyzję.

– Musimy to wrzucić do morza.

– G-g-gdzie? – Ola trzymał w ręku znaczek volva.

– Na Filipstad – zaproponował Gunnar.

– Bygdøy – powiedziałem. – Mniej ludzi.

Z powagą pokiwali głowami. Jeszcze przez chwilę w nabożnym milczeniu podziwialiśmy trofea myśliwskie, w końcu upchnęliśmy je po wszystkich kieszeniach i z trudem stawiając kroki, ze sztywnymi uśmiechami wyszliśmy z pokoju jak czterej złomiarze z nadwagą.

Znów pojawiła się matka Seba, nagle i po cichu. Zrobiło mi się trochę gorąco, bo miała wielkie cycki, kołyszące się jeszcze długo po tym, jak się zatrzymała, a spódnica, z rozporkiem, ciasno opinała jej biodra.

– Odrobiłeś lekcje? – spytała.

– Tak – odparł Seb, z rękami zakleszczonymi w kieszeniach.

– No to mam nadzieję, że pozwolą wam nieść flagi.

Seb spojrzał na nią lekko zdezorientowany, a Ola już miał otworzyć gębę, ale go uprzedziłem:

– Flagi będą niosły po trzy osoby z każdej siódmej klasy – powiedziałem szybko. – A Ola gra na werblu, więc nie może.

Wyrwaliśmy się wreszcie, zbiegliśmy po schodach i pognaliśmy na Bygdøy. Zostawiliśmy rowery na tyłach restauracji i zeszliśmy nad wodę. Byliśmy tu sami, tylko gdzieś daleko szczekał pies. Mogłem stąd dojrzeć półwysep Nesodden po drugiej stronie, przystań, plażę Hornstranda, czerwony domek kąpielowy. Przeszył mnie dreszcz. Może wiosna mimo wszystko wcale jeszcze nie przyszła naprawdę, poczułem się tak, jakby w nagrzanym pokoju ktoś nagle otworzył drzwi i napłynęło zimne powietrze. Chłód ciągnął od fiordu, ciemnego, przypominającego blachę falistą.

– Wy-wy-wywalamy wszy-wszy-wszystkie? – spytał ostrożnie Ola.

– Wszystkie – oświadczył Gunnar twardo.

Ola kopnął w kępę wodorostów.

– My-my-myślicie, że zdejmą o-o-odciski palców?

– Odciski palców! – Seb się zaśmiał. – Z czego?

– No, z tego volva!

– Nie będzie żadnych dowodów – orzekłem. – Pod warunkiem, że pozbędziemy się tego.

Pobiegliśmy wzdłuż plaży na szorstkie skały. Tam się zatrzymaliśmy i rozejrzeliśmy. W pobliżu nikogo nie było. Szczekanie psa ucichło. Żadnej łodzi, jedynie pogłębiarka daleko na Bundefjorden.

– Zaczniemy od rzucania kamieni – zdecydował Gunnar. – A znaczki będziemy wyrzucać co jakiś czas.

W wodę sypnął się grad fiatów, mercedesów, opli, peugeotów, morrisów, renówek, jeden vauxhall, jeden hillman, a nawet jeden moskwicz.

– Myślicie, że ktoś je zna-zna-znajdzie? – mruknął w końcu Ola.

– Prąd je porwie – odparł Gunnar – i poniesie czort wie gdzie. Może aż do Afryki.

– A któregoś dnia ojciec podczas wolnej wachty będzie chciał połowić ryby i nagle złapie na haczyk volvo – zarżał Seb.

Ze śmiechem przebiegliśmy za skały, ale tam znów gwałtownie zahamowaliśmy, wpatrując się w coś leżącego na kamieniach przy samej wodzie.

To był stosik ubrań.

– Ktoś się już ką-ką-kąpie! – zdumiał się Ringo. – Woda musi być cho-cholernie zi-zi-zimna!

Rozejrzeliśmy się po fiordzie, ale nikogo nie zobaczyliśmy. Nic nie osłaniało nas od wiatru, zimne podmuchy uderzyły w nas z całą siłą.

– Chyba jakiś mors – szepnął George.

Ale w wodzie nikogo nie było, na lądzie też. Ruszyliśmy w stronę tych ubrań, powoli, jeszcze nigdy nie szliśmy tak wolno, i cały czas na wstrzymanym oddechu. Może ktoś mimo wszystko widział, co robiliśmy? Kiedy się zbliżyliśmy, okazało się, że na stosik składają się garnitur, biała koszula, krawat i bielizna, obok grzecznie parkowała para czarnych, wypolerowanych do połysku butów, a na garniturze leżała przyciśnięta kamieniem kartka. Znów gwałtownie się zatrzymaliśmy. Serca klapały nam jak kawałek tektury wsunięty między szprychy od roweru. To ja zrobiłem następny krok. Podniosłem kartkę, ostrożnie, jakby była rannym motylem. Odczytałem ją głośno, mój głos miał nieprzyjemny smak: „Odebrałem sobie życie. Nie mam rodziny. Tych kilka rzeczy, które po

mnie zostają, oddaję Armii Zbawienia. Nikt nie będzie po mnie płakał. Mam teraz spokój".

Odłożyłem kartkę z powrotem i przyskoczyłem do pozostałych. Wczepiłem się w Gunnara.

– Jasna... jasna cholera! On się utopił w morzu!

Błyskawicznie zawróciliśmy i popędziliśmy do restauracji, załomotaliśmy w drzwi, ale nikt nie otwierał. Wskoczyliśmy na rowery i pognaliśmy jak wariaci na parking, tam zatrzymaliśmy się przy budce telefonicznej. Wcisnęliśmy się do środka i na pierwszej stronie książki telefonicznej odszukaliśmy numer policji. Ja podniosłem słuchawkę, Gunnar wrzucił monetę, Seb wykręcił numer. Połączyłem się od razu, czułem, jak kolana się pode mną rozpuszczają.

– Jakiś człowiek się utopił – powiedziały moje usta.

– Z kim rozmawiam? – usłyszałem.

– Z Kimem. Z Kimem Karlsenem.

– Skąd pan dzwoni?

– Z budki telefonicznej. Na plaży Huk.

– Proszę powtórzyć, co się stało.

– Jakiś człowiek się utopił. Jego ubranie tam leży i zostawił kartkę.

– Proszę zostać na miejscu i n i c z e g o nie ruszać. Zaraz będziemy.

Popedałowaliśmy z powrotem i znów pobiegliśmy za skały. Ubranie ciągle tam leżało, złożone starannie, tak jak składa się je wieczorem przed pójściem spać. Usiedliśmy w bezpiecznej odległości i wypatrywaliśmy śladów na powierzchni fiordu, ale fiord niczego nie zdradzał. Wstrząsnął mną dreszcz, pomyślałem o wodzie, która nagle się zamyka, o włosach unoszących się na niej jak wodorosty, gdy fale przetaczają się ku brzegowi.

– Mam nadzieję, że nie znajdą tych zna-zna-znaczków – szepnął Ola.

– Ja w każdym razie nie będę się tu więcej kąpał – oświadczył Gunnar, wzdrygając się.

Niedługo potem pojawiły się gliny. Przyjechały dwoma samochodami, towarzyszyła im też karetka. Policjanci przytruchtali do nas. Dwaj zaczęli oglądać ubranie, dwaj rozmawiali z nami.

– To wy dzwoniliście?

– Tak – odparłem.

– Kiedy odkryliście te rzeczy?

– Pół godziny temu. Co najmniej.

– A ile wcześniej tu byliście?

– Mniej więcej kwadrans.

– I niczego nie słyszeliście? Nie widzieliście?

– Nie.

– A co tu robiliście?

Pozostali zaczęli mieć kłopoty z rękami, Oli drgał mięsień w lewym udzie. Popatrzyłem na policjanta.

– Szukaliśmy muszelek – powiedziałem.

Teraz wydarzyło się coś jeszcze. Do brzegu przybiła wielka policyjna łódź. Na pokładzie stało dwóch nurków. Policjanci zeszli nad samą wodę, my ruszyliśmy za nimi, ale zatrzymaliśmy się w pewnej odległości.

Wkrótce go znaleźli. Leżał tuż przy brzegu. Wynieśli z wody nagie ciało, sine, jakby fiord puścił kolor. Ciało było zupełnie sztywne, usta wielkie, otwarte. Ten człowiek z pewnością nie był jeszcze stary, młodszy od mojego ojca. Ułożyli go na noszach, musieli go siłą na nie wciskać, nakryli kocem i wepchnęli do karetki.

Pierwszy raz widziałem martwego człowieka.

Po drodze do domu Gunnar wymiotował. Nie odzywaliśmy się do siebie, po prostu się rozeszliśmy. Tej nocy leżałem i myślałem o śmierci, całkowicie przytomny, zapadłem się gdzieś daleko za własne oczy i wpatrzony w ogromną ciemność, zdałem sobie sprawę, choć właściwie tego nie rozumiałem, że już zacząłem umierać, to była wstrętna myśl, więc się rozpłakałem.

Była wiosna, a my czekaliśmy. Czekaliśmy, aż otworzą kąpielisko w parku Frogner, już zaczęli czyścić baseny. W tym roku zamierzałem skoczyć z dziesiątki, na bank, miałem ten skok już w sobie. Ale pojawiła się konkurencja. Wyciąłem zdjęcie Rosjanina, Aleksieja Leonowa, na którym wisi w przestrzeni kosmicznej, zamglone, upiorne zdjęcie, początkowo w ogóle nie wierzyłem, że jest prawdziwe. Przypominało trochę pierwsze

fotografie robione przez mojego ojca, zanim nauczył się wszystko odpowiednio ustawiać. Leonow przez dziesięć minut unosił się w tej bezkresnej niebieskiej otchłani, przyczepiony do swojego pojazdu cienką nitką, pępowiną. Wkrótce potem przyszła kolej na Amerykanów. Tym razem zdjęcie było wyraźniejsze, wiarygodne, bo w tle widać kulę ziemską. Edward White wisiał poza swoją kapsułą przez dwadzieścia jeden minut. Później mówił, że ani trochę nie kręciło mu się w głowie, że to przypominało raczej pływanie. Wyobraziłem sobie wtedy ogromny ocean, kolosalne morze, stałem na jego dnie, a gdzieś wysoko w górze pływały nocą złote rybki, dziesięć razy większe od nas, jak wielkie złociste statki przemieszczające się powoli. Kiedyś były fragmentami słońca. Może tak samo widział to samobójca z Bygdøy, zanim jego oczy zgasły. Czekaliśmy też na akcję Granaciarza, ale w mieście panował spokój, słychać było jedynie dzwonki rowerowe, ptaki i ćwiczące orkiestry dęte.

No i oczywiście czekaliśmy na 17 Maja. Nadszedł co do dnia, z ulewnym deszczem. Stawiliśmy się przy fontannie na Gyldenløves gate o trzeciej nad ranem. Z nieba spływały strugi wody, wiało od zachodu, ale to nie miało większego znaczenia, chodziło tylko o to, żeby udało nam się zapalić zapałki. W sumie mieliśmy trzydzieści pięć petard, dwadzieścia kapiszonów i szesnaście żabek. Dwie petardy odpaliliśmy trochę jakby po to, żeby wczuć się w nastrój. Zabrzmiały dość słabo, ale dostatecznie głośno, by obudzić tych, którzy spali najbliżej. Potem ruszyliśmy w stronę parku Urra. Tam prawie nikogo nie było, jedynie od czasu do czasu słyszeliśmy wybuch albo samochód maturzystów trąbiący w deszczu.

– Musimy znaleźć jakieś suche miejsce – stwierdził George.

– Klatkę schodową – zaproponowałem.

Podkradliśmy się do najbliższych drzwi. Akustyka była tu dobra, kamienna posadzka i kamienne ściany. Ringo zapalił zapałkę i podsunął ją do lontu, rozległ się syk, a ja rzuciłem petardę w głąb, w stronę schodów i skrzynek na listy. Huknęło, zanim wyszliśmy, i to okropnie. Wszystkim nam zrobiły się na głowach przedziałki aż do karku.

– Mieli nagłe prze-prze-przebudzenie – wysapał Ringo, kiedy biegliśmy przez Briskebyveien obok galerii Albin Upp. Zatrzymaliśmy się dopiero w parku Urra. Zegar na wieży kościoła wskazywał wpół do czwartej. Ciągle padało. Rzuciliśmy kilkoma kapiszonami o mur, ale zdążyły zamoknąć,

zanim do niego doleciały. Przerwaliśmy bombardowanie, by przez chwilę nasłuchiwać. Przez Holtegata przejeżdżał samochód maturzystów. Podbiegliśmy do balustrady i zobaczyliśmy czerwoną ciężarówkę, która gnała w stronę Hegdehaugsveien. Na pace siedziała gromada przemoczonych do suchej nitki maturzystów, wrzeszczących ile sił w płucach. Potem słychać już było tylko deszcz, równy, zimny deszcz, który lał się z nieba pionowo, bo wiatr gdzieś przepadł.

– Resztę zachowamy na później – zdecydował Seb. – Kiedy pogoda się poprawi.

Zapaliliśmy więc po papierosie, pusty żołądek zareagował jak centryfuga, zakręciło mną, podobnie jak pozostałymi. Wpadaliśmy na siebie i rozpierzchaliśmy się w różne strony, zanim w końcu trafiliśmy na właściwy kurs prowadzący na Briskeby.

– Może Granaciarz dzisiaj zaatakuje – powiedział nagle Seb.

– Kurza twarz – szepnął Gunnar. – W pochodzie! Granat w środku pochodu! Za diabła nie pójdę w tym roku na pochód.

– Pomyśl o mnie, ja gram na we-we-werblu! – zdenerwował się Ola. – Nie mo-mo-możecie mnie tak zo-zo-zostawić!

– Jasne, że i my pójdziemy na pochód – zapewniłem.

I znów wszystko się we mnie naprężyło, jakby kręgosłup był słupem wysokiego napięcia. Całe ciało przenikało drżenie. Na moment stanął mi przed oczami straszny obraz zakrwawionych ludzkich ciał, zmiażdżonych twarzy, martwych dzieci ściskających w rękach chorągiewki. Jednocześnie usłyszałem w głowie tę piosenkę, którą puścił nam brat Gunnara. *Masters of War*.

Potem był powrót do domu na śniadanie i zmianę ubrania. Nic nie pomagało. Wpatrywałem się w ten punkt w przyszłości, kiedy wreszcie będę mógł się ubrać tak, jak zechcę, ale wydawał mi się nieskończenie odległy, a głosy rodziców rozlegały się bardzo blisko mojego ucha. W końcu stanąłem – zaczynając od dołu – w wyczyszczonych do połysku czarnych butach, w szarych zwężanych spodniach z zaprasowanym kantem, białej koszuli z niebieskim krawatem i w blezerze ze srebrnymi guzikami, z wielkim kotylionem na piersi, z chorągiewką w ręku i marynarską czapką na samej górze. Nie, czapki nie miałem, tylko ulizane na mokro włosy,

które obejmowały mi czaszkę ciasno jak łapka do garnków. Cholera, matka tańczyła wokół mnie i klaskała w ręce, ojciec patrzył tym swoim porozumiewawczym spojrzeniem, jak mężczyzna na mężczyznę. Wybiegłem z domu jak najszybciej, zanim petardy dostały samozapłonu.

Kiedy wymaszerowaliśmy ze szkolnego dziedzińca w stronę Stortorget, przestało padać, ale niebo pozostało ciemne i groźne. Dziewczyny miały białe sukienki i czerwone kokardy we włosach, trzęsły się z zimna, a my oczywiście nie mieliśmy żadnych flag, flagi niech sobie niosą prymusi, ale Ringo grał na werblu, słyszeliśmy to, miał jasnoniebieski mundur, furażerkę kształtem przypominającą tramwaj i prawie tyle samo medali co Oscar Mathisen. Beret kroczył obok, w czarnym garniturze, przezroczystym płaszczu od deszczu, z pomponem od czapki studenckiej przypiętym do ramienia wielką agrafką. Za nami szły Nina, Guri i reszta warkoczy z siódmej C, zostały zauważone, ale wolelibyśmy, żeby szły przed nami, niefajnie było mieć je za plecami, przecież były takie zdradzieckie. Wreszcie orkiestra zaczęła grać, jeszcze bardziej fałszywie niż w zeszłym roku, rozległy się okrzyki i flagi wystrzeliły w górę.

– Na ile lodów masz forsę? – spytał George.

– Nie chce mi się dzisiaj kupować lodów – oświadczyłem.

– Nie chce ci się?!

– Zostawię forsę na park Urra.

– Mnie staruszek przysłał cztery dychy w kopercie – ciągnął George. – Z Zatoki Perskiej. To wystarczy na osiemnaście lodów, piętnaście hot dogów i sześć butelek coli.

– Lody możemy zjeść u mnie – zaproponował John. – Ojciec specjalnie odłożył pudło z orzechowymi.

Na Stortorget był mróz i śnieg w powietrzu. Poszliśmy popatrzyć na Ringa, był przejęty i wyglądał wspaniale, ale znów zaczęło padać, więc szef orkiestry rozdał przezroczyste peleryny, takie same, jaką miał na sobie Beret, a wtedy Ringo przestał się już tak wspaniale prezentować.

– On przypomina kondom! – zaśmiał się George, ale wtedy Ringo groźnie się rozzłościł.

– Cholera, wcale że nie! Przejrzyj się w lustrze, to zobaczysz fiu-fiu-fiuta!

– Nie miałem na myśli nic złego – uspokajał go George. – Mam na później paczkę fajek, Consulate.

– A jeśli Granaciarz zaatakuje, to wierzymy w ciebie – powiedziałem. – Dobra?

Twarz Johna zszarzała jak kromka pieczywa chrupkiego.

– Kurde, nie mówcie o Granaciarzu.

Pochód ruszył. Odnaleźliśmy swoje miejsca i pomaszerowaliśmy w stronę Karl Johan. Wszystkie orkiestry grały na swoich instrumentach równocześnie, jedna gorzej od drugiej, a wzdłuż trasy stali rozhisteryzowani rodzice, którzy krzyczeli i machali. Zacząłem udawać, że jesteśmy żołnierzami, wracamy z wojny, a masy ludzi przyszły uczcić nasze zwycięstwo. Byliśmy bohaterami, zacząłem nawet trochę kuleć, dziewczyny patrzyły na mnie i nie mogły powstrzymać łez, machały białymi chusteczkami ozdobionymi szlaczkiem i przesyłały w powietrzu pocałunki, mnie, dzielnemu rannemu żołnierzowi. I nagle przed oczami stanął mi obraz, do bólu wyraźny, nie tak dawno zamieszczony w gazecie, pokazywany też w telewizji, w „Wiadomościach": Mała wietnamska dziewczynka idzie, kulejąc, opiera się na lasce, bosa, od pasa w dół naga, jedną rękę ma zabandażowaną. A za nią jest coś, co wygląda jak ruiny, nie widać wyraźnie, ale wyobrażam sobie, że tam leżą martwi ludzie, martwi, spaleni i okaleczeni, jej rodzina. Dziewczynka, utykając, oddala się od tych ruin, mija mnie i tak strasznie krzyczy, słyszę to w sobie, a może to tylko mój własny krzyk; ona się boi i rozpacza, nie wiem, dokąd idzie, do kogo.

– To się stanie tutaj – szepnął John.

– Co?

– Ten wariat, Granaciarz. On tutaj rzuci. Na samym środku Karl Johan.

Byliśmy na wysokości kawiarni Studenckiej. Od strony chodnika usłyszałem wesołe okrzyki i zobaczyłem swoich rodziców, podskakiwali i machali. Cieszyłem się, że przynajmniej nie wzięli ze sobą drabiny.

Kiedy zbliżaliśmy się do Zamku Królewskiego, John pobladł i zamilkł. Mnie też zaczęło ogarniać napięcie, wyczekiwanie na coś, na katastrofę, słodkie i straszne jednocześnie. Przy którejś z bocznych ulic stały dwie karetki i autobus Czerwonego Krzyża, ale pewnie czuwały tu co roku,

w każde święto 17 Maja. Gdzieś na trawniku odpalono petardę, zabrzmiało to jak wybuch bomby, a my wczepiliśmy się w siebie. Zostało jeszcze sto metrów. Król stał na balkonie i wywijał cylindrem, Harald, następca tronu, też tam był, i jeszcze jakieś panie. Odetchnęliśmy głębiej i przemknęliśmy dalej. Przy dyżurce gwardzistów pochód się rozsypywał, przypominał teraz zdezorientowane mrowisko. Znaleźliśmy sobie bezpieczne miejsce przy pomniku Camilli Collett, przysiedliśmy na kamieniu, położyliśmy chorągiewki na mokrej trawie i zapaliliśmy po mentolowym papierosie.

Ringo przyczłapał po kwadransie, z werblem na ramieniu i czapką w garści. W tej samej chwili chmury się rozstąpiły, słońce spłynęło na park Zamkowy i rozległ się trzykrotny okrzyk „hurra!".

– Graliście jeszcze gorzej niż w zeszłym roku – stwierdził George. – Ale i tak byliście lepsi niż szkoła z Ruseløkka.

– Tubie wpadła do rury pe-pe-petarda – wyjaśnił Ringo. – I to w naj-naj-najcichszym fra-fra-fragmencie. Myślałem, że to Gra-Gra-Granaciarz!

Spojrzeliśmy w stronę Zamku. Pochód już przeszedł. Ale przecież Granaciarz mógł zaatakować później, w każdej chwili.

Słońce znów zniknęło, zabierając ze sobą kolory i okrzyki. Nad nami zawisła ciemna chmura i pierwsze krople zabębniły nam w głowy.

– Idziemy do mnie na lody – zarządził John.

Ludzie rozbiegli się w różne strony. Pędząc, mijali nas z wózkami dziecięcymi, ciągnęli za sobą dzieciaki i psy. W błocie leżały trąbki i kotyliony, zdeptane flagi, para butów, od których ktoś uciekł. Byliśmy już tak mokrzy, że żaden bieg nie miał sensu. Wolnym krokiem wyszliśmy z parku i ruszyliśmy na Briskeby, kupiliśmy kiełbaski u Faceta na Schodach, spotkaliśmy kilka rozchichotanych siks z siódmej C, stały pod ogromnym parasolem i piły colę przez słomki. Zwyczajnie je minęliśmy, zeszliśmy w dół Bondebakken, nie odwracając się, no bo przecież mieliśmy trochę honoru.

Za rogiem Ringo oznajmił:

– Lepiej mieć warkocz na myszy niż mysz na warkoczu.

Długo się z tego śmialiśmy. Wetknęliśmy petardę w psie gówno, podpaliliśmy i migiem schowaliśmy się za basenem fontanny. To był

największy rozprysk od czasów, kiedy w szkolnym ogródku zjedliśmy trzy kilo śliwek i dwie główki kapusty.

U Gunnara pochłonęliśmy całe pudło lodów na patyku, a potem ułożyliśmy się wokół gramofonu. Ola ustawił sobie werbel między nogami, chwycił pałeczki i zaczął walić. Przy *From Me to You* szło mu całkiem nieźle, ale *Can't Buy Me Love* nie zdołał dotrzymać kroku. Spóźniał się, pocił i mozolił. Za to przy *A Hard Day's Night* świetnie się wpasował, nozdrza mu wibrowały jak u zadowolonego zająca, a pod koniec rzucił się na inne rzeczy w pokoju, na lampę, model statku, zestaw klocków meccano i kij do palanta, a medale na piersi klaskały mu jak kastaniety. To było najlepsze przedstawienie od czasu, kiedy Pusty Łeb, nauczyciel od robót ręcznych, w zeszłym roku wsadził swój wielki nos w imadło.

Odetchnęliśmy. Ola wyciągnął się na podłodze. Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich sklepikarz Ernst Jespersen, łagodny człowiek w za dużym garniturze, wysoki i kościsty, mistrz okręgu na tysiąc pięćset metrów w czterdziestym ósmym.

– Widzę, że dobrze się bawicie – powiedział.

– Pewnie. – Chórem pokiwaliśmy głowami.

– Przestało padać – oznajmił.

Wyjrzeliśmy przez okno. Rzeczywiście.

– À propos. – Spojrzał przez pokój po przekątnej, czyli wprost na Gunnara. – À propos, wiesz coś na temat pewnego cygara, które gdzieś zginęło?

Ola zaniósł się kaszlem. Twarz Gunnara zlała się z białą koszulą, idealny kamuflaż na zimę.

– Wiesz coś? – dopytywał się jego ojciec głosem nieco ostrzejszym na brzegach. Gunnar już się zdradził, wyraz jego oczu, twarzy, ust, całego ciała, wszystko to mówiło calutką prawdę, bardzo dokładnie, niczego nie odejmując, niczego nie dodając. Mimo to podjął próbę, ale wypadła żałośnie:

– Jakie cygaro? – spytał.

– Hawańskie – wyjaśnił jego ojciec. – Hawańskie cygaro, które odłożyłem sobie specjalnie na dzisiejsze święto.

Gunnar chciał powiedzieć coś więcej, cały się skuliłem w jego imieniu, z nadzieją, że powie prawdę. Nagle jednak ze swojego pokoju za plecami ojca wyłonił się Stig. Włosy miał dłuższe niż kiedykolwiek, przypominał trochę Briana Jonesa. No i był w świetnych spodniach, rozszerzanych, w brązowe paski. Popatrzył na ojca, rozciągnął usta w szerokim uśmiechu i oświadczył:

– *Sorry*, staruszku, to ja. Wypaliłem je razem z Rudolfem i Koniem.

– M o j e hawańskie cygaro!

– Nie wiedziałem, że jest takie cenne, staruszku. Przecież tyle ich tam leżało.

Ojciec podrapał powietrze zgiętym palcem.

– Nie wiedziałeś, że jest takie cenne, tak? Pewnie właśnie dlatego wziąłeś akurat to. Dlatego że nie wyglądało wyjątkowo. Chcesz mnie rozśmieszyć?

– *Sorry*, staruszku. Następnym razem lepiej się przyjrzę.

Stig puścił do nas oko i zamknął za sobą drzwi.

– Mnie to nie idzie – przyznał zawstydzony Gunnar.

– Bo musisz albo mówić prawdę, albo kłamać. To nie może być nic pośredniego.

Gunnar się zastanowił. Usłyszeliśmy, że ojciec kręci się po salonie. Na górze ktoś grał hymn, *Tak, kochamy ten kraj*.

– W takim razie muszę mówić prawdę – zdecydował Gunnar. – Kłamać nie potrafię.

Po zakończonym pochodzie maturzystów Ringo poszedł grać na werblu przed domem starców. John, George i ja wałęsaliśmy się po mieście, czekaliśmy, aż wybije czwarta, bo wtedy zaczynała się impreza w parku Urra. Odpaliliśmy kilka petard, rzuciliśmy kapiszonem w jakieś otwarte okno, huknęło jak cholera, ale byliśmy już wtedy trzy kwartały dalej.

Zatrzymaliśmy się za rogiem, nieźle spoceni, oparliśmy się o mur.

– Kurde – westchnął George. – Nie chce mi się dłużej chodzić w krawacie.

Zerwaliśmy te paski materiału i rozpięliśmy koszule pod szyją, odetchnęliśmy głęboko, i wtedy poczuliśmy ten zapach. Byliśmy na

Pilestredet, pachniało słodem z browaru i tytoniem z fabryki Tiedemanna, słodko i trochę mdło. Węszyliśmy jak trzy przewrażliwione daniele, zaciągając się powietrzem najgłębiej jak się dało, wstrzymywaliśmy je, aż blezery zaczynały cisnąć w piersi, bo wierzyliśmy, że dzięki temu możemy się upić, że przy odrobinie szczęścia i właściwym kierunku wiatru upijemy się na pewno.

O czwartej stawiliśmy się w parku Urra, całkiem trzeźwi. Było tam mnóstwo ludzi, taka sama impreza jak w ubiegłym roku, wszystko jak należy. Strącanie puszek, rzucanie obręczami, wbijanie gwoździ w deskę, tombola, lody, hot dogi z colą. Zaczęliśmy od puszek. Każdemu wręczono szmacianą piłeczkę, trzy rzuty, i po puszkach. Za chwilę trzymaliśmy w rękach ogromnego misia, ale z nim przecież nie mogliśmy się włóczyć, oddaliśmy go więc malutkiej dziewczynce ubranej w strój ludowy. W taki dzień dobry uczynek był jak najbardziej na miejscu, teraz z czystym sumieniem mogliśmy wymyślić jakieś draństwo.

Wbijaliśmy gwoździe, rzucaliśmy obręczami, jedliśmy kiełbaski, a o piątej przyszedł Ringo w pełnym rynsztunku, z werblem zawieszonym na ramieniu i pałeczkami zatkniętymi za pasek.

– No i jak tam? – spytaliśmy.

– Może być. Staruszkowie przecież nic nie słyszeli. Klaskali w połowie kawałków.

Kupił sobie colę. Nagle stanął przed nami Smok. Smok z Gąsiorem. Smok miał na sobie najmniejszy garnitur świata, wyglądał tak, jakby był w krótkich spodenkach, uda i ramiona wypychały cienki, znoszony, wyświecony materiał. Miał zadowoloną minę, tylko cały czas kręcił głową. Spojrzeliśmy na siebie. Gąsior patrzył na nas, trupio blady i roztrzęsiony. Smok był pijany jak bela.

– Sherry, widzisz? – wybełkotał z językiem w poprzek.

Gąsior nerwowo przestępował z nogi na nogę, rozglądając się na wszystkie strony, w obawie, czy przypadkiem nie idzie któryś z nauczycieli.

– Siedział u Faceta na Schodach – szepnął. – Poszedł za mną. Po prostu za mną poszedł.

– Powinieneś spadać, zanim zjawi się Beret – doradził życzliwie John.

Smok połączył oczy w jedno spojrzenie i warknął:

– Z a b i j ę Bereta!

Wzięliśmy go między siebie i zaciągnęliśmy w spokojniejsze miejsce, usadziliśmy na ławce i kazaliśmy mu wytrzeźwieć.

– Z a b i j ę Bereta! – krzyknął, zaciśnięte usta wykrzywiły się w zimnym, pełnym nienawiści uśmiechu, jakiego nigdy wcześniej nie widzieliśmy.

– Odprowadzić cię do domu? – spytał ostrożnie John.

– Nie idę do domu, do cholery!

Nagle uśmiechnął się już normalnie. Włożył rękę do kieszeni, wyjął petardę i zapałki.

– Nie tutaj. – George chciał mu je odebrać.

Smok przyciągnął rękę do siebie.

Potem włożył petardę do ust, zapalił zapałkę i przytknął ją do lontu. Zasyczało, żar zaczął pełznąć w stronę prochu. Smok zamknął oczy, lont spalił się już do połowy, Gunnar coś powiedział, Ola tylko się gapił, Gąsior się cofnął, Seb i ja patrzyliśmy na siebie. W końcu Smok uniósł ciężką rękę, żeby wyjąć petardę z gęby i ją odrzucić, wstrzymaliśmy oddech, bo papier przykleił mu się do ust, widziałem wyraźnie, jak skóra na wargach rozciąga się, przylepiona do czerwonego papieru, w który zawinięty był proch. Smok szeroko otworzył przerażone oczy, minęła sekunda, albo nawet mniej, i nastąpił wybuch. Smoka odrzuciło w tył, jakby przyssało go do białej ławki, pod nosem ziała wielka czerwona jama, zniknęły zęby, zniknęły wargi, całe usta, wpatrywał się w nas, jakby niczego nie rozumiał, a łzy lały mu się po policzkach i spływały do czerwonego krateru. Zbiegli się ludzie, Gunnar rzygał za drzewem, Seb i ja usiłowaliśmy tłumaczyć, co się stało. Wkrótce potem przyjechała karetka i Smok odjechał na syrenie z niebieskim światłem.

Park Urra powoli pustoszał. Zostaliśmy w nim ostatni, kiedy już złożono wszystkie kramy i spakowano nagrody. Na białej ławce zastygła krew.

– Dajcie mi petardy – odezwał się nagle Gunnar. – Kapiszony i żabki też.

Zrobiliśmy, jak kazał. Włożyliśmy mu amunicję do ręki, chociaż wiedzieliśmy, co zamierza. Podszedł do studzienki i wrzucał po sztuce. Nie protestowaliśmy, bo Smok leżał teraz z rozdziawioną czerwoną gębą pod jasną lampą, a nad nim błyskały skalpele i noże.

Ruszyliśmy w stronę parku Frogner. Siedemnasty Maja jakby się już skończył. Ciemność przykryła niebo kocem, a hot dogi, lody i cola ciążyły w brzuchu jak odważniki. Flagi zwisające z okien i balkonów przypominały zakrwawione sztandary.

Kiedy mijaliśmy kąpielisko na Frogner, Ola powiedział:

– Ża-ża-żałuję całego tego gó-gó-gówna, które mówiłem Smo-Smo-Smokowi.

My też żałowaliśmy. Dobrze, że to powiedział. Cieszyliśmy się, że Ola tak mówi.

– Będę dla niego mi-mi-miły, kiedy wróci do sz-sz-szkoły.

Trochę nam ulżyło. Odetchnęliśmy, wyrzucając z siebie całe zło. Ola uderzył w werbel. Smok na pewno wyzdrowieje.

– W tym roku skoczę na główkę z dziesiątki – zapowiedziałem.

– Nie odważysz się – zgasił mnie Seb.

– Zakład?

– O dużą paczkę papierosów.

– Stoi.

Na ulicach prawie nie było już ludzi, żadna starsza pani nie wyprowadzała na spacer pudla, nikt nie grał w piłkę do bramek z przewróconych ławek, nikt się nie obściskiwał pod drzewami, nawet zboczeńcy zniknęli, nikt ciężko nie dyszał wśród liści, w krzakach przy Psim Polu było pusto. Tylko zmarli po drugiej stronie płotu dotrzymywali nam towarzystwa. Wiatr szeleścił w medalach Ringa.

– Wiecie, co myślę? – powiedziałem cicho. – Myślę, że ten facet, co się utopił na Bygdøy, to Granaciarz.

Wybałuszyli na mnie oczy.

– Tak ci się wydaje? – szepnął Ola. – Dlaczego?

– Bo gdyby żył, rzuciłby granat w pochód.

– Ja też tak uważam – rzucił Seb.

W tej samej chwili na niebie eksplodowały fajerwerki. Spojrzeliśmy w górę wystraszeni. Na miasto spływały cienkie smużki krwi.

A z daleka usłyszeliśmy muzykę.

W pewien piątek po tygodniu pracowitości i grzeczności pojechaliśmy na klasową wycieczkę. Tramwajem dotarliśmy do Majorstua, a stamtąd powędrowaliśmy na Vindern i dalej przez pola na tyłach szpitala psychiatrycznego w Gaustad. Nie tylko my, była też z nami siódma C, z Niną i Guri na czele. Musieliśmy diabelnie daleko iść. Beretowi twarz błyszczała od potu; jeszcze zanim dotarliśmy do Szkoły Policyjnej, dyszał jak piętnastokilowy szczupak i ssał jakieś małe pastylki. Była też z nami Stalówka, wychowawczyni warkoczy. Zawsze ubierała się na brązowo, a tego dnia miała na sobie luźne brązowe pumpy, przypominała w nich skrzyżowanie Haralda Grønningena z Wenche Myhre, narciarza z piosenkarką. Towarzyszył nam jeszcze jeden nauczyciel, młody chudzielec, który biegał w kółko jak podniecony piesek i gadał bez przerwy, Holst od przyrody.

Usiedliśmy na polanie, przy zielonych wrotach do lasu, i Beret natychmiast zaczął nudzić. Najpierw trzy razy nas policzył, mimo że nie brakowało nikogo, z wyjątkiem Smoka, który ciągle leżał w szpitalu, bo miał coś nie w porządku również z gardłem. Głos Bereta roznosił się grzmiąco wśród przyrody. Obok niego stali na baczność Stalówka i Holst.

– A teraz każdy z was poszuka jakiegoś k w i a t k a i pokaże go panu Holstowi. I n i k t za bardzo się nie oddali. Macie na to kwadrans.

Zgromadzeni wstali i rozeszli się na wszystkie strony. My ruszyliśmy tą drogą, którą przyszliśmy. Jak najdalej od Bereta. Kiedy zniknął nam z oczu, usiedliśmy i zaczęliśmy grzebać w trawie.

– Mogliśmy wziąć pi-pi-piłkę – mruknął Ringo.

Obok nas przeszedł żuk. Pozwoliliśmy mu odejść. Nad nami przeleciały jakieś wielkie, długoszyje ptaki, pewnie gęsi zmierzające nad jezioro Sognsvann. Nagle Ringo, zapatrzony w coś, poderwał się na równe nogi.

– Jaki dziwny dom. – Pokazał palcem.

My też się podnieśliśmy i popatrzyliśmy w tamtą stronę.

– To Gaustad – szepnął George. – Tam mieszkają wariaci.

Zobaczyliśmy wysokie ogrodzenie z siatki, stare, ponure budynki prawie bez okien. Z jednego sterczał komin, ogromny jak fabryczny.

– My-my-myślicie… – wyjąkał Ringo – …my-my-myślicie, że ich pa-pa-palą?

Z komina nie wydobywał się żaden dym. Niebo było błękitne, czyste.

– To tylko kuchnia – powiedział John. – Pomyśl, ile potrzeba jedzenia.

– Wariaci okropnie dużo jedzą – dodał George.

Znów usiedliśmy. Żuk wspiął się na wysokie źdźbło. Wczepił się w nie, a źdźbło nachyliło się ku ziemi, czarna tarcza na żółtej trawce.

Coś poruszyło się za krzakiem i nagle ukazała się głowa Bereta.

– A wy już znaleźliście kwiatki?

– Nie – odparłem. – Ale złapaliśmy ogromnego żuka.

– Mówiliśmy o kwiatkach! – krzyknął Beret. – Żuka natychmiast wypuśćcie! Poszukajcie kwiatków!

Odwrócił się na pięcie i zniknął między drzewami jak duch.

Zaczęliśmy chodzić w kółko, wpatrzeni w ziemię. Tu, w lesie, nie było kwiatów, musieliśmy wyjść na łąkę. Nagle zostałem sam. Reszta chłopaków zatrzymała się z tyłu, za krzakiem. Ale sam wcale nie byłem, bo zaraz trzasnęła gałązka, odwróciłem się i zobaczyłem Ninę.

– Jaki kwiatek znalazłeś? – spytała.

– Żadnego.

– Ja mam dwa.

Stała tuż przede mną, nie dalej niż o metr, bo czułem jej oddech. Widziałem też, że ma jasne włosy pod pachami, bo była w bardzo luźnej bluzce, i piersi, nie największe w szkole, bo pod tym względem wygrywała Klara, ale mimo wszystko. Przełknąłem kamień w gardle i rozejrzałem się za resztą, ale chłopaków nigdzie nie było.

– Jak wyglądał ten człowiek, którego znaleźliście na Bygdøy? – spytała nagle.

– Nie wiem. Za bardzo mu się nie przyglądałem.

Na łące coś się zaczęło dziać. Wszyscy się zbiegli, ustawili w wielkim kręgu i w coś wpatrywali. Wśród tego zamieszania słychać było podniecony głos nauczyciela od przyrody.

– Chodźmy zobaczyć – zaproponowałem prędko.

– Mogę ci dać jeden kwiatek. – Nina wyciągnęła rękę. Spojrzałem na jej dłoń. Była drobna i wąska. Trzymała kwiat.

– Fajnie, dzięki – powiedziałem i ostrożnie wziąłem w palce wilgotną zieloną łodyżkę. Naliczyłem cztery czerwone płatki złożone w kształt wielkiej kropli.

– To mak – szepnęła Nina.

Co sił w nogach pobiegliśmy na łąkę. Holst stał w środku kręgu i pokazywał coś na ziemi. Leżał tam zwinięty wąż.

– To z natury możecie czerpać najważniejszą wiedzę – wygłaszał kazanie. – Natura jest lepsza od wszystkich książek!

Staliśmy cicho jak myszki, wystraszeni, wpatrzeni w węża.

– W Norwegii mamy tylko jednego jadowitego gada – ciągnął Holst. – Mianowicie żmiję zygzakowatą. Natomiast zaskroniec jest zupełnie niegroźny. A padalec nie jest prawdziwym wężem, zalicza się do rodziny jaszczurek. Ten, którego tu widzicie, to zaskroniec, czyli gad zupełnie niegroźny.

Rozejrzał się triumfalnie. Beret zrobił krok do przodu, nieco bardziej ośmielony, ale Stalówka trzymała się z dala. Pumpy łopotały jak proporce.

– Zaraz wam pokażę. – Holst prawie śpiewał. – Podniosę go za ogon. Nie jest groźny, ponieważ to zaskroniec. A gdyby się okazało, chociaż oczywiście tak nie będzie, że to żmija, to podnoszenie jej za ogon też niczym nie grozi, bo żmija nie potrafi unieść głowy i ukąsić w powietrzu!

Kiedy Holst zakasał rękawy koszuli, krąg się rozszerzył.

– Mnie to wygląda na żmiję – zawyrokował John, który stał tuż za mną.

– Mnie też. To na pewno żmija.

– A czy to takie mądre trzymać żmiję za ogon? – spytał John.

– Niemądre.

Holst nachylił się, błyskawicznie podniósł węża i pokazał go, uśmiechając się promiennie. Wtedy wąż obrócił się w powietrzu, wyrzucił łeb w przód i ugryzł go w ramię. Wszyscy zaczęli krzyczeć. Krzyczał też Holst, z wrzaskiem strącił węża z siebie, a krąg rozpierzchł się na wszystkie strony. Wąż zniknął w wysokich zaroślach, Holst osunął się na ziemię, Beret bezradnie wymachiwał rękami.

– Umieram – wycharczał Holst, biały jak cukier. – Umieram.

Zanieśliśmy go na obwodnicę, udało nam się zatrzymać samochód, który zabrał go na pogotowie. Nauczyciel przyrody Holst przeżył. Później Beret mówił, że najwięcej uczymy się metodą prób i błędów. Był przekonany, że w przyszłości żaden z nas nie będzie łapał węża za ogon.

W powrotnej drodze John nagle się zatrzymał.

– Co tam masz? – spytał, wskazując na moją rękę.

– Kwiatek, chyba widzisz.

– A na co ci on? – George zachichotał.

– Dam mamie – powiedziałem. – Ma urodziny.

– O rany.

Przed nami szła Nina. Nie mogłem oderwać oczu od jej pleców, od szczupłej, długiej szyi.

Delikatnie zacisnąłem palce wokół ogromnej czerwonej łzy.

Ktoś zaczął śpiewać: „W Gaustad jest dziura w płocie, w Gaustad jest dziura w płocie!".

Na Bygdøy zobaczyliśmy śmierć. Teraz była obecna wśród nas w inny sposób. Egzamin. A może to czas oczekiwania przypominał śmierć, był czymś w rodzaju poczekalni, białej i bezszelestnej? Właśnie tak jest, czas oczekiwania to śmierć, bo kiedy to, na co się czekało, wreszcie przychodzi, to zarazem mija; przez pięć lat baliśmy się szczepienia, nazywanego ukłuciem widelca, ten zabieg w miarę upływu czasu rozrastał się do szalonych rozmiarów, w końcu wyobrażaliśmy sobie widły do siana wbite w plecy. Ale kiedy wreszcie stanęliśmy rządkiem w gabinecie lekarskim, nadzy od pasa w górę, pielęgniarka przetarła nam ramiona wilgotną watką i wcale nie bolało, gdy doktor ukłuł, poczuliśmy wręcz rozczarowanie, jakby ktoś nas wyprowadził w pole. Tak samo było z egzaminem. Kiedy wreszcie usiadłem w zalanej słońcem klasie, a przede mną leżały zadania, poczułem się tak, jakby już było po wszystkim albo jakby zaczęło się coś zupełnie nowego. Cisza ogłuszała, nawet szkolny dzwonek nie dzwonił, i tak to trwało aż do chwili wyciągnięcia drugich śniadań i otwarcia okien na oścież – wtedy wleciało do nas lato wraz ze śpiewem ptaków,

dzwonkami rowerów i całą orkiestrą zapachów. Pierwszego dnia mieliśmy arytmetykę i geometrię, drugiego – angielski, a na koniec wypracowanie. Kiedy trzeciego dnia egzamin się skończył, zbiegliśmy ze schodów i popędziliśmy do miasta, do kawiarni Studenckiej, każdy miał w kieszeni piętnaście koron, a ślina już nam ciekła. Zaczęliśmy od czekoladowego milkshake'a, kontynuacją był banana split.

– Na który temat pisaliście? – spytałem w końcu.

– „Opowiedz o ciekawym przeżyciu" – odpowiedzieli John, George i Ringo.

Oczywiście oni też wybrali ten temat, no bo o czym innym mogliśmy pisać, jeśli nie o człowieku, który utopił się w Huk?

Przełknąłem banana i spojrzałem na Ringa.

– Chyba nie napisałeś, że wrzuciliśmy te znaczki z samochodów do morza?

– Zwa-zwa-zwariowałeś? Jak mogłem o tym na-na-napisać!

Zakończyliśmy koktajlem lodowym, sokiem jabłkowym i lodami włoskimi z krokantem. Potem, syci i ospali, ruszyliśmy w stronę Zamku, obok Pernille, restauracji na świeżym powietrzu, pełnej szalonych ludzi wywijających szklankami od piwa. Z naprzeciwka nadeszli dwaj gwardziści, dziewczyny zaczęły na nich gwizdać i machać, poczerwienieli jak buraki pod tymi swoimi wielkimi czapami. To było życie.

Na Drammensveien spotkaliśmy Gąsiora. Szedł z matką, wystrojony w krawat i niebieską marynarkę, świeżo ostrzyżony. Jego kark przypominał kamień szlifierski, a matka, niesamowicie wysoka, nachyliła się nad nami i przeciągając samogłoski, powiedziała:

– Postój tu sobie chwilę i porozmawiaj, ale potem przyjdź.

Odwróciła się i ruszyła w dół Glitnebakken.

– Dokąd idziesz? – spytał George.

– Do cukierni Halvorsena – odmruknął Gąsior.

– Jak ci poszło? – spytał John.

– W porządku. – Gąsior uciekł wzrokiem.

– A na który temat pisałeś?

– Na trzeci – powiedział cicho.

– A co takiego ciekawego przeżyłeś? – George się roześmiał.

Gąsior nie patrzył teraz na żadnego z nas, chciał pobiec za matką, ale jakby nie mógł.

– Pisałem o… pisałem o tym facecie, który się utopił na Bygdøy.

Nie wierzyliśmy własnym uszom.

– Pisałeś… pi-pi-pisałeś o tym, co m-my przeżyliśmy? – wykrztusił z siebie Ringo.

Gąsior szybko kiwnął głową. Ciasny kołnierzyk koszuli wpijał mu się w szyję.

– Ale przecież ciebie, do jasnej cholery, tam wtedy nie było! – krzyknął John. – Do diabła, to nie ty to przeżyłeś!

– Przecież na egzaminie nie można kła-kła-kłamać! – syknął Ringo.

Gąsior rozchylił suche wargi, wzrok wbił w jakiś punkt ponad parkiem Zamkowym.

– To nie było kłamstwo – oświadczył uroczyście. – Tylko t w ó r c z a f a n t a z j a.

John uznał, że to przekroczyło już granice bezczelności, chwycił go za ramię i wcisnął w miękki asfalt.

– Musisz, do cholery, zrozumieć, że nie możesz pisać o n a s z y c h przeżyciach! Jak ci się wydaje, o czym myśmy pisali?

Gąsior stał pochylony pod ciężarem ręki Johna.

– Wszyscy w klasie pisali o tym samym – szepnął. – Wszyscy!

John puścił go i popatrzył na nas.

– Wszyscy w klasie pisali o tym, co się wydarzyło na Bygdøy? – spytałem zdumiony.

– Tak. Wszyscy. Oprócz Smoka.

Powiedziawszy to, Gąsior pobiegł za matką, a my dalej staliśmy na Drammensveien i czuliśmy się perfidnie oszukani. Zagrano nam na nosie. No ale ci, którzy będą sprawdzać wypracowania, muszą chyba zrozumieć, że to właśnie my tam byliśmy, a pozostali jedynie usłyszeli o tym z naszych ust? Na pewno. Uspokojeni taką konkluzją, rozeszliśmy się do domów po kąpielówki i ręczniki, a potem ruszyliśmy na kąpielisko w parku Frogner.

– Pamiętasz zakład? – odezwał się George, kiedy staliśmy przy basenie z wieżą do skoków.

Odwróciłem się. Wieża wznosiła się ku niebu, wyższa niż komin w Gaustad. Poczułem mrowienie, zacząłem się w środku żarzyć, jakbym był elektrycznym węgorzem.

– Tak – powiedziałem. – Jasne.

Byłem sam na szczycie wieży. Widziałem z niej całe Oslo. Rozgrzane powietrze drżało na horyzoncie. Wszedłem na trampolinę. Do ziemi było daleko, ale wydawało się, że jest jeszcze dalej, bo woda oddalała zielone dno. John, George i Ringo nie odrywali ode mnie oczu, zresztą nie tylko oni, wszyscy inni na dole też mnie obserwowali, strażnik dmuchnął w gwizdek, nakazując ludziom się odsunąć, żebym miał wolną drogę. Uświadomiłem sobie nagle, że wszyscy na mnie czekają. Teraz nie mogłem się już wycofać. Byłem uwięziony. Nie miałem odwrotu. To mnie uspokoiło. Nabrałem powietrza w płuca, najpierw spadanie poczułem w sobie, dziesięć metrów sto razy przemknęło mi przez głowę, potem zamknąłem oczy i rzuciłem się w dół. Natychmiast dotknąłem wody.

Wyciągnęli mnie na brzeg. Odbijało mi się chlorem, ale poza tym byłem w dobrej formie, miałem tylko zaczerwienione czoło i świeżo zaorany przedziałek.

– Unosiłeś się w powietrzu jak orzeł – oświadczył George, wręczając mi paczkę papierosów. Oczywiście kupił ją już wcześniej.

Po powrocie do domu wystawiłem obolałą głowę przez okno. Poczułem zapach morza dochodzący od zatoki Frognerkilen, a potem usłyszałem nad sobą jakieś dziwne odgłosy. Podniosłem wzrok i wydało mi się, że odkryłem nową planetę, jasnoczerwoną, z trzema kraterami i czarnym górskim szczytem. To był Jensenius.

– Cześć – powiedział.

– Cześć.

– Wyświadczysz mi przysługę?

– Jaką?

– Kupisz mi piwo?

Poszedłem do niego na górę, już czekał w drzwiach, wieloryb, sterowiec; żeby wyjść z domu, musiał przechodzić bokiem.

– Piętnaście eksportowych – szepnął, wręczając mi garść monet.

Kupiłem piwo u Jacobsena na rogu, znali mnie tam, zapłaciłem w okienku facetowi w typie Clarka Gable'a i zataszczyłem ładunek na Svoldergata. Jensenius znów na mnie czekał i wpuścił mnie do środka przez szparę w drzwiach. Wziął ode mnie siatkę i pomaszerował do salonu. Tam osunął się na ogromny skórzany fotel i otworzył pierwszą butelkę. Wypił połowę, zlizał pianę z ust i wolno się do mnie odwrócił. Stałem w progu.

– Możesz zatrzymać resztę – powiedział. – Miły z ciebie chłopiec.

Na ścianach wisiało mnóstwo fotografii, zapewne pochodzących z czasów, kiedy Jensenius był młody i cieszył się światową sławą. Trochę nieprzyjemnie pachniało. Na oknach osiadła pleśń.

– Może mnie pan nauczyć śpiewać? – spytałem.

Jensenius długo mi się przyglądał, z butelką przy ustach. W końcu ją odstawił i wyciągnął rękę, a jednocześnie szeroki uśmiech przeciął tłuszcz na jego twarzy jak tępy nóż.

– Czy mogę nauczyć cię śpiewać? – pisnął.

– Właśnie.

Podszedłem do niego.

– A dlaczego chciałbyś nauczyć się śpiewać, mój młody przyjacielu?

– Bo chcę być piosenkarzem – powiedziałem po prostu.

Kazał mi usiąść w fotelu, otworzył od razu pięć butelek piwa, a potem przez dwie godziny słuchałem jego opowieści o śpiewaniu, o śpiewaniu i o pięknie.

– Śpiew to kwestia całkowitego rozprężenia się – powiedział na koniec. – Rozprężenia, a jednocześnie zachowania kontroli. Musisz zachować kontrolę! Ale nie bój się swojego głosu. Wszyscy mają w środku wielkie głosy, tutaj! – Uderzył się w pierś. Z wypłowiałej koszuli poderwał się kurz. – Wypuść go! – pisnął. – Krzycz!

Ostatni dzień w szkole był niesamowity. Beret włożył ciemny garnitur, wyświecony na kolanach i łokciach. Wydawał się podekscytowany, wręcz wstawiony. W pierwszej chwili pomyślałem, że z pewnością nie posiada się ze szczęścia, bo wreszcie z nami kończy, ale później zrozumiałem, że jest mu przykro i próbuje to ukryć za tymi dzikimi gestami i uśmiechem. Wygłosił do nas przemowę, wcale nie krótką, a później Gąsior pokuśtykał do katedry z bardzo niespokojnym prezentem, który cholernie hałasował. Beret zaczął zdejmować papier i w końcu trzymał w rękach wielką wazę, w której pływała wściekła złota rybka. Tego dla Bereta było już za wiele, musiał wyjść na korytarz, tam długo, z trudem łapał powietrze i wycierał nos.

Przeszliśmy potem do sali kinowej, gdzie już siedziała roztrzęsiona reszta kapuścianych głąbów, a pod ścianami zasiadły jak na grzędzie matki, mrugały i machały, w letnich sukienkach, z trwałymi na głowach i trzymetrowymi chusteczkami w pogotowiu. Moja zajęła miejsce tuż przy drzwiach i tak się we mnie wpatrywała, że wypaliła mi piętno na plecach, a dwa rzędy przede mną siedziała Nina. Kiedy się odwróciła i pokazała mi sznurek białych zębów, poczułem, że znalazłem się w krzyżowym ogniu, więc zgiąłem się wpół.

Nina nachyliła się do mnie.

– Skaczesz z dziesiątki? – szepnęła.

– A co? – Zaczerwieniłem się.

– Widziałam.

Huknął głos dyrektora, mówił to samo co Beret, pod ścianami rozległo się pociąganie nosem i cmokanie. Oto słowa, które powinniśmy wziąć sobie do serca, od tej pory sytuacja stawała się poważna, od tej pory czekały nas większe wymagania, od tej pory, od tej pory, o rany. Ale poza tym życzył nam udanego lata i liczył, że nie przeżyjemy załamania nerwowego przed świętym Janem. Potem znów był szybki powrót do klasy, gdzie Beret rozdał nam świadectwa i uścisnął dłonie. Złota rybka pływała w kółko, otwierając pyszczek, gdy tylko ktoś się zbliżył. Dostałem piątkę z angielskiego, czwórkę z rachunków. I czwórkę z norweskiego. John miał to samo co ja, tylko piątkę z rachunków. George też dostał czwórkę z norweskiego, ale Ringo przeklinał okrągłą tróję.

– Trója! – parskał. – Dostałem tróję z wy-wy-wypracowania!

Podskoczył do Gąsiora, który stał i uśmiechał się do siebie.

– Co dostałeś z wy-wy-wypracowania? – zawołał.

– Piątkę – odparł Gąsior.

Ringo zmienił się w znak zapytania i o mało się na niego nie rzucił. Powstrzymaliśmy go.

– Nic nie rozumiem – mamrotał. – To nie-nie-spra-sprawiedliwe!

Wszyscy byliśmy dość mocno wkurzeni i zastanawialiśmy się, czy po raz ostatni nie zaatakować Bereta, ale w końcu uznaliśmy, że nam to wisi, i przyłączyliśmy się do strumienia opuszczającego klasę. Ostatni raz widzieliśmy wtedy Bereta – stał z rękami przyciśniętymi do szklanej wazy, nieco zdezorientowany i bezradny, pewnie się zastanawiał, jak ją przetransportować do domu.

Matki czekały przy skwerze Harelabben, więc wymknęliśmy się na Holtegata, zostawiwszy szkołę za sobą. Uczciliśmy to wydarzenie, kupując na spółkę w cukierni dziewiętnaście rumowych kartofelków. To była największa partia, jaką zjedzono od czasu śmierci dentysty trzy lata temu.

– Mam tróję z religii – wymamrotał z pełnymi ustami John.

– A ja z robót ręcznych – powiedziałem.

Zaczęliśmy porównywać stopnie i stwierdziliśmy, że mimo wszystko wcale nie wypadliśmy najgorzej. Miałem jeszcze tylko jedną tróję, z kaligrafii, i czwórkę ze sprawowania, tak jak George.

Dopiero gdy wróciłem do domu na obiad, dotarło do mnie, że to musi być punkt zwrotny. Od tej pory, dźwięczało mi w uszach. Mama nakryła do stołu w salonie, chociaż był powszedni dzień, a ojciec wyciągnął do mnie rękę, jakbyśmy nigdy wcześniej się nie widzieli. Uścisnął mi dłoń.

– Gratuluję, synu – powiedział. – Pokaż mi stopnie. I umyj ręce.

Poszedłem do łazienki, a kiedy stamtąd wróciłem, ojciec miał napiętą i dość bladą twarz. Jego palec wskazujący kiwał się nad stopniem ze sprawowania.

– Co to znaczy? – spytał. – Co to znaczy, że masz dobry ze sprawowania?

– Nie wiem – odparłem pokornie.

– N i e w i e s z! Musisz wiedzieć, co zrobiłeś, chłopcze!

Zastanowiłem się. Nie wystarczy być dobrym?

– Gunnar i ja gadaliśmy na lekcjach – powiedziałem. – Siedział za mną.

– Rozmawialiśmy – poprawił mnie ojciec. – Ach tak? To znaczy, że on też ma dobry?

Nagle zgłupiałem i postanowiłem być szczery.

– Nie. On ma bardzo dobry.

Ojciec spojrzał na mnie wielkimi oczami, usta już mu się otwierały, ale w końcu weszła mama z jedzeniem, a kiedy spojrzała na stopnie, uściskała mnie. Pachniała perfumami i cytryną.

– Piątka z pisemnego angielskiego, to przecież wspaniale!

Popatrzyła na ojca, pokiwał głową, a w kąciku ust pojawił mu się ostrożny uśmiech. Wreszcie położył mi sztywną rękę na ramieniu i lekko mną zakołysał; właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że coś się dzieje, że teraz będzie od tej pory. Od tej pory.

Gotowany pstrąg. Rodzice pili białe wino i twarze trochę im się od tego rozmyły. Nawet ja mogłem wziąć na próbę łyk z zielonego kieliszka matki, zapiekło w język jak sfermentowana oranżada w proszku, ale przełknąłem bez skrzywienia. Apetyt niezbyt mi dopisywał po tylu ciastkach, więc siedziałem, wyciągając z zębów ości, i myślałem sobie o Berecie, o tym, jak dźwiga ulicami wazę ze złotą rybką. To było dość komiczne, pewnie dlatego miałem nieobecny wzrok.

– Co to była za dziewczynka? – spytała nagle matka.

– Dziewczynka? – wycharczałem.

– Ta, która w sali kinowej siedziała przed tobą.

– W sali kinowej?

Rozległ się dzwonek do drzwi, w samą porę. Poderwałem się, żeby otworzyć.

To był Gunnar.

– Przyjechali! – wydyszał, machając rękami. – Przyjechali!

Wykonałem obrót w miejscu i pognałem z powrotem do salonu.

– Przyjechali! – oznajmiłem. – Muszę lecieć.

Ojciec nie wierzył własnym uszom.

– Kto przyjechał?

– Rolling Stonesi!

Na talerzach pełno było rybich skór i ości, kieliszki opróżnione zaledwie do połowy, pod moim krzesłem leżał plasterek ogórka, serwetki przypominały zwinięte kwiaty, kaczeńce, zabrudziłem obrus.

– No to idź. – Ojciec się uśmiechnął, ale już wtedy wychodziłem. Po drodze zahaczyliśmy o Olę i Seba i zdążyliśmy na Złotą Rybkę do miasta.

– Godzinę temu wylądowali na Fornebu – wydyszał Gunnar. – Brachol widział. Mieszkają w Vikingu.

– Myślałem, że przyjeżdżają dopiero jutro – powiedział Seb.

– Żeby uniknąć awantur – wyjaśnił Gunnar. – Prawie nikt nie wie, że już przyjechali.

Wysiedliśmy na Dworcu Wschodnim i co sił w nogach popędziliśmy do Vikinga. Kiedy się zbliżaliśmy, usłyszeliśmy okrzyki, rytmiczne okrzyki, i tupanie. Nie byliśmy pierwsi. Byliśmy ostatni. Stały tam już setki ludzi, krzyczących, patrzących w górę. Przystanęliśmy i też zaczęliśmy się gapić. Ale nic nie widzieliśmy, tylko niebo i mnóstwo okien.

– Na pewno leżą w wannie i popijają szampana – powiedział Seb.

– Z mnóstwem dzie-dzie-dziewczyn!

Nagle wokół nas zapadła cisza, kompletna cisza, na ułamek sekundy, i potem znów gruchnęło, jeszcze głośniej niż poprzednio, a wszyscy coś sobie pokazywali, wpatrzeni w jeden punkt. Na ósmym piętrze ukazała się w oknie twarz okolona długimi jasnymi włosami.

– To Brian! – wrzasnął mi do ucha Gunnar.

To był Brian Jones. Oniemiałem. Inni krzyczeli. Jakaś dziewczyna przed nami osunęła się na chodnik, tylko westchnęła i upadła na asfalt. Twarz w oknie zniknęła. Dwaj gliniarze utorowali sobie drogę przez tłum i podnieśli dziewczynę.

– To Mick! – krzyknął ktoś. – To Mick!

W oknie na ósmym piętrze pojawiła się nowa postać, ledwie widoczna, ale oczywiste było, że to musi być Mick. Krzyki dotarły do nieba, ja też wrzeszczałem, ale z moich ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

– Teraz są już wszyscy! – zawołał Seb.

Pięć sylwetek na ósmym piętrze w hotelu Viking. Potem nagle ktoś zaciągnął zasłonę, jak po ostatniej scenie filmu. Krzyki trwały jeszcze przez pewien czas, w końcu dźwięki opadły, wróciły do ciał.

– Muszą o-o-odpocząć, to jasne – stwierdził rzeczowo Ola. – Przed ko-ko-koncertem na Sjølyst.

– Pewnie – przyznał Gunnar. – Dużo bym dał za bilet.

– Pussycats będą grać na rozgrzewkę – powiedziałem.

– O kurczę!

Nagle ktoś stanął za nami. Smok. Pierwszy raz podszedł do nas tak blisko. Gunnar odwrócił głowę.

– Cz-cz-cześć – wyjąkał Ola.

Smok nie mógł się już uśmiechać ustami, chichotał za to oczami. Bez najmniejszego wahania pokazywał okaleczoną twarz. Czuć było od niego piwo.

– Co tu się dzieje? – spytał zaskakująco wyraźnie.

– Nie wiesz? – zdumiał się Seb. – Rolling Stonesi mieszkają w Vikingu.

Smok się rozejrzał. Rana na twarzy sprawiała, że wyglądał wręcz nieludzko.

– Nie mieszkają w Vikingu – oświadczył.

– Co?

– Nie mieszkają w Vikingu – powtórzył, dmuchając na nas ciepłym piwnym oddechem.

– Co chcesz nam wmówić?! – niemal wrzasnął Gunnar. – To oczywiste, że mieszkają w Vikingu!

– Wi-wi-widzieliśmy ich! – dodał Ola.

– Manewr odwracający uwagę – wybełkotał Smok. Oczy miał wąskie, zaczerwienione. – Mieszkają zupełnie gdzie indziej.

– Skąd wiesz? – Gunnar trochę stracił pewność siebie.

– Wiem.

– No to gdzie mieszkają? – spytałem. – Skoro tak wszystko wiesz.

– Nie mogę powiedzieć. Tajemnica.

Gunnar wyraźnie uznał, że miarka się przebrała.

– Tajemnica! Kompletnie ci odbiło, co?

Smok był jednak niezłomny.

– Tajemnica między mną a Mickiem.

Patrzyliśmy na niego oniemiali, ale jego okaleczona twarz nie cofnęła się ani o milimetr.

– Łżesz! – krzyknął Gunnar. – Łżesz, aż się kurzy!

Smok wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej notes.

– No to zobaczcie – powiedział wręcz uroczyście.

Spojrzeliśmy na kartkę. Było na niej nazwisko. Mick. Mick Jagger. Płaskie, pospiesznie nakreślone litery. Smok nie mógł tego sam napisać. Miał dwóję z kaligrafii, za nic w świecie nie wyszłyby mu takie zgrabne „g".

Gunnar zzieleniał, dolna warga opadła mu o jedno piętro w dół. Nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Wierzycie mi teraz? – Smok cmoknął. Znów wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej coś innego. – Dostałem za trzymanie gęby na kłódkę.

Machnął nam tym czymś przed nosem i błyskawicznie schował to z powrotem. To był bilet na koncert na Sjølyst.

– Łżesz! – powtórzył po raz ostatni Gunnar.

– Myślcie sobie, co chcecie – powiedział Smok cicho, straszliwie cicho.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, wielki Smok, który musiał powtarzać siódmą klasę, próbował zamordować Bereta, a później robił inne, gorsze rzeczy, okazał się bardziej przebiegły, niż sądziliśmy. Smok, wielkie, tłuste plecy, ogromna głowa i za krótkie spodnie.

– Co o tym myślicie? – spytał po chwili Seb.

– Cholera, nie wiem – przyznałem.

– Przecież ich widzieliśmy! – upierał się Gunnar. – Widzieliśmy ich na własne oczy!

Podnieśliśmy wzrok na ósme piętro. Wysoko.

– Może ktoś tylko udawał Rolling Stonesów – podsunął cicho Seb.

Wzruszyliśmy ramionami i odeszliśmy stamtąd. Na Karl Johan roiło się od ludzi, we wszystkich kawiarnianych ogródkach było pełno, dziewczyny miały jasne spódnice z materiałów cieniutkich jak skrzydła motyla,

wszyscy się śmiali, chociaż nie było z czego, ale i tak się śmiali, a ciemność ledwie zaczynała sączyć się z nieba, opadała płatkami, pachniało papierosami i bzem.

Doszliśmy do Dworca Zachodniego, nie odzywając się do siebie ani słowem, po prostu szliśmy dalej, minęliśmy największego banana na świecie na dachu dojrzewalni Matthiessena, a kiedy dotarliśmy do Króla, budynku klubowego Towarzystwa Wioślarskiego w Christianii, usiedliśmy na ławce i zapatrzyliśmy się w zatokę Frognerkilen. Żaglówki płynęły do brzegu. Do Club 7 zmierzali po pomoście swobodnie ubrani ludzie.

– Jutro wyjeżdżamy, mama i ja – obwieścił Seb. – Spotykamy się z ojcem w Göteborgu.

– Ja też wy-wy-wyjeżdżam. – Ola westchnął. – Jedziemy do babci w Toten. Nu-nu-nuda.

Za nami z łoskotem przejechał pociąg, zabrał ten odgłos ze sobą na zachód, zniknął za Skarpsno.

– My jedziemy do Arendal – powiedział z żalem Gunnar. – Ale bez Stiga. On się wybiera do znajomych na działkę.

– Ja też jadę jutro – przyznałem. – Do Nesodden.

Więcej się nie odzywaliśmy. Ale myśleliśmy o tym samym. O tym, że nie ma pewności, czy jesienią trafimy do tej samej klasy lub w ogóle do tej samej szkoły. Nie rozmawialiśmy o tym, ale wiedzieliśmy, że wszyscy o tym myślimy, i bez względu na to, co się wydarzy, nigdy się nawzajem nie zawiedziemy.

Ciemność nabrała wyrazistości. Okrążył nas wiatr, ciepły i miękki.

I tak się zaczęło lato, od wrzasku, który przeszedł w długą, zieloną ciszę, powoli zmieniającą się w błękit.

SHE'S A WOMAN
LATO ’65

To było najzimniejsze lato od wojny. Leżałem w pokoju na piętrze i puszczałem płyty, czytałem stare tygodniki albo w ogóle nic nie robiłem, słuchałem tylko sroki, która histerycznie skrzeczała na drzewie, po czym nagle odlatywała, jak czarne nożyce wśród deszczu.

Oto co pamiętam: tenisówki, które pozieleniały i zrobiły się ciasne od chodzenia po mokrej trawie, ślimaka ciągnącego za sobą po schodach błyszczący śluz, owalny kształt owoców agrestu i ich wstrętną włochatą powierzchnię (kojarzącą mi się z czymś, czego nigdy nie robiłem), białe porzeczki i skurcze żołądka, wychodek i wyblakłą fotografię pradziadka, który kupił Dom w 1920 roku. I ciszę. Ciszę otoczoną deszczem, pod kołdrą i pod skórą, potężną, brzemienną ciszę. Ojciec, zanim również dostał urlop, co rano pływał promem do miasta i wracał punktualnie o piątej, a mama krążyła po Domu, poruszając się bezszelestnie w kapciach, owinięta wielkim szalem, cały czas marzła i się nudziła, tak samo jak ja.

W jeden z takich dni, ze ścianą deszczu za szybą, mama wpadła na niesamowity pomysł.

– Okropnie się nudzę – oświadczyła nagle i obiema rękami złapała się za głowę. – Tak tu ciemno. Wymyślmy coś!

– Ojciec chyba powinien już niedługo wrócić – powiedziałem tylko.

Wstała i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju.

– Zostaje w mieście do jutra. – Westchnęła, patrząc na deszcz. – Zebranie.

– Możemy zagrać w karty – zaproponowałem nieśmiało.

– O nie. Uf! Nienawidzę gry w karty! Przecież wiesz!

Zastanawiałem się, czy nie iść na przystań, nie wypróbować nowej błystki.

Ale mama mnie uprzedziła:

– Już wiem! – oznajmiła głośno. – Przebierzemy się! Urządzimy bal przebierańców!

– Przebierzemy się? – mruknąłem. – A w co?

– W szafie na strychu jest mnóstwo starych ubrań!

Szybkim krokiem wyszła z pokoju i dość długo jej nie było. Miałem wielką ochotę po prostu uciec, może wybrać się na poziomki, na pewno już urosły przy takiej ilości deszczu. Nie ruszyłem się jednak z miejsca, a mama wróciła z naręczem łachów.

– Proszę – oznajmiła rozpromieniona i rzuciła wszystko na wielki stół, który stał na środku.

Ubrania dziwnie pachniały, kulkami na mole, kurzem, zmarłymi, tak przynajmniej sobie wyobrażałem, i zrobiło mi się trochę strasznie. Mama zaczęła grzebać w tym stosie, odkładała na bok to, co jej się podobało, i cały czas się śmiała, nie śmiała się tak przez całe lato. Wybrałem dla siebie starą dwurzędową marynarkę i powiesiłem ją na krześle.

Mama się rozebrała. Spojrzałem na nią przerażony i czym prędzej się odwróciłem.

Roześmiała się.

– Wstydzisz się, Kim?

Zaszeleścił jedwab. Odwróciłem się szybko i znów przeniosłem na nią wzrok. W półmroku pokoju popatrzyła mi w oczy, a w jej spojrzeniu było mnóstwo lęku i czułości. Stała rozebrana, aż ramiona pokryły jej się gęsią skórką, długo panowała cisza, mama zapewne uświadomiła sobie, że trochę mnie teraz traci.

Później paradowała w obcisłej, prostej sukni, całkiem czarnej, sięgającej jej aż do kostek, a na czole miała równie czarną przepaskę, z włosów sterczało wielkie żółte pióro. Wysuwała ogniście czerwone wargi. Ja, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, w starej lnianej marynarce pradziadka, wyglądałem chyba jak ogrodnik albo majtek na statku. Mama zaczęła deklamować wiersze i kwestie, których uczyła się dawno temu, zanim poznała ojca, i które nigdy jej się nie przydały, a ja wyczułem, że u niej tak niedaleko od śmiechu do płaczu, bo chociaż wydawała się wesoła i robiła tyle dziwnych rzeczy, było to jednak samotne przedstawienie, samotne i przesycone paniką.

Klaskałem ile sił w dłoniach.

Tej nocy przyśnił mi się zły sen: leżałem w głębokiej ciemności, ciemniejszej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałem. Kiedy machnąłem ręką, uderzyłem w coś twardego tuż obok. Waliłem w to, aż zacząłem krwawić. Wtedy usłyszałem coś poza tą ciemnością, najpierw głosy, cichy szmer głosów, bez wyraźnych słów, a później muzykę. Uderzałem w tę ciemność, krzyczałem z całej siły, ale nic nie pomagało. Potem zacząłem się zapadać, a jednocześnie dotarł do mnie nowy dźwięk: odgłos ziemi przesypującej się po deskach, trzy razy.

Dzień później wiedziałem, że nadszedł czas. Wieczorem, kiedy ojciec już wrócił z miasta, wziąłem kąpielówki i poszedłem na plażę. Nie padało, ale od fiordu wiał mocny wiatr, który popychał przed sobą wodę ostrymi, białymi falami. Przebrałem się i wyszedłem na trampolinę, nagle się zawahałem, ale w końcu skoczyłem. Woda owinęła mnie szarym chłodem, prąd i fale odciągały mnie od brzegu, musiałem użyć wszystkich sił, żeby stawić im opór. Na moment wpadłem w panikę, już chciałem wołać o pomoc, ale przecież i tak nie było tam nikogo, kto by mnie usłyszał. W końcu odzyskałem kontrolę, ukośnie przeciąłem prąd i wydostałem się na brzeg.

Wyszedłem z wody zmarznięty jak pies, wiatr przenikał mi ciało na wylot, trzęsąc się z zimna, ruszyłem skalistym brzegiem i zatrzymałem się w miejscu, w którym miałem naprzeciwko siebie i wiatr, i fale. Kilka razy wciągnąłem powietrze głęboko w płuca, napełniłem się nim, a potem zacząłem krzyczeć. Krzyczałem, dopóki z oczu nie trysnęły mi łzy, ale prawie sam siebie nie słyszałem, bo wiatr miał większe płuca od moich. Coś się we mnie luzowało, jak lawina, krzyczałem, wyłem, chwilami śpiewałem, ale w głowie miałem tylko kilka słów, powtarzałem je na okrągło, bez melodii:

Nie myśl o skutkach.
Unoś się na falach.
Nie myśl o skutkach.
Unoś się na falach.

Wkrótce byłem wykończony. Zmęczony i szczęśliwy, osunąłem się na mokre kamienie. Nie miałem w sobie kompletnie żadnego dźwięku. Wykrzyczałem go z siebie, pierwszy raz. A teraz mój krzyk, mój śpiew wyruszyły w kosmos, jak sputnik, który krąży wokół Ziemi.

Któregoś dnia wróci.

Ubrałem się i sztywny powlokłem się do Domu. Ojciec stał na werandzie, rozglądał się na wszystkie strony, a w oczach miał dzikość.

– Gdzieś ty był? – zawołał.

– Kąpałem się.

– Dobrze wiesz, że nie wolno ci się kąpać samemu!

Nie miałem siły odpowiedzieć.

Mama też wyszła, spojrzała na mnie podejrzliwie, zresztą przez cały dzień była trochę skrępowana.

– Przeziębisz się, Kim – powiedziała tylko.

Rzeczywiście się przeziębiłem. Sześć dni przeleżałem w łóżku z gorączką, wśród łagodnych zwidów, na drzewie za oknem cały czas skrzeczała sroka. A kiedy w końcu wstałem, siódmego dnia, pusty w środku i głodny, na niebie płonęło słońce, nareszcie zjawiło się lato. Siedzieliśmy na werandzie przy drugim śniadaniu, kiedy zjawił się również stryj Hubert. I to nie sam. Przywiózł ze sobą dziewczynę.

No cóż. Ojciec zmienił się w homara, a matka w kanarka. A ja? Ja w motyla. W brzuchu. Stryj i ta dziewczyna, ciężko tupiąc i sapiąc, szli do nas pod górę, spoceni wędrówką od przystani. Atmosfera osiągnęła punkt wrzenia.

Piękniejszej dziewczyny nigdy nie widziałem.

I przywitała się najpierw ze mną.

– Cześć, jestem Henny – powiedziała, wyciągając do mnie rękę.

Odbyła się cała runda ściskania dłoni. Mama mruknęła, że musi donieść filiżanki, by goście mogli się napić herbaty albo kawy, ale stryj Hubert domagał się piwa, no i za chwilę zniknął razem z Henny w sypialni pod schodami.

Rodzice stali, patrząc po sobie.

– Miło, że nas odwiedzili – odezwała się w końcu mama. – Dziewczyna wygląda na bardzo sympatyczną.

Ojciec usiadł, nie odpowiadając, sięgnął po gazetę i zaczął ją przeglądać. Mama poszła do piwnicy po piwo.

A ja wyniosłem leżaki na trawę.

Doliczyłem się stu dwudziestu trzech żaglówek na fiordzie, nad moją głową przeleciało szesnaście mew, a mrówki w tę sobotę wykazywały wyjątkową pracowitość, tylko w pobliżu moich butów było ich czterysta sześćdziesiąt osiem i wszystkie taszczyły sosnowe igły. Na krzewie rododendronu rozwinęło się dwadzieścia dziewięć kwiatów, ale osiem już zaczynało więdnąć.

Dziwny dzień.

Oni pili piwo. Ja dostałem oranżadę. Dziwaczny był widok ojca pociągającego piwo prosto z butelki. Henny wpatrywała się w niebo wielkimi zamkniętymi oczami. Stryj Hubert rozłożył się na leżaku, nos zasłonił czapką z daszkiem. Mama siedziała odwrócona plecami do słońca, ramiona już miała zaczerwienione.

– Przywieźliśmy mnóstwo krewetek! – oznajmiła Henny.

– I białe wino – dodał Hubert. – Wstawiłem butelki do lodówki.

– Jak długo zostaniecie? – spytał nagle ojciec.

Mama spojrzała na niego z ukosa.

– Jutro jedziemy, drogi braciszku. Nie bój się.

– Nie o to mi chodziło. – Ojciec się roześmiał, natychmiast się wycofując.

– Wszystko w porządku, braciszku.

Czerwone twarze w słońcu. Puste butelki po piwie na trawie. Jeszcze nigdy nie widziałem u stryja Huberta takiego spokoju, siedział na leżaku miękki jak poduszka, od czasu do czasu wydawał z siebie jakieś dźwięki, ale wyłącznie pogodne, pomrukiwanie, zadowolone westchnienia. Wszystkie supły się w nim rozwiązały, wyobrażałem sobie, że wszystkie nitki w jego głowie rozprostowały się i ułożyły równiutko jak w jedwabnej tkaninie, jedna koło drugiej.

– Wieczorem chyba będzie burza – powiedział ojciec. – Duszno się zrobiło.

– Pewnie tak. – Hubert westchnął. Pot ściekał mu po twarzy.

Na horyzoncie ze wszystkich stron zbierały się chmury.

– Mam ochotę się wykąpać – oświadczyła nagle Henny.

– Nie mam siły – rozległo się z głębi leżaka Huberta. – Idź z Kimem.

Spojrzała na mnie. Od tego spojrzenia doznałem poparzenia słonecznego.

– Pójdziesz?

Plaża była już pusta. Zostały jedynie papiery, butelki i skórki od pomarańczy. I czerwona nadmuchiwana piłka podskakująca na kamieniach. Wiatr. Wskoczyłem do wody, zanurkowałem do dna, zafalowało mi wokół oczu, grzbiet skalny uciekł z zasięgu wzroku, po udzie przesunęła się meduza. Spojrzałem w górę, zobaczyłem cienką granicę oddzielającą morze od nieba, przełamaną słońcem.

Henny brodziła wśród kęp wodorostów. Bikini. Białe, węższe od źdźbła trawy. Całe ciało miała jasnobrązowe i lśniące. Włosy związała w jasny węzeł na karku. Z piskiem położyła się na wodzie.

Chmury nadciągnęły od dołu, otoczyły nas.

Henny była koło mnie.

– Płyniemy w morze – oświadczyła i zaczęła się ode mnie oddalać długimi, mocnymi wyrzutami rąk.

Ruszyłem za nią, sunąc jak stara łajba, zastanawiając się, o czym można rozmawiać w wodzie, czy rozmowy w wodzie w ogóle są rzeczą zwyczajną. No ale o czym w takim razie rozmawiać na lądzie?

– Spędzasz tu całe lato, Kim? – spytała Henny.

– Tak. – Wyplułem wodę.

Byliśmy co najmniej na środku fiordu. Wiatr się wzmagał. Krótkie, ostre fale uderzały w twarz. Nad nami coraz bardziej się chmurzyło. Chmury nadciągały ciemnymi formacjami. W powietrzu zrobiło się chłodniej niż w wodzie.

– Chyba niedługo zawracamy? – spytałem cicho.

Henny zaraz wyhamowała i spojrzała na mnie ze śmiechem.

– Zapomniałam się – powiedziała. – Jasne, że zawracamy.

Popłynęliśmy z powrotem do brzegu. Na języku miałem ławicę pytań, ale nie mogłem ich z siebie wypuścić, moje usta były jak wielki niewód. Bardzo chciałem spytać ją o Huberta, o to, czy są, czy są parą, czy zamierzają się pobrać i czy, i dlaczego, skoro jest od niego o tyle młodsza, i o to, co się dzieje w głowie Huberta, o supły, o nią, o wszystko.

Zbliżaliśmy się do brzegu.

Spytałem:

– Lubisz Beatlesów?

– Słodcy są.

O mało nie poszedłem na dno. Słodcy. Słona woda wytrysnęła mi nosem. Spojrzałem na nią. Jej profil ciął fale jak płetwa rekina.

– A kogo najbardziej lubisz słuchać? – wykrztusiłem.

– Tylu ich jest. Milesa Davisa. Charliego Parkera. Lestera Younga. I Johna Coltrane'a.

Co to za jedni? Znalazłem się na niepewnym gruncie, dopłynąłem pod ścianę, ręce mi zwiędły, broda zanurzyła się w wodę.

– Aha – powiedziałem tylko. – Ale Bob Dylan też jest niezły! – dodałem.

– Świetny! I Woody Guthrie. To od niego Dylan się uczył.

Czułem się jak kłębek waty, jak drewniany korek. Zacisnąłem zęby, starając się utrzymać narzucone przez nią tempo.

Wypełzliśmy wreszcie na brzeg, pobiegłem po ręczniki. Słońce zniknęło. Henny się skuliła.

– Zimno. – Zadrżała.

W tej samej chwili zaczęło padać. Poderwała się.

– Idziemy do szopy! – zawołałem.

Już się tam kierowała. Krople deszczu wbijały się w nas jak gwoździe, ale prędko udało nam się schronić w zrujnowanej drewnianej szopie, w której niezbyt przyjemnie pachniało z wychodka obok, a na ścianach wypisano i wyrysowano sporo rzeczy niebędących cytatami z lektur obowiązkowych.

Henny, zdyszana, oparła się o drzwi.

– Na pewno zaraz przejdzie – powiedziała.

– Nie – odparłem z nadzieją, że deszcz nie przestanie padać już do końca lata.

– Nie stój w mokrych kąpielówkach – dodała. – Rozchorujesz się.

Sama zdjęła bikini i stanęła przede mną naga. Trwało to zaledwie moment, bo zaraz wciągnęła dżinsy i koszulę. We mnie wszystko opadło aż do stóp, stałem pewnie z rozdziawioną gębą, bo Henny się roześmiała, a potem rozpuściła włosy, potrząsnęła głową, żeby się dobrze ułożyły, a ja, z wielkim wysiłkiem i ekwilibrystyką, zdołałem się w końcu ubrać, cały pulsowałem, ciało zrobiło się za ciasne, skóra o jeden numer za mała, krew dudniła w nią od środka, a deszcz bębnił o dach.

– Idziesz jesienią do szkoły realnej? – spytała Henny.

– Tak – wykrztusiłem.

Teraz była moja kolej. Musiałem coś powiedzieć. Więc powiedziałem, cokolwiek:

– A czym ty się zajmujesz?

– Rysuję. W tym samym czasopiśmie co twój stryj.

– Aha.

– Ale jedynie tymczasowo, żeby trochę zarobić. W przyszłym roku zaczynam studia na Akademii Sztuk Pięknych.

– Będziesz artystką! – zawołałem.

Henny się roześmiała.

– Będę tworzyć obrazy.

Bębnienie w dach coraz bardziej słabło. Albo deszcz ustawał, albo to ja znikałem. Henny otworzyła drzwi i rozstrzygnęła sprawę:

– Już nie pada. Wracamy do domu?

Ojciec dobrze przewidział pogodę. Siedzieliśmy zajęci obieraniem krewetek, gdy pokój nagle rozświetlił płomienisty błysk i w tej samej chwili usłyszeliśmy piekielny huk. Wyskoczyliśmy na werandę i przy maszcie do flagi zobaczyliśmy dziwną rzecz. Coś żarzyło się na ziemi. Stryj Hubert twierdził, że z nieba spadł meteor, mama uważała, że to Marsjanie, ojciec też miał nietęgą minę. Henny mocno złapała mnie za ramię. Po chwili żar

zgasł, powoli, jak w wielkim papierosie. Włożyliśmy kurtki przeciwdeszczowe i podeszliśmy tam.

To piorun rozszczepił kamień. A nie był to byle jaki kamień, ważył dobrze ponad sto kilo. Ojciec opowiadał, że dziadek własnymi rękami przydźwigał go tu z przystani. Chodziło o zakład. I dziadek wygrał.

A teraz grom go rozbił, jakby był jajkiem.

Wróciliśmy truchtem, uszczęśliwieni, że nie trafił w Dom. Ale światło wysiadło. Wyciągnęliśmy mnóstwo świec i rozpaliliśmy w kominku, siedzieliśmy z lękiem, wsłuchując się w grzmoty. Liczyliśmy sekundy, żeby stwierdzić, gdzie piorun teraz uderzy. Burza przesuwała się na zachód. Ci, którzy w ogóle coś mówili, odzywali się po cichu, jakby powietrze wokół nas groziło wybuchem. Hubert na moment stracił kontrolę nad lewą powieką, musiał wyjść do kuchni, żeby się uspokoić. Henny siedziała na otomanie z podwiniętymi stopami. Mama sprzątała ze stołu, ojciec stał przy drzwiach na werandę i wyglądał na zewnątrz.

– Chodźmy posłuchać płyt – zaproponowała nagle Henny, tak głośno, że aż wszyscy drgnęli. Wstała, wyciągnęła do mnie rękę.

Puszczaliśmy moje nędzne płyty. Henny słuchała w milczeniu, ale chyba myślała o czymś zupełnie innym, na pewno właśnie tak, przerzuciła magazyn na temat Beatlesów, który ze sobą przywiozłem, „Meet The Beatles", z ich zdjęciami z Paryża. Powiedziała, że ma ochotę tam pojechać, do Paryża, bo to tam coś się dzieje. Oslo jest takie nudne. Uśmiechnęła się. Nastawiłem inną płytę. Starego Cliffa. Henny się śmiała. Zwierzyła mi się, że kiedyś kochała się w Cliffie. *Lucky Lips*. *Summer Holiday*. Zapaliła papierosa i dała mi pociągnąć. Filtr miał smak nagiej skóry. A za oknem strugi deszczu lały się ukosem.

Nagle znów włączyli światło. Nasze twarze były blade i błyszczące. Igła zaskrzypiała na wewnętrznych rowkach. Baterie siadały. Zdmuchnąłem świecę i spojrzałem na Henny, taką widzę ją teraz, jak negatyw na błonie oczu wypalony fleszem letniej nocy.

Henny z Hubertem wrócili do domu i dni przesuwały się jak na taśmie, cały czas ten sam dzień, ale jeden się od nich różnił, i to całkowicie. Ojcu już skończył się urlop, więc jak zwykle pojechał do pracy, a mama miała

sprzedawać losy w Szpitalu imienia Sunnaasów, więc wkrótce po wyjeździe ojca wsiadła do autobusu.

Zostałem z dwudziestoma koronami w kieszeni i z wielkim niezapisanym dniem tylko dla siebie.

Popłynąłem promem do miasta.

Nic nie szkodziło spróbować, więc pobiegłem za Dworzec Zachodni i Ruseløkka, zadzwoniłem do drzwi Oli i Seba. Żadnego nie zastałem. Poszedłem do Gunnara. Z takim samym rezultatem. Sklep był zamknięty. Na wystawie wisiała duża kartka z wypisaną drukowanymi literami informacją: „Urlop do 7 sierpnia włącznie".

Dziwne uczucie pustki. Wszystko było jakieś inne. Ruszyłem Drammensveien w stronę Skillebekk, puste ulice, puste domy, dzielnicą zawładnął nowy, obcy zapach, przypominający trochę ten, który unosił się w mieszkaniu, gdy wracaliśmy do domu w sierpniu. Nieprzyjemnie słodka, mdła woń martwoty i opuszczenia, musieliśmy zaczynać używać pokoi od nowa, wdychać je, rozmawiać w nich, na powrót obejmować je w posiadanie. Moja ulica nie była taka jak przedtem. Stałem na niej kompletnie sam, nigdzie żywej duszy, puste okna, a kiedy w moją stronę powiał wiatr, sypnął mi piaskiem w oczy.

Poszedłem do centrum. Tam przynajmniej byli ludzie. I lody. Pół godziny stałem w kolejce w Studenckiej, ale w końcu kupiłem truskawkowy milk shake. Głosy dookoła rozmawiały w obcych językach. Szybko stamtąd wyszedłem.

Mogłem się tylko szwendać tam i z powrotem. Zajrzałem do sklepów z płytami, ale nie znalazłem żadnego nazwiska przypominającego te, które wymieniła Henny. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, tam, w cieniu pod drzewami, było lepiej. Asfalt parował. Starsza pani karmiła stadko gołębi. Idący przede mną facet głośno tupnął, gołębie się poderwały, bijąc skrzydłami wokół staruszki, zniknęły za pomnikiem Wergelanda.

Staruszka też zniknęła z ławki. Facet przede mną odwrócił się, wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Ale nie to było najdziwniejsze.

Za budynkiem Stortingu, naszego parlamentu, spora grupa ludzi oglądała obraz wyeksponowany w przeszklonej gablocie. Na tabliczce

przeczytałem napis: „Obraz miesiąca". Pomyślałem o Henny. Może to Henny go namalowała? Przecisnąłem się przez tłum, ale to oczywiście nie było dzieło Henny. Widniało pod nim dziwne nazwisko, które z trudem udało mi się odczytać. Obraz też był niezwykły, nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. Na samym środku umieszczona została lalka, niemal kompletnie zniszczona, jakby stopiona nad ogniem. I mnóstwo czerwonej farby, ale nie takiej jak na zwyczajnych malowidłach, tutaj farba przypominała krew, gęstą krew, krzepnącą na czarnej ranie. Czerwona farba spływała na flagę, na amerykańską flagę. A za obrazem, tak, bo w tym obrazie była przestrzeń, a nie tylko płaska przyroda w tle, jak na tych malunkach, które rodzice mieli na ścianach, za obrazem był napis: VIET NAM. Przeczytałem tytuł, najdłuższy, jaki kiedykolwiek widziałem: *Raport z Wietnamu. Dzieci oblane płonącym napalmem. Ich spalona skóra zmienia się w czarne rany i umierają.*

Pali się pod wodą. To o tym mówił Stig. *Masters of War*. Słońce zapiekło w kark. Zakręciło mi się w głowie. Lalka krzyczała do mnie, tak jak tamta dziewczynka, która uciekała z ruin, a teraz przede mną płynęła krew, słońce paliło, krew zastygała w groteskowych formach.

Nagle coś zaczęło się dziać. Usłyszałem wrzask, czyjaś dłoń złapała mnie za ramię i odsunęła na bok. Nie wierzyłem własnym oczom. Przed obrazem stanął mężczyzna w wieku ojca, miał na sobie garnitur, w ręku aktówkę, i z tej aktówki wyjął siekierę, prawdziwą siekierę, i rzucił się na gablotę. Posypało się szkło, a on jednym ruchem zmiażdżył lalkę i przeciął płótno. Teraz zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Ludzie, którzy tam stali i patrzyli, zaczęli klaskać, nie powstrzymywali go, tylko klaskali. Złapałem się za głowę, miałem ochotę krzyczeć, wycofałem się, przerażony. A kiedy mężczyzna w końcu zniszczył cały obraz, pojawili się dwaj gliniarze i spokojnie go stamtąd zabrali.

Poszedłem na przystań, poczekałem na prom. Czegoś nie rozumiałem. Coś się rozsypało. Rozpadło na kawałki. Zacząłem się bać.

Nie powiedziałem o tym rodzicom. Ale mężczyzna z siekierą często nawiedzał mnie nocą, zabijał małe dzieci, chodził wkoło i zabijał maleńkie dzieci.

W radiu słyszałem informacje o bombardowaniach, ofensywach, klęskach i zwycięstwach. Czułem się dziwnie daleki i obcy, kiedy jadłem na

werandzie kolację, pełnoziarnisty chleb, miękki kozi ser i kajmak.

Słońce stale się zniżało. Sierpień przyniósł cień jesieni. Porę rozstań. Czułem się za duży dla samego siebie.

Ostatniego dnia mama powiedziała, że bardzo tego lata urosłem, co najmniej trzy centymetry.

HELP
JESIEŃ ’65

– Skrzypce – mruknął Gunnar. – Skrzypce?

Park Mogga. Wieczór przed rozpoczęciem roku szkolnego. Staliśmy oparci o kierownice i wpatrywaliśmy się w longplay, który Seb kupił w Szwecji. W pierwszej chwili wydało mi się, że jest na nim napisane *eple*, czyli jabłko, w końcu jednak oczy ułożyły mi się właściwie. *Help.*

– *String quartet* – poprawił Seb.

– Ale masz na myśli s k r z y p c e?

– No właśnie. Świetne!

Nie mogliśmy się już doczekać, kiedy posłuchamy tej płyty, ale Ola jeszcze nie przyszedł, a powinien być już pół godziny temu. Popaliliśmy cuchnące pety, nad naszymi głowami stado ptaków opuszczało kraj, orząc niebo jak pług.

– Gdzie się ten Ola podziewa? – zniecierpliwił się Gunnar.

Poczekaliśmy jeszcze trochę, ale dłużej nie byliśmy w stanie. W końcu popedałowaliśmy na Observatoriegata. Otworzyła nam matka Oli, była opalona i poruszała się lekko, ale dwie zmarszczki w kącikach ust ściągały wargi w dół.

– Ola miał wypadek – powiedziała cicho.

Zesztywnieliśmy jak wykrochmaleni. Wypadek?

– Jest w swoim pokoju. Możecie do niego iść.

Siedział przy oknie. Złamał obie ręce. Miał je zawieszone na dwóch temblakach, zagipsowane wysoko ponad łokcie. Cały czas się krzywił, bo cholernie go swędziało, no a jak, do diaska, miał się podrapać?

– Zderzyłem się z traktorem w To-To-Toten – szepnął przygnębiony. – Wy-wy-wylądowałem na rę-rę-rękach.

Gunnar odchrząknął, ale głos mu się załamał, więc spróbował jeszcze raz.

– A jak… jak jesz?

Ola zmrużył przygasłe oczy.

– Mama mnie karmi.

Spojrzeliśmy na siebie, szybko odwróciliśmy głowy. Pod maskami powagi na twarzach już buzował śmiech. Ola jednak nie dojrzał do śmiechu.

Seb zaczął chrząkać. Chrząkał niepotrzebnie długo.

– No a jak… jak jest, kiedy musisz iść do kibla?

Policzki Gunnara wydęły się jak dwa żagle, a Seb zapatrzył się w swoje dłonie, nagle otworzył usta na oścież, ale natychmiast połknął ryk, wydał z siebie jedynie cienkie czknięcie i dalej siedział z pustym rechotem wymalowanym na twarzy, czerwonej od czoła w dół.

– To są ku-ku-kumple! – zachrypiał Ola.

– No ale co wtedy robisz?

Zwiesił głowę.

– Ma-ma-mama – odparł z rozpaczą w głosie i na długo zapadła cisza.

Seb pogrzebał w sakwie rowerowej. My dalej wpatrywaliśmy się w podłogę. Seb odzyskał mowę.

– Coś ci przynieśliśmy – powiedział. – Liczę, że masz baterie w gramofonie. – Wyjął płytę, a Ola z jękiem wciągnął powietrze.

Przez cały wieczór słuchaliśmy *Help*, za oknem ciemność spadała z nieba jak szara zasłona, lato jakby w nas krzepło. Zaczęła się już jesień, a nam pierwszy raz w życiu spodobały się skrzypce.

Przed wyjściem podpisaliśmy się na gipsie: John, George, Paul.

Dostaliśmy się do tej samej szkoły, Vestheim, ale do różnych klas. Przemknęliśmy obok licealistów, którzy stali przy bramie od strony Skovveien, i zastanawialiśmy się, kiedy urządzą nam otrzęsiny. W każdym razie nie wyglądało na to, by mieli zamiar zaatakować już dzisiaj. Nie patrzyli na nas, nawet z góry. Wzdłuż siatkowego ogrodzenia przy Oscars gate czekało więcej bladych twarzy. W innej grupie stały Guri i Nina. Kolana Niny były ciemnobrązowe. Najwyraźniej mnie nie widziała.

Rozległ się dzwonek. Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozdzieliliśmy się. Gunnar poszedł ze mną, Seb z Olą. Szkolny dziedziniec powoli pustoszał,

jakby ciemne, szerokie drzwi działały jak ogromny odkurzacz.

Gunnar i ja wywalczyliśmy sobie miejsca na samym końcu środkowego rzędu. Plecy Gunnara były jeszcze szersze niż dotychczas, nauczyciele w ogóle mnie nie zauważą. Gąsior, ulizany na mokro i odprasowany, usiadł w pierwszej ławce. A dziewczyny, bo w klasie były też dziewczyny, siedziały w rzędzie pod oknem, nadęte i wyniosłe; kiedy świeciło na nie słońce, ich włosy przypominały watę cukrową, a twarze bielały i miękły.

Otworzyły się drzwi i wszedł nasz wychowawca, Iversen, nazywany Kartoflem, bo za szeregowcem na Tåsen miał kawałek pola, wymoczek w fartuchu magazyniera, ale z wielkimi owłosionymi dłońmi i głosem wydobywającym się gdzieś z podłogi i wylewającym z ust jak żelazo.

Odczytał listę obecności, wszyscy przypatrywali się wszystkim, jedni się znali, niektórzy mieszkali w innych dzielnicach, ze wzrokiem wbitym w ławki przedstawiali się szeptem, jakby zwierzali się z czegoś ważnego i niebezpiecznego.

Później przyszli się pokazać inni nauczyciele, całkiem normalna gromada, nikt nie miał garbu, szpotawej nogi, wszyscy z nosami na środku twarzy i obojgiem uszu. Nauczycielka od niemieckiego, Piła, niewysoka, pulchna pani z mnóstwem kwadratowych słów w ustach, od razu odśpiewała nam kilka *Lieder* i mówiła po niemiecku przesadnie dużo. Pamiętam też nauczyciela gimnastyki, Szynkę, mówiliśmy na niego Szynka, wysokiego drągala z wąską głową, w grubych okularach, z fryzurą na pazia i trzema mistrzostwami Norwegii w chodzie. Ledwie zajrzał do klasy i pisnął, że chłopcy mają następnego dnia przynieść strój do gimnastyki, i już wyszedł, jakby uczestniczył w kolejnych zawodach, a biodra obracały mu się jak nasmarowany globus. Na koniec zjawił się dyrektor, jego dobrze pamiętam, o rany. Przypominał trochę Hitlera albo Arnulfa Øverlanda, tego pisarza, takie same wąsy, gęsta szczotka pod nosem, i gardłowa wymowa „r", łaskocząca w uszy, jakiś przygarbiony chłopak przy drzwiach dostał ataku kichania od tych wszystkich „r", zrobiło się niezłe zamieszanie.

No i już skończył się ten pierwszy dzień w szkole realnej. Schowaliśmy nowe książki do nowych tornistrów i wyszliśmy. Seb i Ola czekali przy źródełku z wodą do picia. Trafili do tej samej klasy co Nina i Guri.

Staliśmy tak, wyśmiewając się z nauczycieli, gdy nagle zbliżyła się do nas banda ulizanych, gładkich jak jedwab chłopaków, których nie znaliśmy.

Ola dostał skurczów pod gipsem.

– Teraz nas o-o-ochrzczą – wydukał. – Wsa-wsa-wsadzą nas do pi-pi-pisuaru!

– Oni nie są z liceum – szepnął Seb.

Stanęli przed nami, nadęci, pewni siebie, krawaty, guma do żucia i małe paczki papierosów, dziesiątki, w kieszeniach koszul.

– Dobierałeś się do dziewczyn? – spytał jeden, wskazując na Olę.

Ola poczerwieniał. Włosy stanęły mu dęba.

– A może za dużo waliłeś konia? – Drugi uśmiechnął się krzywo.

Nic nie powiedzieliśmy. Inni, którzy byli na szkolnym dziedzińcu, zaczęli podchodzić bliżej.

– A co robisz, jak musisz się wysrać, mały? Pewnie stara ci podciera tyłek?

Wtedy Gunnar zdjął tornister z pleców. Owszem, my mogliśmy sobie z tego żartować, ale tylko my, nikt inny. Spokojnie postawił tornister na ziemi, stanął w odległości trzech centymetrów od tamtego pajaca, spojrzał mu prosto w oczy i spytał:

– Co powiedziałeś?

Tamten nagle stracił pewność siebie. Węzeł krawata zadrgał na grdyce.

– Co powiedziałeś? – powtórzył Gunnar.

W szczękach mu aż trzeszczało.

– Co powiedziałeś? – spytał po raz trzeci, zbliżył się o kolejne dwa centymetry, tamten już był zmiażdżony. Cofnął się, rzucił jeszcze jakąś uwagę, ale wylądowała na ziemi jak plwocina. Odeszli, Gunnar wpatrywał się w nich, dopóki nie zniknęli mu z oczu.

– Bęcwały! – syknął przez zęby.

Śmiałem się w duchu, wielkim, urągliwym śmiechem, i w tej chwili czułem, że kocham Gunnara, miałem ochotę go objąć.

Wyszliśmy ze szkolnego dziedzińca, a gdy dotarliśmy do schodów, wyminął nas nieduży typek, który jakby przemykał się wzdłuż płotu, blady, chudy, w szerokich szarych spodniach i za dużym anoraku na suwak,

chociaż było tak ciepło. Szedł ze zwieszoną głową, a na ulicy puścił się biegiem, jakby się czegoś bał. Był w tej samej klasie co Gunnar i ja. Zwróciłem uwagę, że kiedy się przedstawiał, ktoś się roześmiał.

Nie zapamiętałem, jak się nazywa.

Nazywał się Fred Hansen.

Ruszyliśmy spacerkiem w stronę Filipstad, stanęliśmy na moście nad Strandpromenaden i gapiliśmy się na samochody przejeżdżające z warkotem pod nami.

– Kiedy nam u-u-urządzą o-o-otrzęsiny, jak myślicie? – spytał Ola.

– Nie wiadomo – odparł Gunnar. – Może zaczekają do zimy.

– Wolę, żeby mnie natarli śniegiem, niż kazali pływać w sikach – mruknął Seb.

– Z tym niemieckim chyba nigdy sobie nie poradzę. – Gunnar westchnął i splunął za balustradę.

– Ojciec mówi, że lepiej by było, gdybyśmy się uczyli hiszpańskiego – powiedział Seb.

– Hiszpańskiego?

– Więcej ludzi mówi po hiszpańsku niż po niemiecku. Wszyscy marynarze mówią po hiszpańsku. I ludzie w Ameryce Południowej.

Ola odłożył tornister.

– A co… jak myślicie, co teraz będzie z pe-pe-perkusją? Myślicie, że będę jeszcze gra-gra-grać?

– Jasne – zapewnił Seb. – A dlaczego miałbyś nie grać?

– Bo może ręce będą za sła-sła-słabe?

– Charlie Watts raz złamał rękę, kiedy jeździł na łyżwach.

– Charlie Watts zła-zła-złamał rękę – szepnął Ola, prostując się.

Gunnar kiwnął głową.

– N a ł y ż w a c h? – spytał Seb.

– Tak. Poleciał na gębę. Wykręcił rękę pod sobą.

Gunnar był czerwony jak burak i wykończony.

– Przecież w Anglii nie jeżdżą na łyżwach!

Gunnar spojrzał na mnie, kompletnie się zakleszczył.

– Jasne, że jeżdżą – powiedziałem prędko. – Londyn ma znakomitą drużynę hokejową.

– I całkiem wy-wy-wydobrzał?

– No przecież słyszysz – zatriumfował Gunnar.

– No ale on zła-zła-złamał tylko jedną rękę!

Gunnar znów znalazł się na niepewnym gruncie. Spojrzał na mnie, ale teraz musiał radzić sobie sam.

– Lepiej od razu złamać dwie – odparował szybko, cały spocony. – Bo później łatwiej utrzymać rytm!

To uspokoiło Olę. Potem przez dłuższy czas się nie odzywaliśmy. Słońce wemknęło się za chmurę, fiord pociemniał, papieros krążył, słaby kent, którego Seb podwędził matce.

– W tym roku będę się uczył – zapowiedział Seb. – Słowo honoru.

– Ja tak samo – oświadczył Gunnar.

– I ja – przyłączyłem się.

– Muszę lecieć – oznajmił nagle Ola. Twarz miał ściągniętą i niespokojnie poruszał nogami.

– A nie przejdziemy się do Bananowego Matthiessena? – zaproponował Seb.

– Muszę lecieć – powtórzył Ola, przestępując z nogi na nogę.

Gapiliśmy się na niego wszyscy trzej.

– Muszę się wy-wy-wysikać.

– A nie możesz po prostu… – zaczął Gunnar i urwał.

Popatrzyliśmy po sobie.

– Spadamy – zdecydował Gunnar.

Powlekliśmy się w stronę domu ze słońcem na plecach, ciągnąc za sobą tornistry.

Dzień później mieliśmy gimnastykę w sali, bo na dworze ulewa siekła ziemię. Siedzieliśmy w przepoconej szatni. Szynka obserwował nas

zmrużonymi oczami, jednocześnie rozciągając mięśnie brzucha. Nagle zawołał dziwnie wysokim głosem:

– Zapamiętajcie sobie, że z gimnastyki też można nie zdać! Słyszycie? Można nie zdać z gimnastyki!

Rządkiem pobiegliśmy do sali. Szynka dyrygował, ustawiając nas w rozmaite formacje, a kiedy wreszcie staliśmy tak, jak chciał, zawołał swoim cienkim głosem:

– O jednej rzeczy musimy zawsze pamiętać. O rozgrzewce! Rozgrzewka to podstawa wszystkich dobrych wyników! Rozgrzewka to prawdziwa druga strona medalu!

Urwał gwałtownie, złapał się za głowę, za okularami powiększone oczy krążyły niespokojnie jak planety, które wypadły z toru. Spojrzeliśmy na siebie, wzruszyliśmy ramionami, ktoś przyłożył palec wskazujący do skroni, obrócił nim i wysunął język.

– Teraz sobie pobiegamy! – krzyknął Szynka, więc zaczęliśmy biegać w kółko. Szynka stał na środku, jakbyśmy byli kołem, a on nienasmarowaną osią.

W końcu nas zatrzymał. Kazał podejść do drabinek, na których przez kilka minut wisieliśmy. Potem wyciągnął na środek największy kozioł, ułożył przy nim materac, z drugiej strony ustawił odskocznię i powiedział:

– A teraz popróbujemy salto mortale!

Wśród akrobatów poniósł się pomruk. Szynka podszedł do nas, zdjął okulary i napiął mięśnie ud.

– Zaraz wam pokażę! Uważajcie!

Jego stopy zadudniły po podłodze, stuknęły w odskocznię, Szynka eleganckim łukiem wzniósł się ponad kozłem i lekko wylądował na materacu. Tam błyskawicznie się odwrócił i z szerokim uśmiechem oświadczył:

– Właśnie tak należy to robić, chłopcy! Teraz wasza kolej.

Zaczęło się tworzyć coś w rodzaju kolejki. Każdy chciał być na końcu, bo przecież niedługo powinien już być dzwonek. Nagle okazało się, że jestem pierwszy. Nabrałem powietrza i ruszyłem biegiem, najszybciej jak potrafiłem. Całkiem zapomniałem, gdzie jestem, biegłem jak przez spocony sen, z głośnym hukiem wpadłem na odskocznię, rzuciłem się na

brązowe zwierzę, odbiłem się od niego z całej siły i wystrzeliłem w powietrze jak astronauta, a moment później, chociaż właściwie od razu, stałem na materacu jak słup, a Szynka wrzeszczał mi do ucha:

– Świetnie! Świetnie, chłopcze! Jak ci na imię?

– Kim – szepnąłem.

– Świetnie, świetnie, Kim!

Przyszła kolej Gunnara. Długimi susami przebiegł po podłodze, podskoczył na kozioł, ale złapał za mało powietrza pod łydkami i przy upadku pociągnął Szynkę za sobą. Zwalili się na materac, obaj ciężko dysząc.

– Musisz popracować nad wysokością! – zawołał Szynka. – Nad wysokością! Poza tym dobrze.

Skakali dalej, po kolei, wszyscy ci, których już zapomniałem i którzy zapomnieli mnie: Frode, tłusty i zgarbiony, runął okrakiem na środek kozła i zaniósł się głośnym krzykiem. Ottar przeskoczył, ale w locie jakby się poddał i upadł na brzuch. Runemu, który wymawiał gardłowe „r", ponieważ pochodził z Ris, udało się wylądować na plecach na koźle, z którego zsunął się na podłogę. Ale potem nastąpiła przerwa. Nikt nie nadbiegł. Była kolej Freda Hansena.

– No, ruszaj! – ryknął Szynka.

Fred Hansen nie ruszył. Stał daleko, na końcu sali, blada zapałka w olbrzymich spodenkach. Wszystko, w czym chodził, było olbrzymie, z całą pewnością miał olbrzymiego starszego brata, po którym dziedziczył ubrania. Teraz stał pierwszy w kolejce i jakby zaczął fosforyzować.

– Pospiesz się! – wrzasnął Szynka.

Fred Hansen stał z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, lekko zgarbiony, z trochę krzywymi nogami, szpiczaste kolana uderzały o siebie.

– On nie da rady – szepnął Gunnar. – Śmiertelnie się boi.

Lekko zadudniła podłoga. Fred Hansen ruszył, cały usztywniony, z rękami odwiedzionymi pod kątem.

– Dobrze, bardzo dobrze! – podkręcał go Szynka.

Fred Hansen skoczył na główkę, odepchnął się, przypominał wygłodzoną mewę nad ławicą śledzi, kiedy na moment zawisnął

w powietrzu, jakby nie miał stawów, po czym z hukiem wylądował na plecach poza materacem.

Natychmiast zapadła cisza. Fred Hansen dalej leżał, nie ruszał się, oczy miał jak zaklejone. Był jeszcze mniejszy niż dotychczas, bielszy, wydawał się nadziemską istotą, strąconym aniołem w za wielkich spodenkach. Szynka uklęknął obok niego, zaczął go obmacywać, szukał pulsu, ale go nie znalazł, w końcu spojrzał na nas, ustawionych w półkolu i nachylających się nad nimi.

– Jak on się nazywa? – spytał szeptem.

– Fred – odparł ktoś.

Szynka przycisnął dłonie do serca Freda, rozchylił mu powieki, ale Fred gapił się przed siebie samymi białkami.

– Fred – powiedział ostrożnie Szynka. – Fred, słyszysz mnie?

Nic.

– On umarł – szepnął ktoś.

Wtedy Szynka zaczął krzyczeć. Krzyczał, szarpiąc bezwładnym ciałem.

– Fred! Fred! Fred!

Nie pomogło. Szynka utorował sobie drogę między nami, chciał iść po lekarza. Wtedy Fred Hansen nagle się uśmiechnął, na chudej, bladej twarzy poruszyły się wargi, wstał i ruszył po podłodze, jakby nic nie ważył. Tak to musiało wyglądać, kiedy Jezus się ocknął trzeciego dnia. Szynka zatrzymał się w drzwiach, niemal ze strachem patrzył na Freda, który szedł w jego stronę długimi, rozkołysanymi krokami. Właśnie wtedy rozległ się dzwonek, rozbrzmiał echem w całej sali, zrobiło się dość strasznie, a zarazem uroczyście.

W szatni Fred Hansen zwymiotował i ze wstrząsem mózgu odwiozła go do domu taksówka. Nie przychodził do szkoły przez dziesięć dni, a po powrocie był jeszcze mniejszy, ubrania wyglądały na nim jak namiot, nic też nie mówił, siedział tylko pod ścianą i na nic nie patrzył, dziwny Fred Hansen.

Ola i Seb czekali przy źródełku wody do picia. Była duża przerwa, deszcz przestał padać. Ręce Oli pokrywały imiona, pozdrowienia i rysunki,

wszystkie dziewczyny z klasy też mu się wpisały na gipsie. Widać złamanie rąk nie było wcale takie najgorsze. Ola ożył, nie musiał odrabiać pisemnych lekcji i w ogóle go nie pytano. Prawdę mówiąc, martwił się, że już za miesiąc będzie musiał iść do lekarza na zdjęcie gipsu.

– Mieliście gi-gi-gimnastykę? – zawołał, kiedy się zbliżaliśmy.

– No.

Opowiedzieliśmy mu o Fredzie Hansenie, o tym, że równie dobrze mógł skręcić kark. Miał fart, że przeżył.

– Facet od gimnastyki to wa-wa-wariat – stwierdził Ola. – Myślałem, że mnie zwo-zwo-zwolni, a on mi kazał zrobić sie-sie-siedemdziesiąt przysiadów!

– Stać nas na struclę? – spytał Seb.

Pogrzebaliśmy w kieszeniach. Za każdym razem dawałem taką samą plamę. Zawsze to ja miałem najmniej forsy, tym razem też tylko dwadzieścia pięć øre z zastawu za butelkę, którą oddałem dzień wcześniej. Gunnar zarabiał w sklepie u ojca. Sebowi jego stary zawsze coś przysyłał. Ola i ja wypadaliśmy gorzej. Ale odkąd złamał ręce, rodzice podwoili mu tygodniówkę i liczył, że mu jej nie utną, kiedy kości się zrosną. Zapowiedział, że inaczej już nigdy więcej nie wyniesie cholernych śmieci. Ja dostawałem dziesięć koron tygodniowo, a to ledwie wystarczyło na „Poprevyen" i jedno kino.

Wrzuciłem dwadzieścia pięć øre do puli. Seb przeliczył.

– Będzie strucla i cola. I landrynka dla Kima. – Zachichotał.

Za naszymi plecami coś zaczęło się dziać, koło bramy od strony Skovveien. Dochodziły stamtąd okrzyki, gromadzili się ludzie.

– Bijatyka! – krzyknął Gunnar.

Pognaliśmy tam. Ale to nie była bijatyka. To kilku licealistów trzymało wysoko nad głowami wielką amerykańską flagę, mieli również żółtą flagę z czerwonymi pasami. Wołali: „Zbombardować Hanoi, zbombardować Hanoi!".

– Hanoi to stolica Wietnamu Północnego – szepnął Gunnar. – Brachol mówił, że Ameryka posłała do Wietnamu dwieście tysięcy żołnierzy.

Okrzyki stawały się coraz głośniejsze, ludzie tupali i klaskali. Pomyślałem o napalmie, o tym, że napalm pali się pod wodą. Pomyślałem o obrazie, który widziałem latem. Pomyślałem o mężczyźnie z siekierą.

– Zniszczyć komunizm! Zniszczyć komunizm! Zabić komunistów!

Zapachniało krwią. Ci ludzie naprawdę myśleli to, co mówili. Chcieli zabijać. Pachniało krwią, krwią i wodą po goleniu.

– Spadamy – powiedział Seb. – Zaraz będzie dzwonek.

Wyminęliśmy zgromadzonych i ruszyliśmy przez Skovveien do piekarni. Ale tam prawie nie dało się przejść, wszyscy sunęli w przeciwną stronę, żeby zobaczyć, co się dzieje przy bramie. Musieliśmy torować sobie drogę, przeciskać się przez tłum, prawie walczyć z tymi, którzy zmuszali nas, żebyśmy zawrócili.

*

Na nic się zdała książeczka oszczędnościowa, na której było czterysta koron, skoro i tak nie mogłem ich wyjąć aż do uzyskania pełnoletniości. Po trzech wyjątkowo trudnych wieczorach podjąłem decyzję i w sklepie spożywczym Jacobsena zdobyłem wielkie kartonowe pudło, przymocowałem je do bagażnika roweru i pojechałem do kwiaciarni na Drammensveien, tuż koło ambasady rosyjskiej. Może potrzebowali posłańca?

– Oczywiście, że potrzebujemy – zaszczebiotała właścicielka, chuda starsza pani w sukience w kwiatki.

I tak zostałem posłańcem z kwiaciarni. Jeździłem po mieście z pudłem pełnym kwiatów i za dostarczenie każdego bukietu dostawałem koronę. Zarabiałem mniej więcej dwadzieścia koron tygodniowo, pani Eng parzyła dla mnie herbatę i karmiła mnie kruchymi ciasteczkami. Chłopakom o niczym nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że zacząłem odrabiać lekcje przed obiadem, a poza tym skłamałem, że nasz dozorca zachorował, dusił się pod respiratorem w Szpitalu Centralnym, więc muszę myć schody i zamiatać chodnik. Nie chciałem, żeby Gunnar, Seb i Ola zobaczyli, jak jadę ulicą z pudłem pełnym badyli. Co to, to nie.

Po szkole wracałem więc prędko do domu i rozwoziłem róże, goździki i tulipany po całym Oslo. Praca była w porządku, wszyscy tak się cieszyli, kiedy się pojawiałem, a czasami nawet dostawałem napiwki. Jedna pani, cuchnąca papierosami i piwem, która w środku dnia otworzyła mi w nocnej koszuli, dała mi pięć koron i spytała, czy nie wszedłbym na oranżadę.

Ale ja nie miałem ochoty.

Trochę, zdaje się, tego żałowałem.

W któryś piątek na dużej przerwie, kiedy deszcz lał ukosem i wiało z północy, Seb i Ola przybiegli pod wiatę, gdzie staliśmy z Gunnarem i kuliśmy geografię. Obaj wydawali się podnieceni, patrzyli na mnie zaczepnie, aż w końcu Ola powiedział:

– Nina ma twoje imię wy-wypisane na rę-rę-ręce.

Tak powiedział Ola.

Co powiedział?

– Co powiedziałeś? – spytałem nie swoim głosem.

– Nina ma-ma-ma twoje imię wy-wypisane na rę-rę-ręce! – powtórzył Ola, podskakując.

– Na ręce?

– Na s w o j e j ręce, nie rozumiesz? – Seb zachichotał. – W tym miejscu. – Wskazał na wierzch dłoni. – Wielki napis czerwonym flamastrem!

– Aha – mruknąłem tylko. Próbowałem dalej czytać podręcznik do geografii, ale litery zrobiły się dziwnie niespokojne, nie umiałbym wskazać Afryki na mapie, gdyby ktoś mnie o to spytał.

Tego dnia poszedłem do domu na skróty. Rzuciłem tornister i pognałem do kwiaciarni, tam dostałem herbatę i ciasteczka; herbata smakowała inaczej niż ta w domu, pachniała również inaczej, obcymi krajami, baśniami, tysiącem i jedną nocą, Chinami. Pani Eng zanurzyła suche ciasteczko w słodkiej herbacie i cicho cmoknęła. Później zapaliła długiego papierosa; używała fifki, czarnej lśniącej fifki.

– Zdaje się, że dziś nie mam dla ciebie żadnego zajęcia.

Przeliczyłem uzbierane kartki i wręczyłem jej. Było ich w sumie dwadzieścia osiem, i tak niezły tydzień.

Pani Eng z kieszeni spódnicy wyjęła trzy dziesiątki, o dwie korony więcej.

– Za to, że jesteś taki szybki i sprawny. – Pogłaskała mnie po głowie.

Spojrzałem na pieniądze. To była duża forsa. Dałoby się za nią sporo kupić.

Pani Eng zaczęła sprzątać papier gazetowy i łodygi. Dalej siedziałem. Z mojego przemoczonego ubrania kapało. Pani Eng spryskała wodą rośliny doniczkowe, obcięła zbrązowiałe liście. W ciasnym pokoiku na zapleczu woda parowała jak w dżungli.

– Jeszcze tu jesteś? – spytała, odwrócona do mnie plecami.

Myślałem o Ninie. O tym kwiatku, który mi wtedy dała.

– Mak, co to za kwiat? – spytałem.

– W Norwegii to rzadki kwiat – odparła pani Eng, odwracając się do mnie. – I niebezpieczny. Wiele maków jest trujących. – Dziwnie się uśmiechnęła. – Są trujące i piękne.

– Chyba zaproszę ją do kina – wyrwało mi się.

– Koniecznie. – Pani Eng z powrotem ukryła się w dżungli.

Następnego dnia wstałem o świcie, mało spałem tej nocy, prawie nie zmrużyłem oka, chociaż byłem zmęczony. Początkowo zastanawiałem się, czy może w ogóle nie iść do szkoły, wykasłać sobie przeziębienie i nagrzać czoło od lampy, ale nie. Chłopaki pękłyby ze śmiechu. Teraz albo nigdy. Na palcach zakradłem się do przedpokoju po „Aftenposten", przejrzałem program kin. Grali całkiem sporo filmów, które miałbym ochotę zobaczyć. *Lalki* z Giną Lollobrigidą, *Zakochane pary* czy *Ostre pazury* z Ann-Margret. Albo *Sposób na kobiety*. Ale to nie wchodziło w grę. Zatrzymaliby mnie, zanim zdążyłbym wyjąć rękę z kieszeni. Rękę. Żołądek mi się ściągnął jak stary worek do gimnastyki. Może Seb i Ola całkowicie źle to odczytali? Może to był tylko zapisek dla pamięci, że ma coś kupić? Albo nazwa zespołu? The Kinks? Za cholerę nie dam się złapać na haczyk, dopóki nie zobaczę tego na własne oczy. Mojego imienia napisanego na jej ręce. No

ale jeśli już ją umyła? To przecież oczywiste, że umyła ręce! Dalej przeglądałem program kin. *Kaczor Donald na Dzikim Zachodzie*. Jeszcze nie zwariowałem. *Mary Poppins* w Colosseum. Nie byłem idiotą. A co grają w kinie Frogner? *Greka Zorbę*. Zorba, powtórzyłem w duchu, słowo prawie mnie połaskotało. Dla dorosłych, ale bileter we Frogner był krótkowidzem. Gdybym nastroszył włosy i stanął na palcach... Zorba. Brzmiało nieźle.

– Spóźnisz się! – powiedziała mama, stając za mną. – Już po wpół do ósmej!

Ale zdążyłem. Na zerowej godzinie mieliśmy norweski. Kartofel był ożywiony jak źrebak. Odczytywał nam na głos fragmenty barokowego poematu *Trąbka Północy* i opowiadał o jego autorze Petterze Dassie, a my, nakryci pokrywkami, chrapaliśmy.

Na przerwie sam usiłowałem coś wywęszyć na szkolnym dziedzińcu. Nie widziałem Niny. Poczułem już niemal ulgę. Może się rozchorowała, nie przyszła do szkoły. Ale na ostatniej przerwie pojawiła się przy źródełku z wodą do picia. Też tam podszedłem. W środku miałem pustkę, a buty ważyły kilkaset kilo. Nachyliłem się nad strumieniem wody, lewym okiem celując w nią. Zobaczyłem, że ukradkiem też mi się przygląda, a ona pewnie zauważyła, że ja ukradkiem przyglądam się jej. Woda zalała mi całą twarz. Nina miała na ręku wypisane moje imię. Czerwonymi literami.

Ostatnia lekcja wlokła się bardziej niż kiedykolwiek. Mieliśmy religię z panem Steinerem, zwanym Świętym, który poświęcił trzy kwadranse na wyjaśnienie nam, dlaczego Jezus tak się wkurzył na ten krzak, który nie wydał owoców, chociaż był środek zimy. A na koniec chciał, żebyśmy śpiewali te idiotyczne pieśni, z których nigdy nie rozumieliśmy ani słóweczka. *Jezu, słodkiej jedności Twojej poznać smak*. Ale akurat wtedy zadzwonił dzwonek, więc pognałem na dół po schodach, bogaty i wyniosły myślą.

Ninę odnalazłem na Colbjørnsens gate. Wracała do domu. Mieszkała na Tidemands gate. Szedłem za nią przez pięć kwartałów, już nie taki twardy, mało brakowało, a bym się poddał, uciekł w jakąś bramę. Nagle się jednak odwróciła, jakby wiedziała, że tam jestem. Stanęła i czekała.

– Cześć – powiedziała, kiedy ją dogoniłem, i znów ruszyła przed siebie. Spojrzałem na jej rękę. Schowana w kieszeni. Może jednak źle widziałem. Najlepiej bym zrobił, gdybym skręcił w Løvenskiolds gate, ale moje nogi

chciały czegoś zupełnie innego. Szły za nią, minęły fontannę, wkrótce już byliśmy prawie pod jej domem.

– Czy ty nie mieszkasz na Skillebekk? – spytała Nina.

– Owszem.

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się.

– No to dokąd idziesz?

Złapany na gorącym uczynku. Ośmieszony i zdeptany.

– Do stryja – wyjaśniłem prędko. – Na Marienlyst.

Tidemands gate. Piasek w klepsydrze już się przesypał. Przystanęliśmy na rogu.

– Cholernie zimno – powiedziałem.

– Wolę zimę od jesieni – stwierdziła Nina. – Was też religii uczy Święty?

– Pójdziesz ze mną do kina wieczorem?

Umówiliśmy się przy fontannie o wpół do siódmej. Miałem zupełnie zdrętwiałe nogi. Chciałem zawrócić i pognać do domu, ale Nina mnie zatrzymała, z pełną powagą pytając:

– Czy twój stryj nie mieszka na Marienlyst?

– No tak – odparłem i ruszyłem we właściwą stronę, czułem, że jeden z kręgów szyjnych mi płonie.

Nina ze śmiechem pomachała mi tą ręką, którą wcześniej trzymała w kieszeni, a świecące czerwone litery mnie oślepiły.

Dwaj faceci tańczyli razem na plaży! Idiotyczne. Nina szła obok mnie bez słowa, po wieczornym seansie było już ciemno, mokry asfalt falował w świetle latarni. Miałem w kieszeni jeszcze jeden batonik Japp, ale ona nie chciała, to byłby już czwarty. Czułem ogromną ulgę. Dostaliśmy się na seans dla dorosłych, nawet nie musiałem kłamać!

Znów znaleźliśmy się przy fontannie. Tryskała w górę za naszymi plecami, lśniąca kolumna, która cały czas opadała, a mimo wszystko stała w miejscu. Przysiedliśmy na brzegu, dość blisko siebie, i patrzyliśmy w dal.

– Żal mi go – powiedziała z powagą Nina.

– Żal? Kogo?

– Tego starego.

– Jak to?

– To przecież on był najbardziej nieszczęśliwy!

Zorba, rozległo się w mojej głowie. Ach, gdybyśmy tak znaleźli się na wielkiej plaży, nad szumiącym morzem, muzyka napływałaby ze wszystkich stron na pełny regulator, a my tańczylibyśmy, tańczylibyśmy nadzy! O rany. Nie mogłem zapanować nad myślami. Nagle przypomniała mi się Henny i jeszcze bardziej wszystko mi się zamąciło. Henny na pewno tak tańczyła. Gotów byłem się założyć.

Nina przesunęła rękę w moją stronę, przełknąłem ślinę i spytałem:

– Masz ochotę na jabłko?

– Na jabłko?

– Tak.

– Masz przy sobie i jabłka?

– Nie mam. Ale mogę przynieść z ogrodu Tobiassena.

– Tobiassena?

Już wstałem.

– To tam, na rogu. – Pokazałem kciukiem.

– Teraz?

– To nie zajmie dużo czasu.

Pobiegłem na Bondebakken. Nikogo nie było widać, więc przelazłem przez płot i na brzuchu podpełzłem pod drzewa. Świeciło się w dwóch oknach wielkiej drewnianej willi. Słyszałem plusk fontanny i widziałem cień Niny siedzącej na brzegu.

Jabłka w tym roku wisiały cholernie wysoko. Nie mogłem dosięgnąć nawet do tych najniższych. Musiałem wspiąć się na drzewo. Wlazłem po pniu, chwyciłem grubą gałąź i podciągnąłem się na niej. Chciałem wejść jeszcze wyżej, bo przecież najlepsze jabłka wisiały na samej górze. Prześlizgiwałem się między liśćmi, aż w końcu znalazłem to najpiękniejsze, duże, zielone, wyczyściłem je o kurtkę i schowałem do kieszeni.

Wtedy usłyszałem głosy. Znieruchomiałem. Z Tobiassenem nie warto było mieć do czynienia. Chłopak z tej ulicy mówił, że on strzela

z wiatrówki. Ale te głosy nie dobiegały wcale od strony domu, tylko od płotu. Ktoś się skradał przez trawę. Na chodniku ktoś stał na czatach, z rękami założonymi na piersi, i przestępował z nogi na nogę.

– Tylko szy-szy-szybko! – usłyszałem szept Oli.

– Zamknij się! – odmruknął leżący w trawie Gunnar.

Seb czołgał się obok niego, w ręku trzymał wielki worek.

Bez zastanowienia po prostu to zrobiłem. Zerwałem jabłko i rzuciłem nim w kierunku domu. Wylądowało na gałązkach.

Na ziemi zapanowała cisza.

– Słyszałeś? – rozległ się po chwili szept Gunnara. Znieruchomieli na klęczkach. Ani drgnęli.

Rzuciłem jeszcze jedno jabłko. Tym razem bliżej.

– Znów to samo!

– Może to szczur wodny – podsunął Seb. – Albo jeż.

Zaczęli się wolno przemieszczać. Przyłożyłem wtedy dłonie do ust i zawołałem w noc:

– Nie ma jabłek dla złodziei! Nie ma jabłek dla złodziei!

W trawie zapanowało nagłe ożywienie. Poderwali się, krzycząc jeden przez drugiego, przeskoczyli przez płot i zniknęli w Gyldenløves gate.

Odczekałem chwilę, potem ostrożnie zlazłem z drzewa i pobiegłem do Niny.

– Długo cię nie było – stwierdziła, chyba trochę zła.

– Musiałem znaleźć najładniejsze – wyjaśniłem i podałem jej wielkie zielone jabłko.

Wbiła w nie zęby, chrupnęło, po brodzie pociekł jej sok. Oddychała ciężko, trzymała jabłko obiema dłońmi, mlaskała, wsysała je w siebie, a kiedy się pocałowaliśmy, smak jabłka i zapach jabłka były wszędzie, fontanna dalej tryskała.

Ola przyszedł do szkoły bez gipsu. Ręce miał słabe i chude, nie bardzo wiedział, gdzie je podziać. Zwisały mu z barków jak sznury. Sprawiał wrażenie nieźle zagubionego. Liczył jednak, że jeszcze ze dwa tygodnie

będą go omijać pisemne lekcje, ledwie mógł utrzymać ołówek, a oczywiste było, że nie może się nadmiernie wysilać.

– Musisz gimnastykować palce – tłumaczył mu Gunnar, pokazując pięść. – O tak. Wiesz, tak robił Charlie Watts.

Ola spróbował zacisnąć dłoń, ale szło to bardzo opornie, był wykończony już po zgięciu kciuka.

– Potrzebuję cza-cza-czasu – jęknął. – Za-za-zaczekajcie do świąt. Wtedy za-za-zaczniemy ćwi-ćwi-ćwiczyć!

Zadzwonił dzwonek, więc się rozdzieliliśmy. Przed klasą Gunnar jeszcze mnie zatrzymał.

– Czym ty się ostatnio zajmujesz? – spytał.

– Zajmuję? Niczym.

– Przecież prawie cię nie widujemy.

– Uczę się.

Gunnar przyjrzał mi się uważnie.

– Uczysz się! Nie pieprz. Przecież, do cholery, nie umiałeś pokazać Afryki na mapie.

– Pech.

– I nie przyszedłeś na zakończenie treningów.

– Zapomniałem.

– Nie będzie żadnego jesiennego wyjazdu do Danii. Dopiero na wiosnę.

– Chyba w porządku.

Przyszła Piła, nauczycielka od niemieckiego. Minuty wlokły się jak poranione mrówki. Fred Hansen stał przy tablicy, odpowiadał ze słówek. Niemal zniknął w swojej olbrzymiej marynarce, a głowę miał ogoloną prawie na łyso. Dziewczyny chichotały, a nauczycielka piłowała:

– Głowa! – zawołała. – Jak się nazywa głowa po niemiecku?

Fred Hansen stał niemy i nieruchomy, prawie widziałem, jak pod wargami zaciska zęby. Piła z rezygnacją rozłożyła ręce i wskazała na krzywo ogoloną głowę Freda.

– *Dummkopf!* – Pchnęła go w stronę ławki.

Do katedry został wezwany Gąsior, a on umiał wszystkie regułki na pamięć. W blasku wypolerowanej do połysku aureoli Gąsiora Fred Hansen jeszcze bardziej się zgarbił i zmalał.

Na dużej przerwie znów staliśmy pod wiatą. Ola odzyskał trochę werwy w rękach, chodziło tylko o to, żeby nie pokazywać tego nauczycielom. Fred Hansen przemknął pod płotem z olbrzymim drugim śniadaniem w rękach, może i je odziedziczył po starszym bracie.

– Wszyscy się z niego wyśmiewają – szepnął Gunnar. – Nauczyciele też. Aż się rzygać chce.

Zerknęliśmy na Freda. Stał sam, przylepiony do siatki, przypominał więźnia obozu koncentracyjnego ze zdjęcia w podręczniku do historii.

– Chciałbym zobaczyć jego brata – powiedziałem. – Musi być olbrzymem.

– Lecimy po struclę – zarządził Seb. – Ktoś ma jakieś pieniądze?

Wyciągnąłem z kieszeni świeżutką dychę i włożyłem do puli. Spojrzeli na mnie zdumieni.

– Do-do-dostajesz forsę od Niny? – spytał Ola i wszyscy wybuchnęli konwulsyjnym śmiechem, aż stojąca przy źródełku Nina spojrzała na nas, a mnie wtedy krew buchnęła na twarz, jakbym zamiast skóry miał na niej bibułę.

– Lecimy, zanim będzie dzwonek? – spytałem i ruszyliśmy do wyjścia. Gunnar, Seb i Ola ze śmiechu aż puszczali bańki kącikami ust. Nina też się śmiała. Jedyną osobą na całym dziedzińcu, która się nie śmiała, byłem ja. I jeszcze Fred Hansen.

Którejś niedzieli wybraliśmy się do Nesodden zbierać jabłka. Stałem na pokładzie promu w kurtce przeciwwiatrowej i wielkim szaliku, chociaż świeciło słońce i dawno nie było tak ciepło jak tego dnia, ale mama zawsze powtarzała, że jesień to podstępna pora, trzeba uważać i ciepło się ubierać. Kilka żaglówek wciąż pływało po fiordzie, kredowobiałe prześcieradła na czarnej wodzie.

W drodze do Domu ojciec zatrzymał się i otarł pot z czoła.

– *Indian summer* – westchnął.

– A co to takiego? – spytałem.

– Kiedy jesienią nagle znów robi się ciepło, jakby lato wracało.

Pobiegłem do sadu. Cztery jabłonie stały ciężkie od jabłek, gałęzie nachylały się ku ziemi. Zapach owoców, ziemi i drzew uderzył mnie jak miękka ściana. Wbiegłem w nią, podskoczyłem i złapałem jabłko, a kiedy wbiłem w nie zęby, pojawiła się przy mnie Nina, przez soczysty, niemal płynny miąższ poczułem jej oddech.

Przyszli rodzice z grabiami, którymi mogliśmy sięgnąć do najwyższych gałęzi. Wejść na drzewo mi nie pozwolili. Układaliśmy jabłka w skrzynkach i nosiliśmy do Domu. Na środku ciemnego salonu stał wielki stół. Mama nakryła go ceratą i umocowała ją czterema klamerkami. Wysypywaliśmy jabłka na blat i z pustymi skrzynkami szliśmy znów je napełnić. Po zerwaniu owoców z dwóch drzew zjedliśmy bułeczki z rodzynkami i napiliśmy się herbaty z termosu; wypluwałem każdy kawałeczek skórki pomarańczowej, bo nie ma dla mnie nic gorszego niż kandyzowana skórka, kożuch na mleku i łupiny w musie jabłkowym. Ojciec chodził zadowolony, śmiał się pod nosem, wyjął nawet swoją fajkę. Mama też się cieszyła, poprawiała mi szalik, bo nie było wcale tak ciepło, jak nam się wydawało, stale to powtarzała.

Zerwaliśmy owoce z ostatnich drzew. Na stole w salonie leżała góra jabłek. Napełniliśmy nimi plecaki i siatki, tyle, ile daliśmy radę udźwignąć.

– Po resztę przyjedziemy później – oświadczył ojciec. – Kiedy będziemy zamykać Dom na zimę.

Pospieszyliśmy na przystań. Słońce wisiało nad wzgórzem Kolsås, zimne i wypalone. Podczas przeprawy do miasta też stałem na pokładzie. Moje ręce pachniały jabłkami.

Któregoś wieczoru zostałem wysłany do stryja Huberta z pudłem na kwiaty wypełnionym jabłkami. Mieszkał na piątym piętrze i miał widok wprost na studio telewizyjne nazywane Dużym Studiem. Jadąc na rowerze przez ciemne, mokre ulice, pomyślałem, że może zastanę u niego Henny, a wtedy nagle nogi zrobiły mi się dziwnie ciężkie, aż pedały zaczęły piszczeć.

Zanieśliśmy pudło do kuchni, tam przesypaliśmy jabłka do kosza na brudną bieliznę. Stryj Hubert wyglądał na trochę zmęczonego. Prawą rękę miał bardzo niespokojną. Henny nie było, z całą pewnością. Później siedziałem na kanapie i piłem czekoladę rozpuszczalną, a Hubert chodził tam i z powrotem po pokoju. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Jak zawsze panował u niego bałagan, wszędzie walały się rozrzucone ubrania, talerze i rysunki przedstawiające zamki, kobiety i lekarzy. Podobało mi się to, ale trochę zaczęło mi się kręcić w głowie od tej nieprzerwanej wędrówki Huberta. Latem tak się nie zachowywał, teraz znów stał się taki jak dawniej, przed Henny.

– Co tam w szkole? – zagadnął mnie.

– W porządku.

Więcej się nie odezwał. Podszedłem do okna i wyjrzałem na biały budynek radia i telewizji. Wydało mi się, że w jednym z okien dostrzegłem Erika Byego, tego pieśniarza.

Hubert usiadł na moim miejscu i dopił czekoladę.

– Nie przyszlibyście do nas w odwiedziny? – spytałem szybko.

Spojrzał na mnie zmieszany, jego głowa kręciła się w kółko.

– Kto?

– Ty i Henny.

W oczach pojawiła mu się jesienna szaruga.

– Może – powiedział, wyciskając na usta zmięty uśmiech.

Coś było nie tak, ale nie miałem odwagi pytać. Zniosłem puste pudło i umocowałem do bagażnika roweru. Zjechałem w dół Kirkeveien, wiatr wydął mi żółtą kurtkę przeciwdeszczową jak balon. Na Tidemands gate zatrzymałem się i zadzwoniłem dzwonkiem. Chwilę później trzasnęły drzwi i wąską żwirową alejką przybiegła Nina.

Mama miała rację. To był podstępny czas. Nadszedł październik, a ja chodziłem niemal tyłem, nocami nie mogłem zasnąć, słuchałem jesiennej pieśni Jenseniusa, deszczu padającego poziomo i pociągów, z hukiem gnających na wyścigi z wiatrem wzdłuż zatoki Frognerkilen. Rozwoziłem na rowerze kwiaty po całym mieście, a pani Eng na zapleczu szykowała

wieńce, bo jesień to czas, w którym ludzie potrzebują wieńców. No i była Nina. Od końca do końca Nina. Czułem się dość zmęczony. Co wieczór przemierzaliśmy ulice, żuliśmy gumę, ale wcale przez to nie zapomniałem smaku jabłek, a w jeden z takich wieczorów, kiedy zgięci wpół szliśmy pod górę na Bondebakken, spotkaliśmy Guri. Była z chłopakiem z drugiej klasy w szkole realnej na Majorstua, o trzy głowy wyższym ode mnie, z fryzurą modsa i łańcuszkiem na nadgarstku. Guri miała twarz sztywną od szminki, no i wyszło, że się wybierają na balety na Thomas Heftyes gate, spytali, czybyśmy z nimi nie poszli. Raczej nie wypadało odmówić, poszliśmy więc, po brzuchu rozlało mi się ciepło, a Nina kurczowo ściskała mnie za rękę.

– W tym domu mieszkał kiedyś Bjørnstjerne Bjørnson – powiedział mods. – Jego praprawnuczka zajmuje poddasze i nie ma o niczym pojęcia.

To był wielki drewniany dom, ciemnobrązowy, stojący w dość zapuszczonym ogrodzie. Nina milczała, mods wypluł niedopałek i klepnął Guri w tyłek. Weszliśmy za nimi do środka, a potem po stromych schodach zeszliśmy do piwnicy. W końcu znaleźliśmy się w ciemnym i zimnym pomieszczeniu, ale dało się dostrzec, że siedzą tam albo leżą jacyś ludzie. Na podłodze rozłożono materace, śmierdziało alkoholem, papierosami i jeszcze czymś zupełnie innym, o rany, czerwone serce podeszło mi do gardła.

Guri i ten chłopak gdzieś przepadli. Nina przycisnęła się do mnie. Ktoś zapalił zapałkę i w tym krótkim błysku zobaczyliśmy, czym zajmują się niektórzy. Staliśmy, no bo co mieliśmy robić. W końcu usiedliśmy na najbliższym materacu. Kurtki przeciwdeszczowe były mokre i śliskie, pod nimi gotowaliśmy się z gorąca, pocałowaliśmy się, Nina rozchyliła usta, poruszyła się gwałtownie, a nasze dłonie sunęły po ciałach jak pługi śnieżne, leżeliśmy, dłoń Niny, zdecydowana i lepka, robiła ze mną różne rzeczy, ale nagle rozległ się piekielny hałas i wszyscy rzucili się w mrok. My też się poderwaliśmy. Dopiero wtedy poczułem, co się ze mną stało, i ucieszyłem się, że jest tak ciemno. Ktoś krzyknął, że idą, idą! Złapałem Ninę za rękę i pociągnąłem za sobą, wreszcie udało mi się znaleźć drzwi i ruszyliśmy na górę po schodach. Migały niebieskie światła, gliny już kogoś złapały, praprawnuczka Bjørnsona z wrzaskiem waliła laską o parapet. Pobiegliśmy w drugą stronę, przeskoczyliśmy przez jakiś płot

i znaleźliśmy się w ogrodzie, w którym zza odartej z owoców jabłoni dochodziło paskudne warczenie. Przyspieszyliśmy i schowaliśmy się za kościołem amerykańskim. Nina wtuliła się we mnie i rozpłakała. Powiedziała, że Guri ostatnio tak się zmieniła, odkąd zaczęła chodzić z tym chłopakiem, że sama już nigdy więcej nie pójdzie w takie miejsce, że nigdy w życiu tak się nie bała, i czy uważam, że słusznie.

– Tak – powiedziałem zmieszany, wpatrując się w asfalt. – Jasne.

– Może przyszedłbyś do nas na obiad w niedzielę?

– Jasne – odparłem jeszcze bardziej zmieszany i na tym stanęło. Dopiero w domu uświadomiłem sobie, że w niedzielę jest przecież finał rozgrywek pucharowych, mecz Frigg ze Skeid. Niech to szlag trafi! Cholera. Cholera. Cholera!

Ojciec Niny był Duńczykiem. Niewysoki i okrągły, miał bujną brodę, w której znikały usta, chociaż nie do końca, bo gdzieś z jej głębi mimo wszystko wydobywały się dziwne dźwięki, padały szybko i trwały długo. Oczywiście w niedzielę jedli obiad wcześnie, już o drugiej, a ja siedziałem w wielkim, chłodnym salonie i nie mogłem przełknąć w zasadzie nawet ziemniaka, bo na Stadionie Ullevål właśnie trwała pierwsza połowa. Gunnar, Seb i Ola na pewno już tam stali i wrzeszczeli, a ja siedziałem jak ociężały uczeń szkółki niedzielnej, nie rozumiejąc nic z tego, co mówił ojciec Niny, ale śmiejąc się, kiedy inni się śmiali, brudząc koszulę i nadstawiając uszu, żeby się zorientować, czy gdzieś w pobliżu nie ma radia albo czy ryk z Ullevål nie dotrze na Tidemands gate.

Ale czułem się również dość uroczyście, bo nigdy wcześniej nie jadłem obiadu u żadnej dziewczyny, prawie zapomniałem, jak należy się posługiwać nożem i widelcem. Na szczęście śmiech matki Niny był z rodzaju tych przyjemnie łagodzących, smarujących wszystkie czerwone twarze kremem przeciwsłonecznym. Po pewnym czasie zrobiło się więc naprawdę miło, a ojciec Niny wypił kilka ładnych kieliszków, więc owszem, byłoby fajnie, gdyby nie ten finał na stadionie, swędziało mnie całe ciało.

Później, już u Niny w pokoju, w którym na ścianach było mnóstwo zdjęć, zaczęliśmy się sprzeczać o zespoły, ona głównie słuchała Rolling Stonesów i Yardbirdsów, o rany, nawet nieźle się orientowała, zdaje się dzięki

starszemu kuzynowi z Kopenhagi, który grał na gitarze elektrycznej i mieszkał sam w wynajętym pokoju. Gładko przyznałem, że w zasadzie nie mam nic do tych zespołów, ale Beatlesi to Beatlesi, nie mają sobie równych. Nina oświadczyła, że Beatlesi piszą świetne piosenki, ale nie za dobrze umieją grać.

Zacząłem nie lubić tego kuzyna z Kopenhagi, pewnie to on tak się wymądrzał. Ale tyle rozmawialiśmy z chłopakami o grze Paula McCartneya na basie, że nie miałem siły podejmować tego wątku. Leżałem na podłodze z zamkniętymi oczami i wyobrażałem sobie murawę na Ullevål, czułem zapach kamfory, widziałem, jak Per Pettersen drybluje przez całe środkowe pole, a w końcu lobem wbija gola Kasperowi, który stoi jak kaleka i szuka na niebie księżyca.

Nagle Nina spojrzała na mnie ze śmiertelną powagą na twarzy i spytała cicho:

– Potrafisz dochować tajemnicy, Kim?

– O rany, no pewnie.

– Przysięgasz, że nikomu nie powiesz?

– Słowo honoru.

– Guri będzie miała dziecko.

Gwałtownie usiadłem.

– O cholera. Z tym modsem z Majorstua?

– Tak.

– I co zrobi?

– Jeszcze nie powiedziała rodzicom. Idę do niej dziś wieczorem.

– Kurdemol! – zawołałem, z powrotem kładąc się na podłodze. – Kurdemol!

Nina wyraźnie się tym przejmowała. W jednej chwili jakby zupełnie się zmieniła. Przybyło jej lat. Przełknąłem ślinę i spytałem:

– A co mówi o... ojciec dziecka?

– Nic! To gnojek.

To akurat zauważyłem od razu. Śliski dupek. Parę dni po naszej wizycie w tamtym domu wszystkim uczniom w szkole wręczono list do rodziców, ostrzegający przed tym, co się tam dzieje. Mama mnie zlustrowała

i stwierdziła, że ja o czymś takim na pewno nic nie wiem, jasne, że nie, odpowiedziałem i z trudem łapiąc równowagę, poszedłem do swojego pokoju z rozpalonym brzuchem, myśląc o tym, że przecież tak mało brakowało, mniej już brakować nie mogło.

Mecz dawno się skończył. Miałem poznać wynik jako ostatni człowiek na świecie. Nina nastawiła płytę zespołu Swinging Blue Jeans, niezbyt pasującą do nastroju. Położyła mi rękę na brzuchu.

– O czym myślisz? – spytała nagle.

– O tym, kto wygrał finał – wyrwało mi się, a wtedy ta ręka się cofnęła.

– Aha. – Nina odwróciła głowę. Czyli że chodziło o coś ważnego.

– No nie tylko – zacząłem łagodzić. – Ale fajnie byłoby wiedzieć, kto wygrał.

– Chłopaki myślą tylko o jednym! – prychnęła i zacisnęła usta. Wargi miała wąskie jak sznurek.

Nie było nic do powiedzenia, zapadła dość nieprzyjemna cisza. Nina była jak zamknięte drzwi, a ja nie mogłem znaleźć klucza.

– Muszę już wychodzić – oświadczyła nagle i wstała. – Mam przecież iść do Guri.

Zapomniałem zdjąć z bagażnika pudło na kwiaty. Sterczało jak wieża i wyglądało głupio. Ale Nina i tak nie chciała, żebym ją podwiózł. Pożegnalny uścisk był bardzo zimny. Ruszyłem wyboistą ulicą, dziwnie się czułem, myśląc o tym, że Guri będzie miała dziecko. No ale kto wygrał finał?

Dojechałem zaledwie do Frognerveien. Tam na rogu stało trzech piratów, którzy na mój widok wyskoczyli na bruk i zmusili mnie do zjechania na chodnik. Szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami gapili się na mnie i na rower.

Ola wskazał na pudło.

– Wozisz Ni-Ni-Ninę w tym czymś?

– Kto wygrał? – krzyknąłem.

– Dostarczasz kwiaty z kwiaciarni? – zachichotał Seb.

– A może organizuje przeprowadzki? – podsunął Gunnar.

– Kto wygrał? – krzyknąłem.

Gunnar wsadził ręce do kieszeni i kilka razy kopnął w asfalt.

– Trzy trzy po dogrywce.

– Remis! – wrzasnąłem.

– No.

O kurczę, ale miałem szczęście! Dwa grzyby w barszczu. Czy pójdę z nimi na rewanż w przyszłą niedzielę? Jasne!

W domu na schodach spotkałem Jenseniusa. Wciągał się na kolejne stopnie, które pod nim trzeszczały, a z wielkiej głowy lał się pot.

Zatrzymał się, kiedy do niego podszedłem, świszczał jak kobza.

– Już nie śpiewasz, chłopcze? – spytał.

– Ćwiczę – powiedziałem.

– Ależ ja nic nie słyszę!

– Ćwiczę w duchu – wyjaśniłem.

– Musisz to z siebie wydobyć, chłopcze. – Jensenius miękko poklepał się po piersi. A potem wydał z siebie kolosalny dźwięk, jego twarz przybrała ciemnoczerwony kolor, ton się wznosił, tynk spadał ze ścian, a wszystkie drzwi otwarły się na oścież. Ale Jensenius śpiewał, dopóki cały dźwięk się w nim nie wyczerpał; na klatce został tylko smród piwa, potu i siekanych kotletów.

– Musisz to z siebie wydobyć – szepnął później. – Wspomnisz moje słowa!

Ojciec oznajmił, że Beatlesi dostali Ordery Imperium Brytyjskiego, ponieważ poprawili brytyjski bilans handlowy. Mama stwierdziła, że *Yesterday* to śliczna piosenka, a królowa Elżbieta na pewno wiedziała, co robi. Źli i zdezorientowani, poszliśmy do mojego pokoju i starannie zamknęliśmy za sobą drzwi.

– Coś mi tu nie pa-pa-pasuje – mruknął Ola. – Nie lubię, kiedy rodzicom po-po-podoba się to samo co nam.

Po zastanowieniu pokiwaliśmy głowami. Zgadzaliśmy się z nim. Ola miał rację. Działo się coś złego.

– Oni tak wcale nie myślą – powiedział Seb. – Tak tylko mówią. Przecież starzy nigdy nie mówią tego, co myślą. Tylko tak gadają.

Zastanowiliśmy się jeszcze raz i też się z nim zgodziliśmy. Na pewno tak to wyglądało. Przejrzeliśmy ich na wylot. Nas nie wpuszczą w maliny.

W każdym razie najpierw musiały zostać wręczone odznaczenia. Wypinając piersi, przyszpililiśmy je sobie nawzajem. Ringo dostał srebrny medal Sztafety na Holmenkollen, który ojciec Gunnara zdobył w pięćdziesiątym drugim z klubem Ready. Seb – odznakę, którą wypływałem na zawodach w Nesodden rok wcześniej. Gunnar – złoty medal za najlepszą krowę w Toten, który dziadek Oli zdobył dwa razy z rzędu tuż przed wojną. Mnie przypadła odznaka Czerwonego Krzyża, którą matka Seba dostała na dorocznym zjeździe lokalnego oddziału w 1961 roku. Staliśmy wyprostowani obok siebie, szlachetne medale błyszczały i podzwaniały, potem wyciągnęliśmy ręce, skłoniliśmy się głęboko, a angielska królowa przeleciała przez pokój jak duch.

Po ceremonii odbył się koncert. Gunnar, Seb i Ola przynieśli wszystkie swoje płyty, w sumie mieliśmy dziesięć singli, cztery epki i pięć longów. Trzeba było od razu zaczynać, jeśli chcieliśmy przerobić cały repertuar. Kupiłem nowe baterie do philipsa.

Zaczęliśmy od *Love Me Do*, przyklejając uszy do głośników.

– Jak ci idzie gra na perkusji? – spytaliśmy Olę w przerwie.

– Trenuję ołówkami. Z lewą ręką jest gorzej.

– Chciałbym dostać na Gwiazdkę gitarę elektryczną – powiedział Gunnar. – Z wibratorem.

Przełożyliśmy płytę na drugą stronę. *P.S. I Love You*. Ojciec w salonie jęknął. Właśnie tak powinno być. Podgłośniliśmy.

W samym środku *Do You Want to Know a Secret* rozległo się pukanie do drzwi. Stanęła w nich mama, a za nią Nina.

– Cześć – powiedziałem zachrypniętym głosem, Nina weszła, a mama zamknęła drzwi wolniej, niż Smok odmawiał *Ojcze nasz*.

Nina usiadła obok mnie na podłodze. Rozejrzała się.

– Słuchacie płyt? – spytała.

– Nie, gramy w karty – Seb zachichotał. Nina się do niego wykrzywiła, a mnie straszliwie ścisnęło w żołądku.

– Czcimy to, że Beatlesi dostali Ordery Imperium Brytyjskiego – powiedziałem prędko.

– Dlaczego tylko oni? – spytała Nina.

Oczy o mało nie wyszły nam z orbit.

– Kto inny miałby dostać?

– Byrdsi – oświadczyła bez wahania Nina.

– To przecież Amerykanie! – krzyknął Seb.

– No to Rolling Stonesi. Albo Yardbirds! Albo Manfred Mann!

Nie poddawała się. Szykowała się ostra walka.

– Tylko Bea-Bea-Beatlesi poprawili brytyjski bi-bi-bilans handlowy – wydusił z siebie Ola i to był koniec dyskusji.

Przesłuchaliśmy pozostałe single, a potem nastawiłem EP z *Long Tall Sally*, żeby raz na zawsze pokazać Ninie, że Beatlesi umieją grać. O rany, co za solo gitarowe! Gunnar wił się po podłodze jak dżdżownica, a Ola bębnił palcami po wszystkim, co tylko znajdowało się w pobliżu.

Kiedy muzyka ucichła, Seb postanowił o coś spytać.

– Dlaczego Guri odchodzi z naszej klasy?

Nina zerknęła na mnie. Wyjrzałem przez okno. Nie wygadałem.

– Zmienia szkołę – odparła Nina.

– U nas jej się nie podoba?

Nina postanowiła skierować rozmowę na zupełnie inny temat.

– Słyszeliście, że Smok próbował zabić Bereta?

Aż drgnęliśmy.

– Mama mi o tym powiedziała, bo zna naszą szkolną pielęgniarkę.

Siedzieliśmy napięci jak struny. Smok. Morderca.

– Beret ma słabe serce, to wiecie. Dlatego kilka razy dziennie musi zażywać lekarstwa. Nosi te tabletki w kieszeni marynarki, w prawej. Bo kiedy serce zaczyna mu szwankować, lewą rękę ma prawie sparaliżowaną.

– To dlatego tak często wychodził na korytarz – szepnął Gunnar.

– Właśnie. No a Smok na przerwie przełożył mu to lekarstwo do lewej kieszeni.

– I co się stało? – Seb ledwie mógł mówić.

– Bereta znaleziono nieprzytomnego na korytarzu. Ale w gabinecie lekarskim udało się przywrócić go do życia.

– A jak odkryli, że to Smok?

– Sam o tym rozpowiedział. Przechwalał się przed wszystkimi.

– Pójdzie do wię-wię-więzienia? – wydusił z siebie Ola.

– Do poprawczaka – wyjaśniła Nina.

To już był koniec Smoka bez twarzy. Zlodowacieliśmy w środku. Nie pomogło nawet to, że Ola nastawił *Help*.

– Nie sądziłem, że Smok jest taki bystry – szepnął Seb.

Odprowadziłem Ninę do domu. Szliśmy drobnymi kroczkami wzdłuż Løvenskiolds gate. Na chodniku było ślisko.

– Guri odchodzi z waszej klasy? – spytałem.

– Tak. Będzie miała skrobankę.

Przeszliśmy kawałek dalej. W twarz uderzył mnie mokry liść.

– A ten chłopak? – spytałem. – Czy to nie jest nielegalne?

– Ona nie chce powiedzieć, kto to jest.

Byliśmy przy fontannie. Już ją wyłączono, basen zakrywały wielkie płyty. Przysiedliśmy na brzegu. Tylko nam marzły. Ale siedzieliśmy. Nina wydawała się dziwna, jakby daleka, ledwie mogłem do niej dosięgnąć.

– Czegoś ci nie powiedziałam – zaczęła.

Teraz to usłyszę. Próbowałem znaleźć jakieś miejsce dla rąk. Nie chciały uleżeć w spokoju.

W ciemności oczy Niny wydawały się białe.

– Przeprowadzam się – oznajmiła.

– Przeprowadzasz? Dokąd?

– Do Danii.

– Do Danii – powtórzyłem z zupełnym spokojem.

– Tak. Do Kopenhagi. Ojciec będzie tam pracował w ambasadzie.

– Kiedy?

– Za trzy tygodnie.

Była jesień. Fontannę zamknięto. A mnie cholernie zmarzły ręce. Schowałem je pod swetrem Niny.

– Może na wiosnę cię odwiedzę – powiedziałem. – Mamy grać mecz w Kopenhadze.

Moje dłonie się rozgrzały, a włosy Niny zakryły mnie całego.

Nie traciłem czasu. Wszystkie wieczory spędzałem z Niną. Albo snuliśmy się po ulicach – nigdy wcześniej tyle nie chodziłem – albo siedzieliśmy u niej w pokoju i słuchaliśmy płyt lub oglądaliśmy mapę Danii. To nie było wcale tak cholernie daleko, gdyby się szło przez Szwecję, można by się tam dostać niemal suchą nogą. Słyszałem o chłopaku z sąsiedniej dzielnicy, z Ruseløkka, który zakradł się na prom do Danii, ale odkryto go, jeszcze zanim prom dopłynął do latarni morskiej Dyna koło Bygdøy, i zaraz wysadzono w Horten. Ale na wiosnę zamierzałem ją odwiedzić. To było pewne jak w banku. Z numerem dwa na plecach. Najlepszy obrońca w mieście. Po zastanowieniu stwierdziłem, że może wcale nie będzie tak źle. Oczywiście, przykro, ale wcale nie najgorzej mieć dziewczynę w Kopenhadze. Powtarzałem to w duchu po drodze do domu. Mam dziewczynę w Kopenhadze. Brzmiało wspaniale. Dziewczyna w Kopenhadze.

Gunnar, Seb i Ola zaczęli patrzeć na mnie podejrzliwie, pytali, czy kompletnie wpadłem. No ale w następną niedzielę poszliśmy na finał pucharu, wyposażeni w chorągiewki Frigg i w kasztany do rzucania w słabeuszy ze Skeid. Tym razem też był remis po dogrywce i Seb powiedział, że jeśli tak będzie dalej, to w końcu przyjdzie im grać w rakietach śnieżnych. W kolejną niedzielę znów się stawiliśmy z chorągiewkami i kasztanami, ziemia zamarzła, murawa na Stadionie Ullevål wyglądała jak pole, no i oczywiście drużyna Skeid musiała wygrać, na takim boisku, a sędzia kalosz nie uznał wytęsknionego gola Frigg strzelonego w ostatniej minucie, niby z powodu ataku na bramkarza, Kasper twierdził, że ktoś nadepnął mu na palec, niech to szlag. Powlekliśmy się do domu z uszami po sobie, wpatrzeni w niebo, zastanawiając się, czy już niedługo spadnie śnieg.

– Kiedy Nina się przeprowadza? – spytał Gunnar.

– Za tydzień.

– Prze-prze-przenosisz się za nią?

– Zamknij się!

Wcisnęliśmy się do kolejki jadącej w stronę jeziora Sognsvann i wdaliśmy się w kłótnię z jakimiś bęcwałami z Torshov, którzy oczywiście zauważyli chorągiewki Frigg pod naszymi kurtkami.

– Per Pettersen rusza się jak żuk gnojarz – oświadczył jakiś piegus.

Ola wysunął głowę, wargi mu drżały.

– Per Pettersen rusza się jak pu-pu-puma. A Ka-Ka-Kasper to pajac!

– Idź do diabła!

– Sam sobie idź! Nie da się grać w piłkę na takim bo-bo-boisku.

– Warunki były identyczne dla obu drużyn – prychnął piegowaty.

– Skeid ma lepszych biegaczy na orientację! A sędzia był prze-prze-przekupiony!

Doszło do drobnych rękoczynów, ale udało nam się wyciągnąć Olę na Valkyrien bez większych obrażeń i powlekliśmy się, przygnębieni, przez zimne, pachnące niedzielną pieczenią ulice.

Poszedłem z Sebem do niego i pożyczyłem wypracowanie na temat bezpieczeństwa ruchu drogowego. Seb miał dość szalony pomysł. Proponował, żeby wszystkie samochody jeździły tyłem, wtedy nie mogłyby tak pędzić, tyle że to by wymagało znacznie większych lusterek. O rany. Dostał tróję z minusem, ale po poprawieniu najgorszych byków czwórka byłaby w zasięgu.

– Ojciec przyjeżdża do domu na święta. – Sebowi zaświeciły się oczy.

Wyszedł ze mną aż na klatkę. Stanął i zaczął kołysać swoim długim ciałem raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Jutro ci oddam – powiedziałem.

– Nie ma pośpiechu. Posłuchaj…

Nie dokończył. Zatrzymałem się i spojrzałem na niego.

– Tak?

– Coś ci z tego wyjdzie? Mam na myśli z Niną.

Nie odpowiedziałem, tylko zacząłem zeskakiwać ze stopni.

– Przecież żartowałem! – zawołał Seb, wychylony przez poręcz.

Nagle puścił się biegiem i zatrzymał koło mnie. Oczy cholernie mu posmutniały.

– Wiesz… wiesz, że Guri będzie miała… dziecko?

– Słyszałem plotki.

– Wszyscy o tym gadają. To dlatego odeszła z naszej klasy. – Kompletnie zbielało mu czoło. – Czuje się okropnie – powiedział i wolno zaczął wchodzić po schodach. – A tak w ogóle to zaprosiłem ją kiedyś do kina – dodał, nie odwracając się.

Nina wyjechała w drugą niedzielę listopada.

Ale w sobotę była premiera *Help*, więc trzy godziny stałem w kolejce przed kinem Eldorado i udało mi się zdobyć dwa bilety z samego brzegu w czternastym rzędzie. No i siedzieliśmy tam, Nina i ja, sala się gotowała, a ja się zastanawiałem, czy Gunnar, Seb i Ola zdobyli bilety, bo w kolejce ich nie widziałem. Czułem się zmęczony, działo się za dużo naraz. Chciałem spędzać czas z nimi i chciałem być z Niną, więc siedziałem teraz z ręką Niny na kolanach, z roztopioną czekoladą w kieszeni i ze skołowanym mózgiem w głowie, wśród krzyków, wrzasków, wymachujących rąk, perfum i tupiących kowbojek. Siedziałem i nie docierało do mnie nic z tego, co się działo na ekranie.

I nagle szliśmy już do domu. Niewiele się do siebie odzywaliśmy, właściwie nic nie mówiliśmy. Ostatni wieczór. Było lodowato, mróz szczypał w twarz. Zbliżaliśmy się do Tidemands gate. Dom był teraz pusty, ekipa od przeprowadzek już odjechała z dwoma wielkimi transportami. W miarę jak się tam zbliżaliśmy, coraz mocniej zaciskaliśmy dłonie, aż w końcu Nina zawołała „au” i przyciągnęła rękę do siebie.

– Zabolało mnie – powiedziała.

– Nie chciałem.

– Przecież wiem.

Szturchnęła mnie w bok, a potem wyciągnęła z kieszeni ogromne jabłko, gładziutkie, lśniące jak czerwony księżyc. Ugryzła je i w ciemności rozniósł się zapach. Potem ja ugryzłem i tak jedliśmy to jabłko, każde ze swojej

strony. Śmialiśmy się i śliniliśmy, aż do ogryzka, w końcu nasze usta się spotkały, ogryzek upadł na ziemię. Pięknie to zrobiliśmy, a potem długo się całowaliśmy, taki długi jabłkowy pocałunek. Kiedy wreszcie się od siebie oderwaliśmy, Nina miała zupełnie mokrą twarz, nie wiedziałem, czy od łez, od jabłka, czy może ode mnie.

– Będę pisać – powiedziała.

– To dobrze.

– Obiecujesz, że i ty napiszesz?

Kiwnąłem głową, nie wiedząc, co zrobić z rękami, i odchrząknąłem.

– Pamiętasz tamten kwiatek? – spytałem.

Nina podniosła głowę.

– Ten, który mi dałaś, kiedy Holsta o mało nie zjadł wąż.

– Pamiętam.

Kopnąłem kamień po chodniku. Uderzył w dekiel samochodu. Rozległ się cholerny hałas.

– Ciągle go mam.

Znów się pocałowaliśmy, w końcu Nina oderwała się ode mnie i szybko ruszyła żwirową alejką. W wielkim domu okna jaśniały jak elektryczne dziury wśród nocy.

Kiedy biegłem do domu, zaczął padać śnieg.

RUBBER SOUL
ZIMA ’65/’66

Mama obudziła mnie prognozą pogody. Czterdzieści centymetrów świeżego śniegu na jeziorze Tryvann. Roleta z trzaskiem podskoczyła do góry i do pokoju wpadła przez okno zima. Leżałem w łóżku i sprawdzałem, co czuję. Sprawdzałem i nie czułem nic. Skoczyłem do telefonu i zadzwoniłem do Gunnara, ale nie było go w domu, poszedł na narty z Sebem i Olą. Powiedział mi to jego brat.

– Wybierali się chyba na Kobberhaugen. Amerykanie przyjeżdżają.

– Co?

– Amerykanie przyjeżdżają!

Nic z tego nie rozumiałem.

– Pierwszy przystanek to lasy Nordmarka – powiedział Stig.

– Schronisko na Kobberhaugen.

– No właśnie.

Zbiegłem do piwnicy po narty Bonna. Kijki okazały się za krótkie. Dotarłem do schroniska Frognerseteren i ruszyłem przez las, wspinałem się na kijkach, bez mrugnięcia okiem zjeżdżałem poza trasą, Slaktern pokonałem jednym skokiem, aż piszczały kandahary, przemknąłem przez jezioro Blankvann, nawet się nie zastanawiając, czy lód mnie utrzyma, trzeszczało pode mną i huczało, ktoś mi kibicował z lądu, ale lód wytrzymał, jasne, że wytrzymał, a teraz zostały mi już tylko ostatnie podejścia pod górę do schroniska na Kobberhaugen, tam ich zastałem, spoconych, przy kominku, z gorącym sokiem porzeczkowym i papierosami.

Siadłem przy nich. Wzrokiem zmierzyli mnie od stóp do głów.

– Kto to jest? – spytał Gunnar.

– Może miejscowy – podsunął Seb.

– Wydaje mi się, że to bra-bra-brachol Olego Ellefsætera.

– Dajcie spokój – zdenerwowałem się.

– Mówi po norwesku – stwierdził Gunnar. – Gdzie ja go już widziałem?

Ta zabawa trwała dość długo, ale w końcu mnie rozpoznali i Gunnar spytał:

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? Próbowaliśmy zdobyć bilety na *Help*.

– Na *Help* – odparłem cicho.

Natychmiast się na mnie rzucili, cali czerwoni na twarzach, wrzeszczeli ze złością, wybuchła piekielna awantura.

– Ty… tyś już był na *Help*? – jęknął Gunnar.

– Z Niną – wyjaśniłem.

– Bez nas! Dlaczego, do cholery, nie kupiłeś biletów dla nas?

– Zostały tylko dwa – próbowałem się tłumaczyć.

– Bujać to my, a nie nas!

Na chwilę przy stoliku zapadła cisza. Czułem się zupełnie pusty w środku. Mój postępek równał się ze zdradą stanu. Zostanę zastrzelony na sąsiednim wzgórzu, Appelsinhaugen, spalony na miejscu, a moje prochy trafią do jeziora Bjørnsjøen.

W końcu jednak Seb powiedział:

– Ostatni wieczór z dziewczyną. Mógł robić, co chciał, prawda?

Gunnar i Ola niechętnie pokiwali głowami, zrobiło się jeszcze ciszej.

– No ale jaki był ten film? – krzyknął nagle Ola. – Ja-ja-jaki był?

– Nie wiem – mruknąłem.

– Nie wiesz! – Gunnar znów do mnie przyskoczył. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic nie pamiętam. Słowo honoru.

Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Upokorzenie nie miało granic. Pokładli się na stole i cali się trzęśli w anorakach. Postanowiłem, że sobie pójdę. Ale zostałem stanowczo zatrzymany.

– Nic nie pamiętasz? – zanosił się Gunnar.

– Nic.

– Wobec tego idziemy dziś wieczorem, do cholery. Wszyscy razem!

No jasne! Poczułem, jak rozlewa się po mnie ciepło. Rzuciliśmy forsę na stół, stwierdziliśmy, że wystarczy i na bilety, i na papierosy, potem błyskawicznie przypięliśmy deski i bijąc życiowe rekordy, dotarliśmy do Sognsvann, chociaż Ola ledwie mógł się opierać na kijkach, ale popychaliśmy go, kiedy było pod górkę, no a w dół, rzecz jasna, jechał już sam.

Dostaliśmy bilety w pierwszym rzędzie, w Eldorado. Stawiliśmy się z medalami na piersiach i grzywkami nagarniętymi na czoła. Rozlegające się za nami krzyki uderzały nas w karki jak podmuchy wiatru, z galerii sypał się grad papierków po czekoladkach i pastylek na gardło. Siedzieliśmy na tyle blisko ekranu, że mogliśmy wstać i ich dotknąć.

Kiedy wyszliśmy z kina, śnieg jaśniał na ulicach. Stanęliśmy, żeby obejrzeć fotosy, byliśmy osłabieni, zmęczeni i szczęśliwi.

– Jedno jest pewne – stwierdził Gunnar. – Przynajmniej na nartach jeździmy lepiej niż Beatlesi!

– Na la-la-lato musimy sobie załatwić takie ką-ką-kąpielówki – orzekł Ola. – Pa-pa-pasiaste!

– Wiecie, co zrobimy latem? – zaproponował Gunnar. – Wybierzemy się pod namiot do lasów Nordmarka. Będziemy łowić ryby, i w ogóle.

Ruszyliśmy w stronę domu. Gadaliśmy o wszystkim, co zrobimy. O The Snafus. O tym, jacy będziemy sławni. O lecie, chociaż zima ledwie się zaczęła, o wszystkich latach naszego życia. Rozmawialiśmy o tym, jak to będzie, kiedy pójdziemy do liceum i kiedy na dobre skończymy szkołę. Byliśmy mocni w gębie, a z naszych twarzy wzlatywały piękne ptaki. Braliśmy zaliczkę na przyszłość, która zapowiadała się fantastycznie.

Śnieg poleżał trzy dni, potem spłynął i przez tydzień było goło i ciepło. Później dostarczono kolejny ładunek i temu śniegowi dane już było poleżeć. Zaspy tworzone przy odśnieżaniu rosły, trzeba było obchodzić całe kwartały, żeby znaleźć wejście. Słupek rtęci trząsł się w okolicach minus dwudziestu, lód skuł fiord, dało się więc przejechać na łyżwach aż na Nesodden i łowić dorsze spod lodu przy latarni morskiej Dyna. Śnieg zasypał też szkolny dziedziniec. Ola był pewien, że to się wreszcie stanie teraz, ale nic się nie działo. Licealiści wcale nie myśleli o skropieniu nam

głów, nie zauważali nas, traktowali jak powietrze, mogliśmy więc oddychać z ulgą tak głęboko, że para bijąca z ust otaczała nam głowy jak ławice mgły, chociaż w głębi ducha czuliśmy się trochę oszukani, dokładnie tak jak z tamtą szczepionką na ospę. Rower trzeba było odstawić do piwnicy, stałem się teraz pieszym posłańcem, z dodatkiem za niepogodę w wysokości pięćdziesięciu øre od przesyłki, czasami jeździłem też tramwajem, ale zawsze znalazł się jakiś dureń, który zaparkował na przysypanych śniegiem szynach, nie mogło się więc obyć bez dzwonienia, krzyków i awantur, bo działo się to w czasach, kiedy w Oslo były prawdziwe zimy.

Któregoś takiego dnia zaniosłem kwiaty do kliniki chirurgii plastycznej na Wergelandsveien i wyszedłem stamtąd spocony, z mdłościami, nie mogłem znieść widoku wszystkich tych pokiereszowanych twarzy, bez nosów i podbródków, bez ust, oczu i uszu. Czułem się tak, jakbym się znalazł w lazarecie w wietnamskiej dżungli. Stałem na Wergelandsveien, chwiejąc się na nogach i z trudem łapiąc powietrze, kiedy ktoś nagle zawołał mnie po imieniu. Odwróciłem się w stronę, z której dobiegał głos, i zobaczyłem, że przed Domem Artystów ktoś do mnie macha, to była Henny, Henny w wielkim, luźnym płaszczu i czapce ściągniętej na czoło. Podbiegłem, wybierała się do Galerii Narodowej i spytała, czy nie miałbym ochoty iść z nią, a ja miałem ochotę, bo tego dnia nie było już więcej kwiatów do rozniesienia. Minęliśmy szkołę średnią założoną przez Aarsa i Vossa. Henny mówiła o obrazach, o Munchu, pytała, czy byłem w Muzeum Muncha, a ja nie byłem, stwierdziła, że powinienem tam iść. A teraz przynajmniej obejrzymy salę Muncha. Powędrowaliśmy na piętro, minęliśmy czarne, lśniące sylwetki, które przypomniały mi lato, ale dalej posłusznie na miękkich kolanach szedłem za Henny po skrzypiącej podłodze. W końcu tam dotarliśmy. Ze ściany wyskakiwały konie. Na moście stały dziewczęta. Henny pokazywała i tłumaczyła.

– Widzisz tę zieloną twarz? – spytała. – Nie ma zielonych twarzy, prawda? Ale właśnie ta twarz mimo wszystko m u s i być zielona.

Spojrzała na mnie, żeby się upewnić, czy zrozumiałem.

– Tak – powiedziałem, pozieleniały na twarzy.

– Widzisz l ę k?

– Tak – powiedziałem i zobaczyłem lęk.

Nagle u s ł y s z a ł e m obraz. Naprawdę. U s ł y s z a ł e m.

Gwałtownie się odwróciłem i zobaczyłem niesamowitą postać, która stała na moście, zatykała sobie uszy i z całych sił krzyczała. Krajobraz w tle płonął, a z nieba spływała krew. Usłyszałem to. Naprawdę. Stałem przed tym obrazem jak przykuty. Na ramie był napis *Krzyk*. Zlodowaciałem w środku, krzyk, ten krzyk wwiercał mi się w uszy, krzyczała nie tylko ta postać, krzyczały również wzgórza za jej plecami, niebo, woda i most, na którym stała. Cały świat był jednym wielkim krzykiem, to musiała być matka tamtej dziewczynki z Wietnamu. We mnie też zaczął narastać wielki wrzask, rósł w gardle jak kolumna, przełykałem ślinę, walcząc ze sobą, nie mogłem przecież krzyczeć tutaj, w muzeum. W końcu się oderwałem i podbiegłem do Henny, zmęczony do szpiku kości.

– Napiłabym się kakao – powiedziała nagle. – A ty?

Wyszliśmy z galerii i znaleźliśmy wąski stolik pod oknem w cukierni Ritz. Henny zamówiła napoleonki, jedliśmy je malutkimi łyżeczkami i piliśmy kakao z cienkich niebieskich filiżanek.

– Widziałeś wcześniej takie obrazy? – spytała.

– Widziałem jeden, latem – odparłem, z trudem łapiąc oddech. – Przed parlamentem. Mówił o Wietnamie.

– I co o nim myślisz?

– Nie wiem. On był… był brzydki. Brzydki i fajny jednocześnie.

Henny spojrzała na mnie znad filiżanki, poważna.

– Ja też tak uważam. Właśnie o to chodzi. Przecież obraz przedstawiający coś strasznego nie może być ładny.

– Amerykanie zrzucają napalm – powiedziałem cicho.

W zamyśleniu pokiwała głową.

Zawahałem się, zajrzałem do pustej filiżanki.

– Jakiś facet rozwalił ten obraz. Dlaczego?

– Bo się z nim nie zgadzał.

Nie zrozumiałem.

– Nie zgadzał się z obrazem?

– Tak. On w Wietnamie trzyma stronę Amerykanów.

– To znaczy, że z tym napalmem to nieprawda?

– Prawda.

– Ale jak…

Henny mi przerwała.

– Bo to reakcjonista, faszysta. Zabiłby wszystkich komunistów, gdyby tylko miał okazję.

Wyskrobałem talerzyk i oblizałem łyżeczkę. Zegar nad drzwiami pokazywał, że spóźnię się na obiad. Miałem też mnóstwo zadane, poza tym zbliżały się sprawdziany semestralne, a wieczorem zaplanowaliśmy u Gunnara zebranie, na którym mieliśmy układać repertuar The Snafus. Ale nie mogłem stąd wyjść, nawet gdyby Henny zamierzała spędzić tu tydzień.

– Pojutrze wyjeżdżam do Paryża – oznajmiła. – Będę tam studiować na akademii.

– Jak długo?

– Dwa lata. Ale na wakacje przyjadę do domu.

To dlatego Hubert był taki przygnębiony, kiedy przywiozłem mu jabłka. Nagle poczułem się dumny. Ja też miałem za granicą dziewczynę, do której obiecałem pisać listy i którą zamierzałem odwiedzić na wiosnę.

– Na pewno będzie fajnie – powiedziałem cicho. – Paryż. To daleko.

Henny nagle też spostrzegła zegar i poderwała się, o mało nie przewracając stolika.

– Muszę lecieć. – Zaśmiała się. – Byłam umówiona już pół godziny temu.

Dostałem soczystego buziaka w policzek i Henny, w tym swoim wielkim płaszczu, pomknęła do drzwi. Siedziałem kompletnie zdezorientowany, słyszałem, że przy innym stoliku ktoś się śmieje, spoglądałem za nią, dawno już zniknęła mi z oczu, dopiero teraz zauważyłem, że na ulicach są już świąteczne dekoracje. Padał śnieg.

Wigilia u nas, zawsze tak przeżywałem wigilie, nie znałem innych wigilii. Nas troje plus stryj Hubert, no i przychodzili jeszcze mama mamy i tata taty, bo tata mamy nie żył, tak samo jak nie żyła mama taty, ich zapamiętałem tylko w postaci nachylających się nad wózkiem wielkich drzew, w których było mnóstwo ptaków i dźwięków, a z których od czasu

do czasu spadała na mnie szyszka. Dawno już nie żyli, ale z tymi, którzy zostali, było więcej niż dość zajęcia. Babcia była drobną kobietą, miała długie czerwone paznokcie, cienkie niebieskie włosy i zieloną papużkę w klatce. Umiała wzdychać w najbardziej dramatyczny sposób, jaki słyszałem, a nóż i widelec trzymała zawsze tak, jakby były nosicielami zarazków. Dziadek był grubiej ciosany, babcia już nigdy nie podała mu ręki od wigilii w sześćdziesiątym drugim, kiedy złamał jej trzy paznokcie. Był starym kolejarzem, układał podkłady, kiedy miał osiemnaście lat, siedział w biurze, kiedy miał pięćdziesiąt, a teraz przesiadywał w fotelu przy oknie w domu opieki przy Alexander Kiellands plass i przeglądał rozkłady jazdy. Uszy mu drżały za każdym razem, gdy słyszał przejeżdżający pociąg, a słyszał go zawsze dopiero po długiej chwili, bo był przygłuchy i cierpiał na lekką sklerozę, ale pewnie i tak brzmiało to dla niego jak piosenka, chociaż po czasie, długo po przejechaniu pociągu i ustaniu jego odgłosów, jak piosenka o szynach, zwrotnicach, rytmie i podróżach.

– To był ekspres – powtarzał zawsze. – Po mnie pewnie też niedługo przyjadą.

Przy otwieraniu prezentów stryj Hubert zawsze tracił nad sobą kontrolę. Teraz też po zdjęciu całego papieru pakował prezent od nowa. Powtórzył to dwadzieścia jeden razy, liczyłem, zdejmował papier i owijał z powrotem. Babcia musiała wyjść do innego pokoju, a dziadek ze śmiechem uderzał się w udo i mówił głośno:

– Cały Hubert, cały Hubert! Znów zapomniał zapakować prezenty!

Dostałem głównie miękkie paczki, koszulę, sweter, nowe spodnie narciarskie do kolan. I dwie twarde, od babci starą książkę, Hamsuna, a od Huberta kołowrotek, otwarty, marki Abu, prezent trafiony w dziesiątkę. I jeszcze kij hokejowy od ojca. Kiedy miałem go rozpakować, serce przeskoczyło mi na wyższy bieg. Oczywiście sądziłem, że to statyw do mikrofonu, bo tego życzyłem sobie najbardziej, no ale to był kij hokejowy, a ojciec stał tak rozpromieniony, że musiałem po prostu przełknąć ślinę, uścisnąć mu rękę i też wyrażać radość.

A na sam koniec przyszła kolej na mnie, żeby się zasupłać. Pod choinką było już pusto, ostatnią paczkę mama wręczyła mnie, płaską, kwadratową, nie do pomylenia z niczym innym. Płyta. Podskoczyłem w fotelu i zdarłem papier.

– Przeczytaj, od kogo to prezent – powiedziała mama.

Spojrzałem na naklejkę i bożonarodzeniowa czerwień przeniosła się wreszcie również na moją twarz. Nie wierzyłem własnym oczom. Od Niny.

– Od kogo to? – krzyknął Hubert.

Nie mogłem wydobyć głosu.

– Od przyjaciółki Kima – wyjaśniła dobrodusznie mama. – Przysłała płytę z Kopenhagi.

Byłem mocno zmieszany, ale wśród tego wszystkiego czułem, jak rośnie we mnie kolumna radości. To był nowy longplay Beatlesów. *Rubber Soul*. Przytrzymałem płytę przed oczami. I kolumna radości zaczęła pękać. Świątynia, którą podtrzymywała, obróciła się w ruiny. Nie wiedziałem, skąd się to bierze, to znaczy wiedziałem, ale nie potrafiłem zrozumieć. Prawie nie rozpoznawałem tych czterech twarzy, które się nade mną nachylały, tak, stały nade mną, patrzyły na mnie z góry, tych czterech wrogich, obcych twarzy na okładce płyty.

Później wieczorem stałem w swoim pokoju i wpatrywałem się w tę płytę aż do oślepnięcia. Nie miałem odwagi jej nastawić. Nie miałem odwagi jej słuchać bez Gunnara, Seba i Oli. Przyszedł do mnie stryj Hubert, ssał papierosa, pod oczami miał sadzę, a czoło sine, smutne.

– Stoisz tutaj? – spytał tylko.

Kiwnąłem głową.

– Nie posłuchasz tej płyty?

– Chyba trochę się wstrzymam.

Przez chwilę milczeliśmy. W stryju Hubercie fajne było to, że nie trzeba było przy nim bez ustanku gadać. Ale mimo wszystko powiedziałem:

– Wiesz co, stryju?

– Co? – Spojrzał na mnie.

– Wiesz, stryju, moja dziewczyna też wyjechała.

Przez sekundę jego wzrok gdzieś błądził, ale w końcu spłynęło na niego zrozumienie, wielkie i czyste, my dwaj, my dwaj rozumieliśmy już wszystko. Stryj przygarnął mnie do siebie, nad nami Jensenius, najtłustszy spośród aniołów, śpiewał *Cichą noc*, a my się rozsupływaliśmy, nitka po nitce, w tę Wigilię 1965 roku.

Był drugi dzień świąt, siedzieliśmy w pokoju Seba i wpatrywaliśmy się w *Rubber Soul*. Długo nikt się nie odzywał. Nachylaliśmy się nad płytą w milczeniu, niemal ze złością, tak samo jak John, George, Ringo i Paul nachylali się nad nami, patrząc na nas twardo.

Nie rozpoznawaliśmy siebie.

– Jaka jest? – spytał cicho Seb.

– Jeszcze nie słuchałem.

Spojrzeli na mnie i pokiwali głowami, zrehabilitowałem się teraz za tamten blamaż z *Help*. Ostrożnie wyjąłem płytę z koszulki, Seb położył ją na nowym adapterze marki Garrard, wcisnął ON, a ramię podniosło się samo i opadło w rowek miękko jak kocia łapa.

Przesiedzieliśmy tak cały wieczór, puszczaliśmy ją ciągle od nowa, nasze uszy zmieniły się w olbrzymie muszle, leżeliśmy na dnie morza i słuchaliśmy, słuchaliśmy, próbując zrozumieć przypływające do nas piosenki. Gunnar rozpaczliwie pukał palcem w zdjęcie Johna pod świerkiem, w czasie gdy słuchaliśmy *Norwegian Wood* i nie rozumieliśmy z tego ani dudu.

– Norweski las – jęczał Gunnar. – Norweski las. I co to, do jasnej cholery, jest s i t a r?

Seb wlazł w kolumnę i tam szukał sitara. To musiało być coś naprawdę dziwnego. Za to Ola był zadowolony z *What Goes On*, wytrzasnął skądś dwa ołówki i walił nimi wokół siebie, najwyraźniej zdrowiał. Moim zdaniem *Michelle* była cholernie miękka, natomiast *Girl* trafiała w samo sedno, wypełniła mnie goryczą i ciepłem. *Nowhere Man* przeleciał nam mimo uszu, albo i jeszcze dalej. Gunnar był bliski płaczu, na czoło wystąpił mu pot, usta miał otwarte i zupełnie puste.

– Ale co się właściwie sta-sta-stało? – wymamrotał Ola.

Nagle w drzwiach do pokoju stanął ojciec Seba, kapitan, o smagłej twarzy, w rozpiętej pod szyją białej koszuli, spod której włosy na piersi sterczały mu jak czarny mech.

– Cześć, chłopaki! Dlaczego macie takie strute miny?

– Posłuchaj, tato – zaczął Seb. – Co to jest sitar?

Jego ojciec wszedł do pokoju i stanął na rozstawionych nogach, jakby morze było bardzo wzburzone.

– Sitar. Zaraz wam coś opowiem. Przypłynęliśmy raz z ropą do Bombaju. A mieliśmy kucharza Hindusa. Pracował po bohatersku, musicie wiedzieć, że na statku idzie wcale niemało jedzenia. No i ten Hindus, wiecie, nie jadł mięsa. Hindusi nie jedzą mięsa, bo wierzą, że ich przodkowie mogą się pewnego dnia objawić pod postacią krów albo koników polnych, dlatego mięsa nie jadają. Ale nasz Hindus musiał codziennie szykować mięso, no i chyba potraficie sobie wyobrazić, czym to musiało dla niego być. Codziennie musiał znosić to, że być może serwuje komuś własnego pradziadka. Ale mimo to z tym Hindusem nigdy nie było żadnych problemów.

Seb chrząknął.

– Posłuchaj, tato. Co to jest sitar?

– Nie marudź. No więc z tym chłopakiem nie było żadnych problemów, to znaczy był problem, i to piekielny, bo on grał na sitarze, co wieczór. W tym znajdował pociechę. To wielki instrument. Ma pewnie ze sto strun. Brzmi jak urażona kobieta.

– To znaczy taka hinduska gitara – podsumował Seb.

– No właśnie. Miło was widzieć, chłopcy.

Kapitan wyszedł. Jeszcze raz puściliśmy *Norwegian Wood*.

O rany. Indie?

Okres między świętami był dziwny. Robiliśmy to samo co zwykle. Jeździliśmy na nartach w lasach Nordmarka, graliśmy w hokeja w parku Uranienborg, wrzucaliśmy śnieżki w otwarte okna. Ale mimo wszystko było inaczej. Spadło więcej śniegu niż kiedykolwiek, odgarnięte zaspy rosły ku niebu, ludzie musieli nocować w śnieżnych jamach, nawet gdy tylko chcieli przejść na drugą stronę ulicy. Właśnie tak było. Ogromne zaspy ze wszystkich stron. Czuliśmy się tak, jakbyśmy coś stracili, jakąś część siebie. Te cztery obce, zniekształcone twarze stale się w nas wpatrywały, a my unikaliśmy ich spojrzeń. Wieczorami leżałem wpatrzony w stare zdjęcia na ścianach, Beatlesi na lotnisku Arlanda, każdy z bukietem, Beatlesi z medalami, Ringo na plecach Johna, między Paulem a George'em. To było już tak dawno temu, tęskniłem za tym czasem, kiedy wszystko było

uporządkowane i jasne. Ale jednocześnie ta nowość budziła emocje, czułem jakby elektryczne kopnięcia, jakby prąd kopał mnie w plecy. A kiedy zamykałem oczy, *Rubber Soul* wirowała we mnie, leciałem do tyłu, jeszcze dalej niż dawniej, a pewnej nocy krzyczałem przez sen i swoim krzykiem obudziłem całe miasto, w każdym razie rodziców, bo przybiegli do mnie, ale wtedy wszystko już minęło.

Wysłałem Ninie kartkę na Nowy Rok, nad czterema linijkami mozoliłem się cały dzień. W końcu zapisałem je pismem lustrzanym lewą ręką, tak jak Leonardo da Vinci. A na kartce był *Krzyk* Muncha.

Nadszedł wieczór sylwestrowy, byliśmy u Gunnara, jedliśmy lody z sosem czekoladowym. Siedzieliśmy u niego w pokoju z tymi samymi spojrzeniami, z tym samym pomieszaniem w głowach, na adapterze leżała *Rubber Soul*, a my powoli popadaliśmy w coraz większą desperację.

– Ten sitar jest całkiem niezły – spróbował Seb.

Spojrzeliśmy na niego.

– Chodzi mi o to, że fajnie jest próbować czegoś nowego. Cholera, nikt wcześniej czegoś takiego nie zrobił!

W drzwiach stanął nagle Stig, w obu rękach trzymał piwo.

– *Rubber Soul* to najlepsza rzecz, jaką zrobili Beatlesi. Naprawdę, chylę czoło.

Ukłonił się do podłogi, ręką zataczając wielki łuk. Kompletnie nie mogliśmy tego pojąć.

– Zgadzacie się? – spytał, gdy się wyprostował.

– No.

– Kurde, ale z was tchórze! Porównajcie sobie *Law mi w du...* i *Pic, pic mi* z *Nowhere Man* i z *Norwegian Wood*! No i co?

Cisza. Stig patrzył na nas zdumiony, a potem wybuchnął głośnym śmiechem. W końcu odstawił piwa na półkę z książkami i zniżył się do naszego poziomu.

– To Bob Dylan powiedział, że Beatlesi muszą, do cholery, podostrzyć swoje teksty! Posłuchajcie tylko *Nowhere Man*. Przecież jest właśnie tak. Wszyscy ludzie chodzą z klapkami na oczach, wszystko im zwisa, gwiżdżą na to, że tuż nad głową wisi nam bomba atomowa, przymykają oczy na

wszystkie draństwa, myślą wyłącznie o plastiku i materializmie. Właśnie o tym jest ta piosenka, co nie?

Puściliśmy płytę jeszcze raz. Stig się zapalił.

– Posłuchajcie, to brzmi jak barokowe pianino! Nieźle kręci. Jak cholera! A *Norwegian Wood* wcale nie oznacza lasu ani drewna, to tytoń, rozumiecie? Taki tytoń, który palą Indianie. Fajka pokoju, chłopaki!

Siedział tak z nami, dopóki nie wybrzmiała i nie ucichła *Michelle*. Wtedy zabrał piwo i wyszedł. My słuchaliśmy dalej. Puszczaliśmy płytę, dopóki za oknem nie zaczęły się wybuchy, potężne kolorowe eksplozje. Wybiła dwunasta.

Wyszliśmy na balkon. Stali tam już rodzice Gunnara. Powietrze było mroźne, przyjemne, a my byliśmy rozgrzani w środku. Szczęśliwego Nowego Roku! No tak. Jakoś się ułożyło. Trzymało się. Wróciliśmy na trasę. Ojciec Gunnara chciał nam zrobić zdjęcie, więc postawiliśmy kołnierze, wciągnęliśmy policzki, opuściliśmy powieki i nachyliliśmy się, poważni, nad jego nowiusieńkim fleszem. Kazał nam się uśmiechać, żebyśmy nie wyglądali na takich rozgniewanych. Prawie nas nie poznawał.

Właśnie tak miało być.

*

Ostatniego dnia ferii, brodząc w śniegu, szliśmy w górę Thomas Heftyes gate, nuciliśmy *Norwegian Wood* i snuliśmy plany na przyszłość The Snafus. Został nam jeszcze rok do konfirmacji, do tego czasu powinniśmy zorganizować przynajmniej sprzęt. Sucha zaprawa za pomocą ołówków, gumek do weków i rakietek do badmintona to za mało. Nagle usłyszeliśmy cholerny łomot dobiegający z garażu tuż koło ambasady angielskiej. To nie był tylko gramofon włączony na cały regulator, to był prawdziwy zespół. Stanęliśmy jak wryci, w środku zaspy, potem podkradliśmy się bliżej. Zespół. Zaczęli śpiewać, okropnie, ale grali na żywo. Dość długo się przysłuchiwaliśmy, a kiedy ruszyli z gitarową wersją *Lappland*, przeboju naszych starych, ktoś zaszedł nas od tyłu, wystraszeni, aż podskoczyliśmy.

– Przyszliście się zapisać do fanklubu? – zabeczał grubas z tłustymi włosami, w niebieskim dwurzędowym płaszczu.

– Ty-ty-tylko prze-prze-przechodziliśmy – wyjąkał Ola.

Muzyka się urwała, drzwi do garażu się otworzyły. Zajrzeliśmy do środka, stało tam wszystko, czego sami tak bardzo pragnęliśmy, gitary elektryczne, mikrofony, ogromna perkusja, wzmacniacze i mnóstwo kabli biegnących wzdłuż i wszerz po kamiennej posadzce. Typki, które grały, miały czerwone kurtki, grzywki płasko ulizane na czołach, resztę włosów ściągniętą na uszy i co najmniej po dwadzieścia lat.

– Złapałem tych fanów – oświadczył grubas.

– Zamknij stodołę, zanim nam się jaja odmrożą! – zawołał perkusista.

Wepchnięto nas do garażu i drzwi się za nami zatrzasnęły.

– Mamy robotę. Koncert – powiedział menedżer, zapalił papierosa i puścił piętnaście kółek z dymu pod sufit. – Fantastyczną robotę, jak złoto. Koncert na szkolnej zabawie w Vestheim.

Odwrócił się do nas.

– Do której szkoły chodzicie, *boys*?

– Do Vestheim – odpowiedziałem.

Podszedł bliżej.

– Świetnie! Stawicie się w pierwszym rzędzie.

– Jasne – zapewniłem. – Jeśli nas wpuszczą.

– Powiedzcie, że jesteście od Bobbena, to wejdziecie. Mówcie, że Bobben kazał was wpuścić.

Zespół zaczął grać kolejną piosenkę, *Cadillac*. Bobben pstrykał palcami, gitarzysta solowy pracował bardzo intensywnie, ale wokalista w refrenie złamał się jak zapałka.

– Musisz się pozbyć tego kataru! – zawołał później Bobben. – Ale poza tym nieźle kręciliście.

– Jak się nazywa ze-ze-zespół? – spytał Ola.

– Snowflakes – odparł Bobben. – Zapamiętajcie sobie tę nazwę.

– Snowflakes – powtórzył Ola. – Gracie tylko zi-zi-zimą?

Ola musiał się zamknąć, nim by nas wyrzucili na zbity pisk. Seb już wbił mu palec w plecy.

– Skąd, bystrzaku! Latem nazywamy się Raindrops.

Snowflakes znów zaczęli grać, tym razem instrumentalny utwór, *Apache*. Gitarzysta zredukował bieg i dźwięki popłynęły jak na zwolnionym filmie. Bobben chodził przed nimi tam i z powrotem, przygarbił się i nastawił uszu.

– Wrażenie dźwiękowe w porządku – oświadczył potem.

Rozległo się walenie do drzwi. Bobben otworzył, do środka wpadły trzy dziewczyny, rzuciły mu się na szyję, a później ucałowały zespół, ale kiedy doszły do nas, znieruchomiały.

– To nasi fani – wyjaśnił Bobben. – Zarząd fanklubu z Vestheim. Będziemy tam grać na zabawie.

– Super – powiedziała któraś z dziewczyn. – Walniemy gdzieś jakieś piwo?

– Fantastyczny pomysł – uznał Bobben. – Chodźcie, *boys*! Zajmiemy się tym od razu!

Popatrzył na nas z góry.

– No to jesteśmy umówieni – stwierdził.

Pokiwaliśmy głowami. Nie bardzo wiedzieliśmy, na co się umawiamy.

– Moglibyśmy sobie trochę pograć? – spytał nagle Seb.

Bobben wbił w niego wzrok. Długo się namyślał.

– Pograć?

– Tak tylko spróbować.

– W porządku – powiedział bas. – Tylko bez szaleństw. Delikatny sprzęt.

– W porządku. – Bobben zmarszczył czoło. – Tylko spokojnie. Drogie fanty.

Wyszli. Dziewczyny miały bluzy ze Snowflakes na plecach.

Ola rzucił się do perkusji, Gunnar i Seb chwycili po gitarze, a ja stanąłem przy mikrofonie, no i zaczęliśmy. Wrzeszczeliśmy ile sił w płucach, ja jęczałem i wyłem do mikrofonu, a głos wydobywał mi się z zupełnie innego miejsca niż normalnie i brzmiał całkiem inaczej. Gunnar walił na zmianę te dwa chwyty, które znał, a Seb o mało nie zerwał struny. Graliśmy tak co najmniej pół godziny, brzmiało to okropnie, a przez to fantastycznie.

Nagle Gunnar ryknął:

– Stop!

Zapadła cisza. Byliśmy wykończeni. Ola wisiał nad perkusją jak stare prześcieradło.

– Musimy wiedzieć, c o gramy – oświadczył Gunnar. – Tak żebyśmy mogli grać r a z e m.

– No to co będziemy grać? – spytał Seb.

Zaczęliśmy myśleć.

– Napiszemy własne piosenki – zaproponowałem.

Seb się ze mną zgodził.

– No jasne! Własne piosenki! Cholera, że też wcześniej na to nie wpadliśmy!

– No ale przecież do tej pory nie napisaliśmy żadnej. Musimy wymyślić, co będziemy grać t e r a z.

– *Norwegian Wood* – rzucił Seb.

– Bez sitara?

– Próbujemy.

Próbowaliśmy, ale za nic nie mogliśmy znaleźć tej melodii. Więc równie dobrze mogliśmy zacząć od początku. Czułem drżenie w żołądku, powinienem mieć przynajmniej pas na nerki, skakaliśmy w kółko, potem leżałem na podłodze i wrzeszczałem jak szaleniec, Ola wymachiwał rękami nad bębnem jak wiatrak, Seb pocierał struny, które wydawały z siebie prawie takie dźwięki jak czterdzieści sitarów i dziesięć napalonych kotów, a Gunnar wygrywał spokojne akordy, trzymając to wszystko jako tako w garści.

– Dokładnie tak jak w Cavern! – zawołał Seb. – Dokładnie jak w Cavern!

Prześlizgnęliśmy się na coś, co przypominało *Twist and Shout*, pot z nas parował, dziewczyny na sali wyrywały sobie włosy z głów i koniecznie chciały się wedrzeć do nas na scenę, dawaliśmy z siebie wszystko. Wszystko do ostatka i jeszcze trochę, i właśnie wtedy drzwi do garażu znów się otworzyły, akurat leżałem na plecach i cisza spadła na mnie jak lawina. W drzwiach stały tamte lekko wstawione dziewczyny, za nimi – Bobben z rozdziawioną gębą i Snowflakesi z krzywymi uśmieszkami.

Podniosłem się, Gunnar i Seb wyślizgnęli się z gitar, a Ola odłożył pałeczki i wyłonił się zza wielkiego bębna.

– Co wy, kurka siwa, wyprawiacie? – spytał Bobben.

– Gramy – szepnąłem.

– Gracie? Nazywacie to graniem?

– A wy sami jak się nazywacie? – spytała jedna z dziewczyn, nachylając się do mnie.

– The Snafus – odparłem jeszcze ciszej.

Wybuchnęli śmiechem. Wszyscy. Zaczęliśmy się przesuwać w stronę drzwi.

– Chwila! – zawołał Bobben. – Pamiętacie o tej potańcówce?

Pokiwaliśmy głowami.

– Wszystkim znajomym mówcie o The Snowflakes, jasne?

Jeszcze raz pokiwaliśmy głowami.

– No to mamy dil, chłopaki!

Wyszliśmy, zmęczeni i spoceni. Na mrozie ubranie przymarzło nam do grzbietów.

– Żeby mieć taki garaż i w nim ćwiczyć – westchnął Gunnar, kiedy już trochę ochłonęliśmy. – Na pewno bylibyśmy lepsi niż Snowflakes.

– J u ż jesteśmy lepsi! – zawołał Seb. – Oni grają sam szajs!

Podrzuciłem śnieżkę wysoko do góry. Mogę się założyć, że nie spadła na ziemię. A Ola fuknął:

– Na pewno nawet nie wiedzą, co to jest si-si-sitar!

Święta minęły, zaczęła się szkoła. Brązowe, ogołocone z igieł choinki, przypominające rybie kręgosłupy, zajęły miejsca w bramach i na tylnych podwórzach. Gwiazdy zniknęły z okien, pojawiły się natomiast na niebie w mroźne, czarne jak węgiel wieczory. Nowy rok. Wszystko się zmieniło. Wszystko było takie samo. Tylko Szynka, nauczyciel od gimnastyki, wpadł na nowy pomysł. Mieliśmy pływać. Tłumaczył, że w taką mroźną porę pływanie jest ważne i korzystne. Dzięki pływaniu warstwa tłuszczu pod skórą powiększy się i będzie nas chronić przed zimnem. Trzeba brać przykład z niedźwiedzi polarnych. Pomaszerowaliśmy więc na pływalnię Vestkantbadet i wskoczyliśmy w chlor. Szynka chodził wzdłuż brzegu, dmuchał w gwizdek i krzykiem wydawał polecenia.

– Gdzie Fred? – zabulgotał Gunnar i wypluł zieloną wodę.

Rozejrzałem się.

– Tam idzie – powiedziałem.

Nadchodził Fred Hansen. Żebra sterczały mu jak stopnie schodów nad kanciastymi biodrami, na których wisiały kąpielówki Tarzana. Wahał się kilka sekund, po czym ruszył prosto na trampolinę i rzucił się w dół jak wygłodzona foka, w powietrzu zgiął się wpół i uderzył w wodę bez najmniejszego rozprysku, bez żadnego dźwięku. I w tej wodzie już został. Fred Hansen nie wypływał. Szynka zaczął wrzeszczeć i wymachiwać rękami. Freda Hansena widać było na dnie w postaci szarego cienia, wychudzonej głębinowej ryby. Trwało to i trwało, Szynka już miał wskoczyć do basenu, ale wtedy Fred Hansen wynurzył się jak torpeda, wystrzelił z wody dosłownie na stojąco. Fred Hansen wyskoczył nad powierzchnię jak pstrąg, a potem zaczął płynąć kraulem, najpiękniejszym, jaki w życiu widziałem, przetaczał się w wodzie jak drewniany bal, prawie nieruchomy, tylko chude ramiona ciągnęły go do przodu, jakby do stóp miał przymocowaną wirującą śrubę.

– Świetnie! – krzyknął Szynka. – Znakomicie, Fred! Pływaj tak dalej!

I Fred Hansen płynął dalej, tam i z powrotem, na grzbiecie, motylkiem, żabką, my wszyscy pluskaliśmy się tylko w wodzie jak kalekie hipopotamy, a Fred Hansen był foką, prawdziwą foką!

Później pod prysznicem wszyscy się na niego gapiliśmy. To było nie do uwierzenia.

– Cholernie dobrze pływasz – pochwaliliśmy go.

Fred Hansen zaczerwienił się i zniknął w obłokach pary.

Biegiem wróciliśmy do szkoły. Włosy zamarzły nam jeszcze przed dotarciem do Skovveien, grzywki sterczały jak daszki od czapek. Po wejściu do klasy zaczęły powoli tajać, woda spływała nam po twarzach, a dziewczyny w rzędzie pod oknem się śmiały.

Tego dnia, kiedy Gjermund Eggen zdobył olimpijskie złoto na pięćdziesiąt kilometrów, odbyła się szkolna zabawa w Vestheim. Spotkaliśmy się u Seba dwie godziny przed startem. Jego matka pojechała odwieźć ojca do Marsylii, gdzie czekał na niego nowy statek. Z Sebem została tylko babcia, która siedziała w głębi salonu i haftowała, więc nie

usłyszała brzęku w torbie Gunnara, kiedy na palcach przechodziliśmy po dywanie.

– Niskoprocentowe – żachnął się Seb, kiedy już zabarykadowaliśmy drzwi.

– Innego nie znalazłem – tłumaczył się Gunnar.

– Jak po wypiciu zrobimy po-po-pompki, to się wsta-wsta-wstawimy – oświadczył Ola.

Popatrzyliśmy na niego.

– Krew się ro-ro-rozgrzeje i szybciej uderzy do gło-gło-głowy.

Seb otworzył butelki klamrą od paska, wypiliśmy po łyku. Smakowało jak zawartość worka do gimnastyki.

– Niezłe – stwierdził Gunnar.

Pokiwaliśmy głowami i Seb rozdał papierosy. Siedzieliśmy, paląc i popijając piwo, w blezerach z błyszczącymi guzikami i szarych spodniach marchewkach, a na gramofonie Paul wrzeszczał *When I saw her standing there*. Właśnie tak miało być, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości.

O ósmej powlekliśmy się ulicami, zderzając się ze słupami latarni, potykaliśmy się, chichotaliśmy i obejmowaliśmy, piejąc do nieba. Wypisywaliśmy nasze imiona złocistymi literami, dopóki nam wystarczyło materiału, a wystarczyło nawet na nazwiska i adresy, o rany, zapowiadał się niezły wieczór.

Na szkolnym dziedzińcu stały ciemne grupki ludzi. Usłyszeliśmy muzykę z gramofonu. Za rogiem krążyła z rąk do rąk kwadratowa butelka. Jaśniały zaczerwienione twarze. Nagle przestaliśmy być tacy mocni w pyskach, po schodach schodziliśmy sztywni jak kije, a serca pod koszulami mocno waliły. W garści każdy trzymał piątkę na wstęp. Powiesiliśmy budrysówki w szatni, w której nie cuchnęło potem i grzybicą stóp, tylko unosił się zapach perfum, rodzynek i jeszcze czegoś innego, baśniowego. Szynka stał na warcie przy wejściu, z rękami skrzyżowanymi na piersi, w dwurzędowym srebrnym garniturze, złotym krawacie, z wybrylantynowaną czupryną.

– Niezłe salto – powiedział do mnie, gdy go mijaliśmy.

W sali gimnastycznej też nie cuchnęło oborą, to było zupełnie inne pomieszczenie, z girlandami zwieszającymi się z sufitu i wielkimi sieciami rybackimi na ścianach, były balony, świece, długa lada, przy której sprzedawano colę, bułeczki i kiełbaski, a w rogu ustawiono wielką scenę, gdzie czekał już gotowy sprzęt The Snowflakes. Uspokoiliśmy nerwy colą i mrużąc oczy, zaczęliśmy się rozglądać. Dziewczyny w szerokich sukienkach, dziewczyny w obcisłych sukienkach, niesamowite dziewczyny z wysoko upiętymi włosami, czarnymi oczami, w butach na cienkich podeszwach, na których stały zupełnie bezszelestnie. I chłopcy w lśniących garniturach, licealiści, niektórzy w kurtkach beatlesówkach, a my, w blezerach, wykrochmalonych koszulach i krawatach na gumce, czuliśmy się jak karły.

Cały czas przybywało ludzi, zaczęło się robić ciasno, niektórzy, nie zważając na nic, przepychali się jak wesołe słonie. Wszędzie gadano o Gjermundzie Eggenie i pięćdziesięciu kilometrach, no i o Bjørnie Wirkoli. Głośno wykrzykiwano imiona, pękały balony, dziewczyny się śmiały. W końcu światło odrobinę przygasło i nagle zapadła cisza. Snowflakesi, w czerwonych kurtkach, zielonych spodniach i białych butach, wyszli rządkiem i zaanektowali scenę. Bobben stanął z boku i zajął się przekładaniem jakichś kabli. Wreszcie ruszyli, zaczęli od *A Hard Day's Night*, a my zamknęliśmy uszy i wycofaliśmy się jak najdalej, bo tak nie wolno było robić. Nie wolno grać Beatlesów w taki sposób.

– Jarmarczna wersja – jęknął Seb i zatkał kanały słuchowe dwoma korkami.

Zaczęło się polowanie. Lamparty pełzły przez trawę, odnalazły właściwy kierunek wiatru i krok za krokiem przesuwały się w stronę antylop. Pumy siedziały na drabinkach i czekały, aż obok nich będzie przebiegać niewinny zając. Zebry podskakiwały, a słonie pokładły się spać. Na zewnątrz, w ciemności, wyły hieny i wilki, które nie zdołały się dostać do środka.

Nieopodal stało kilka dziewczyn z klasy mojej i Gunnara. Wystrojone i wymalowane, śmiały się cicho i strzelały oczami, jakby grały w szklane kulki.

– Nie prosicie żadnej do tańca? – Seb zachichotał.

– Moja dziewczyna jest w Kopenhadze – oświadczyłem.

Snowflakesi przeszli na fińską piosenkę *Där björkarna susa*. Bobben wdrapał się na scenę, zaczął coś przełączać i podkręcać, demonstracyjnie szefując. Dziewczyny ustawiły się pod drabinkami, atmosfera robiła się gorąca. Poszliśmy do kibla, po drodze ściągnęliśmy krawaty. W kiblu było równie tłoczno. W samym środku stał Roar z klasy B, awanturnik, gwiazda łobuzerki.

– Cicho! – syknął, kiedy weszliśmy.

W ręku trzymał butelkę z mętnego szkła. Wlał w siebie potężny łyk i otarł pot z czoła.

Ustawiliśmy się przy rynnie pisuaru i rozpięliśmy rozporki.

– Ta Guri – odezwał się nagle Roar, dziwnie wysokim głosem – ta Guri, która chodziła do C, jest napalona jak kocica. Rozkłada nogi za pięć øre.

Rozległ się cichy śmiech. Seb wpatrywał się w ciemnożółte szczyny, w których pływały pety.

– Właśnie dlatego odeszła ze szkoły. Już jej bęben rośnie. Pieprzy się, gdzie popadnie. Największa cipa w mieście!

Seb gwałtownie się odwrócił i stanął przed nim.

– Zamknij się! – warknął.

Roar spojrzał zdziwiony.

– Że co?

– Zamknij gębę, ty dupku! – powiedział Seb.

W kiblu zrobiło się cicho. Wokół Seba i Roara wytworzył się krąg. Zapanowała atmosfera wyczekiwania.

– Co powiedziałeś? – Roar wręczył butelkę swojemu giermkowi.

– Dupek! – powtórzył wyraźnie Seb.

Wszyscy już wiedzieli, że coś musi się stać. Krąg zapewnił im więcej miejsca. Ola stał z otwartymi ustami, Gunnar zacisnął pięści i spojrzał na mnie. Zamknąłem oczy. Nagle za naszymi plecami rozległ się ryk:

– Co się tu wyprawia?!

Szynka. Krąg się rozsypał, Roar zabrał butelkę i schował się w kabinie. Wróciliśmy do sali gimnastycznej.

Snowflakesi nabrali rozpędu. Grali *Apache* z wibratorem, wszystko falowało i się trzęsło. Bobben zorganizował chórek, który wyjąc,

podskakiwał przy scenie. Znalazły się w nim tamte trzy dziewczyny z garażu. Umknęliśmy przed jego spojrzeniem, sięgnęliśmy po colę.

– Ostrożnie z Roarem – szepnął Gunnar.

– On nie ma prawa wygadywać takich pieprzonych bredni! – syknął Seb i zacisnął zęby na bułeczce z rodzynkami.

– U-u-upił się.

– Nie szkodzi!

Szynka wrócił na swoje miejsce przy drzwiach. Szeroki w barach, ze zmarszczkami na czole. Kilka licealistek cisnęło się do niego, chcąc go zaciągnąć do tańca, ale Szynka był niezłomny. Pojawił się Kartofel, w niebieskim garniturze, w dziurkowanych butach. Dziewczyny przerzuciły się teraz na niego i przy wtórze tupania i oklasków pociągnęły go na parkiet.

Nagle okazało się, że Ola gdzieś zniknął. Przepadł całkiem.

– Gdzie Ola? – spytał Gunnar.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem. – Mówił, że idzie tylko kupić drożdżówkę.

Spytaliśmy Seba, który stał ze spuszczoną głową, dalej tak samo wściekły.

– Nie ma go tutaj?

– Nie ma.

– No bo jest tam! – krzyknął Gunnar, pokazując na parkiet.

Rzeczywiście. Ola był na parkiecie. Ola był na parkiecie z największą dziewczyną w szkole. Z Klarą z klasy B, bramkarką piłkarek ręcznych. Gapiliśmy się na niego. Gapiliśmy się tak, że aż brwi nam się nastroszyły. Ola prawie zniknął w objęciach Klary, która obracała nim wokół siebie, Snowflakesi grali *Dancing Shoes*, a my od czasu do czasu widzieliśmy, jak Ola odrzuca głowę do tyłu i łapie powietrze.

Nie odezwaliśmy się ani słowem, ani jednym słóweczkiem. Nic nie było do powiedzenia.

Muzyka przestała grać i Ola wyślizgnął się z uścisku Klary; trzymała jego głowę jak piłkę ręczną, ale Ola się wymknął, dobrze, że przed wyjściem

z domu użył płynu do włosów. Przecisnął się między parami i podszedł do nas z lękiem w oczach.

– Ratunku – powiedział.

– Nic nie możemy zrobić – odparł z powagą Gunnar.

– Ona tu idzie – uprzedziłem.

Nadciągała Klara.

– Ratunku – powtórzył Ola, więc otoczyliśmy go półkolem i przeszmuglowaliśmy w bezpieczniejszy kąt.

Kartofel wspiął się na scenę, żeby wygłosić przemowę, mówił o młodości i o radości życia, o zabawie i powadze. Z czasem za mocno się rozgrzał, tu i ówdzie rozległy się gwizdy. Bobben znów uruchomił chór, Kartofla ściągnięto ze sceny i Snowflakesi walnęli idiotyczną fińską melodię ludową.

Wtedy przepadł Seb.

– Musimy go poszukać – oświadczył zaniepokojony Gunnar.

Zaczęliśmy krążyć po sali, ale nikt nie widział Seba.

– Może wyszedł na dwór – podsunąłem.

Po drodze do wyjścia natknęliśmy się na nieprzyjemną gromadę, z Roarem na czele, był tam też ten mods, z którym wtedy chodziła Guri, i tamci dwaj ulizani, którzy zaczepiali Olę pierwszego dnia. Zaczęli nas poszturchiwać, a ja poczułem w żołądku ten ssący wir, którego tak się bałem, przelatywał przez całe ciało jak podmuch wiatru, i wiedziałem, że teraz może się zdarzyć wszystko.

Gunnar uniósł barki tak, że głowa niemal zapadła mu się w plecy.

– Dalej! – zakomenderował, prawie nie otwierając ust. Wyminęliśmy Szynkę i wbiegliśmy na górę po schodach.

Na szkolnym dziedzińcu było lodowato i ciemno. Ciszę zakłócały jedynie ściszone śmiechy i szepty. Nikogo nigdzie nie było widać.

– Sebastian! – wołaliśmy.

Nikt nie odpowiadał.

Zaczęliśmy go szukać. Nie zajęło nam to dużo czasu. Seb leżał w zaspie koło wiaty, z twarzą wciśniętą w śnieg. Podnieśliśmy go i przetransportowaliśmy tam, gdzie z okien padało trochę światła. Z nosa

ciekła mu krew, a czoło przecinała wielka rana. Gunnar nie mógł na to patrzeć, nie znosił widoku krwi.

– Drań miał kastet – jęknął Seb.

Pognałem do szatni po budrysówki i zanieśliśmy Seba do domu. Babcia ani trochę się nie zdziwiła, kiedy go odstawiliśmy.

– Potknął się na schodach – wyjaśniłem.

Przyniosła jodynę, bandaż i watę.

– Zawsze to mówiłam – westchnęła. – Dzisiejsze schody są zbyt strome. Zbyt strome. Od tej pory musicie bardziej uważać.

Któregoś wieczoru nie mogliśmy znaleźć Oli. Nie było go w domu, a jego matka myślała, że poszedł do któregoś z nas. Zbiegliśmy na dół i zaczęliśmy szukać odcisków jego butów w świeżym śniegu. Ślady śniegowców Oli z prążkowanymi w poprzek podeszwami kierowały się w stronę Drammensveien, ale tam się urywały.

– Może wsiadł do tramwaju – podsunął Seb.

– Do tramwaju? A dokąd Ola miałby jechać tramwajem? – Gunnar miał zmartwioną minę. Ulepił ze śniegu kulę i rzucił ją w popiersie Nobla. – Może z kimś zadarł?

Popatrzyliśmy po sobie.

Z tymi ulizanymi? Z bandą z Frogner?

Nie pozostawało nic innego, jak dalej szukać. Zajrzeliśmy do parku Mogga, ale tam nie było nawet cienia Oli, ruszyliśmy więc w górę Bygdøy allé. Zaczął padać śnieg, który miał zasypać na zawsze ostatnie ślady śniegowców Oli.

– Próbujemy szukać w parku Frogner – oświadczył Gunnar.

Poszliśmy tam. Wołaliśmy, ale żadnej odpowiedzi nie usłyszeliśmy, jedynie szelesty, kiedy gałęzie dłużej nie dawały rady utrzymać czap śniegu. Poleźliśmy dalej, na Psie Pole. Wiało tak, że śnieg padał poziomo. Zaskrzypiała furtka na cmentarz, świerki stały tam całą gromadą, niczym wielkie damy w długich do ziemi czarnych sukniach, wyśpiewując jakąś straszną pieśń.

– Jego tu nie ma, spadamy – zadecydował Seb.

Nagle usłyszeliśmy jakiś dźwięk, niezbyt odległy. Ktoś się skradał po śniegu.

– Ola! – zawołaliśmy ostrożnie.

Dźwięk ucichł, pojawił się z innej strony, przy słupie latarni tuż przed nami. W snopie światła stał zboczeniec ze spuszczonymi spodniami i sterczącym fiutem, gębę miał całkiem siną. Krzyknęliśmy ze strachu, a potem ulepiliśmy twarde jak kamienie śnieżki i urządziliśmy mu bombardowanie. Uciekł ścieżką, w spodniach opuszczonych do kolan, wrzeszcząc i złorzecząc.

Ruszyliśmy w stronę Colosseum i dalej, na Majorstua.

– Musi mu być cholernie zimno tak stać – powiedział jeszcze Seb.

– Idziemy do parku Urra – zarządził Gunnar.

Zegar na kościele świecił żółto, jak dodatkowy księżyc. Dochodziła ósma. Na lodowisku smarkacze bawili się w gąski, gąski do domu, Oli nie było. To oczywiste, że go tu nie było. Ale gdzie mógł się podziać?

Powlekliśmy się na Briskeby. Ściany galerii Albin Upp trzeszczały. Facet na Schodach już zamknął sklep. Czas płynął. Sytuacja stawała się krytyczna.

– Jeśli bodaj jeden włos spadł mu z głowy… – zaczął Gunnar. Powiedział tylko tyle. „Jeśli bodaj jeden włos spadł mu z głowy".

Nagle coś dostrzegłem. Na samym środku Bondebakken. Wskazałem.

– Spójrzcie tam – szepnąłem.

Stanęliśmy jak wryci. Szli w naszą stronę. Potężna postać z szerokimi barami i druga, niska, szczupła. Nie mogliśmy oderwać oczu. Ola i Klara.

– To Ola i Klara! – krzyknęliśmy chórem. Pognaliśmy za róg i schowaliśmy się w bramie u Rzeźnika.

Upłynęła dość długa chwila, ale wreszcie nas minęli. Ola i Klara. Trzymali się za ręce. A raczej to Klara trzymała za rękę Olę. A my wstrzymaliśmy oddechy.

– Ola został porwany! – orzekł Gunnar, kiedy już przeszli. – Musimy go uwolnić!

Zatrzymaliśmy go w pół skoku, odczekaliśmy chwilę i przekradliśmy się na chodnik. Ola i Klara znikali w śnieżnej zadymce.

Pozwoliliśmy im odejść.

– W życiu bym nie uwierzył – powiedział Gunnar.

Pokręciliśmy głowami i w milczeniu wróciliśmy do domu.

A w domu się działo. Ojciec uczył się do egzaminu na prawo jazdy, kuł już od świąt, siedział w salonie z mnóstwem książek na kolanach, rysował znaki drogowe i skrzyżowania, miał czerwone czoło, łatwo wpadał w gniew, jeśli się do niego podeszło za blisko i zadawało zbyt dużo pytań. Tym razem spytałem, kiedy będziemy mieć samochód, ale na to pytanie też nie dostałem odpowiedzi. Mama mnie uciszyła, wyszliśmy do kuchni, zamykając za sobą wszystkie drzwi. W ogóle wszyscy zachowywali się tajemniczo, a ja jak zwykle o niczym nie wiedziałem. Jak zwykle rozjaśniało mi się w głowie na samym końcu.

Gwiazda Freda Hansena znów zgasła. Foka odeszła w zapomnienie. Fred stał przy tablicy i mamrotał z zamkniętymi ustami, wszystko miał w środku, tyle że to się nie mogło wydostać. Z pisemnymi sprawdzianami sobie radził, ale na ustnych szlaban się zamykał. Na norweskim Kartofel krążył wokół niego, koniecznie chciał go nauczyć poprawnego mówienia, bo nie mówi się „wyszłem" i „przyszłem", to błąd. Ale Fredowi tylko płonęły uszy, osuwał się na pulpit ławki, taki mały, że mógłby wpełznąć do dziury na kałamarz.

Na przerwach też nie miał spokoju. Zbierała się wokół niego cała banda, nie tylko z naszej klasy, bo i wszyscy ulizani z bogatych dzielnic, ze Skarpsno i dalej na zachód, a pewnego dnia jeden z ulizanych kopniakiem wyrzucił jego drugie śniadanie w powietrze, spadł wtedy deszcz serwolatki i koziego sera. Mięśnie szczęki Gunnara zaczęły wówczas pracować i podeszliśmy do ogrodzenia, przy którym Fred stał przyklejony do siatki.

– Uczymy Murzyna dobrych obyczajów – powiedział ten ulizany, który kopnął.

– Spadaj! – odparował Gunnar.

Ulizany zrobił zdziwioną minę.

– T y mi mówisz, co mam robić? – zdumiał się.

– No właśnie – odparł Gunnar. – Masz spadać. I to szybko.

Ulizany się rozejrzał. Dookoła zrobiło się miejsce na łokcie.

– A jeśli nie zechcę? Co wtedy?

Gunnar nie jest szybki. Ale celny. Jego prawa ręka wynurzyła się z kieszeni, ramię się wydłużyło i ulizany ze szlochem zgiął się wpół. Inni zaczęli się trochę przepychać, ale na pół gwizdka. Zobaczyli już, co potrafi prawa ręka Gunnara. Zabraliśmy Freda pod wiatę i każdy dał mu po kanapce.

Tego dnia Fred czekał na nas po szkole. Wyglądał na trochę skrępowanego, ale spytał, czy chcemy iść do niego do domu. Jasne, że chcieliśmy. No i ruszyliśmy za Fredem Hansenem przez miasto. Droga była daleka, bo mieszkał całkiem po drugiej stronie, wschodniej, na Schweigaards gate.

Wygłupiłem się pierwszy.

– Co robi twój brat? – spytałem, gdy mijaliśmy Dworzec Wschodni.

Fred długo na mnie patrzył. W końcu zrobił mądrą minę, z którą wydawał się starszy o dwadzieścia lat, jakby zrozumiał wszystko.

– Nie mam brata – powiedział.

– Nie masz brata?

Uśmiechnął się leciutko, spojrzał na swoje ubranie, machnął nogawką.

– Mama kupuje ciuchy w Elevatorze – powiedział.

– W Elevatorze?

– W sklepie Armii Zbawienia. Tam sprzedają używane rzeczy.

Na klatce schodowej domu, w którym mieszkał Fred, unosił się obcy zapach. Nie bardzo wiem, co to mogło być. Po prostu pachniało inaczej niż w naszym. Na skrzynkach na listy stała pusta butelka po wódce. Płaty farby łuszczącej się ze ścian zwisały jak zwiędłe liście. Fred mieszkał na parterze, a klucz do mieszkania nosił na sznurku na szyi. Wyciągnął go spod swetra i o mało nie złamał karku, kiedy go przekręcał w zamku.

W mieszkaniu nikogo nie było. Zdjęliśmy buty, rozglądając się ostrożnie, prawie na wstrzymanym oddechu. Wszystko tu było jakby inne, meble, powietrze, światło. Fred nic nie mówił. Pozwalał nam patrzeć. Dopiero po chwili się odezwał:

– Mieszkam tu z mamą.

Już wiedziałem, co to za zapach. Starych ubrań, taki jak na strychu w Nesodden.

– A gdzie twój o-o-ojciec? – spytał wprost Ola.

– Nie mam ojca – odparł Fred.

– Nie masz ojca?! – nie mógł pojąć Ola.

– Nie mam – odparł krótko Fred.

Seb próbował unieszkodliwić Olę, ale za późno.

– U-u-umarł?

– Nie wiem.

Przeszliśmy do jego pokoju, ciasnego jak walizka, z mnóstwem zdjęć pływaków na ścianach. Usiedliśmy na łóżku, to znaczy na materacu przykrytym spłowiałym zielonym pledem.

– Często pływasz? – spytał Gunnar.

– Na Torggata dwa razy w tygodniu – odparł Fred.

Dużo więcej nie gadaliśmy, trochę tylko pośmialiśmy się z nauczycieli. Fred wyglądał na spokojnego i zadowolonego, patrzył na nas tak, jakbyśmy mu wyświadczyli wielką przysługę. Nagle podłoga zadrżała, zabrzęczała szyba, a materac podskoczył.

– Co to było? – zawołałem.

Fred spojrzał na zegarek.

– Pociąg do Sztokholmu.

Rzuciliśmy się do okna. Tory biegły tuż obok, w odległości zaledwie kilku metrów. Wkrótce potem przejechał pociąg do Trondheim. Mogliśmy zaglądać do przedziałów, w których o zmierzchu już się świeciło. Siedzieli w nich ludzie, czytali, grali w karty, podnosili walizki, jak na filmie, mnóstwo żółtych zdjęć jedno po drugim, po czym nastąpił gwałtowny koniec, łoskot się oddalił, ale podłoga ciągle jeszcze drżała.

– Tędy przejeżdżają chyba pociągi na cały świat – powiedziałem z podziwem.

Fred kiwnął głową.

– U mnie jeżdżą tylko do Drammen i na południe Norwegii – dodałem.

– Tędy jadą aż do Moskwy – oznajmił z dumą Fred.

– Do Moskwy?! Naprawdę?

– Co piątek. Kolej Transsyberyjska.

Kolej Transsyberyjska. Zabrzmiało to jak muzyka. To coś zupełnie innego niż towarowy na Skøyen.

– Jak wygląda? – spytałem.

– Pociąg jest niebieski. I ma bardzo dużo wagonów.

Nagle w drzwiach stanęła jego matka, drobna kobieta w za dużym szarym płaszczu, z cienkimi, przezroczystymi włosami. Spoglądała na nas z pewnym zdziwieniem, ale w końcu się uśmiechnęła, przedstawiliśmy się po kolei, wyciągnęła do nas rękę, wielką, sękatą dłoń, za ciężką w stosunku do jej drobnego ciała.

A potem była woda mineralna Villa Farris i po drożdżówce dla każdego. Słowa wylewały się z niej jak wodospad, mówiła, że jeśli Fred pójdzie do liceum, to będzie pierwszą osobą w rodzinie, która zrobi maturę, mówiła o tym, jak Fred świetnie pływa i że jeśli będzie pływał jeszcze lepiej i jeszcze lepiej się uczył, to może pojedzie na studia do Ameryki. Ameryka. Fred gapił się przez okno, szyję miał cienką, napiętą, cały czas wyglądał, a jego matka mówiła, że może myć schody na okrągło przez całą dobę, w niczym jej to nie przeszkadza, bo jej przyszłość to Fred, mówiła o wielkiej, złotej przyszłości takim cienkim, delikatnym głosem, ale w jej szarych, zmęczonych oczach nie było nawet cienia wątpliwości.

– Jutro spotkanie The Snafus – zarządził Gunnar, kiedy wysiedliśmy z tramwaju na Solli plass.

Ola odwrócił głowę.

– Nie mo-mo-mogę – powiedział.

– To znaczy? – spytał Seb.

– Nie mo-mo-mogę – powtórzył Ola.

Przyjrzeliśmy mu się z powagą.

– Musisz mieć jakieś dobre usprawiedliwienie.

Spuścił wzrok.

– Kla-Kla-Klara.

Kiedy wróciłem do domu, rodzice czekali na mnie w salonie. Na stole stały kieliszki i odziedziczony po przodkach serwis, a na wszystkich parapetach kwiaty.

– Gdzie byłeś? – spytała mama.

– U kolegi z klasy. U Freda Hansena.

Ojciec siedział w fotelu jak posąg, w ciemnym garniturze, z perełkami potu na nosie. W końcu wyciągnął z wewnętrznej kieszeni coś niedużego, zielonego i pomachał tym czymś w powietrzu. Prawo jazdy!

– Gratuluję, tato!

Dał mi je obejrzeć.

– Możesz pogratulować ojcu jeszcze raz – powiedziała mama uroczystym tonem.

– Tak?

Kiwnęła głową.

– Gratuluję, tato – powtórzyłem. – Ale czego?

Ojciec milczał. Mama musiała zabrać głos.

– Ojciec zostanie szefem oddziału.

Niewiele mi to mówiło, ale brzmiało nieźle.

– Kiedy? – spytałem.

– Po Nowym Roku.

– Będziemy wtedy mieć samochód?

Ojciec powoli kiwnął głową. Był teraz królem całej naszej ulicy, królem Svoldergata.

– Gratuluję, tato – powiedziałem po raz trzeci i nagle uświadomiłem sobie, że stoję i ściskam mu rękę, że zrobiło się trochę zbyt uroczyście. Król Svoldergata wstał, mama trochę popłakała, ale wreszcie był obiad – odświętny, z potrawką z kurczaka i winem, dla mnie z colą. Ojciec tajał, roztapiał się, dosłownie się rozpływał. Jak daleko mogłem zajść ja, skoro on dotarł na takie wyżyny, mając tak skromny punkt odbicia. Moja przyszłość została w tym momencie wytyczona jak trasa narciarska przez Nordmarka podczas mistrzostw świata, mocno utwardzone tory i czerwone wstążki na co drugim świerku. Wyższa Szkoła Handlowa. Politechnika. Budownictwo. Bankowość. Lata siedemdziesiąte będą dziesięcioleciem dla mężczyzn

myślących praktycznie i realistycznie, tak powiedział ojciec. Może powinienem studiować za granicą. W Anglii. W Niemczech. W Ameryce! Następca tronu ze Svoldergata już rozpoczął swoją karierę, granice po prostu nie istniały.

– U kogo byłeś? – zainteresowała się mama.

– U Freda. U Freda Hansena.

– A gdzie on mieszka? – spytał ojciec.

– Na Schweigaards gate.

Rodzice wymienili spojrzenia ponad stołem, snując niewidzialne nici, które mnie omijały.

– Mówisz, że na Schweigaards gate? – powiedział spokojnie ojciec. – To daleko.

– Rzeczywiście – ożywiłem się. – Pociągi z Dworca Wschodniego przejeżdżają tuż obok. Widzieliśmy Kolej Transsyberyjską!

– Kolej Transsyberyjską? – Ojciec aż otworzył usta.

– No właśnie. Chciałbym tam mieszkać!

Nagle zapadła cisza. Oczy ojca osunęły się na talerz. Mama wpatrywała się we mnie wzrokiem, którego nie rozpoznawałem.

– Kim! – usłyszałem wreszcie. – Takich rzeczy nie wolno mówić. Nigdy więcej nie wolno ci tak powiedzieć!

Pogrzebałem w jedzeniu, czułem, że krew, zdezorientowana, napływa mi do głowy.

– Dobrze – powiedziałem słabym głosem.

– I n i g d y nie wolno ci tam chodzić wieczorem. Słyszysz?

Słyszałem. Wpatrywałem się w obrus, na którym plama stworzyła dziwną figurę przypominającą okaleczoną twarz albo trolla, jakąś okropną krzyżówkę. Cisza przy stole zaległa na długo. Myślałem o Fredzie, który mimo wszystko nie miał ani brata, ani ojca, i o wielkich czerwonych dłoniach jego matki. Uświadomiłem sobie, że przyszłość, którą dźwiga Fred, jest dwa razy cięższa od mojej.

– Myślę, że to będzie saab – odezwał się wreszcie ojciec.

Wieczorem poszliśmy do Colosseum na *Dźwięki muzyki*. Chyba właśnie wtedy przestałem lubić filmy. Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie

w Colosseum i oglądaliśmy *Dźwięki muzyki*, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem dwa tysiące ludzi z białymi chusteczkami, przypominało to skalisty klif zamieszkany przez ptaki. Tak, to wtedy przestałem lubić filmy. Teraz to rozumiem. Powinienem był zrozumieć już dawno temu.

Kolejne dni przyniosły więcej śniegu, więcej lekcji. W koncercie życzeń usłyszałem *Zorbę*, poczułem ciężar w brzuchu i smak jabłka na podniebieniu. Mama mówiła o tym, że niedługo zabierze mnie do teatru, który jak twierdziła, jest rzeczą wspaniałą, więc już zacząłem się bać. Wieczorami leżałem i za nic nie mogłem zasnąć. Myślałem o tym, że ludzie tylko udają. Oszukują. Na filmie. W teatrze.

Dalej roznosiłem kwiaty po mieście i pewnego dnia na Jacob Aalls gate spotkałem Guri. Była chuda i zabiedzona, wyglądała jak odarte z piór pisklę, spojrzenie miała puste jak śnieg dookoła. Chciałem się zatrzymać, porozmawiać, ale mnie minęła, nie podnosząc wzroku. Ja też jej nie zatrzymywałem, bo sporo jest rzeczy, o których się wie, że powinno się je zrobić, ale nigdy się ich nie robi.

Było to zresztą tego dnia, kiedy dostałem od pani Eng pięćdziesiąt koron. Po prostu wręczyła mi pięćdziesięciokoronowy banknot. Nie wierzyłem własnym oczom. Powiedziała, że ze mną nigdy nie ma żadnych problemów i że to właśnie za to. Nazwała mnie najlepszym roznosicielem kwiatów w całym mieście.

Pięćdziesiąt koron.

Postanowiłem, że zachowam je na wiosnę. Na wyjazd do Kopenhagi.

Najlepszy obrońca w mieście.

Na Wielkanoc w mieście zostaliśmy tylko we dwóch, Seb i ja. Ola pojechał do Toten. Gunnar był w Heidalen, zwykle wynajmowali tam domek. A dziadek był w domu opieki, poszliśmy go tam odwiedzić. Siedział przy oknie, z kraciastym pledem na kolanach, z kilkudniowym zarostem na twarzy, i gapił się na samochody przejeżdżające przez Alexander Kiellands plass.

– Ekspres już po mnie jedzie – powiedział i powoli przeniósł wzrok na nas. Nie wyglądał na szczególnie przerażonego.

– Nie mów tak. – Mama zaczęła się kręcić koło niego, położyła na nocnej szafce pomarańcze.

– Już go słyszę – ciągnął. – Już go słyszę.

Na ścianie wisiały owalne obrazy przedstawiające Jezusa. Nad łóżkiem ciemny krzyż. Na parapecie stał rozzłoszczony kaktus.

– Widziałem Kolej Transsyberyjską – powiedziałem mu prosto do ucha.

Dziadek odwrócił głowę w kierunku dźwięku.

– Naprawdę? To wspaniale. Ja nigdy nie dotarłem dalej niż do Szwecji. Ale podczas wojny to i tak było daleko. Dużo to kosztowało?

Mama poprawiła mu pled. Ojciec podjął próbę obrania pomarańczy, ale się poddał. Dziadek od świąt się postarzał, był teraz dwa razy starszy. Nasłuchiwałem ekspresu, wydawało mi się, że słyszę śpiew torów gdzieś w pobliżu.

Dziadek chrząknął. Usta miał wyschnięte i małe.

– A Hubert wybiera się do Paryża! To dopiero!

Ojciec się poderwał, dolna warga drżała mu jak gitarowa struna.

– Co powiedziałeś?

– Ty też już niedosłyszysz? – krzyknął mu prosto w twarz dziadek.

– Kiedy Hubert tu był?

– Przedwczoraj! – zawołał dziadek. – A może tydzień temu. Dni mi się zlewają.

– I mówił, że wyjeżdża do Paryża?

– Miał gotowe plany – odparł dziadek, patrząc na nas tajemniczo. – Tak powiedział. Że plany ma gotowe. Co mógł mieć na myśli?

Ojcu zaczęło się spieszyć. Dziadek najwyraźniej nie zauważył, że wyszliśmy. Pomachaliśmy mu z chodnika, ale patrzył na co innego, w inną stronę.

– Z tym trzeba zrobić porządek – oświadczył ojciec.

Z tymi słowami pomaszerował prosto na Marienlyst, a mama i ja w drodze do domu wstąpiliśmy odwiedzić babcię. Mieszkała na Sorgenfrigata, w ciemnych pokojach, z mnóstwem poduszek i papużką, piszczącą w klatce nakrywanej co wieczór serwetą, żeby ptaszkowi dobrze się spało.

Wsunąłem palec między druty, ale papużka okropnie się wtedy wystraszyła. Widziałem serduszko tłukące się w zielonej piersi.

*

W środę przed Wielkim Czwartkiem wybraliśmy się z Sebem do Freda. Zdziwił się, kiedy otworzył drzwi, ale potem uśmiechnął się najszerszym uśmiechem, jaki w życiu widziałem, i nas wpuścił.

Usiedliśmy w jego pokoju, pogadaliśmy trochę o pociągach i pływaniu, na stole leżały rozłożone podręczniki. Fred się uczył w czasie ferii. O rany.

– Masz gramofon? – spytał nagle Seb.

– Nie. Ale mam dostać, kiedy skończę szkołę realną. Mama mi obiecała.

– Możesz kiedyś przyjść do nas i posłuchać płyt – powiedział szybko Seb.

– Naprawdę mogę?

– Jasne. Zniesiemy wszystkie płyty do mnie i będziemy słuchać cały wieczór.

Fred zaczął się śmiać. Wydaje mi się, że śmiał się z radości.

– Który zespół lubisz najbardziej? – spytałem.

Stracił trochę pewność siebie, wytarł usta.

– Nie bardzo wiem – powiedział w końcu.

– Nie wiesz? – spytaliśmy chórem.

– Nooo…

Czekaliśmy w napięciu. Zwilżył wargi.

– Beatles.

A więc tak. Był jednym z nas. To było już pewne.

– A co myślisz o *Rubber Soul*? – spytał Seb.

Fred spojrzał na niego przerażony.

– Raber?

– Tak, *Rubber Soul*.

– A co to jest? – spytał cicho Fred.

Seb spojrzał na mnie. Spuściłem wzrok. Fred oddychał ciężko.

– Ostatni longplay Beatlesów – wyjaśnił spokojnie Seb. – Świetny. Puszczę ci u mnie.

– Prawie nigdy nie słyszałem żadnej płyty – wyznał cicho Fred. – Słucham tylko radia. Kiedy mamy nie ma w domu.

– To dlaczego najbardziej lubisz Beatlesów? – wyrwało mi się, ale od razu pożałowałem, bo to było idiotyczne pytanie.

– Dlatego, że im się udało – odparł Fred.

– Co? Co im się udało?

– Po prostu się udało. Zostali milionerami, są sławni na całym świecie. Tacy zwykli chłopcy z robotniczych rodzin.

Umilkliśmy. Zwykli chłopcy z robotniczych rodzin. Udało im się. Zakręciło mi się w głowie. Nigdy tak o tym nie myśleliśmy. Fred Hansen nie słyszał prawie żadnej płyty Beatlesów. Fred Hansen był chyba chłopcem z robotniczej rodziny.

– Muszę do kibla. – Seb wstał.

– Klucz wisi w kuchni – powiedział Fred.

– Klucz?

Poszliśmy za nim do kuchni. Zdjął wielki klucz z gwoździa przy drzwiach.

– Musisz iść na pierwsze albo na drugie piętro – wyjaśnił.

Oczy Seba się rozszerzyły, w końcu uśmiechnął się krzywo, wziął klucz i pobiegł na górę.

Zabawił tam dość długo. Kiedy wreszcie zbiegł na dół, był zdyszany i cały czerwony.

– Jeszcze nigdy nie srałem z tak wysoka! – zawołał. – Słychać było nawet, jak ląduje!

– Ja też muszę – powiedziałem, wziąłem klucz, pobiegłem na górę po krzywych schodach i znalazłem kibel.

Cuchnęło okropnie. Do podtarcia się były gazety, papier toaletowy się skończył. Dziura taka sama jak w wychodku na Nesodden. Ale w kamienicy? W mieście? Na drugim piętrze? To było nie do uwierzenia. Wcale mi się nie chciało, więc tylko odczekałem chwilę i zbiegłem z powrotem.

– Wyobraźcie sobie tych, którzy muszą wybierać te gówna – powiedział Seb. – Wyobraźcie to sobie tylko!

– Zejdziemy do piwnicy? – zaproponował Fred.

– Do piwnicy?

– Tam są szczury.

Fred przyniósł płaską kieszonkową latarkę i na palcach zeszliśmy po schodach w ciemność i zapach pleśni. Otworzył drewniane drzwi, zazgrzytało dość strasznie. Omiótł dookoła latarką, ale niewiele z tego wynikło. Było lepiej, kiedy nasz wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Wtedy piwnica wyłoniła się z mroku, murowane ściany, worki z koksem, stare rowery, narty, materac.

Fred poświecił.

– Jedna dziewczyna się na nim ruchała – powiedział.

Spojrzeliśmy na materac. Zielony i brudny, pokryty wielkimi brunatnymi plamami. Kapało z sufitu.

Ruszyliśmy dalej w głąb, na palcach. Drgnęliśmy przerażeni, kiedy przejechał pociąg. Byliśmy pod linią kolejową, pod pociągiem. Nasze ciała zaczęły dziwnie wibrować.

Fred wskazał na ścianę, w tynku była dziura.

– Po kuli – powiedział. – Jeszcze z wojny. Zastrzelili tu nazistę. Donosiciela.

Wpatrywaliśmy się w tę ścianę, powoli przesuwaliśmy wzrok ku podłodze. Jasna cholera. W tym miejscu stał. W tym miejscu upadł. W ścianie jest dziura od kuli. O rany.

Wtedy go zobaczyliśmy. Szczura. Tłustego, czarnego szczura z długim ogonem i szpiczastym pyskiem. Patrzył na nas i jakby zgiął się wpół. Fred sięgnął po szczotkę na kiju i podkradł się do niego, nogawki spodni mu powiewały. Szczur uciekł. Z wrzaskiem rzuciliśmy się za nim do następnego pomieszczenia. Biegliśmy za szczurem, który poruszał się zygzakiem po kamiennej posadzce.

– Mamy go! – krzyknął Fred. – Mamy go!

A więc go dopadliśmy. Zapędziliśmy pod ścianę. Przyparliśmy do rogu.

W kącie odwrócił się i patrzył na nas. Błysnęły ostre białe zęby. Szczur. Seb i ja trochę się cofnęliśmy, Fred stał z kijem od szczotki gotowym do zadania ciosu. Szczur prychnął. I nagle zniknął jak kamfora. Fred spojrzał na nas zdumiony. A potem zaczął wrzeszczeć. Podobnego wrzasku nie słyszałem. Szczur był u niego w spodniach. Wskoczył dołem, przez nogawkę. Widzieliśmy wybrzuszenie poruszające się po udzie Freda, a Fred wrzeszczał i kręcił się w kółko.

– Zdejmij spodnie! – krzyknął Seb. – Zdejmij spodnie!

Szczur był już na wysokości biodra. Fred wył, wcisnął dłonie w twarz i wył. W końcu ruszył biegiem w stronę ściany. Rozpędził się i rzucił na mur. Usłyszeliśmy chrzęst, kiedy uderzył w ścianę biodrem. Potem osunął się na ziemię i leżał nieruchomo. Wybrzuszenie w jego spodniach też przestało się poruszać. Po chwili otworzył oczy, spojrzał na nas i rozpiął spodnie. Ostrożnie je z niego ściągnęliśmy. Udo miał zakrwawione. Z nogawki wypadł zmiażdżony szczur.

Postawiliśmy Freda na nogi, pomogliśmy mu stamtąd wyjść, szlochał i cały się trząsł. Odwróciłem się jeszcze i w świetle latarki zobaczyłem wielkiego zakrwawionego szczura.

W kuchni była już matka Freda. Zdumiała się, widząc, jak go prowadzimy między sobą, w samych slipach, ze szczurzą krwią ściekającą po udzie.

– Gdzie masz spodnie? – spytała.

Fred nie dał rady odpowiedzieć.

– Leżą w piwnicy – wyjaśniłem. – Fred miał nam pokazać dziury po kulach, no ale przyszedł szczur.

Wzięła go za ramię i pociągnęła do wnęki. Wyjęła wielką miednicę. Zabraliśmy swoje kurtki i wróciliśmy do domu. Dzień przed Wielkim Czwartkiem 1966 roku. Źle spałem tamtej nocy. Śniły mi się szczury i wydawało mi się, że coś się porusza w piżamie.

Spodziewaliśmy się, że Gunnar wróci do domu jako Murzyn, bo zwykle taki wracał po Wielkanocy, tymczasem on miał tylko trochę karmelu na policzkach.

– Całymi dniami nie wystawiałeś nosa z domu? – dziwił się Seb. Siedzieliśmy u niego w pokoju i jak zwykle czekaliśmy na Olę.

Nie, Seb w ogóle nie miał racji, ale z Gunnara trudno było wyciągnąć, co robił podczas tych ferii, był dziwnie daleki i rozchichotany. Tak, tak, jeździł na nartach, słuchał Luksemburga, już niedaleko do lata, prawda? Bredził tak przez kwadrans. Seb i ja spoglądaliśmy na siebie i kręciliśmy głowami.

– To znaczy, że miałeś fajną Wielkanoc – podsumowałem.

Jasne, bardzo fajną, świetną Wielkanoc. Już się cieszył na tę w przyszłym roku. Znakomite trasy i smaczne mleko. Dobre wiejskie mleko. Lepsze niż w mieście. Bliżej krowy. Naprawdę.

Gunnarowi kompletnie odbiło. Usiłowaliśmy opowiedzieć mu o Fredzie i szczurze, ale po nim wszystko jakby spływało. Siedział tylko z uśmiechem przyszytym do twarzy i powtarzał, że to straszne z tym szczurem, rzeczywiście straszne, nic więcej.

W końcu przestał się odzywać. Czekaliśmy na Olę.

– Chyba nie mógł znów się zderzyć z tym traktorem – powiedział Seb.

Po półgodzinie postanowiliśmy wziąć sprawy w swoje ręce i poszliśmy do niego. Otworzyła nam jego siostra, Åse, szósta klasa podstawówki na Uranienborg, nos posypany piegami. Nadęliśmy się. Pogłaskaliśmy ją po głowie, ale tylko się od tego zezłościła.

– My do Oli – oświadczyliśmy.

– Nie możecie do niego wejść.

Spojrzeliśmy na nią z góry.

– Znów miał spotkanie z traktorem? – spytałem.

Zdecydowanie pokręciła głową.

– To dlaczego nie możemy wejść?

– Bo on nie chce!

– Rodzice są w domu? – spytałem.

– Nie. Ale niedługo wracają.

– A jest tu Klara?

– Klara? Jaka Klara?

Wdarliśmy się do środka i głośno tupiąc, przeszliśmy do pokoju Oli. Pachniało tam ostro maścią na rany. Ola leżał w łóżku. Pod kołdrą. Widać było tylko dwie zaciśnięte pięści przytrzymujące poszwę.

– Cześć, Ola! Co słychać?

– Idźcie sobie! – prychnął. Naprawdę prychał.

– Coś się stało? – spytał Seb.

Kompletna cisza. Ola leżał całkiem nieruchomo. Zaczęliśmy ciągnąć za kołdrę. To nie było łatwe. W łóżku wyzwoliła się ogromna siła. Ola kopał jak szalony, ale go pokonaliśmy. W końcu przestał stawiać opór, wtedy delikatnie odsunęliśmy kołdrę na bok.

Nie widziałem w życiu nic bardziej czerwonego. Jego twarz była czerwona jak bożonarodzeniowa świeca. Minę miał nieszczęśliwą.

– Idźcie sobie – szepnął.

– W tym roku w Toten było aż tyle słońca? – spytaliśmy.

Odwrócił się, jego twarz sama z siebie zanosiła się piskiem.

– Idźcie sobie – powtórzył. – Ja już ni-ni-nigdy nie wstanę.

Przysiedliśmy na łóżku. Włosy miał prawie spalone, kręciły się na końcach. Wyjątkowa trwała.

– Podpaliłeś stodołę? – spytał Seb.

Siostra Oli stała w drzwiach, ręce trzymała za plecami. Kołysała się i chichotała.

– Ola, kto to jest Klara?

Znów się odwrócił w naszą stronę. Z takim kolorem twarzy nie mógł się zaczerwienić. Ale oczy mu pociemniały.

– Zdra-zdra-zdrajcy!

– Wypadek przy pracy – próbowaliśmy się bronić. – Musieliśmy się upewnić, zanim tu wpadliśmy.

– Idźcie już – jęknął. – Idźcie!

Poszliśmy do domu. Okazało się, że dziadek Oli kupił z katalogu wysyłkowego „Allers” kwarcówkę. Ostatniego dnia Ola zasnął przed nią i przesiedział tak godzinę. Poparzył trzy warstwy skóry i spalił włosy.

– Widzimy się jutro w szkole. – Seb pstryknął niedopałkiem ascota przez ramię. – Pewnie minie trochę czasu, zanim Ola się zjawi.

Potem Gunnar i ja poszliśmy razem, Gunnar ciągle milczący i daleki. Kawałek dalej, w głębi Bygdøy allé, zatrzymałem go.

– Co się stało? – spytałem.

– Poznałem dziewczynę.

– Co to za jedna?

– Unni. Ma na imię Unni. Mieszka na wsi, w gospodarstwie. Cholernie fajna.

Ruszyliśmy dalej, pod niewyrośniętymi kasztanowcami.

– Chodzisz z nią? Tak naprawdę? – spytałem.

– No. Chyba tak. Będziemy do siebie pisać. Pojadę do niej latem.

– A jak ona wygląda?

Gunnar zapatrzył się przed siebie, jakby miał ją tam zobaczyć.

– Cholernie ładna. Jasne włosy. Jasne włosy i...

Nic więcej nie dodał. Ale to wystarczyło. Wystarczyło na długo. Nagle puścił się biegiem. Dogoniłem go.

– Dobrze, że dzieli nas od nich pewna odległość.

Popatrzył na mnie.

– Jak to?

– No bo to dość męczące, kiedy się chodzi do tej samej szkoły.

Gunnar się zamyślił.

– Może i tak. Ale mogłoby być trochę bliżej.

PAPERBACK WRITER
WIOSNA ’66

Ola wypełzł spod kołdry po dwóch tygodniach, różowy i gładki. Wrócił wraz ze słońcem i wiosną. Śnieg spływał rynsztokami, wszystko się przelewało, a z zagranicy wróciły ptaki. Któregoś wieczoru, kiedy nie mogłem spać, otworzyłem okno i napełniłem płuca nocą. Nade mną rozległ się jakiś dźwięk, to Jensenius otworzył swoje okno. Pozdrowił mnie z góry i zaraz jego głos poniósł się po całym mieście.

Tak. To musiała być wiosna.

W pewną niedzielę na obiad przyszedł stryj Hubert. Wyglądał lepiej, gubił się tylko trochę i kilka razy potoczył ziemniak po stole, ale poza tym wszystko poszło gładko. Wydawał się zadowolony i to było najważniejsze. Z oczu bił mu spokój.

Po jedzeniu spytałem:

– To prawda, że się przeprowadzasz do Paryża?

Ojciec uciął mnie jak nożyczkami.

– Czy ty się nie wybierałeś do piwnicy, bo chciałeś coś zrobić przy rowerze? – spytał głosem słodkim jak miód.

Hubert odnalazł drogę do fotela i miękko się w niego zapadł.

– Tylko na pewien czas – odparł. – Z krótką wizytą.

Ojciec wyciągnął mnie z salonu.

– Nie wracaj do domu za późno – mruknął.

Zachowywał się dziwnie, jak gumka do ścierania. Pomyślałem, że ja też kiedyś pojadę do Paryża. Przysiągłem to sobie i trzasnąłem drzwiami. Zszedłem do piwnicy. Zanim zapaliłem światło, przeszył mnie lęk. Szczury. Zaraz jednak zrobiło się jasno i odetchnąłem z ulgą. Tutaj nie było szczurów. Ale Fred po Wielkanocy przyszedł do szkoły w tych samych spodniach. W tych samych spodniach. Wzrok mu trochę uciekał, kiedy na mnie patrzył. Sam też musiałem odwrócić głowę.

Wyprowadziłem landarę we wczesny niedzielny wieczór i wziąłem kurs na Gunnara. Ciepły wiatr podrywał kurz i piasek, wirując, sunęły po chodniku. Gwizdałem zadowolony, a Gunnara zastałem w jego pokoju, nachylonego nad różową kartką, ze szkłem powiększającym przed nosem.

– Co robisz? – spytałem, siadając na parapecie.

Chrząknął i odłożył lupę.

– Ona cholernie niewyraźnie pisze – powiedział z rezygnacją.

– Może ja spróbuję – zaproponowałem.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, przez moment się wahał, w końcu podał mi list.

Szybko go przeleciałem, był napisany sztucznie, gorzej niż wypracowanie. Dotknąłem nosem atramentu i zmrużonymi oczami popatrzyłem na Gunnara.

– Perfumy – stwierdziłem.

– Czytaj!

Zacząłem powoli:

– „Ukochany Gunnarze!”

Listy od Niny tak się nie zaczynały. Ona pisała tylko „hej” i „cześć”.

– O co chodzi? – zawołał Gunnar.

Czytałem dalej:

– „Ukochany Gunnarze!”

– Już to słyszałem!

– „Ukochany Gunnarze! Myślę o tobie przez cały czas, również nocą”.

Przerwałem i spojrzałem na niego. Stał przy samych drzwiach, podnosząc hantle. Pot lał mu się z czoła.

– „Cieszę się, że znów tu przyjedziesz. Na palcach odliczam dni. Ale może wcześniej ja przyjadę do miasta”.

– Przyjeżdża! – wrzasnął Gunnar.

– „Ale może wcześniej ja przyjadę do miasta – powtórzyłem. – Moja mama się tam wybiera, w drugą niedzielę maja”.

Gunnar położył się na plecach, z rękami rozrzuconymi na boki.

– Nie cieszysz się?

Zamknął oczy.

– Cieszę. Ale ta matka… Może tu przyjdą. No i moi rodzice.

– Chyba możesz się spotkać tylko z tą dziewczyną?

– To raczej będzie trudne. Jej matka cały czas chodziła za nami z kijem.

Na ulicy ktoś grał w dwa ognie, w końcu stłukł szybę i teraz uciekał, jakby chodziło o życie.

– Uspokój się – powiedziałem. – Przecież w tym czasie jedziemy do Danii.

Od razu się poderwał.

– Masz rację! Jeśli nas wezmą.

– Jasne, że wezmą. Jutro idziemy do Kårego.

Położył się z powrotem i długo milczał, w końcu jednak stwierdził:

– Niezbyt dobry taki zbieg okoliczności, ale nic się na to nie poradzi, prawda?

– Pewnie.

– No to czytaj dalej.

– „Wydaje mi się, że się w tobie zakochałam, Gunnarze".

– Nie musisz cały czas powtarzać „Gunnarze"! Przecież wiem, do kogo to jest!

– Ale tutaj jest tak napisane!

Wsunął ręce pod głowę i zapatrzył się w sufit.

– „Dużo myślę o tym ostatnim wieczorze, kiedy Ty…"

Gunnar rzucił się na mnie jak łoś, wyrwał mi list i gniotąc go, schował do kieszeni.

– Jeszcze nie skończyłem. – Uśmiechnąłem się.

– Wystarczy.

– A co zrobiłeś w ostatni wieczór?

Otworzyły się drzwi, to był Stig, w kapitalnej pasiastej marynarce wciętej w pasie, z grzywką zaczesaną na czoło i ułożoną nad brwiami w grzbiet fali, w kowbojkach z podwiniętymi noskami. O rany. Stanął, wysoki i kościsty, aż dziw brał, że tak bardzo różnili się od siebie z Gunnarem.

– Masz pożyczyć dychę? – spytał Stig.

– A na co ci?

– To chyba nie ma nic do rzeczy. Jutro ci oddam. Otworzyli Pernille – dodał.

Gunnar znalazł dychę w szufladzie.

– Świetnie – powiedział Stig. – Super! Moje płyty są do dyspozycji.

Do klapy marynarki miał przypięty znaczek przypominający gwiazdę.

– Co to jest? – spytałem.

– Zwycięstwo dla Wietkongu – wyjaśnił.

– Amerykanie ciągle zrzucają napalm?

– Pewnie. Ale Wietkong niedługo ich przepędzi.

Przykucnął, nafaszerował pociskami cały pokój i już go nie było.

Partyzantka.

Przez chwilę siedzieliśmy, wpatrzeni w otwarte drzwi. W końcu Gunnar wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę i starannie rozprostował ją na udzie.

– Czytamy do końca – oświadczył.

– Dobra. – Usiadłem obok niego.

Wzięli całą naszą paczkę. Kosztowało to sto koron, ale rodzice mi to obiecali, a kieszonkowe zapewniłem sobie sam. Pięćdziesiąt czyściutkich koron. Wyjeżdżaliśmy o piątej w pierwszy piątek maja. Wielka rzecz. Największa. Pogoda wykonała gwałtowny zwrot, wrócił mroźny front z porywami wiatru. Ale co to szkodziło? Przecież jechaliśmy na południe. Rządkiem wchodziliśmy po trapie, z plecakami, śpiworami i nowiutkimi korkami. To była uroczysta chwila, tak uroczysta, że odruchowo prostowaliśmy plecy, aż sztywniały nam karki. Ale w środku żarzyła się dzika radość, ognisko nadziei, które miało podpalić całą Danię.

Do odejścia promu zostało pół godziny. Kazano nam zejść na najniższy pokład. Mieliśmy tam spać w fotelach lotniczych. Åge stanął na krześle i zawołał:

– W porządku, chłopaki! Mówiłem już wcześniej, ale powtórzę: To nie jest zwykły wyjazd wakacyjny! Mamy grać w piłkę! Pokonać Duńczyków!

Zatupaliśmy rytmicznie i wznieśliśmy okrzyk bojowy drużyny Frigg. Åge nas uciszył.

– I to też wiecie. Ale i tak jeszcze raz powtórzę! Słyszycie?

– Tak! – zawołaliśmy.

– Wszyscy mają bony żywnościowe?

– Tak! – zawołaliśmy.

– Dostaniecie za nie obiad w kafeterii na rufie. Tylko przed siódmą! W porządku?

– Tak! – zawołaliśmy.

– I wszyscy, powtarzam: wszyscy, mają być na dole przed dziesiątą! Przed dziesiątą!

– Tak – odpowiedzieliśmy już nieco ciszej.

– No i alkohol! Alkohol jest zakazany!

Rozległo się tylko kilka głosów.

– Kto zostanie przyłapany na piciu alkoholu, wylatuje z drużyny. Jasne?

Promem szarpnęło. Dochodziła piąta. Pobiegliśmy na górę, na zewnętrzny pokład. Na przystani rodzice machali jak szaleni. Wciągnięto trap i prom odbił od brzegu. Chwilę płynął tyłem, a potem w miejscu się obrócił.

Wychyliliśmy się przez reling, wiatr wyciskał łzy z oczu. „Król Olaf" dziobał fale. Fiord był wściekły. Gunnar i Ola pozielenieli, jeszcze zanim dotarliśmy do Nesodden.

Wskazałem na ląd.

– Tam jest nasz Dom! – wrzasnąłem.

Minęliśmy go. Ola zwiesił głowę.

– Skoro tutaj tak hu-hu-huśta, to co będzie, kiedy mi-mi-miniemy Færder?

Gunnar jęknął.

– Ojciec pływał po dwudziestometrowych falach – pochwalił się Seb. – Na Atlantyku. Były takie wielkie, że nie widzieli nieba, kiedy byli w dole.

Ola padł pierwszy, już na wysokości Drøbak. Gunnar wczepił się w reling.

Nad nami szybowały mewy. Wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby pogłaskać je po dziobach.

– Idziemy na obiad – zarządził Seb.

Wtedy Gunnar się wycofał. Zasłonił usta ręką i chwiejąc się na nogach, odszedł. Seb i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Szczury lądowe! – Zachichotał.

Gunnar i Ola byli wyłączeni z gry. Dostali od Ågego tabletki na chorobę morską i położyli się na dolnym pokładzie. Zjedliśmy z Sebem duńskie czerwone kiełbaski i purée ziemniaczane, a później odszukaliśmy na pokładzie słonecznym środkowych pomocników i atak. W ciemności słychać było krzyki mew i śmiechy. Stali pod ścianą, mieli pięć miniaturowych buteleczek koniaku Larsena i trzy tuborgi.

– Wszystkie duńskie dziewczyny mają wypukłe cipki – powiedział prawoskrzydłowy. Oczy mu się zajarzyły, przypominały czerwone porzeczki.

– Wiecie, jak jest po duńsku „ruchać"? – zaśmiał się środkowy stoper. – „Zapinać"!

– Zapinać?

– Zaraz zapnę spodnie – zawył prawoskrzydłowy i śmiech spłynął w ciemność.

Nagle za nami pojawił się wielki cień. Natychmiast zapadła cisza. Åge. Białe dłonie i czerwone spojrzenie. A on, niech to diabli, zapalił kieszonkową latarkę i po kolei zaczął oświetlać nią twarze. Pojawiało się ich coraz więcej, wyłaniały się z ciemności, twarz po twarzy, lśniąco białe w świetle latarki Ågego. Prawie cała drużyna. Nie mógł przed przyjazdem do Danii wyrzucić całej drużyny. Nie mógł dopuścić do tego, żeby ci z Fremad wygrali walkowerem.

Jęknął.

– Wywalcie te butelki za burtę! – nakazał.

Minęło kilka sekund. Åge zgasił latarkę.

– Nie widzę was. Nie chcę was widzieć.

Ręce zamachnęły się w powietrzu. Jakaś mewa zaniosła się krzykiem. Åge znów zaświecił.

– Paskudnie się zachowaliście – powiedział tylko.

Potem pognał nas na dół, gdzie pojękiwały mięczaki z martwymi źrenicami i żołądkami nadętymi jak balony zaporowe. Przez nas też przelewały się fale. Pierwszy zrzygał się Aksel. Chlusnęło na podłogę. Potem przyszła kolej na prawego skrzydłowego. Zacisnąłem ręce na żołądku, ale to nie pomogło. Pognałem do kibla, stanąłem razem z resztą obrony i opróżniłem się jak wiadro. Tylko Seb wytrzymał. Spał z uśmieszkiem i pochrapywał, gdzieś wysoko w niebie grała muzyka do tańca i krzyczały mewy.

Do Danii dotarliśmy jak przepuszczeni przez wyżymaczkę, autokarem przewieziono nas przez Kopenhagę i zakwaterowano w jakiejś szkole. Boisko znajdowało się tuż obok, zielone i miękkie. Pierwsza część treningu poszła niemrawo. Mecz miał się zacząć o piątej.

Åge krążył między nami ze zmarszczonym czołem i truł o taktyce.

– Dania jest lepsza technicznie – mówił. – Grają po polsku. Ale my ich pokonamy kondycyjnie. Zamęczymy ich. Długie podania. Niech pracują. Niech się zabiegają na śmierć.

O dwunastej była przerwa. Spytałem Ågego, czy mogę się wybrać do miasta, bo chciałbym odwiedzić rodzinę w Kopenhadze.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Trafisz sam?

– O rany, no pewnie, byłem tu mnóstwo razy.

– Tylko wróć przed trzecią.

Popędziłem do szatni, wykąpałem się pod prysznicem i przebrałem w czyste rzeczy, włożyłem nowy golf, bordowy. Fryzurę też miałem nie najgorszą. Kiedy włosy były mokre, mogłem je nagarnąć na uszy, a na karku mi się podniosły. Wyszedłem ze szkoły i znalazłem jakąś ulicę, poklepałem się po kieszeni, w której leżały pieniądze. Pięćdziesiąt koron norweskich zmieniło się w sześćdziesiąt duńskich, ojciec załatwił mi wymianę po najlepszym kursie w banku. Nadjechała taksówka, wskoczyłem. O rany, jechałem do Niny.

Kierowca gwizdał i jadł drożdżówkę.

Taksometr tykał jak zegarek. Nie miałem pojęcia, jak daleko jest na Strandvejen.

– Mam tylko sześćdziesiąt koron – wyjąkałem.

Obejrzał się przez ramię, wokół rozciągniętych w uśmiechu ust miał okruszki.

– Aha, masz tylko sześćdziesiąt koron, chłopcze. To wystarczy na podróż aż do Norwegii!

Przytknąłem nos do szyby. Dziwnie być w zupełnie nowym miejscu. Czułem łaskotanie. Gołębie. Budki z kiełbaskami. Czarne rowery. Otworzyłem okno. Pachniało chlebem. Świeżym chlebem.

Odchyliłem się na siedzeniu, zamknąłem oczy i poczułem się w środku szczęśliwy. Szczęśliwy i całkowicie spokojny. Nie przypominałem sobie, żebym kiedyś tak się czuł. Mógłbym teraz chodzić po linie bez siatki zabezpieczającej, bez tyczki, taki czułem spokój. Na chwilę zapomniałem, jak Nina wygląda, ale teraz zaczęła nabierać kształtu. Jej twarz była blisko mojej, całkiem wyraźna, czułem jej oddech i włosy. Jabłko. Tak było. Z powrotem opadłem na siedzenie, gdy jechaliśmy wzdłuż Sundu, na którym białe żaglówki kołysały się na tle jasnobłękitnego nieba.

Zapłaciłem dwadzieścia koron. Dom pod adresem Strandvejen 41 był bardzo okazały, miał wielki ogród i widok aż do Szwecji. Już nie byłem taki spokojny. Lęk kłuł w żołądek jak szpilka. Ukryty za słupem latarni, poprawiłem włosy, wziąłem głęboki oddech i wszedłem przez furtkę. Do samego domu było daleko, co najmniej kilkaset metrów. Może już mnie zobaczyła przez okno? Na pewno czekała. Prawie zacząłem biec, wreszcie dotarłem do drzwi. Nie usłyszałem żadnego odgłosu. Jeszcze mnie nie widziała. Zadzwoniłem. Minęła chwila. Ktoś się pojawił. Jej matka. Przyglądała mi się z uśmiechem. Straciłem głos.

– Przyszedłeś do Niny? – spytała.

Zwariowała? Nie wiedziała, kim jestem? Powoli zacząłem osuwać się w buty.

Nagle mnie skojarzyła.

– Ależ ty przecież… ty przecież jesteś Kim!

A więc jednak. Przeczuwałem najgorsze.

– Wejdź. Nina jest w swoim pokoju.

Ruszyłem za nią. Było już za późno, żeby zawrócić. O dziwo, znów czułem się spokojny. Jakbym przeszedł na drugą stronę, na której nie

miałem już nic do stracenia.

– Ależ Nina będzie miała niespodziankę! – powiedziała jej matka. – Przyjechałeś z rodzicami?

Czyżby nie dostała listu? Nie przeczytała go? Nie uprzedziła rodziców, że się zjawię?

Nic mnie już nie obchodziło.

– Przyjechałem na mecz – wyjaśniłem. – Będę grał w piłkę.

Byliśmy już przy pokoju Niny. Jej matka zapukała, otworzyła drzwi i popchnęła mnie do przodu.

Nina na mój widok zrobiła wielkie oczy. Przy niej siedział chłopak z gitarą na kolanach i krzywo się uśmiechał. Z całą pewnością nie był to jej kuzyn.

– Kim – wyjąkała Nina. – To ty?

No i tyle.

– Przyniosę wam coś do picia – zaświergotała jej matka i wyszła.

Stałem w progu.

– Cześć – powiedziałem tylko.

– Całkiem zapomniałam – wykrztusiła zawstydzona.

Gorączkowo usiłowałem wymyślić coś, co mógłbym powiedzieć.

– Jeździ stąd jakiś autobus? – spytałem.

– Jeździ – odpowiedział ten z gitarą. – Z tej ulicy. Dojeżdża aż do Ratusza.

Zrozumiałem, o co mu chodzi. Nina patrzyła na nas obu jednocześnie.

– To Kim z Oslo – powiedziała, wskazując na mnie. – A to Jesper.

Jesper zagrał nam na gitarze. Długie jasne włosy opadały mu na czoło. Śpiewał po angielsku.

Spojrzałem na zegarek. W środku czułem pustkę.

– Przyjdziesz na mecz? – spytałem.

Nina wbiła wzrok w podłogę.

– Zupełnie zapomniałam. Nie mogę. Jesper gra dziś wieczorem w Hornbæk. Z zespołem.

Nic więcej nie powiedzieliśmy. Jesper zagrał kolejną piosenkę. Potem spojrzał na mnie.

– Na mecz? – spytał. – W nogę?

– Przeciwko Fremad – wyjaśniła Nina. Pewnie chciała pokazać, że przeczytała mój nędzny list.

– Ho, ho, no to uważajcie! Oni są świetni!

Musiałem wyjść, zanim wróci jej matka. Mogłem obrócić się na pięcie i wyjść bez słowa. Zyskałem do tego prawo, ale straciłem rozum. Nienawidząc się za to, co robię, spytałem:

– A jutro?

Nina odwróciła głowę.

– Zupełnie zapomniałam – powtórzyła. – Mamy spędzić w Hornbæk cały weekend.

Jesper zagrał akord. Klęska była definitywna. Byłem pokonany, zakrwawiony, załamany, ze śliną wstydu w kącikach ust. Pozostawało mi jedynie opuścić pole walki, ale ciało miałem takie ciężkie. Musiałem użyć siły. W końcu zdołałem je odwrócić i wtedy stanąłem twarzą w twarz z matką Niny, która niosła tacę z butelkami. Wyminąłem ją, znalazłem drzwi wejściowe i spacerkiem ruszyłem ogrodową alejką, spacerkiem, nie biegłem, nie odwracałem się.

Plecy mi płonęły jak miedziany dach na zamku Kronborg.

Z powrotem też pojechałem taksówką. Kosztowała o trzy korony więcej. Została mi dycha. Nadzieje zmieniły się w czarny popiół. Chciałem zabić jakiegoś Duńczyka.

Wszyscy w tym stadzie nosili imiona Jesper, Ebbe, Ib i Eske. Wydawało im się, że są w szkole tańca, i skarżyli się, kiedy tylko człowiek się do nich zbliżył. Padali w trawę bez najmniejszego powodu, wyrośli na drożdżówkach, białych bułkach i słodkiej śmietance. Sędzia był stronniczym piekarzem, a wzdłuż linii stała ich własna publiczność z piwem i obwisłymi brzuchami.

– Długie podania! – wrzeszczał Åge. – Długie podania!

Nie było mowy o tym, żeby próbować dryblingu. Duńczycy, gdyby chcieli, biegaliby z piłką na języku. Chodziło tylko o to, żeby jak najbardziej im przeszkadzać. Seb mordował się na lewym skrzydle, ale nigdy nie udało mu się wstrzelić w środek. Gunnar był zablokowany poza linią szesnastu metrów. Grę od ściany do ściany Willy'ego i Kjetila zręcznie przerwał duński środkowy obrońca. Ale Aksel na bramce był jak kangur. Za każdym razem, gdy strzelili, łapał piłkę do kieszeni.

Do przerwy utrzymaliśmy wynik zero zero. Åge zebrał nas wokół siebie.

– Dobrze, chłopcy – szepnął. – Duńczycy zaczynają być zmęczeni. Grają mało precyzyjnie.

Kåre rozdzielał sok z wielkiego plastikowego wiadra.

– Pokonamy ich! – powtarzał za każdym razem, gdy nalewał do kubka.

Druga połowa zaczęła się od duńskiego potopu. Nacierali na bramkę jak wodospad, Aksel był jak sieć między słupkami, Latający Holender z Hoff. Duńczycy wpadli w desperację. Aksel wykańczał ich psychicznie. Zwieszali głowy za każdym razem, gdy wykopywał piłkę. Prawie nie mieli siły za nią biec.

I właśnie wtedy to się stało. Chytry Duńczyk przechwycił piłkę na środku, zawrócił w miejscu i ruszył na mnie. Zatrzymaj go, rozległ się głos w mojej głowie. Zatrzymaj go. Zatrzymałem. Wykorzystałem starą, dobrą sztuczkę. Zamiast się cofnąć, co sił w nogach ruszyłem prosto na niego. Wpadłem na niego barkiem i rozciąłem mu uda, zwalił się w trawę jak worek, a ja podałem piłkę Akselowi.

Ale sędzia gwizdnął. Wszystkie duńskie drożdżówki zgromadziły się wokół mnie. Ciekaw byłem, która uderzy pierwsza. Piekarz przecisnął się przez tłum, zatrzymał w odległości trzech centymetrów od mojej twarzy i wyciągnął w górę czerwoną kartkę. Zszedłem z boiska pod prysznicem wyzwisk. Åge powitał mnie mrocznym spojrzeniem. Usiadłem na ławce obok Oli. Maślana buła podniosła się na nogi i zaczęła krążyć w kółko, kulejąc i krzywiąc się do nieba.

– On się nie dostanie nawet do szkoły teatralnej – prychnąłem.

– Zastałeś Ninę w do-do-domu? – spytał Ola.

– Nie – powiedziałem.

Wznowiono grę, piłka wybita z wolnego przykleiła się jak kasztan do szczypców Aksela. Prawoskrzydłowy zajął moje miejsce. Seb przechwycił długie podanie i ruszył w głąb boiska. Podał piłkę Gunnarowi biegnącemu obok, a Gunnar Willy'emu, który pędził w stronę linii końcowej i tam wywalczył rzut rożny.

Wykonał go Finn. Miał najsprawniejszą lewą nogę w całej drużynie. Posłał podkręconą piłkę w stronę bramki, Seb wystawił głowę najwyżej i skinął nią, podając piłkę wprost w dłonie bramkarza, który jednak się potknął i upadł na plecy tuż za linią, z piłką w objęciach. Próbował ją odrzucić, ale za późno. Piłka znalazła się w bramce. Jeden zero. Duńczycy pochowali głowy w trawę, a publiczność zaczęła rzucać butelkami po piwie. Jeden zero. Do końca zostało dwadzieścia minut.

Teraz cała drużyna skupiła się na obronie. Na półkuli Fremad nie było ani jednego Norwega. Åge latał wzdłuż linii bocznej i wymachiwał rękami. Aksel przesuwał mur raz w jedną, raz w drugą stronę, drożdżówki biegały jak szalone, ale teraz nie kierowała nimi przebiegła taktyka, tylko najczystsza panika. I wtedy się to stało. Dziesięć minut do końca, jeden zero, duńska parówka strzela z armaty. Aksel unosi się w powietrzu jak wąż boa i paznokciem małego palca posyła piłkę na rożny. Ląduje jednak fatalnie, na prawej ręce, przeraźliwie krzycząc już w chwili, gdy dotyka ziemi. Åge i Kåre biegną do niego z gąbką i oranżadą, ale to na nic. Aksel jest wyłączony z gry. Duńczycy się szczerzą. Obok mnie siedzi Ola, rezerwowy bramkarz, pozieleniały na twarzy jak spleśniała torebka herbaty. Åge i Kåre prowadzą Aksela między sobą. Prawa ręka zwisa mu bezwładnie.

Åge wskazuje na Olę.

– Twoja kolej – zapowiada. – Szykuj się.

Pomaga mu w sznurowaniu, bo Oli ręce trzepoczą jak ptasie skrzydła.

– Uspokój się – mówię. – Będzie dobrze.

Aksel zdrową ręką klepie go po plecach.

– Powodzenia!

Wypychamy go na boisko. Chwiejąc się, idzie do bramki, staje między słupkami. Rożny nadlatuje ze świstem. Ola wypada na boisko, jak wariat boksuje do piłki, wymachuje rękami, jakby oganiał się od roju komarów.

I trafia. Piłka zatacza elegancki łuk w stronę środka boiska i Duńczycy znów muszą biegać.

– Świetnie! – krzyczy Åge. – Zabierzcie piłkę dalej!

Jeszcze pięć minut gry. To największa bitwa w Kopenhadze od czasów Napoleona. Przy piłce przez cały czas jest co najmniej piętnastu ludzi. Walka wręcz. Dwie minuty. Nagle jakiś pajac pada, piekarz gwiżdże i pędzi w stronę pola karnego. Åge usiłuje zedrzeć z siebie twarz. Ola stoi sam między słupkami, jeszcze nigdy nie był taki maleńki. Obiegam boisko i staję za bramką, za Olą. Duńczycy się szykują. Kapitan kładzie piłkę i robi dziewięć kroków do tyłu. Ola zgina się wpół, od mojej strony przypomina żuka gnojarza. Patrzę na kapitana. Drapie się w udo. Obserwuję jego oczy.

– Na prawo – szepczę do Oli. – Rzuć się na prawo, do jasnej cholery!

Tamten biegnie, Ola rzuca się na prawo, piłka uderza w niego, odbija się. Dziewiętnastu ludzi pędzi do przodu, Ola się podnosi, chwieje, wybiega na boisko i pada na piłkę. Horda zatrzymuje się o milimetr od jego włosów. Ola trzyma się obiema rękami za głowę, jakby to była piłka. Podnoszą go, jest bohaterem dnia. Åge tańczy taniec wojenny. Ola stoi z piłką w rękach i nie bardzo rozumie, co się stało. Wykopuje piłkę za linię boczną. Ale to nic nie szkodzi, bo z drożdżówek już uszły drożdże. Duńczycy się poddali. Sędzia patrzy na zegarek, dodaje minutę, w końcu dmucha w gwizdek, aż policzki wydymają mu się jak pomidory. Wygraliśmy. Norwegia – Dania jeden zero. Olę noszą na rękach i wyrzucają w powietrze tak wysoko, że ledwie w ogóle stamtąd spada. Åge klęka i składa dłonie.

Odwróciłem się plecami do tego wszystkiego i powlokłem do szatni. Usiadłem ze zwieszoną głową, wart niewiele więcej niż pokrywka garnka. Pierwszy przyszedł Gunnar.

– Ola jest lepszy niż Gordon Banks! – zawołał. Przyjrzał mi się uważniej. – Daj spokój! Chyba nie jesteś zły, że cię wyrzucili?

Dopiłem oranżadę.

– Dzięki tobie nabrali dla nas respektu, do diabła! Czerwona kartka i cały ten budyń zaczął się trząść.

Pozostali przynieśli Olę. Kåre wyciągnął skrzynkę z napojami, wszyscy, wykończeni, opadli na ławki.

Ola usiadł koło mnie.

– Świetna obrona – powiedziałem. – Superparada!

Leciutko się uśmiechnął.

– Patrzyłem mu w o-o-oczy. Nie miał sza-sza-szans!

Wieczorem były śpiewy, zabawa i przyjęcie w szkole. Duńczycy bawili się z nami. Umieli przegrywać. Ja nie. O ósmej spasowałem, powiedziałem Ågemu, że źle się czuję, pewnie mam gorączkę. Przyłożył mi dwa palce do czoła i skinął głową. Poszedłem się położyć. Mam gorączkę, powtarzałem w myślach. Leżałem sam w wielkiej sali gimnastycznej, w której zapach ciał, potu i skarpet zawisł jak ciężka kotara opuszczana z sufitu, sam w jasnoniebieskim śpiworze, przyklejonym do skóry. Nagle poczułem się stary i skończony. Usunięty z boiska. Nie mogłem się oderwać od widoku Niny i Jespera. Nienawidziłem go. Nienawidziłem obojga. Zostałem wywalony, obśmiany i zdeptany. Usunięty z boiska.

Musiałem zasnąć, bo obudziłem się, kiedy ktoś mną szarpał. Gunnar. Ściemniło się, ledwie widziałem wszystkie śpiwory, rozłożone na podłodze jak wielkie larwy.

– Cześć – szepnął Gunnar. – Śpisz?

– Spałem – powiedziałem.

Przytoczył się bliżej.

– Źle się czujesz?

– Mam gorączkę. Pewnie mnie zawiało na promie.

Jeszcze się przysunął.

– Niny nie było w domu?

– Nie.

– Ale nie pisałeś do niej?

– Pisałem. Była w domu. Ale mimo wszystko jej nie było.

Tego Gunnar nie zrozumiał.

– Nie wygłupiaj się!

– Była z innym – powiedziały moje usta.

Obudziłem się w basenie z wrzątkiem. Byłem pod wodą. Jej powierzchnia tańczyła i drżała, nad brzegiem stało mnóstwo ludzi, którzy

na mnie patrzyli. Podpłynąłem do nich i wbiłem głowę prosto w słońce.

Taki był ten dzień. Nic z niego nie pamiętam. Nie miałem siły zjeść nawet kiełbaski. Siedziałem na ławce i karmiłem gołębie, gdy inni pobiegli na szczyt kopenhaskiej Okrągłej Wieży. Siedziałem na ławce i karmiłem gołębie, gdy inni chodzili po ogrodzie zoologicznym. Przetransportowali mnie na prom, ale za diabła nie chciałem zejść na dno, za diabła. Usiadłem na leżaku na pokładzie słonecznym i zasnąłem. Kiedy się obudziłem, było już dość ciemno. Ktoś mnie okrył dwoma grubymi kocami. Sprawdziłem ostrożnie. Głowę miałem przejrzystą jak górski strumień. Wstałem. W oddali dostrzegłem rój światełek. Wyżej wibrowały gwiazdy. Prom ciągnął za sobą biały chodnik. Od bakburty minął nas statek. Usłyszałem muzykę i głosy.

– Obudził się – powiedział ktoś za mną. – Zabijaka się obudził.

To był Gunnar. Przyszedł z Sebem i Olą.

– Lepiej ci? – spytał Seb.

– W porządku.

– Uznaliśmy, że koce ci do-do-dobrze zrobią – mruknął Ola. – Żeby cię me-me-mewy nie obsrały!

– Dzięki. To mnie uratowało.

Seb miał coś w swoich przepastnych kieszeniach. Puszki z piwem. Z chichotem wypili po łyku. Ja nie chciałem.

– Åge siedzi w barze – powiedział Seb. – Nieźle się schlał.

– Razem z ba-ba-babką – wykrztusił Ola. – Duńską blo-blondynką. Cycki na metr!

– Podobna do Marilyn Monroe. – Gunnar się rozmarzył i pociągnął łyk z puszki.

Ola lekko zatoczył się do tyłu, ale odzyskał równowagę i znów dał krok do przodu.

– Wiecie, co robi mój stary? – Zaśmiał się. – Wiecie co? On myje wło-wło-włosy w piwie!

Zgiął się wpół i podrzucił puszkę w powietrzu.

– Co robi? – krzyknął Gunnar.

– My-my-myje włosy w piwie! Żeby lepiej ro-ro-rosły!

Śmiał się bezgłośnie z otwartymi ustami, a potem wylał sobie resztę piwa na głowę, wyglądał jak szaleniec.

Doprowadziliśmy go do relingu, tam nakarmił mewy kawałkami czerwonych kiełbasek. Daleko w dole huczały fale.

– Cho-cho-cholera – jęknął Ola i wyrzygał jeszcze kawałek.

– Lepiej trochę tu postójmy. – Seb się roześmiał i wyciągnął kolejną puszkę. Miał je wszędzie.

Znów poczułem gorączkę z tyłu głowy, teraz pod postacią lodowatego strachu. Między nami była szklana ściana. Nie mogłem do nich dotrzeć. Znów zostałem usunięty z boiska. Nie chciałem stracić również ich.

– Myślicie, że będę miał odwagę przejść się po relingu? – spytałem.

Spojrzeli na mnie ze śmiechem. Ola uniósł głowę i też zarechotał.

– Nie pieprz – powiedział tylko Gunnar.

Reling był dość szeroki, ale zaokrąglony. I z całą pewnością śliski. Byłem w tenisówkach.

– Idziemy do reszty? – zaproponował Seb, dopijając piwo.

Podciągnąłem się na reling, podparłem rękami. Na horyzoncie nie było już światła, jedynie czarna farba. Fale waliły w bębenki w uszach. Znalazłem punkt równowagi, wyprostowałem się z rękami rozłożonymi na boki. Ruszyłem. Gunnar, Seb i Ola odskoczyli w tył, oczy mieli okrągłe jak białe kulki. Szedłem po relingu. Serce zatrzymało mi się między dwoma uderzeniami. Czas zrobił sobie przerwę. Fale też się zatrzymały, nachylone do przodu. Wiatr przycichł i zamarł. Nagle z ciemności wyłonił się Gunnar, objął mnie i ściągnął na dół. Przewróciliśmy się na pokład. Gunnar trzymał mnie w żelaznym uścisku, a potem uderzył. Prosto w gębę.

– Dupek! – krzyknął.

Seb i Ola wpatrywali się w nas, nie wierzyli w to, co widzą.

– Przepraszam – szepnął Gunnar nagle.

Przyciągnąłem go do siebie.

Miał mokrą twarz.

– Nie szkodzi – powiedziałem, czując krew napływającą do ust.

Siedziałem w swoim pokoju i wkuwałem. Za oknem przetaczały się wieczory. Chciałem wyrzucić ten zasuszony kwiat, który schowałem w szufladzie. Był trujący. W szufladzie leżał też tuzin rubinów ekstra. Nade mną śpiewał Jensenius, już nie tak głośno, bo wiosna okazała się fałszywym alarmem. Siedemnastego maja padał grad. Ale widzieliśmy Wenche Myhre w samochodzie maturzystów gnającym w górę Gyldenløves gate. Gorączka minęła. Dopiero w czerwcu porządnie huknęło. Drzewa zmieniły się w karabiny maszynowe strzelające zielenią. Jednego z takich wieczorów przyszedł do mnie Gunnar. Twarz miał ściągniętą. Ciężko usiadł na rozkładanej kanapie.

– Koniec – oznajmił.

– Czego? – spytałem.

Wyciągnął z kieszeni list. Tym razem nie perfumowany, na zwykłej kartce wyrwanej z zeszytu.

– Znalazła sobie pierworodnego z Vågå, takiego, który kiedyś odziedziczy gospodarstwo – oznajmił. Zgniótł list w twardą kulkę i wyrzucił go przez okno.

Zatrzasnąłem podręcznik do matematyki i usiadłem obok niego.

– Dziewczynom nie można ufać – powiedziałem.

Gunnar złożył ręce i zaczął walić nimi o kolano.

– Lepiej, że się stało tak, jak się stało – stwierdził. – Nie ma co stawiać na takie wieśniaczki.

Objąłem go ramieniem. Gorycz wylewała się z nas, przepływała z jednego do drugiego.

– Nie są warte nawet tych butów, które noszą – powiedziałem.

– Nie tknąłbym jej widłami do siana – oświadczył Gunnar.

– Tacy pierworodni na pewno cuchną gnojem.

– Dziewczynom nie można ufać.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Odgłosy ulicy były dla nas udręką. Zamknąłem okno.

– Nigdy więcej nie pojadę do Heidalen – obwieścił Gunnar. – Przenigdy.

– Chodźmy do Seba – zaproponowałem.

U Seba siedział Ola z głową między kolanami.

– Właśnie się do was wybieraliśmy – powiedział Seb.

Usiedliśmy. Ola się trochę podniósł i pustym wzrokiem patrzył w przestrzeń.

– Koniec z Klarą – oznajmił. – Cho-cho-chodzi teraz z królem bramek ręcznej z Njård.

Taki był ten dzień. Taka była wiosna.

– Jasny gwint.

Gunnar opowiedział o Unni i pierworodnym.

– Dziewuchy są głu-głu-głupie. – Ola zacisnął dłonie w pięści.

– Niewarte pończoch, które noszą – dodałem.

– Najpierw ty i Nina – zaczął wyliczać Gunnar. – Potem Unni. A teraz Klara.

– I Guri – dodałem.

Seb odwrócił głowę.

– I Guri – szepnął.

Siedzieliśmy bez słowa na pewno dłużej niż godzinę. Za oknem szary zmrok nadpełzł między domy i zmącił powietrze na ulicach. Nagle Seb się ożywił i zaczął grzebać w płytach.

– Dostałem dzisiaj od ojca. – Gwizdnął.

– Co? – spytaliśmy chórem.

– Najnowszą płytę Beatlesów!

Rzuciliśmy się na niego, położyliśmy krążek na talerzu. *Paperback Writer*. Puściliśmy płytę dziesięć razy z rzędu. Nieźle kręciła. Druga strona była zatytułowana *Rain*. Nawet pasowało.

– Co to znaczy *Paperback Writer*? – spytał Ola.

– Pisarz – powiedziałem. – Taki, który pisze książki kieszonkowe.

Ola się zamyślił.

– Mógłby na-na-napisać książkę o nas. Gru-gru-grubą!

YELLOW SUBMARINE
LATO ’66

Pewnego dnia pod koniec czerwca trzymaliśmy wreszcie w garści zielone książeczki, wydrukowane przez wydawnictwo Cappelen, napisane przez Kartofla. Ale te książki nie mówiły o nas zbyt wiele. Miałem dobry ze sprawowania, ale dostateczny z robót ręcznych. Seb miał celujący ze śpiewu i muzyki. Gunnar bardzo dobry ze sprawowania, a Ola dostateczny z niemieckiego i matmy. Ani trochę nas to teraz nie obchodziło. Myśleliśmy wyłącznie o przynęcie. Musieliśmy zdobyć robaki na wielką wyprawę wędkarską w lasy Nordmarka.

Opuściliśmy szkolny dziedziniec, ale zatrzymał nas stojący na środku drogi Gąsior, któremu najwyraźniej coś leżało na sercu.

– Cześć – powiedział cicho.

– Dużo masz celujących? – spytał Seb.

– Dlaczego nazywacie mnie Gąsior?

– Co?

– Dlaczego mówicie na mnie Gąsior? – powtórzył.

Trochę trudno było na to odpowiedzieć. Gąsior przez wszystkie te lata nazywał się po prostu Gąsior.

– Tak wyszło – odparłem. – Tak samo jak na Smoka mówimy Smok.

– Dziewczyny się ze mnie nabijają – wyjaśnił Gąsior.

– Gwiżdż na dzie-dzie-dziewczyny! – włączył się Ola.

– Nie możecie mówić do mnie Christian? – mruknął.

– O rany. Jasne, że możemy – zapewnił Gunnar. – Ale teraz już spadamy. Musimy nakopać rosówek na Nesodden.

Minęliśmy go.

– Fajnych wakacji, Christian! – zawołaliśmy z daleka.

Cały się rozpromienił. I odkrzyknął:

– Fajnych wakacji!

– Dziwne – podsumował Ola. – Dzi-dzi-dziwne.

– Pewien jesteś, że znajdziemy tu rosówki? – spytał Gunnar, kiedy dochodziliśmy do Domu.

– Jasne. Za wychodkiem.

Gunnar się zatrzymał.

– Mówisz, że za wychodkiem?

– No.

Przyniosłem szpadel z szopy i podeszliśmy do zwichrowanego domku z serduszkiem. Tłusta ziemia intensywnie pachniała. Górna warstwa była całkiem sucha, ale na głębokości łopaty miękka i wilgotna. Odwróciłem grudę spodem do góry, a rosówki wystawiły łby i zaczęły się wić.

– A co to jest? – spytał Gunnar.

– Rosówki, baranie!

– Nie to, tylko t o!

Spojrzałem na to, co wskazywał.

– A, to. Kawałek papieru toaletowego.

Gunnar odszedł i przysiadł na kamieniu koło jabłoni. Ola też nie okazywał szczególnego entuzjazmu.

– Ryba ma zjeść tę ro-ro-rosówkę, a potem my mamy zjeść tę ry-ry-rybę. Za cho-cho-cholerę!

– Możesz używać sieci, tchórzu! – ryknął Seb. W końcu to my dwaj musieliśmy łapać przynętę. Nasypaliśmy dobrej ziemi ogrodowej do puszek po kawie i nazbieraliśmy, lekko licząc, w sumie około tysiąca rosówek. Nakłuliśmy pokrywki, żeby nie pozdychały z braku powietrza, bo i tak miały tam dość ciasno.

– Wykąpmy się przed powrotem do domu! – zawołałem. Obszedłem Dom, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Na kuchennych schodach roiło się od mrówek. Znalazłem strzałę, którą zgubiłem w zeszłym roku. Zajrzałem przez okno do środka, zobaczyłem samego siebie siedzącego w salonie. Odskoczyłem, wystraszony zniekształconym odbiciem w szybie, i pobiegłem za chłopakami.

Plaża była pusta. Rozebraliśmy się, słońce piekło w szaroblade ciała. Patrzyliśmy na siebie trochę zawstydzeni, w końcu skoczyliśmy z trampoliny, zanurkowaliśmy, każdy wyłowił z dna kamień. Później leżeliśmy na gładkiej skale, aż brzuchy nam się zaczerwieniły, a kiedy mijaliśmy starą szopę, w której odstawały deski, łuszczyła się biała farba i cuchnęło zgniłymi wodorostami, nagle pomyślałem o Henny w Paryżu i już wiedziałem, że coś takiego, co wydarzyło się w zeszłym roku, ubiegłego lata, już się nie powtórzy. Nie powtórzy się nigdy.

– A jak z namiotem? – spytał Seb, kiedy wracaliśmy promem do miasta.

– Stig twierdzi, że jest w porządku.

– Jeśli będzie ładna pogoda, namiot nam niepotrzebny – stwierdziłem. – Możemy spać w śpiworach pod gołym niebem.

Powędrowaliśmy przez miasto, każdy niósł pojemnik z co najmniej trzystoma robakami. Kiedy dotarliśmy do ambasady amerykańskiej, zatrzymaliśmy się i popatrzyliśmy na flagę zwisającą wzdłuż masztu.

– Brachol mówi, że tam mają wielkiego pstrąga – powiedział Gunnar.

– Pstrąga? Nie pieprz!

– Naprawdę. W basenie.

Minęliśmy wartownika. Nie chciało mu się nas zatrzymywać, ale też nie wiedział, co mamy w puszkach. Weszliśmy do wielkiego holu, na środku znajdował się basen z fontanną i światełkami. Zajrzeliśmy do niego, ale na dnie były same otoczaki. Basen miał nie więcej niż dwadzieścia centymetrów głębokości.

– Tu nie ma żadnych pstrągów – orzekł Seb. – Najwyżej anchois.

Wolno przeszliśmy wzdłuż brzegu. Nagle Ola zaczął krzyczeć, a puszka o mały włos nie wypadła mu z rąk.

– Pa-pa-patrzcie, chłopaki!

W odległości zaledwie metra od nas płynął ogromny pstrąg. Był taki wielki, że grzbiet wystawał mu z wody. Płynął powoli, jakby był prastary albo jakby śmiertelnie się nudził. Poszliśmy za nim, skradaliśmy się jak najciszej, ale w takim kamiennym holu nie można się poruszać bezszelestnie. Pstrąg podpłynął do brzegu i ustawił się bokiem, jakby się drapał w bark. Nachyliłem się i go dotknąłem. Pozwolił mi na to. Był zimny i lepki, nieruchomy. Zaraz jednak wysunął się spod moich palców i ruszył

ku niedużej fontannie, która być może kojarzyła mu się z wodospadem, jeśli w ogóle kiedykolwiek miał okazję podpływać do wodospadu.

– Żal mi go – powiedział Seb.

– To świństwo trzymać taką wielką rybę w takim gównianym basenie – dodał Gunnar.

Podważyłem wieczko, wyciągnąłem z puszki śliczną tłustą rosówkę i rzuciłem ją pstrągowi. Nie chciało mu się nawet odwrócić, popłynął w przeciwną stronę. Ale wartownik z pistoletem przy pasku się ocknął. Podszedł i wyrzucił nas na Drammensveien.

– Drę-drę-dręczenie zwierząt – orzekł Ola.

– Powinniśmy zabrać go nad Skillingen i tam wypuścić – stwierdził Gunnar.

– A potem zło-zło-złowić. – Ola się zaśmiał.

Wieczorem zebraliśmy się u Seba, żeby dokonać przeglądu sprzętu. Ojciec Gunnara zadbał o prowiant, mieliśmy całą skrzynkę wypełnioną pełnoziarnistym chlebem, herbatnikami, pastą kawiorową, mlekiem w proszku, kawą, herbatą, owocami i konserwami, dołożył nam jeszcze „trupy w puszce", wojskowe konserwy, które mu zostały z ćwiczeń rezerwistów w pięćdziesiątym szóstym. Ola przyniósł patelnię i kuchenkę turystyczną na gaz. Namiot i kompas pożyczyliśmy od Stiga. Wypolerowaliśmy kołowrotki. Wędkę dostałem od rodziców po zdanym egzaminie. Gunnar kupił czterysta metrów żyłki o średnicy trzech dziesiątych milimetra. Seb miał trzy błystki obrotowe, dwa spławiki i sześć korków od wina. Moja mama zorganizowała nam cztery siatki na zakupy, które mogliśmy naciągnąć na głowę i używać jako moskitiery.

Ale Seb znał lepszy sposób. Wyjął fajkę. Kukurydzianą.

– Meszki i komary nie znoszą zapachu tytoniu – wyjaśnił. – Wystarczy popykać, a od razu uciekają.

Trochę się z tego pośmialiśmy, w końcu rozłożyliśmy mapę, prześledziliśmy trasę palcem i zatonęliśmy w krajobrazie, całkiem oddając się marzeniom.

– Nie weźmiemy zegarków – oświadczył nagle Seb.

– Co?

– Nie weźmiemy zegarków. Będziemy jak Indianie.

Zamyśliliśmy się. Wiedzieliśmy, że słońce wstaje na wschodzie i kładzie się spać na zachodzie.

– A jak będzie po-po-pochmurno? – spytał Ola.

– Wiemy, kiedy się ściemnia – odparł Seb. – Pieprzymy zegarki.

– Mech rośnie od zachodu – przypomniał Gunnar.

– A mrowiska od wschodu – dodałem.

– No a co z bu-bu-budzikiem? – spróbował jeszcze Ola.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Seb poszedł otworzyć i wrócił z Fredem, który obciął grzywkę, a przy uszach użył papieru ściernego. Miał też nowe spodnie, przysięgam, nowiusieńkie dżinsy z mankietem po kolana i ogromnym paskiem z fosforyzującą klamrą. Zorro.

– Siadaj! – zawołaliśmy.

Usiadł i się rozejrzał. Seb przyniósł colę i papierosy.

– Wybieracie się na ryby? – spytał Fred.

Pokazaliśmy mu na mapie, dokąd jedziemy. Obejrzał sprzęt, wypróbował kołowrotki, zważył obrotówki w ręku.

– Lekkie – stwierdził.

– Osiem gramów – wyjaśnił Gunnar. – Prawie jak muchy.

Seb otworzył okno i do pokoju wpadł letni wieczór. Jakieś dziewczyny śmiały się na ulicy, wystawiliśmy głowy, ale nikogo nie było widać.

– Co będziesz robił latem?

W oczach Freda pojawiła się pustka.

– Jadę na kolonie – powiedział. – Na wyspę Hudøy.

Kolonie były bezpłatne.

– Posłuchamy płyt? – spytał szybko Seb.

Przez resztę wieczoru puszczaliśmy Beatlesów, aż do *Paperback Writer* i *Rain*. Fred nie odzywał się ani słowem, tylko siedział i słuchał, z uszami na czułkach, przypominającymi wielkie czerwone kwiaty. Od czasu do czasu patrzył na nas, uśmiechał się, prawie się śmiał.

Za oknem niebo piło krew. Dziewczyny poszły do domu, szczekały psy.

Fred popatrzył na zegarek.

– Muszę już lecieć – oznajmił.

Wszyscy odprowadziliśmy go do Solli plass.

– Miłego lata! – rzucił na pożegnanie Fred i lekko się zaczerwienił.

– Widzimy się jesienią! – odparliśmy, poszturchując się ze śmiechem.

– Żeby tylko nie zapeszyć – powiedział Fred i wszyscy splunęliśmy na chodnik.

Pobiegł w dół Drammensveien, Fred Hansen, odwrócił się, o mały włos nie poleciał na gębę, ale jakoś się wykaraskał i popędził dalej, a my staliśmy i patrzyliśmy za nim jeszcze długo po tym, jak zniknął nam z oczu.

W ogóle nie mogliśmy się zgodzić co do tego, o której dotarliśmy nad jezioro Skillingen. Gunnar uważał, że dochodzi szósta, natomiast Seb i ja byliśmy pewni, że jest dopiero piąta, bo przecież pociąg przyjechał do Stryken o trzeciej.

– No ale się spóźnił! – krzyknął Gunnar.

Mrużąc oczy, szukaliśmy słońca. Nie było go. Były wyłącznie chmury. Jezioro rozciągało się przed nami gładkie i nieruchome, ciepłe powietrze tuliło się do ciała. W lesie kukała kukułka, a gdzieś niedaleko rzeka opadała niewidocznym wodospadem.

– Jest wpół-wpół do szóstej – zawyrokował Ola.

– A skąd wiesz?

– Po-po-poznaję po mchu.

Znaleźliśmy dobre miejsce na obozowisko na południowym brzegu jeziora, najwyraźniej już wcześniej rozpalano tu ognisko. Namiot swoje lepsze dni miał już za sobą, ale po dwóch godzinach ciężkiej pracy wreszcie stanął pewnie. Potem wzięliśmy się do przygotowania sprzętu do łowienia, skręciliśmy wędki, zamocowaliśmy kołowrotki, nadzialiśmy na haczyki pęczki tłustych rosówek i zarzuciliśmy. Usiedliśmy nad wodą i zaczęliśmy wpatrywać się w spławiki. Stały prosto jak jajka i ani drgnęły.

– Tu miały być ryby – powiedział po jakimś czasie Seb.

– Pod wieczór będzie lepiej – stwierdził Gunnar.

– Chyba dochodzi już ósma. – Seb się rozejrzał.

Las po drugiej stronie jeziora zaczynał mętnieć. Za naszymi plecami między pniami drzew nadciągała ciemność.

– Wpół do dzie-dzie-dziewiątej – oświadczył Ola. – Czuję to w powietrzu.

Ściągnęliśmy haczyki, nawinęliśmy żyłkę i zmieniliśmy przynętę.

– Robię się głodny – powiedziałem.

– Jeśli do dziewiątej nic nie złowimy, to otwieramy puszkę – zdecydował Gunnar.

Naraz pojaśniało, jakby ktoś zapalił nad nami wielką lampę. Podnieśliśmy głowy. Chmury się rozstąpiły, chociaż wcale nie wiało. Niebo było niebieskie i głębokie. A tuż nad drzewami, w głębi zatoki po zachodniej stronie, wisiało słońce, niczym żółtko z plamami krwi, barwiąc wodę złotem i czerwienią. Wpatrywaliśmy się w ten widok aż do oślepnięcia, pojękując z zachwytu. Gunnar poszedł po aparat fotograficzny, pstrykał jak szalony.

Nagle na środku jeziora dostrzegliśmy kaczkę, płynęła dostojnie na promieniu słońca, jakby zaczarowana światłem.

– Mam ją! – krzyknął Gunnar, regulując ostrość.

Wtedy coś zaczęło się dziać. Kaczka się zaniepokoiła, zaczęła nerwowo uderzać skrzydłami, ale nie mogła się wzbić. Zaniosła się krzykiem i coraz bardziej zanurzała w wodę.

– O rany – jęknął Seb. – Dziura się w niej zrobiła.

Kaczka nie przestawała bić skrzydłami, dookoła niej się zapieniło, ale nic nie pomagało. Tkwiła jak wmurowana. Nagle tuż obok wynurzył się ogromny pysk, wyskoczył z wody, złapał kaczkę i ściągnął ją w dół.

W powietrzu unosiło się kilka piórek.

Więcej jej nie widzieliśmy.

– Uchwyciłem to! – wrzasnął Gunnar. – Jasna cholera!

Ola pobladł, zaczął zwijać żyłkę.

– Nie wiedziałem, że tutaj są też re-re-rekiny – mruknął.

– Szczupak! – krzyknął Seb. – Największy szczupak, jakiego w życiu widziałem! Założę się!

– To dlatego nie możemy nic złapać – stwierdził Gunnar. – Szczupaki zjadają okonie i pstrągi.

Wszyscy zaczęliśmy zwijać żyłki. Seb nagle podskoczył. Coś miał. Żyłka zygzakiem poruszała się w wodzie.

– Wielka ryba – wysapał. – Szarpie jak lokomotywa.

Staliśmy gotowi, żeby ją przyjąć. Seb ciągnął i popuszczał. Wędka niezbyt mocno się wyginała, ale ryba z pewnością była przebiegła. Seb miał spocony nos, przyhamował kołowrotek, żeby się nie zerwała. Wreszcie ryba się ujawniła. Okoń, nie większy niż pięćdziesiąt gramów. Ale wyglądał na rozzłoszczonego.

– Początkowo to musiała być jakaś grubsza ryba – stwierdził Seb, kiedy już wyciągnęliśmy bestię na ląd. – Przecież o mało mnie nie porwała.

Z całą pewnością. Ale okoń to okoń. Pierwsza zdobycz. Nazbieraliśmy drewna na ognisko, wypatroszyliśmy malucha, wbiliśmy mu patyk w pysk i upiekliśmy truchło nad ogniem. Smakował nie najgorzej, tylko miał trochę za dużo ości, a za mało mięsa. Gunnar przyniósł puszkę fasolki w sosie pomidorowym, którą po podgrzaniu pochłonęliśmy. Potem ugotowaliśmy kawę i Seb nabił fajkę.

– Jaki masz tytoń? – spytał Gunnar.

– Karvet Blad, najmocniejszy w całej Norwegii – odparł Seb i przedmuchał cybuch.

– Naprawdę taki mocny?

– Tak sobie.

Zaciągnął się aż do brzucha, oczy mu się zapadły, włosy stanęły dęba. Przekazał fajkę dalej. Leżeliśmy na plecach przez godzinę albo dwie, z trudem łapiąc oddech. Po jakimś czasie doszliśmy jednak do siebie i usiedliśmy bliżej ogniska.

– To pomaga na trawienie – wycharczał Seb, przypominając nam o tym, czego baliśmy się najbardziej. Gunnar musiał iść pierwszy. Wziął rolkę papieru toaletowego i przepadł na dość długo. Czekaliśmy w napięciu. Wrócił z wrzosem we włosach.

– Tam jest mnóstwo zwierząt – jęknął, siadając ostrożnie.

Zapatrzyliśmy się w las, oślepieni blaskiem ognia. Wkrótce jednak oczy przywykły do ciemności i wyłoniły się z niej drzewa, przysunęły się bliżej wykroty, zdradzieckie krzaki, mrowiska i gigantyczne muchomory, wielkie jak namioty. W zaroślach szeleściło i szeptało. Nad naszymi głowami

zaniósł się krzykiem ptak. Poderwaliśmy się. Kukułka nas wzywała. Coś poruszało się nad wodą.

– Idziemy spać – zarządził Seb.

Nasikaliśmy na ognisko i wsunęliśmy się do namiotu. Gunnar zgasił latarkę.

I zanim zdążyliśmy się zorientować, przez płótno namiotu zaświeciło słońce. Podnieśliśmy się, zdezorientowani, wytrząsając sen z włosów.

Ola siedział przed namiotem i już czekał z gotową kawą. Wyszczerzył się do nas.

– Ś-ś-śpiochy! Już po ó-ó-ósmej. – Triumfalnie wskazał na słońce.

Zjedliśmy śniadanie i znów zaczęliśmy łowić. Ziemia była jeszcze chłodna po nocy, ubrania trochę wilgotne. Ale słońce wspinało się nad las i kłuło nas włóczniami ciepła. Skillingen połyskiwało jak wielka moneta w samym środku tej zieleni. A spławiki nie dawały znaku życia. Gunnar spróbował łowić na spinning, ale po trzecim rzucie zahaczył o dno i żyłka pękła.

– Idziemy dalej – stwierdził Seb. – Nad jezioro Daltjuven.

Spakowaliśmy się, wróciliśmy na leśną drogę i pomaszerowaliśmy gęsiego. Słońce, wiszące teraz na środku nieba, było prawdziwą udręką. Po długiej wędrówce zobaczyliśmy wreszcie za drzewami jezioro, zeszliśmy ze ścieżki i ruszyliśmy na przełaj, przez krzaki. Daltjuven. Niezbyt duże, ale tym gęściej mogło w nim być od ryb. Mieliśmy szczęście, bo od razu trafiliśmy na dobre miejsce do obozowania, płaski, porośnięty trawą teren. Rozbiliśmy namiot, naciągnęliśmy linki i zmontowaliśmy wędki. Robaki trzymały się dobrze, tylko trochę zwiesiły głowy, a może raczej ogony. Po dotarciu nad Katnosa zamierzaliśmy wymienić im ziemię. Podeszliśmy do skały, która pionowo opadała do jeziora. Zaciskając kciuki, zarzuciliśmy wszyscy jednocześnie.

Spławiki od razu poszły na dno.

– Bierze! – wrzasnęliśmy chórem.

Trochę poszarpaliśmy i każdy wyciągnął po okoniu. I wcale nie były to takie kościotrupy jak ten, którego Seb złowił w Skillingen. Ważyły co najmniej po pół kilo, okrąglutkie, z płetwami grzbietowymi jak koguci grzebień. Gunnar poszedł po aparat i po nóż. Polało się trochę krwi, zanim

bitwa dobiegła końca. Każdy zrobił po zdjęciu, żeby wszyscy zostali uwiecznieni. Nadzialiśmy kolejne porcje przynęty, zarzuciliśmy, ryby dalej się łapały, aż w wodzie się gotowało. Okonie, pstrągi i sieje. Mogliśmy otworzyć sklep rybny. Nad nami zaczęły krążyć sępy. Słońce przemieściło się na skraj lasu, kolory nabrały czystości i jaskrawości.

I nagle spławiki zanurzone w czarnej wodzie znieruchomiały.

– Chyba i tak mamy dosyć – stwierdził Seb, przeliczając połów.

Mieliśmy jedenaście okoni, cztery pstrągi i trzy sieje.

Komary gryzły coraz bardziej natrętnie.

Seb i ja wzięliśmy się do oprawiania ryb, a Gunnar z Olą zajęli się ogniskiem. Głód aż trzeszczał w żołądkach. Zaczęliśmy od pstrągów. Wiły się na patelni, a ich cudowny zapach docierał aż na Solli plass. Po trzech siejach, jednym pstrągu dla każdego i sześciu okoniach sami prawie zaczęliśmy pływać. Chwiejnym krokiem zeszliśmy nad wodę, zmoczyliśmy głowy i położyliśmy się na trawie.

Komary nas okrążały.

– Przyniosę fajkę – zapowiedział Seb i poszedł do namiotu.

Niebo zmieniło kolor, stało się bardziej czarne niż niebieskie. Biała jak kreda mewa zniknęła nad lasem. Seb wrócił z fajką i nabił ją tytoniem. Należało pamiętać o tym, żeby nie zaciągać się głębiej niż do języczka. Cmokaliśmy, pykaliśmy i wydmuchiwaliśmy czarne chmury. Dym szczypał w oczy.

– Przecież dzisiaj jest wieczór świętojański, chłopaki! – Seb wyciągnął butelkę z mlecznego szkła i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Podkradłem starej.

– Dż-dż-dżin – wymamrotał Ola.

Seb otworzył butelkę i wypił łyk. Rozkasłał się, posłał ją dalej. Udałem, że piję. Wargi paliły. Ode mnie przejął flaszkę Gunnar. Pociągnął solidnie i z chichotem położył się na plecach. Olę złapała czkawka, musiał zejść nad wodę i opłukać twarz. Butelka wróciła do mnie. Wziąłem głęboki oddech, wypiłem łyk, wylądował w żołądku niczym rozpalona cegła.

– Tak trzeba by żyć – stwierdził Seb zachrypniętym głosem. – Jak Indianie.

– Zwłaszcza zimą – zauważyłem.

Nie usłyszał.

– Ludzie w mieście żyją sztucznie – ciągnął. – Ojciec mi opowiadał o Indianach w Ameryce Południowej.

Na jego twarzy pojawił się złoty cień. Seb zapalił fajkę i posłał ją w koło. Odpędziliśmy najbliższe komary.

– Ciekawe, jak tam jest Fredowi – powiedziałem.

– Szkoda, że go nie ma z nami – dodał cicho Gunnar.

Ciepły wiatr poruszył lasem, wśród drzew coś oddychało i śpiewało. Woda też wydawała dźwięki. Poszedłem na skraj lasu, żeby się wysikać. Ciemność jeszcze bardziej się zbliżyła, w lesie wyrosła czarna ściana, zasłaniająca widok. Komar usiadł mi na fiucie, ale zanim go przegoniłem, usłyszałem coś jeszcze.

– Pst! – dobiegło zza drzewa.

Rozejrzałem się, niczego nie dostrzegłem.

– Pst! – rozległo się jeszcze raz.

Zza drzewa wypełzł gnom z wielką brodą i płonącymi wśród nocy oczami. Nie przestraszyłem się. On jakby należał do tej okolicy, był częścią drzewa, za którym się chował. Jego włosy były mchem, ręce gałęziami, a głos mocniejszym szumem.

– Szedłem po zapachu – powiedział. – Mieliście szczęście do ryb. Naprawdę.

Szczęście do ryb. Dziwnie to zabrzmiało.

Pokiwałem głową.

– No to może coś jeszcze wam zostało?

– O rany, pewnie. Okonie.

Wskazał na wodę i przychylił bliżej porośniętą mchem głowę.

– A jak tamci? Są sprawdzeni?

– Sprawdzeni? To moi koledzy – wyjaśniłem zdezorientowany.

– Ręczysz za nich?

– Jasne!

Ruszył za mną do ogniska, które wciąż się żarzyło.

– Hej! – zawołałem. – Mamy gościa!

Chłopaki, trochę się zataczając, podeszły do nas. Gnom ukrył się za moimi plecami. Jego spojrzenie wędrowało od jednego do drugiego.

– Chciałby coś zjeść – powiedziałem.

Znów rozpaliliśmy ogień, przynieśliśmy resztę ryb i wkrótce na patelni zaskwierczało. Gnom się nie odzywał. Siedział tylko z zaślinioną brodą i czujnie obserwował. Pachniał ziemią.

W końcu nie mógł się już dłużej powstrzymać. Chwycił okonia palcami i wepchnął go sobie w brodę. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Po prostu wcisnął rybę w prawy kącik ust, zatoczył koło szczękami i lewym kącikiem wyszły ości ze skórą, poleciały na ziemię. Jak w fabryce. Potem głośno beknął i uśmiechnął się ustami pokrytymi tłuszczem.

– Daltjuven to świetne miejsce – szepnął. – Ale szczęście do ryb można tu mieć tylko raz. Dlatego jutro musicie wyruszyć dalej.

Popatrzyliśmy na siebie spod oka. Ognisko rzucało nam na twarze nieprzyjemne cienie. Nagle gnom odkrył butelkę.

Wskazał ją zagiętym czarnym palcem.

Seb mu ją podał. Gnom pociągnął solidny łyk, oczy jeszcze bardziej mu się zaświeciły.

– Mie-mie-mieszkasz tutaj? – spytał ostrożnie Ola.

– Niebo jest moim dachem, a ziemia podłogą. Ściany mam od wschodu i zachodu, od północy i południa. Serdecznie was witam! – Wypił jeszcze łyk i oddał butelkę. – Mieszkam tu od wojny, chłopcy. Pływałem w konwojach. Chodzę po mojej chacie i nie znajduję spokoju.

– Zimą też?

– Zimą też. Wtedy żołnierze odpoczywają, śnieg jest ciepły.

Ognisko się zapadło. Komary wróciły z nowymi posiłkami. Boksowaliśmy w powietrzu. Gnom siedział nieruchomo, pozwalając im pić swoją krew.

Nagle się podniósł. W ciemności jego twarz stała się niewidoczna.

– Pozdrówcie Iris, jeśli ją spotkacie – powiedział.

– A kto to jest? – spytałem.

– Iris to nasz anioł. Piękna jak słońce.

Zostawił nas. Odszedł wprost w ciemność i zniknął.

Długo siedzieliśmy, nic nie mówiąc. Ognisko zgasło. Na niebie świecił blady księżyc.

Seb zdjął zakrętkę z butelki i starannie wytarł szyjkę.

– Wariat – odezwał się Gunnar. – Jakiś cholerny wariat!

Butelka znów zaczęła krążyć. Upiłem łyk i wyplułem.

Komary były wszędzie. Bzyczały w głowie. Seb zapalił fajkę, ale wiele nie pomogła. Komary cały czas wracały, odnajdywały nasze twarze, dłonie, łydki. Poddaliśmy się. Musieliśmy szukać schronienia w namiocie. Butelka krążyła. Udawałem, że piję. Niewiele już w niej zostało.

Ola zasnął. Najpierw opadła mu głowa, potem reszta ciała. Oczy miał przekrwione, a z ust wydobywały się dziwne dźwięki. W kącikach warg pojawiły się bąbelki. Pozostawało tylko jedno: wyciągnęliśmy go z namiotu, sami wpełzliśmy z powrotem.

– Nie możemy ryzykować, że zarzyga cały namiot, no nie? – wybełkotał Gunnar.

Wkrótce przy wejściu do namiotu powstało jakieś cholerne zamieszanie. Ściany zadrżały, zamek się rozpiął, Ola wsunął do środka pozieleniałą gębę i puścił olbrzymiego pawia.

Zaczęliśmy wrzeszczeć jeden przez drugiego. Ola patrzył na nas pustym spojrzeniem, nic nie rozumiał.

– My-my-myślałem, że jestem na zewnątrz – wydusił z siebie.

– B y ł e ś. Teraz jesteś w środku.

– Puściłem pawia do na-na-namiotu?

Wyciągnęliśmy go i zaprowadziliśmy nad wodę. Gunnar i Seb dostali ataku śmiechu. Siedzieli w kucki, zarykując się. Ola nie bardzo wiedział, gdzie jest. A w namiocie cuchnęło jak w kiblu, tej nocy nie dało się tam spać. Zataszczyliśmy śpiwory do ogniska. Gunnar zaczął chrapać, jeszcze zanim wślizgnął się do swojego. Seb podśmiewał się w ciemności.

Komary nie dawały mi zasnąć. Wsunąłem głowę do siatki na zakupy i znalazłem listę z zapisanymi snami.

Obudził mnie krzyk. Gunnar darł się jak opętany. Siedział w śpiworze i przyciskał ręce do twarzy. Wyglądała strasznie. Przypominała trasę do

jazdy na nartach.

Przysunąłem się do niego. Widać było, że jest bliski szaleństwa.

– Co tu się stało? – płakał. – Co się stało?

– Komary – powiedziałem. – Zapomniałeś włożyć siatkę.

Zaczął zawodzić jeszcze głośniej. Twarz miał czerwoną jak burak, mniej więcej dwa razy większą niż normalnie. Nos rozrósł się na wszystkie strony, a oczy zapadły głęboko między wzniesienia, były jak dwie wąskie, przerażone kreski.

Musiałem go przytrzymać. Wymachiwał rękami jak wiatrak i o mało nie poszarpał śpiwora. Udało mi się go stamtąd wyciągnąć i zaprowadzić nad wodę. Poza wszystkim był ładny poranek, powietrze przejrzyste, bez wiatru, z wciąż jeszcze wyczuwalnym chłodem nocy. Daltjuven rozpościerało się gładkie jak lodowisko. Gunnar kucnął i przejrzał się w wodzie. Zemdlał. Musiałem wyciągać go na brzeg. Zostawiłem go na trawie i poszedłem obudzić pozostałych chłopaków. Leżeli w siatkach, z kacem i cuchnącym oddechem.

– Sprzątnij namiot, ty świnio! – Szarpnąłem Olę.

Seb przetarł oczy i rozczapierzonymi palcami przeczesał tłuste włosy.

– Stało się coś, czy jak? – wycharczał.

– Komary zeżarły Gunnara.

Wreszcie się podnieśli. Ola wsadził sobie dwa spławiki do nosa i wziął się do sprzątania namiotu. Seb i ja poszliśmy po Gunnara. Usiłował zakryć twarz. Oczy wyglądające zza palców wyglądały strasznie.

Seb próbował go pocieszać.

– Ukąszenia komarów to samo zdrowie. Wymieniają starą krew. Dziewczyny mają okres. My mamy komary.

Gunnar nie chciał tego słuchać.

Chwyciłem go za nogi, Seb ujął go pod pachy.

– Tak się dzieje, kiedy się ma kaca? – wymamrotał Gunnar.

– Zapomniałeś o moskitierze, głąbie.

Odepchnął mnie kopniakiem.

– Nie nazywaj mnie głąbem! – zawołał idiotycznie słabym głosem. – Nie nazywaj mnie głąbem!

Ola wyszedł z namiotu i obwieścił, że jest ósma.

– Bo-bo-boli? – spytał, pochylając się nad Gunnarem.

Gunnar wymachiwał rękami jak oszalały. Potrzeba było trzech ludzi, żeby nad nim zapanować. Wepchnęliśmy go do namiotu. Ułożył się posłusznie i bezradnie na nas patrzył.

– Głodny jesteś? – spytałem.

Lekko pokręcił głową.

– Pić ci się chce?

– Tak – odparł ochrypłym głosem.

Seb przyniósł wody, a Ola rozpalił kuchenkę. Wyciągnąłem sprzęt pierwszej pomocy.

– Gunnar – powiedziałem. – Słyszysz mnie? Nie drap. Nawet jeśli będzie cię swędziało, to nie drap.

Zaczął mieć gorączkę. Rozważaliśmy, czy nie owinąć go całego w bandaże, jak mumię, ale w końcu daliśmy mu trzy aspiryny. Seb liczył ukąszenia i notował na kartce. Doszedł do osiemnastu na samym nosie, czterdziestu trzech na czole i po trzydzieści sześć na każdym policzku.

Kiedy słońce stanęło w zenicie, Gunnar zaczął majaczyć. Gęba jeszcze bardziej mu napuchła i mówił językami. Brzmiało to jak szwedzki albo nynorsk. Mamrotał coś o jakimś pierworodnym i o dziewczynie z długimi jasnymi włosami. Wyszliśmy, pozwalając mu fantazjować w spokoju. Seb od wyjazdu z domu się nie załatwiał. Czuł ciężar w żołądku, więc podsypiał w cieniu namiotu. Ola ułożył się w śpiworze z głową w nogach. Ja próbowałem łowić ryby, ale chyba gnom miał rację. W wodzie nie było oznak życia.

Wieczorem odkryłem wokół namiotu dziwne ślady. Na jednej nodze zwykły but, na drugiej – kopyto łosia. Znikały w lesie.

Nic nie powiedziałem chłopakom.

Następnego dnia rano obudziły nas jeszcze gorsze dźwięki. Wyskoczyliśmy ze śpiworów, Seb, Ola i ja, spoglądając na namiot, w którym leżał Gunnar. Ale hałas nie dochodził stamtąd. Opróżniliśmy oczy ze snu. Trąbki. Słyszeliśmy trąbki. Ola z rozdziawionymi ustami coś

wskazywał. Na drugim brzegu naprzeciwko nas roiło się od harcerzy. Na wodzie pełno było kanadyjek, a jakiś ubrany na brązowo pajac z czerwonymi kolanami dął w trąbkę.

Spojrzeliśmy po sobie. Nie było co gadać. Zbudziliśmy Gunnara, twarz mu trochę sklęsła. Rozdrapał dwa bąble na czole.

– Musimy iść dalej – oświadczyłem.

– Nie mam siły – jęknął.

– Tu są harcerze.

– No to idziemy.

Zwinęliśmy namiot i wyruszyliśmy. Musieliśmy trzymać się ścieżki prowadzącej do schroniska nad Katnosa. Ola stwierdził, że jest dziewiąta, poznawał to po kwiatach. Ogromnie nam zaimponował. Był chodzącym zegarem z kukułką.

W końcu dotarliśmy na miejsce. Z radości podrzucaliśmy wędki i ostatni kawałek pokonaliśmy biegiem. Pachniało krowami i kawą. W progu stała potężna kobieta, która powitała nas uśmiechem. Miała na sobie biało-niebieską sukienkę, w kolorach nieba.

– Widzę, że przybywacie z daleka – powiedziała.

Rzeczywiście tak było.

Weszliśmy za nią do chaty, usiedliśmy przy stoliku.

– Gofry – poprosiliśmy. – I osiem coli.

Seb zniknął w kiblu, a starsza pani uważnie przyjrzała się Gunnarowi.

– Zadarłeś z komarami. – Roześmiała się.

Gunnar pokiwał głową, głupio byłoby zaprzeczać. Kobieta przyniosła tubę z jakąś maścią.

– Gliceryna różana – wyjaśniła i nasmarowała mu całą twarz. Siedział z zaciśniętymi powiekami, ręce rozłożył. Maść miała dziwny zapach, czułem go już wcześniej u Freda. Bił z rąk jego matki.

– Nie zmywaj tego przez kilka godzin – przykazała.

Zaraz przyniosła colę, chwilę później rozszedł się zapach gofrów, a po kolejnej chwili wrócił Seb. Szczerzył się jak Knut Johannesen po zdobyciu mistrzostwa olimpijskiego w Squaw Valley i wydawał o dziesięć kilo lżejszy.

Spojrzał na Gunnara.

– Wybierasz się na narty?

– Na narty?

– No bo masz na twarzy smar.

Śmialiśmy się z tego aż do chwili, gdy gofry wjechały na stół. Gospodyni przysiadła się do nas. Opowiedzieliśmy jej o szczupaku i kaczce, o Daltjuven i o wszystkich rybach, które udało nam się złowić, ale nie wspomnieliśmy o szalonym gnomie, właściwie nie bardzo wiem dlaczego.

– A dokąd się teraz wybieracie? – spytała.

– Tam, gdzie rzeka wypływa z jeziora. Chcemy spróbować sił na rzece.

– Możecie skorzystać z szałasu, który tam stoi.

– Świetnie – podziękowaliśmy chórem. Gofry rozpływały się na języku, a dżem truskawkowy miał smak całego lata i połowy dzieciństwa. Udało nam się też wymienić ziemię rosówkom. A na drogę dostaliśmy gofry i świeżuteńki chleb, wciąż parzył w palce. Gospodyni machała nam na pożegnanie, stojąc w progu w biało-niebieskiej sukience w kolorze nieba. Ruszyliśmy ścieżką wzdłuż wody i zniknęliśmy jej z oczu.

Weszliśmy na tamę. Zimna woda z jeziora wpadała do rzeki, czuliśmy na sobie jej chłodne tchnienie. Tęcze ustawiły się rządkiem aż do miejsca, w którym rzeka wpływała do jeziora Storløken i chwilę odpoczywała przed pognaniem dalej, do Sandungen.

Szałas nie był duży, ale lepszy niż namiot. Nie cuchnęło tu rzygowinami, pachniało sianem i koniem. Gunnar położył się w cieniu i zasnął. Seb, Ola i ja wypróbowaliśmy rosówki w rzece, nic jednak się nie łapało. Zapaliliśmy więc fajkę i rozpuściliśmy mleko w proszku, ale porobiły się same grudy. Ola wypróbował je jako przynętę, twierdził nawet, że złapało się coś wielkiego, chociaż z całą pewnością po prostu zahaczył o dno. Ciemność nadeszła od tyłu, nasunęła się powoli, trochę tak jak w sali kinowej. Próbowaliśmy łowić na spinning, wciąż nic nie brało. A później pojawiły się meszki. Były gorsze niż komary. Całymi stadami właziły do uszu, nosa i ust. Pykaliśmy kukurydzianą fajkę jak zwariowani Indianie, ale to też było na nic. Uciekliśmy do szałasu. Gunnar bredził przez sen. My także zasnęliśmy, śniły nam się konie i wodospady.

Wstałem przed wszystkimi. Byłem całkowicie przytomny i głodny jak wilk. Po cichu wymknąłem się z szałasu. Nie padało, ale słońca nie widziałem. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na hałas, jaki robiła rzeka, twardy, ciężki warkot. Musiała być zaledwie szósta.

Wziąłem wędkę i puszkę z robakami, poszedłem na brzeg. Znalazłem dobre miejsce, w którym mogłem brodzić w wodzie na bosaka. Nadziałem na haczyk pęczek robaków i zarzuciłem. Spłynął w dół, popuściłem żyłkę, zwinąłem, zarzuciłem jeszcze raz. W tym czasie pokazało się słońce i ogrzało mi plecy. Ptaki zaczęły gadać, kwiaty się otworzyły, a tęcze na rzece tańczyły i drżały.

Za czwartym razem coś szarpnęło. Zapiekł nadgarstek. Wędka wygięła się jak spinacz. Natychmiast poluzowałem żyłkę, ryba ją pociągnęła. To musiał być pstrąg. Albo łosoś. Kilkukilogramowy. Co najmniej. Zacząłem się pocić. Na kołowrotku miałem sto metrów żyłki, a już się zaczęło robić cienko. Tyłem wyszedłem na ląd i ostrożnie ruszyłem wzdłuż brzegu, końcówkę wędki zatknąłem za pasek spodni. Żyłka napięła się jeszcze mocniej, aż zaśpiewała. Gwałtownie zahamowałem, odczekałem kilka sekund i spróbowałem zwinąć. Nie dało się. Ryba opierała się prądowi, pozwoliłem jej tak tkwić, miałem dużo czasu. Nagle jednak dostrzegłem coś, co się działo na sąsiednim jeziorze, na Storløken. Nie wierzyłem własnym oczom. Na kamieniu siedziała naga kobieta, nagusieńka, z olbrzymimi cyckami i opaloną skórą. Puściłem wędkę, żyłka pękła, stałem tylko z rozdziawioną gębą. Ona mnie nie widziała. Nagle zsunęła się do czarnej wody i popłynęła. W tej samej chwili usłyszałem szczekanie psa. Pognałem do szałasu. Spali. Zacząłem ich szarpać.

– Goła baba w rzece! – zawołałem.

Wydobyli się ze śpiworów jak motyle i pognali za mną. Znaleźliśmy dwa krzaki, za którymi mogliśmy się schować.

– Tam! – Wskazałem kamień sterczący z wody.

Nikogo nie było. Powierzchnia wody pozostawała gładka, niezmącona.

– Gdzie? – wysapali.

Zrobiłem kilka kroków do przodu.

– Była tam – powiedziałem niepewnie. – Dokładnie w tym miejscu. Jeszcze kilka minut temu. Siedziała na kamieniu, kompletnie goła.

Popatrzyli na siebie i przewrócili oczami.

– Naprawdę! – krzyknąłem. – Miała wielkie cycki!

– Do-do-dopiero siódma – burknął Ola i zerwał kwiatek.

– Nie wierzycie mi?

Nie odpowiedzieli, tylko zawrócili do szałasu. Poszedłem po wędkę. Kiedy do nich dołączyłem, Seb gotował herbatę. Ola kroił pajdy świeżego chleba. Gunnar wyglądał nieźle, miał tylko dwa purchle na czole.

– Od dawna nie śpisz? – Zaśmiał się.

– Naprawdę ją widziałem. Przysięgam!

– Tak, tak – westchnął Seb.

– I miałem branie. To był olbrzymi pstrąg – powiedziałem zrozpaczony. – Na pewno z pięć kilo. Chciałem go wyciągnąć w poprzek nurtu, ale wtedy zobaczyłem tę kobietę i pękła żyłka.

Gunnar poklepał mnie po plecach.

– Pewien jesteś, że to nie ją złowiłeś?

Długo się z tego śmiali.

Poszedłem na tamę i tam usiadłem. Goła baba, słyszałem od strony szałasu. Goła baba w rzece Katnoselva!

I znów śmiechy i gwizdy.

Z lasu dobiegło szczekanie psa.

Tego dnia nie udało nam się nic złowić, więc na obiad musieliśmy się zadowolić klopsikami rybnymi. Siedzieliśmy w progu szałasu, a puszka bulgotała na kuchence gazowej. Seb nabił fajkę, na wypadek gdyby natrętne komary i meszki znowu uprzykrzały nam życie. Ola ze zmarszczonym czołem rozglądał się po okolicy. Chciał się zorientować, która godzina.

Nagle jednak dostrzegł coś zupełnie innego. Wyciągnął szyję i nas uciszył.

– Ktoś idzie – szepnął, pokazując palcem.

Poderwaliśmy się i wyjrzeliśmy za róg. Tamą szła niewysoka, dziwacznie ubrana dziewczyna, tuż za nią pies, gruby, kudłaty owczarek.

– To ona – powiedziałem. – To ją widziałem w rzece.

Klopsiki wykipiały. Rzuciliśmy się ratować to, co zostało. Wkrótce potem dziewczyna stanęła w progu. Pies węszył z wywieszonym ozorem. A ona tylko stała, długo patrzyła na nas, ogarniętych gorączką.

– Masz ochotę coś zjeść? – spytałem, pokonując suchość gardła.

Kiwnęła głową, zdjęła plecak i usiadła. Dałem jej resztkę klopsików rybnych. Podzieliła się nimi z psem, potem się roześmiała.

– Niezły połów – stwierdziła. – Od razu do puszki.

Była dziwna. Była dziwniejsza niż gnom. Była najdziwniejszą dziewczyną, jaką widzieliśmy w życiu. Miała długie, całkiem ciemne włosy. Powpinała w nie mnóstwo kwiatów, rumianki, dzwonki, kaczeńce. Wyglądała jak bukiet. Ale najdziwniejsze miała oczy. Na zewnątrz intensywne, spoglądające na człowieka całą swoją siłą, ale w głębi niebieskości – szare i matowe, jak woda, w którą ktoś wdepnął, podrywając do góry piasek i szlam.

Ugotowaliśmy kawę. Dziewczyna siedziała dalej. Seb zapalił fajkę, trochę pokasłał. Chciała spróbować. Chichotaliśmy w duchu. Karvet Blad. Ale ona wciągnęła dym głęboko w płuca i tam już został. Oddała mi fajkę bez jednego mrugnięcia.

– Złowiłeś coś rano? – spytała.

Zmieniłem się w pomidora. Cała krew zebrała się w głowie. I zrobiło mi się gorąco. Na czoło wystąpił mi pot, kropelki czerwone jak krew.

– Nie – szepnąłem.

Ale wcale nie wydawała się zła, uśmiechała się.

– Wieczorem złapiemy mnóstwo ryb – oświadczyła i wprawnymi ruchami zaczęła skręcać papierosa. Tytoń wyglądał na suchy i ciemny. Zapaliła, znów wchłaniając cały dym. Wstrzymała oddech i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, były odmienione. Przejrzystość błękitu ustąpiła, pozwalając brudnym mętom wydobyć się na powierzchnię. Jakby nas nie widziała. Zapachniało słodko, trochę mdło.

– Wieczorem złapiemy mnóstwo ryb – powtórzyła. – Ale najpierw się prześpię. – Położyła głowę na psie i zasnęła w progu.

Zeszliśmy nad rzekę i przysiedliśmy na kamieniach.

– Ona nie ma wędki – zauważył Gunnar.

Chwilę usiłowaliśmy to przetrawić.

Ola dostrzegł mrowisko.

– Jest wpół-wpół-wpół do siódmej – obwieścił.

– Jednak mówiłeś prawdę – przyznał Gunnar.

– To chyba Indianka – szepnął Seb, wydmuchując kółka z dymu aż pod niebo.

Po jakimś czasie obudzili się, i dziewczyna, i pies. Przyszli do nas. Dziewczyna się rozejrzała, kilka razy kiwnęła głową.

– Widzieliście kogoś albo słyszeliście? – spytała.

– Nie – odpowiedzieliśmy zaskoczeni.

– No to chodźcie.

Poszliśmy za nią aż do tamy. Zatrzymała się przy niej i wskazała na wielki drąg. Przypominał rygiel do drzwi.

– Zamkniemy śluzę – oznajmiła.

– Po co?

Uśmiechnęła się.

– Zobaczycie.

Musieliśmy szarpać i ciągnąć wszyscy razem, a wielki rygiel ledwie drgnął. W końcu jednak udało nam się go obrócić i przepchnąć na drugą stronę. Wyprostowaliśmy się, nasłuchując. Woda w rzece jakby się skończyła. Robiło się coraz ciszej.

– Chodźcie – szepnęła dziewczyna.

Poszła po swój plecak, Gunnar wziął latarkę. Zeszliśmy na brzeg.

– Musimy trochę zaczekać – zapowiedziała, siadając.

Było dziwnie. Teraz, gdy szum wodospadu ucichł, zbliżyły się odgłosy lasu. Spojrzałem na Gunnara. Nawet po ciemku widziałem, że niezbyt mu to wszystko pasuje. Był niespokojny.

Po chwili dziewczyna wstała i uśmiechnęła się białymi zębami.

– Teraz możemy łapać ryby – oświadczyła.

Gunnar poświecił. Między kamieniami wiły się pstrągi. W głębszych kałużach tkwiły ściśnięte jak w puszce. Niesamowite. Trochę jakbyśmy

zbierali jagody. Seb przyniósł nasze siatki. Indianka napełniła plecak.

Gunnar złapał mnie za ramię.

– Tak nie wolno – warknął.

– Z całą pewnością. Ale pierwszy raz w życiu z b i e r a m ryby.

Puścił mnie i poszedł do szałasu. Napełniliśmy dwie siatki, dopiero wtedy się poddaliśmy. Szalona dziewczyna miała pełny plecak. Rzucał się jak ośmiornica.

Potem na powrót otworzyliśmy śluzę. Użyliśmy całych sił, żeby podnieść blokadę. I świat znów powoli ruszył. Najpierw rozległ się cichy plusk, później woda runęła. Głośny huk utkwił nam w uszach i rzeka popłynęła w noc, niosąc na plecach białe płaty piany.

Rozpaliliśmy ognisko przy szałasie. Wypatroszyliśmy osiem pstrągów i upiekliśmy je na kijach, zjedliśmy, popijając herbatą. Smakowały jak gofry z ościami. Cmokaliśmy i mlaskaliśmy tak, że słychać nas było aż na Skillebekk. Tylko Gunnar nie był głodny. Siedział w pewnym oddaleniu z rozzłoszczoną miną i nożem czyścił paznokcie.

Seb zapalił fajkę i puścił w koło. Dziewczyna skręciła własnego papierosa, długo go paliła, a potem zaczęła mówić, niemal jakby do siebie albo do psa, który leżał obok niej, z czerwonym szorstkim językiem wywalonym na przednie łapy.

– Życie to rzeka – mówiła. – Życie to strumień.

Odchyliła głowę i niebo opadło jej na twarz.

Nagle całkiem ucichła. Ogień trzaskał, z tyłu płynęła woda.

– Mogę spróbować? – spytał Seb.

Podała mu papierosa. Seb zaciągnął się aż do brzucha, oczy wyszły mu z głowy, wielkie jak piłki do tenisa.

– Ja cię kręcę! – jęknął, pobiegł do rzeki i zaczął pić jak słoń. Dziewczyna się roześmiała, znów się zaciągnęła, żar prawie musnął jej wargi. Wyjęła kwiatek z włosów i wrzuciła go do ognia.

Gunnar strugał patyk.

– Jak ci właściwie na imię? – spytał.

Znów odchyliła głowę. Pies wciągnął język.

– Noc nie istnieje – rzuciła w powietrze.

– Czym ty się właściwie zajmujesz? – nie ustępował Gunnar.

Pies zaczął warczeć. Wytrzeszczone ślepia zdawały się wychodzić z kudłatego łba. Spod uniesionej wargi ukazały się zęby.

Dziewczyna się zaniepokoiła, szybko wstała. Pies też się zerwał, chwilę postał, potem znów zawarczał, odsłaniając kły. Cały się trząsł.

– Muszę już iść – oświadczyła, biorąc plecak.

I poszła w ciemność, zniknęła, tak jak odpływa rzeka.

– O rany.

Tylko tyle powiedzieliśmy. O rany.

Posiedzieliśmy trochę, marznąc. Od rzeki biła ściana chłodu. Potem pojawiły się meszki. Szybko i bez litości. Zalaliśmy ognisko wodą, pobiegliśmy do szałasu i zanurkowaliśmy w śpiwory. Przez małe, brudne okienka świecił księżyc, zalewając wnętrze szałasu niesamowitym światłem. Chwilę później schował się za chmurę i ciemność była już absolutna. Spaliśmy niespokojnie, gadając przez sen, prowadząc dziwną, nerwową rozmowę.

Gunnar wstał pierwszy. Kiedy wrócił, zgrzytał zębami i mrużył oczy.

– Niech ją szlag trafi! – powtarzał. – Niech ją szlag trafi!

Ola i ja wyszliśmy zobaczyć. Przy ognisku gniły ryby. Muchy obsiadły je jak cuchnącą grudę. Siatki nadawały się tylko do wyrzucenia.

– To nasza wina, że zapomnieliśmy o rybach – powiedziałem.

Gunnar mocno kopnął kamień, wybijając go w powietrze.

Seba nie dawało się dobudzić. Mamrotał coś, kompletnie oszołomiony. I krzyczał. Musieliśmy użyć siły, żeby go postawić na nogi i oprzeć o ścianę. Potem się spakowaliśmy i odeszliśmy stamtąd. Czekał nas najdłuższy etap wycieczki, aż do Kikut i Bjørnsjøen.

– Tyle zmarnowanych ryb! – mamrotał Gunnar z wściekłością. – Wiedziałem, że tak będzie!

– Co wiedziałeś? – spytałem.

– Że będzie gnój, kiedy się robi takie głupoty. Nie można zamykać tamy. To nic dobrego. Pomyślcie tylko o wszystkich tych ludziach, którzy zostali bez wody.

Tego nie wzięliśmy pod uwagę. Ola natychmiast stracił opaleniznę.

– Myślisz, że ktoś to po-po-poczuł?

– Oczywiście – odparł Gunnar. – Jezioro Maridalsvannet. Całe Oslo!

Może należało wybrać okrężną drogę. Popatrzyliśmy na mapę, ale ścieżki były dość pogmatwane. A nie chcieliśmy wylądować przy hucie szkła w Hadeland.

Powiedziałem:

– To nie my. My spaliśmy.

Seb zachichotał.

Gunnar szedł na samym końcu i rozdrapywał rany na czole.

– Śniło mi się coś idiotycznego. – Seb się zaśmiał, pocierając oczy. – Śniło mi się, że jestem rybą.

– Jaką ry-ry-rybą? – spytał Ola.

– Nie wiem jaką, ty durniu. Po prostu rybą. Pływałem jak cholera. No i rozmawialiśmy ze sobą. To znaczy z innymi rybami. Gadałem z małymi karasiami. Jeszcze czuję, jak to jest być rybą. Śmieszne, nie? A w wodzie było całkiem jasno.

– Nikt nie łowił? – spytałem.

– Pewnie, że łowił. Akurat się otarłem o haczyk. Już brałem, kiedy mnie zbudziliście.

Była piąta, gdy wreszcie dotarliśmy nad Bjørnsjøen. Tak w każdym razie twierdził Ola. Poznawał to po kolorze chmur. Wpadliśmy do schroniska Kikut, zamówiliśmy kanapki z pasztetem, colę i paczkę ascotów. Na ścianie wisiał wielki zegar. Wskazywał pięć po piątej. Popatrzyliśmy na Olę. Miał w sobie wyłącznik czasowy.

Posiedzieliśmy przez jakiś czas z obolałymi nogami, opaleni i zmęczeni. W schronisku był tylko dziadek za ladą i jeszcze dwie kobiety w kuchni. Nikt się tu nie skarżył na niski poziom wody. Gunnar trochę się uspokoił.

– Nikt nie wie, że to nasza robota – szepnąłem nad stołem.

Gunnar popatrzył mi w oczy.

– To nie ma żadnego znaczenia!

Znaleźliśmy miejsce na obozowisko w pobliżu ujścia rzeki, na płaskim cyplu, który wcinał się w wodę jak palec wskazujący.

Rozbiliśmy namiot, wyciągnęliśmy sprzęt wędkarski. Rosówki zaczynały być zmęczone, nie stawiały oporu, kiedy nadziewaliśmy je na haczyk. Spławiki tkwiły nieruchomo. Woda powoli ciemniała od chmur wstępujących na niebo. Powiew chłodu uderzył nas w karki. Las zaczął się skarżyć.

Wsunęliśmy się do namiotu. Było już i tak późno, a my padaliśmy z nóg. Śpiwory leżały jeden przy drugim. Namiot trząsł się na wietrze. Gdzieś z daleka, może znad Frogner, dochodziły odgłosy burzy.

– Czy to nie głu-głu-głupio leżeć tutaj, w takim odsłoniętym miejscu? – spytał Ola.

– W lesie jest gorzej – stwierdził Seb po namyśle. – Drzewo może się zwalić na łeb.

Leżeliśmy, nasłuchując. Słyszeliśmy wiatr i fale uderzające o kamienie. Było ciemno. Bardzo ciemno.

– Wyliczamy zespoły – zaproponował Gunnar.

Zaczynał Seb.

– Beatles – powiedział. Oczywiście.

Potem była kolej na Olę.

– Beach Bo-Bo-Boys.

Gunnar:

– Gerry and the Pacemakers.

Potem ja:

– Rolling Stones.

I tak to trwało: Animals. Pretty Things. Who. Dave Clark Five. Manfred Mann. Yardbirds. Lovin' Spoonful. Kinks. Snowflakes.

– Kto to powiedział? – zawołał Seb.

Ola.

– Nie liczy się! Snowflakesi się nie liczą!

Wyliczaliśmy dalej, bo ciągle jeszcze nie spaliśmy: Supremes. Pussycats. Tremeloes. Shadows. Dave Dee, Dozy, Beaky, Mick and Tich. Swinging Blue Jeans.

– The Snafus! – zawołał Seb i wtedy się rozpętało. Ciemność rozdarły niebieskie noże. Ziemia pod nami się zatrzęsła. Deszcz zaczął bębnić w płótno namiotu, a potem bębnił w nas. Lało się ze wszystkich stron. Namiot przeciekał jak sito.

Wstaliśmy i wyszliśmy. Niebo zgrzytało zębami. Plunęło błyskawicą. Wiatr uderzył nas w twarz.

– Musimy iść do Kikut! – krzyknął Gunnar.

Zapalił latarkę, ale na niewiele się to zdało. Spakowaliśmy się najlepiej jak mogliśmy i zaczęliśmy przedzierać się przez burzę. Potykaliśmy się w błocie, wiatr nas przewracał. Nieregularnie zapalało się niebieskie światło, jakby ktoś włączał olbrzymi, trzeszczący odbiornik telewizyjny.

W schronisku w Kikut wszystkie okna były ciemne. Zaczęliśmy walić w drzwi, ale nikt nie otwierał. Seb wskazał jakieś inne drzwi, jak się okazało, do kibla. Pobiegliśmy tam. W środku było równie zimno jak na zewnątrz, ale sucho. Cuchnęło z kabin i z pisuaru.

– Jutro wracamy do domu – zdecydował Seb.

Próbowaliśmy spać, ale śpiwory były za mokre. Próbowaliśmy zapalić fajkę, ale zapałki były za mokre. Próbowaliśmy się kłócić, ale byliśmy za mokrzy. Chyba jednak w końcu zasnęliśmy, bo obudziliśmy się z zatkanymi nosami. Nie padało, pluskało jedynie w odpływie pisuaru. Świeciło słońce. Na sztywnych nogach, obolali, wytoczyliśmy się na dwór. Kupiliśmy bulion i bułki, a potem przez parę godzin suszyliśmy się przy wschodzącym słońcu.

– Czujesz ten zapach? – spytał Seb.

– Czuję.

Rosówki. Rosówki zgniły. Poszliśmy do lasu i opróżniliśmy puszki. Kilka drzew natychmiast straciło igły. Potem zawiesiliśmy ubrania i śpiwory na plecakach i wyruszyliśmy w powrotną drogę do domu. Nad jeziorem Skjærsjøen odpoczęliśmy i zjedliśmy resztę „trupa w puszce”.

– Fajna była wycieczka – powiedział Seb.

Mogliśmy się pod tym podpisać.

Gunnar wyjął aparat, uklęknął, kręcił pokrętłami i mrużył oczy. Nagle na drodze pojawił się jakiś facet, poprosiliśmy, żeby to on nam zrobił zdjęcie.

Dzięki temu mogliśmy na nim być wszyscy czterej.

Za ostatnie pieniądze zjedliśmy obiad w gospodzie Ullevålseter, lapskaus, do tego ciemne piwo bezalkoholowe. Teraz pozostało nam jeszcze tylko zejść ze wzgórz nad Sognsvann, i chociaż fajnie było wrócić do domu, do własnego łóżka, płyt i toalety, to mieliśmy też ochotę trochę jeszcze przeciągnąć tę wyprawę. Zeszliśmy w bok, nad jezioro Lille Åklungen, ciemne i głębokie, położone u stóp stromo opadającego od zachodniej strony zbocza. Usiedliśmy na zielonym cyplu i przygotowaliśmy sprzęt.

– Która godzina? – spytaliśmy Olę.

Rozejrzał się wkoło dość bezradnie. Liczył coś na palcach, w końcu stwierdził, że jest piąta.

Założyliśmy błystki obrotowe i zarzuciliśmy. Seb zahaczył o dno, żyłka mu pękła. Spakował wędkę, nie chciało mu się więcej łowić. Ola poszedł do lasu. Gunnar też z czasem się poddał.

– Spójrzcie na te słupy wysokiego napięcia w górze! – pokazał Seb. – Wyglądają jak ogromne roboty.

Wznosiły się nad drzewami bezgłowe, z wyciągniętymi ramionami, kolosalne szkielety ze stali. Kiedy byliśmy całkiem cicho, słyszeliśmy, jak śpiewają kable. Brzmiało to strasznie.

– Ta dziewczyna to niezła wariatka – powiedziałem.

– Gnom też – dodał Gunnar.

– Ale miał rację, że w Daltjuven już nic więcej nie złapiemy.

Ola majstrował przy plecakach. Podeszliśmy do niego. Skoczył jak żaba, próbując ukryć coś, co trzymał w ręce. Wykręciliśmy mu ją. Zegarek.

Zaczerwienił się paskudnie i lewe ucho zaczęło mu się trząść. Łopotało. Tylko na niego patrzyliśmy. Jedna gwiazda zgasła. Kukułka powiedziała „dobranoc".

– Wcze-wcześniej go nie wy-wy-wyjmowałem – wyjąkał.

– Aha, na pewno. No to która teraz jest godzina? Potrafisz powiedzieć czy nie?

Wpatrywał się w zegarek.

– Sta-sta-stanął. Nie jest wo-wo-wodoszczelny.

Zmrużonymi oczami spojrzał w niebo. Ucho cały czas latało mu jak szalone.

– Wy-wy-wydaje mi się, że wpół do sió-sió-siódmej.

Zarzuciłem wędkę ostatni raz. Szarpnęło nią, błystka poleciała pięknym łukiem i z westchnieniem wylądowała w samym środku zatoki. Pozwoliłem jej długo opadać w wodę, potem wolno zacząłem zwijać. Nagle moją ręką coś szarpnęło. Żyłka zadrżała i zaśpiewała, tak jak kable wysokiego napięcia. Nie zaczepiłem o dno. Coś ciągnęło.

– Bierze! – zawołałem.

Popuściłem żyłkę. Ryba ją sobie wzięła, dałem jej jeszcze więcej. Zatrzymała się. Zacząłem delikatnie ściągać. Ryba nie chciała na to pozwolić, próbowała odpłynąć dalej, ale była zbyt zmęczona, a haczyk siedział mocno. W końcu zrezygnowała. Poszła za żyłką. Kiedy już znalazła się dostatecznie blisko, błysnęła w ciemnej wodzie. Wyciągnąłem ją na brzeg. Ważyła co najmniej pół kilo. Pstrąg tęczowy.

– Zjemy go teraz? – spytałem.

– Zabierz do domu. – Gunnar poklepał mnie po plecach.

Wyruszyliśmy na ostatni odcinek, przez pola wokół Gaustad. To była fajna wycieczka. Co do tego wszyscy się zgadzaliśmy. Nagle z naprzeciwka coś się wyłoniło, przedziwny orszak, dziesięciu czy piętnastu mężczyzn, wszyscy identycznie ubrani, ogoleni na łyso, z zapadniętymi ciemnymi oczami i bladosiną skórą. Z przodu i z tyłu szli dwaj ani trochę niepodobni do pozostałych, zupełnie inaczej ubrani, wyglądali na silnych, bardziej przypominali strażników. Identycznie wyglądający mężczyźni minęli nas bez pozdrowienia. Na nic nie patrzyli. Ich dłonie przypominały szare supły, słychać było jedynie szuranie stóp.

Zatrzymałem się, zdjęty chłodem, jakby przebity lodowatym soplem. Dopiero po chwili dogoniłem chłopaków.

– Widzieliście ich? – spytałem. – Jasna cholera!

– Kogo? – zdziwił się Gunnar.

– Kogo?! Wariatów! To wariaci z Gaustad!

Wskazałem za siebie na drogę. Nikogo na niej nie było. Z żółtego pola poderwało się stado ptaków.

– Założę się, że Anglia zdobędzie mistrzostwo świata – powiedział Gunnar.

– A co z Brazylią? – sprzeciwił się Ola. – Pe-Pe-Pele!

Odwróciłem się jeszcze raz. Droga była pusta.

Ola wpadł w ekstazę. Ringo był najlepszym piosenkarzem na świecie. Ringo był jedyny. Ola siedział, obejmując rękami i nogami gramofon Gunnara, a pot spływał mu po karku.

– Jak pójdę do wo-wo-wojska, to do ma-ma-marynarki! – zawołał.

Puściliśmy płytę jeszcze raz. *Yellow Submarine* na pełny regulator. Otworzyliśmy okno i całe miasto zmieniło się w żółtą łódź podwodną, niebo było powierzchnią wody, a my załogą.

– Musimy się zbierać, bo inaczej się spóźnimy – zamarudził Gunnar. Nadal miał na czole parę blizn po najgorszych bąblach.

Przed wyjściem udało nam się jeszcze przesłuchać drugą stronę. Nastrój nagle kompletnie się odmienił. Ulica za oknem przeobraziła się w cmentarz, słońce na chwilę zaszło za chmury i jesień podkradła się bliżej. *Eleanor Rigby*. Słuchaliśmy w milczeniu, zdziwieni, że wszystko w nas może się zmieniać tak gwałtownie, tak szybko jak odwrócenie płyty, jakbyśmy byli podzieleni na dwie części: przednią i tylną, na radość i smutek.

A potem pobiegliśmy do Vestheim. Był pierwszy dzień szkoły po wakacjach. Pierwszy dzień w drugiej klasie szkoły realnej.

Licealiści stali na Skovveien, palili, prężyli się, a po drugiej stronie, koło siatki, ustawiły się krasnale, uciekały wzrokiem, głowy ledwie wystawały im z butów. Minęliśmy ich. Rozpoznaliśmy kilka pysków z poprzedniej szkoły. Próbowali mówić nam „cześć” i „kolego”, ale o takim brataniu nie było mowy. My też w pierwszej klasie musieliśmy radzić sobie sami. Wiadomo. Przeszliśmy obok nich, ale jakiś natrętny kleszcz, w spodniach na lekką powódź, z głową pokrytą świńską szczeciną, podreptał za nami.

– A jak to jest w otrzęsiny? – wykrztusił.

Zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy na niego z powagą.

– A masz świadectwo dojrzałości? – spytał Seb.

– Co?

– To nie jest film dla dzieci – odpowiedział Gunnar.

– No ale jak wyglądają te otrzęsiny? – marudził malec.

– W ogóle o tym nie myśl. Bo nigdy więcej tu nie wrócisz.

Zbielał na twarzy.

– To takie straszne?

– Jeszcze gorsze – powiedziałem. – Albo cię złapią teraz, zatkają odpływ pisuaru papierem, włożą cię do rynny i będą trzymać, dopóki szczyny nie wleją ci się do uszu. To się nazywa system Ernst. Albo zaczekają do zimy, wbiją cię głową w zaspę i wkręcą w śnieg jak korkociąg. Możesz wybrać, co wolisz.

Żółtodziób, zataczając się, wrócił pod siatkę i usiadł na ziemi. Pozostali pigmeje stłoczyli się wokół niego.

Dziewczyny urosły. Urosły niesamowicie. Je również spokojnie minęliśmy.

Przyszedł Gąsior w zaprasowanych spodniach, z jabłkiem w ręku.

– Cześć – rzucił ostrożnie.

– Cześć, Christian – powiedzieliśmy, a on uśmiechnął się od ucha do ucha i stał tak przy nas aż do dzwonka.

Ławki zrobiły się za małe. Po lecie w klasie śmierdziało, więc otworzyliśmy wszystkie okna. Na katedrze leżała twarda, sucha gąbka. Gąsior ją zmoczył. Dziewczyny popsikały go perfumami. No tak, wszystko było jak dawniej. Ale czegoś brakowało. Brakowało jednej ławki.

Brakowało Freda.

Przyszedł Kartofel, usiadł za katedrą i zaczął przekładać jakieś książki.

– Siadajcie – powiedział w końcu.

Usiedliśmy.

– Przede wszystkim mam wam do przekazania bardzo smutną wiadomość – zaczął mówić. – Nasz kolega z klasy, Fred, Fred Hansen, nie żyje. Utopił się latem.

Chyba nigdy dotąd nie słyszałem, żeby było tak cicho. A potem już nic więcej nie pamiętam, aż do chwili, kiedy po lekcji opowiadaliśmy o tym Sebowi i Oli. Słowa w ustach były takie ciężkie. Seb nie chciał mi uwierzyć. Złapał mnie za ramię i zaczął szarpać. Wreszcie uwierzył.

Szliśmy do domu. Myśli wirowały w głowie. W końcu Gunnar powiedział na głos to, o czym myśleli wszyscy, ale nie mieli odwagi pomyśleć do końca:

– Jak Fred mógł się utopić? Przecież on świetnie pływał!

Nic więcej nie mówiliśmy. Myślałem o starych ubraniach Freda. Myślałem o szczurze i o czerwonych rękach jego matki.

Fred nie żył.

Poszliśmy do zakładu fotograficznego na Bygdøy allé, gdzie Gunnar już wcześniej oddał do wywołania nasz film z wyprawy na ryby. Ekspedient wyjął pakiet.

– Klisza musiała się prześwietlić – stwierdził, wyciągając negatywy z plastikowych kieszonek.

Po tym lecie został nam jedynie rządek czarnych klatek.

REVOLVER
JESIEŃ ’66

Tej jesieni było dużo draństwa. Tej jesieni słuchaliśmy *Revolveru*. To tej jesieni przystępowaliśmy do konfirmacji.

Raz w tygodniu, w każdą środę, chodziliśmy do kościoła na Frogner. W ciasnym pomieszczeniu z kamienia śmierdziało pleśnią i mokrymi skarpetami. Było nas co najmniej dwadzieścioro, każde miało Biblię i każde miało psałterz. Pastor był typem narciarza, z kapką pod nosem i pionowymi zmarszczkami. Głos miał potężny. Plótł o tym wszystkim, co obiecaliśmy podczas chrztu.

No i oczywiście chodził z nami Gąsior. Raz po tych naukach przyczepił się do nas, kiedy zatrzymaliśmy się na Bygdøy allé, żeby zapalić.

– Co myślisz o pastorze? – zagadnęliśmy.

– Nuda – odparł Gąsior.

– Trzeba się namordować dla tych prezentów – stwierdziłem.

– Chcę dostać organy Hammonda – oznajmił Gąsior.

– O rany. A umiesz grać? – spytał Gunnar.

– Na pianinie – powiedział i zaraz dodał: – Zacznę grać w zespole.

– W zespole! W jakim?

Prawie zaparło nam dech.

– Zobaczymy – odparł tylko, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Po chodniku pełzła dżdżownica. Rozdeptał ją.

– Dlaczego to zrobiłeś, co? – Gunnar z obrzydzeniem wskazał brudny ślad.

Gąsior dziwnie się uśmiechnął.

– Bo chciałem – odparł. Wzruszył ramionami, poszedł dalej ulicą.

Powlekliśmy się do fontanny, już wyłączonej na zimę, chociaż był dopiero wrzesień. Środkiem alei nadjechał facet na koniu. Ależ pięknie to wyglądało, lśniący gniady koń w deszczu.

– Jak długo twój ojciec będzie w domu? – spytałem.

– Trzy miesiące. – Seb wyciągnął z kieszeni papierosa, nagle rozzłoszczony.

– To źle? – Gunnar zapalił zapałkę, osłaniając ją swoimi wielkimi dłońmi.

– Dobrze. Ale cały czas się kłócą z matką. I nieustannie marudzi, że mam się ostrzyc.

– Mój ojciec też się a-a-awanturuje. – Ola pociągnął się za kosmyk. Wyjęliśmy grzebienie i poprawiliśmy fryzury.

Tej jesieni niewiele rozmawialiśmy, no ale coś musieliśmy mówić, więc gadaliśmy o drużynie Frigg, która zajmowała czwarte miejsce i miała szansę na złoto, o *Aftermath*, nowym longplayu Stonesów, o treningach, które zaniedbywaliśmy. Ale to, o czym wszyscy chcieliśmy rozmawiać, dusiliśmy w sobie. Freda.

Do domu wracaliśmy milczący i przygnębieni, schowani w żółtych sztormiakach.

– Nie wiem, czy dalej będę chodził na te nauki do pastora – oświadczył nagle Seb.

Stanęliśmy jak wryci.

– Nie wygłupiaj się! – powiedziałem w końcu. – Przecież to na konfirmację mamy dostać instrumenty dla The Snafus!

Pozostali pokiwali głowami.

– No tak. Ale dlaczego mamy tam chodzić, skoro ani trochę w to nie wierzymy?

– Przecież już powiedziałem, kapuściany głąbie! Chodzi o prezenty!

Poszliśmy do Gunnara i puściliśmy *Revolver*. *One, two, three, four!* Seb prawie padł, kiedy usłyszał pierwsze chwyty *Taxmana*. I znów była z nami *Eleanor Rigby*, ścisnęliśmy się przy głośniku, jakbyśmy zmarzli, a gramofon był ogniskiem. Trochę mnie rozzłościło, że Paul na każdym longu musi mieć jakąś łatwą, wpadającą w ucho piosenkę, tutaj to było *Here, There and Everywhere*, ale *For No One* trafiała jak strzała prosto w komorę serca, od razu myśleliśmy o wszystkich dziewczynach, Unni, Klarze, Ninie i Guri. Musieliśmy za jednym zamachem puścić też *Girl*, słuchaliśmy z zaciśniętymi pięściami, starając się olewać wszystkie dziewczyny na całej

kuli ziemskiej. Sitar George'a przeszywał aż do szpiku kości, świdrował jak u dentysty. A *Tomorrow Never Knows* było nieźle zwariowane. Brzmiało tak, jakby John śpiewał z głową w doniczce, a w tle cała orkiestra dmuchała w bilety kinowe.

– John Lennon zaczyna tyć – zauważył Seb, kiedy puls wreszcie spadł mu poniżej setki.

Gunnar się wkurzył i ścisnął w rękach brzuch, sprawdzając oponki.

– Wcale nie. To tylko tak wygląda. Koszula jest za duża.

– Ja w każdym razie ku-ku-kupię sobie takie oku-ku-kulary na lato. – Ola wskazał na Ringa.

Za oknem równo siekł deszcz.

Wrzesień '66.

– Tak – powiedzieliśmy sobie. – Na lato.

Kolejny raz zdusiliśmy w środku to, o czym najbardziej chcieliśmy rozmawiać. Powlekliśmy się do domów z ciężkimi kamieniami w piersiach.

Mama czekała z kolacją. Ojciec czytał jakąś grubą książkę z angielskim tytułem. Po świętach Bożego Narodzenia miał zostać szefem oddziału.

– Już niedługo pójdziesz ze mną do teatru – obwieściła mama.

Zabrzmiało to jak wypowiedzenie wojny. Nie chciałem iść do teatru.

– Nie cieszysz się?

– Cieszę – odparłem, bo wyglądała na taką uradowaną.

Noc przyszła z Jenseniusem. Niewiele już teraz wychodził, siedział tylko w fotelu – tak to sobie wyobrażałem – i śpiewał. W niektóre wieczory potrafił śpiewać po dwie godziny z piętnastominutową przerwą. Pewnie marzył o oklaskach, o owacjach z tupaniem i pozwalał się uprosić o bis.

Jensenius śpiewał, dopóki nie przyszła zima, która przysypała śniegiem jego struny głosowe.

Nie mogłem zasnąć. Przez szparę pod drzwiami wpadało światło. Rodzice w salonie rozmawiali głośnym szeptem. Nasłuchiwałem na wstrzymanym oddechu.

– To idiota! – usłyszałem ojca.

Matka milczała.

– Jak można rzucić pracę!

– To urlop bezpłatny – wtrąciła mama.

– I to do Paryża! Do tej… tej… dziewczyny!

Wpełzłem z powrotem pod kołdrę i śmiałem się w ciemności. Brawo, Hubert! Potem musiałem się mocno trzymać, bo przyszedł sen i zaczął mną rzucać o ścianę, ten sen stale mnie nękał tamtej jesieni, w sześćdziesiątym szóstym. Śniła mi się wojna gwoździowa, ta w 1962 roku, w samym środku kryzysu kubańskiego, kiedy pierwszy raz w życiu widziałem u ojca strach, a kiedy go zobaczyłem, ogarnął mnie dwakroć silniejszy lęk. Ojciec kupił trzydzieści kilo konserw, schował je w piwnicy w Nesodden, na wszelki wypadek, na wszelki wypadek, i nikomu nie wolno ich było tknąć, ale z czasem się uspokoił, zapomniał o puszkach i zaczął rozwiązywać krzyżówki. To tymi puszkami żywię się teraz, więc dziękuję ci, tato, byłeś przewidujący, rzeczywiście, zawsze toczy się jakaś wojna. Ale mnie się śniła wojna gwoździowa, trzydniowa, sześćdziesiąty drugi rok, kiedy dzielnice Skarpsno i Vika ruszyły na siebie do ataku, a my na Skillebekk staliśmy pośrodku, z naszymi nędznymi procami ze spinek do włosów, które nie mogły się mierzyć z armatami wroga. Mieliśmy jednak pewną przewagę, znaliśmy pole bitwy jak własną kieszeń, wiedzieliśmy o tajemnych drzwiach, dziurach w płocie i podziemnych przejściach. Wojna zaczęła się w czwartek. W sobotnie popołudnie nagle się skończyła. Usłyszeliśmy wtedy krzyk Kabata. Kabat był małym człowieczkiem cierpiącym na jakąś chorobę, nie mógł normalnie chodzić, dawno już tu nie mieszka. Kabat krzyczał, stał na środku ulicy z zagiętym gwoździem wbitym prosto w oko. Tryskała krew. Kabat krzyczał. Wojna się skończyła. Wyszliśmy z okopów, z bunkrów. Kabat stracił wtedy wzrok w obojgu oczach. Stał w kałuży krwi i wrzeszczał. Wojna się skończyła. Spinek matki już nikt nie ruszał. Konserwy zostały w piwnicy w Nesodden.

A mnie tak mijały noce.

Na snach o gwoździach i wojnie.

Któregoś dnia, takiego jak wszystkie inne dni tej jesieni, z cichym pluskiem z nieba i z wiatrem niosącym deszcz, zebraliśmy się wreszcie na odwagę, kupiliśmy cztery róże, czerwone, w całej tej szarości wprost

oślepiające czerwienią, i poszliśmy na Cmentarz Północny, na grób Freda. Baliśmy się tego jak ognia i milczeliśmy przez całą długą drogę na cmentarz, wciśnięty między Szpital Ullevål i przyszkolne ogródki.

Groby ciągnęły się długim szeregiem, wielkie nagrobki, drewniane krzyże, wieńce. Za żywopłotem przejechała z wyciem karetka. Nasze wyczyszczone do połysku buty poszarzały od błota.

Wysypaną żwirem alejką nadszedł z przeciwka ubrany na czarno staruszek. Obserwował nas zmrużonymi oczami.

– Dokąd się wybieracie? – burknął.

– My… szukamy grobu Freda Hansena – wyjaśnił Gunnar.

Mężczyzna zadrżał. Zebrał czarną pelerynę przy szyi. Potem dał nam znak, żebyśmy poszli za nim ścieżką między nagrobkami. Pachniało mokrą ziemią.

Wskazał nam róg cmentarza, ten, w którym rosły żółte brzozy.

– To tam. Tam gdzie stoi ta pani. To jego matka. Przychodzi tu codziennie.

Nie mogliśmy teraz zawrócić. Wolno podeszliśmy do niej. Seb trzymał kwiaty. Deszcz siekł w zimnych porywach wiatru.

Dostrzegła nas, kiedy byliśmy już blisko. Nie poznała nas od razu, ale po chwili na jej twarz wypłynął nieśmiały uśmiech.

– To wy – szepnęła.

Podeszliśmy bliżej, wytarliśmy dłonie o uda, w duchu ćwicząc to słowo, którego nauczył nas Kartofel, kiedy klasa wysyłała jej list i kwiaty.

– Moje kondolencje – powtarzaliśmy po kolei, wyciągaliśmy ręce, a kula w gardle nabierała rozmiarów granatu ręcznego, dobrze, że padało.

– Przynieśliśmy kwiaty. – Seb ściągnął przemoczony papier.

Spojrzeliśmy na nagrobek. Na bezlitosne cyfry, które na nim wyryto: 14.08.1951 – 25.06.1966.

– Musicie przyjść do mnie do domu – oświadczyła nagle matka Freda. – Bardzo was proszę!

Wymamrotaliśmy podziękowanie za zaproszenie i ruszyliśmy za nią przez całe miasto, na Schweigaards gate, tam gdzie jeździ Kolej Transsyberyjska.

Usiedliśmy w pokoju, przygotowała herbatę. Wciąż unosił się tu zapach starych ubrań. A drzwi do pokoju Freda były otwarte. Niczego nie zmieniono ani nie przestawiono.

– Miałam tylko Freda – powiedziała cicho.

– Nam też go bra-bra-brakuje – wykrztusił Ola.

Spojrzeliśmy na niego z wdzięcznością. W trudnych sytuacjach Ola potrafił powiedzieć to, co trzeba.

– On nie miał zbyt wielu kolegów – ciągnęła matka Freda. – Nawet nie wiecie, ile to dla mnie znaczy, że przyszliście tutaj, że mogę z wami porozmawiać…

Zaczęła opowiadać o tym wszystkim, co miał osiągnąć Fred, o wszystkim, co miał zrobić, niemal tchnęła w niego życie, a ja pomyślałem, że teraz, teraz przynajmniej nie może jej już zawieść.

– Napijcie się jeszcze herbaty – powiedziała w końcu. – Przyniosę coś do przekąszenia.

Wróciła z miseczką pełną herbatników.

– Herbatniki literki. – Uśmiechnęła się.

Żuliśmy suche ciastka, piliśmy słodką herbatę, która zdążyła wystygnąć. Wydawało mi się, że jedynymi literami w miseczce są F, R, E i D. I przyszło mi do głowy, że to chyba właśnie to, co pastor nazwał komunią, takie przynajmniej odnosiłem wrażenie, że to ciało i krew; cały czas zaglądaliśmy przez otwarte drzwi do pokoju, w którym podręcznik do matematyki leżał rozłożony na stronie z logarytmami.

W powrotnej drodze do domu kamienie w piersiach zrobiły się za ciężkie. Deszcz lał, o mało nas nie zatapiając.

– Fred umarł dwudziestego piątego czerwca – powiedziałem.

Pozostali w milczeniu ssali tylko mokre niedopałki.

– To było tego dnia, kiedy spotkaliśmy tę dziewczynę nad Katnosa – ciągnąłem.

– I co z tego? – zdenerwował się Gunnar.

Przełknąłem kamień.

– Może to była ta dziewczyna, o której opowiadał gnom. Iris.

Gunnar wykrzywił się, zaciskając zęby.

– Zamknij się! – Przysunął się aż do mojej twarzy. – Zamknij się!

– Pa-pa-pastor mówi, że Bóg zde-de-decydował o wszystkim już wcześniej – szepnął Ola, nerwowo przeciągając ręką przez włosy.

– Jak Bóg może być taki, żeby pozwolić Fredowi utonąć?!

Gunnar próbował zapalić papierosa, nie udało mu się, cisnął zapałkami o ścianę domu.

– Spytam o to pastora następnym razem – oświadczył Seb i splunął.

– Fred… – zaczął mówić Gunnar, cicho, najspokojniej jak potrafił. – Fred utonął. Nikt o tym nie zdecydował! Ludzie topią się każdego lata. Fred był jednym z nich. Nikt nic na to nie poradzi!

– No nie – przyświadczyliśmy.

Fred nie żył.

Poszliśmy do domu. I tak dobrze, że mogliśmy o tym porozmawiać. I tak dobrze, że tam poszliśmy. Czuliśmy się jakby lżejsi, jakbyśmy mogli odpłynąć w deszczu.

Staliśmy przed lustrem w przedpokoju, mama i ja, prawie jak tamtego lata w Nesodden, kiedy się przebieraliśmy. Ona była w długiej sukni, błyszczała od stóp do głów, a ja zgrzytałem zębami w blezerze ze świecącymi guzikami, ostrzyżony i świeżo wypastowany.

– Na konfirmację dostaniesz garnitur – zapowiedziała. Zza okna dobiegło trąbienie, bo, na miłość boską, zamówiła też taksówkę. Może i dobrze, ponieważ mogłem przemknąć przez bramę i wskoczyć na tylne siedzenie, a tam opuścić głowę, przecież nie chciałem, żeby ktoś mnie zobaczył w tym przebraniu.

W taksówce mama szepnęła mi w kark:

– Nie cieszysz się? To przecież B r a n d, z T o r a l v e m M a u r s t a d e m!

Byłem śmiertelnie przerażony.

Oddaliśmy okrycia i mama znów musiała przejrzeć się w lustrze. Chciałem stąd zniknąć, znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, ale to w niczym nie pomagało. Mama ujęła mnie za ramię i przytrzymała. Pokazywała, jak tu pięknie, opowiadała o dawnych aktorach. Starałem się

trochę uspokoić serce, bo przecież nie mogłem tu spotkać żadnych znajomych, tyle przynajmniej było pewne.

W końcu rozległ się dzwonek i ludzie zaczęli ruszać w stronę wejść. Prześlizgnęliśmy się do naszego rzędu i odszukaliśmy miejsca. Pachniało molami. Pachniało molami, perfumami i wodą po goleniu, gorzej niż w kościele skrzyżowanym z salą gimnastyczną. Krawat wciskał mi się w grdykę, gumka o mało mnie nie udusiła. W końcu kurtyna poszła w górę, ktoś zaczął mówić jakimś idiotycznym głosem, a ja straciłem przytomność.

Ocuciły mnie mocne światła i burzliwe oklaski.

– Już koniec? – spytałem.

– Przerwa. – Mama się roześmiała.

Czym prędzej poszliśmy na piętro, bo mama chciała napić się martini. Ja dostałem oranżadę. Nie było miejsc siedzących, musieliśmy stać pod ścianą. Mama odchyliła głowę i westchnęła zadowolona.

– Naprawdę wspaniałe – powiedziała.

– No – mruknąłem.

– W liceum na pewno będziecie czytać *Branda*. Albo *Peera Gynta*.

W tym momencie zakrztusiłem się oranżadą. Tuż koło nas stali rodzice Niny. Nie było mowy o pomyłce. Pot spływał ze mnie i wyciekał nogawkami.

– Muszę do toalety – oświadczyłem.

Mama spojrzała na zegarek.

– Wobec tego musisz się pospieszyć. Toaleta jest na parterze.

Wymknąłem się i niezauważony minąłem szklane drzwi. Wszedłem między ludzi na schodach i wreszcie znalazłem męski. Serce ścigało się na sześćdziesiąt metrów. Oparłem się o drzwi. Nikogo nie było. Odetchnąłem z ulgą. To był teatr. W końcu stanąłem przy rynnie pisuaru i spokojnie zacząłem ją napełniać. Nagle jednak drzwi się otworzyły i po chwili obok mnie ustawił się niewysoki brodacz. Strumień mi wysechł. To był ojciec Niny. Zaczął grzebać i majdrować przy spodniach, zerknął na mnie i w momencie gdy się spakowałem i zasznurowałem, rozpoznał mnie.

– Przecież ty jesteś Kim! – W jego brodzie pojawił się otwór.

Kiwnąłem głową. Nie bardzo wiedziałem, gdzie mam podziać oczy.

– A więc przyszedłeś do teatru – ciągnął pogodnie, nacelował i zaczął sikać.

Nie mogłem zaprzeczyć.

– Prawda, że to straszne? – Westchnął i skończył. – Już połknąłem trzy tabletki od bólu głowy.

Stanęliśmy przy różnych umywalkach.

– Jak wam się udał tamten mecz?

– Wygraliśmy jeden do zera.

– No to świetnie! Ale chodź, przywitasz się z matką Niny. Przyjechaliśmy na krótko. Niny z nami nie ma.

Wyciągnął mnie z toalety, a matka Niny poznała mnie od razu. Podała mi dłoń i musiała sięgnąć po chusteczkę, bo nie wytarłem rąk po umyciu. Zrobiło mi się głupio.

– Ostatnio tak szybko zniknąłeś. – Uśmiechnęła się.

Wbiłem wzrok w czerwoną podłogę. Zauważyłem, że przeplotłem sznurowadła przez niewłaściwe dziurki.

– Nina bardzo żałowała – ciągnęła jej matka. – Przyjedzie do domu latem.

W końcu znów rozległ się dzwonek, dwa razy, przerwa się skończyła.

Dość długo błądziłem, nie mogłem znaleźć drzwi na schody, wszystkie suknie i smokingi nadciągały z przeciwka i koniecznie chciały porwać mnie w drugą stronę. Stałem nieruchomo, jak łosoś walczący z wodospadem. Powoli zaczęła mnie ogarniać panika, ale w końcu udało mi się dotrzeć do bufetu, gdzie czekała na mnie rozzłoszczona mama.

Swoje miejsca odnaleźliśmy już przy gasnących światłach. Kurtyna się podniosła, i dziwne, ale prawdziwe, że kiedy zobaczyłem scenografię i usłyszałem te donośne głosy, od których żyrandol nad naszymi głowami zaczął podzwaniać, mnie już tam nie było, tak jak na *Dźwiękach muzyki*. Nie mogłem pojąć, że ktoś daje się tak łapać na ten lep, że daje się tak długo oszukiwać. Zamknąłem oczy, wyciszyłem dźwięk i myślałem o Ninie. Żołądek ścisnęły mi obcęgi. Nina została w Kopenhadze sama. Sama z Jesperem. O mało nie zacząłem krzyczeć, ale się opanowałem. Przecież miałem ją olewać. No tak.

Po powrocie do domu od razu położyłem się do łóżka, dostałem gorące mleko z miodem i przez tydzień nie chodziłem do szkoły. Byłem wykończony. Sny bawiły się ze mną w berka i nie mogłem przed nimi uciec. Obrazy i dźwięki mieszały się w czerwony koszmar: śpiew Jenseniusa, wojna w telewizji, alarm bombowy, telefon, którego nikt nie odbiera. A na otaczających mnie ścianach zdjęcia Beatlesów. Nie rozpoznawałem ich. Oni już tak nie wyglądali. Nie byliśmy już podobni do siebie.

A kiedy teraz wstaję, równie obcy, po niespokojnej, chociaż pozbawionej snów nocy, czuję pod czaszką tę samą gorączkę, obcęgi ściskają mi przeponę. To żołądek nie toleruje wody ze studni. Jest brązowa, kiedy dopływa do kranu. Muszę wychodzić, topić śnieg, gotować. Owijam się w stare ubrania i powłócząc nogami, idę przez pokój. Na stole leżą białe kartki, jak okna w ciemności. Wychodzę na kuchenne schody, światło mnie oślepia, muszę zasłaniać oczy, serce wali jak młotem. I zimno mi, zimno mi w głowę, to najgorsze, bo włosy nie chcą odrastać.

Właśnie wtedy to widzę: ślady stóp na śniegu. Idę za nimi. Prowadzą od furtki. Ktoś tu był. Okrążają Dom. Zatrzymują się przy tym jednym oknie, z którego zostały zdjęte okiennice.

Ktoś na mnie patrzył.

Dalej chodziliśmy do pastora. Co środę stawialiśmy się w zapleśniałej piwnicy. W końcu nie spytaliśmy, dlaczego Fred się utopił, czy to Bóg o tym zdecydował. Ale któregoś wieczoru poczuliśmy już smak krwi. John powiedział, że Beatlesi są więksi od Jezusa. Rany, ależ się rozpętała awantura! Gorsza niż z Lutrem. Seb zamierzał tę informację rzucić w twarz pastorowi. Ale Father McKenzie go uprzedził i spytał, czy Seb zna na pamięć spis treści Nowego Testamentu. Seb nie znał. Doszedł do Dziejów Apostolskich i kompletnie się zaciął. Zmarszczki na twarzy pastora napięły się i stwardniały. Dziewczyny w pierwszej ławce zaczęły chichotać. Ukradkiem wyciągnąłem boską księgę i zajrzałem do niej. Teraz miała być korespondencja świętego Pawła: list do Rzymian, listy do Koryntian, do Galatów. Pastor kazał Sebowi siadać. Wskazał na mnie.

– Ty mów dalej.

Wstałem.

– List świętego Pawła do Rzymian. List świętego Pawła do Koryntian.

– Pierwszy!

– Słucham?

– P i e r w s z y list do Koryntian.

Wziąłem głębszy oddech.

– List świętego Pawła do Galatów.

– Drugi list!

– Słucham?

– D r u g i list do Koryntian. Łaska wam i pokój od Boga Ojca naszego i Pana Jezusa Chrystusa.

– Słucham?

– Dalej!

– List świętego Pawła do… do Galatów. List świętego Pawła do Efe… Efezjan.

Dalej nie doszedłem. Byłem już prawie w połowie. W piwnicy panowała cisza. Zerknąłem na Gunnara. Z rezygnacją pokręcił głową. Seb ziewał i olewał wszystko. Ola wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł dostać skurczu ze śmiechu. Łaska mu.

– Ty też się nie przygotowałeś na dzisiaj?

– Przygotowałem. Tylko mam zaćmienie.

Pastor usiłował wydobyć ze mnie wiedzę zaklęciami. Ale jego moc okazała się niewystarczająca. Musiał wezwać na pomoc mysie ogonki z pierwszej ławki. Dziewczyna w plisowanej spódniczce stanęła wyprężona jak struna i wyliczyła Filipian, Kolosan, Tesaloniczan, Tymoteusza, Tytusa i Filemona.

Po skończonej lekcji pastor zatrzymał Seba i mnie. Kazał nam zostać. Powiedział, że nie wyjdziemy, dopóki nie nauczymy się lekcji na pamięć. Przedzieraliśmy się więc przez te dziwaczne nazwy. Początkowo szło dobrze, Mateusz, Marek, Łukasz, Jan. Ale Efezjanie i Tesaloniczanie nas złamali. Po dwudziestu minutach pastor kazał mi podjąć próbę. Po trzech razach udało mi się wyrecytować poprawnie, zamieniłem tylko Kolosan

z Tymoteuszem. Ale Sebowi wszystko się plątało. Włosy na karku nastroszyły mu się jak szczotka. Po Koryntianach język całkowicie odmówił mu posłuszeństwa.

– Ty możesz już iść – powiedział do mnie pastor.

– Zaczekam na Sebastiana.

Pastor spojrzał na niego.

– Czy ty się n i e c h c e s z tego nauczyć? – spytał.

– Nie chcę – wypalił Seb. Wstał i rzucił boską księgę pastorowi. – Nie będę się konfirmował! Pastor myśli, że ktokolwiek w to wierzy? Wszyscy tu przychodzą wyłącznie z powodu prezentów!

Pastor stracił wiarę. Stracił wiarę w swoje uszy. Seb pomaszerował do szatni, pobiegłem za nim. Za nami przyszedł pastor. Machał rękami.

– Już tu nie wrócisz?

– Nie – oświadczył Seb i zatrzasnął za nami ciężkie drzwi.

Na ulicy ogarnęło go wielkie drżenie. Z trudem wygrzebał z kieszeni papierosa, a potem dostał ataku śmiechu. To było największe wydarzenie od czasu Zmartwychwstania.

W porównaniu z nim słowa Lennona to kaszka z mlekiem.

Gunnar i Ola czekali koło kina Gimle.

– Seb wygarnął pastorowi! – zawołałem.

Przybiegli do nas.

Opowiedziałem im wszystko. Słuchali z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami. Opowiedziałem jeszcze raz. Patrzyli na Seba z lękiem i podziwem.

– No ale co bę-bę-będzie z i-i-instrumentami?

Seb pstryknięciem posłał peta do rynsztoka.

– Prezenty i tak dostanę. Mama mi obiecała.

Ale się ustawił! Moi starzy za nic by się na to nie zgodzili. Nie było nawet sensu pytać.

– Masz sobie zażyczyć gitary elektrycznej – przypomniał Gunnar.

– Jasne. Kawai. Z mikrofonem i wibratorem. Jako wzmacniacza można użyć radia. Za trzy stówy.

Ruszyliśmy w stronę parku Urra, nie mogliśmy teraz wracać do domu.

Seb nagle spoważniał.

– Ja naprawdę tak myślę. Uważam, że nie można klęczeć i czekać na błogosławieństwo, jeśli się nie wierzy nawet krztynę. Mam rację?

Gunnar się zatrzymał.

– Klęczeć? Gdzie?

– No przecież przy ołtarzu. Podczas konfirmacji. Wtedy trzeba przyjąć błogosławieństwo i potwierdzić, że się wierzy.

Gunnar pobladł. Zacisnął zęby.

– Naprawdę tak trzeba?

– Przecież na tym polega ta cała konfirmacja! To powtórka chrztu. Tyle że bez lania wody.

– Nie dostanę prezentów, jeśli nie przystąpię do konfirmacji – powiedział Gunnar słabym głosem.

Seb wypukał z paczki cztery craveny, rozdał. Wlekliśmy się przed siebie. Facet na Schodach już zamykał. Ale kawałek dalej był inny sklepik, otwarty do wpół do dziewiątej. Skręciliśmy w Briskebyveien, ta ulica zawsze przypominała miasteczko z westernu, zwłaszcza wieczorem, niskie, trzeszczące drewniane domki, żółte światło za zasłonami. Brakowało jedynie parskania koni i krwawego pojedynku. Nagle w ciemności między dwiema latarniami ktoś się przed nami pojawił.

Gwałtownie się zatrzymał.

Gąsior.

– Cześć, Christian – rzuciliśmy. – Co tu robisz? Przecież jest prawie środek nocy!

Podszedł bliżej. Wyglądał, jakby przepuszczono go przez myjnię samochodową. Włosy lepiły mu się do czaszki. Cały czas oblizywał usta.

– Siedzieliście dłużej u pastora? – spytał.

– No – potwierdziłem.

– I co wam zrobił?

Seb się roześmiał.

– On nie zrobił nic! To my zrobiliśmy. Zwialiśmy stamtąd. Na dobre.

Gąsior oddychał otwartymi ustami.

– O cholera! – powiedział.

Pozezowaliśmy na siebie, Gąsior przeklinał!

– Dobrze mu tak, temu durniowi! – ciągnął Gąsior.

– Chy-chy-chyba nic złego się nie sta-sta-stało, Christian? – spytał Ola.

Gąsior nie słuchał.

– Mogę ukraść jakiś tygodnik w kiosku – oświadczył nagle.

Cisza. Nikt z nas się nie odezwał.

– Mogę ukraść tygodnik w tym kiosku – powtórzył głośno.

– Nie odważysz się – orzekłem.

Gąsior postąpił o krok.

– Nie? – szepnął.

– Nie.

– Myślisz, że będę się bał ukraść pismo? – zawołał.

– No to musisz się pospieszyć. Kiosk zamykają o wpół do dziewiątej – przypomniałem.

Gąsior popatrzył na nas wszystkich po kolei. W końcu obrócił się na pięcie i przeszedł przez ulicę do oświetlonego kiosku na rogu. Usłyszeliśmy dzwonek, kiedy otwierał drzwi.

Widzieliśmy sylwetki za szybą. Była tam tylko starsza pani za ladą, a oprócz niej jeden klient. Gąsior zatrzymał się przy stojaku z czasopismami. Rozpiął suwak zamszowej kurtki. Wstrzymaliśmy oddechy. Żeby tylko nie był na tyle głupi i od razu nie wybiegł. Powinien przynajmniej kupić jakieś cukierki. O rany. Stanął plecami do lady i wsunął pod kurtkę jakieś nieduże czasopismo. No, udało się. Teraz jeszcze tylko się zapiąć.

I wtedy świat się zatrzymał. Obok wystawy przeszedł wielkolud w kaszkiecie. Spojrzał na Gąsiora, który mocował się z suwakiem.

Gunnar jęknął z bólem.

– Cholera, to właściciel! Właściciel tej budy!

Facet szarpnięciem otworzył drzwi, zobaczyliśmy, że Gąsior gwałtownie się odwraca, a potem znika w objęciach olbrzyma, który zaraz uniósł go aż

pod sufit. Zobaczyliśmy, że Gąsior krzyczy. Wrzeszczał jak na niemym filmie, a potem ukazało się to czasopismo. Komiks o Davym Crocketcie za pięćdziesiąt øre!

Wolnym krokiem ruszyliśmy w stronę Holtegata, z całkowitym spokojem, bez paniki, a potem popędziliśmy za róg, wstrzymaliśmy oddech i zaczekaliśmy na Gąsiora.

– Ale wieczór! – zawołał Seb.

– Zamknij się! – zgasił go Gunnar.

Nasłuchiwaliśmy syren. W całym mieście panowała głucha cisza.

– Na co mu komiks o Davym Cro-Cro-Crocketcie? – wymamrotał Ola.

Wreszcie pojawił się Gąsior. Wychodząc, potknął się i wylądował na chodniku na czworakach. W kiosku ktoś przeklinał. Gąsior dźwignął się na nogi i chwiejnie ruszył wzdłuż muru, jak chory pies. Wciągnęliśmy go w bezpieczne miejsce za róg.

– No i jak poszło? – spytaliśmy.

Tylko kręcił głową. O rany, ależ on wyglądał! Policzki mu płonęły, musiał w nie dostać kilka razy. Warga mu pękła, po brodzie spływała strużka krwi. Zamszową kurtkę miał wywiniętą na lewą stronę.

– No i co z tego wyszło, do cholery?

Płakał bez łez. Tylko szlochał na sucho.

– Powiedział, że powiadomi moich rodziców i szkołę – wykrztusił wreszcie.

– Mówiłeś, jak się nazywasz?

Gąsior ukrył twarz w dłoniach.

– Dupek! – warknął Seb. – Cholerny dupek z kiosku!

– Powiedział tak tylko po to, żeby cię postraszyć – łagodziłem.

– Mogą mnie wyrzucić ze szkoły – zaszlochał Gąsior.

– Za jednego Davy'ego Crocketta? Nie ma mowy!

Znów zaczął szlochać. Brzmiało to boleśnie, jakby wycharkiwał z siebie drut kolczasty.

– Na pewno wszystko będzie dobrze – próbowałem go pocieszać, poklepałem w ramię.

Nasze spojrzenia się spotkały. Patrzył na mnie wręcz z nienawiścią. Potem oczy utonęły mu we łzach, które popłynęły po policzkach.

Skądś dobiegał smród. Spojrzeliśmy w dół. Ze spodni Gąsiora całkowicie zniknął kant. Na udzie rozpościerała się wielka mokra plama.

Odszedł. Ruszył ulicą na krzywych nogach. Jego szlochy rozlegały się jak eksplozje. W pewnym momencie zatrzymał się tuż przy latarni, stał i zawodził, a światło padało na niego żółtym, oślepiającym kręgiem.

Dzień później zdybaliśmy Gąsiora w drodze do szkoły. Szedł Frognerveien. Zaczailiśmy się przy piekarni.

Minął nas.

Dogoniliśmy go i okrążyliśmy.

– No i jak poszło? – spytałem.

Patrzył na nas pustym wzrokiem. Wargi miał wąskie, blade. Przełknął ślinę. Szpiczasta grdyka przesunęła się w górę i w dół.

– Nie zadzwonił.

– Niebezpieczeństwo minęło! – Gunnar ujął go za ramię.

– Może zadzwonić do szkoły – wymamrotał Gąsior.

– Na pewno nie, skoro nie zadzwonił do domu. To oczywiste!

– Mówił, że da znać – mamrotał dalej Gąsior. – Tak powiedział. Mówił, że powie.

Tego dnia Gąsior odpowiadał z fizyki. Nie umiał kompletnie nic. Wszyscy nie wierzyli własnym uszom, z wyjątkiem Gunnara i mnie. Gąsior osunął się na ławkę.

– Chory jesteś? – spytał życzliwie nauczyciel.

Gąsior nie odpowiedział.

Potem był przepytywany Ważniak, co jak zwykle zajęło czas do końca lekcji. Obserwowałem Gąsiora, kompletnie odjechał. Cały czas rzucał nerwowe spojrzenia ku drzwiom, jakby się spodziewał, że zaraz wpadną gliny z kajdankami i łańcuchami na nogi.

Na przerwie wzięliśmy go na rozmowę.

– Teraz nie ma się już czym denerwować – powiedziałem. – Skoro do tej pory się nie odezwał, to już nie zadzwoni.

– Powiedział, że może zadzwoni – szepnął Gąsior.

– No właśnie. I co z tego?

– Może zadzwoni jutro.

– Nie będzie mu się chciało cze-cze-czekać tak dłu-dłu-długo!

– Na pewno już o wszystkim zapomniał – orzekł Seb.

Ale nasze tłumaczenia na nic się nie zdawały. Gąsior miał w oczach lęk wbity na stałe. Na następnej lekcji był norweski. Kartofel jak zwykle skorzystał z okazji, żeby opowiadać nam o Petterze Dassie i przeczytać fragmenty *Trąbki Północy*. Nagle w drzwiach pojawił się Szmergiel. Poderwaliśmy się, wyprężyliśmy plecy i wyprostowaliśmy ręce wzdłuż boków. Wszyscy, z wyjątkiem Gąsiora. On nie wstał. Leżał na pulpicie i dyszał jak wieloryb. Dyrektor wszedł do klasy, wskazał na Gąsiora i warknął:

– Co się z tobą dzieje, chłopcze?

Płakał? W każdym razie wydawał z siebie jakieś dziwne dźwięki i cały kark miał mokry.

Kartofel był już przy jego ławce. Podniósł go.

– Christian! Co z tobą?

Po policzkach Gąsiora płynęły łzy.

– Nie chciałem – wykrztusił.

– Co ty mówisz?

– Naprawdę nie chciałem!

Szmergiel przyłożył mu rękę do czoła.

– Przecież ty masz gorączkę, chłopcze! Trzeba cię odesłać do domu.

Kartofel spakował jego tornister i pomógł mu wyjść z klasy. My ciągle staliśmy na baczność. Nikt niczego nie rozumiał, z wyjątkiem Gunnara i mnie. Już mieliśmy sobie poluzować, gdy Szmergiel nagle zawrócił w progu i spod stalowych wąsów huknął:

– Przecież przyszedłem, żeby coś wam przekazać! Jest zakaz opuszczania terenu szkoły podczas wszystkich przerw, z wyjątkiem długiej, zrozumiano? Zakaz!

Drzwi się za nim zatrzasnęły. Słyszeliśmy jeszcze szloch Gąsiora z korytarza. Kartofel cały czas dopytywał się, co się dzieje, czego Gąsior nie chciał, ale on milczał.

Przez cały tydzień nie pojawił się w szkole. W następną środę też. Wieczorem pleśnieliśmy u pastora, bo ja oczywiście dalej tu przychodziłem, ale Seb się wycofał, prezenty przecież i tak miał dostać. Gunnar również bąknął coś o rezygnacji, chociaż przekonaliśmy go, że przecież chodzi o przyszłość The Snafus. Siedzieliśmy więc u pastora, akurat tłumaczył nam cuda, kiedy zjawił się Gąsior. Był prawie nie do rozpoznania, skurczył się o połowę, zmienił w ogryzek, objedzony i wypluty. Usiadł przy samych drzwiach i w ogóle na nas nie patrzył. Cały czas poruszał ustami, ale nie wydobywał z nich żadnego dźwięku.

– Gada do siebie – szepnąłem do Gunnara.

Siedział tak, dopóki lekcja się nie skończyła, mamrocząc bezgłośnie, oblizując wargi i mamrocząc dalej. Był pierwszy przy drzwiach. Chwyciliśmy kurtki i pobiegliśmy za nim. Dogoniliśmy go przy Norum.

– Miałeś jakieś wieści?

Pokręcił głową.

– No to jesteś już po bezpiecznej stronie. – Gunnar się uśmiechnął i zaproponował mu teddy'ego. Gąsior odmówił.

– Miałeś niezłe szczęście! – stwierdziłem.

Spojrzał mi w oczy. Prawie go nie poznałem.

– Może zadzwoni w przyszłym tygodniu – powiedział.

– Posłuchaj! – zirytował się Gunnar. – Skoro do tej pory nie zadzwonił, to nie zadzwoni już nigdy! Dlaczego miałby tyle czekać? Co?

Gąsior zwilżył wargi.

– Żeby... żeby mnie ukarać.

*

Z Gąsiorem było coraz gorzej. Znów zaczął chodzić do szkoły, ale siedział w ławce i mamrotał bezgłośnie. Gęba poruszała mu się jak

maszyna. Zachodziliśmy w głowę, co on właściwie takiego mówi. W pewną listopadową już sobotę siedzieliśmy po szkole u Gunnara i gadaliśmy, Gąsior wydawał się stracony na zawsze.

– Wydaje mi się, że on kompletnie zwariował – stwierdził Seb. – Nie wytrzymał takich nerwów.

Ciarki przebiegły mi po plecach.

Gunnar walnął dłońmi o podłogę.

– Musi wreszcie zrozumieć, że ten bałwan już nie zadzwoni! Przecież minął prawie miesiąc!

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Myślałem o Davym Crocketcie. Sam kiedyś miałem taką czapkę, z długim, puszystym ogonem.

– Nie przystąpię do konfirmacji – oznajmił nagle Gunnar.

– Co? – krzyknęliśmy jeden przez drugiego. – Co ty wygadujesz?

– Nie mogę – powiedział tylko.

– Nie możesz! – krzyknąłem. – Jak to?

– Nie mogę tego zrobić, skoro nie wierzę nawet na krztynę.

– Mimo to do-do-dostaniesz prezenty? – spytał Ola.

Gunnar pokręcił głową.

Chwyciłem go za koszulę.

– Przecież się umówiliśmy! Idziemy do konfirmacji nie dlatego, że wierzymy, tylko dlatego, że dostaniemy instrumenty dla The Snafus!

– To jak zdobędziesz e-e-elektryczną gi-gi-gitarę?

– Będę pracował u ojca.

– To ci zajmie dziesięć lat! – krzyknąłem.

– Nic na to nie poradzę – mruknął Gunnar.

– Aha, na pewno! Dlaczego nie możesz iść do konfirmacji jak wszyscy inni? Myślisz, że ktokolwiek inny w to wierzy?

– Nie mogę. Nie mogę tam klęczeć. Po prostu nie mogę.

– Już się zdecydowałeś?

– Tak. Ojciec napisał list do pastora.

No to ładnie. Przyszłość The Snafus się zachwiała.

– Wobec tego może będziemy musieli poszukać innego gitarzysty – powiedziałem.

Grobowa cisza. Gunnar skubał paznokcie. Ola drapał się w kark. Seb wyglądał przez okno.

– Pewnie będziecie musieli – odparł Gunnar zimnym, obojętnym głosem.

Nagle z salonu dobiegł potworny huk. Trzaskanie drzwiami, dudnienie kroków, przewrócona lampa, zupełnie jak trzęsienie ziemi.

– Masz się ostrzyc! – wrzeszczał sklepikarz.

Odpowiedzi nie było.

– Nie słyszysz, co mówię? Masz się ostrzyc! I to dzisiaj!

Odpowiedzi nie było. Głos ojca Gunnara przeszedł w przenikliwy falset.

– Chcesz zabić swoją matkę?

– Uspokój się! – powiedział Stig. – Jezus też miał długie włosy.

O rany. Postanowiłem to sobie zapamiętać. Odzywka lepsza niż o Rudolfie Nuriejewie.

Ojciec usiłował powiedzieć coś jeszcze, ale wydawał z siebie tylko jakieś dźwięki. Trzasnęły drzwi, że aż cały pokój się zatrząsł. Niedługo potem przyszedł do nas Stig.

– Bez paniki, chłopaki! To tylko wodza trochę wytrąciło z równowagi.

Włosy zakrywały mu prawie całe uszy, a zaczesana na bok grzywka opadała aż na policzek. Był w skórzanej kurtce, zamszowych kowbojkach i rozszerzanych spodniach w paski. Szczerzył się i miał pełną kontrolę.

– Świetnie sobie poradziłeś z pastorem – zwrócił się do Seba, który zaczerwienił się z dumy. – Durni amerykańscy pastorzy błogosławią żołnierzy – ciągnął. – Jezus na pewno by się na to nie zgodził.

Pokiwaliśmy głowami. Jasne, że nie.

Stig patrzył na każdego z nas po kolei.

– Chyba nie macie zamiaru gnić tu cały dzień, co?

Wzruszyliśmy ramionami.

– Przecież sprzed siedziby elektrowni rusza demonstracja przeciwko wojnie w Wietnamie!

Podrałowaliśmy za Stigiem na Solli plass. Gunnar szedł obok mnie, chyba wściekły, w każdym razie nie odzywał się ani słowem. Poczułem ssanie w żołądku, potężne, zmieniło się w pustkę, która sprawiała ból. Chciałem powiedzieć, że wcale nie miałem na myśli żadnego nowego gitarzysty, ale mi się nie udawało, po prostu się nie udawało.

– Cholernie dużo ludzi! – zawołał Stig.

Na Sommerrogata panował tłok, musiało tu być kilkaset osób, może tysiąc. Prawie nie było miejsca dla wszystkich. Niektórzy nieśli wielkie transparenty: „WIETNAM DLA WIETNAMCZYKÓW", „ZATRZYMAĆ TERROR BOMBOWY", „POKÓJ W WIETNAMIE JUŻ TERAZ". W ciemności kołysały się pochodnie, oświetlały twarze.

– Muszę lecieć – powiedział Stig. – Mam nieść transparent.

Już odchodził, kiedy nagle coś sobie przypomniał:

– Słyszeliście, że Beatlesi chyba się rozpadną?

Dech nam zaparło.

– Kumpel w klasie mówił. Czytał w angielskich gazetach.

– Rozpadną! Beatlesi!

– Kłócą się. Muszę lecieć. Trzymajcie się!

Pomachał długimi rękami i zaczął torować sobie drogę wśród ludzi. My staliśmy z brzegu, od strony torów tramwajowych. Nie mogliśmy wydobyć z siebie ani słowa, nawet na siebie nie patrzyliśmy. Okrzyki tłumu wprawiały nas w oszołomienie. Po drugiej stronie ulicy stała piszcząca i śmiejąca się gromada. Rozpoznałem ich. Ulizani z naszej szkoły, zwolennicy Andersa Langego[4]. Beatlesi? Rozpadną się? Ktoś zaczął mówić do mikrofonu. Nie słyszeliśmy słów. Nagle wszyscy ludzie ruszyli w stronę Drammensveien, wołając coś rytmicznie, bardzo rytmicznie. Nie poruszyły się jedynie cztery osoby, my. Patrzyliśmy tylko na pochód, który zaczynał się formować, na flagi powiewające na wietrze, na transparenty i plakaty z wielkimi czarnymi literami, na pochodnie. Usłyszeliśmy brzęk szkła, stłukła się butelka. Przy Budynku Handlu doszło do przepychanek, ktoś krzyczał. Z ziemi unosił się gęsty dym, kręcił w nosie.

Staliśmy na pustym placu, z rozdziawionymi ustami.

Beatlesi.

To już koniec?

Grudzień, bez śniegu, tylko przejrzysty srebrny mróz. Zasysający wir nie ustawał, wir taki jak ten, który pojawiał się, kiedy prom do Danii mijał Nesodden, przyciągał do siebie linię brzegową, a potem wypuszczał ładunek brudu, zgniłych wodorostów, butelek, papieru i kondomów. Tak się czułem. Wir szarpał mną i mnie rozrywał. Ze ścian gapiły się na mnie twarze, przed którymi nie potrafiłem uciec. W końcu nie mogłem tego dłużej znieść, zerwałem wszystkie zdjęcia i schowałem do szuflady. Teraz wykrzywiała się do mnie naga tapeta. Mają się rozpaść? Nagle stanęła w drzwiach mama i zaczęła klaskać jak szalona, aż zawołała ojca. Przyszedł w końcu i oniemiał z radości. Oglądał ściany, jakby był w Galerii Narodowej.

– Pięknie, Kim! – powiedziała mama. – Przecież i tak musiały zniknąć przed konfirmacją.

Powiesiłem je z powrotem jeszcze tej samej nocy. Nie śpiąc, leżałem wśród wszystkich tych obcych spojrzeń. Nieoczekiwanie przypomniała mi się Nina. Przepłynął duński prom i zabrał moje serce w przestrzeń. Jedno przynajmniej było pewne: nigdy więcej nie zamierzałem spojrzeć w jej stronę, nawet gdyby błagała mnie z płaczem na klęczkach, już zdecydowałem. Słuchałem, jak Jensenius wyrusza na swój nocny spacer, kroki szurały tuż nad głową. To nie mogła być prawda. Niemożliwe, że Beatlesi mają się rozpaść. Od tamtego dnia nie rozmawiałem z Gunnarem. Seb prawie się nie pokazywał, Ola też, kuł niemiecki i matmę. A z Gąsiorem było coraz gorzej. Gadał jak najęty. Do siebie. Nie uważał na lekcjach. Dziewczyny prawie się go bały. Tak jak Smoka. I to ssanie. Gdyby Hubert był w domu, mógłbym spytać jego. Bo on chyba powinien coś o tym wiedzieć. Ale Hubert był w Paryżu. W Paryżu u Henny.

Zasypiam.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, co mówi Gąsior, poruszając samymi wargami. Na dużej przerwie Ola przebiegł przez szkolne podwórze.

Staliśmy pod wiatą, trzęśliśmy się z zimna, nie rozmawialiśmy. Gunnar powtarzał fizykę, Seb marzył.

– Chło-chło-chłopaki! – zawołał Ola. – Chło-chło-chłopaki!

Podnieśliśmy głowy. Gunnar zamknął podręcznik.

– Chło-chło-chłopaki! Byłem w kiblu!

– Coś ty? Dobrze ci poszło? – Seb był w świetnym humorze.

Ola odzyskał głos.

– Byłem w ki-ki-kiblu. I z kabiny usłyszałem jakieś dź-dź-dźwięki!

– Ho, ho!

– To był Gąsior! Stał w środku i ga-ga-gadał. A wiecie, co mówił? On się mo-mo-modlił!

– Co?

– Mo-mo-modlił się!

– Do Boga?

– Tak! Całe *Ojcze nasz*! I je-je-jeszcze więcej! Mo-mo-modlił się w kiblu!

Dzwonek na lekcje.

Ssanie.

Gąsior zwariował.

Rodzice nie ustępowali. Chcieli usunąć zdjęcia. Odmawiałem. Chcieli, żebym się ostrzygł. Odmawiałem. Ostrzygłem się raz na zawsze przed tym wyjściem do teatru. Matka zaczęła płakać. Ojciec trzaskał drzwiami, tak jak stary Gunnara. Była wojna. *Revolver*. Niemal odmówiono mi obiadu. Ale ja myślałem tylko o Gąsiorze, o tym, że muszę z nim porozmawiać, i w pewien lodowaty piątek dopędziłem go na Gyldenløves gate, w drodze ze szkoły do domu.

– Cześć, Christian! – zawołałem, zwalniając obok niego.

Lekko skinął mi głową. Tornister wydawał się na nim ogromny jak garb.

– Miałeś cholerne szczęście – powiedziałem szybko.

– Szczęście?

– No. Że ten facet na ciebie nie doniósł.

Gąsior wpatrywał się we mnie żółtym spojrzeniem, którego nie mogłem wytrzymać.

– Co masz na myśli?

– No to, że nie zadzwonił! – zawołałem podniecony, ale zaraz spojrzałem na niego pytająco. – A może zadzwonił?

Gąsior się wzdrygnął.

– Jeszcze nie.

Tego wieczoru nie mogłem usiedzieć w spokoju. Pomyślałem, że pójdę do Gunnara, ale jednak zajrzałem do Seba. Otworzył drzwi z hukiem i na mój widok nie krył rozczarowania.

– A co, czekasz na Świętego Mikołaja?

Wciągnął mnie do swojego pokoju. Z salonu dobiegały ciche, ale wzburzone głosy. Potem trzasnęły drzwi i ktoś wybiegł z domu.

– Wszyscy ostatnio trzaskają drzwiami – zauważyłem.

Seb pokiwał głową z dość nieszczęśliwą miną.

– Ojciec Gunnara – ciągnąłem. – Mój. Wszyscy trzaskają. Ciekawe, jak jest u Oli.

– Tam też trzaskają – powiedział Seb. – Ola przyniósł do domu list ze szkoły. Jeśli się nie poprawi z niemieckiego i z matmy, będzie musiał powtarzać klasę.

– Samo gówno – stwierdziłem. – Jedno wielkie gówno.

Gramofon milczał. W salonie panowała cisza. W każdej chwili mógł spaść śnieg. Do konfirmacji zostały tylko dwa tygodnie.

– Myślisz, że Beatlesi się rozpadną? – spytałem szeptem.

– Nie wiem. Może. Nie wierzę, ale…

Seb wydawał się nieco zbyt zdenerwowany.

– No a co będzie z The Snafus? Jeśli Gunnar nie dostanie gitary?

– I tak najpierw musimy zdecydować, co będziemy grać – powiedział Seb. – Napisać własne piosenki i w ogóle.

Przełknąłem ślinę i spytałem:

– Myślisz, że Gąsior zwariował?

Seb uśmiechnął się przelotnie.

– Na to wygląda.

Wir.

– A myślisz, że pomogłoby, gdyby ten facet z kiosku zadzwonił?

Seb się zastanowił.

– Może. Przecież on cały czas na to czeka. Gdyby zadzwonił teraz, wybuchłaby awantura, ale niedługo byłoby po wszystkim. W każdym razie nie miałby się już czego bać.

Też tak myślałem.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Seb zsunął się na podłogę miękko jak piżama. Otworzyła jego matka. Usłyszeliśmy głosy. Seb podciągnął się na kanapę.

Stanęła w drzwiach.

Guri.

Wstałem, spojrzałem na Seba, uśmiechnąłem się. A więc na to wykorzystywał te środy, kiedy my porastaliśmy mchem u pastora. Odpowiedział mi uśmiechem.

A Guri tylko stała i znów wyglądała na zadowoloną.

– Muszę lecieć – rzuciłem prędko. – Jeszcze nie zacząłem odrabiać matmy.

– Będę pisać list do Niny – odezwała się Guri. – Pozdrowić ją od ciebie?

A ja odpowiedziałem, że tak.

– Tak – powiedziałem. – Jasne. Pozdrów ją.

– Chyba nie jesteś na nią zły?

A ja odpowiedziałem, że nie.

– Nie, skąd. – Roześmiałem się. – Dlaczego miałbym być zły?

Pognałem na Solli plass. Budka telefoniczna była wolna. Wrzuciłem monetę i wykręciłem numer Gąsiora. Na filmach kryminalnych mówili przez chusteczkę. Nie miałem chusteczki, więc kilka razy mocno chrząknąłem, żeby zyskać głębszy głos. Ale tam przecież nikt, z wyjątkiem Gąsiora, nie znał mojego głosu.

Sygnał łączenia przeleciał iskrami przez Frogner. Za chwilę w moim uchu rozległ się damski głos:

– Słucham, tu mieszkanie Ellingsenów.

– Czy zastałem pana Ellingsena? – spytałem. Słuchawka w ręku była jak gąbka. Przez moment panowała cisza.

– Nie, nie ma go w domu. Z kim rozmawiam?

Spiąłem się.

– Jestem właścicielem kiosku w pobliżu szkoły na Uranienborg. Chodzi o państwa syna. Jakiś czas temu przyłapałem go na kradzieży czasopisma.

Po drugiej stronie cały czas milczenie.

– Trochę za ostro się z nim obszedłem – ciągnąłem więc. – Ale pani rozumie, jak to jest. Nie pierwszy raz w moim kiosku doszło do kradzieży.

– Czasopisma?

– Tak… Komiksu o Davym Crocketcie. Ale myślę, że on nie był sam.

– Sam?

– Przed kioskiem czekała na niego cała paczka.

– Rozumiem – powiedziała.

Bardzo w to wątpiłem. Musiałem zmienić ucho. Pierwsze już się roztapiało.

– Pomyślałem, że może to panią zainteresować. Chociaż to już było jakiś czas temu. Ale osobiście uważam tę sprawę za niebyłą.

– Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

Odłożyła słuchawkę. Odwiesiłem swoją. Pewnie poszła teraz do Gąsiora i stłukła go na kwaśne jabłko. Chwiejąc się na nogach, wyszedłem z budki i stanąłem na chodniku. Przez rondo przejechał tramwaj, nagle wydał mi się podobny do statku, sunął obok mnie pełen głosów i muzyki. Poczułem ten zasysający wir w całym ciele, tę ogromną siłę, wciągnął mnie w niebieską ciemność pod rozgwieżdżonym niebem. Pobiłem rekord Aldrina z poprzedniego dnia, kiedy wisiał poza Gemini 12 przez dwie godziny, dziewięć minut i dwadzieścia pięć sekund.

Wróciłem na ziemię.

Przypominaliśmy nietoperze albinosy, gdy staliśmy w dwóch rzędach wzdłuż środkowego przejścia w białych, długich do ziemi albach, z bladymi twarzami i ogromnymi grdykami. Z góry płynęła muzyka organów. Ola przewracał oczami z taką miną, jakby zaraz miał zwymiotować. Gąsior stał na baczność. Mamrotał tylko od czasu do czasu, a jego oczy nie były już tak pełne strachu. Organy wybrzmiały z piskiem. Zastąpiły je dźwięki dochodzące z ławek. Kaszel, chrząkanie, komuś na podłogę upadła pastylka na gardło, jakiś dzieciak się rozpłakał, było gorzej niż w kinie. Mama i ojciec siedzieli przy drzwiach razem z moją chrzestną, starą przyjaciółką mamy z czasów, kiedy miała zostać aktorką. Wyszła za błazna sportowca, który, zdaje się, zdobył mistrzostwo Norwegii w dziesięcioboju w 1947 roku. Ojca chrzestnego nie było. Hubert wyjechał do Paryża.

Pastor odszedł od ołtarza i ruszył między nami w skrzypiących butach. Zatrzymał się na samym końcu, przy imigrancie z dzielnicy Hoff, jego alba furkotała, jakby zaraz miał odlecieć. Zapadła cisza.

– Jak się nazywało miasto, w którym narodził się Jezus? – spytał pastor.

Kompletne zacięcie. Całkowite zaćmienie. Czarna dziura. Cisza w kościele powoli osiągała punkt wrzenia. Pastor powtórzył pytanie. Rudowłosy imigrant zadrżał w swojej albie, jakiś mężczyzna już się podrywał, żeby coś krzyknąć, pewnie ojciec. Pod chłopakiem ugięły się kolana, ognista głowa zapadła się w białą szatę.

Pastor szybko przeszedł dalej, po chwili zaczęły padać poprawne odpowiedzi. Atmosfera się ożywiała, mało brakowało, a rozległyby się oklaski. Gąsior odpowiedział, że Trójca Święta to Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Ola, że to Barabasza uwolniono, gdy miał zostać ukrzyżowany Jezus. A ja, ja odpowiedziałem, że ten, który zdradził swego Pana, nosił imię Judasz.

Później znów grały organy, a potem musieliśmy podejść do ołtarza i uklęknąć w półkolu. Pastor stanął za niską balustradą i kolejno kładł nam rękę na głowach. Zdaje się, że to właśnie była konfirmacja. Nic nie czułem. Po prostu klęczałem, to wcale nie było takie straszne. No i nie płakałem, jak podczas chrztu, o czym opowiadała mama. Myślałem jedynie o tym, że balustrada, o którą się opieramy, ten materiał, którym była obciągnięta, ma nieprzyjemny zapach. Pachniała tak jak czarne skórzane okładki Biblii i stare ubrania w Nesodden.

Było już po wszystkim. Zbiegliśmy do piwnicy, żeby się przebrać, tak samo jak po meczu piłki nożnej. Ola usiadł obok mnie i odetchnął z ulgą.

– Wi-wi-widziałeś, jak mi skakał mięsień w u-u-udzie? – wysapał. – Myślałem, że mi alba spadnie. Agrafka pod pachą się ro-ro-rozpięła.

Śmialiśmy się po cichu. Gąsior stał w kącie i nie chciał zdjąć alby. Najwyraźniej dobrze się w niej czuł.

– Tamten bę-bę-bęcwał mimo wszystko za-za-zadzwonił – powiedział Ola.

Pokiwałem głową.

– Powinna być na-na-nagroda za jego o-o-odstrzał.

Znów przyszła kolej na pastora. Przemawiał łagodnie, mówił, że jest z nas dumny. Ściskał nam po kolei ręce i każdemu dał kieszonkowy Nowy Testament, niedużą czerwoną książeczkę, niewiele większą od kalendarza. W środku napisał dedykację dla każdego z nas, fragment Pisma, który miał nam towarzyszyć w dalszej drodze. „Kim Karlsen. Konfirmowany 1 grudnia 1966 roku. Jak. 2,14. Jaki z tego pożytek, bracia moi, skoro ktoś będzie utrzymywał, że wierzy, a nie będzie spełniał uczynków? Czy wiara zdoła go zbawić?”

W drodze do wyjścia nagle pojawił się obok mnie Gąsior. Ściskał książeczkę w obu rękach.

– Gratuluję – powiedziałem.

Patrzył prosto przed siebie.

– Mama poszła porozmawiać z właścicielem kiosku – oznajmił.

Serce mnie szturchnęło. O mało nie zgiąłem się wpół. Idący tuż za mną Ola wysunął głowę.

– Była a-a-awantura?

– Twierdził, że nie dzwonił. – Gąsior miał w oczach zagubienie.

Ola wcisnął się między nas.

– Że-że-że nie dzwonił! Tak powiedział?

– No tak. Ale przecież mama z nim rozmawiała, więc nie mógł się wyprzeć.

Gąsior wydawał się niemal szczęśliwy, na zmęczoną twarz wycisnął uśmiech.

– Cieszę się ze wszystkiego, co się stało – oświadczył nagle.

Popatrzyliśmy na niego. On popatrzył na nas.

– Tamtego wieczoru dostąpiłem zbawienia.

Poczułem, że spadam, głębiej niż kiedykolwiek. Pomyślałem: zbawiony w strachu. Naprawdę tak pomyślałem. Zbawiony w strachu.

Gąsior otworzył ciężkie, zacinające się drzwi. Z ciemności i zapachu moli wyszliśmy na zimę, która oślepiła nas wszystkich swoim światłem.

Wkrótce stałem w swoim pierwszym garniturze, granatowym, dwurzędowym, z wcięciem w talii, brakowało mi jedynie szabli, a mógłbym zdobyć twierdzę Akershus. Stałem, wszyscy mierzyli mnie wzrokiem od stóp do głów. Ja natomiast mierzyłem wzrokiem od boku do boku stół z prezentami i nie mogłem dostrzec nic, co by przypominało wzmacniacz albo statyw do mikrofonu.

Zacząłem rozpakowywać. Było tam wieczne pióro firmy Ballograf od chrzestnej i jej męża, skórzany portfel z banknotem stukoronowym od babci, kompas od dziadka, nawet Jensenius o mnie pamiętał: „Dla Kima od Jenseniusa, gratulacje w ten wielki dzień". Płyta: Robertino, *O sole mio*. I jeszcze jakaś niepozorna paczuszka od starych. Zerwałem papier i trzymałem w dłoni elektryczną maszynkę do golenia. Ojciec się wyszczerzył i zaczął gładzić po podbródku. Powtórzyłem ten gest i nic nie poczułem, absolutnie nic. W ogóle mnie tam nie było. A na koniec jakiś płaski drobiazg. Książeczka oszczędnościowa z banku, na którą wpłacono pięćset koron. Pięćset koron! Byłem ocalony!

– Te pieniądze zaczekają do twojej pełnoletniości, kiedy pójdziesz na studia – powiedziała mama.

No i tyle. Od tej chwili dzieliła mnie cała epoka lodowcowa.

Zrobiłem dziękczynną rundę. Dziesięcioboista całkowicie mnie zmiażdżył, mówiąc coś o skoku o tyczce, chrzestna wymazała mnie gęstą szminką. A babcia nie mogła powstrzymać łez.

– Naprawdę wyrosłeś na mężczyznę. – Pociągała nosem. – Musisz pamiętać o tym, żeby co rano się golić.

Dziadek był nie do końca obecny. Patrzył w inną stronę, ale prezentował się wspaniale w swoim starym garniturze.

– Dziękuję za kompas! – krzyknąłem mu do ucha. Powolnym ruchem obrócił się do mnie. Ostatnio trochę mu się pogorszyło. Skarżył się na hałas, na wszystkie pociągi pędzące obok jego pokoju dniem i nocą. Pielęgniarki dały mu pudełko zatyczek do uszu, dziadek je zjadł i przez trzy dni z rzędu musiał mieć lewatywę.

– Muszą niedługo przełożyć zwrotnice – powiedział. – Inaczej dojdzie do zderzenia. Tak się stało w Dovre w czterdziestym siódmym.

Mama przyniosła na tacy sherry, też musiałem wziąć kieliszek. Przypomniałem sobie, że kiedyś na filmie kryminalnym widziałem, jak facet wylewa drinka do doniczki, żeby się nie zatruć. Nie mogłem tego zrobić na środku salonu. Wymknąłem się do telefonu, tłumacząc, że muszę zadzwonić do Oli, dowiedzieć się, co dostał. Opróżniłem kieliszek do doniczki z kaktusem w przedpokoju. Kolce aż się skurczyły. Potem połączyłem się z Olą.

– No i jak tam? – spytałem.

– Mę-mę-męczące – szepnął. – Garnitur uwiera.

– A co dostałeś?

– Wieczne pióro. I ma-ma-maszynkę do golenia.

– Ja też.

– Seb też dostał wieczne pióro. I o-o-organki.

Chwilę milczeliśmy.

– Chyba nici z The Snafus – oświadczyłem ciężko.

– Na to wy-wy-wygląda.

Rozłączyliśmy się. Bolesna pustka w żołądku stale rosła. A nie byłem wcale głodny. Przyszłość zapowiadała się ponuro.

Do obiadu dostałem czerwone wino. Wszyscy przez cały czas wznosili za mnie toasty, a chrzestna, która widać uznała, że wypełniła już swoje zadanie, polegające na dopilnowaniu, by mnie wychowano po chrześcijańsku, co chwila dolewała mi do kieliszka, ja zaś nie mogłem oderwać oczu od jej piersi wypychających dekolt i podskakiwałem za każdym razem, gdy otwierała usta. Piłem wino i nagle usłyszałem kliknięcie, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem, coś włączył albo wyłączył. Kliknęło i w tym momencie ogarnął mnie strach, bo przestałem widzieć

wyraźnie. Wszystko się rozmyło, z jednej mamy zrobiły się dwie, siedziały jedna na drugiej, chrzestna nachylała się nad stołem, miała twarz rozszczepioną na dwoje i cztery cycki.

– W i e d z i a ł a m, że wyrośniesz na wspaniałego chłopaka – usłyszałem jej głos. – Wiedziałam o tym już wtedy, kiedy nagi bawiłeś się na Nesodden!

– Powinieneś zostać t e n i s i s t ą – przerwał jej olbrzym. – Pamiętam tamto lato, kiedy graliśmy w badmintona. Kiedy to było? Siedem lat temu, tak, w pięćdziesiątym dziewiątym, byłeś smarkaczem, ale miałeś to u d e r z e n i e, Kim, miałeś szwung. Grasz w tenisa, Kim?

Pokręciłem głową. Nie powinienem był tego robić. Wszystko we mnie się zawaliło. W środku ruszyła pralka. Nie znałem tego programu.

– Gram w piłkę nożną – szepnąłem.

– Piłka nożna! – prychnął. – Z e s p o ł o w y sport! Najlepsi się tam nie przebiją, Kim. Tenis jest lepszy. Bieganie. Boks!

Ktoś usiłował stłuc kieliszek. Ojciec. Wstał z kimś jeszcze. Wytężyłem mięśnie oczu i przestawiłem tego kogoś na miejsce. Ojciec stanął za krzesłem z niedużą karteczką w ręku, wszyscy ucichli, ale mnie serce szarpało się w gardle jak oszalały kurczak w ugotowanym na miękko jajku.

– Kochany Kimie – zaczął ojciec.

Nigdy nie słyszałem takiego uroczystego tonu. Mama troszeczkę popłakała.

– Kochany Kimie – powtórzył.

Wygłaszał mowę przez trzy kwadranse, niemożliwe, żeby miał to wszystko zapisane na takim świstku. A jeśli tak, to musiał pobić rekord świata, do tej pory należący, zdaje się, do kogoś, kto zdołał zapisać całe *Ojcze nasz* dwadzieścia razy na znaczku pocztowym, który wysłał do Chin. Ale ojciec ten rekord pobił z nawiązką. Pomyślałem o wszystkich tych przemowach, które już słyszałem. Bereta, dyrektora, pastora, wiele się po nas spodziewali, byliśmy przedłużeniem ich życia, dlaczego nie mielibyśmy zostać prezydentami Ameryki? Prawda? Tak łatwo byłoby ich rozczarować przy tak wielkich oczekiwaniach i przy wytyczonej trasie tak stromej i takiej prostej, że nawet najmniejsze z niej zboczenie równałoby się katastrofie, sabotażowi, zgrzytaniu zębów i zawałowi serca. Tak sobie

myślałem. Ale nie wtedy, bo wtedy moja głowa zmieniła się w centryfugę, wypełnioną brudnymi ubraniami, oderwanymi guzikami, grzebieniami, gumami do żucia, biletami tramwajowymi i martwymi żabami. To teraz tak myślę, teraz, kiedy już ich rozczarowałem. Mama trzymała serwetkę przy oczach, a gdy ojciec przemawiał już tak długo, że po sosie do dziczyzny dałoby się jeździć na łyżwach, nagle wstał dziadek i potężnym głosem robotnika kolejowego zawołał:

– Pociąg jedzie! Pociąg jedzie!

Ojciec z zapaśnikiem w stylu wolnym musieli zanieść go do sypialni, gdzie zasnął w łóżku mamy. Jedzenie dokończyliśmy w ciszy. A później nie dałem rady się podnieść. Próbowałem, ale przywarłem. Spoglądali na mnie z trochę dziwnymi minami. Mama przyszła mnie uściskać. Babcia objęła mnie chudymi, kanciastymi ramionami. Wszyscy mówili jedno przez drugie.

Siedziałem jak przymurowany.

– Chłopak jeszcze się nie najadł! – Bokser się zaśmiał.

– No chodź – prosiła mama.

Próbowałem i próbowałem, ale nie mogłem ruszyć się z miejsca.

– Bardzo dziękuję za prezenty. – Zacząłem zeskrobywać do czysta lód z talerzyka.

Na twarzach pojawiło się zaniepokojenie. Ojciec ujął mnie za ramię.

– Przejdziemy teraz do salonu na kawę i ciasto – kusił.

Wziąłem głęboki oddech i wreszcie się oderwałem. Jakoś to poszło. Podniosłem się, poleciałem do tyłu na ścianę, przewróciłem krzesło i kołysząc się, stanąłem.

– Trochę mi się zakręciło w głowie.

W czasie gdy piliśmy kawę, zadzwonił telefon. To stryj Hubert chciał mi pogratulować z Paryża.

– Cześć! – zawołałem z radością.

– Nie sądziłeś chyba, że o tobie zapomniałem?

– Jasne, że nie.

– Przywiozę ci coś ładnego, kiedy przyjadę do domu na święta! – zawołał Hubert. Jego głos brzmiał wesoło. Na nitce nie było żadnych supłów.

– A jak tam jest w Paryżu? – spytałem.

– Szkoda, że cię tu nie ma! Tego się nie da opisać!

W tle rozległy się jakieś trzaski, głos Huberta zniknął i pojawił się inny głos, Henny. To był głos Henny.

– Cześć, Kim.

– Cześć – szepnąłem.

– Gratuluję! Twoje zdrowie!

Usłyszałem brzęk kieliszków w Paryżu.

– Dziękuję – mruknąłem.

– Pewnie się zobaczymy, kiedy wrócę – powiedziała.

– Tak. – Przełknąłem ślinę.

Do telefonu znów podszedł Hubert.

– Musimy już kończyć, bo inaczej zbankrutujemy. Trzymaj się, Kim!

– Ty też, Hubert!

Podyszeliśmy sobie trochę przez Europę i się rozłączyliśmy.

Centryfuga znów zaczęła się obracać.

W salonie siedział ojciec z marsową miną. Udało mi się trafić na krzesło.

Wszyscy na mnie patrzyli.

– Pozdrowienia od Huberta – powiedziałem najwyraźniej, jak potrafiłem.

– Co właściwie twój brat robi w Paryżu? – spytała chrzestna, patrząc na ojca.

– Pracuje przy pewnym projekcie reklamowym dla swojej firmy – wyjaśnił ojciec bez mrugnięcia okiem.

Spojrzałem na mamę. Nalewała kawę.

– No i maluje. Ma tam przyjaciółkę, która też maluje – dodałem niestosownie głośno, jakbym rozmawiał z Francją.

Ojciec zbombardował mnie wzrokiem. Potem zaczął jak najęty gadać o czymś innym, nie pamiętam o czym, bo właściwie pamiętam już tylko to, że na stole pojawiły się butelki, że po dziadka przyjechał bus z domu opieki, że gimnastyk chciał mnie zmusić do stania na rękach i że przy wtórze okrzyków radości to zrobiłem, chociaż oczywiście nie powinienem,

bo to była kropla, która przepełniła dzban. W uszach szumiał mi głos Henny, myślałem o The Snafus, z którego pewnie nic nie będzie, o Beatlesach, którzy być może się rozpadną, o Gunnarze, z którym prawie nie rozmawiałem w ciągu ostatnich dni. O Fredzie, którego nie było, o Gąsiorze, który dostąpił zbawienia. I o Ninie, która miała przyjechać latem. Przestałem nad tym panować, podreptałem do kuchni, wziąłem butelkę i piłem. Namaczanie i płukanie. Pobiegłem do kibla, zajęte, odnalazłem drogę do salonu, siadłem przy babci, opowiedziała mi o dziadku, który umarł, kiedy miałem cztery lata, pracował w kasie oszczędnościowej, chodził po ludziach i raz w miesiącu opróżniał ich zegary-skarbonki, brzmiało to niewiarygodnie, opróżnianie zegarów z pieniędzy. A tenisista koniecznie chciał się ze mną siłować na rękę.

W końcu wszyscy sobie poszli. Rodzice w fotelach odetchnęli z ulgą. Centryfuga z mojej głowy przeniosła się do brzucha. Zbliżał się czas spustu wody.

– To był miły wieczór, prawda? – spytała mama, odchylając się w fotelu.

Ostrożnie skinąłem głową.

Popili z kieliszków.

– Jakie to uczucie być dorosłym? – Ojciec się uśmiechnął.

Poderwałem się, pobiegłem do łazienki, zdołałem zamknąć drzwi i zwymiotowałem do sedesu. Rodzice przybiegli za mną. A mnie wypływało z głowy, płynęło i płynęło, piekło na całym ciele. Wypływały ze mnie wszystkie brudy, które zebrały się w ciągu jesieni, zgniłej jesieni 1966 roku. Rodzice walili w drzwi, a ja klęczałem, zmęczony jak śmierć z kosą, ale z jakiegoś powodu prawie wesoły; zadowolony, lżejszy, pusty.

STRAWBERRY FIELDS FOREVER
WIOSNA ’67

Ojciec wrzeszczał. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby wrzeszczał aż tak. Wymachiwał rękawiczkami i tupał śniegowcami. Ja też wrzeszczałem, waliłem pięściami w bandę i wrzeszczałem. Meier, Łabędź, ostatni raz zjechał na wewnętrzny tor, łyżwy błyskały na lodzie jak noże, ale i tak było za późno. Verkerk pędził już na ostatniej prostej, Łabędź nie miał szans, ale mimo to wrzeszczeliśmy, waliliśmy i tupaliśmy, żeby się rozgrzać. Głowy spowijały nam kłęby pary.

– Siedem koma trzydzieści koma cztery! – zawołał spiker.

Verkerk i Łabędź zjechali na wewnętrzny tor, rękami opierając się o uda, nie mieli siły wyprostować pleców. W świetle reflektorów lód pod nimi lśnił, na wszystkie strony rzucali zgięte wpół cienie.

Ojciec znów uniósł rękawice i zaczął wrzeszczeć jak opętany. Sprzedawca kiełbasek rozkolebanym krokiem podszedł do nas z parującą skrzynką na brzuchu.

Później szliśmy białymi ulicami przez park Urra i przez Bondebakken. Ojciec niósł plecak wypchany gazetami, na których wcześniej staliśmy.

– Verkerk wygra – oświadczył.

– Na to wygląda – przyznałem. – Byle tylko nie wygrał na tysiąc pięćset, bo wtedy będzie miał trzy dystanse.

– Myślisz, że na dziesięć tysięcy też zwycięży?

– To zależy od Łabędzia i Betona.

– I od Schenka – dodał.

Ojciec zaczął mówić takie rzeczy. Od świąt, odkąd został szefem oddziału banku, jakby zupełnie się zmienił. Nie bardzo to rozumiałem. Myślałem, że raczej zacznie zadzierać nosa, ale nie, prawie nie krzyczał, nie trzaskał drzwiami, uśmiechał się. Dziwne.

– Wiesz, ile pieniędzy mieliśmy wczoraj w skarbcu, Kim?

– Nie. Ile?

– Trzysta pięćdziesiąt tysięcy!

– Pomyśl, a jak byłby napad?

Ojciec się roześmiał i poklepał mnie po plecach.

– Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach!

W domu czekała mama z kakao i bułeczkami. Ale my byliśmy najedzeni, na pewno zjedliśmy we dwóch co najmniej dwadzieścia kiełbasek. A w „Wiadomościach" pokazywali relację z mistrzostw świata i kiedy Verkerk w biegu na pięć tysięcy metrów, z jedną ręką na plecach i usztywnionym karkiem, ostatni raz zmienił tor na zewnętrzny, to w tle widać było, jak ojciec i ja stoimy, wrzeszczymy i walimy w bandę. Ledwie to mignęło, ale pokazali nas w telewizji. Ciekawe, ile osób to zauważyło. Na pewno niemało.

Zadzwonił telefon. Odebrała mama. Wróciła roześmiana.

– Ringo Starr do Paula McCartneya – powiedziała.

Zrobiło mi się trochę głupio, ale poczłapałem do telefonu.

Ola o mało nie pękł z podniecenia.

– Zbiórka u Se-Se-Seba! – wydusił z siebie.

– A co się dzieje?

– Jego o-o-ojciec przysłał nową płytę Beatlesów z A-A-Anglii!

– Już lecę! – wrzasnąłem. Wskoczyłem w ciuchy i wypadłem na dwór, szybciej niż Suzuki na ostatniej prostej. Nie zdążyłem nawet zostawić śladów na śniegu.

U Seba atmosfera była bliska punktu wrzenia, gorzej niż na Stadionie Bislett. Jeszcze nawet nie otworzył paczki. Leżała na stole, płaska, kwadratowa, magiczna. Czekaliśmy już tylko na Gunnara, nie mógł się pospieszyć?

– Stary był w Liverpoolu – oznajmił z dumą Seb.

Wreszcie zjawił się Gunnar. Z hukiem i hałasem, co najmniej równie podniecony jak my. Wpadł do pokoju, czerwony na twarzy i biały na włosach.

– Chłopaki – wysapał. – Wiecie co?

Padł na kanapę.

Powiedzieliśmy, że tak, że wiemy co.

Pokazaliśmy na stół, na którym leżała płyta.

Gunnar odzyskał głos i wstał. Na plecach miał wąską smużkę śniegu. On też musiał pędzić.

– Brachol powiedział, że ten jego kumpel, który czyta angielskie gazety, mówi, że Beatlesi się jednak nie rozpadną.

– Naprawdę? – krzyknęliśmy chórem.

Gunnar nabrał powietrza, przewrócił oczami.

– Podpisali kontrakt płytowy na d z i e w i ę ć lat!

Zaczęliśmy tańczyć i krzyczeć z radości, aż matka Seba zapukała w ścianę. Wtedy spojrzeliśmy na siebie z powagą, stanęliśmy w ciasnym kręgu na środku pokoju i popatrzyliśmy sobie w oczy.

– To ja-ja-jasne, że Beatlesi się nie ro-ro-rozpadną – powiedział Ola.

– Jasne – potwierdziliśmy.

– Beatlesi nigdy się nie rozpadną – oświadczyłem.

– Nigdy.

– Na dziewięć lat i na zawsze – powiedział Seb.

– Na zawsze.

– Nie mają sobie równych – dodał Gunnar.

– Nie mają!

Po kolei kładliśmy dłonie jedne na drugich i tak staliśmy długo, w ciasnym kręgu, nad stosem splecionych rąk.

Przyjemnie było to poczuć.

Potem Seb ustawił garrarda na podłodze, zamknął drzwi na klucz i spuścił rolety. Ostrożnie wzięliśmy płytę i z sercami w gardle, oczami na szypułkach i uszami w pełnej gotowości rozwinęliśmy papier.

– *Penny Lane* – szepnąłem. – *Penny Lane*.

– *Strawberry Fields Forever* – szepnął Gunnar.

Mniej więcej przez godzinę studiowaliśmy okładkę.

W końcu Seb odezwał się pierwszy:

– Mają wąsy.

Mieli wąsy. Pociągnęliśmy się za górne wargi. Nie bardzo było za co ciągnąć. Nic tam nie rosło.

Chwilę pocieraliśmy się pod nosami.

W końcu Seb położył płytę na talerz gramofonu i wcisnął ON. Ramię przesunęło się nad rowkami, a kiedy opadło, wstrzymaliśmy oddech. Cały świat się zatrzymał. Dźwięki z ulicy w ogóle nas nie dotyczyły. Dochodziły z innej planety.

Uszy mieliśmy wielkie jak parasole.

Później leżeliśmy wyciągnięci na podłodze, uszy złożyliśmy, a puls powoli spadał. Takie mieliśmy uczucie. Tak było. Jakbyśmy usłyszeli Boga mówiącego pierwszego dnia: Niechaj się stanie światłość. I stała się światłość.

– Identycznie jak z *Eleanor Rigby* i *Yellow Sub-sub-submarine*. Dwie strony me-me-medalu.

Ola umiał trafić w dziesiątkę.

Przez chwilę się nad tym zastanawialiśmy.

– Staruszek w liście napisał, że *Penny Lane* to ulica w Liverpoolu – powiedział Seb.

– Czyli dokładnie tak jak Karl Johan – podsunął Gunnar.

– Ale te trąbki na pewno brzmią lepiej od tego fałszywego dęcia na Siedemnastego Maja.

– Mo-mo-możemy po-po-popracować w wakacje – zaproponował nagle Ola. – I kupić instrumenty za pie-pie-pieniądze, które zarobimy.

Jasne, że mogliśmy tak zrobić! Zaczęliśmy mówić jeden przez drugiego, liczyć, ile mamy i ile nam potrzeba. O rany. Tyle planów. Aż nam się gorąco zrobiło od tego gadania. The Snafus! Nie było żadnych granic. Już wyruszyliśmy w drogę.

– Możemy wziąć Gąsiora z organami – podsunąłem.

Gunnar, Seb i Ola zmierzyli mnie wzrokiem.

– Przydałyby się organy! Animalsi mają organy!

– Przecież Gąsior gra wyłącznie psalmy – przypomniał Seb.

Rozmawiali dalej o gitarach, perkusjach, mikrofonach i wzmacniaczach, ale mnie nie wychodził z głowy Gąsior. To jego spojrzenie, dawniej żółte ze

strachu, teraz zmatowiało i zamknęło się, jakby odwrócił oczy i gapił się w głąb czaszki. Na zakończeniu szkoły przed Bożym Narodzeniem grał na organach, szumiały i piszczały, a on siedział jak posąg w samym środku tych drżących dźwięków, zamknięty, uwięziony we własnych akordach.

– Możemy ćwiczyć w naszej piwnicy – oznajmił Gunnar.

– A jesienią może zagramy na zabawie w szkole!

Kolejny raz puściliśmy płytę. *Strawberry Fields Forever*. Gunnar kręcił się przy głośniku jak osa.

– Co tam się dzieje na samym końcu?

– Może grają od tyłu – podsunąłem. – Tak jak na *Rain*.

– Cholernie mocny tekst. – Seb jeszcze szerzej otworzył uszy i słuchał z zamkniętymi oczami.

– Co to znaczy *Straw-straw-strawberry*? – spytał szeptem Ola.

– Truskawka – odparłem. – Truskawkowe pola na zawsze!

Let me take you down,'cause I'm going to.

– Cholernie mocny tekst – powtórzył, sapiąc, Seb.

Living is easy with eyes closed.

– Mo-Mo-Monkees mogą iść spa-spa-spać – powiedział Ola. – Bo tylko się zbła-zbłaźnią!

– I Herman's Hermits tak samo!

Znów studiowaliśmy zdjęcia. Wąsy. George miał też brodę. Seb podrapał się w podbródek.

– Mój stary mówi, że jeśli człowiek będzie się golił codziennie, to będzie miał większy zarost.

– Nawet jak w ogóle nie ma brody?

– No.

Chwilę się nad tym zadumaliśmy. Potem musieliśmy już iść. Ola zniknął za rogiem. Gunnar i ja weszliśmy razem w Bygdøy allé.

– Verkerk pobije Łabędzia i Betona – powiedziałem.

– Widziałem was na stadionie w „Wiadomościach". Nie wiedziałem, że twój ojciec ma takiego świra na punkcie łyżew.

– Ja też nie wiedziałem.

Lekko zaczął prószyć śnieg. Nie zapowiadało się dobrze dla lodu.

– Wiesz, ten kioskarz, który przyłapał Gąsiora… – zaczął Gunnar.

Owszem, wiedziałem.

Gunnar się roześmiał.

– Zamknął budę!

– Dlaczego?

– Stary mi mówił. Zwariował po tym, jak matka Gąsiora do niego przyszła i powiedziała, że do niej dzwonił. Kompletnie mu odbiło.

Rozstaliśmy się przy aptece. Patrzyłem, jak Gunnar sunie w stronę kina Gimle, z rękami w kieszeniach, z uniesionymi ramionami, niewysoki, krępy. Odwrócił się i pomachał, zawołał coś, czego nie usłyszałem. Ja też coś zawołałem, a on pewnie też nie usłyszał.

Najpierw Gąsior. Teraz kioskarz.

Wróciłem do Seba. W salonie siedziała jego matka razem z jakimś facetem. Na stole stały butelki, w powietrzu snuł się niebieski dym. Seb wciągnął mnie do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi.

– Ten pajac przychodzi co sobota – warknął. – Zalewa się, wrzeszczy i rzyga. Tłusta świnia! – Zacisnął dłonie w pięści i opadł na kanapę. Potem nagle uświadomił sobie, że wróciłem. – Zapomniałeś czegoś?

Ja też usiadłem na kanapie.

– Ten kioskarz, który złapał Gąsiora… To nie on dzwonił do jego matki. To ja.

– Tyle zrozumiałem. – Seb lekko się zaśmiał.

– A teraz i on zwariował. Zamknął cały kram.

– Przejdzie mu – orzekł Seb. – Trochę się pogubił, nic dziwnego. Ale zapomni o wszystkim.

– Tak myślisz?

– Pewnie.

– No a Gąsior?

– Gąsior zawsze był taki.

– To znaczy jaki?

– To, co się stało tamtego wieczoru, to była tylko kropka nad i. Gąsior świetnie się teraz miewa. Wręcz znakomicie.

Serce biło mi wolniej, żołądek również się uspokoił. Popatrzyłem na Seba z wdzięcznością. Śmiał się, nie otwierając ust.

– Ty chyba nie zamierzasz też zwariować? – Zachichotał.

Z salonu doszedł smętny śmiech, coś upadło na podłogę. Seb drgnął, podszedł do okna.

– A co tam z Guri? – spytałem.

Stał do mnie tyłem.

– W porządku – odparł. – Co prawda nie widziałem się z nią już od dość dawna.

Nie drążyłem. Chciałem się dowiedzieć, czy nie mówiła czegoś o Ninie, ale dałem spokój.

Seb odwrócił się do mnie.

– Nie mam odwagi jej dotknąć – powiedział nagle. – Po tym, co się z nią działo, po tej skrobance i w ogóle. Nie mam odwagi. Boję się… boję się, że ją skrzywdzę.

Zastanowiłem się. Szukałem w myślach odpowiednich słów. Przyszła moja kolej na powiedzenie czegoś mądrego.

– Nic dziwnego. Po tym co przeszła.

Seb tylko na mnie patrzył.

– Ale wiesz, może ona też się boi. Więc mógłbyś jej o tym powiedzieć, o tym swoim strachu.

Seb się uśmiechnął, wyciągnął szufladę i wyjął z niej organki. Ukrył je w dłoniach, zwilżył wargi i zamknął oczy. Potem zaczął w nie dmuchać, dmuchać i zasysać powietrze. Brzmiało to jak wycie psa w nocy do księżyca albo czyjś głośny szloch.

Przerwał.

– To jedyne, co na razie umiem.

– Świetne – powiedziałem. – Cholernie fajne.

Wróciłem do domu i się ogoliłem.

Stryj Hubert po powrocie z Paryża wyglądał wspaniale – w czarnym berecie, kraciastym fularze i długim płaszczu szorującym po ziemi. Kiedy się pojawił, ojciec o mało nie zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Hubert przyniósł mi w prezencie radio, kuriera, na baterie. Kiedy wieczorem kręciłem gałką, łapałem całą Europę, pokój wypełniały przeróżne głosy i języki. Czasami łapałem również Kopenhagę. Wtedy wyłączałem radio. Potem znów je włączałem.

Pewnego wieczoru byłem u Huberta na Marienlyst z ładunkiem świątecznych ciasteczek, bo mama zawsze piekła taki zapas tradycyjnych ośmiu rodzajów, że wystarczało ich aż do końca lutego. W mieszkaniu Huberta panował taki sam bałagan jak dawniej. Kiedy przyszedłem, Hubert siedział wśród stosu kartek. Dosyć szybko zjedliśmy prawie wszystkie ciasteczka.

– Przecież gwiazdkowych ciasteczek nie można trzymać aż do marca. – Hubert śmiał się wśród okruchów.

Przyniósł mi colę, dla siebie piwo.

– Twój ojciec jest zadowolony z tej nowej pracy? – spytał i się napił.

– I to jak! W zeszłym tygodniu miał w skarbcu trzysta pięćdziesiąt tysięcy koron!

Hubert pstryknął palcami.

– Oj, przydałoby nam się tyle, co, Kim?

W pełni się z nim zgadzałem.

Hubert poszedł po kolejne piwo.

– Trzysta pięćdziesiąt tysięcy! – powtórzył, wróciwszy z pełną szklanką.

– To dużo pieniędzy – stwierdziłem.

Odchylił się i wypił do dna.

– Chyba aż za dużo – powiedział. Beknął i uśmiechnął się ze smutkiem. – Tak, tak – wymamrotał. – Znów przyszedł czas na to, żeby pracować. Zarabiać.

– Nie zarabiasz na obrazach?

Zaśmiał się głucho.

– Niestety nie. Panowie na zamkach. Ordynatorzy. Kierowcy samochodów wyścigowych. To jest teraz w cenie. Piękne kobiety

wyrzucone na brzeg bezludnej wyspy. Można się porzygać.

Pokazał mi paskudny rysunek przedstawiający mężczyznę w białym kitlu, ze stetoskopem na szyi. Za nim stały dwie kobiety, brunetka i blondynka.

Hubert nie miewał się teraz najlepiej. Palce przesuwały się po podłokietniku, oczy zaklęsły się w dzikim spojrzeniu, kolana podskakiwały w górę i w dół.

– Wszystko to wymysły i kłamstwa, Kim! – prawie krzyknął. – A moje rysunki też kłamią. Ludzie nie są tacy. Życie takie nie jest, Kim!

Pojawiły się supły. Hubert zapętlił się w olbrzymim węźle. Widziałem to. On widział, że widzę. Zacząłem go lepiej rozumieć.

– Kiedy wraca Henny? – spytałem szybko.

Roztopił się jak masło i zapadł głęboko w fotel.

– Latem.

– Nina też.

Do domu wracałem przez park Frogner. Na śniegu było pełno śladów nart, ale nikogo nie słyszałem. Obszedłem Psie Pole, ale tam też nikogo nie było, nawet psa z kulawą nogą. Monolit stał, jak stał, a posągi w ciemności szykowały się do skoku. Myślałem o Ninie i Henny, i o tym, że któregoś dnia śnieg zniknie, nadejdą jasne, ciepłe wieczory i będą prawie nie do wytrzymania. Nagle pięć posągów obudziło się i ruszyło ku mnie ze wszystkich stron. Kroki były bezgłośne, ale słyszałem oddechy i widziałem ruchy. Zatrzymałem się, poczułem w ustach kwaśny, palący smak. Zapaliła się kieszonkowa latarka i zaświeciła mi prosto w twarz. Nic nie widziałem. Oni widzieli mnie.

– Przyszedłeś podrywać pedałów? – spytał jakiś głos.

Paliło już i w ustach, i w nosie. Banda z Frogner.

Podeszli bliżej. Oślepili mnie latarką. Zaciśnięta pięść lekko stuknęła mnie w głowę. Już z góry poczułem ból.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś pieprzonym komuchem? – spytał jakiś głos.

Próbowałem zasłonić oczy. Wykręcili mi ręce.

– Odpowiadaj, do cholery! Jesteś zasranym komunistycznym szczurem, który chodzi w pochodzie dla żółtków?

Przysunęli latarkę jeszcze bliżej.

– Nie mówiłem? On ma skośne oczy.

Z całej siły rzuciłem się do przodu, znalazłem lukę między nimi i pognałem dalej. Wściekli, ruszyli za mną, snop światła tańczył w ciemności. Potknąłem się, przewróciłem, moja dłoń natrafiła na coś, na kamień, kamień w środku zimy! Chwyciłem go, podniosłem się powoli i gwałtownie odwróciłem, z ręką przygotowaną do rzutu. Oni też się zatrzymali. Poświecili na rękę trzymającą kamień, znów się zbliżyli. Rzuciłem. Rzuciłem z całej siły i usłyszałem krzyk. Zobaczyłem, że jeden cień łapie się za głowę i osuwa na ziemię. Wtedy mnie zaatakowali. Dwóch mnie trzymało, jeden świecił, a jeszcze jeden bił. Piąty leżał na ziemi i jęczał. Zwymiotowałem. Ten, który mnie lał, jeszcze bardziej się wściekł i wbił mi kolano w jądra. Wtedy mnie puścili. Upadłem w śnieg, przycisnąłem ręce do krocza i się rozpłakałem.

Ten leżący się ocknął i podszedł do mnie. Ciągle mnie oślepiali. Oczy piekły. Podciągnęli mnie do góry, przytrzymali od tyłu, a ten, w którego rzuciłem kamieniem, stał przede mną i ciężko dyszał. Potem złapał mnie za prawą rękę, nie miałem siły się opierać. Podałem łapę jak tchórzliwy pies. Powoli odginał mi palec wskazujący, a kiedy już dalej się nie dało, użył całej swojej siły. Usłyszałem obrzydliwy trzask i na głowę nasunęła mi się nagle czarna płyta.

Kiedy się ocknąłem, leżałem na śniegu i plułem krwią. Nie pamiętam, jak dotarłem do domu. Wiem tylko, że zgubiłem klucze i że mama, kiedy otworzyła drzwi, zaczęła krzyczeć. Dużo czasu zajęło mi wyjaśnienie, że się potknąłem, że poleciałem prosto na twarz i podrapałem się o zwał lodu przykryty śniegiem, a nosem uderzyłem o ziemię. Obmyła mnie jodyną, okleiła plastrem i obandażowała. Tak naprawdę bolał mnie jedynie palec. Ale o nim nie powiedziałem. Przez całą noc leżałem, czując, jak wypełnia go ból. Nie mogłem się od niego oderwać i właściwie sprawiało mi to nawet przyjemność, bo do tej pory dręczyło mnie tyle innych gównianych myśli, a teraz stałem się jedynie wielkim palcem, jednym ogromnym palcem, który tak cholernie bolał.

Mama zauważyła go któregoś dnia przy śniadaniu. Nie dało się go dłużej ukrywać. Rany na głowie zaczęły się goić, ale palec ciągle był. Próbowałem go wsunąć w uszko filiżanki z herbatą. Nie dało się.

– Co zrobiłeś z palcem? – zawołała mama, nachylając się nad stołem.

– Zwichnąłem tamtego wieczoru, kiedy się przewróciłem.

Ojciec spojrzał znad gazety.

– Powinieneś z tym iść na pogotowie – stwierdził.

– Na pogotowie! Przecież to wcale nie boli!

Ale przez pierwszy tydzień palec aż się żarzył z bólu, wieczorami mógł służyć za lampkę do czytania. Co noc leżałem i wczuwałem się w ten ból, tylko się wczuwałem, w ten sposób nauczyłem się czegoś o bólu. Potem powoli zaczął ustępować, po troszeczku, przypominało to trochę zasypianie albo budzenie. W końcu palec już tylko sterczał jak znak zapytania, jakby chciał uciec z mojej ręki.

Chłopakom też nie powiedziałem o tym, co się wydarzyło w parku Frogner. Nie bardzo wiem dlaczego. Może to miało jakiś związek z tym kamieniem, z tym, że nim rzuciłem. A może podobało mi się, że mam tajemnicę. W każdym razie nic nie powiedziałem. Ale od palca nie mogłem się wykręcić. Chociaż trzymałem rękę w kieszeni, ktoś go w końcu zauważył.

– Co zrobiłeś z palcem? – spytał Gunnar, gdy któregoś dnia na dużej przerwie staliśmy przed piekarnią.

– Dłubałem w nosie.

– Nie wygłupiaj się! Wygląda jak zepsuty spinacz!

– Siłowałem się na palce ze stryjem.

Na szczęście rozległ się dzwonek na lekcję, więc pobiegliśmy w górę Skovveien. Teraz przyszła kolej na Kartofla. Nie przyjął mojej pracy domowej. Temat wypracowania brzmiał: „Co oznacza być odważnym", a ja byłem dość zadowolony z tego, co napisałem, bo wyszło mi pięć stron o tym, że nie można być odważnym, jeśli człowiek wcześniej się nie boi.

– Gryzmoły! – wrzasnął Kartofel i walnął zeszytem o ławkę. – Wydaje ci się, że jestem z wykształcenia paleografem? Zwoje znad Morza Martwego

łatwiej odcyfrować niż tę bazgraninę.

– Kto to jest paleograf? – spytałem.

– Nadużywasz mojej cierpliwości, Kim! – krzyknął. – Rozciągasz moją cierpliwość poza rozsądne granice!

Pokazałem mu palec. Zagapił się na niego, zaskoczony, podniósł go do światła. W mój palec wpatrywała się cała klasa.

Kartofel znów był słodki jak miód.

– Dlaczego nie powiedziałeś od razu, Kim?

Zabrałem mu palec i schowałem do kieszeni. Później pokazałem go Szynce i dostałem zwolnienie z gimnastyki. Zdecydowałem, że palec będzie mnie bolał, dopóki nie zaczniemy ćwiczyć na dworze.

To był fajny palec.

Ale któregoś dnia Ola pojawił się w szkole w czymś, co przebiło nawet mój palec. Przyszedł w czapce nasuniętej na uszy, oczy ledwie było spod niej widać.

Próbował przemknąć niezauważony.

– Cześć, Ola! – zawołaliśmy. – Chodzisz w czapce?

Zatrzymał się tyłem do nas.

– A jak wam się wydaje?

Obstąpiliśmy go. To była fajna czapka, z wielkim pomponem i czerwonym szlaczkiem z narciarzy biegnących wokół głowy.

– Sam ją zrobiłeś na drutach? – Seb usiłował mu ją ściągnąć.

Ola odskoczył z wrzaskiem.

– Zimno ci w głowę? – dopytywał się Gunnar.

Ola próbował uciec. Pobiegliśmy za nim i zaciągnęliśmy go pod wiatę.

– Trochę nie za ciepło na chodzenie w czapce? – spytałem.

– Śnieg jeszcze le-le-leży. – Ola zatoczył ręką wokoło.

– Topi się – poprawiliśmy go. – Nikt już nie chodzi w czapce!

– Ja chodzę! – wrzasnął.

– Już nie.

Niełatwo było zerwać mu tę czapkę z głowy, trzymał ją obiema rękami i naciągał na twarz, my szarpaliśmy za pompon. Wił się i krzyczał, ale w końcu musiał się poddać.

Trzymaliśmy jego czapkę w ręku.

Wpatrywaliśmy się w Olę, a lęk napływał w nas, ostro pompowany wielkimi porcjami.

Podeszliśmy bliżej.

– Co ty zrobiłeś? – spytaliśmy.

– Ja! – krzyknął Ola. – Ja nic, do jasnej cholery, nie zrobiłem! To ojciec!

Oddaliśmy mu czapkę.

– Jak to?

– Dziś w nocy – mruknął Ola. – O-o-obudziłem się rano i było już po wszystkim. Ostrzygł mnie, kiedy spa-spa-spałem.

W poprzek i wzdłuż. To było gorsze niż obcięcie na pazia skrzyżowane z jeżem. Ola był wygolony przy uszach i na karku, a grzywka zniknęła zupełnie. Zacisnęliśmy pięści. Długo staliśmy w milczeniu. To była najgorsza rzecz, jaka wydarzyła się na froncie domowym od czasu zjedzenia przez Smoka petardy.

Zadzwonił dzwonek. Olaliśmy go.

Ola włożył czapkę.

– Nie zdejmę jej na le-le-lekcji! Cho-cho-cholera, nie zdejmę jej na le-le-lekcji! Powiem, że mam e-e-egzemę!

– Tak mów.

– Za diabła nie wrócę dziś do domu. Za dia-dia-diabła!

Naciągnął czapkę jeszcze głębiej.

Po szkole poszliśmy do mnie. Ola miał kark zlany potem, ale nie zdjął czapki, dopóki nie byliśmy bezpieczni za drzwiami. Dopiero wtedy ją ściągnął i odetchnął z ulgą.

Zajrzała do nas mama, popatrzyła na Olę, uśmiechnęła się.

– Jaką masz ładną fryzurę – powiedziała. Przeniosła wzrok na mnie. – Widzisz, Kim? Ty też mógłbyś się tak ostrzyc.

Chłodem wypędziliśmy ją z pokoju.

– Rodzice… – zaczął Seb. – Rodzice to banda pajaców.

– Ojciec zagroził, że Stig nie dostanie kieszonkowego, jeśli nie obetnie włosów – powiedział Gunnar.

– Takie rzeczy powinny być zabronione – stwierdziłem.

– Złoszczą się, bo sami nie mają włosów – dodał Gunnar.

– Nigdy nie wrócę do do-do-domu – zaklinał się Ola.

Mama przyniosła herbatę i ostatnie już świąteczne ciastka. Cztery pierniczki. Nie bardzo wiedzieliśmy, czy powinniśmy przyjmować zaopatrzenie od wroga, ale w końcu ulegliśmy.

– Ni-ni-nigdy więcej nie wrócę do domu – powtórzył Ola.

Naprawdę tak myślał.

Siedział dalej.

Gunnar i Seb popatrzyli na zegarki. Oni też siedzieli.

Ojciec wrócił z banku, słyszałem, że pogwizduje w przedpokoju.

Mama wsunęła głowę przez drzwi.

– Nie będziesz jadł obiadu? – spytała.

– Nie jestem głodny.

Ola dalej siedział.

Nadszedł wieczór.

W końcu rozdzwonił się telefon.

– Jeśli do mnie, to mnie tu nie-nie-nie ma – syknął Ola.

W drzwiach znów stanęła mama.

– Gunnar, twoi rodzice dzwonią.

Wstał powoli, a mama nie odchodziła.

– Coś się stało? – spytała.

Nie odpowiedzieliśmy. Gunnar patrzył na nas bezradnie. W końcu wyszedł razem z mamą.

– Ma-ma-mam nadzieję, że ni-ni-nic nie powie – wymamrotał Ola.

Po chwili Gunnar przyszedł z powrotem.

– Muszę iść do domu, pomóc ojcu nosić worki z ziemniakami. Stig strajkuje, skoro nie dostaje kieszonkowego.

– Nic chyba nie po-po-powiedziałeś? – spytał Ola.

– Czego nie powiedziałem?

– Że tu je-je-jestem.

– No, a co?

– Przecież właśnie tego miałeś nie mówić! – prychnąłem.

– Ale to była tylko moja mama.

– No właśnie. A jak myślisz, dlaczego pytała?

Gunnar zrozumiał, że dał się wyprowadzić w pole. Opadł na kanapę z płonącym czołem.

Wkrótce potem rozległ się dzwonek do drzwi. Czekaliśmy w napięciu. Gdyby to był ojciec Oli, zamierzaliśmy się zabarykadować. Ale usłyszeliśmy dziewczęcy głos. Żołądek na moment mi się zasznurował i cała krew spłynęła do palca. To jednak zaraz minęło. Przyszła Åse, siostra Oli.

O rany, ale urosła! Prawie jej nie poznałem. Rozdziawiliśmy usta. Ola wyglądał przez okno, uszy mu płonęły.

– Nie wracasz do domu? – spytała Åse.

– N-n-nie! – powiedział Ola.

– Na obiad są kotlety. Czekamy na ciebie.

Ola powoli się odwrócił.

– Ko-ko-kotlety?

– Tak. Idziesz?

Nie odpowiedział.

Seb i Gunnar zaczęli się ubierać. Åse stała w progu i uśmiechała się do starszego brata.

– Przyszedł do ciebie list z Trondheim.

Uszy Oli znów zapłonęły, ręce zaczęły się niespokojnie poruszać.

– Z Trondheim – powtórzył jak echo.

Spojrzeliśmy na siebie, Gunnar, Seb i ja. Trondheim?

– Przyjdziesz niedługo?

Ola zarzucił tornister na ramię, wciągnął czapkę na głowę.

– Pod jednym wa-wa-warunkiem. Że nie będę musiał siedzieć przy tym sa-sa-samym stole co ojciec.

Wyszliśmy. Wszyscy byliśmy głodni. Ola głośno powtórzył swój warunek:

– Nie usiądę z o-o-ojcem przy je-je-jednym stole! O-o-oczywiście, że nie!

Sprawa stała na ostrzu noża. Albo, albo. Albo Ola, albo zdesperowany fryzjer z Solli plass.

Tego roku Ola długo chodził w czapce. W ogóle dużo chodziliśmy. Jakiś niepokój wyganiał nas z domu wieczorami, chociaż było mokro i nieprzyjemnie, a w gramofonie mieliśmy świeże baterie. Ale na dworze były ulice i po nich się szwendaliśmy.

Któregoś wieczoru Gunnar oświadczył:

– Zaczynam mieć tego dość.

– Czego?

– Chodzenia.

Ale chodziliśmy dalej. Zwłaszcza w sobotnie wieczory przemierzaliśmy miasto wszerz i wzdłuż, słuchaliśmy muzyki wylewającej się z otwartych okien mieszkań, w których trwała zabawa. Zatrzymywaliśmy się wtedy, zadzieraliśmy głowy, ale zaraz potem szliśmy dalej. O tych prywatkach krążyły straszliwe historie, o dozorcach pobitych łomem, o telewizorach wyrzucanych przez okno, ścianach malowanych na czarno, książkach palonych w wannie. Wzdrygaliśmy się. Słuchaliśmy muzyki z otwartych okien, Rolling Stonesów, Who, Animalsów, Beatlesów, Beatlesów, echa śmiechu, krzyków, czasami płaczu. Szybko wracaliśmy do domów.

Ale wkrótce znów wyruszyliśmy na wędrówkę. Był jedynie ospały środowy wieczór, bez muzyki na ulicach, a w rynsztokach leżał brudny, mokry śnieg. Seb jak zwykle spędzał czas razem z Guri, niewiele go widywaliśmy ostatnio. Minęliśmy kiosk, w którym przyłapano Gąsiora. Do drzwi przybito drewnianą tabliczkę: „Zamknięte z powodu choroby". Znów wciągnął mnie lekki wir i przez moment widziałem Gąsiora stojącego w świetle latarni ulicznej, znieruchomiałego w kręgu światła, lecz otoczonego przez ciemność, w którą prędzej czy później musi wejść.

– To Se-Se-Seb! – zawołał nagle Ola.

Rzeczywiście, to był Seb z Guri i jeszcze jakąś dziewczyną. Szli w stronę parku Urra. Zawołaliśmy ich, przystanęli.

Dwie dziewczyny. Seb miał jakąś dzikość w oczach. Trzymał Guri za rękę, tamta druga dziewczyna opierała się o balustradę. Miała długie, ciemne włosy, opaloną, lekko błyszczącą twarz, jak Indianka.

– Cześć – powiedziała. – Mam na imię Sidsel. Chodzę z Guri do klasy na Fagerborg.

Wymamrotaliśmy swoje imiona i rozmowa się zacięła. Guri zachichotała. Seb gwizdał. My tylko przytupywaliśmy i szuraliśmy nogami.

– Zimno mi – oświadczyła Sidsel.

Ruszyliśmy więc dalej, wszyscy razem.

– Tobie chyba też zimno – stwierdziła Sidsel, patrząc na Olę.

Mocniej naciągnął czapkę.

– N-n-nie. Mam e-e-egzemę.

Sidsel przeszła na drugą stronę, bliżej Gunnara. Ola zaklął i zazgrzytał zębami.

Seb poczęstował wszystkich papierosami, wyciągnąłem zapałki i przypaliłem Guri. W blasku ognia dostrzegła mój palec.

– Co ci się stało? – spytała.

– Wsadziłem go do temperówki.

– Nie wygłupiaj się!

– Przewróciłem się na gimnastyce.

Gunnar spojrzał na mnie, ale się nie odezwał.

Przeszliśmy przez Vestkanttorget. Za szybą sklepu zoologicznego Naranja wrzeszczały małpy i papugi. Gunnar zaczął stroić do nich miny i w końcu skłonił małpy do stania na głowie. Sidsel tak się śmiała, że musiała się o niego oprzeć.

Nie miałem pojęcia, że Gunnar potrafi być taki zabawny.

Ruszyliśmy dalej, na Majorstua, okrążyliśmy Valkyrien, zajrzeliśmy do sklepu z płytami na Jacob Aalls gate. Tam na wystawie też Monkees. Gunnar i Sidsel nieco zwolnili. Ola wyraźnie się złościł.

– Wiecie, co zrobił Smok? – spytała nagle Guri. – Poszedł na morze.

– Skąd wiesz?

– Jedna osoba z klasy zna jego brata.

– Ja też tak zrobię – oświadczył Seb.

– Co?

– Pójdę na morze.

– Nigdzie nie pójdziesz – zaprotestowała Guri.

– Pójdę. Latem.

Puściła jego rękę. Odnalezienie jej zajęło Sebowi dużo czasu. A wcześniej musiał święcie obiecać, że nie zaciągnie się na statek.

– Słowo honoru – powiedział, krzyżując nogi.

– Mu-mu-muszę lecieć – odezwał się Ola i po prostu odszedł, zniknął za rogiem.

– Zaczekaj chwilę! – zawołałem, ale nie usłyszał.

Guri nagle sobie o czymś przypomniała. Zaczęła przeszukiwać kieszenie. W końcu wyjęła niedużą, różową kopertę.

– Nina prosiła, żebym ci to dała.

Z całkowitym spokojem wsunąłem kopertę do tylnej kieszeni. Po prostu schowałem ją tam i byłem absolutnie *cool*.

Gunnar i Sidsel wreszcie się do nas zbliżyli. Szli ze splecionymi palcami, niezbyt rozmowni, patrzyli albo w ziemię, albo na siebie.

Poczułem się trochę zbędny.

Ale kieszeń spodni mnie paliła.

Seb odprowadził Guri do domu. Sidsel mieszkała na Professor Dahls gate. Poszła z nami, czy raczej ja poszedłem z nimi. Po drodze nie odzywali się ani słowem, szli ramię przy ramieniu, z dłońmi szukającymi siebie. Kiedy się żegnali, skręciłem do fontanny. Usiadłem na brzegu i czekałem, myśląc o tym, że pewnie już niedługo zdejmą deski i strumień tryśnie w górę.

Kiedy Gunnar wreszcie przyszedł, miał mętne oczy. Odprowadził mnie aż do Drammensveien. Widać potrzebował świeżego powietrza.

– Szybko poszło – zauważyłem.

– Sidsel. Ona ma na imię Sidsel. Przez D.

– Wpadłeś po uszy?

Nagle puścił się biegiem, przeskoczył przez jakiś płot, zawrócił i jeszcze raz go przeskoczył.

– Chyba tak – powiedział. – Wydaje mi się, że jestem…

Dalej nie dotarł. Zamknął kłódkę na języku.

– Przecież widzę! – Szturchnąłem go w brzuch.

Nie powiem, co było w liście. Tylko to, iż napisała, że przyjeżdża latem. Słyszałem pociągi dudniące przez noc. Włączyłem radio i zacząłem przeszukiwać Europę. Złapałem Kopenhagę i zabrałem ją ze sobą pod kołdrę.

Gunnar co wieczór kręcił się po Professor Dahls gate. Oli odrosły włosy. Seb prawie się nie pokazywał. Palec przestał mnie boleć, ale sterczał z dłoni jak krzywa gałązka i nie przypominał żadnego innego palca. Kupiłem świeże baterie do kuriera i słuchałem wieczorami.

Wreszcie przyszła wiadomość. Za pośrednictwem Seba przekazana szeptem pod wiatą na dużej przerwie w deszczowy wtorek. Prywatka.

– W weekend Sidsel będzie w domu sama – szepnął Seb.

Oczy Gunnara urosły jak śliwki.

– Przyjdzie też ktoś z ich klasy – ciągnął Seb, nerwowo rozglądając się dokoła. Ale w polu widzenia nie było żadnych szpiegów. – Tylko nie mówcie nikomu!

Rozeszliśmy się, przetrawiając sygnały. To było trochę nierzeczywiste, że mieliśmy znaleźć się tam, skąd płynęła muzyka, a inni mieli chodzić ulicami i słuchać nas.

W sobotę przed wyjściem spotkaliśmy się u Gunnara. Seb przemycił małą butelkę bordeaux blanc w rękawie luźnej tweedowej marynarki. Musiał zwinąć wino ojcu.

– Piwo stoi pod schodami – szepnął.

– A jak otworzymy to wino? – spytał cicho zdenerwowany Gunnar.

– Przynieś otwieracz, zakuta pało! – polecił Seb.

– Starzy się zorientują!

Ola, ciężko oddychając, ciągnął się za golf, zupełnie nowy, z bordowej wełny, gryzący jak nasionka dzikiej róży. Brodę już miał spoconą.

– Chyba potrafisz otworzyć bu-bu-butelkę, skoro jesteś taki mą-mą-mądry! – Zaśmiał się do Gunnara.

– O co ci chodzi?

– Tyle czasu spędzasz na Pro-Pro-Professor Dahls gate!

Bardzo nas to rozśmieszyło. Gunnar przystąpił do kontrataku:

– A co było w tym liście z Trondheim, którym twoja siostra zwabiła cię do domu?

Ola całkiem odsunął golf od skóry i wietrzył szyję.

– To korespondencyjna przyjaciółka Åse – mruknął.

– Czytasz listy, które przychodzą do siostry?

Gunnar miał przewagę. Ola zapadł się w golf. Widać było jedynie niebieskie oczy. Mówił przez wełnę.

– Cho-cho-cholernie fajna dzie-dzie-dziewczyna! O dwa lata starsza od Åse.

– Widziałeś ją?

– Ty-ty-tylko na zdjęciu. Cholernie fajna! Ma na imię Ki-Ki-Kirsten.

Seb zaczął się niecierpliwić. Sięgnął po ołówek i wepchnął korek do środka. Wino trysnęło mu na czoło. Gunnar rzucił się do drzwi, żeby się zorientować, czy nie nadciągają jaszczury. Siedziały w salonie i oglądały telewizję.

– No to zdrowie! – Seb wypił łyk i posłał butelkę w koło.

Kiedy ja miałem się napić, nic z niej nie wypłynęło. Korek blokował. Przekazałem dalej.

Gunnar nastawił *Strawberry Fields Forever* i sobota się zaczęła. Otworzyliśmy okno, żeby szlifierze bruków już nas usłyszeli. Butelka krążyła, ale mnie ciągle trafiał się korek. Popaliliśmy trochę w oknie, ale nie za dużo, tylko tyle, żeby poczuć, jak to jest, i nie bardzo wiedzieliśmy, czy

się cieszymy, czy boimy. Butelka krążyła po cichu. Akurat znów trafiła do rąk Oli, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Gunnar wpadł w panikę, wcisnął butelkę Oli pod sweter.

Ale to był tylko Stig.

– Spokojnie, chłopaki. CIA siedzi w salonie i obżera się fistaszkami. Fajny masz sweter, Ola. Z wszytą kieszenią na piersi?

Ola, zlany potem, wyciągnął butelkę. Gunnar mu ją zabrał i schował pod poduszką.

– Widzę, że rozgrzewka się zaczęła – stwierdził Stig.

Pokiwaliśmy głowami. Rozgrzewka. Rzeczywiście.

– Chodzą plotki, że banda z Frogner rozwaliła jakieś mieszkanie na Colbjørnsens gate – powiedział Stig.

O cholera. Zęby Gunnara zgrzytnęły. Oli zaczęły drżeć mięśnie w obu oczach. Sebowi zbielało czoło.

– Pokonali trzech ochroniarzy przy drzwiach. Spuścili ze schodów pianino, pocięli na paski perski dywan i oblali keczupem łóżko rodziców.

Kurza twarz. Nie mogliśmy wydobyć z siebie ani słowa. Strach podgryzał jabłka Adama.

– Wiecie, że amerykańskie okręty wojenne zaatakowały Wietnam Północny, prawda? I że raczej pewne, że mają na pokładzie broń atomową. I rozumiecie, co to oznacza. To oznacza numer trzy, chłopaki. Wielki szlem. Dlatego wojna Wietnamczyków z imperialistami to również nasza wojna, prawda? Rozumiecie? I, do cholery, najwyższa pora, żeby ktoś w waszej szkole założył komórkę Komitetu Solidarności z Wietnamem, trzeba zagłuszyć wreszcie te bzdury wygadywane przez Młodą Prawicę. Słyszycie?

Przez chwilę stał, patrząc na nas. Głową sięgał prawie do futryny, a założone za uszy włosy zachodziły aż pod kołnierzyk.

– Gdzie znalazłeś taką wersję? – Wskazał na mój palec.

– W domu towarowym Steen og Strøm – odparłem.

– Muszę lecieć, chłopaki. Idę do Club 7. Dziś wieczorem grają Public Enemies. Aż się woda podniesie we Frognerkilen.

Wychodząc, jeszcze się odwrócił.

– Pamiętajcie, co mówiłem, chłopaki. Po nas przyjdą bakterie.

Trzasnął drzwiami, przemknął przez mieszkanie. W salonie, zanim przeszedł dalej, doszło do krótkiej, ale ostrej konfrontacji.

Butelka była pusta, Seb pstryknął palcami i z drugiego rękawa wyciągnął nową.

Powoli wpadaliśmy w nastrój. Zapomnieliśmy o bandzie z Frogner, krew znów dopłynęła do serc i oczekiwania zaczęły kipieć jak wrzące mleko.

Dziewczyny siedziały na kanapie, popijały colę. Znaleźliśmy sobie krzesła i Seb wyciągnął butelki z piwem. Dziewczyny zezowały. Było ich cztery. Guri i Sidsel. I jeszcze dwie. Eva i Randi. Randi – pulchna, w dość krótkiej spódniczce. Eva – chuda, spódnicę miała dłuższą. Seb i Gunnar trochę się rządzili, grzebali w płytach, aż w końcu nastawili longplay The Hollies, *For Certain Because*.

– Czy ten Jørgen w końcu przyjdzie? – spytały Eva i Randi. Były to ich pierwsze słowa.

Ola zerknął na mnie spod oka i mruknął kącikiem ust:

– Jørgen? Co to za Jø-Jø-Jørgen?

– Nie mam pojęcia – szepnąłem.

– Na pewno niedługo będzie – zapewniła Sidsel i pociągnęła coli przez słomkę.

– Jørgen jest z naszej klasy – wyjaśniła Guri.

Na dzwonek do drzwi Eva i Randi poderwały się z kanapy. Rozgorączkowane, nagle zdyszane, zaczęły szukać kieszonkowych lusterek i kredek do oczu. Sidsel poszła otworzyć i wkrótce przyprowadziła chłopaka trochę podobnego do Garfunkela, który wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z wanny. Skinął głową dziewczynom, a potem, rany boskie, podał nam wszystkim po kolei rękę i się przedstawił.

– Jørgen Rist. – Miękko uścisnął mi dłoń i ukłonił się. O Jezu!

– Kim – powiedziałem. – Przez jedno m.

Wcale go to nie rozśmieszyło. Rzęsy miał długie i podwinięte, jakby je specjalnie podkręcił. Mocno zarysowane kości policzkowe układały się w kształt litery Y, a zaczesane do tyłu włosy sprawiały wrażenie

naelektryzowanych, chociaż zapewne wyłącznie za sprawą mojego akrylowego swetra.

Jørgen również nie należał do rozmownych. Randi i Eva wpatrywały się w niego, jakby oczami chciały wywiercić w nim dziurę. Nie zwracały uwagi nawet na mój palec. Jørgen patrzył w zupełnie inną stronę i najwyraźniej niczym się nie przejmował.

Seb jeszcze doniósł piwa. Z kuchni dochodził zapach przypiekanego sera, dziewczyny cicho rozmawiały na kanapie. Jørgen patrzył gdzieś przed siebie, Ola mrużył oczy nad golfem, a Seb i Gunnar nagle gdzieś przepadli. Eva puściła płytę The Monkees, *A Little Bit Me, A Little Bit You*. Uszy skurczyły mi się jak rodzynki, a Ola zanurkował w swój golf.

Konfrontacja była nieunikniona.

– Wiecie, że to właściwie śpiewają małpy? – powiedziałem, próbując się popisać.

Tylko dlaczego nikt się nie śmiał?

– W każdym razie są lepsi od Beatlesów – stwierdziła Randi.

Ola wynurzył się z wełny. Rozejrzeliśmy się. Seb i Gunnar wciąż się nie pojawiali.

– Nie można porównywać Beatlesów z The Monkees! – zawołałem.

– *Strawberry Fields* to okropna piosenka! – usłyszałem w odpowiedzi.

Seb i Gunnar wreszcie wrócili, jacyś dziwni. Z kuchni groźnie zapachniało spalenizną. Dziewczyny się tam rzuciły, a Jørgen podreptał za nimi. Seb zebrał nas wszystkich wokół siebie i ciężkim głosem szepnął:

– W piwnicy stoi g ą s i o r. Znaleźliśmy go z Gunnarem. G ą s i o r!

– Gą-gą-gąsior?

– Gąsior z winem, ty głupku! Pełen wina.

Pokazali nam drogę. Na palcach przekradliśmy się za nimi przez kolejny pokój, w którym było mnóstwo książek, obrazów i różnych innych rzeczy, aż wyszliśmy na korytarz, stamtąd strome schody prowadziły do piwnicy.

W jakichś drzwiach pojawiła się Sidsel.

– Dokąd idziecie? – spytała.

– Zagrać w ping-ponga – odparł zachrypniętym głosem Seb.

– Jedzenie będzie zaraz gotowe.

– To nie potrwa długo – mruknął Gunnar, a twarz mu pojaśniała jak zorza polarna.

Zeszliśmy na dół. Rzeczywiście, w pokoju urządzonym w piwnicy stał stół do ping-ponga. Dalej były dwa boksy. W jednym stały dżemy. W drugim wino. Do szyjki szklanego gąsiora przymocowany był gumowy wężyk. Seb zachichotał, klęknął i zassał. Zabulgotało i pisnęło. Potem była kolej Oli. Obryzgał winem golf i głośno krzyknął. Mnie się w ogóle nie udało pociągnąć, widać źle się przyłożyłem, bo wciągałem tylko kwaśne powietrze.

Gunnar wyrwał mi wężyk.

– Tylko nie wypij wszystkiego! – Roześmiał się i wsadził sobie rurkę do gęby. Zataczając się, wróciliśmy na górę, dziewczyny i Jørgena zastaliśmy w kuchni.

Grzanki były wielkie i gorące jak piekło, z mnóstwem sera i szynki. Zanieśliśmy je do pokoju. Seb otworzył ostatnie butelki piwa.

Eva nastawiła Herman's Hermits.

– Mleczny pop – stwierdził Seb i się napił.

– Byłyśmy z Randi na koncercie w Edderkoppen – oznajmiła Eva z dumą.

– I nasi Vanguardsi na pewno zagrali dużo lepiej niż oni.

Eva się zezłościła.

– Herman's Hermits są o wiele lepsi od Beatlesów!

Seb odsunął butelkę od ust.

– Nie można porównywać Beatlesów z Herman's Hermits!

– Dlaczego nie?

– Bo nie. – Seb podrapał się w głowę. – Bo nie.

– Bo nie można porównywać Apolla dwanaście z tra-tra-tramwajem na Frogner!

Ola naprawdę miał cięty język. Umiał dowalić.

Otworzyliśmy okno, żeby wywietrzyć, przeszmuglowaliśmy płytę Beatlesów, *I Don't Want to Spoil the Party*, i posłaliśmy muzykę na spowite w wieczorny mrok ulice. Już wiedzieliśmy, jakie to uczucie być wewnątrz, kiedy inni zdzierają buty, snując się ulicami. Nagle do pokoju wpadła Sidsel i z trzaskiem zamknęła okno, nie życzyła sobie dodatkowych gości.

Zrobiło nam się trochę głupio, rzeczywiście niemądrze otwierać okno, no i zaczęliśmy gadać o bandzie z Frogner, przysuwając się jakby bliżej siebie, rozpaleni świadomością istnienia wspólnego wroga, rozgrzani wspólnym lękiem. Podobno gdzieś na Bygdøy spiłowali maszt flagowy, przejechali skuterem przez salon i rzucali strzałkami w obrazy.

– Każdy z osobna na pewno jest całkiem miły – powiedziała Sidsel. – Ale kiedy się zbiorą razem, są okropni.

– Wydaje mi się, że nie są ani trochę mili! – prychnąłem. – Moim zdaniem to do cna podłe gnoje.

Dziewczyny i Jørgen wynieśli talerze, a my znów zakradliśmy się do piwnicy. Ola i ja graliśmy w ping-ponga, a Gunnar i Seb pili. Potem się zamieniliśmy. Nie mogłem sobie poradzić z tym wężykiem. Nic nie ściekało. Wbiegliśmy na górę, głośno śpiewając *Penny Lane*, i trochę pobłądziliśmy w tych wszystkich pomieszczeniach, ale w końcu dotarliśmy do kuchni. Eva, Randi i Jørgen zmywali. Przeszliśmy do pokoju. Seb i Gunnar głośno perorowali, nastawili gramofon na cały regulator, przygasili światło i chcieli tańczyć, byli naprawdę w niezłej formie. Wkrótce pojawili się Eva, Randi i Jørgen, ale on raczej nie miał ochoty do tańca, chociaż Eva i Randi wgapiały się w niego z całej siły. Oli i mnie w ogóle nie widziały.

Roztańczone lwy salonowe usiadły wreszcie przy stole i otrząsnęły grzywy. Ktoś przechodził za płotem, pokrzykiwał i śpiewał, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Gunnar wyłączył muzykę, siedzieliśmy cicho jak myszy, dopóki tamte odgłosy nie ucichły. Sidsel zbielała skóra wokół zaciśniętych ust.

– Właściwie to dziwne – powiedział Seb. – Strasznie dziwne, że bardziej boimy się tej zasranej bandy z Frogner niż wojny w Wietnamie.

Dziewczyny spojrzały na niego, Seb nachylił się nad stołem.

– Może nie wiecie, że Amerykanie trzymają całą swoją flotę przy Wietnamie Północnym! Z setkami bomb atomowych na pokładzie!

Dziewczyny pokręciły głowami, nie wiedziały.

W pokoju zapadła cisza.

W końcu odezwał się Ola:

– Po nas przyjdą ba-ba-bakterie.

Znów nastąpiła dłuższa chwila milczenia, w końcu Gunnar podgłośnił. *And I Love Her*. Dwie pary stanęły na środku pokoju jak zrośnięte cienie.

Przy stole usiłowaliśmy podtrzymać rozmowę.

– Co będziecie robić po maturze? – spytałem i poczułem się jak starzec porośnięty mchem. Eva i Randi się nudziły.

– Zostanę stewardesą. – Randi westchnęła i spojrzała na Jørgena.

– Najpierw trzeba skończyć liceum – powiedziała Eva.

– A ja będę aktorem – oświadczył z powagą Jørgen.

– C-c-co? – wyrwało się Oli.

– Spróbuję się dostać do szkoły teatralnej – wyjaśnił Jørgen.

– A ja będę marynarzem! – zawołał Seb, ale wtedy do akcji wkroczyła Guri i znów musiał obiecywać, że nigdy, przenigdy nie pójdzie na morze.

Seb składał obietnice bez najmniejszych trudności.

– Raz w podstawówce grałem żabkę – powiedziałem. – Skakałem w zielonym trykocie z płetwami, a Ola odgrywał rolę Tomcia Palucha.

Ola znad golfu posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Ja grałem Jezusa i Tordenskiolda – pochwalił się Jørgen, ale więcej na ten temat nie rozmawialiśmy. Eva i Randi upomniały się o kolejną rundę Herman's Hermits, Sidsel przyniosła colę, a my znów wymknęliśmy się do piwnicy. W gąsiorze bulgotało, jeszcze chwila, a wylecielibyśmy w powietrze. Seb pił. Gunnar pił. Ola pił. Nagle za plecami usłyszeliśmy głosy. Doszły z ciemności, bez żadnego ostrzeżenia. Sidsel i Guri. Ola wywijał wężykiem.

– A więc to tutaj gracie w ping-ponga! – syknęła lodowatym tonem Sidsel.

Co mogliśmy powiedzieć?

– Wstrętne z waszej strony – stwierdziła Guri.

Gorący uczynek. Słowa na nic się tu nie zdały. Seb i Gunnar przystąpili do działań bezpośrednich, stłumili protesty i zniknęli w ciemności, każdy ze swoim jarzącym się cieniem. Cisza przemawiała własnym wyraźnym językiem.

Spojrzałem na Olę.

– Tu już nie mamy czego szukać.

Wróciliśmy na górę. Eva i Randi siedziały w salonie, a mleczarz zawodził z gramofonu. Jørgen zniknął. Ola padł na fotel, wyglądał dość nieporządnie. Musiałem się wysikać, więc poszedłem na piętro. Było tam sporo pomieszczeń do wyboru, w końcu znalazłem łazienkę. Drzwi były uchylone, zajrzałem i znieruchomiałem. Przed lustrem stał Jørgen, w rękach trzymał szminkę i kredkę do oczu, narysował sobie dwie czarne krople pod oczami, jak dziewczyny w liceum. Choinka! Wstrzymałem oddech i na palcach się wycofałem. Najgorsza rzecz, jaką widziałem w życiu. Po cichu przeszedłem korytarzem do innego pokoju, do którego drzwi były otwarte. To musiał być pokój Sidsel, bo przypominał pokój Niny. Może wszystkie pokoje dziewczyn są do siebie podobne? Podobnie też pachniało. Czystością. Pościelą wietrzoną na powietrzu. Pomarańczami. I jednocześnie czymś ciężkim, cielesnym, pachami, skórą na głowie. Byłem przerażony. Musiałem jak najszybciej wrócić na dół. Za późno, otworzyły się drzwi łazienki i Jørgen zbliżył się do mnie. Stałem do niego tyłem, nie odwróciłem się.

Zatrzymał się tuż za mną.

– Wszystkie pokoje dziewczyn są takie same – stwierdził.

– Właśnie o tym myślałem.

– Kim może być też dziewczęcym imieniem – rzucił cicho.

Odwróciłem się powoli, nie wierzyłem własnym uszom, spojrzałem na niego. Starł kredkę spod oczu.

– Kto cię pocałował w policzek? – Roześmiałem się.

– Nikt – odpowiedział tylko.

– Masz całą twarz umazaną szminką.

Uśmiechnął się i wytarł ją wierzchem dłoni. Dziwny gość.

– Nudzi mi się – wyznał. – A ty się często nudzisz? Bo ja prawie zawsze. Dlatego zostanę aktorem. Wtedy będę mógł być każdym. I nie będę musiał się nudzić.

O rany, on naprawdę już podjął decyzję.

– A ja będę śpiewał – wyrwało mi się i natychmiast zmieniłem się w Czerwonego Kapturka, bo nie miałem pojęcia, dlaczego tak powiedziałem.

Ruszyłem w stronę schodów. Szedł za mną.

– Naprawdę? – szepnął, patrząc na mnie błyszczącymi oczami, schowanymi za miękkim żywopłotem wywiniętych rzęs. – To świetnie.

Ciszę nagle przerwał krzyk. Pokonałem schody dwoma susami i wpadłem do salonu. Totalna panika. Gorsza niż na „Titanicu". Sidsel dostała histerii, wszyscy pozostali byli w niewiele lepszym stanie.

Góra lodowa od strony bakburty.

Banda z Frogner.

Stali pod bramą, wrzeszczeli i rzucali korkami w okno. Było ich pięciu, jak wtedy w parku Frogner. Jeden miał głowę owiniętą wielkim bandażem.

– Oni wszystko zdemolują! – płakała Sidsel.

Gunnar był blady, ale opanowany.

– Nie wpuścimy ich – powiedział.

– Myślisz, że będą pytać, czy mogą wejść? Po prostu się wedrą!

Kopnięta pokrywa od pojemnika na śmieci potoczyła się ulicą, z ogrodzenia odłamano deskę. Przyszedł Jørgen i zrozumiał, co się dzieje. Twarz wykrzywił mu strach.

– Dzwonimy na policję! – rozpłakała się Guri.

O drzwi stłukła się butelka.

Seb i Ola stali gotowi do ucieczki, ale nie było dokąd uciekać.

Poczułem wtedy ten wielki ssący wir. Linia brzegowa mojej duszy rozciągnęła się, w nagiej głowie pojawiła się pustka, zaszumiało w wielkiej muszli.

Nie bałem się. Więcej nie mogli mi już zrobić.

– Zajmę się nimi – oświadczyłem, idąc do przedpokoju.

Gunnar przyskoczył do mnie.

– Czyś ty zwariował? Przecież oni cię zabiją!

Wyszarpnąłem mu się.

– Przepędzę ich – powiedziałem głośno.

Wszyscy usiłowali mnie powstrzymywać. Dziewczyny płakały, Gunnar przeklinał. Znów się wyrwałem.

– Nie świruj! – wrzasnął Gunnar. – Zabiją cię!

Wyszedłem.

Minutę później wróciłem.

– No i już – powiedziałem.

Nikt mi nie uwierzył.

– Poszli sobie – dodałem, siadając w fotelu. – Po strachu.

Dziewczyny wyjrzały przez okno. Gunnar przysunął głowę do mojej twarzy.

– Co… co ty zrobiłeś?

– Kazałem im spadać.

Od tej chwili impreza przybrała nowy obrót. Eva i Randi nie patrzyły już wyłącznie na Jørgena, ukradkiem zerkały również na mnie. Seb znalazł w szafce dżin, przygasły światła, muzyka zagrała głośniej i pamiętam, że w końcu tańczyłem z Randi, tą pulchną, tańczyłem i tańczyłem. Staliśmy w ciemności, a ona miała takie miękkie, ciepłe uda. Zostaliśmy w pokoju sami. Osunęliśmy się na podłogę, moja dłoń odnalazła jej piersi, i nie tylko, ale nagle Randi przestała być taka chętna. Usiadła gwałtownie, wysunęła dolną wargę i oddychała ciężko, wpatrzona w sufit.

– Czy ty nie jesteś chłopakiem Niny? – spytała.

Nie podobał mi się jej głos.

– Niny? Jakiej Niny?

Zaśmiała się pogardliwie i odeszła. Dalej siedziałem w ciemności. Trzasnęły drzwi. Ktoś wyszedł. Potem dotarły do mnie odgłosy z piętra. Ktoś był w pokojach. Najwyraźniej Seb i Guri przestali się bać.

Olę znalazłem w piwnicy. Spał na stole do ping-ponga.

– Koniec zabawy – obwieściłem. – Wracamy do domu.

– A gdzie Seb i Gunnar? – wybełkotał.

Wskazałem na sufit. Ola zrozumiał.

Wolnym krokiem wlekliśmy się do domu. Przy fontannie trochę odpoczęliśmy. Na ulicy nie było nikogo. W całym mieście tylko my ocaleliśmy.

– Fajna prywatka – mruknął Ola.

Kiwnąłem głową.

– Ale ten Jørgen to my-my-mydłek.

Zapaliliśmy papierosa.

– Nina przy-przy-przyjedzie latem?

– Tak – odparłem. – Latem.

– Ki-Ki-Kirsten też. Z Trondheim.

Wysupłał z tylnej kieszeni zdjęcie. Takie z automatu. Była na nim roześmiana dziewczyna z dużymi zębami, z przedziałkiem na środku głowy i okrągłymi policzkami.

– Ki-Ki-Kirsten – powiedział Ola.

I nagle usłyszeliśmy organy. Naprawdę organy. Wśród nocy rozległ się ciężki psalm. Świeciło się w jakimś oknie na Schives gate. To było jedyne jasne okno i właśnie stamtąd dobiegały dźwięki.

– Tam mieszka Gąsior – szepnął Ola.

– To Gąsior gra na organach Hammonda. – Aż zadrżałem. Ciężkie, powolne akordy wylewały się w ciemność. Wkrótce i w innych oknach pozapalały się światła, ludzie wystawiali głowy, krzyczeli i uciszali, walili laskami, rzucali dwuørówki, tłukli pokrywkami, a wszystkie psy wyły na wyścigi.

W końcu dźwięki organów ucichły i Gąsior zgasił światło. Po chwili wszystko było jak przedtem, tylko jeszcze ciszej.

Zgasiliśmy peta i ruszyliśmy dalej. Zaczynało się robić naprawdę zimno.

– Co ty właściwie po-po-powiedziałeś bandzie z Frogner?

– Że ty tam jesteś.

Zachichotał. Ciągle lekko chwiał się na nogach.

– Mam na-na-nadzieję, że ojciec na mnie nie cze-cze-czeka.

– Ja też.

– Fa-fa-fajna prywatka.

– Super.

W niedzielę wieczorem wtoczył się do mojego pokoju Seb, stanął na środku i śmiał się, a potem runął na kanapę i dalej się śmiał.

– Cholera, ale się wczoraj schlałeś – powiedział.

– Tak?

– Jak wariat!

Przestał się śmiać.

– Jak właściwie poradziłeś sobie z bandą z Frogner?

Wyjąłem rękę z kieszeni.

– Pokazałem im swój palec.

– A co naprawdę zrobiłeś sobie w ten palec?

Opowiedziałem mu o wszystkim, co się wydarzyło w parku Frogner. Seb słuchał z szeroko otwartymi oczami. Nie spieszyłem się. Opowiedziałem o tym, którego tak mocno uderzyłem w czoło, aż palec mi się złamał, i że uciekli, bo mieli niezłego mojra. Seb widział tego z obandażowaną głową, to właśnie jemu tak dołożyłem. Seb rozdziawił usta.

Potem opowiedział o wszystkim, co sam przeżył. O tym, co się zdarzyło w pokoju na górze z Guri, o tym najbardziej fantastycznym, kiedy prywatka już się skończyła, o tym, jak było, o wszystkim. Nie wiem, który z nas bardziej kłamał, najważniejsze, że sobie wierzyliśmy.

Wiosna. Bez cienia wątpliwości. Orkiestry maszerowały ulicami, fałszując, ćwiczyły marsze, biegacze trenowali, szykując się do Sztafety Holmenkollen, ale najpewniejszą oznaką wiosny był Jensenius. Wieloryb obudził się i śpiewał w zielonym morzu. A któregoś dnia jednocześnie wystawiliśmy głowy przez okna i popatrzyliśmy na siebie.

– Więcej piwa! – zawołał. Zrzucił mi ciężką portmonetkę i siatkę. – Eksportowego!

Czekał w drzwiach, kiedy przydźwigałem zapas, zaprosił mnie do środka. Poszedłem za nim do pokoju, gdzie opadł na ten sam zniszczony fotel, i zaczął wlewać w siebie piwo jak do odpływu w zlewie.

– Siadaj! – polecił.

Usiadłem. Poderwał się kurz, zapachniało czerstwym chlebem.

– Nie słuchasz płyty Robertina – zauważył.

Poczułem się trochę głupio.

– No, czasami. Uważam, że jest świetna.

Jensenius rozmarzył się za zasłoną z piany.

– To młodziutki Włoch, z gardłem ze szczerego złota. – Westchnął ciężko. – Ale zrządzenie losu odebrało mu głos. Życie potrafi być okrutne, Kim.

– Zachorował?

– Przeszedł mutację – wyjaśnił Jensenius. – Diabeł wyczyścił mu gardło gruboziarnistym papierem ściernym. Robertino przestał być Robertinem.

Jeszcze napił się piwa. Brzuch wylewał mu się na brudne spodnie. Koszula była zapięta krzywo.

– To samo spotkało mnie – powiedział ze smutkiem. – Humorzasta i okrutna partytura losu, tyle że w odwrotnej kolejności. – Przez chwilę milczał, potem spojrzał przed siebie wzrokiem, który patrzył wyłącznie wstecz. – Robertino stracił swój sopran i zamiast niego zyskał głos robotnika w kopalni. Ja straciłem baryton, a dostałem głos eunucha. – Długo popijał.

– Kto to jest eunuch? – spytałem ostrożnie.

– Niewolnik życia. Ktoś, kto stracił męską siłę, ale zostało mu pożądanie. Czasami to nie do wytrzymania, Kim.

Spuściłem wzrok. Dywan był zniszczony od nocnych wędrówek.

– A co się stało? – spytałem.

Jensenius otworzył trzy butelki. Pod fotelem leżała góra kapsli.

– Opowiem ci, Kim. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym miałem śpiewać w Auli, w upojny wiosenny dzień, prawie taki jak dzisiejszy. – Wskazał na zapyziałe okna. – Miałem śpiewać Griega, miał być król Haakon, następca tronu książę Olav, cały dwór królewski! Wyjechałem stąd taksówką dwie godziny wcześniej, żeby mieć dużo czasu. Ale nigdy nie dotarłem na miejsce, Kim. Król Haakon nigdy nie miał okazji usłyszeć, jak Jensenius śpiewa Griega.

Napił się. Dłoń z butelką drżała.

– A co się stało? – spytałem szeptem.

– Wypadek, Kim. Tam gdzie Parkveien przecina Drammensveien. Ciężarówka z lewej strony. Taksówkarz zginął na miejscu. Mnie przednie

siedzenie wepchnęło się w objęcia. Zmiażdżyło mnie, Kim.

Opróżnił resztę butelek, nic więcej nie mówiąc. Taka więc była historia Jenseniusa. Zapewne równie prawdziwa jak wszystko to, co sam wymyślam.

Chociaż na kominku leżała torebka cukierków, poszarzała od kurzu i pozieleniała od pleśni.

Nagle odwrócił się do mnie.

– Ale z c i e b i e muszą być ludzie! – oświadczył.

Trochę się przestraszyłem.

– Ze mnie?

– Tak, Kim. Będziesz największy z nas wszystkich!

– Jak to?

– Śpiew, Kim. Śpiew! Słyszę cię w nocy. Słyszę cię co noc, Kim!

Zbiegłem na dół, wpadłem do swojego pokoju. Za oknem drzewa eksplodowały zielonymi oklaskami, orkiestry nie mogły skończyć bisować.

Radio, pomyślałem. On słyszał jedynie radio.

W pierwszą sobotę maja coś przeciągle zatrąbiło na Svoldergata, to musiał być co najmniej Jensenius próbujący przejść przez skrzyżowanie. Podleciałem do okna. Ojciec! To był ojciec w nowym samochodzie, jaskrawoczerwony saab sunął przez Svoldergata jak olbrzymia biedronka. Zbiegłem na dół, ojciec wysiadł, oparł się o rozgrzany dach samochodu, już wcześniej zrzucił marynarkę i podwinął rękawy koszuli, o rany, co za wiosna! Zaraz przyleciała też mama, rzuciła mu się na szyję, i właśnie tak chciałbym najbardziej zapamiętać rodziców, obok nowego samochodu, pierwszego samochodu, jaskrawoczerwonego saaba V4, objętych, w majowy dzień 1967 roku.

Najpierw zabraliśmy Huberta z Marienlyst. Wpadł w absolutny zachwyt, koniecznie chciał wypróbować wszystkie guziki, włączył wycieraczki i kierunkowskazy, aż ojciec w końcu się zdenerwował. Udało nam się uspokoić Huberta na tylnym siedzeniu.

– No proszę. – Hubert złapał ojca za ramię. – Chyba nie obrabowałeś skarbca?

Pośmialiśmy się i otworzyliśmy okna. Potem przejechaliśmy przez wrzące miasto na Mosseveien, kierując się do Nesodden. Ojciec przyspieszył, silnik buczał jak zadowolony trzmiel, ani jeden wóz nas nie wyprzedzał, za to ojciec przy Hvervenbukta musiał wyprzedzić ciężarówkę, blisko zakrętu, na tylnym siedzeniu podniósł się krzyk, ale jakoś się udało, udało się, ojciec zacisnął ręce na kierownicy, a pot zalewał mu wielki uśmiech, którego z całą pewnością nie używał od czasu, gdy jeszcze był chłopcem i wierzył w Świętego Mikołaja.

Bundefjorden był jasnoniebieski, a my zostawiliśmy za sobą całe miasto, opakowane w ciemnozielone wzgórza i owinięte żółtymi wstążkami z promieni słońca.

Dalej, w stronę Tangen, droga była gorsza, wyboje, podskoki i drobne kamyki szybujące wokół maski. Ojciec zgarbił się nad kierownicą, ale z tym odcinkiem też sobie poradził i już wkrótce dojeżdżaliśmy do przystani i parkowaliśmy na Signalen. Ojciec zaczął na czworakach obchodzić samochód w poszukiwaniu zadrapań na lakierze, lecz kiedy wyjął chusteczkę do nosa i chciał nią polerować auto, interweniowała mama i udało nam się zaciągnąć go do Domu.

Pachniało tak jak zawsze w pierwszy wiosenny dzień na Nesodden, ostro i nieco kwaśno od zgniłych liści na ziemi. Dom z okiennicami na wszystkich oknach wydał mi się trochę straszny, pomyślałem, że wygląda jak człowiek po śmierci, albo może jak człowiek przed urodzeniem, bo kiedy zdjęliśmy okiennice, przepłynęło przezeń światło, jakby ściany były przezroczyste, i wszystko w środku ożyło. Muchy leżące na parapetach uderzały o szyby, wszędzie szeleściło i piszczało, a kurz unosił się niczym Drogi Mleczne w projektorze słońca.

Pobiegłem w miejsce, w którym, jak wiedziałem, zawsze rosły poziomki, za studnią, w zielonym, wilgotnym dołku. Policzyłem kwiaty. Zapowiadało się poziomkowe lato.

Mama zrobiła kawę i usiedliśmy na tarasie. Słońce przesuwało się nad wzgórzem Kolsås, błyszczący samolot przeciął tarczę i zakręcił koło nas.

– Dobrze się czujesz w tej nowej pracy? – spytał Hubert, śledząc wzrokiem samolot, który poleciał na południe i zniknął nam z oczu.

– Znakomicie.

Hubert spojrzał na niego znad filiżanki.

– Kim mi mówił, że któregoś dnia miałeś w skarbcu trzysta pięćdziesiąt tysięcy koron – powiedział z podziwem.

– Zdarza się, że tak jest. Zwłaszcza w piątki, kiedy jest dużo wypłat. Często muszę prosić o przesłanie dodatkowej gotówki z głównej siedziby.

Hubert napił się jeszcze kawy.

– To mnóstwo pieniędzy – powiedział cicho. – Nie boicie się mieć tyle w kasie?

Ojciec się roześmiał.

– Obaj z Kimem naoglądaliście się kryminałów, tyle wiem na pewno.

Wróciliśmy do miasta. Nad zatoką Hvervenbukta siedziała banda długowłosych i grała na gitarach. Na skale płonęło ognisko. Jezdnia Mosseveien parowała po ciężkim dniu. Dźwigi na Vippetangen stały nieruchomo jak olbrzymie martwe zwierzęta, a nad Holmenkollen niebo jaśniało krwawą czerwienią. Ojciec dodał gazu i wjechaliśmy prosto w zachód słońca, z otwartymi oknami i wiatrem, który mierzwił włosy i wyciskał z oczu łzy, a owady rozbijały się o przednią szybę i rozpryskiwały na wszystkie strony.

*

Początkowo myślałem, że przeziębiłem się podczas tej samochodowej wycieczki, bo obudziłem się w nocy z zatkanym gardłem, gorączką w plecach i zarośniętymi oczami. Ale kiedy rano przejrzałem się w lustrze, przeżyłem niezły szok. Przypominałem zagubionego pelikana, podbródek zwisał mi pod twarzą jak worek, ledwie mogłem mówić. Gorączka utkwiła z tyłu głowy, zataczałem się, wracając do swojego pokoju, a kiedy mama mnie zobaczyła, uderzyła w krzyk.

To były dni na białej karuzeli. Leżałem otumaniony, z zimnymi okładami na czole, z sokiem w wielkich szklankach i z włączonym radiem. Zaczęły mnie też boleć jądra, bólem podobnym do bólu zęba. Mama wpadła wtedy w kompletną histerię i wezwała lekarza. Przyszedł ze stetoskopem, ale w ogóle nie przypominał tych lekarzy, których Hubert rysował do tygodników. Obmacywał mnie i szczypał od czoła w dół. Później

rozmawiali z mamą, ściszonymi głosami, nieprzyjemnie, ale docierały do mnie poszczególne słowa, świnka, świnka i dzieci, mama cały czas mówiła coś o dzieciach.

Po jakimś czasie mi się polepszyło. Karuzela zwolniła, gorączka spłynęła do łóżka, a worek się skurczył. Właściwie nawet dość przyjemnie było tak leżeć bez energii, kompletnie nic nie robić, słuchać starych płyt, Cliffa, Paula Anki, Pata Boone'a, skończyć z tymi starymi krążkami raz na zawsze. Puszczałem też Robertina, wtedy Jensenius, zadowolony, tupał w podłogę. Któregoś dnia odwiedzili mnie Gunnar, Seb i Ola, nie mieli się czego obawiać, bo przeszli świnkę już dawno. Stanęli przy łóżku, zaśmiewając się, opowiadali o butach Szynki, do których ktoś nalał wody, i o tym, że Kartofel dla wszystkich w klasie przyniósł sadzeniaki. Potem jednak spoważnieli i przedstawili problem.

– Jak będzie w tym roku z Frigg? – spytał Gunnar.

Przez całą jesień zaniedbywaliśmy treningi, mogło być trudno z powrotem dostać się do drużyny.

– Nie wiem – powiedziałem. – Chyba z tym kończymy.

Pokiwali głowami.

– Kiedy pójdziemy do liceum, nie będzie czasu na piłkę – stwierdził Gunnar.

– No – przyświadczyliśmy.

– Ale możemy tam zajrzeć, pogadać z Kårem – zaproponował Seb. – W pewnym sensie go uprzedzić.

– Jasne, że możemy.

Kiedy wyszli, wróciła gorączka, wyżęła mnie jak gąbkę. Mama dopilotowała mnie do salonu, gdzie półżywy czekałem, aż zmieni pościel i wywietrzy. Miałem potem takie wrażenie, jakbym kładł się w wietrze, w wietrze pełnym słońca, świeżo skoszonej trawy i soczystych jabłek. Zasnąłem, obudziły mnie raz jakieś dźwięki, tupanie pociągu, krzyk tramwaju, spadające bomby. Potem nagle znów wszystko ucichło, a kiedy ocknąłem się następnym razem, byłem zdrowy jak ryba i o pięć kilo lżejszy.

To była ostatnia choroba wieku dziecięcego.

A DAY IN THE LIFE
LATO ’67

Poszliśmy do Kårego na Thereses gate. Już sięgał po karty ze składkami, ale Gunnar go powstrzymał.

– W tym roku nie ma dla nas mowy o piłce – wyjaśnił. – Po przejściu do liceum nie będziemy mieli czasu na treningi.

Kåre nachylił się nad ladą i zmierzył nas wzrokiem.

– Nieźle wyrośliście – powiedział.

Poruszyliśmy się niespokojnie.

– Chcieliśmy tylko uprzedzić – ciągnął Gunnar. – Fajnie było grać we Frigg.

Kåre uśmiechnął się ze smutkiem.

– Za dużo chłopaków porzuca piłkę tak jak wy. Jak mamy utrzymać Frigg w pierwszej lidze, skoro zawodnicy po prostu znikają?

Zaszuraliśmy butami.

– Chy-chy-chyba nie dostalibyśmy się do głó-głó-głównej drużyny. – Ola zaśmiał się niepewnie.

Dwa liliputy przyszły zapłacić składki, oba w krótkich spodenkach, z kolanami oklejonymi plastrami, z kluczami na szyi, podbródkami ledwie sięgały nad ladę.

Po ich wyjściu Kåre powiedział:

– W tych chudych nożynach może tkwić nowy Pettersen albo Solvang. Kto to wie?

No tak, nigdy nic nie wiadomo, ale dla nas sezon już się skończył.

Uścisnęliśmy mu rękę.

Kåre uśmiechnął się tym swoim krzywym uśmiechem, ciężko oddychając przez płaski nos.

– Powodzenia, chłopaki! Powodzenia!

Kupiliśmy małą paczkę cravenów i poszliśmy w stronę Stadionu Bislett. Myśleliśmy o strojach, świeżo upranych, sztywnych, biało-niebieskich. O Ågem, który wyczytywał skład drużyny. O szatniach, o samobójczej bramce w Slemmestad, o czerwonej kartce w Kopenhadze. O wszystkich boiskach: Voldsløkka, Ekeberg, Dælenenga, Marienlyst, Grefsen. Trawiastych, żwirowych, a przede wszystkim o grze w deszczu, ciężkiej, powolnej grze w strugach deszczu, jak na zwolnionym filmie, o tym głównie myślałem w ten rozpalony dzień, kiedy wlekliśmy się przez Thereses gate po wyjściu od Kårego po raz ostatni: o grze w piłkę w ulewnym deszczu.

W szkole wszystko działało na pełny gaz. Kartofel czytał Pettera Dassa. Piła bombardowała niemieckimi czasownikami, a Szynka był jak beczka prochu na słońcu. Jedyne chłodne miejsce dawało się znaleźć na robotach ręcznych. Szlifowałem pilnikiem obrączkę z drewna tekowego, którą zamierzałem komuś dać, ale któregoś dnia upuściłem ją na podłogę i pękła. Klejenie nie miało sensu, w takim stanie nie mogłem jej nikomu podarować. Przez pewien czas rozważałem, czy nie zrobić karmnika dla ptaków, ale było już za późno. Do lata i tak bym nie skończył. Ten pomysł przyszedł mi zresztą do głowy tego dnia, kiedy nauczyciel od robót ręcznych przyniósł do szkoły skórę węża z Afryki, wielką jak dywan. To jego brat zastrzelił węża, kiedy gad leżał w cieniu pod drzewkiem pomarańczowym i trawił owcę. Widać też było dziurę po kuli. Brat nauczyciela od robót ręcznych był misjonarzem w Afryce. Po skończonej lekcji Gąsior został w klasie. Na robotach zrobił krzyż, a teraz chciał się dowiedzieć czegoś więcej o misjonarzu z Afryki. Tuż przed dzwonkiem na następną lekcję podszedł do nas przy źródełku z wodą do picia i powiedział, że węże po zjedzeniu takiej owcy śpią przez miesiąc. I że wąż to zwierzę szatana, dlatego brat pana od robót ręcznych go zastrzelił. Pamiętamy chyba, co spotkało nauczyciela Holsta?

– Pewnie – potwierdził Gunnar, odwracając głowę.

Jesienią Gąsior miał iść do Liceum Chrześcijańskiego. Oczy mu błyszczały. Gunnar przeglądał podręcznik do angielskiego. Ja piłem wodę.

– Niech Bóg będzie z wami – powiedział Gąsior, naprawdę tak powiedział, i odszedł.

No i był z nami, przynajmniej przez pewien czas. Norweski poszedł mi dobrze, pisałem o podróżach kosmicznych i uważałem, że całkiem nieźle sobie poradziłem. Pisałem o ludziach, którzy są tacy maleńcy, i o kosmosie, który jest taki wielki. Udało mi się wstawić coś o drzwiach, które trzeba otworzyć na błękitną przestrzeń, złapałem szwung. Napisałem, że jeśli na Ziemi zabraknie miejsca, to będziemy mogli się osiedlać na innych planetach. Kiedy skończyłem pisać na brudno i zjadłem drugie śniadanie, spocone salami i mokry kozi ser, pomyślałem o Gąsiorze, który siedział tuż za mną i gryzmolił jak szalony, pomyślałem o tym, że może gdzieś tam w przestrzeni kosmicznej siedzi stary Bóg, w białej szacie, uczesany z przedziałkiem na środku, może trochę podobny do Johna Lennona, i obserwuje wszystko, co piszemy, dokładnie wie, co napiszemy i jaki dostaniemy stopień. Ale w takim razie żadne pisanie w ogóle nie miało sensu. Tego jednak nie napisałem.

Przeżyłem też angielski. I niemiecki. A potem pojawił się mur. Matma. Dzień wcześniej wieczorem kułem równania i geometrię, pociłem się jak cholera, za oknem kipiało lato, mewy z ochrypłym krzykiem, wydobywającym się z płonących dziobów, nadlatywały znad fiordu i fajdały na moją szybę. Uczyłem się o iksach i igrekach, obracałem cyrkiel, rysowałem trójkąty, kąty i linie proste, a za oknem ciągle krzyczały mewy. Myślałem o skórze węża, o tym, że przyszłość to taki wąż, boa dusiciel atakujący z drzewa, że już zostaliśmy przez niego pochłonięci, nie mamy szans na ucieczkę, już leżymy w ciepłym brzuchu przyszłości, która nas trawi. Przez te krzyczące mewy w ogóle nie mogłem się skupić. Ktoś zadzwonił do drzwi. To nie mógł być Gunnar ani Seb czy Ola, bo oni siedzieli w domach i zakuwali, równie przerażeni. Usłyszałem, że mama otwiera, a dalej już nic, bo mewy tak się rozwrzeszczały. Uznałem, że to na pewno tylko spocony mleczarz. Ale potem rozległo się pukanie do drzwi mojego pokoju, a kiedy się otworzyły, zapomniałem o wszystkim, czego się nauczyłem, o wszystkim, co było, dawno i niedawno.

Nina.

Stała w progu i patrzyła na mnie.

Mama stała w tle, ale powoli się usunęła.

Prawie jej nie poznałem. Włosy spadające na ramiona, kwiatek za uchem, długa, kolorowa spódnica, szczupła talia, prawie taka jak moje ramię. Przełykałem ślinę raz po raz i z całej siły starałem się utrzymać maskę.

Żałowałem tylko, że u mnie nikt nie siedzi, tak jak wtedy u niej w Danii. Ja siedziałem z podręcznikiem do matematyki i cyrklem. A teraz wszystko miało jakby odejść w zapomnienie, jakbym siedział tu i czekał na nią przez cały okrągły rok? Wkurzyłem się. Dlaczego akurat nikogo u mnie nie było? Co ona sobie myśli, że tak przychodzi, bez jednego mrugnięcia okiem? Staje w progu i patrzy na mnie tymi samymi oczami, z takim samym uśmiechem, który mimo wszystko wydawał się obcy, bo ona się zmieniła, chociaż ciągle była taka sama, była tą samą Niną.

Byłem wkurzony. Byłem zdezorientowany.

– Cześć – powiedziałem.

Weszła.

Od razu przystąpiła do rzeczy.

– Dostałeś list? – spytała.

– Tak.

Zamknęła drzwi.

– Uczysz się do egzaminu?

– Matmy.

– Zły jesteś?

– Zły? Dlaczego?

– Mogę siedzieć i się nie odzywać. A ty się możesz uczyć.

Przyniosła jakąś paczkę. Płaską. Kwadratową. Nie chciałem pytać, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Co to jest? – Wskazałem na to, co trzymała w ręku.

– Dla ciebie. – Uśmiechnęła się i położyła paczkę na podręczniku do matematyki.

Poczułem jej włosy na twarzy. Zanosiło się na burzę w nocy.

– Dla mnie?

– Tak.

Odwinąłem papier, ręce miałem śliskie od potu. *Sergeant*. *Sergeant Pepper*. *Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band*.

– Nowy long Beatlesów – szepnęła tuż za mną.

Schwytany. Związane ręce i nogi. Nowy longplay Beatlesów. Dlaczego nie było tu chłopaków, Gunnara, Seba i Oli? Wszystko źle. A jednak tak, jak powinno być.

Tylko się gapiłem. Twarze wpatrywały się we mnie. Cała gromada głów, a z przodu, w mundurach, wśród dziwnych roślin stali oni, oczekiwali czegoś ode mnie, oczekiwali, że coś zrobię, w tej chwili. Te cztery twarze, które ukazały się po otwarciu okładki, bliskie i natrętne, zmuszały mnie, żebym coś zrobił. Tył okładki. Teksty na czerwonym tle. John, George i Ringo wpatrywali się we mnie, natomiast Paul stał odwrócony plecami, tak jak ja siedziałem odwrócony plecami do Niny. Poczułem ją za sobą, odwróciłem się.

– Dziękuję – mruknąłem i położyłem płytę na gramofonie. – Dziękuję – mruknąłem jeszcze raz, zdmuchnąłem kurz z ramienia i pomodliłem się do Gąsiorowego Boga, żeby baterie wytrzymały.

Wydaje mi się, że wtedy, w moim pokoju, wieczorem przed egzaminem z matmy, z latem jak zielony bijący puls za oknem, coś się zmieniło. Nina obok mnie i ta muzyka, początkowo obca, tak jak Nina była obca, kiedy nagle stanęła w drzwiach. A potem je poznałem, i Ninę, i muzykę. Wtedy i ja musiałem się zmienić, pozwolić, żeby muzyka we mnie spłynęła, jak woda, otworzyć się na oścież, jak drzwi, których zamek długo był zacięty, inaczej nie potrafię tego określić. To było jak uniesienie samego siebie albo dźwiganie się nawzajem. Nasze ręce przesuwały się po podłodze, szukały drogi. *A Day in the Life*. Taki dzień, jedyny w swoim rodzaju. Gotów byłem się założyć, że jej usta wciąż mają smak jabłek.

Odprowadziłem ją do domu. Miała zostać w Norwegii do jesieni. Wszystko wyglądało inaczej, ulice, drzewa, okna, ludzie, których spotykaliśmy, uśmiechali się, tylko się uśmiechali. Nina szła boso po asfalcie, schłodzonym przed nadejściem nocy. Usiedliśmy przy fontannie, czuliśmy krople wody na karku.

– Jesper się nie liczy – powiedziała Nina.

Milczałem.

– Nie myśl o tym więcej – dodała.

Tak jakbym myślał.

Roześmiałem się głośno.

– Ty pewnie też spotkałeś inne dziewczyny – ciągnęła, nie patrząc na mnie.

– Nie zaprzeczę.

Zapaliłem papierosa.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiliśmy. Jabłonie w ogrodzie na rogu jaśniały bielą, a wszystkie psy z całego miasta zgromadziły się na Gyldenløves gate, ziajały i piszczały, podchodziły, obwąchiwały nas, przyjaźnie powarkiwały, najpewniej coś zwietrzyły. Za nami strumień wody wzbijał się do nieba.

Cała klasa patrzyła na mnie z zazdrością, kiedy rzucałem arkusz z odpowiedziami na katedrę przed zezowatym dyżurnym, a był zaledwie kwadrans po dwunastej. Wybiegłem z dusznej sali tortur, trzema skokami pokonałem schody i wpadłem wprost w objęcia Niny, która czekała na szkolnym dziedzińcu.

– Już skończyłeś! – Roześmiała się.

– Tak. Od razu pisałem na czysto. Zerżnąłem z brudnopisu Gunnara. Dyżurny widział tylko na metr.

Poszliśmy do mnie do domu po kąpielówki i po *Sierżanta Pieprza*. Gramofon Nina wzięła pod pachę i pojechaliśmy rowerem na plażę w Huk, Nina na bagażniku. Słońce igiełkami promieni kłuło nas w twarze.

Leżeliśmy tam cały dzień, aż ostatni plażowicze poszli do domu, a my zostaliśmy sami. Jedliśmy truskawki z zielonego koszyczka i wciskaliśmy uszy w głośnik, twarz przy twarzy. Brzuch i ramiona piekły. Nina posmarowała mnie kremem Nivea. Ja posmarowałem ją. Miała okulary przeciwsłoneczne, dwie pary, okrągłe i prostokątne, z niebieskimi i zielonymi szkłami. Leżeliśmy na plecach i otwartymi oczami wpatrywaliśmy się w zachodzące słońce.

Zostaliśmy zupełnie sami.

Żaglówki nachylały się nad wodą.

Na samym brzegu leżał jeden sandał.

– Zaczekaj tutaj – powiedziałem do Niny, wbiegłem na skałę, nabrałem powietrza i skoczyłem. Woda czernią uderzyła w oczy, pochwycił mnie zimny prąd. Na moment ogarnęła mnie panika, ujrzałem kołyszące się postacie z falującymi włosami, ciała poruszające się powolnymi, zmęczonymi, niemalże pięknymi ruchami, jak astronauci. Już się miałem poddać, rozsadzało mi czaszkę, ale dalej parłem w dół, aż w końcu dotknąłem dna. Pogrzebałem w piasku, wśród kamieni i wodorostów, chwyciłem coś okrągłego, szorstkiego, odbiłem się i wystrzeliłem ku zielonemu niebu.

Nina siedziała przy gramofonie. Z rękami za plecami, ociekający wodą, nachyliłem się nad nią.

– Z której ręki?

Długo się zastanawiała, zanim wybrała właściwą.

Podałem jej zardzewiały znaczek mercedesa. Roześmiała się i spytała, co to jest.

– Gwiazda, która spadła z nieba – wyjaśniłem.

Odłożyła go na trawę, przyciągnęła mnie do siebie. Włączyłem gramofon. Indie. To było magiczne. Niewiarygodne. Wciągnęło mnie. Śmiałem się z *When I'm Sixty Four* Paula, uważnie słuchałem westchnień na *Lovely Rita* i obudziły mnie koguty piejące na *Good Morning, Good Morning*.

– Baterie się wyczerpały – powiedziała Nina.

Miała rację. Muzyka falowała, dźwięki były coraz niższe, aż w końcu nie dało się ich słuchać.

– Nic nie szkodzi – stwierdziłem i pomogłem palcem. Odnalazłem właściwy rytm płyty. Trzydzieści trzy i jedna trzecia obrotu na minutę.

– Co ci się stało w palec? – spytała Nina.

Położyłem się przy niej, muzyka znów się rwała, szarpało nią, przeskakiwało.

– Wsadziłem w imadło na robotach.

– W imadło! – Roześmiała się.

– Tak. Chciałem zrobić pierścionek.

Nachyliła się nade mną.

– Dla kogo?

Przyciągnąłem ją do siebie i szepnąłem jej do ucha:

– Ale teraz już świetnie działa. To znaczy palec.

– Udowodnij – szepnęła Nina.

Znów więc puściłem muzykę, własnym palcem, aż rytm zaczął dudnić w nas, jak łódki dziobiące wodę fiordu, coraz mocniej i mocniej, coraz głośniej i głośniej, mój palec uczestniczył w każdym obrocie, aż do ostatniego krzyku, ledwie słyszalnego, odchylił jej głowę i *A Day in the Life* gwałtownie się urwał, przesuwając na wyciszone rowki.

Potem siedzieliśmy oparci o siebie plecami i wsłuchiwaliśmy się w ciszę, w ptaki, w fale, w wiatr, w łódki, które zniknęły.

– Musimy niedługo wracać – powiedziałem. – Czekają na nas u Seba.

– Kto?

Nina odchyliła głowę na moje ramię i uśmiechnęła się dołem do góry.

– Wszyscy! Gunnar i Sidsel! Seb i Guri! Ola i Kirsten!

Kiedy jechaliśmy do domu, spadł przelotny ciepły deszcz, ale nawet nie zdjęliśmy okularów przeciwsłonecznych. Nina siedziała na bagażniku, opowiadała o jakimś znajomym z Kopenhagi, który był w San Francisco i wybierał się do Indii. Nie wszystko, co mówiła, do mnie docierało. Myślałem tylko, myślałem sobie tylko, że wszystko tak długo trwało, a mimo to minęło tak cholernie szybko.

CZĘŚĆ II

HELLO GOODBYE
JESIEŃ ’67

To było w siedemnastym roku mojego życia, przedzierałem się przez jesienny las, potykałem o zarośla, gałęzie siekły mnie w twarz, igła kompasu drżała, wskazując północ i południe, ale narysowana odręcznie przez Szynkę mapa nie pasowała do terenu, już błądziłem, a gdy teraz okrążają mnie kroki, ślady stóp wokół Domu w mokrym styczniowym, noworocznym śniegu, kiedy ktoś znów tu był i próbował zajrzeć do środka, teraz myślę, że muszę się w y d o s t a ć z tego chaosu, ale kompas, który dostałem na konfirmację, obraca się bez sensu, a niewidzialne ptaki w górze zanoszą się krzykiem, przedzieram się dalej, zaczynam mieć mało czasu, zaczynam wpadać w panikę, czas mi ucieka, jestem ostatni, ale rozpycham gałęzie na boki i wreszcie widzę Cecilie, siedzi na kamieniu poniżej gospody w dawnej górskiej zagrodzie Ullevålseter i karmi kozę.

– Dużo punktów kontrolnych znalazłaś? – spytałem.

– Żadnego.

– A ja znalazłem tylko ten trzeci nad jeziorem Sognsvann, potem zgubiłem trop.

– Biegi na orientację to najgłupsza rzecz na świecie. – Cecilie dalej karmiła kozę kanapkami.

Przysiadłem na kamieniu, na wyciągnięcie ręki od niej, próbowałem wymyślić coś mądrego.

– Wydawało mi się, że zabłądziłem – powiedziałem. – To prawdziwa dżungla.

– Ja przyszłam prosto tutaj.

– Parę lat temu byliśmy tu na wyprawie na ryby. Z Sebem. I z Gunnarem, i Olą. Oni chodzą do B, do matematyczno-przyrodniczej.

Cecilie nie sprawiała wrażenia szczególnie zainteresowanej. Cecilie nie sprawiała wrażenia ani trochę zainteresowanej. Koza ssała jej palec, a Cecilie patrzyła wszędzie, tylko nie na mnie, tak jak w klasie. Siedziała

w rzędzie obok mnie w przedostatniej ławce, a bez jej profilu na tle okna, bez tego profilu prostego i miękkiego jednocześnie, nie mogłem się obyć, lecz jej oczy, wydaje mi się, że piwne, tak, piwne, nigdy nie patrzyły w moją stronę, patrzyły w sufit, za okno, w ławkę, na ciemnozielony las, nad którym jesienne niebo wypuszczało na ziemię chłodne, przezroczyste światło.

– Napijemy się piwa w gospodzie? – spytałem prędko i zdmuchnąłem z dłoni natrętną mrówkę.

Cecilie po prostu wstała i poszła, ja za nią, do gospody, gdzie znaleźliśmy stolik pod oknem. Zamówiłem piwo, Cecilie chciała sok porzeczkowy na gorąco.

– Chyba zeszliśmy na manowce – stwierdziłem.

Uśmiechnęła się.

– Jak to?

– A widziałaś tu kogoś innego ze szkoły?

Pokręciła głową. Fryzura jej się wtedy rozsypała, podobało mi się, że węzeł na karku trochę się poluzował i kosmyki sterczały na wszystkie strony, o rany, w żołądku miałem ołów.

Napiłem się piwa.

Nie wiedziałem, co dalej mówić.

Skręciłem sobie papierosa. Cecilie nie paliła.

– Jak się czujesz w naszej klasie? – spytałem głupio.

Roześmiała się, nie bardzo rozumiałem dlaczego, wyjrzałem przez okno, jakiś dziadek z plecakiem szedł, podpierając się kijem, koza w trawie stała na głowie.

– Nie bardzo wiem – odparła Cecilie.

– Sfinks jest przymulony – powiedziałem. – Mógłby stanąć jako posąg w parku Frogner. Od początku roku ani razu nie mrugnął. Dziwne, że oczy mu nie wysychają.

– Najbardziej lubię francuski – oświadczyła Cecilie.

– Znam jedną dziewczynę w Paryżu – pochwaliłem się.

– Tak? – spytała tylko, grzejąc dłonie o kubek.

– No, może nie dziewczynę – łagodziłem. – Kobietę. Koleżankę mojego stryja. Maluje obrazy.

Cecilie sprawiała wrażenie śmiertelnie znudzonej. Powoli wpadałem w desperację. Łyknąłem piwa, poszło mi do nosa, zacząłem kaszleć i kichać, aż piana leciała mi z dziurek.

Wtedy Cecilie na mnie spojrzała, właśnie wtedy, wprost na mnie, i się roześmiała.

– Trafiło nie w tę dziurkę – wyjaśniłem.

– W przyszłą sobotę urządzam prywatkę klasową – powiedziała.

Piwo spłynęło mi z zatok, przełknąłem je.

– O rany! Fajnie!

Skrzywiła się.

– Moi rodzice tak postanowili.

Cecilie mieszkała na półwyspie Bygdøy, w bogatej willowej dzielnicy, jej ojciec zajmował się zegarkami, lornetkami i biżuterią. Już się cieszyłem na tę imprezę, ale Cecilie najwyraźniej podchodziła do tego inaczej.

Znów się skrzywiła.

– Ich zdaniem trzeba urządzać spotkania klasowe, żeby wszyscy mogli się lepiej poznać.

– A oni będą w domu? – spytałem ostrożnie, dostrzegając wcale niemałą rysę na całej tej radości.

– Nie. Wychodzą.

– W przyszłą sobotę?

Cecilie kiwnęła głową i odgarnęła kilka włosów z twarzy. W moim brzuchu coś zaczęło się dziać, zdrętwiały mi koniuszki palców, a gęsia skórka z krzykiem pokryła plecy. Ciemne spojrzenie Cecilie przesunęło się obok mnie jak radionadajnik, wychwyciła sygnały i natychmiast przełączyła się na inną częstotliwość.

– Boję się klasówki z matmy – powiedziała tylko, znowu znudzona, a czas płynął.

Nagle za moimi plecami rozległ się piekielny hałas i pojawił się Seb, po kolana mokry, z rozczochranymi włosami, z kapturem od anoraka pełnym igieł i gałązek.

– Tutaj siedzicie! – wysapał. – Pół szkoły was szuka, idą tyralierą.

Spojrzeliśmy na zegarki. Dochodziła piąta. Na mecie mieliśmy być najpóźniej o trzeciej.

Seb przysiadł z nami.

– Sfinksa coś nareszcie poruszyło. Nie zapowiada się dobrze.

– Zabłądziliśmy – powiedziałem. – Nic nie poradzę na to, że zabłądziliśmy.

– Powiem, że znalazłem was w bagnie – oświadczył Seb.

Wyszliśmy.

– Szynka biega nad Skjennungen z walkie-talkie. Sfinks czeka przy kwaterze głównej.

– Kto wygrał? – zainteresowała się Cecilie.

– Skąd mogę wiedzieć? Myśmy się zapałętali aż do jeziora Bånntjern i Ola wpadł do wody.

– Jak mu się to udało? – Roześmiałem się.

– No, nie do końca wpadł. Ostatnie piwo wyleciało mu z ręki i po nie wskoczył. Wyciągnął ludzką kość.

– Kość!

– Przecież wiesz, że w dawnych czasach do Bånntjern wrzucali dzieci. Ola cały się rozdygotał. Zanieśliśmy go na stację i Piła odwiozła go do domu. Gunnar was szuka koło Gaustad.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do kwatery głównej przy jeziorku Svartkulp, Sfinks nie miał zadowolonej miny, ale musiał się chyba ucieszyć, że żyjemy. O naszym wychowawcy Sfinksie niełatwo było coś powiedzieć, miał wielkie ręce i wielką głowę, a poruszał się raz na sto lat. Teraz się poruszył. Dwa razy. Dostałem niezły ochrzan, próbowałem zwalać na kompas, ale nie pomogło. Na Cecilie w ogóle nikt nie nakrzyczał, a Seb otrzymał medal za to, że nas znalazł.

Kolejką pojechaliśmy na Majorstua, tylko Sfinks musiał zostać i szukać Szynki, bo Szynka miał walkie-talkie jako jedyny i nic by mu nie przyszło z krzyków do mikrofonu i kręcenia pokrętłami, najwyżej złapałby jakiegoś radioamatora z Japonii. Właściwie trochę szkoda nam było Szynki.

Usiedliśmy w przedziale dla palących, zapaliliśmy skręty i śmialiśmy się. Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko Cecilie, czułem jej udo przy swoim. Nie słuchała, o czym gadamy z Sebem.

– Już myślałem, że Ola nie wypłynie – mówił Seb.

– Nie zdjął kaloszy?

– Zdjął, ale tylko kalosze. Gunnar o mało się za nim nie rzucił, ale Ola nagle wyskoczył do góry jak sputnik, z kością w ręku. O rany! Największy wyskok z wody, jaki widziałem od czasu tamtego szczupaka w Skillingen.

Cholernie głupio, że Gunnar i Ola poszli do innej klasy, pomyślałem. Nie będą mogli przyjść do Cecilie.

– Cecilie urządza w przyszłą sobotę prywatkę klasową – powiedziałem.

Seb pstryknął trzy razy i wychylił się nade mną.

– Super. – Poklepał ją po ramieniu. – O której mamy się stawić?

– O siódmej – odparła. Siedziała obok mnie sztywna i patrzyła przed siebie, a ja gotów byłem się założyć o to, że chociaż Cecilie to twardy orzech do zgryzienia, to ja sobie z nim poradzę, na pewno. Zdaje się, że nie powinienem był pić tego piwa w Ullevålseter.

Stryj Hubert rysował kasztelanów i ordynatorów dla tygodników. Mało go widywałem tej jesieni. Henny była w Paryżu. Jensenius śpiewał coraz mniej, pewnie już czuł nadchodzącą zimę. Kiedy mu kupowałem piwo, wysuwał tylko sflaczałą rękę przez szparę w drzwiach i znikał. Czasami wychodził też się przejść, schody paskudnie wtedy trzeszczały, i chyba błąkał się gdzieś daleko po mieście, bo do domu zawsze wracał taksówką, a raz próbował włamać się do Auli. Coś go dręczyło. Wszyscy mówili, że dziadek może umrzeć w każdej chwili, ale dziadek nie umierał, ani trochę. Cały czas żył. Siedział w fotelu przy oknie i przytupując nogą, śmiał się z czegoś, czego nikt nie rozumiał. Papużka babci pewnego dnia zniknęła, wyfrunęła przez okno. Babcia rozlepiła kartki z informacją, że jej szuka, na wszystkich drzewach w całej zachodniej części Oslo, dała też ogłoszenie do „Aftenposten", ale ptaszek sobie poleciał. Rodzice dość histerycznie reagowali na starą marynarkę, którą przywiozłem do domu z Nesodden, tę jasnoszarą, lnianą, po pradziadku, dwurzędową i dość znoszoną. Żaden ranek nie obywał się bez utyskiwania i pytań, dlaczego nie mogę raczej

nosić tej tweedowej, którą mama kupiła mi na urodziny. Mama najwyraźniej zapomniała o tym balu przebierańców, który sobie urządziliśmy tamtego lata, dawno temu. Poza tym jednak chodzili wokół mnie na palcach, ogromnie zadowoleni z tego, że mają syna w liceum. Ale kiedy człowiek już zaczął tam naukę, to wcale nie było tak trudno. Po prostu zmieniało się budynek, kilku nauczycieli, trafiało do nowej klasy. Znów było tak jak z tą szczepionką na ospę, znów czuliśmy się trochę oszukani, zawsze tak się działo. Czas oczekiwania był najlepszy albo najgorszy, w zależności od sytuacji, ale kiedy już coś się stało, kiedy człowiek się w tym znalazł, to coś jakby wtedy mijało, a w oddali zaczynało majaczyć coś lepszego, wspanialszego, albo brzydszego i okropniejszego. I znów trzeba było czekać, cieszyć się albo bać.

To było męczące.

Ale teraz nie wiedziałem już, na co czekam.

Chociaż nie.

Na prywatkę u Cecilie.

Znów założyłem okiennicę na ostatnie okno.

*

Zaczęło się grzecznie – od tweedów, spódniczek do połowy uda, od naparstka sherry dla każdego. Staliśmy w największym salonie, jaki w życiu widziałem, w istnym hangarze pełnym zegarów, które równocześnie wybiły siódmą, a ojciec Cecilie wygłosił, jasna cholera, przemowę do nas. Życzył nam powodzenia, ale nie bardzo wiedziałem w czym. Matka stała trzy kroki z tyłu, w sukni do ziemi i naszyjniku z pereł, a Cecilie czekała ze spuszczoną głową. Sebowi i mnie cholernie chciało się sikać, bo pochłonęliśmy wcześniej kilka piw na dobry początek, który bardzo by nam się przydał, bo było nas szesnastu chłopaków na sześć dziewczyn, więc zapowiadała się ostra walka. Miałem paskudne podejrzenia, że Cwany Leif krąży wokół Cecilie jak jastrząb, ale nie uważałem tego krótkowidza z podwójnym podbródkiem za wielkie zagrożenie. Gorzej było z Pederem, biegaczem na czterysta metrów,

żeglarzem i zwycięzcą biegu na orientację, wciąż opalonym po lecie. Jego nie można było lekceważyć. Już zapewnił sobie miejsce niebezpiecznie blisko Cecilie, a ja stałem z zaciśniętymi nogami i zdesperowany czekałem, aż zegarmistrz przestanie cykać.

Wreszcie się zaciął. Wyszedł ze swoją diwą i wśród trzody zapanowało ogólne poruszenie. Seb i ja natychmiast polecieliśmy do kibla, na piętrze były trzy do wyboru, marmury, złote krany, greckie posągi we wnękach i wprawione w ściany zegary. Ledwie miałem odwagę się wysikać. Seb wysupłał z rękawa marynarki ostatnie piwo, prawdziwy specjalista, nigdy nie mogłem pojąć, jak mu się to udaje. Wypiliśmy duszkiem.

– Trafiliśmy pod niewłaściwy adres – powiedział Seb. – To jest Drammensveien jeden, Zamek Królewski.

Zbiegliśmy na dół, żeby nie przepadła nam faza startowa. Na stołach pojawiło się kilka butelek, dym papierosowy zasnuł hol jak chmury zwiastujące dobrą pogodę, a ktoś roznosił talerze z jakąś parującą mięsną masą. Staraliśmy się nawzajem wybadać, obśmiewaliśmy nauczycieli, liczyliśmy dziewczyny – wszystkie się stawiły. W przedpokoju wypatrzyliśmy grupkę z piersiówką, to byli Leif, Kostur i Ulf. Wykłóciliśmy się o kolejkę, Leif patrzył na mnie przez te swoje metrowej grubości okulary, jakby się zastanawiał, gdzie jest Cecilie, nie mówiąc już o Pederze, jakbym to wiedział. Wróciłem do hangaru i zmrużonymi oczami obejrzałem krajobraz, pięć dziewczyn na kanapie, z jedenastoma bykami na plecach, więc poszedłem do kuchni, no i oczywiście tam ich znalazłem. Peder pomagał Cecilie przy garnkach.

Dostałem do rąk gorący jak piekło talerz.

– To ciebie zdyskwalifikowali podczas biegu na orientację – powiedział Peder, śmiejąc się na obie strony.

– Owszem. Potknąłem się o gospodę Ullevålseter.

– Trzeba mieć nawigację w porządku. No i prędkość.

Nie miałem ochoty wysłuchiwać opowieści żeglarza, więc znów wyszedłem, w hangarze przybyło życia. Muzyka grała na full, jakiś ckliwy jazz, trzy pary ślizgały się po parkiecie, trwały dalsze negocjacje. Seb, leżąc na podłodze, grzebał w płytach i z rezygnacją kręcił głową. Nie mogłem pozbyć się z pamięci widoku Pedera i Cecilie, w rozpaczy wyciągnąłem ręce

i w biegu chwyciłem Verę. Przeraziła się tak, że się do mnie przycisnęła, miała ciepły oddech i oczy podkreślone czarną kredką. W głośnikach zawodziło jakieś przeklęte tango, a ja objąłem ją jeszcze mocniej. Odchylałem ją do tyłu, ludzie się cieszyli. Peder i Cecilie przynieśli jeszcze więcej jedzenia. Cecilie się zatrzymała, nasze spojrzenia się skrzyżowały, nie trwało to długo, ale to był pierwszy raz, pierwszy raz p a t r z y l i ś m y na siebie. Puściłem Verę, usiadłem w fotelu i zapaliłem papierosa. Vera została sama na środku, jak maleńkie dziecko opuszczone w wielkiej gromadzie.

Peder przyniósł mi talerz z jedzeniem.

– Otwórz buzię, zamknij oczy – powiedział.

– Nie jestem głodny. – Dmuchnąłem mu dymem w przedziałek.

Przysiadł na brzegu stołu.

– Fajną masz dzisiaj marynarkę. – Potarł tweed. – Całkiem nowa, tak?

Dookoła nastawiono uszu.

– Odziedziczona po stryju Jezusa – odparowałem.

Peder dalej pocierał klapy mojej marynarki. Guziki jego blezera mnie oślepiły.

– Tak właśnie myślałem. Bo ty kupujesz ubrania u Armii Zbawienia, no nie?

Już od dawna nie myślałem o Fredzie. Teraz stanął mi przed oczami, w tych swoich szerokich spodniach, no i ten szczur, widziałem szczura leżącego w świetle latarki.

To się stało bardzo szybko. Trafiłem w kość nosową. Peder zatoczył się do tyłu, strużka krwi cieknącej po jego ustach i podbródku przypominała kształtem kolumnę.

Dziewczyny zaczęły krzyczeć, przybiegła Cecilie, Cwany Leif i Kostur przytrzymali mnie od tyłu, a Cecilie zaprowadziła Pedera na górę do łazienki; uznał mnie za zbyt prymitywnego, żeby chciało mu się oddawać.

Zrobiło się zamieszanie, kraj podzielił się na dwa obozy, za mną i przeciwko mnie. Dziewczyny trzymały stronę Pedera. Cwany Leif wystąpił w roli rozjemcy, Kostur się śmiał, aż mu piana szła z ust, a Vera patrzyła na mnie drwiąco.

Seb wziął mnie na bok.

– Co się stało?

– Ten błazen obrzucił gównem Freda.

– Freda?

– Naśmiewał się z Armii Zbawienia.

Seb kiwnął głową, kilka razy.

– Dostał, na co zasłużył.

Peder i Cecilie spędzili w łazience cholernie dużo czasu, czyżby musiała mu szyć nos? Łaskotało mnie w brzuchu, paliłem, dopóki gardło nie zmieniło się w matę nabijaną gwoździami. Pary zaczęły się łączyć. Vera leżała w głębokim fotelu z Mortenem, Astrid stała w klinczu na parkiecie z Torgeirem, Trude przyciskał do ściany Atle, który zginał się nad nią jak banan. Wokół ostatnich wolnych spódniczek trwała gorączkowa aktywność, a *Dźwięki muzyki* bzyczały w powietrzu jak odurzony rój pszczół. Nagle zjawił się Peder, z wacikiem w dziurce od nosa. Od drzwi obserwowała go Cecilie. W pokoju zapadła cisza. Zatrzymał się pięć centymetrów ode mnie. Sięgałem mu do węzła krawata.

Wyciągnął rękę.

– Przepraszam – powiedział.

Nie wierzyłem własnym uszom.

Powtórzył to.

– Przepraszam. Jesteśmy kwita.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, kilka razy nimi potrząsnęliśmy.

– Przepraszam. – Podkuliłem ogon.

Zabawa znów eksplodowała. Peder odwrócił się na pięcie, poszedł z powrotem do Cecilie, ja dalej stałem zmieszany, tak jak niedawno Vera, i zrozumiałem, że to ja przegrałem, że wygrał Peder, a ja zostałem wciśnięty we własne buty, zdeptany własnymi podeszwami.

Minęło kilka godzin, o których nie bardzo mam pojęcie. Siedziałem, paliłem, wypatrywałem Cecilie. Pary już się ustaliły, w ostatniej chwili dokonano paru roszad. Vera przestała ze mnie drwić spojrzeniem. Cecilie zniknęła. Peder również. Podszedł Seb.

– Smętna historia – stwierdził. – Spróbujmy się dostać do Club 7.

Pokręciłem głową.

– To przecież tuż za zatoką. Możemy przepłynąć.

– Nie. Ja zostaję.

– Widziałeś ten regał z płytami? Frank Sinatra, Mozart i Floyd Cramer.

– Zostaję.

– Rozumiem. – Seb na tych swoich długich, chudych nogach przemieścił się do innego kąta.

Zrobiłem rundę po Zamku. Wszędzie korytarze i komnaty, schody w górę i schody w dół, potrzebowałem co najmniej kompasu, chichotałem, a przynajmniej usiłowałem chichotać, w gębie miałem cement. W tym domu można się było poczuć samotnym. Zacząłem trochę rozumieć Cecilie. I nienawidzić Pedera. Ruszyłem długim korytarzem z drzwiami po obu stronach, portrety rodzinne na ścianach wisiały rzędem. Z dołu dochodziły muzyka, głosy, śmiech. Nagle usłyszałem inny dźwięk, dobiegał zza uchylonych drzwi. Podszedłem do nich na palcach, serce wybrzuszyło mi się pod koszulą, ostrożnie zajrzałem do środka, otworzyłem drzwi całkiem i serce opadło mi w piersi jak winda. Cecilie leżała w łóżku, przez moment wydało mi się, że leży z kimś, z Pederem. Cała krew odpłynęła mi z głowy. Po chwili zorientowałem się, że jest sama. Odwróciła się powoli w moją stronę. Twarz miała zapuchniętą i czerwoną, nie przypominała tej Cecilie, którą znałem do tej pory.

– Coś nie tak? – wybąkałem.

Usiadła, wytarła oczy i po sekundzie znów była dawną Cecilie. Cecilie w zbroi.

– Nie. A co? Poczułam się trochę zmęczona.

Nie potrafiłem jej nic powiedzieć. Poszedłem za nią na dół. Peder stał razem z Cwanym Leifem i Kosturem, o czymś dyskutowali. Seb siedział w fotelu i nudził się jak mops. Cecilie podeszła do Very i Atlego, do mnie odwróciła się plecami. Najwyraźniej byłem wart jedynie pleców.

Wysępiłem od Seba papierosa.

– Niski bieg – powiedział. – Trzeba będzie wrzucić wsteczny.

– Myślisz, że nas wpuszczą do Club 7?

– Możliwe. Gunnar i Ola mieli próbować. Ale poszli razem ze Stigiem.

Cwany Leif przywołał nas gestem, powlekliśmy się do ich kąta. Niewiele mieliśmy do stracenia. Peder palił. Rzadki widok. Czterysta metrów. Z nosem oklejonym plastrem zezował na mnie z pogardą.

– Barek – szepnął Leif, przewracając oczami. – Musimy znaleźć barek, *boys*!

To nie był wcale taki zły pomysł. Umówiliśmy się, że się spotkamy za kwadrans w tym samym kącie, i rozeszliśmy się w różne strony. Ekspedycje wróciły z pustymi rękami.

Wtedy Seb sobie poszedł. Powiedział, że spróbuje poszukać gdzieś Guri.

– On musi trzymać alkohole w sejfie – stwierdził Peder.

– Nie jestem kasiarzem – powiedział Kostur.

– Lodówka – podrzucił Leif.

Przenieśliśmy się do kuchni. Tam też nic. Samo mleko. Mnóstwo mleka. Usiedliśmy przy stole. Czarno się to zapowiadało. Z czasem dołączyli do nas inni, ci, o których było za dużo. W końcu siedziała nas tam spora gromada i wszyscy mieli wielką ochotę się napić. Nagle Cwany Leif się ożywił. Pstryknął krótkimi palcami i zachichotał.

– Widzisz drzazgę w oku bliźniego, a belki we własnym nie dostrzegasz – powiedział.

Nachyliliśmy się nad stołem.

– Co masz na myśli?

– Nie wiecie, skąd to jest? Nie byliście jeszcze u konfirmacji? Ojciec jest lekarzem. Potrzebuję pół godziny.

Wyszedł. Musieliśmy czekać trzy kwadranse, dopiero wtedy Cwany Leif wrócił z wypchaną kurtką i postawił na stole dwa słoiki z czymś przezroczystym.

– Dziewięćdziesiąt sześć procent. Spirytus medyczny. Towar prima sort.

Rozstawiliśmy szklanki, atmosfera była dość napięta.

– Z czym zmieszamy? – spytał jeden z pijących.

– Ja będę pił czysty. – Kostur już wsunął język do słoika.

Tego wieczoru nic więcej nie powiedział. Leżał tylko w kącie i syczał.

– Mleko – zaproponował Leif.

Butelki z mlekiem stanęły na stole, wymieszaliśmy kilka solidnych porcji.

– Tego zupełnie nie widać. – Pål zaśmiał się i uniósł szklankę.

Napiliśmy się. Popatrzyliśmy na siebie. Znów się napiliśmy.

– W ogóle bez smaku – stwierdził Ulf.

Cmokaliśmy, wąchaliśmy, znowu piliśmy.

– Tym się w ogóle nie można upić – zawyrokował Tormod.

Rozlaliśmy następną kolejkę. Wypiliśmy i sprawdziliśmy.

– Smakuje mlekiem – uznał Peder.

Zgodziliśmy się z nim. Smakowało głównie mlekiem.

– Jesteś pewien, że to ma dziewięćdziesiąt sześć procent? – spytał Leif.

Cwany Leif wskazał na Kostura podłączonego do kranu. Tak, to musiało być dziewięćdziesiąt sześć procent. Bez wątpienia.

Otworzyły się drzwi i do kuchni zajrzała Cecilie.

– Pijecie mleko – powiedziała tylko.

– No właśnie – potwierdził Leif. – Mleko to jest to.

Roześmiała się i poszła.

– Ja się w każdym razie tym nie upiję – oświadczył Peder.

Leif rozlał kolejną porcję.

Piliśmy, cmokaliśmy, paliliśmy i piliśmy.

Potem wstał Ulf, zwykle stabilny typ, z płaskostopiem, porządny. Obrócił się trzy razy wokół własnej osi i walnął czołem w ścianę. Tak już został.

Spojrzeliśmy po sobie. Potem zaczęliśmy powoli się podnosić i chyba właśnie wtedy impreza tak naprawdę się zaczęła. Albo skończyła. Przewracaliśmy się, łaziliśmy na czworakach, zderzaliśmy się, padaliśmy na pysk. Pål się zaklinał, że chodzi po suficie, Tormod usiłował wejść do lodówki. Rozpaczliwie szukaliśmy drzwi. Kåre zniknął w spiżarce, Otto szarpnięciem otworzył szafkę i kuchnię zasypał śnieg śmieci. Wreszcie ktoś odnalazł klamkę i wypadliśmy do holu jak stado pijanych cieląt, cierpiących na taniec świętego Wita. W salonie zapanowało pewne poruszenie, pamiętam, że widziałem twarz Cecilie, jaśniejący, biały, śmiertelnie wystraszony owal, a potem nie pamiętam już nic, aż do chwili,

gdy stanąłem na dachu. Stałem na dachu domu Cecilie, niebo było gwiaździste, wiał niebieski wiatr. W dole ludzie biegali z krzykiem po ogrodzie, daleko było do nich, daleko, głęboko i ciemno. Balansując, przeszedłem po stromych dachówkach. Na dole, w ciemnozielonym ogrodzie ktoś płakał. Tańczyłem na dachu domu Cecilie. Nagle usłyszałem kogoś za plecami. Odwróciłem się gwałtownie, o mało nie spadłem, poślizgnęła mi się jedna stopa i poleciałem do przodu. Przenikliwy krzyk, jakby oszalałego ptaka, rozdarł noc. Podniosłem się, stanąłem nieruchomo. Głos był blisko mnie.

– Kim, do diabła!

Zapaliło się światło i zobaczyłem twarz Pedera wystającą z otworu w dachu.

– Zabijesz się! – zawołał.

O, nie! To się nie powtórzy, tego zwycięstwa mu nie oddam. Wdrapałem się na samą kalenicę, usiadłem na niej okrakiem i zapatrzyłem się na Frognerkilen, na Nesodden, na światła wzdłuż fiordu, na wszystkie jasne i drżące punkty nocy, jakby odbicie gwiaździstego nieba w ziemi. Potem się podniosłem, stanąłem wyprostowany na szpiczastym kancie, jeszcze nigdy nie czułem, żebym stał tak pewnie. Peder zniknął z otworu w dachu, a w ogrodzie zapanowała martwa cisza. Ciemność pochłonęła wszystkie dźwięki, tylko moje serce waliło, jakby wściekłe dłonie grały na kotłach nocy.

Przeczołgałem się do klapy w dachu i zszedłem na strych.

Pamiętam jeszcze, że impreza się zwijała, dziewczyny płakały, chłopcy rzygali, Cecilie stała przyklejona do niebieskiej ściany, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków.

– Pomogę ci posprzątać – wybełkotałem.

– Wynoś się! – syknęła, mrożąc mnie spojrzeniem.

Wyniosłem się.

Nie miałem pojęcia, dokąd idę. Wiedziałem tylko, że w siedemnastym roku życia, wypędzony z Zamku, przedzieram się przez Królewski Las. Dookoła groźnie kołysały się wielkie drzewa, a kiedy dotarłem do morza, położyłem się pod krzakiem i zasnąłem jak otoczak w zatoce Paradisbukta.

Obudził mnie ziąb. Zmarzłem jak parszywy, obdarty ze skóry pies, aż szczękałem zębami. Była szarówka, szare światło, fale ostro biły o brzeg. Buty miałem mokrusieńkie, marynarkę zarzyganą, głowę opuszczoną do połowy masztu. Byłem jedynym człowiekiem na świecie, a nie mogłem sobie zaufać.

A potem zrobiłem najgłupszą rzecz, jaką mogłem zrobić.

Pomysł utkwił na dobre w rozmiękczonym, oszalałym mózgu.

Odnalazłem drogę do domu Cecilie.

O świcie wyglądał jak kolos. Zasłony w pokoju Cecilie były zaciągnięte. Na palcach przeszedłem po trawniku. Drzwi nie zamknięto na klucz. Wemknąłem się do środka, stanąłem w ogromnym salonie, w którym zabawa zostawiła wyraźne ślady. Po cichu wszedłem na górę. Korytarz z mnóstwem drzwi wydawał się nie mieć końca. Potknąłem się, na czworakach przemieściłem się po miękkim chodniku pod drzwi pokoju Cecilie. Nasłuchiwałem. Usłyszałem, że śpi. Naprawdę. Usłyszałem jej oddech, jej sny i to, że się obraca na prześcieradle. Już miałem się podnieść, żeby sięgnąć do klamki, gdy nagle poczułem na karku dłoń, która podniosła mnie jeszcze wyżej. Uderzył we mnie lodowaty głos:

– Co ty, u diabła, sobie wyobrażasz…

Ojciec Cecilie obrócił mnie dokoła i w tej samej chwili otworzyło się dwoje drzwi. Matka Cecilie stała w szlafroku, z otwartymi ustami. Cecilie patrzyła na mnie. Wmówiłem sobie, że ma nieszczęśliwą minę. Zostałem wyciągnięty z tego domu jak pies, którym byłem, do ogrodu i wyrzucony za bramę. Nie słyszałem wszystkiego, co ten człowiek mówił.

Musiałem jeszcze dotoczyć się do domu, gdzie czekał inny ojciec. Siedział na stołeczku w przedpokoju, z podkrążonymi oczami i zbielałymi kostkami u rąk.

– Gdzie byłeś?! – krzyknął.

Nie miałem nic do powiedzenia.

Potykając się, minąłem go.

– G d z i e byłeś? – powtórzył, wymachując rękami.

– Na przyjęciu – szepnąłem.

Uderzył. Uderzył płaską dłonią i przeraził się tak samo jak ja. Natychmiast przyciągnął rękę do siebie, jakby się sparzył.

Teraz pojawiła się i matka.

Było nas o trzy osoby za dużo.

– Będziesz już musiał się ostrzyc, Kim – powiedziała tylko.

Staliśmy trochę zakłopotani, patrząc na siebie. Ojciec chował rękę za plecami i próbował się dziwnie uśmiechnąć.

– Spać mi się chce – oznajmiłem i poszedłem do swojego pokoju. Zamknąłem drzwi na klucz.

Dopiero wtedy pojawił się lęk, z opóźnieniem, za późno, kolana się pode mną roztopiły i zwymiotowałem do kosza na papiery. W tej samej chwili okno rozświetliło słońce, zapowiadała się piękna niedziela, ostatnia tego roku z resztkami lata, *Indian summer*.

Położyłem się do łóżka i nagle wystraszyłem się tego lęku. Lęku, który przyszedł za późno.

Czy to już wszystko? Tak. Jestem słoniem i nigdy nie zapominam.

Leżałem chory, nie śpiąc, a w tym czasie rodzice pojechali do Nesodden po jabłka. Po jabłka.

Po tej imprezie wzbudziłem podziw wielu osób. Nazywali mnie Karlsen z Dachu. Ale nie widzieli zakończenia. Widziała je natomiast Cecilie. I teraz nie dość, że na mnie nie patrzyła, to jeszcze się do mnie nie odzywała. A najgorsze, że zmieniła ławkę. Przeniosła się bliżej katedry, miałem widok tylko na jej szyję, napiętą, jakby w środku tkwiły dwie naprężone liny. Na nic się zdało choćby podchodzenie do niej, odsuwała się, znikała, a ja się czułem wtedy jak zgniłe jabłko, inni natomiast uważali, że jestem niesamowity, i zastanawiali się, czy mam śmigło na plecach; do końca roku nie mówiło się już o niczym innym, tylko o tej prywatce.

A ja się zastanawiałem, jak mogę znów okrążyć Cecilie, to się jednak wydawało kompletnie niemożliwe, dzwony biły za każdym razem, gdy robiłem krok w jej stronę, byłem trędowatym szaleńcem. Jedyną pociechę stanowił fakt, że Peder również popadł w niełaskę na dworze, na to przynajmniej wyglądało. Za to Cwany Leif pozostał w dobrych układach

i mógł przekraczać granice rewiru, chociaż to on zorganizował tę przeklętą wodę ognistą. Nie było sprawiedliwości na świecie.

Wieczorami przesiadywaliśmy u mnie, bo u Seba, Gunnara i Oli były awantury i sceny. Na Bygdøy allé, tuż za kinem Gimle, stawiano wielki budynek, miał się tam mieścić supermarket z samoobsługą. Ojciec Gunnara w ciągu jednej nocy przygarbił się i posiwiał. Martwił się o swój sklepik, o to, co z nim będzie. Stig nie strzygł się od Nowego Roku, miał najdłuższe włosy na Frogner, i dyrektor Szkoły Katedralnej zagroził, że go wyrzuci, jeśli nie zmieni fryzury, ale Stig dalej zapuszczał włosy, zrobiła się z tego piekielna chryja. W gronie klientów ojca Oli zostali wyłącznie łysi emeryci, był więc pewien, że zbankrutuje, jeśli młodzież znów nie zacznie się strzyc. W mieszkaniu chodził po pokoju i trenował z nożycami na sucho, bo teraz uratować go mogło jedynie zajęcie dobrego miejsca na fryzjerskich mistrzostwach Norwegii w Hønefoss. A ojciec Seba przyjechał do domu na trzymiesięczny urlop, kłócił się z matką, podobno któregoś wieczoru rzucił o ścianę dzbankiem z herbatą, więc tam też nie można było liczyć na spokój. Dlatego przesiadywaliśmy u mnie, starzy jakoś się uspokoili po moim powrocie tamtego ranka, siedzieliśmy u mnie w pokoju, paliliśmy, piliśmy herbatę i pociągaliśmy się za wąsy.

O The Snafus rozmawialiśmy niewiele, od czasu *Sierżanta Pieprza* jakby się nie dało. Od czasu *Lucy in the Sky* i *A Day in the Life*. Śmialiśmy się z *Love Me Do* i już dawno usunęliśmy zdjęcia ze ścian. Do późnego wieczoru gadaliśmy o tekstach, uważaliśmy, że to najwspanialsze rzeczy, jakie napisano od czasu Biblii i sag.

Zgłębialiśmy je do dna.

– *Lucy in the Sky with Diamonds* – powiedział Seb. – To znaczy LSD.

A BBC odmówiło puszczania *A Day in the Life*.

Dopiero teraz wszystko się zaczynało.

Tak mijały wieczory. Przy herbacie, dymie i muzyce. Ola gadał o Kirsten. Latem wybierał się do Trondheim. Zaklinał się, że pojedzie. Na płycie Seba i Guri pojawiła się rysa. Guri poznała jakiegoś lizusa narciarza z Ris i Seb już się martwił, że spadnie śnieg. Gunnar i Sidsel chodzili ze sobą, od bezpiecznych pleców Gunnara nikt nie mógł się oderwać. A ja dostałem list od Niny; pisała, że to było cudowne lato, najcudowniejsze, jakie przeżyła.

Pisała, że paliła haszysz i tak dziwnie jej się śniłem. Ale ja już prawie zapomniałem o tym lecie i nie odpisałem.

Któregoś wieczoru Gunnar pojawił się z płytą pożyczoną od Stiga, który twierdził, że ten krążek jest jak odbezpieczony granat, że trzeba zapiąć pasy i otworzyć spadochron, aby wytrzymać to, co na nim jest. Z ciekawością obejrzeliśmy okładkę. The Doors. Nigdy o nich nie słyszeliśmy. Położyliśmy płytę na talerzu i podkręciliśmy głośność na full. Rzeczywiście coś się stało. Leżeliśmy później zakrwawieni każdy w swoim kącie i z krzykiem domagaliśmy się powietrza. To było najgorsze. Zebraliśmy swoje szczątki i znów ułożyliśmy się przy głośniku. Byliśmy jak wyciągnięte na pomost ryby, którym pulsują skrzela. Takich organów nie słyszało się w kościele. To było coś zupełnie innego niż wilgotne, lepkie akordy Gąsiora. A ten głos pochodził z innej planety.

Jim Morrison.

– Mocne – powiedział Seb. Tyle zdołał wykrztusić. Leżał na podłodze zlany potem.

The End.

Znów poczułem ssący wir. Płuca nadęły się jak wielkie balony. Czekałem na krzyk. Myślałem o korytarzach w domu Cecilie, o rzędzie drzwi, o portretach.

Father, I want to kill you.

Później, już po wyjściu Seba, Gunnara i Oli, kiedy rodzice się położyli, otworzyłem okno i śpiewałem w jesienną noc. Śpiewałem z całych sił, tak jak wtedy na plaży, ale nikt mnie nie słyszał, ani Jensenius, ani rodzice, ani nawet Cecilie, chociaż wiatr wiał w stronę Bygdøy, a noc była cicha, jakby spod miotły uciekły wszystkie myszy.

Tego dnia, kiedy golarz z Solli plass pojechał do Hønefoss na mistrzostwa Norwegii, siedzieliśmy u Oli, zbliżała się zima, egzamin semestralny, a Beatlesi wydali nową płytę. Nie bardzo się podpaliliśmy, chociaż staraliśmy się nawzajem nakręcać, ale nad tymi utworami zawisł cień *Sierżanta Pieprza*. Bez dwóch zdań. *Hello Goodbye*. Życie po *Sierżancie Pieprzu* nie było łatwe. Druga strona okazała się najdziwniejsza od czasu *Tomorrow Never Knows*. Gunnar się poddał. Zatkał uszy. *I Am the Walrus*.

– Okropne – mruknął.

Ola się z nim zgodził.

– No ale posłuchajcie t e k s t u! – próbował Seb i już zaczął tłumaczyć go na norweski. – No posłuchajcie! Przecież tak wyglądają nasze sny, prawda? – powiedział z przejęciem.

– Muszę lecieć – oznajmił Gunnar. – Zostało mi równanie, którego nie umiem rozwiązać.

Ola przeglądał podręcznik do matematyki.

Puściliśmy jeszcze raz pierwszą stronę. Zacząłem myśleć o Ninie, przez moment kręciło mi się w głowie, potem chciałem myśleć o Cecilie, nie mogłem opuścić haczyka do dna, nie mogłem nawet go zarzucić, żyłka się splątała, totalny supeł. Cecilie ciągle się do mnie nie odzywała. Znów pomyślałem o Ninie i trochę się wystraszyłem, bo nagle okazało się, że zapomniałem, jak wygląda; bez względu na to, jak się starałem, nie potrafiłem przypomnieć sobie jej twarzy. Dziwne. I straszne. Potem myślałem o zabawie w szkole. Po świętach na szkolnej zabawie mieli zagrać Public Enemies.

Zburzę wtedy ten mur przeciwdźwiękowy.

Goodbye.

Hello.

REVOLUTION
’68

Miałem serce w gardle, ale oprócz tego nie miałem nic, byłem trzeźwy jak niemowlę, żeby Cecilie przynajmniej nie mogła mi zarzucić, że wygłupiłem się po pijaku dwa razy z rzędu. Stałem sam w sali gimnastycznej, reszta chłopaków była w tajnej palarni w pierwszej D. Samorząd szkolny zaangażował żandarmerię w roli ochroniarzy. Wojna trwała. Nigdzie nie widziałem Cecilie.

Pojawił się zespół, Public Enemies. Wyglądali, jakby wyszli prosto z jaskini, i zajęli scenę w rogu, o rany, to była zupełnie inna rasa niż Snowflakesi. Pojawili się w najgorszych ciuchach, jakie kiedykolwiek widziałem. Moja stara marynarka z Nesodden w porównaniu z ich łachami była eleganckim blezerem. Rozglądali się zmrużonymi oczami, jakby nie do końca rozumieli, gdzie się znaleźli, organista przewrócił butelkę na klawisze, basista beknął do mikrofonu. Potem zaczęli grać, nagle, wszyscy równocześnie, a nam aż grzywki zdmuchnęło do tyłu i wbiło nas w podłogę, kurza twarz, ale uderzenie! Seb natychmiast przepadł, utorował sobie drogę do samej sceny, wpatrzony w gościa, który grał na harmonijce ustnej, i tam już został. Guri, lekko obrażona, usiadła w kącie, Gunnar i Sidsel tańczyli, Ola niczym się nie przejmował, bo miał dziewczynę w Trondheim, więc nie musiał się stresować.

A ja w tym chaosie, w chaosie tańczących, szczęśliwych i walczących ludzi, w ostrych labiryntach muzyki, torowałem sobie drogę, jakbym był w lesie, w *Norwegian Wood*, bo musiałem znaleźć Cecilie. Ale wszystko jedno, dokąd docierałem, Cecilie i tak tam nie było. Kupiłem colę, popijałem ją, stojąc martwy i bezsilny. Nie mogło być prawdą, że nie przyszła, że czekałem całą zimę, że nastał nowy rok, 1968, że Amerykanie wysłali kolejnych piętnaście tysięcy żołnierzy do Wietnamu, że Che Guevara dawno nie żył, że Doorsi wydali nową płytę, że *Saga rodu Forsyte’ów* wkrótce miała się skończyć, że pierwszy człowiek na świecie dostał nowe

serce i już zdążył umrzeć, że Wietnam Północny zapoczątkował ofensywę Tet, a ona nie przyszła.

– Karlsen z Dachu! – Cwany Leif popukał mnie w głowę. – Szukasz kogoś?

– Mama przyjdzie po mnie o dziesiątej – powiedziałem.

– Sprytnie – stwierdził. – Bo te zwierzęta na scenie nie są na smyczy.

Odszedłem. Ruszył za mną.

– Komitet zbiera się w kiblu za dziesięć minut – poinformował. – Podjęto jednogłośną uchwałę, że cola jest za słaba.

Trzy razy mrugnął prawym okiem i zniknął. Muzyka przeciskała się przez kanały uszne jak zardzewiały drut kolczasty. *Little Red Rooster*. Seb stał przy scenie i wpatrywał się do oślepnięcia. Cecilie nigdzie nie było. Musiałem iść do kibla, ale nie miałem ochoty zjawiać się tam teraz. Nagle pojawiła się przy mnie Guri, chciała zatańczyć. Tańczyliśmy. Przyjemnie było ją obejmować.

– Seb to miłe towarzystwo na imprezach. – Westchnęła.

– Dzisiaj Seb ma mnóstwo nauki – odparłem.

– Ty też.

– Ja? Jak to?

– Dlaczego nie piszesz do Niny?

Moje spojrzenie cały czas było na polowaniu, zdenerwowany jastrząb ze skrzydłami na temblaku. Chwilę tańczyliśmy w milczeniu, to było lepsze niż takie nieprzyjemne pokrzykiwanie do siebie.

– Dlaczego nie odpowiadasz na jej listy? – wróciła do tematu Guri.

– Odpowiem – zapewniłem tchórzliwie i w tej samej chwili pojawiła się Cecilie. Nie przyszła sama. Towarzyszył jej Kåre z drugiej licealnej, redaktor naczelny szkolnej gazetki. Puściłem Guri i powlokłem się do lady. Zamówiłem colę ze słomką. Cecilie równie dobrze mogła w ogóle nie przychodzić. Byłem skończony. Koniec z Kimem Karlsenem, mogłem iść kimać, no proszę, miałem własny czasownik, kimać, koniec, dno i kimać do domu. Postanowiłem, że jednak napiszę do Niny. Jeszcze tego wieczoru. Cholera, no pewnie. Długi, tęskny list.

Public Enemies zrobili sobie przerwę i zeszli ze sceny. W sali zapadła ogłuszająca cisza. Usunąłem się, zanim na bar dokonały inwazji lwy salonowe, szczwane lisy i wymalowane gęsi.

Seb chciał iść do domu po harmonijkę, ale Guri go zatrzymała.

– Trzeba pracować językiem, wargami i rękami – wysapał. – Słyszeliście *Little Red Rooster*? Dali czadu.

Nie mogłem się skupić. Patrzyłem na Cecilie, otoczoną kwiatem dziennikarstwa, witaną śmiechem i komplementami. Redaktor naczelny stał na krześle i wygłaszał przemowę, a Cecilie się zaśmiewała, jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak się śmiała. Wrzód w żołądku zaczął krwawić. Serce wypadło mi przez prawy rękaw, moje nowe serce, organizm je odrzucił, trzymałem w dłoni zakrwawioną, pulsującą pecynę, nic niewartą.

– Jesteś tu? – Seb pstryknął mi przed nosem.

– I tak, i nie – odparłem. – Dusza opuściła ciało.

– To dobrze – stwierdził. – Śmierć materializmowi!

Przybiegła Sidsel, przejęta i zdenerwowana.

– Gunnar się kłóci! – wydyszała.

Wskazała na drzwi. Stał tam Gunnar otoczony sporą grupą, atmosfera była rzeczywiście napięta.

Przedarliśmy się tam.

– Pieprzony komunista! – usłyszeliśmy. Powiedział to wysoki goguś, który po tych słowach splunął na sucho na podłogę. – Pieprzony komunista!

Gunnar nie ustępował.

– A co, u diabła, zrobili ci Wietnamczycy? Zrobili ci coś? Narobili draństwa w Ameryce, co? Czy chociaż jeden Wietnamczyk albo Chińczyk nabałaganił w Ameryce?

Goguś nachylił się nad Gunnarem i zamachał krawatem.

– To walka między wolnością a uciemiężeniem, ty durniu! Przeprowadź się do Rosji, jeśli tutaj ci się nie podoba!

Gunnar roześmiał się głośno.

– Do Rosji! Słyszeliście? Do R o s j i! – Dalej śmiał się gogusiowi w twarz.

Nie wiem dlaczego, ale cholernie się wkurzyłem. Na całą tę odstawioną bandę w niebieskich blezerach, z gładkimi gębami, podobnych do siebie jak dwie krople wody, niczym wielogłowy potwór.

Pomyślałem o facecie, który rzucił się na tamten obraz z siekierą. Na obraz!

Pomyślałem o napalmie, który pali się pod wodą.

Pomyślałem o fotografii płaczącej dziewczynki i ruin wioski.

Pomyślałem o Cecilie.

– A więc ty bronisz bombardowania wiosek – odezwałem się. Musiałem to powiedzieć wyjątkowo głośno, bo wszyscy równocześnie się do mnie odwrócili. – Tak? Wiosek, w których mieszkają dzieci, starcy i kobiety. I ty tego bronisz, tak?

– To jest wojna – stwierdził goguś.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Wojna? Między kim a kim?

– Między wolnym światem a komunizmem.

– To ten wolny świat zrzuca napalm na dzieci?

– Jest wojna – powtórzył. – My się bronimy!

– My! My! Bronimy się! Bronimy s i e b i e!

Chyba zacząłem krzyczeć.

– Po nas przyjdą ba-ba-bakterie – powiedział Ola tuż za mną i Public Enemies zaczęli grać po przerwie. Podłoga zadrżała, w ogrodzie zoologicznym znów otwarto klatki.

Cecilie tańczyła z naczelnym. Cecilie tańczyła z przewodniczącym samorządu. Ja byłem skończony. Żałowałem, że nie mogę uruchomić śmigła i wyfrunąć z sali. Ale od czasu tamtej imprezy u Cecilie już nie marzyłem o lataniu.

Podszedł do mnie Gunnar.

– Świetnie sobie poradziliśmy. – Wyszczerzył się.

– Z czym?

– Z czym? Nie wygłupiaj się! Przyparliśmy ich do muru, stary!

– Jasne – potwierdziłem. Cecilie w tańcu przemknęła obok mnie, nie reagując choćby poruszeniem kącika oka czy ust.

Gunnar przepadł gdzieś z Sidsel.

Ola rozmawiał z Guri.

Seb siedział przy scenie, jak w zaświatach.

Kupiłem jeszcze jedną colę i ruszyłem do kibla. Po drodze spotkałem Cwanego Leifa i Pedera.

– Ciągle jeszcze trzymasz się ziemi? – Peder śmiał się, a jego oddech otoczył mnie jak chmura gazu musztardowego.

– Zgubiłem śmigło – odparowałem; trzymałem fason.

– Mamy zapasowe – szepnął Cwany Leif, klepiąc się po wewnętrznej kieszeni.

– Nic z tego. – Poszedłem do kibla.

Zapaliłem w drzwiach wejściowych. Niebo było czarne. Z ciemności dobiegały głosy. Pachniało nocą.

Znów powlokłem się do szatni. Odstawiłem colę, przeszukałem budrysówkę i znalazłem paczkę teddych.

– Bawiłeś się z molami? – Peder ze śmiechem zaczął skubać moją marynarkę. Cwany Leif zachichotał i poprawił krawat.

Nie chciało mi się nimi przejmować, sięgnąłem po colę i w tym momencie pojawiła się Cecilie, spojrzała na mnie, po raz pierwszy od tamtej prywatki, a mnie tak to zaskoczyło, że włożyłem butelkę do gęby i wypiłem jednym haustem. Cecilie zrobiła przerażoną minę, ale zaraz wciągnął ją do klatki redaktor gazetki szkolnej. Za moimi plecami Peder i Cwany Leif ryczeli ze śmiechu. Muzyka z sali gimnastycznej dosłownie mnie uderzyła. Poleciałem do przodu i w tej samej chwili zrozumiałem, że znów ktoś mnie wpuścił w maliny, bo płomienie lizały gardło, a karuzela zaczęła się kręcić.

Zataczając się, wróciłem do sali, obracała się, musiałem się podpierać z każdej strony. Szedłem najostrożniej, jak potrafiłem, jak kot, ale jak chory kot, z odłamkami szkła powbijanymi w łapy. Dotarłem do lady, wziąłem oranżadę, po cichu ominąłem Szynkę i wyszedłem na świeże powietrze. Ugasiłem ogień, chłonąc noc. Karuzela się zatrzymała. Przez krótką chwilę

byłem całkowicie przytomny, przezroczysty, wściekły i logiczny. Zaraz jednak księżyc wstąpił w nową fazę i nie wiedziałem już, gdzie jestem, moje ręce robiły rzeczy, o które je nie prosiłem, a moja głowa zmieniła się w dioramę, taką, o jakiej mówił nauczyciel od przyrody, cienie tańczyły taniec czarownic pod ścianami czaszki, a ja nie byłem w stanie zrozumieć ostrzeżeń. Ruszyłem na górę przez kolejne piętra, przez puste korytarze z haczykami na ścianach jak w nieczynnej rzeźni. Moje kroki echem niosły się po kamiennej posadzce. Gdzieś z daleka, z dołu, dobiegała muzyka, waliła rytmicznie jak serce żaby, a ja tańczyłem swój samotny taniec. Dotarłem na strych, szarpnąłem jakieś drzwi, zamknięte, szarpnąłem kolejne, te się otworzyły, buchnął na mnie wstrętny zapach. Mimo to wszedłem, obmacałem okolice futryny i znalazłem przełącznik światła. O mało nie potknąłem się o próg, więc się roześmiałem. Wiszący na ścianie kościotrup wyszczerzył do mnie zęby w trupiej czaszce. Na półkach stały słoiki z żabami, wężami i płodami świń w spirytusie. Najpewniej wypiłem zawartość właśnie takiego słoika. Szedłem wzdłuż półek, zrobiło mi się niedobrze, ale się uspokoiłem. Ohydne, wstrętne, tak ohydne potrafi być życie, wypreparowane życie wieczne, za którym tak tęskni Gąsior, płody w spirytusie, znaczki pocztowe, zasuszone kwiaty, łacińskie nazwy, owady na parapecie, relikwie gorącego, trochę nudnego lata.

Muzyka docierała do mnie przez piętra, przez podłogę, przez przeponę.

Taniec.

Nikt tu nie będzie podpierał ścian! Zdjąłem kościotrupa i wcisnąłem go pod pachę. Kości kołatały, głowę zwiesił. Zniosłem go po schodach do szatni, ktoś zaczął krzyczeć. Dziewczyny wczepiły się w chłopaków, chłopcy się śmiali, Cwany Leif i Peder klaskali. Wyminąłem żandarmów. Zrobiło się zamieszanie. Tańczyłem. Z kościotrupem w objęciach. *I wanna be your man*. Zaraz nastąpił koniec. Koniec ze mną. Nadciągnęli ze wszystkich stron. Szynka. Kartofel. Sfinks. Żandarmi. Cecilie nie widziałem. Wszystko stało się bardzo szybko.

Pamiętam, że dużo mówili, a potem wręczono mi budrysówkę i wyprawiono mnie w noc, ciemną i bezdźwięczną. Śnieg. Świeży śnieg. Straszny. Można się po nim skradać, można być niesłyszalnym, ale zostawia się ślady. Ślady.

Muzyka za moimi plecami ucichła.

Zwymiotowałem pod latarnią.

Zataczając się, poszedłem dalej. Jednak kogoś usłyszałem. Mam uszy jak nietoperz.

– Kim – rozległ się głos.

Przystanąłem.

Ktoś podszedł bliżej.

– Słucham – powiedziałem.

– Widziałam, co się stało – usłyszałem.

To była Cecilie.

Miała rękawiczki z jednym palcem.

– To było podłe – stwierdziła.

– Wiem, nie obszedłem się dobrze ze szkieletem.

Zbliżyła się.

Miała niebieski szalik, trzy razy okręcony wokół szyi.

– Nie to miałam na myśli. Tylko to, że dolali ci spirytusu do coli – wyjaśniła spokojnie. – Widziałam.

Przyszła za mną. Opuściła szkolną zabawę.

– Próbowałam cię uprzedzić, ale Kåre wszystko popsuł.

– Ten redaktor.

– Jest okropnie nadęty. Wszyscy oni są nadęci.

– Wyrzucą mnie ze szkoły – powiedziałem, jakby to było coś, czym należałoby się teraz przejmować.

Poczułem, że się przewracam, uderzyłem w mur.

– Odprowadzę cię do domu – zaproponowała Cecilie.

I odprowadziła.

Na Svoldergata pocałowała mnie, pocałowała, chociaż moje usta musiały cuchnąć żołądkiem i zgnilizną.

Wydało mi się, że na niebo wyszedł księżyc.

Dalej poszła sama.

Tak zaczęliśmy ze sobą chodzić, Cecilie i ja.

W poniedziałek stałem na baczność na dywaniku u dyrektora. Pachniało tu tytoniem, lekko kwaśną fajką. Na ścianie wisiały zdjęcia wszystkich poprzednich dyrektorów przed Szmerglem, podobnych do siebie jak krople wody. Nie mogłem oderwać oczu od wąsów Szmergla, przypominały grzbiet jeża. Szmergiel siedział za wielkim biurkiem, na którym leżały kartki, ołówki i ułożone w rządku teczki. Przyglądał mi się długo, za długo, aż w końcu spod wąsów wydobył się suchy, trzeszczący głos:

– To poważna sprawa – oświadczył.

Słuchałem.

Podniósł się, obszedł mnie, stanął tuż za mną i tak stał. Wpatrywałem się w jego puste krzesło. Zastanawiałem się, co by powiedział, gdybym na nim usiadł.

– Kim Karlsen… – zaczął Szmergiel. – Byłeś pijany. Włamałeś się do magazynu nauk przyrodniczych.

Dalej słuchałem.

Oddech na karku. Puste krzesło. Lęk, który miał nadejść za późno.

– Masz coś na swoją obronę?

– Nie.

Za moimi plecami zapadła cisza. Potem dyrektor znów się ukazał na swoim miejscu. Spojrzał na mnie szarymi oczami, a ja nagle poczułem, że nie jestem skazany na całkowitą zagładę. Że w geście uniesionej ręki jest jakiś element ugody.

– To dobrze – powiedział i wyprostował jakąś kartkę. – Przynajmniej nie próbujesz kręcić.

Przejrzał papiery, nie spieszył się. Zza drzwi dobiegał klekot maszyny do pisania. Na szkolnym dziedzińcu uczniowie chodzili i marzli.

Podniósł głowę.

– Mógłbym cię zawiesić na dwa tygodnie. Ale tego nie zrobię.

A jednak miał serce ze złota. W gruncie rzeczy to dobry człowiek. Wąsy kłamią.

– Nie dam ci dwóch tygodni na oglądanie olimpiady.

Uśmiechnąłem się. Prawie zaczynałem go lubić. Chyba nawet już go trochę lubiłem.

– Nie interesuję się sportem – powiedziałem.

– Ale napisałem list do twoich rodziców.

Znów go znielubiłem.

Szmergiel wskazał mi drzwi, podszedłem do nich.

– Nie życzę sobie więcej żadnych awantur z twoim udziałem – oświadczył ze swojego krzesła. – Jasne?

– Tak – odparłem.

– Rozumiesz powagę sytuacji?

– Tak.

Nacisnąłem klamkę. Rękę miałem śliską od potu.

– Czy to jedyna marynarka, jaką masz? – spytał nagle.

Teraz już w ogóle go nie lubiłem. A raczej było mi go trochę żal. W tym swoim szarym garniturze, w szarym krawacie, z szarymi wąsami był po prostu śmieszny.

– Nie – odpowiedziałem. – Ale tę lubię najbardziej. Odziedziczyłem ją po pradziadku.

Pomyślałem, że opowiem mu o kamieniu, ale zdecydowałem, że nie będę tego wyciągał.

Szmergiel zaczął jakieś zdanie, ale go nie dokończył.

– Bardzo byśmy chcieli, żeby nasza szkoła... – Sam sobie przerwał gwałtownym ruchem dłoni. – Możesz już iść – zatrzeszczał.

Wyszedłem.

Na przerwie Peder i Cwany Leif podeszli do mnie skuleni, zieloni na twarzach, z zapuchniętymi oczami.

– Czy Szmergiel wysłał informację do prasy? – spytał Cwany Leif, czepiając się swojego błazeńskiego humoru.

– Nie. Przygotował tylko felieton dla moich rodziców – odparowałem.

Peder przeciągnął palcami przez gęste włosy.

– Ty chyba... Chyba nic nie powiedziałeś o spirytusie?

Nie wkurzyłem się. Ale mimo wszystko nie sądziłem, że w ogóle mogą tak o mnie pomyśleć.

– Durnie.

Zadzwonił dzwonek.

Nie byłem już Karlsenem z Dachu, byłem Kościotrupem z Zabawy. Wiedziała już o tym cała szkoła. Karzełki z realnej obchodziły mnie szerokim łukiem. Naczelny gazetki szkolnej chciał przeprowadzić ze mną wywiad, nauczyciele odpytywali mnie na każdej cholernej lekcji, a trzy dni później przyszedł list, zostałem wezwany do salonu, mama siedziała na kanapie z zapłakaną twarzą, ojciec, z kartką w ręku, trząsł się na całym ciele.

A lęk ciągle jeszcze się nie pojawił.

Ojciec nie panował nad głosem.

– Co to ma znaczyć! Co ty zrobiłeś? Jak mogłeś nam zrobić coś takiego?

Im?

– To przecież nie miało żadnego związku z wami – powiedziałem.

Ojciec zaczął wrzeszczeć jeszcze głośniej.

– Na dodatek jesteś bezczelny!

Ręka go paliła, płacz matki wzbierał jak morze w trakcie przyboju. Opuścił rękę.

Uświadomiłem sobie, że jeśli chcę, by zrozumieli, to muszę kłamać.

– To był zakład – oświadczyłem. – Wygrałem.

– Byłeś pijany!

– Wszyscy byli. To się więcej nie powtórzy. – Uznałem, że zabrzmiało to nawet dość profesjonalnie.

– Oczywiście, że nie, to pewne! – krzyknął ojciec.

Mama na kanapie pociągnęła nosem, wytarła oczy grzbietem dłoni i spojrzała na mnie.

– Zakład – powiedziała. – Wygrałeś?

– Tak.

– A o co?

– O dziewczynę.

Szło mi jak po grudzie. Grudą byli starzy. Trochę im się w głowach poprzestawiało po tym liście od Szmergla. Przez pewien czas musiałem stąpać bardzo ostrożnie. Cały miesiąc chodziłem w tweedowej marynarce i szarych spodniach, a atmosfera trochę się poprawiła, kiedy przyniosłem do domu piątkę z plusem z angielskiego, byłem specjalistą od Magna Carta, chociaż mało brakowało, żeby Sfinks wyniuchał ściągi pod serwolatką. A drugą grudą była Cecilie. W szkole zachowywała się tak samo, siedziała trzy ławki przede mną, z usztywnionym karkiem, a na dziedzińcu w ogóle się do mnie nie odzywała. Ale przecież bez wahania pocałowała moje cuchnące usta, no i zdarzało nam się czasami spotykać po szkole. Szliśmy razem kawałek, za każdym razem coraz dalej, czasami odprowadzałem ją aż na Olav Kyrres plass, ale tam już przebiegała granica dla takiego poganina jak ja.

Ola męczył się z matmą. Od logarytmów i pierwiastków skurczył się jak zasuszona głowa misjonarza w najczarniejszej dżungli. Lepiej mu wychodziło pisanie listów. Listonosz w Trondheim miał co robić tej zimy. Gunnar i Sidsel włóczyli się po mieście albo odrabiali lekcje, oboje pod tym względem pilni. Sidsel chodziła do klasy biologicznej w szkole na Fagerborg, ale nie mieściło jej się w głowie, jak mogłem dotknąć tego szkieletu. Powiedziałem jej, że to plastik. No tak. Trudne czasy. Doktor Evang, szef norweskiej służby zdrowia, postanowił uświadomić społeczność licealistów, czym pachnie haszysz, i organizował pogadanki. Podniósł się krzyk. Tylko Seb był trochę w dołku. Muzycznie zagubiony jak Murzyn wśród śniegów Telemarku. Siedział u siebie w pokoju i dął w organki, nie bardzo wiedząc, czy ma postawić na Mayalla, czy na Doorsów. Z Beatlesami człowiek z harmonijką ustną nic nie mógł zrobić, a z The Snafus już skończyliśmy. Poza tym Seb uczepił się Mothers of Invention i Vanilla Fudge, przesiadywał po turecku i usiłował medytować, co było raczej niemożliwe przy hałasach dobiegających z salonu, bo jego ojciec znów miał urlop i słowa kłótni trzaskały jak kastaniety.

– Wyprowadzę się. – Seb westchnął. – Cały czas to samo.

Nie brzmiało to najlepiej.

– Stara cieszy się jak diabli na jego powrót, a kiedy on wraca, od razu jest tylko awantura. Nie da się mieszkać w takim domu.

– Puść Doorsów – zaproponowałem.

Puścił.

Strange Days.

To było to.

Trochę się uspokoił.

– To najlepsza rzecz od czasów *Sierżanta Pieprza*. *When the Music's Over*. Posłuchaj tej nerwowej gitary i tych uduchowionych organów! I tego głosu z brzucha!

Słuchaliśmy ze spuszczonym wzrokiem. Cisza, która nastała później, wydała się grzmotem. Nawet w salonie ucichło.

Seb podniósł głowę.

– Wczoraj na francuskim napisałem wiersz – powiedział, rozprostowując jakąś kartkę. – Chcesz posłuchać? Zainspirował mnie *Walrus*.

– Czytaj.

Zaczął czytać, a na czoło wystąpił mu pot.

Wspinałeś się na ratusz, myśląc jak plująca jadem kobra i pękając ze śmiechu?

Siedzisz na czubku masztu flagowego, wydaje ci się, że głowę masz przykręconą do nieba.

Cały czas umierasz, usiłujesz szukać słów, ale nie umiesz już czytać, nie potrafisz przedrzeć się przez mur otaczający mózg.

Wszyscy umrzemy, wszyscy umrzemy pewnego dnia!

Wpatrujesz się w sklepowe wystawy, cukier gronowy zalewa plastikowe dusze.

Z twoich oczu wylatują szczury i nietoperze, a z martwych uszu wypływa kwas.

Tylko się uśmiechamy, wszyscy będziemy się uśmiechać pewnego dnia!

Obraz na ekranie biegnie za tobą, cień zawraca przed lustrem, nagle leżysz w stosie zwierząt, ale nie widzisz przyjaciół, wołasz, ale twój głos mówi obcym językiem.

Odeszli, wszyscy odejdziemy pewnego dnia!

Spotykasz podziemne istoty, zakopujesz się w kamieniu, plastikowe serca biją z szybkością trzystu osiemdziesięciu uderzeń na minutę, pacjenci umierają jak

piękne muchy plujki, a narty mkną przez las jak pozbawione rogów łosie.

Zostałeś sam, wszyscy zostaniemy sami pewnego dnia!

Sztuczna reklama niszczy twoje myśli, krwiodawcy stoją w kolejce na przystankach tramwajowych, słychać krzyki, gdy zjawia się policja mózgowa i aresztuje niewinnych.

Wszyscy jesteśmy w więzieniu, wszyscy trafimy do więzienia pewnego dnia!

Zamyśliłem się. W salonie znów rozległy się ciosy zadawane słowami. Seb złożył kartkę.

– Właściwie to jest o Guri – wyjaśnił.

– Zrozumiałem.

– Jak trochę uporządkuję rytm, przetłumaczę na angielski i wstawię kilka dobrych rymów, to będziemy mogli wykorzystać tekst do jakiegoś bluesa. Ty zaśpiewasz, ja będę grał na harmonijce i wystukiwał rytm nogą.

Gwizdnął przez zęby w tonacji moll.

– Seb and Kim Bluesbeaters – powiedziałem.

– No! Ja cię kręcę!

– Ale da się chyba śpiewać bluesa po norwesku? – spytałem.

– Jasne, pewnie, że się da.

Pewnie, że się dało. Seb, wstrząśnięty i zagubiony muzycznie, mimo wszystko wylądował z bluesem. Ciągle była zima, Guri miała miesięczny karnet na wyciąg narciarski, a Król Slalomu zaczął na poważnie wdzierać się na pastwiska Seba, który był z tego powodu dość nieszczęśliwy.

– A jak tam z Cecilie? – spytał.

Szybko podniosłem głowę. Seb potrafił mnóstwo zrozumieć.

– Nie bardzo wiem.

– Twarda sztuka.

– No.

– Cierpliwości – powiedział jak wyrocznia delficka. Pogłaskał mnie po głowie i położył na gramofonie *Broken Wings* Mayalla.

Owszem, byłem cierpliwy. Dalej się spotykaliśmy, Cecilie i ja, tak jakby łączyła nas tajemnica, coś zakazanego i niebezpiecznego. I w jakiś sposób mnie to pociągało. Ciemność, wyludnione ulice, bramy, nadbrzeżna promenada w deszczowy dzień czy środek mostu. Któregoś dnia, gdy snuliśmy się koło Stadionu Bislett, niosłem teczkę Cecilie, kierowaliśmy się na południe, idąc ciasnymi uliczkami, cichymi i samotnymi, nagle spotkaliśmy Gąsiora. Nadchodził z przeciwka. W pierwszej chwili nie rozpoznałem, kto to jest, wiedziałem tylko, że ktoś znajomy, w żołądku mnie ścisnęło, jakbym został przyłapany na gorącym uczynku. Potem zorientowałem się, że postać w niebieskim popelinowym płaszczu, zapiętym pod samą szyję, i w skórzanej czapce z futrzanymi nausznikami zawiązanymi pod brodą to Gąsior.

Zatrzymał się. Niebieskie spojrzenie patrzyło spod brzegu czapki ze spokojem.

– Dzień dobry, Christian – powiedziałem.

Spojrzał mi prosto w oczy, wprost w źrenice. Zapiekło.

– Dawno się nie widzieliśmy – odparł, jakbyśmy byli emerytami.

– Czas płynie – stwierdziłem, wykazując się mądrością. – Jak ci jest u chrześcijan?

– Dobrze. Odnalazłem swoją drogę.

Zapadła cisza. Cecilie obserwowała nas z ciekawością.

– No to fajnie.

– I za to mogę podziękować tobie.

– Co ty gadasz? – przeraziłem się.

– To ty mnie sprowadziłeś na właściwą drogę. Byłeś narzędziem Boga.

Zabrakło mi słów. Ale jego spojrzenie, chociaż zapiekło, było spokojne, jak jezioro bez ryb. Nic nie naruszyło powierzchni wody, ani ryba, ani wiatr.

– Muszę już iść – oświadczył pogodnie i odszedł.

– Kto to był? – spytała po chwili Cecilie.

– Kumpel z podstawówki i z realnej.

– A co ty z nim zrobiłeś? – ciągnęła, wciąż bardzo poważna.

Próbowałem się śmiać.

– Mam dobry wpływ na ludzi. Nie słyszałaś? Jestem narzędziem Boga.

Wziąłem ją za rękę. Pomyślałem o tamtym fragmencie Nowego Testamentu, znałem go na pamięć, ciągle go pamiętam: „Jaki z tego pożytek, bracia moi, skoro ktoś będzie utrzymywał, że wierzy, a nie będzie spełniał uczynków? Czy wiara zdoła go zbawić?".

Wiedziałem, że pojawi się wielki wir, że przez moją głowę przepłynie parowiec, a księżyc wessie morze, tak jak orzeł wsysa jajko.

– Za dużo kłamiesz, Kim – stwierdziła Cecilie.

Śnieg tej zimy utrzymał się długo. Seb był nieszczęśliwy, grał bluesa zupełnie sam, bo od czasu gdy Håkon Mjøen powąchał złoto w Grenoble, nikt nie zdołał oderwać Guri i Króla Slalomu od bramek. Cecilie i ja w niedziele biegaliśmy na nartach po lasach Nordmarka, jeździła szybko, żeby udręczyć albo siebie, albo mnie, musiałem za nią gonić, a po dotarciu do Kikut ledwie byłem w stanie obrać pomarańczę.

Zapach bulionu i niebieskiego smaru do nart.

Siedzieliśmy na słońcu, które już zaczynało grzać.

Kapało z dachu.

Musieliśmy zdjąć anoraki i swetry.

Przy okazji spytałem:

– Chodzimy ze sobą czy nie?

Czułem się idiotycznie. Wolałbym być tym wędkarzem, który łowił na środku jeziora Bjørnsjøen i niczego nie wyciągał.

Cecilie się roześmiała. Rzadko to słyszałem.

– Jasne, że tak.

Potem oparła mi głowę na ramieniu, a ja ją objąłem; taka chwila była warta wielu zbłaźnień, skandali, listów z upomnieniami od dyrektora i wariujących rodziców.

Tak, stawaliśmy się coraz śmielsi. Cecilie jakby miękła, powoli, jak po długim okresie zamrożenia. Słońce z każdym dniem wędrowało coraz wyżej po niebie. Światło nabrało mocy. Wokół nas wszystko pluskało i płynęło. Ciągle jednak nie miałem odwagi przyjść do Zamku na Bygdøy, to nie wchodziło w grę, Alexander Wielki wyrzuciłby mnie jak wiadro ze

śmieciami. Ale chodziliśmy razem do kina, przesiadywaliśmy w niebieskich salach, trzymając się za ciepłe, wilgotne ręce. Na *Bonnie i Clydzie* Cecilie ściskała moją dłoń tak, jakby chciała ją udusić, ja natomiast nie do końca radziłem sobie z filmami, nie mogłem pojąć, dlaczego ludzie krzyczą, wrzeszczą i podskakują na siedzeniach, przecież to wszystko było jednym wielkim oszustwem. Po *Dźwiękach muzyki* nikt już nie mógł mnie nabrać. Cecilie po wyjściu z kina potrafiła nieprzerwanie perorować o filmach, starałem się jej słuchać i nawet odpowiadać, mówić coś, ale to wszystko było dla mnie tak bardzo nierzeczywiste, jakbyśmy rozmawiali o cieniach, jakbyśmy wręcz przemawiali do swoich cieni, tak jak tamten człowiek, który zaatakował obraz siekierą. Obraz! To nie do uwierzenia. Nie do pojęcia.

Któregoś wieczoru po seansie w Colosseum zaproponowałem, żebyśmy zajrzeli do knajpy Valkyrien. Byłem przy forsie, miałem kilka dych i mogłem postawić jej wszystko. Znaleźliśmy wolny stolik, atmosfera była dość gęsta, szary dym i śmiech w ciemnym lokalu. Zauważyłem kilka twarzy znanych z ekranu, szturchnąłem Cecilie w bok i dyskretnie wskazałem je głową. Parę stolików od nas siedzieli aktorzy Heide-Steen i Wesenlund. O mało nie pękliśmy ze śmiechu, niezły numer siedzieć w tym samym lokalu co ten duet komików, trochę tak, jakby brało się udział w ich programie. Cecilie chciała colę, ja zamówiłem piwo. Rozzłościła się.

– Zerwę z tobą, jeśli będziesz pił.

Przecież piłem tylko dwa razy.

– Wódka to co innego – powiedziałem.

Napoje stanęły na stoliku. Podobały mi się usta Cecilie, kiedy piła ze szklanki.

Skręciłem papierosa.

– Już nigdy więcej nie tknę tych lekarstw Leifa – obiecałem.

Cecilie znów zaczęła paplać o filmie, mnie to nudziło. Wydarzenia na ekranie nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Chciałem rozmawiać o Cecilie, o nas. Ale ona wolała gadać o filmie.

Przerwałem jej.

– Twój ojciec ciągle jest zły? – spytałem.

Od razu się zmieszała, twarz jej się ściągnęła, wróciły tamte twarde rysy, które tak mnie przerażały.

– Nie wiem – odpowiedziała obojętnie.

– Myślisz, że wyrzuciłby mnie, gdybym przyszedł?

Tylko wzruszyła ramionami, jakby kompletnie jej to nie obchodziło, czy zostanę wywalony na zbity pysk, czy nie.

Napiłem się piwa. Serce drapało mnie w pierś. Przy którymś stoliku ktoś histerycznie się śmiał.

– Nienawidzę swoich rodziców – oświadczyła nagle.

Właśnie w tej chwili do lokalu wszedł stryj Hubert, stanął na środku, zmrużonymi oczami rozejrzał się na wszystkie strony, kiwając przy tym głową. Z całą pewnością przyszedł tu nie pierwszy raz.

– Nienawidzisz? – zdążyłem tylko powiedzieć, bo Hubert już stanął przy nas, miał oczy miękkie od piwa, a wielki płaszcz wisiał na nim jak brezentowy pokrowiec.

– Kim! Co za niespodzianka!

Spojrzał na Cecilie. Spojrzał na mnie. Trochę się zdenerwowałem.

– To mój stryj Hubert – przedstawiłem go, cały spocony. – A to Cecilie.

Wskazywałem w różne strony.

– Przysiądę się do was – oświadczył Hubert i usiadł. Przez chwilę milczeliśmy. W głowie płonęły mi słowa Cecilie. Nienawidzi?

– Byliśmy w kinie – powiedziałem. – Cholernie fajny film.

Cecilie się uśmiechnęła.

– W ogóle mu się nie podobał. Kim nienawidzi chodzić do kina.

A więc to zrozumiała. Próbowałem się śmiać.

Hubert wypłukał usta piwem.

– Wyraź swoje zdanie, Kim. Nie bój się.

– Film był gówniany – wypaliłem. – Wszystkie filmy są identyczne.

Kolejna pauza. Szklanki były puste. Hubert nam postawił. Musiałem iść do toalety, paskudnie mnie przyparło, nie dało się tego uniknąć, chociaż wzdragałem się przed zostawieniem Cecilie samej z Hubertem, bo co by było, gdyby dostał jakiegoś małego ataku i zaczął polewać ją piwem? Ale

musiałem iść, wymknąłem się więc, a kiedy sikałem, przyszła mi do głowy inna myśl. A jeśli on zacznie gadać o Ninie? Wpadłem w panikę i zacząłem mocniej przeć, rykoszet aż pryskał poza pisuar, potem czym prędzej wróciłem do krainy dymu, a tam siedziała Cecilie z całkowicie rozluźnioną szyją i śmiała się bez żadnych oporów. Zachodziłem w głowę, czym Hubert mógł ją tak rozśmieszyć.

Wcisnąłem się na kanapę.

– Opowiedziałem o dziadku, który zjadł woskowe zatyczki do uszu. – Hubert zanosił się śmiechem.

Napiłem się i też się śmiałem. Wszystko było w porządku.

Wciąż jednak trochę uwierała mnie Nina, to, że tak nagle ją sobie przypomniałem i że poczułem wyrzuty sumienia. Ale czy ona nie prowadzała się z Jesperem, tą duńską kiełbaską? A poza tym już mi wyleciała z pamięci.

Hubert opowiadał o Paryżu, o restauracjach i barach, o ciepłych nocach, kolorach, owocach i drzewach nachylających się nad rzeką, o zielonych skrzynkach z książkami i kobiecie o imieniu Henny. Barki trochę mu drgały, ale to w końcu ustąpiło, wspomnienia były na tyle silne i wyraźne, że zagłębił się w nie cały i był prawie szczęśliwy.

– Kiedy przyjeżdża Henny? – ośmieliłem się spytać.

Hubert zamyślił się, po chwili powiedział:

– Kiedy zdobędę pieniądze, wyjadę do Paryża i tam zamieszkam.

Marzył.

– A skąd weźmiesz pieniądze? – spytałem.

Trochę się zmieszał.

– Obstawiam zakłady piłkarskie. I kupuję losy. Co miesiąc. Jutro losowanie.

Wypiliśmy za wygraną Huberta.

Cecilie popatrzyła na zegarek i stwierdziła, że musi już iść. Hubert dalej siedział przy piwie, w wielkim płaszczu i czerwonej apaszce, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś daleko, przenikającym ścianę, biegnącym przez Majorstua i Europę.

– To naprawdę był twój stryj? – spytała Cecilie, kiedy czekaliśmy na autobus.

Kiwnąłem głową.

– Polubiłam go – wyznała z zadowoleniem.

– To fajny stryj.

– Podobny do twojego ojca?

– Nie są bliźniętami jednojajowymi – odparłem.

Przypomniało mi się to, co powiedziała wcześniej.

– A ty naprawdę nienawidzisz swoich rodziców? – spytałem cicho.

Cecilie spojrzała na zegarek.

– On teraz siedzi i mierzy czas – powiedziała tylko.

Trochę się wystraszyłem.

– Wie, że jesteś ze mną?

Popatrzyła mi prosto w oczy.

– Mówię, że jestem z Kårem.

Uszło ze mnie powietrze. Złapałem gumę.

– Z Kårem? Z naczelnym gazetki?

Potwierdziła.

Podjechał autobus.

– A w ogóle to Kåre chce przeprowadzić z tobą wywiad – powiedziała i wskoczyła na stopień. Autobus pomknął na Bygdøy, a ja zostałem jak sflaczała opona wrzucona do rowu.

Ale po drodze do domu wyciągnąłem sprzęt do łatania. Właściwie to Kåre przegrał. Kåre, z przedziałkiem równiutkim co do milimetra i okrągłymi okularami, z drugiej klasy liceum, z ramionami jak wieszak, pryszczaty, ulizany quasi-intelektualista z dzielnicy Ullern. To on powinien się wstydzić, bo to on był zakładnikiem naszych potajemnych spotkań.

Czułem się nieźle wygrany.

*

Najgorsze, że do tego wywiadu naprawdę doszło. W piątek na ostatniej przerwie przyczłapał do mnie redaktor Kåre i spytał, czy zgodzę się na wywiad do stałej rubryki „Portret ucznia". Jasne, że się zgodziłem. Po lekcjach stawiłem się w lokalu redakcji na ostatnim piętrze, w ciasnym pokoiku ze skośnym sufitem, pełnym pustych butelek, z maszyną do pisania i wszędzie zalegającymi kartkami. Szefem opracowania graficznego okazał się ten goguś, z którym Gunnar pokłócił się na szkolnej zabawie, siedział teraz na skrzynce, mrużył oczy i obracał w palcach letraset. Fotografem był chłopak z trzeciej, który cały czas się szczerzył i w regularnych odstępach wyciągał z gęby różową gumę do żucia. Naczelny siedział przy jedynym biurku, z ołówkiem za uchem. Wszyscy mieli podwinięte rękawy koszul. Redakcja gazety „Dziki Zachód".

Dostałem colę, podstawili mi krzesło, zapalili papierosa, niezła jazda. Nakład sześćset sztuk.

– No to do rzeczy – oświadczył Kåre i zaostrzył pióro.

– Strzelaj!

– Gdzie i kiedy urodzony?

– W pięćdziesiątym pierwszym. Na Josefines gate.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Znaki szczególne? Szpotawa stopa albo garb?

– Utykam na jedną rękę – odpowiedziałem równie bystro.

Kåre notował.

– Hobby?

– Zbieram słonie.

– Który przedmiot lubisz najbardziej?

– Prace ręczne.

Fotograf zachichotał.

– Niezły z niego dowcipas – wtrącił.

– Do jakiej szkoły tańca chodziłeś? – ciągnął Kåre.

Zacząłem przeczuwać kłopoty.

– Bez komentarza – odparłem dyplomatycznie.

– Mamy zadzwonić po adwokata? – Goguś się uśmiechnął.

Fotograf chwilę popstrykał.

– Ulubiony pisarz?

– John Lennon, Jim Morrison i Snorre.

– Co byś zrobił, gdybyś pewnego dnia został dyrektorem szkoły?

– Wyrzuciłbym wszystkich nauczycieli.

– Wyśniona kobieta? – Kåre zdjął okulary i nerwowo potarł grzbiet nosa.

– Nie mam proroczych snów.

– Ojoj! – odezwał się fotograf. – Nieźle mu idzie.

Kåre założył okulary.

– Popierasz interwencję USA w Wietnamie?

– Nie.

– Wyjaśnij.

– Imperializm – powiedziałem. – Naród musi stanowić o sobie sam, bez ingerencji z zewnątrz.

Nieźle.

Goguś wstał. Prawie uderzył przy tym głową w sufit.

– Możemy wydrukować to kłamstwo, szefie?

Kåre podniósł wzrok.

– To demokratyczna gazeta w demokratycznym kraju. Każdy może wyrażać własne zdanie.

Pokiwali głowami. Fotograf znów się na mnie namierzył.

– Popierasz NATO?

– Dopóki NATO popiera obecność Ameryki w Wietnamie, to nie.

O rany. Ale logika.

– Ulubiony zespół?

– Beatlesi.

– Krążą uporczywe plotki o tym, że wspiąłeś się na dach pewnego budynku na Bygdøy. Jakiś komentarz?

– Bez komentarza.

– Adwokat już jedzie. – Goguś otworzył colę.

– Uważasz, że długie włosy są ładne?

– Szczególnie pod pachami.

– Dlaczego nosisz najbrzydszą marynarkę w całej szkole?

– Oddalam pytanie.

– Kurczę. – To znów fotograf. – Profesjonalny portret.

Więcej pytań nie było, musieli jeszcze tylko pstryknąć kilka zdjęć. Fotograf namówił mnie, żebym się rozebrał do pasa, bo wszyscy tak się fotografowali podczas wywiadów w „Dzikim Zachodzie", oczywiście z wyjątkiem pań, jak wyjaśnił z ochrypłym śmiechem. Stałem oparty o ścianę i napinałem mięśnie, a flesz omiatał mnie od przodu i od tyłu.

– Chcę przeczytać ten wywiad – oświadczyłem Kåremu.

– Niemożliwe. Idzie do druku dziś wieczorem. Musisz nam zaufać.

Wpatrywał się we mnie i chociaż odnosił się do mnie dość życzliwie, nawet żartował, to chyba jednak czuł lekką nienawiść, ja na jego miejscu raczej bym się przed nią nie obronił. Miałem paskudne przeczucie, że on coś jednak knuje, jakiś drobny podstęp, ale nie udało mi się odgadnąć, co to może być. Poza tym byłem nieźle nakręcony, wywiad ze zdjęciem, no, no, zbiegłem na dół i odszukałem Cecilie w kawiarni Dagmar. Zdążyliśmy zjeść napoleonkę. Przekazałem jej wszystko, co powiedziałem w redakcji, i musiała już wracać do domu, Alexander Wielki czekał. Cholera, powiedziałem do Cecilie, wydaje mi się, że chyba idzie wiosna.

Wcale nie nadchodziła. Przecież wiedziałem. Redaktorowi Kåremu zależało na obrobieniu mi dupy i to mu się udało, ale narobił trochę więcej kłopotów, niż zamierzał. Oczywiście byłem ostatnią osobą, która zobaczyła szkolną gazetkę. Spocony i obolały wracałem z lekcji WF-u i już na progu klasy zorientowałem się, że coś się szykuje, coś wielkiego. Każdy stał pochylony nad własnym egzemplarzem „Dzikiego Zachodu", a kiedy wszedłem, rozległy się oklaski i tupanie. Sięgnąłem po gazetkę, przerzuciłem kartki. Redaktor Kåre starannie wszystko zaplanował. Zamieścił moje zdjęcie od przodu i od tyłu, a goguś, szef layoutu, wmontował mi na plecach śmigło od modelu helikoptera. Nieźle wymyślone. I na tym nie koniec. Było też zdjęcie kościotrupa, a pod spodem napis: „Przyjaciółka Kima Karlsena z Kopenhagi". Co, do kurwy nędzy? Dostrzegłem Cecilie, stała przy tablicy, biała, lodowata postać.

Przeczytałem. Wywiad był w porządku. Ale w nagłówku Kåre z Ullern zdystansował się od moich wywrotowych poglądów, napisał, że jestem raczej zagubiony niż skorumpowany, a niewydolność mojego umysłu wynika prawdopodobnie z tego, że od dłuższego czasu pozostaję w związku z pewną dziewczyną z Kopenhagi, Kopenhaga zaś, jak wiadomo, to światowe, a przynajmniej skandynawskie centrum zła i niemoralności. Spojrzałem na Cecilie. Czarna tablica. Biała twarz. Sfinks napisał na tablicy coś, czego nie starto. „Myślę, więc jestem". Rzuciłem się do drzwi i zobaczyłem Olę przechadzającego się z podręcznikiem do matematyki. Obróciłem go w swoją stronę.

– Ola – powiedziałem zupełnie spokojnie. – Coś ty, do jasnej cholery, powiedział temu bęcwałowi Kåremu?

Z trudem oderwał się od równania.

– Ko-ko-komu?

– Widziałeś gazetkę szkolną?

Pokręcił zakutym łbem.

Pokazałem mu. Zaczynał rozumieć.

– On chciał tylko garść o-o-osobistych informacji.

– Aha, no właśnie. A ty mu opowiedziałeś o Ninie.

– A to ź-ź-źle?

Zadzwonił dzwonek. Trudno mi było wejść do klasy. Seb czekał przed drzwiami.

– Odradzam wytoczenie procesu o zniesławienie – szepnął. – Niech redakcja utonie we własnym gównie!

Cecilie miała twarz z granitu, jej oczy zmełły mnie na piasek, a lekkie prychnięcie zdmuchnęło mnie daleko na górskie płaskowyże, odsunęło od niej na zawsze.

Cwany Leif i Peder gratulowali mi z całego serca. Peder miał wypisane na policzkach, jak bardzo cieszy się z cudzego nieszczęścia.

Musiałem kolejny raz podwijać koszulę, żeby pokazać, że nie mam śmigła na plecach.

Cecilie odwróciła się z obrzydzeniem.

Mieliśmy francuski z Madame Serwatką, chudą bułką paryską z sinymi paznokciami i orlim nosem. Przetłumaczyła słowa Sfinksa: *Je pense, donc je suis*.

Po dokładnie dziesięciu minutach zostałem wezwany do dyrektora. Stał tam już Kåre. Okulary zaszły mu parą. Nie patrzył na mnie.

Szmergiel siedział za biurkiem i energicznie przeglądał „Dziki Zachód". Zastanawiałem się, czy czesze swoje wąsy. Może z natury rosły mu tak prosto. Przesunąłem palcem pod własnym nosem. Miękki puch. Piórka.

Szmergiel podniósł głowę.

– Jako naczelny szkolnej gazetki powinieneś wiedzieć, czym jest etyka dziennikarska. – Gabinet się zatrząsł.

Kåre spłynął potem.

– A ty, Kim, powinieneś milczeć o tej aferze ze szkieletem! Naprawdę sądziłem, że coś do ciebie dotarło!

Kåre zabrał głos.

– To moja wina, panie dyrektorze. Karlsen nic o tym nie wiedział.

Nieźle. Kåre był idealistą. Spojrzał na mnie z ukosa.

Szmergiel dalej przeglądał gazetkę, kręcąc głową. Kåre zagrał o zbyt wysoką stawkę. Skończyło się tym, że popadł w niełaskę i musiał ustąpić ze stanowiska naczelnego, samorząd wybrał nowego redaktora. Ja w niełasce straciłem Cecilie, ale dla mnie nikt nie wybrał nikogo nowego.

Nie miałem najmniejszych szans, żeby się do niej zbliżyć, wyślizgiwała się, ignorowała mnie, chociaż mnie widziała. Mogłem sobie robić, co chciałem, ze swoją dziewczyną w Kopenhadze. Próbowałem wykorzystać Seba jako pośrednika, ale on też nie znał odpowiedniego hasła. Gunnar był zdania, że Kåre to najgorszy łajdak, jaki kiedykolwiek chodził w butach. Zaproponował przygotowanie w rewanżu ulotki, która ośmieszyłaby go na zawsze. Ola czuł się podle. Twierdził, że nigdy więcej nie wypowie się dla prasy, przynajmniej tego jednego był pewien. Peder i Cwany Leif znów przeszli do ofensywy, ale Cecilie sprawiała wrażenie niedostępnej dla nikogo, jak bunkier.

Seb i ja trzymaliśmy się razem, obaj trochę zdołowani, raz po raz zwierzaliśmy się sobie ze swojego nieszczęścia i czuliśmy się coraz bardziej udręczeni. Siedzieliśmy u mnie i słuchaliśmy Doorsów. Siedzieliśmy u Seba i słuchaliśmy Boba Dylana albo Mothers of Invention, *Freak Out!* Seb wyciągnął kilka kartek z tekstami. Był przekonany, że jest w trakcie tworzenia cholernie mocnego bluesa, bo nastał czas na bluesa.

Przeczytał mi pierwszą i jak na razie jedyną zwrotkę, od czasu do czasu kaszląc trochę w harmonijkę.

Urodziłem się w Vika,
tylko tyle wiem.
Matka szorowała schody,
a ojciec mordował się
czterdzieści lat w fabryce,
na więcej nie miał już sił.
Dyrektor dał mu dyplom,
bo dobrym dyrektorem był.
Nie mają pojęcia,
nie wiedzą, gdzie przyczyna,
nie mają pojęcia,
to nie moja wina.

– Przecież twoja matka nie szoruje schodów – powiedziałem. – A ojciec pływa na statkach!

Seb długo na mnie patrzył, w końcu pokręcił głową.

– Kiedy piszesz, to też musisz kłamać – stwierdził. – Tak jak wtedy Gąsior, kiedy pisał o samobójcy na Bygdøy.

– No tak – przyznałem. – Jasne. Tylko chodzi o to, żeby kłamać dobrze.

– Racja. Ty to wiesz. – Seb się zaśmiał. – Kłamiesz najlepiej z nas wszystkich.

Potem puściliśmy *Sierżanta Pieprza*, a ja trochę porozpaczałem, bo w tych rowkach była Nina, a zatem i Cecilie, w postaci negacji, nieobecności. W końcu każdy wpadł w swoją depresję i przez kilka godzin nie odzywaliśmy się ani słowem.

Nagle Seb powiedział:

– Biłem się raz o Guri, pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam. A co tam słychać u twojej babci?

– W porządku. Zjawia się, kiedy ojca nie ma.

Puściliśmy *A Day in the Life* jeszcze raz.

– Jakiś postęp z Cecilie? – spytał Seb.

– Jestem śmierdzącą kiełbasą na jej talerzu – odparłem.

– O rany, muszę to wykorzystać!

Zaczął zapisywać te słowa w notesiku z takim zapałem, że aż atrament tryskał. Potem wziął harmonijkę, odgarnął włosy z czoła i zaczął dmuchać.

Jestem śmierdzącą kiełbasą na jej talerzu
Jestem śmierdzącą kiełbasą na jej talerzu…

Nagle urwał.

– Co się rymuje z „talerzu”?

– Łupież na kołnierzu.

– Kurde.

Wydmuchał septymę:

Jestem dla niej wart tyle, co łupież na kołnierzu.

Powtórzyliśmy to, ja śpiewałem. Dałem z siebie wszystko, wywrzeszczałem wszystkie pęcherzyki płucne. Seb, czerwony na twarzy jak burak, bębnił piętą w samej skarpetce. Seb and Kim Bluesjazgot.

– Musimy napisać więcej zwrotek.

– O slalomie gigancie – dodałem.

– O podstępnych redaktorach szkolnej gazetki i niewiernych dziewczynach.

Dostaną za swoje. Nikt nie mógł czuć się bezpieczny.

– Polecą głowy – oświadczył proroczo Seb.

Tego dnia, kiedy zobaczyłem, jak Kåre podpełza do Cecilie i rozciąga rozmowę z nią na całą przerwę, postanowiłem napisać do Niny. Dostałem od niej cztery listy, a sam nie napisałem żadnego. Cały wieczór siedziałem w swoim pokoju, pisząc i jednocześnie myśląc o Cecilie i Kårem; pewnie byli przyjaciółmi z dzieciństwa albo dawną parą, w każdym razie wiedziała, że ich widziałem. Napisałem list do Niny. O nudzie w szkole, o tym, czy słyszała Doorsów i czy w Kopenhadze jest dużo hippisów. Litery śmigały. Ale ani słowem nie wspomniałem, dlaczego nie odpowiedziałem jej wcześniej.

Złożyłem kartkę i wsunąłem do koperty. W drzwiach stanęła mama.

– Odrabiasz lekcje? – spytała.

– Tak.

Porozumiewałem się z nią monosylabami.

Weszła po cichu i usiadła za mną.

– Chyba nie jest ci ciągle przykro z powodu tego listu od dyrektora, Kim – powiedziała. Tak bardzo ją wtedy kochałem, ale nie mogłem jej tego okazać, cholera, nie dałem rady.

– Nie.

– My już o tym zapomnieliśmy.

Dobre słowa.

Wsunąłem list pod książkę.

– Ta dziewczyna… ta dziewczyna, o której mówiłeś. Kto to jest?

Sam miałem ochotę pogadać, upuścić nieco żółci, ale gębę miałem zamkniętą na kłódkę, a grdykę ściśniętą klamerką do bielizny. Zacząłem charczeć i się krztusić. Nie mogłem przecież opowiedzieć o szkolnej gazetce, przeciwnie, miałem rozpaczliwą nadzieję, że ostatni numer „Dzikiego Zachodu” nigdy nie wpadnie rodzicom w ręce, bo byłem pewien, że ojciec musiałby wtedy natychmiast abdykować. No i nie było żadnej rozmowy, jakbyśmy już nie umieli ze sobą rozmawiać, a jedyne zrozumiałe dla ludzkich uszu dźwięki doszły z salonu, od ojca, który krzyczał:

– On się musi ostrzyc! Teraz już musi się ostrzyc!

– Jezus miał długie włosy – powiedziałem.

Następnego dnia wysłałem list do Niny.

Kwiecień przyniósł nowy singiel Beatlesów. Poszedłem na Bygdøy allé i kupiłem go w sklepie Radionette. Daleko się już posunęli z tym nowym budynkiem obok kina Gimle, w którym miał być supermarket. Wróciłem do domu i wysłuchałem płyty w ciszy i spokoju. Byłem średnio zachwycony. *Lady Madonna*. No, może być. Zadzwoniłem do Seba i puściłem mu przez słuchawkę. Był średnio zachwycony. Nie skakał pod sufit, chociaż piosenka była w porządku, profesjonalna robota, relaksowa płyta, mają do tego prawo. Pianino dobrze dawało. Trochę podyskutowaliśmy o tym, czy to Paul śpiewa, czy Ringo. Śpiewał Paul, może przeziębiony. Zimą w Anglii jest nieprzyjemna pogoda. A co poza tym? Seb zabrał się do nowych tekstów. Wypożyczył z biblioteki wiersze Jana Erika Volda.

– Śnieg topnieje – powiedziałem. – W Kleiva nie da się już jeździć na nartach.

Seb ciężko dyszał w słuchawkę.

– A ty co, zająłeś się meteorologią? O nartach wodnych nie słyszałeś? Ten buc ma domek letniskowy na wyspie Hankø i łódkę, pewnie z pięćdziesiąt koni. *Nobody loves you when you're down and out*.

Przez chwilę milczał.

– Co się rymuje z „wyspa"? – spytał w końcu.

– „Nadzieja prysła".

– Zaczyna mi to wszystko wisieć.

– To może „zaspa" – powiedziałem.

– To już brzmi lepiej.

Rozłączyliśmy się. Kilka razy obróciłem płytą. Druga strona. *The Inner Light*. Wpadłem w lekką depresję, taki wtorek bez żadnego sensu, lekko przybrudzony, nudny. Jeden z tych dni, które można obejść, przeskoczyć, szara dziura w czasie. Wtorek w kwietniu 1968 roku. Obiad z resztek, przy stole kilka przykrych uwag na temat włosów i ubrania, ale nawet starym się nie chciało. Lekcje. Angielski. Francuski. *Passé simple*. Kipling. *If*. Norweski. Sagi. Brudne okna, smrodek znad Frognerkilen, obolałe jądra, niemożność

skupienia się na niczym. Leżenie na kanapie, gapienie się w sufit. Nie ma na co patrzeć. U Jenseniusa dziwna cisza. Gdzieś trzaskają drzwi. Samochód gwałtownie hamuje. Ale mnie nic nie dotyczy w ten nudny jak flaki z olejem wtorek, w kwietniu sześćdziesiątego ósmego roku.

Kiedy ktoś zadzwonił do drzwi, nie chciało mi się nawet ruszyć tyłka, na pewno jakiś obwoźny handlarz, który będzie chciał matce wcisnąć naczynia Tupperware. Usłyszałem, że ktoś wchodzi, i zaraz potem zapukano do bram więzienia. Poderwałem się. To była Cecilie. Cecilie. Niewiarygodne. Że taki wtorek mógł przynieść Cecilie. Matka stała za kulisami, mrużyła oczy, ojciec też wystawił głowę. Czym prędzej zamknąłem drzwi, nie miałem pojęcia, co mówić.

– Cecilie – powiedziałem.

Rozejrzała się, jakby przyszła wynająć pokój. Oglądała płyty. Książki. Ubrania rozrzucone po podłodze. Kapcie, moje idiotyczne kapcie, przypominające parę kacząt z czerwoną kulką na dziobach.

Byłem na bosaka, miałem dziurę w skarpecie. Powinienem niedługo obciąć paznokcie. Głupia sprawa.

Powiedzieć coś.

– Głodna jesteś?

Roześmiała się cicho i usiadła.

– On mi wszystko wyjaśnił. – Spojrzała na mnie.

– Co wyjaśnił?

– O tobie i o tej dziewczynie w Kopenhadze. O tym, że już dawno ze sobą zerwaliście.

– Kto?

– Co kto?

– Kto ci co wyjaśnił?

– No jak to, Ola!

– Ola?

Usiadłem obok niej na kanapie.

– Przyznał, że to jego wina. Ale teraz wyjaśnił już wszystko.

Spojrzała na mnie. Łagodnie.

– Ola – powtórzyłem tylko.

Znów się roześmiała.

– To zajęło dość dużo czasu, ale zadziałało!

Ola, mój Ola! Opada na kolana cicho jak myszka, ale podnosi się z rykiem jak lew!

Trochę się podotykaliśmy, skończyło się na dość namiętnym pocałunku. Puściła mnie nagle. Odchyliła się, posprzątała na twarzy.

– Kåre postąpił paskudnie – stwierdziła.

Poczułem, że nadszedł moment, żeby okazać wielkoduszność wrogowi. Teraz było mnie na to stać.

– W każdym razie wziął winę na siebie. W tej sprawie z kościotrupem.

Pokiwała głową.

– Myślałam, że mnie oszukałeś – powiedziała wprost.

– Jasne, że nie. – Wyciągnąłem rękę.

– Bo to już dawno minęło, tak? – spytała, nie patrząc na mnie.

– Tak – potwierdziłem, ale nagle przypomniał mi się list, który wysłałem, i w żołądku zaczęła mi rosnąć gorączka. – Tak – powtórzyłem, jakby słowa mogły cokolwiek zmienić.

– Kłamstwo i nieszczerość to najgorsza rzecz na świecie – powiedziała poważnie Cecilie.

– Ale przecież okłamujesz rodziców – bąknąłem ostrożnie.

Zaśmiała się krótko.

– To co innego. Zawsze ich okłamywałam. Tak dla nich lepiej.

Zawsze okłamywała. Kolejny skurcz w żołądku. Pewnie kłamała też o innych, nie tylko o mnie, o całej gromadzie, idę do Kårego, mówiła, a szła zupełnie gdzie indziej, na potajemne randki w ostatnim rzędzie w kinie, na uboczu w parku, po drugiej stronie miasta. Zacząłem jej dotykać, nie mogłem zapanować nad rękami, odsunęła się ode mnie ze śmiechem.

– Tak – powiedziałem, nie mając pojęcia, czemu przytakuję.

– Znów będziemy przyjaciółmi? – spytała zwyczajnie.

Przyjaciółmi.

– Tak – powtórzyłem i nachyliłem się nad nią.

Później puściłem jej nową płytę Beatlesów. Słuchała trochę obojętnie. Opowiedziała mi o kimś, kto śpiewa chyba jeszcze lepiej niż Simon and Garfunkel. Nazywał się Leonard Cohen. W życiu o nim nie słyszałem. Znała nawet kilka chwytów na gitarze.

Puściłem jej tę płytę jeszcze raz. Wysłałem zupełnie zwyczajny list, nie mogło w nim być nic groźnego, trochę jak widokówka, którą pisze się z wakacji do rodziny i przyjaciół, znak życia, informacja o pogodzie, chyba w niczym nie mógł zaszkodzić.

Uspokoiłem się.

– Lady Madonna – powiedziałem.

Leżałem z głową na jej kolanach.

– Lady Madonna – powtórzyłem. – Ty jesteś moja Lady Madonna.

Wydawało mi się, że to brzmi wspaniale. Ale nie wiem, czy jej się tak bardzo spodobało.

Przez chwilę milczała, obserwowała moją twarz.

Pogłaskała mnie po brwiach.

– Słodki jesteś.

Nie wiem, czy mnie się to tak bardzo spodobało.

– Lady Madonna – powtórzyłem.

Zbliżyła usta do moich, a jej włosy spadły na mnie jak cienka, świeżo uprana firanka.

Wiosna wybuchła z większym hałasem niż kiedykolwiek. Kupiłem dwadzieścia eksportowych dla Jenseniusa, a on urządził piekielny koncert do późnej nocy, aż gliny musiały przyjechać, żeby go uciszyć. Od tego czasu Jensenius umilkł. Ale słońce się nie dawało, wyrwało zimę z korzeniami, rowery i orkiestry wypadły na ulice jak jelenie uciekające przed hieną. Cecilie i ja też się nie poddawaliśmy, dalej umawialiśmy się na tajemne, zakazane spotkania w duszne, mgliste wiosenne wieczory, które mimo wszystko nie były aż tak ciepłe, jak się wydawało, i wymagały bliskości i odwagi. Zdarzało się, że przychodziła do mnie zupełnie nagle, bez uprzedzenia, a pewnego wieczoru ja odwiedziłem ją na Bygdøy.

Alexander Wielki z małżonką wybrali się na otwarcie wystawy w Centrum Targowym i Zamek stał otworem. Siedzieliśmy w hamaku w ogrodzie, huśtaliśmy się i piliśmy sok pomarańczowy. Spojrzałem na dach i poczułem miękkość w kolanach, bo był bardziej stromy niż skocznia na Holmenkollen. Ogród też był niczego sobie, trawnik wielkości pola golfowego wypielęgnowany nożyczkami do paznokci. Jabłonie na horyzoncie były niczym białe niespodzianki, na ich widok poczułem kolejny skurcz. Jabłka. Od wysłania tamtego listu nie miałem żadnej wiadomości od Niny, zresztą nic dziwnego, bo napisałem idiotycznie. Cecilie opowiedziała mi o ogrodniku, nazywał się Carlsberg i miał dobrą rękę do roślin, z i e l o n e palce. A ja na to, że Carlsberg to duńskie piwo. Tego, rzecz jasna, nie powinienem był mówić, Cecilie się obraziła i gwałtownie wstała z hamaka. Musiałem przystąpić do reanimacji i po półgodzinie wszystko jak zwykle wróciło do normy. Trochę mnie zdziwiła reakcja Cecilie, bo właściwie chciała się czegoś dowiedzieć o tej Ninie, tak przynajmniej twierdziła, potrafiła mnie poprosić, żebym o niej opowiadał, była jej ciekawa, a zarazem się bała, a ja opowiadałem, starając się nie mówić za dużo i bez zbytniego zapału, trudna sprawa, balansowanie na ostrzu noża, gorsze niż spacer po dachu jej domu. Ale tego wieczoru nie chciała słuchać o Ninie. Najpierw mieliśmy się trochę razem pouczyć, a później posłuchać płyt. Spokojny wieczór. Położyliśmy się w trawie z podręcznikami do angielskiego i francuskiego, przepytywaliśmy się ze słówek.

– Co myślisz o *Wiktorii* Hamsuna? – spytała po chwili.

– Straszna nuda – stwierdziłem.

Zrobiła rozczarowaną minę.

– A ja uważam, że to piękne – powiedziała, patrząc w niebo.

– Nie sądziłem, że Sfinks wybierze taką ckliwą ramotę – brnąłem dalej.

– Chętnie poznałabym syna młynarza. – Cecilie westchnęła.

– Oni sobie wszystko utrudniają bardziej niż to konieczne, nie sądzisz? – spytałem, ale na tym skończyłem. Czułem się dość głupio. – Poza tym to tylko książka – dodałem.

Cecilie przez chwilę leżała rozmarzona. Nadciągał już wiosenny zmierzch, jasna chmura szybko przesunęła się po niebie.

– Pójdę po gramofon – zapowiedziała i pobiegła do domu.

Przyniosła też gitarę. I Leonarda Cohena. Nie mogła się go nasłuchać. Przez cały czas wpatrywała się w zdjęcie tego mrocznego, tragicznego typa, wzbudzającego rezonans dusz, po który dziewczyny gotowe są stać w kolejce.

Zezłościłem się.

– Leonarda też nie lubisz? – spytała Cecilie z pewną rezygnacją.

Była z nim po imieniu.

– Jakieś rzewne historie – powiedziałem. – Cały czas te same rzewne historie.

Odwróciła się do mnie plecami i puściła drugą stronę. Nie słyszałem różnicy.

– Ty lubisz wyłącznie Beatlesów.

– Zgadza się – potwierdziłem.

Akurat taki miałem humor.

Dalej siedzieliśmy w milczeniu. Kiedy płyta się skończyła, Cecilie wzięła na kolana gitarę i zaczęła palcami trącać struny. Bardziej, a właściwie prawie najbardziej podobała mi się wtedy, kiedy usiłowała grać na gitarze, bo nie umiała grać, a cudownie było patrzeć, jak robi coś, czego nie potrafi robić idealnie.

Uderzała w struny paznokciami, lewą dłoń przesuwała w karkołomnych pozycjach, palce wyginały się na wszystkie strony. Ale w kwestii palców nie powinienem się wypowiadać, bo mój wskazujący wyglądał na świat jak zniekształcony znak zapytania. Cieszyłem się, że Cecilie o niego nie pyta.

Potem zaczęła śpiewać po angielsku.

Brzmiało to dość żałośnie.

W takich chwilach czułem, że ją kocham.

Kiedy skończyła, pustym wzrokiem popatrzyła przed siebie, jakby nasłuchiwała echa.

Dotknąłem jej.

– Ładnie – powiedziałem.

– Kłamiesz.

– Naprawdę tak uważam. Było ładnie.

– Kłamiesz – powtórzyła, ale dalej grała i śpiewała *Suzanne*, a mnie ta piosenka w jej wykonaniu naprawdę się podobała, *rags and feathers from Salvation Army*, coś w tym szarpało za serce.

Za nami wznosił się ogromny Zamek, ogród rozciągał się na wszystkie strony, niebo poruszało się powoli, dookoła pachniało świeżo skoszoną trawą. Cecilie siedziała z gitarą marki Levin, śpiewała piosenki, trochę to było dziwne, że Cecilie, ta nieprzejednana Cecilie, tak lubiła te piosenki. Nie Boba Dylana, tylko Donovana, nie Barry'ego McGuire'a, tylko Cohena, nie Johna Mayalla, tylko Simona i Garfunkela. Wykonała cały swój repertuar składający się z pięciu piosenek. *Donna Donna, Catch the Wind, Suzanne, April* i *Yesterday*. Kiedy skończyła, zrobiło się właściwie już dość chłodno, więc przysunąłem się do niej i zająłem miejsce gitary. Nagle jednak zaskrzypiała furtka i na wysypanej żwirem alejce zachrzęściły kroki. Cecilie aż podrapała mnie przez koszulę, tak się przestraszyła. Siedzieliśmy cichutko jak myszki, bo i tak było za późno na ucieczkę. Ale to wcale nie byli jej rodzice, tylko jakiś staruszek w słomkowym kapeluszu i szerokich spodniach powiewających na łagodnym wietrze.

Cecilie odetchnęła z ulgą.

– To tylko Carlsberg – szepnęła.

Dostrzegł nas i ruszył po trawniku ostrożnym krokiem, jakby się bał, że sprawia trawie ból.

– Cześć – powitała go Cecilie.

Zatrzymał się, zdjął żółty kapelusz i głęboko się skłonił.

– Dobry wieczór, panienko Almer – powiedział cicho, z pokorą.

Lekko skinął mi głową. Patrzyłem na jego palce. Nie były wcale zielone, tylko ciemnobrązowe, szczupłe, eleganckie, prawie jak palce Murzyna.

– Musiałem zostawić swoją fajkę w kuchni – tłumaczył się, nieco zakłopotany.

Cecilie poszła z nim do domu. Wkrótce stamtąd wrócili. Carlsberg zniknął po kolejnym głębokim ukłonie, odszedł prawie bezszelestnie.

– Ale się wystraszyłam! – wyznała Cecilie, siadając przy mnie.

Siedziałem oniemiały.

– Carlsberg nic nie powie – ciągnęła. – Jest lojalny.

Roześmiała się. Ja nie dostrzegałem w tym nic zabawnego.

Pocałowała mnie szybko.

– Musisz już iść – stwierdziła.

Szedłem wzdłuż Frognerkilen, słuchałem jazzu dochodzącego z Club 7, woda pluskała o kadłuby łodzi, gdzieś narastał warkot motocykla. Nie mogłem się pozbyć z oczu widoku Carlsberga, pokornego, kłaniającego się, stojącego w odległości metra: „panienko Almer". To wręcz przerażało. Z całej siły starałem się przypomnieć sobie raczej gitarowe chwyty, a zwłaszcza te niezręczne palce, które nieustannie źle trafiały i uderzały nie tam gdzie trzeba. Tak chciałem ją pamiętać.

Stig został maturzystą i mógł na burzę włosów wcisnąć czerwoną czapkę, na daszku napisał „Mao", a na wizytówkach, jakie robili sobie maturzyści, „Norwegia precz z Wietnamu". Nie wszyscy to rozumieli, my dostaliśmy po jednej wizytówce i śmialiśmy się dość cicho. Oczywiste było, że Stig nie bierze udziału w zabawach maturzystów po to, by zdobyć odznaki za kolejne wygłupy, bo świętowanie matur to obyczaj wymyślony dla mieszczańskich dzieci. Stig uczestniczył w tym, żeby infiltrować środowisko. A w święto 17 Maja został wraz z trzema innymi długowłosymi bandytami ze Szkoły Katedralnej wyrzucony z pochodu maturzystów, kiedy przed ambasadą amerykańską rozwinęli ogromny transparent: „USA = PAŃSTWO MORDERCÓW". Poleciały butelki po piwie, wściekli ojcowie, we wciśniętych na łyse głowy studenckich czapkach, z pomponami przypiętymi do wywatowanych ramion, zaciskali pięści, krzyczeli i pluli, ale Stig był bardzo zadowolony, uważał akcję za udaną. Moment zaskoczenia zadziałał. Szok, jak kwas w negatyw, wgryzł się w pomarszczoną siatkówkę mieszczaństwa. Udzielił nam audiencji w swoim pokoju, w tle chrypiał Bob Dylan, Stig w pozycji lotosu siedział na otomanie, a my leżeliśmy rozsypani na podłodze. Szykuje się, mówił Stig. Niedługo wybuchnie, mówił Stig. Zanim przyjdzie lato, świat już nie będzie taki jak dawniej. Paryż, mówił Stig. Tam było nie tylko obrzucanie błotem ambasad, lecz również barykady, broń, strategia i spontaniczność! Tam mieli nie tylko Finna Gustavsena, założyciela Socjalistycznej Partii

Ludowej, lecz także Sartre'a i Cohn-Bendita. Robotnicy i studenci stali ramię w ramię. De Gaulle mógł się zakopać pod ziemię jak zgniły kret, którym tak naprawdę był. Słuchaliśmy z nabożeństwem. To były wielkie rzeczy. Ten ruch się rozprzestrzenia, mówił Stig. Dzisiaj Paryż. Jutro Oslo. Albo pojutrze. Wyglądał na trochę zmęczonego. Ale cieszył się, że dane mu jest przeżywać takie wydarzenia. Prawda, towarzysze? W salonie huknęła fanfara wieczornych „Wiadomości", polecieliśmy do telewizora, zdążyliśmy jeszcze zobaczyć obracający się krzywy globus czołówki. Ojciec Gunnara siedział zgarbiony na kanapie, z czarnymi workami pod oczami, z siwymi, zwiędłymi włosami. Miał wielkie plany co do rozszerzenia swojego sklepu, chciał podjąć walkę, przebić się do piwnicy, urządzić targ na podwórzu, budować wzwyż, naprawdę wielkie plany. Ale żaden bank nie chciał pożyczyć mu pieniędzy, kiedy słyszał, że jego sklep znajduje się niedaleko miejsca, w którym powstać ma nowy supermarket Bonus. Gunnar powiedział nam o tym któregoś wieczoru. A ja pomyślałem wtedy o moim starym. O tym, że on mógłby chyba pożyczyć te pieniądze, i pewnego dnia nawet o to spytałem. Ojciec wtedy wygłosił mi cały wykład o opłacalności i zabezpieczeniach, o spoglądaniu rzeczywistości prosto w oczy i o za krótkiej kołdrze. Zrozumiałem z tego tyle co nic, ale dotarło do mnie, że dzieje się źle, naprawdę źle. Ale teraz staliśmy przed telewizorem, z oczami w ping-pong. Dramat rozgrywający się na ekranie raczej nie obchodził sklepikarza Holta. Za to my wgapialiśmy się, nachyleni. P a r y ż. Niespokojne, podskakujące zdjęcia, jakby kamerzysta biegł, jakby ktoś go gonił. Wszystko odbywało się na jakimś wielkim placu, momentami w tle dostrzec się dało fontannę, zwierzęta wypluwające wodę. Ludzie rozbiegali się na wszystkie strony, gdzieś musiało się palić, bo było mnóstwo dymu, więc większość zasłaniała twarze chusteczkami. Głos komentatora spokojnie relacjonował starcia między studentami a policją. I robotnikami! – zawołał Stig. Z ciężarówki wypuszczono kolejny ładunek gliniarzy, mieli przeszklone przyłbice, wielkie tarcze i długie pałki. Walili wokół siebie jak dzicy, rzucali się na każdego, do kogo tylko się zbliżyli, jakby to była jakaś szalona zabawa, ale to wcale nie była zabawa, tylko ohydna rzeczywistość, która zmaterializowała się w tych tysiącach punkcików, z jakich składa się ekran telewizyjny: krew tryskająca z głów, ludzie mdlejący, krzyczący, owładnięci ślepym strachem, krew spływająca

po twarzach i pałki walące na oślep, walące, jak nagle zobaczyłem, w głowę Henny.

To był taki moment, w którym człowiek nagle zmuszony jest z obserwatora stać się uczestnikiem. Czerwone nici przypadku wplatają cię w nową rzeczywistość, to jak zrobienie kroku w bok, wyrwanie się ze snu, jak przejrzenie się w lustrze i nierozpoznanie własnego odbicia. Zobaczyłem Henny maltretowaną przez pałki, podniosła ręce, żeby się osłonić, ale to nie pomagało, oni dalej grzmocili, a Henny w końcu tylko krzyczała, zatykając uszy, jakby nie miała już siły słuchać własnego rozdzierającego krzyku. Nagle zniknęła z ekranu, ale w mojej głowie obrazy ciągle się przesuwały.

Co sił w nogach pognałem na Marienlyst. Zaczęło padać. Spokojny, cichy deszcz, od którego nagrzany asfalt zaczął parować i pachnieć, a bzy jaśniały jak lśniące kopuły. Biegłem przez ten spokojny deszcz, przez senne ulice, a Huberta zastałem w żałosnym stanie. On też to widział, nie miał żadnych wątpliwości, to Henny została tak zmaltretowana.

– Muszę tam jechać! – zawołał. – Muszę tam jechać!

Krążył po pokoju jak lew po klatce, deptał po ramkach, kopniakami odsuwał kartki, płótna i tygodniki. Twarz miał poszarzałą, oczy nabrzmiałe lękiem, tęsknotą i gniewem.

Próbowałem go uspokoić, poczułem się nagle cholernie dorosły. Miałem uspokoić własnego stryja.

– Spróbuj zadzwonić – powiedziałem.

– Już dzwoniłem! – krzyknął. – Nie mogę się połączyć! Do Paryża nie można się dodzwonić. Telefonowałem do ambasady. Muszę tam jechać! – Wycieńczony opadł na fotel. – Ty też to widziałeś – jęknął.

– Tak.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Oni ją z m i a ż d ż y l i! Rozbili jej głowę. Nos. Usta.

Wstał, usiadł, wstał.

– Hubert – powiedziałem – ona ma na pewno mnóstwo przyjaciół w Paryżu. Pomogą jej. Wezmą ją do szpitala.

Usiadł.

– Całkiem wyzdrowieje – ciągnąłem. – W telewizji to na pewno wyglądało dużo gorzej niż w rzeczywistości – powtarzałem, chociaż sam w to nie wierzyłem.

Hubert tylko na mnie patrzył.

– A kiedy już się lepiej poczuje, to do ciebie zadzwoni. Twój wyjazd teraz w niczym nie pomoże.

– No nie. Właśnie, że tak.

Przyniosłem z kuchni dwa ciemne piwa.

Piliśmy prosto z butelek.

– Dziękuję – powiedział Hubert. – Dziękuję, że przyszedłeś, Kim.

Siedzieliśmy przez chwilę, czując, jak słodki, ciężki smak piwa przesącza się w ciało.

– Wszystko się ułoży – próbowałem go pocieszać.

– Najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem.

– Ja też.

Przyniosłem jeszcze dwa piwa. Lęk pojawiał się w postaci ostrych ukłuć, jakby ktoś wziął mnie za tarczę i rzucał we mnie strzałkami.

– Jak ci się układa z Cecilie? – spytał Hubert.

– W porządku – powiedziałem, ale nie wiedziałem już, czy wierzę w cokolwiek z tego, co mówię.

Zbliżały się egzaminy i świat zaczął odzyskiwać równowagę. Stig, wyczerpany infiltracją, która okazała się trudna, leżał teraz z zapuchniętymi oczami i czekał na żandarmerię. Oczywiście odmówił pójścia do wojska. De Gaulle rozprawił się z Paryżem, a my z Cecilie wkuwaliśmy razem. Siedzieliśmy u mnie albo na ławce w parku Frogner, jeśli pogoda pozwalała. Cecilie nie bardzo interesowały wydarzenia w Paryżu, ale była dobra z francuskiego i nauczyła mnie kilku sztuczek. Nie opowiedziałem jej o Henny. Hubert ciągle nie miał od niej żadnych wiadomości. Cecilie interesowała głównie jej gitara, mówiła o nowych chwytach, których się nauczyła, o akordach i septymach, śledziła kurs gitarowy w młodzieżowym czasopiśmie „Det Nye". Kupiła longplay Young Norwegians, duetu balladzistów. Trochę opowiadałem jej o zespole, który

zamierzaliśmy kiedyś założyć, The Snafus. A w szkole ciągle była ta sama śpiewka, Cecilie daleka i obojętna wobec mnie. Peder i Cwany Leif węszyli, zachodząc w głowę, co właściwie się dzieje, ale nikt już nie próbował tchnąć więcej życia w Karlsena z Dachu i Kościotrupa z Zabawy. Mocno stąpałem nogami po ziemi.

Któregoś wieczoru siedzieliśmy u mnie i wkuwaliśmy niemiecki, pożeraliśmy kanapki, wypluwaliśmy koniunktiwy, datiwy i inne diabelskie wymysły. Cecilie przepytywała mnie z przyimków i nie ustąpiła, dopóki się nie nauczyłem. Zajęło to całkiem sporo czasu, a chciałem robić tyle innych rzeczy. Na dworze padał deszcz, ciepły, dość mocny, taki, po którym przyjemnie chodziłoby się nago, pomyślałem, przebiegłem wzrokiem po Cecilie, straciłem koncentrację i nie wcelowałem w rodzaje gramatyczne, nic mi się nie zgodziło. Cecilie, trochę zrezygnowana, zaczęła przeglądać mój stos płyt, ale nie znalazła nic, co by ją zaciekawiło. Lubiła wczesnych Beatlesów, zwłaszcza ballady Paula, jak je nazywała, miała przecież *Yesterday* w repertuarze. Ale nie przepadała za *I Am the Walrus* ani za *Lucy in the Sky*. Nie dawała się przekonać, bez względu na to, jak się starałem. Przyzwyczaiłem się już do jej piosenek, a tego wieczoru śpiewała mi bez gitary. Siedziała na mojej rozkładanej kanapie w czerwonej bluzce i ze skupioną miną śpiewała mi, wystukując rytm na podręczniku do francuskiego, *Sound of Silence*. Powiedziałem, że mi się podobało, ale w ogóle mi nie uwierzyła i zaśpiewała jeszcze raz. Ogarnęły mnie spokój i radość. Właśnie tak powinno być.

I potem się to stało. Wybuchła bomba. Miałem ją odprowadzić kawałek promenadą nadbrzeżną, padał dobry deszcz, nadający się do odprowadzania dziewczyn do domu. Zbiegłem ze schodów pierwszy, otworzyłem ciężką bramę i właśnie w chwili gdy Cecilie ciągle jeszcze stała w ciemności bramy, a ja już wyszedłem na chodnik i poczułem na włosach pierwsze krople, właśnie wtedy pojawiła się Nina. Podbiegła do mnie w tej swojej długiej sukience oblepiającej chude ciało, z włosami opadającymi na twarz i wielkim białym uśmiechem. Biegła z otwartymi ramionami, rzuciła się na mnie i objęła mnie całego.

– Dziękuję za list! – zaśpiewała mi do ucha, a jej głos zabrzmiał trochę po duńsku.

W tej samej chwili z bramy wyszła Cecilie. Nina wisiała mi na szyi, ale na widok Cecilie powoli mnie puściła i ręce jej opadły. Patrzyły na siebie, mierzyły się wzrokiem, bez słowa, a mimo to wszystko było jasne. Nie zdążyłem się zastanowić, co mógłbym powiedzieć, nie ruszyłem nawet palcem, a one już rozeszły się w różne strony. Stałem dalej na zimnym, uporczywym deszczu, dopóki nie przemokłem, nie przeziębiłem się, nie zapadłem na śmiertelną chorobę. Opuszczony, powtarzałem w myślach; słowo miało zgniły, mdły smak. Próbowałem skręcić papierosa, ale tytoń i bibułka się rozpłynęły. Dalej lało, a ja stałem, serce wywinęło mi się jak stary, czarny parasol.

Wokół mnie zapanowała cisza, jakbym się znalazł w dźwiękoszczelnym pokoju z palącym słońcem na suficie. Przestało padać. To był koniec wszystkiego. Cecilie przywdziała zbroję, a ja stałem się dla niej niczym, jakąś śmieszną ćmą. Jej plecy były strome jak ściana Lofotów i tak samo zimne. Musiałem sam się uczyć do egzaminów, szło mi opornie, ale zwisało mi, czy zdam. Cwany Leif i Peder wysuwali czułki, a ja uderzałem czołem o szklaną ścianę za każdym razem, gdy tylko próbowałem się zbliżyć do Cecilie. Śledziłem jednak wszystkie jej ruchy i tego dnia, gdy Cwany Leif i Peder odbyli z nią długą dyskusję na dużej przerwie, a ja obserwowałem ich, stojąc przy źródełku z wodą do picia, i widziałem, że zawarto pewne umowy, a drzwi do śmiechu otwarto na oścież, nie potrafiłem dłużej wytrzymać. Coś mi przeskoczyło w głowie i po szkole poszedłem za nimi. Po prostu za nimi poszedłem, w odległości stu metrów, przemykałem od bramy do bramy, chowałem się za samochodami, za słupami latarni i starszymi paniami, jak na ponurym piątkowym kryminale, bo czułem chorobę w piersi i nie wiedziałem, co robię. Szli daleko. Szli przez park Frogner, Peder i Cecilie obok siebie, blisko. Cwany Leif obskakiwał ich jak łaszący się piesek. Skradałem się od krzaka do krzaka. Dotarli do Heggeli, gdzie mieszkał Peder, i zniknęli w białej bramie. Usiadłem i czekałem. Czekałem godzinę. Czułem chorobę w żołądku. Wreszcie wyszli. Peder niósł torbę z rakietami. Wszyscy się śmiali. Skuliłem się. Ruszyłem za nimi. Na korty tenisowe na Madserud. Zniknęli w budynku klubu sportowego. Po kwadransie Peder i Cwany Leif wyszli w krótkich białych spodenkach, z kieszeniami wypchanymi piłkami

do tenisa. Podskakiwali ze śmiechem, czekając na Cecilie. Pojawiła się dziesięć minut później, w obcisłej białej koszulce i białej spódniczce wielkości znaczka pocztowego. Cwany Leif i Peder rozdziawili głupie pyski, wielkie, głupie mordy. Osunąłem się za krzak dzikiej róży. Wyszli na wolny kort, Peder pilnował napinania opalonych ud, żeby mięśnie lśniły w słońcu, natomiast pękaty Leif starał się chować brzuch i wlókł się za nimi z wywieszonym ozorem.

Peder poprawił siatkę. Kilka razy zaserwował. W żółtym, piekącym świetle zawirował poderwany do góry czerwony pył. Zaczęli grać. Cwany Leif był chłopcem do podawania piłek. Piłka szybowała tam i z powrotem, łagodnymi łukami. Słyszałem ciężki oddech Cecilie. Zjadłem owoc dzikiej róży. Peder popisywał się backhandem. Przy smeczu Cecilie cicho krzyknęła. Peder się roześmiał. Cecilie zaserwowała. Podrzuciła piłkę i wyciągnęła się do niej, jakby miała trafić w planetę, krótka spódniczka podwinęła się, odsłaniając majtki, wąskie biodra, trwało to blisko godzinę, a ona wciąż się wyciągała w górę, rozciągała czas. Cwany Leif musiał przetrzeć okulary, rakieta Pedera zawisła wyczekująco w powietrzu, sam Peder cały się trząsł, aż w końcu Cecilie uderzyła i to był as serwisowy.

Zjadłem jeszcze jeden owoc róży. Teraz Cwany Leif miał spróbować gry. Peder siedział na ławce i ocierał pot z twarzy. Rozbolał mnie kręgosłup, zmieniłem pozycję. Wtedy Cecilie popatrzyła wprost na mnie, przez rzadkie liście krzewu, przez pomarańczowe owocki, wprost na mnie, a w jej spojrzeniu nie było zdumienia, cały czas wiedziała, że się tam czaję. Przytrzymywała mnie wzrokiem, odbijając piłki Leifa, aż w końcu mnie puściła; tak jak się zdejmuje rybę z haczyka, tak ona wrzuciła mnie z powrotem do wody. Niejadalny. Zabrałem teczkę i wymknąłem się stamtąd, uciekając od czerwonego pyłu, uderzeń rakiet i białej spódniczki Cecilie. Upokorzenie stało się faktem.

Tej nocy śniły mi się dźwięki. Cisza w mojej izolatce została przerwana, a ja za nią tęskniłem. Śniły mi się dźwięki, były bliskie, w samym środku ucha, obudziłem się z krzykiem, z takim, który słyszeć musiała nawet Cecilie, w każdym razie kiedy się obudziłem, siedziała przy mnie mama i kładła mi na czoło zimny kompres. Śnił mi się mecz tenisowy, odgłos rakiety uderzającej w piłkę, głuchy, nieco suchy dźwięk, rozlegający się, gdy piłka uderza o napięte struny, jak uderzenia serca. Chwilę później

przyśnił mi się Paryż, plac, po którym bezładnie biegali ludzie, a policja waliła pałkami na oślep, jakby bała się jeszcze bardziej niż ci, których biła. Śniły mi się odgłosy pałek uderzających w czaszki, czegoś pękającego, a potem bezdźwięczna eksplozja krwi zaciemniająca świat.

Śniły mi się pałki i uderzenia tenisowej rakiety.

Egzaminy minęły wśród zgrzytania zębów. Ola miał największe w całej szkole drugie śniadanie, wzory i regułki wyrył na plasterkach sera. Jakoś poszło. I wreszcie w pełen napięcia dzień stanęliśmy lekko oszołomieni, bo właśnie skończyliśmy pierwszy rok nauki w liceum.

– Co teraz robimy? – spytał Gunnar.

– Na pewno nie idziemy do Studenckiej! – oświadczył Seb.

Wyrzuciliśmy brudnopisy do najbliższego kosza na śmieci i do domów wróciliśmy z samymi piórnikami. Mama w nagrodę wręczyła mi pięćdziesiąt koron i zadzwoniła do ojca przekazać mu, że syn zrobił pierwszy krok do nieba. Pozostali też zgarnęli niezłe sumki, więc pomaszerowaliśmy w dół Drammensveien i udało nam się zdobyć stolik w Pernille, restauracji na świeżym powietrzu.

Zamówiliśmy kolejkę piwa, a paczkę teddych położyliśmy na środku obrusa. Gunnar odpowiednio ustawił parasol. Kelnerka przyniosła szklanki. Wypiliśmy i od razu zamówiliśmy następną kolejkę. Byliśmy bardzo spragnieni.

– Nareszcie – powiedział Seb.

Mogliśmy się pod tym podpisać.

– Jeszcze tylko dwa lata. – Gunnar westchnął.

– Zamknij się! – warknęliśmy.

Pojawiło się piwo.

– Gło-gło-głodny jestem – oświadczył Ola.

Zamówiliśmy cztery kanapki z krewetkami.

Dookoła roiło się od ludzi. Do stolików ustawiały się kolejki. Wzdłuż Karl Johan staruszkowie na ławkach pocili się w cieniu pod drzewami. Piwo wytwarzało w głowie niebieską, zacienioną grotę.

Wjechały krewetki.

Zamówiliśmy kolejne piwa.

Zjedliśmy krewetki, kelnerka w białym fartuchu przyniosła tacę pełną szklanek.

Zapaliliśmy papierosy i wydmuchaliśmy cztery kółka dymu, które zawisły nad stolikiem jak tajny sygnał.

– Snobistyczne miejsce – ocenił Seb. – Same blezery i odznaki Królewskiego Towarzystwa Żeglarskiego. – Kciukiem dyskretnie wskazał za siebie. – Aż tu dochodzą do mnie gardłowe dźwięki Kårego – ciągnął. – I zadyszka Cwanego Leifa.

Wyciągnąłem szyję.

Siedzieli w samym rogu, piętnaście, dwadzieścia osób przy jednym stoliku, Kåre, Peder, Cwany Leif, ten goguś, cała banda w białych koszulach, z przypinkami w barwach flagi Wietnamu Południowego i sztucznym, nakręcanym śmiechem. I Cecilie.

– Właściwie co słychać z Cecilie? – spytał Gunnar.

– A jak ci się wydaje? Cholernie dobrze. Tyle że postanowiliśmy siadać przy oddzielnych stolikach i spotykać się tylko w weekendy.

– Daj spokój!

– Do dupy – przyznałem. – Wszystko do dupy.

Opowiedziałem o pojawieniu się Niny.

– To przecież blues – stwierdził Seb. – Czysty, gotowy blues, stary! *I got two women, nobody loves me anymore*.

Wyciągnął harmonijkę i wyssał z niej zawodzenie.

Przy sąsiednich stolikach nadstawiono uszu. Nawet ta banda z pieprzonego Ullern w kącie umilkła. Seb schował organki do kieszeni i napił się piwa.

– Z Guri też koniec. Nie mam czym konkurować z nartami wodnymi. Dymisja bez honorów.

Zamówiliśmy więcej piwa i szybko sprawdziliśmy finanse. Jeszcze wytrzymywały.

Pojawiły się pełne szklanki.

– Za to wy jesteście świeżo zakochani i szczęśliwi. – Seb zaśmiał się, wskazując na Gunnara i Olę.

– W lipcu jadę do Tro-Tro-Trondheim – zwierzył się Ola.

– A ja jestem umówiony z Sidsel za dwie godziny – powiedział Gunnar.

Piliśmy piwo i patrzyliśmy na ludzi, na przepływający obok nas strumień wszystkich kształtów, wszystkich kolorów, wszystkich zapachów. Opalone uda dziewczyn, wymięte marynarki, wrzeszczące dzieci z buziami wysmarowanymi lodami, wzdęte od piwa brzuchy, perfumy, zapach potu. Piliśmy w cieniu pod parasolem i właśnie skończyliśmy pierwszą klasę liceum.

Kiedy opróżniliśmy kolejne szklanki, Ola powiedział:

– Mu-mu-muszę się wysikać.

Wszyscy mieliśmy pęcherze.

Seb nachylił się nad stolikiem i szepnął:

– Idziemy do p a r k u, chłopaki!

Odlaliśmy się za krzakiem i po schodach weszliśmy na wzgórze. Było tam sporo ludzi, siedzieli w grupkach na żółtej, zdeptanej trawie. Niektórzy krążyli wokół i gapili się zmrużonymi oczami, inni stali wyprostowani, rozglądając się, jakby czekali na coś wielkiego. Mieli długie, tłuste włosy, dłuższe niż Stig, rozszerzane spodnie z frędzlami, długie tuniki, przepaski na włosach i niezdrową cerę. Czuliśmy się tak, jakbyśmy przyszli na imprezę, na której kompletnie nikogo nie znamy. Trochę jak czterej wysłannicy z drużyny juniorów Armii Zbawienia. Przekradliśmy się pod łuszczący się pień drzewa i usiedliśmy na trawie.

– Co ro-ro-robimy? – spytał szeptem Ola.

– Spokojnie – powiedział Seb. – Czekamy.

Sto metrów niżej Cecilie została z ulizanymi paniczykami i żeglarzami szpanerami. A my siedzieliśmy po turecku tutaj, wśród tych, którzy odwrócili się plecami do wszystkiego, kąpali w fontannie przy głównej ulicy, olewali rodzinę królewską i srali na policję.

W głowie szumiało od całego wypitego piwa.

Teraz byliśmy tutaj.

Podszedł do nas jakiś wychudzony typ, nachylił się. Oczy miał osadzone tak blisko siebie, że prawie się zlewały w jedno długie oko, wąskie i żółte. Pogmerał w skórzanej sakiewce, którą miał przy pasku.

– Pokój z wami, ludzie – powiedział monotonnie, dziwnym głosem.

Siedzieliśmy cichutko jak myszki, jakby gospodarz wreszcie zlitował się nad nami i łaskawie pozwolił nam zostać.

– Wibracje wiosny – mówił cicho cyklop. – Pod stopami czuję, że wszystko rośnie. Łaskocze mnie.

Był bosy. Lekko zachichotał.

My też.

Nachylił się jeszcze niżej. Od jego twarzy bił słodki zapach.

– Właśnie t o jest snem, wiecie? Nie ma żadnej rzeczywistości. Ale my nie śnimy. J e s t e ś m y w tym śnie, rozumiecie? Rozumiecie to? To ktoś inny nas wyśnił. Rozumiecie?

– Rozumiemy – powiedział Seb.

Facet uklęknął.

– Jest krucho, ale mam dwa gotowe jointy, marokańskie, z gwarancją. Podstemplowane u jubilera Davida Andersena.

Atak kaszlu trzy razy obrócił go na trawie.

Wreszcie znów wstał, wsunął palce do sakiewki i wyłowił z niej dwa cienkie skręty.

– Pięć dych – szepnął.

Popatrzyliśmy po sobie. Seb wyjął kilka dziesięciokoronówek.

Facet włożył mu skręty do ręki i zaczął się od nas oddalać. Pieniądze zniknęły za paskiem spodni.

W momencie kiedy Seb zapalił, usłyszałem głośne wołanie tamtego:

– Siri!

Od jednej z grupek oderwała się równie wychudzona dziewczyna, z cienkimi, tłustymi włosami. Gwizdnęła, przyczłapał pies, owczarek, sama skóra i kości, parszywy, różowy, bo prawie wcale nie miał sierści, a żebra sterczały mu jak idiotyczna harfa.

Sprzedawca wskazał na nas, dziewczyna się odwróciła.

Seb wciągnął pierwszy dym, zamknął usta i zostawił dym w płucach.

Podał skręta mnie.

Trzy szkielety powędrowały w stronę Zamku Królewskiego.

Siri. Pies.

Nic nie powiedziałem. Myślałem o gnomie znad Daltjuven: Kto umrze tym razem?

Zaciągnąłem się głęboko, przełknąłem piekący dym, z oczu pociekły mi łzy.

Gunnar parę razy pyknął, wypuścił dym przez nos. Ola zaciągnął się i wrzasnął.

Później siedzieliśmy nieruchomo, sztywni, i czekaliśmy. Gdzieś niedaleko nas włączono magnetofon. Jefferson Airplane.

Seb zapalił drugiego skręta, który znów zrobił rundę. Muzyka z tyłu grała coraz głośniej, jakby dochodziła ze wszystkich stron, jakby na drzewach było pełno głośników.

– Ni-ni-nic nie czuję – powiedział Ola.

Posiedzieliśmy jeszcze przez chwilę. Nie mogłem już wytrzymać tej muzyki, łomotało mi w głowie, jakbym do uszu miał przyklejone największe słuchawki na świecie.

– Nie wytrzymam dłużej tego grania! – krzyknąłem na całe gardło, żeby je zagłuszyć. – Pójdę im powiedzieć, żeby przyciszyli!

Popatrzyli na mnie dziwnie.

– Co? – spytał Ola.

– Ta muzyka, do cholery! Prawie nie słyszę, co mówisz!

Seb poklepał mnie po ramieniu.

– Muzykę wyłączyli już dawno. Poszli sobie.

Odwróciłem się. Nikogo nie było.

Niedługo potem Gunnar i Ola równocześnie wstali, podeszli do drzewa i zaczęli rzygać na zielono. Wrócili, zataczając się. Pot na ich czołach przypominał brudną przepaskę.

– Spadam – wybełkotał Gunnar, próbując znaleźć zegarek. Podciągnął nogawkę spodni.

Ola poszedł za nim.

Ja też miałem ochotę stąd iść, ale się nie ruszyłem. Do kory mózgowej przyczepiła się idiotyczna myśl. Że to przez Cecilie siedzę tutaj, otępiały

i pogubiony, że to wszystko przez nią. Niech się dalej bawi z synami żeglarzy, zgniłymi rentierami i specjalistami od backhandów.

Wola wypłynęła z mojego szpiku kostnego jak woda z odkręconego kranu.

Seb przypalił niedopałek.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Nie wiem. Ciężko. Ospale.

Położył się na trawie.

– Nirwana – powiedział. – Jesteśmy w drodze do nirwany.

Zaciągnąłem się tak mocno, że żar sparzył mi wargi, wyplułem resztki. W płucach pulsowało nieregularnym rytmem. Przyłożyłem dłoń do serca, ale go nie znalazłem.

Przysiadła się do nas jakaś psychodeliczna grupa. Przygotowali tytoń na sreberku, wsypali go do glinianej fajki chillum i podpalili, jak piromani. Seb dostał fajkę, osłonił rękami ustnik tak jak oni i wciągnął dym. Pot nakrył mu twarz jak chustka. Ja też spróbowałem, zapiekło mnie w piersi, z trudem łapałem oddech. Ktoś ze śmiechem walnął mnie w plecy. Rozpiąłem koszulę, żeby sprawdzić, czy nie widać śladów oparzeń na skórze. Ktoś położył mi rękę na brzuchu i zapach kadzidła połaskotał mnie w nos jak źdźbło trawy. Zacząłem się śmiać. I nie mogłem przestać. Śmiałem się jak nigdy dotąd. Inni wokół mnie też się śmiali, siedziałem jak na koncercie śmiechu, grała orkiestra brzuchów, symfonia ust, śmiałem się coraz głośniej, a śmiejąc się, słyszałem, jak ten śmiech eksploduje dookoła niczym rozmieszczone wcześniej miny, wiłem się w trawie i nagle odkryłem, że wszyscy siedzą z zamkniętymi ustami i wpatrują się we mnie. Śmiałem się tylko ja. Przestałem się śmiać.

Nachyliła się nade mną dziewczyna z kadzidłem.

– Połaskotałaś mnie w nos – powiedziałem.

Jej ręka spoczęła na moim brzuchu jak zimna muszla.

– Masz brzydką koszulę – odparła.

Zerwałem z siebie koszulę i zarzuciłem ją na gałąź drzewa.

– Spodnie też masz brzydkie – dodała.

Zdjąłem spodnie i rzuciłem je gdzieś daleko.

Pojawiła się nowa fajka i dalej nic już nie pamiętam, aż do chwili, kiedy się ocknąłem i zorientowałem, że jest ciemno i że zmarzłem. Nieco dalej paliły się cztery świece. W powietrzu unosił się zapach kadzidła. Ktoś brzdąkał na gitarze. Usłyszałem, że Seb gra na harmonijce.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego jestem w samych kąpielówkach. I w zamszowych butach. Głowa pracowała na pełnych obrotach. Bolało mnie w karku i w piersi. Nagle spadła na mnie bezlitosna świadomość. Nina. To oczywiste, że muszę iść do Niny. Nie miałem czasu się żegnać. Pobiegłem pod górę po trawniku, minąłem gwardzistów i zdumionych wieczornych spacerowiczów z pudlami i żyrafami na smyczy. Czyżby nigdy wcześniej nie widzieli człowieka w kąpielówkach? Zacząłem się zastanawiać. Kaczki znieruchomiały na trawie jak obłe posągi. Gnałem przez Briskeby, przez Uranienborg, minąłem swoją dawną szkołę, kiosk, który miał nowego właściciela, Faceta na Schodach, zbiegłem w dół Bondebakken, za róg, gdzie jabłonie zdawały się jarzyć elektrycznym światłem, obok fontanny, która pluskała wśród nocy jak łagodny krwotok.

Znalazłem Tidemands gate, znalazłem ten dom, wbiegłem na klatkę i zadzwoniłem.

Długo to trwało. Zadzwoniłem jeszcze raz. Wreszcie usłyszałem kroki, drzwi się otworzyły i spojrzał na mnie smoking z błyszczącą piersią.

– Nina – powiedziałem tylko. – Nina.

Pojawiły się kolejne osoby. Oczy miały dziwne, jak nieoszlifowane szlachetne kamienie.

Stanąłem na palcach.

– Nina! – zawołałem. – Muszę rozmawiać z Niną!

– Tu nie mieszka żadna pana znajoma. Proszę stąd odejść!

Udało mi się wsunąć stopę za próg.

– Nina! – powtórzyłem.

– Proszę stąd odejść! – wrzasnął stojący z przodu mężczyzna.

Wpadłem we wściekłość.

– Próbujecie ją ukrywać! – krzyczałem. – Wiem, że ona tu jest! Nina!

Zajęli się mną. Wypchnęli mnie na chodnik. Poczułem czyjeś kolano na nerkach, wykręcili mi rękę na plecy. Chyba słyszałem, że się śmieją.

– Nina – powiedziałem słabym głosem, stojąc na ciemnej ulicy, kiedy smokingi, przeklinając, wchodziły do bramy.

Znów ruszyłem przed siebie. Poczułem mdłości i w alejce do jazdy konnej na Gyldenløves gate zwymiotowałem. Lało się ze mnie jak z hipopotama. Nina, szlochałem. Cecilie. Nagle usłyszałem, że kawałek dalej pada deszcz. Opętańczo chciało mi się pić, więc pobiegłem tam, gdzie padało. To była fontanna, stara, dobra fontanna pluskała w mroku. O mało się nie rozpłakałem z radości. Jeśli miałem iść do Cecilie, to musiałem się najpierw wykąpać. To było oczywiste. Przeskoczyłem przez krawędź i z głośnym pluskiem wylądowałem w letniej wodzie, sięgającej mi do połowy ud. Zacząłem płynąć, wpłynąłem wprost w deszcz fontanny, jak samotny pstrąg. Tam wstałem, spojrzałem w czarne niebo i pozwoliłem, żeby wodospad mnie opłukał.

Nagle pojawiło się mnóstwo ludzi. Stali przy brzegu i patrzyli na mnie. Wkrótce potem nadjechał samochód z niebieskimi światłami na dachu. Dwaj funkcjonariusze pokonferowali z tłumem, a potem zwrócili się do mnie:

– Podejdź tutaj – powiedział jeden.

Nie chciałem.

– Już koniec zabawy – dodał drugi.

– Zakłócasz ludziom sen – powiedział pierwszy.

– Chodź już – dodał drugi.

Nie podszedłem.

Funkcjonariusze chodzili wzdłuż brzegu fontanny. Ale ja stałem na środku, więc nie mogli mnie dosięgnąć. Świeciło się już we wszystkich oknach. Wydało mi się, że słyszę organy z pokoju Gąsiora. Dookoła było pełno ludzi. Stałem na środku fontanny, a wokół mnie krążyli policjanci.

W końcu stracili cierpliwość. Wyższy ściągnął mundur i wskoczył do wody. Sporo było plusków i chlapania, zanim w końcu mnie dopadł i wyciągnął na brzeg. W pozycji horyzontalnej przeniesiono mnie do radiowozu i umieszczono na tylnym siedzeniu.

– No to koniec przyjemności – oświadczył ubrany policjant i usiadł za kierownicą.

– Gdzie mieszkasz? – spytał ten, który uratował mi życie.

Zastanowiłem się.

– Na Bygdøy – powiedziałem.

I podałem adres Cecilie.

Słysząc to, trochę złagodnieli.

– Może jesteś maturzystą? – spytał kierowca.

– Owszem – potwierdziłem. – Dzisiaj dostałem świadectwo. Dwa bardzo dobre i dwa celujące.

– O choroba – powiedział ten drugi, który już zdążył się ubrać.

– Nie toleruję alkoholu – tłumaczyłem. – Ale teraz już się dobrze czuję. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma sensu tak się zachowywać.

– Jasne, że nie – przyznałem.

– Gdzie podziałeś ubranie? – spytał kierowca.

– Zostawiłem u dziewczyny.

Pośmiali się trochę jeden do drugiego, a potem setką pognaliśmy na Bygdøy. Świeciło się w oknach na parterze Zamku. Regularnie szumiał zraszacz.

Wyruszyłem w długą drogę, z policjantem u każdego boku. Zadzwonili do drzwi. Byłem spokojny jak martwy leming. Ktoś otworzył.

Policjanci przyłożyli palce do czapek.

– Pański syn został przyłapany na drobnym zakłócaniu porządku publicznego, więc musieliśmy odstawić go do domu.

Ojciec Cecilie stał w progu z rozdziawioną gębą.

– Prymus musi trochę poświętować, ale istnieją pewne granice – dodał drugi policjant.

Znów zasalutowali, ukłonili się i zniknęli na wysypanej żwirem alejce.

Dopiero wtedy zacząłem się bać.

Radiowóz ruszył z piskiem.

Ojciec Cecilie dalej stał z otwartymi ustami.

– Oszalałeś? – spytał tylko.

Stałem w samych slipach i trząsłem się z zimna.

– To nieporozumienie – powiedziałem.

– Daję ci pięć sekund.

– Wpadłem do basenu. Chciałem rozmawiać z Cecilie.

Nie miałem szans.

Ojciec Cecilie zaczął liczyć. Doszedł do trzech.

Na cztery odwróciłem się i uciekłem.

Dzień później z Paryża wróciła Henny.

Nie bardzo wiem, czy miałem nadzieję na deszcz. Nad Nesodden chmury wisiały jak ciemne tablice, a mewy kreśliły w powietrzu białe litery. Ale nie padało. Wolno płynąłem w stronę brzegu, ciężkimi ruchami, zanurzałem twarz w falach i zalanymi wodą oczami widziałem, że Henny siedzi na skale w zielonej wojskowej kurtce, z wielkim bandażem na głowie. Twarz miała bladą i zaciętą.

Podciągnąłem się nad wodorostami i usiadłem przy niej.

– Ubierz się, bo inaczej się przeziębisz – powiedziała.

– Nie ma pośpiechu.

Wytarła mi plecy ręcznikiem i narzuciła mi go na ramiona.

– Fajnie, że przyjechaliście – stwierdziłem. – Na dłuższą metę robi się tu nudno.

Nachyliła się, wcisnęła brodę między kolana i zapatrzyła się w ciemną wodę.

– Myślisz, że będzie padać? – spytała.

– Nie wiem. Być może.

Włożyłem koszulę, wyjąłem dwa papierosy.

– Przeżyłem niezły szok, kiedy cię zobaczyłem w telewizji. Wyglądało strasznie.

Henny uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

– W rzeczywistości było jeszcze gorzej.

– To już koniec? Chodzi mi o to, czy w Paryżu już nie ma żadnych zamieszek?

Spojrzała na mnie.

– To się dopiero zaczęło, Kim. To była zaledwie próbka. Żeby pokazać naszą siłę. To samo dzieje się w całej Europie. I w Stanach.

Znów spojrzała na wodę, poprawiła trochę bandaż.

– Znam dziewczynę stamtąd. – Wskazałem na Bygdøy. – Ale jej rodzice najwyraźniej mnie nie lubią. Ojciec mnie wyrzuca za każdym razem, kiedy się tam zjawię.

Henny się roześmiała.

– A o n a cię lubi?

– To nie jest do końca pewne.

– Wydaje mi się, że twoi rodzice też za mną nie przepadają – powiedziała nagle.

Papieros o mało nie wypadł mi z ręki, sparzyłem się w palce.

– Wracasz do Paryża? – spytałem szybko.

– Tak. Po wakacjach. Będę dzielić atelier z Francuzką na Montparnasse.

O rany, to brzmiało super.

– Hubert jedzie z tobą?

Leciutko pokręciła głową.

– Raczej nie. Chyba że wygra na loterii – dodała z uśmiechem.

Chmury nachylały się nad nami. Z żółtych lśniących dziobów mew wydobywał się krzyk. Na środku fiordu pluskała ławica makreli.

– Co właściwie dzieje się z Hubertem? – spytałem. – Kiedy robi te wszystkie dziwne rzeczy?

Henny długo milczała.

– Denerwuje się – odparła w końcu. – On tutaj nie pasuje. Tak jak ja. Mieszczańskość go niszczy. W Paryżu wszystko z nim w porządku. Hubert nie powinien tu być i rysować tego chłamu dla szmatławców.

Chwilę się nad tym zastanawiałem.

– A jeśli wygra na loterii, to się pobierzecie? – spytałem i natychmiast poczułem się jak głupek.

– Nie. – Henny się roześmiała. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

Tak dziwnie użyła tego słowa. Przyjaciele. Nie tacy jak Seb, Gunnar, Ola i ja. Coś pomiędzy. Nie kochankowie. Nie koledzy. Coś pośredniego. Ni to, ni sio.

Przypomniałem sobie, że Cecilie też użyła tego słowa.

– Przyjaciółmi – powtórzyłem.

– Zmarzłam. – Henny powoli się podniosła.

Minęliśmy starą szopę, a ja nie bardzo wiedziałem, czy chciałbym, żeby zaczęło padać. Nie zaczęło. Minęliśmy szopę, rozpadającą się, cuchnącą szopę, w farbie na ścianach wyryto imiona i serca, wypisano słowa wyraźniej, niż to robią mewy swoim japońskim pismem na niebie.

Właśnie tak wracałem do domu, żegnając się z latem, jeszcze jednym latem w moim życiu. Teraz nie ma ciepła, z rysowanych przeze mnie obrazów bije chłód. Diorama zmieniła się w salę luster, w gabinet strachów. Widzę już nie martwe, wysuszone owady, tylko okaleczonych, upokorzonych, umierających ludzi. Przez głowę nie przewija się od tyłu film z Chaplinem, tylko przelatują zimne, wyraziste obrazy wyświetlane na otaczające mnie ściany. Dziewczynka z Wietnamu krzyczy bezgłośnie. Młody chłopiec z sercem wyciętym w trójkąt. Masakra w My˜ Lai. Niemowlę z Biafry z brzuchem wydętym jak bęben, z twarzą starca i oczami pełnymi much. Urodzone, by umrzeć. Ramię pokryte śladami ukłuć igły i żyła wezbrana pod skórą. Piszę, bolą mnie szwy fosforyzujące na ręce, boli mnie ogolona na łyso głowa, na której nie chcą odrastać włosy. Obrazy. One mnie nie dotyczą. Słowa aż lśnią od kłamstwa, tak jak moja ręka. Nie mogę kłamstwem posunąć się aż tak daleko. Obrazy wyrastają na ścianach wokół mnie. I tak jak wtedy, gdy zobaczyłem w telewizji maltretowaną Henny, tak również teraz jestem zmuszony do uczestnictwa w tych obrazach, tak jak fotograf w strefie wojennej zmuszony jest do uczestnictwa w fotografowanych przez siebie scenach. Nie mam już na ścianach zdjęć Beatlesów. Moja ręka wkrótce przestanie panować nad pismem.

Dzisiaj pierwszy raz od przyjazdu tutaj włączyłem radio. Mówili o wulkanie na Islandii i o mieście przysypanym popiołem. O pięciuset ptakach morskich, które zginęły w plamie ropy. Powiedzieli, że w Oslo

powstała Komunistyczna Partia Robotnicza. Wyłączyłem. Głosy mnie przerażały. Potem stałem przy oknie i wyglądałem przez szparę w okiennicach. Zima raziła w oczy. Śnieg zalegał równą warstwą. Bez śladów ludzi.

To mama musiała tu być, mama.

Wróciłem do stołu i kartek, ciągle oślepiony.

Niespokojnie tutaj, obrazy się poruszają.

Za trzy miesiące będzie wiosna.

Mam mało czasu.

Płot w końcu musiał się poddać. Ludzka masa runęła szaloną falą, jeden z koni policyjnych poniósł, zaczął walić podkowami o bruk i tocząc pianę z pyska, stanął dęba nad przerażonymi do obłędu ludźmi, którzy próbowali uciekać. Jednocześnie w amok wpadła furgonetka, zaczęła w tłumie podskakiwać w tył i w przód, za kierownicą siedział spocony facet w gabardynowym płaszczu i czołem naciskał klakson. Panika była totalna.

W zarośniętym ogrodzie znajdowała się ambasada rosyjska, zaciemniona i zamknięta na cztery spusty.

Przycisnęliśmy się do ściany domu na rogu. To była największa bitwa w dzielnicy Skillebekk od czasów wojny gwoździowej w sześćdziesiątym drugim. Ale powoli wracał spokój. Ci, którzy leżeli wzdłuż ogrodzenia, podnieśli się, furgonetka przedarła się do Drammensveien, a policyjny koń stanął i srał na Frederik Stangs gate.

– Spójrzcie, kto idzie – szepnął Seb.

Nadchodzili Peder i Cwany Leif z Kårem, ciągnąc za sobą całą redakcję. Nad krawatami widać było szerokie uśmiechy.

– Hej, hej. – Cwany Leif się zaśmiał. – A więc to tutaj ukrywają się radykaliści!

Nie puściliśmy pary z gęby. Czuliśmy się raczej w defensywie. Mur za naszymi plecami był zimny i szorstki.

Peder wyciągnął z ust gumę do żucia, zawiesił ją na palcu wskazującym.

– Na wakacjach byliście u Sowietów? Bo wyglądacie dość blado.

Rechot rozniósł się aż na tylne rzędy. Peder mógł sobie dzisiaj pozwolić na tanie żarty. Ludzie kupiliby wszystko.

Głos zabrał Cwany Leif:

– Wy, którzy jesteście za Hanoi, Wietkongiem i socjalizmem, pewnie chcielibyście teraz mieszkać w Czechosłowacji, co?

Gunnar wystąpił krok do przodu.

– Nic nie rozumiesz. Nigdy nie rozumiałeś! Ani ty, ani wszystkie te cholerne chłopaczki Andersa Langego! Potępiamy inwazję na Czechosłowację tak samo jak ty i wszyscy inni. Niech to będzie dla ciebie jasne. W porządku? Nie jesteśmy za Związkiem Radzieckim. To, co tam się teraz dzieje, to nie socjalizm. Popieramy rewolucję z 1917 roku, popieramy naukę Lenina, ale od czasów Stalina Związek Radziecki stał się socjalimperialistycznym supermocarstwem!

A niech to. Byliśmy równie powaleni jak Cwany Leif. Peder wsunął do ust palec wskazujący.

– Ale się zrobiłeś wygadany – szepnął przez zęby. Wycofali się, z zachowanym do połowy honorem i uśmiechami na pół gwizdka.

– Może ty naprawdę byłeś na wakacjach w Związku Radzieckim? – Ola zachichotał.

– Widzieliście? – syknął Gunnar. – Ci prawicowcy byli cholernie zadowoleni. Oni się c i e s z ą z tego, że Ruscy weszli do Czechosłowacji. Właśnie tego potrzebowali. To ich szczęśliwy dzień.

Gunnar przechodził samego siebie. My, pozostali, musieliśmy wylicytować pas. Wyciągnęliśmy po papierosie, zapaliliśmy, tłum zaczął się rozchodzić. Tory tramwajowe na Drammensveien ujrzały światło dzienne, a w jednym z okien ambasady rosyjskiej delikatnie odsunęła się zasłona i wyjrzała zza niej zaspana gęba.

– Z całą pewnością ktoś podstawiony – orzekł Ola. – Tak jak z Rolling Stonesami w Vikingu.

Poszliśmy do Gunnara. Po salonie krążył jego ojciec, wymyślając nowe zagrywki przeciwko supermarketowi, który planowano otworzyć na Bygdøy allé już za trzy miesiące. Cały jego sklep był oklejony ogłoszeniami reklamującymi promocje. Ceną tygodnia było dziesięć øre za kilogram marchwi. Ziemniaki rozdawał za darmo.

– Rozprawiłeś się z nimi raz na zawsze – stwierdził Seb.

– Latem trochę czytałem – mruknął Gunnar.

– Żaby z miejsca zmieniły się w kijanki – warknął Ola i siadając na parapecie, zapalił papierosa.

Zapukał i zajrzał do nas Stig. W ciągu lata całkiem się zmienił. Obciął włosy, zapuścił brodę, a na sztruksowej kurtce miał całe mnóstwo znaczków. Chcieliśmy się bliżej przyjrzeć, więc wypiął pierś. Wietkong. Mao. Lenin.

– Motłoch się cieszy – powiedział. – Najlepsza rzecz, jaka mogła się im przytrafić. Ale nie dajcie się zmylić. Walczymy przeciwko obu supermocarstwom. Nie zapominajcie o dialektyce!

Rzucił nam jakiś singiel.

– Z Beatlesami już koniec – oświadczył. – Pierwsza strona bagnista. Druga rewizjonistyczna.

Drzwi się za nim zatrzasnęły.

– Stig był na Tromøi. – Gunnar spojrzał na nas z pewną wyższością. – Na letnim obozie Związku Młodzieży Socjalistycznej.

A na środku pokoju leżała nowa płyta Beatlesów. Zebraliśmy się wokół gramofonu, Gunnar położył ją na talerzu. Przyjrzałem się jej bliżej. *Apple*. Na płycie było jabłko. Musiałem podejść do okna, żeby łyknąć trochę powietrza. Zachrzęściło mi w brzuchu. Czy od tej pory nie będę mógł już puścić żadnej płyty Beatlesów, żeby nie dostać jabłkiem w gębę?

Nie miałem żadnych wieści od Niny.

To był najdłuższy singiel, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Trwał co najmniej kwadrans. *Hey Jude*.

Niezły. Wzbierał aż do piekielnego krzyku. W wewnętrznych rowkach czaił się wielki wrzask i w tym momencie piosenka się kończyła. Podobała mi się. Jedna z najlepszych.

Nikt nic nie powiedział. Gunnar obrócił krążek. *Revolution*. Śpiewał John. W pokoju załopotało ośmioro nadstawionych uszu. Cztery pulsujące mózgi. Igła sunęła po okręgu. John Lennon dość spokojnie śpiewał o rewolucji. Czoło Gunnara zmarszczyło się jak ściśnięty miech akordeonu. Ola wybijał rytm papierosem.

Potem zapadła cisza. Słychać było jedynie kroki ojca Gunnara w salonie.

– Rewizjonistyczne – szepnął Gunnar. – Gorsze niż Gustavsen.

Jeszcze przez chwilę milczeliśmy. Zaczęło padać.

Chrząknąłem.

– Paryż to był ledwie początek – powiedziałem. – Dopiero teraz zacznie się dziać!

Pokiwali głowami trochę niepewnie. Jeszcze raz przesłuchaliśmy obie strony.

Myślałem o jabłkach.

– Nie podoba mi się Yoko Ono – oświadczył Ola. – Wydaje mi się, że ona nabruździ.

– Już nie chodzę z Sidsel – wyznał nagle Gunnar i wyjrzał przez okno. – Zerwaliśmy latem. W niczym się nie zgadzaliśmy. To nie miało sensu.

– Z Guri też koniec – mruknął Seb. – Król Slalomu trzy razy zawrócił jej w głowie.

Było tego trochę za dużo jak na jeden raz. Związek Radziecki i Czechosłowacja. Gunnar i Sidsel. Seb i Guri. John Lennon i Yoko Ono. Beatlesi i rewolucja. Pomyślałem o Cecilie, która znów zrobiła ze mnie próżnię, i o Ninie, która w tamten okropny wieczór w czerwcu biegła przez Svoldergata z otwartymi ramionami.

– A co z Kirsten? – spytałem. – Fajnie było w Trondheim?

Ola cały zamienił się w uśmiech.

– Aż się iskrzy. – Zaśmiał się i resztką papierosów wykonał solo na bębnach.

Nagle, dopiero teraz, odkryliśmy, że coś się definitywnie odmieniło. Coś było całkiem inaczej, jak nigdy dotąd.

Wpatrywaliśmy się w Olę.

– Ola… – zaczął Gunnar, nachylił się nad nim. – Ty się nie jąkasz!

Ola spuścił głowę, czerwony, jak zalany farbą.

– No nie. Już się nie jąkam.

– Ale jak to się stało?! – zawołaliśmy.

Ola nabrał powietrza.

– Byłem latem w Trondheim – powiedział. – U Kirsten. Któregoś dnia rano się obudziłem i już się nie jąkałem.

– Po prostu się obudziłeś?

– Tak. Właściwie Kirsten to odkryła. Leżała przy mnie i…

– Jasne! – wrzasnęliśmy. – Już wiemy!

Uściskaliśmy Olę, zespawani w jedno, niemal jak za dawnych dni, jak przed rewolucją.

Następca tronu Harald poślubił swoją Sonję. Bob Beamon w rozrzedzonym powietrzu Meksyku skoczył jak żyrafa, Black Power uniosła czarne jak węgiel pięści do jasnobłękitnego nieba. Drużyna Frigg spadła do drugiej ligi, a stryjowi Hubertowi odmówiono przyjęcia obrazów na doroczną Jesienną Wystawę Sztuki. Od tego czasu dwa razy więcej inwestował w loterię pieniężną. W szkole na Manglerud wrzało. Mało brakowało, a wyrzucono by nauczycieli, na maszt ustawiony na szkolnym dziedzińcu wciągnięto flagę Wietkongu. Stig krążył z ulotkami pod pachą i tajemniczym spojrzeniem, tamtej jesieni najwyraźniej wszędzie wtykał nos. A my poszliśmy do ambasady chińskiej i każdy dostał po przypince Mao z pulchniutkim Chińczykiem w mundurku ludowym. Nie mogliśmy wziąć pod uwagę tego, że John Lennon nie przypiął przewodniczącego Mao do klapy. Dostaliśmy też *Czerwoną książeczkę* Mao, niedużą i poręczną, niewiele większą od Nowego Testamentu, który na konfirmację wręczył nam Father McKenzie. Na samym początku było zdjęcie Mao osłonięte cieniutką bibułką. Miał na brodzie brodawkę, która niepomiernie mnie irytowała, a fragment tekstu był tym razem o wiele łatwiejszy do zapamiętania: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”. W szkole było z tego powodu sporo kpin, ale Cecilie nawet wtedy nie chciało się do mnie odwrócić. Peder i Cwany Leif natychmiast ochrzcili mnie Kim Ir Sen, nawet nieźle im to wyszło. Cecilie jednak pozostawała głucha i ślepa na całą moją osobę. Zaczęła bywać w klubie piosenki Dolphins. A wokół niej kręciło się sporo grających na gitarze balladzistów, znali ponad czterdzieści gitarowych chwytów, mieli brody, mieszkali na stancjach i zabierali ją po szkole w każdy piątek.

Taka była ta jesień. Inwazja, olimpiada, rewolucja, długi deszcz, który zmienił się w śnieg i owinął listopad w białe okładki, takie jakie miał nowy longplay Beatlesów, podwójny album, *The Beatles*, biały, nagi, z czterema zdjęciami Johna, George'a, Ringa i Paula w środku. Siedzieliśmy u Seba i spokojnie słuchaliśmy wszystkich czterech stron. Jego ojciec znów wypłynął w rejs, więc w salonie panował jako taki spokój. Pykaliśmy fajki marki Peterson i słuchaliśmy. Patrzyliśmy na siebie, rozkładaliśmy teksty i z namysłem kiwaliśmy głowami. *Yer Blues* brzmiał kwaśno, odpowiednio do naszych humorów. Przy *Don't Pass Me By* Ola się zarumienił, pominęliśmy to milczeniem. Znienawidziłem *Ob-La-Di, Ob-La-Da*, za to cholernie spodobał mi się *Blackbird*. Myślałem wtedy o czarnych pięściach, wzniesionych w górę w Meksyku. Gunnar uważał, że tekst w *Back in the USSR* jest na krawędzi. Z socjalimperializmu nie wolno żartować.

Wyczyściliśmy fajki, otworzyliśmy okno, w powietrzu szybowały wielkie płatki śniegu. Zima w tym roku nadeszła wcześnie.

Przez chwilę siedzieliśmy w chłodzie, nie odzywając się do siebie.

Znów nabiliśmy fajki.

– To tak jakby nie Beatlesi. To n i e b r z m i jak Beatlesi. Jakby każdy z nich napisał własne piosenki – ocenił Seb.

Po namyśle przyznaliśmy mu rację. To nie brzmiało jak Beatlesi.

Fotografie w środku. Po jednym zdjęciu każdego. Wyretuszowane. Wyglądali na nich staro, trochę jakby przymuleni.

Ola musiał iść, miał korepetycje z matmy, był zagrożony. Gunnar wyszedł niedługo potem, bo musiał pomóc przy remoncie sklepu. Jego ojcu ciągle jeszcze się wydawało, że potrafi zmierzyć się z supermarketem.

Zostaliśmy we dwóch z Sebem, posłuchaliśmy jeszcze raz paru piosenek. *Happiness Is a Warm Gun*, no tak, trzeba przyznać, że to bardzo mocne hasło. A gitara w solówce na *While My Guitar Gently Weeps* rzeczywiście płakała. To były jasne punkty. Poza tym wszystko jawiło się dość ponuro.

Ktoś przyszedł, ktoś rozmawiał w salonie. Sebowi pociemniały oczy. Zacisnął dłonie w pięści.

Potem nagle otworzyły się drzwi, zajrzała przez nie tłusta gęba, błysnęło złoto w szczęce.

– Cześć, Sebastian. Chciałem cię tylko prosić, żebyś trochę przyciszył muzykę.

Seb podniósł głowę, popatrzył z nienawiścią.

– Naucz się najpierw pukać – powiedział tylko.

Uśmiech zwiądł.

– Co powiedziałeś?

– Słyszałeś. Najpierw trzeba pukać!

Drzwi się zamknęły. Seb uderzył się pięściami w uda.

– Niech diabli porwą tego bęcwała – warknął. – Przyłazi tu i odgrywa szefa.

– Często? – spytałem ostrożnie.

– Kiedy ojca nie ma. – Urwał, zacisnął zęby. – Rozwodzą się – powiedział w końcu. – Rodzice. Zamierzają się rozwieść.

Zabrzmiało to dość niewiarygodnie. Pomyślałem o swoich starych. Rozwód. Takie słowo nie istniało.

– W każdym razie nie zamierzam tu mieszkać, jeśli ten dupek się wprowadzi – oświadczył Seb.

Nabiliśmy fajki i Seb wyjął płytę, której nigdy wcześniej nie widziałem. Było na niej wielkie zdjęcie bardzo zmęczonego Murzyna, przypominającego niemal krowi placek, między oczami miał wielką bliznę.

– Little Walter – szepnął Seb. – Ojciec mi przysłał ze Stanów. *Confessin' The Blues.* Gra na harmonijce jak guru. Potrafi zagrać n o s e m!

Położył płytę na talerz i podkręcił głośność na maksa. Początkowo paskudnie trzeszczało. Potem rozległo się kilka cholernie mocnych uderzeń w bęben, huknął bas i harmonijka wywróciła pokój na lewą stronę, a nam wypiaskowało mózgi. *It Ain't Right.* Ależ to brzmiało! Seb wyciągnął swoje organki i dodał od siebie kilka piśnięć, ja się dołączyłem ochrypłymi jękami, i wyszedł nam już nie długi marsz, tylko długi, smętny blues.

Później nie miałem siły nawet pociągnąć fajki.

– Facet naprawdę nazywa się Walter Jacobs. Umarł rok temu.

Pewien pomysł zaczął wygrzebywać dziurę w mojej korze mózgowej. Dobry pomysł. Przywołam Cecilie śpiewem. Seb będzie grał.

Usiadłem.

– Wiesz – zacząłem. – Wiesz, że Cecilie prowadza się z tymi balladzistami. Może stawilibyśmy się w Dolphins z jakimś mocnym bluesem i pogrążyli Young Norwegians?

Seb długo na mnie patrzył. W końcu leciutko się uśmiechnął, wyssał z dłoni przeciągłe zawodzenie.

– W porządku – powiedział. – Przecież w bluesie właśnie o to chodzi. O kobiety. O kobiety i o forsę.

Intensywnie ćwiczyliśmy przez tydzień i wreszcie uderzyliśmy jako Walter i Jacobsen. Teksty znałem na pamięć, a od całego tego krzyku gardło miałem jak tępa piła. Sprawdziłem, że Cecilie będzie tego wieczoru w Dolphins, z napięcia byłem sztywny, jakbym kij połknął. Na Drammensveien Seba na poważnie dopadła nerwówka. Szczękał zębami, a przecież w takim stanie nie mógł grać na harmonijce. Miał przy sobie pięć dych, znaleźliśmy więc koło stacji kolejki psychodelicznego trupa, który oferował niedrogie gotowe skręty. Seb stwierdził, że nie może stać i palić na zimnie, bo kompletnie straci czucie w palcach i w wargach, potoczyliśmy się więc do Kaffistova na Rosenkrantz' gate, zamówiliśmy szklankę mleka i biały lapskaus na spółkę, no i tam siedzieliśmy. Seb zapalił, zaciągnął się z zamkniętymi oczami, ja też wziąłem macha, połknąłem dym, oddałem mu skręta. Siedzieliśmy tam, aż Kaffistova przestała być restauracją, w której serwują tradycyjne norweskie żarcie, i zmieniła się w cuchnącą knajpę z Chicago albo z Nowego Orleanu. Seb mówił o wszystkich swoich marzeniach. Siedzieliśmy tam, aż sączące się z głośników piosenki Olego Ellefsætera zastąpił grzmiący blues, który rozrywał przeponę na strzępy, aż popielatoszarzy starcy z szeleszczącymi gazetami przeobrazili się w spoconych Murzynów, kąpiących się w piwie albo w whisky po ciężkiej robocie w rzeźni lub na polach bawełny. Wtedy poszliśmy, Walter i Jacobsen, do Dolphins.

Cecilie wypatrzyłem od razu. Siedziała w kącie, świece na stole rzucały na jej twarz złoty blask. Całą połową ciała nachylał się nad nią jakiś brodacz. Śpiewała dziewczyna z długimi, tłustymi włosami, w sandałach, poza tym było ciemno i cicho jak makiem zasiał. Pachniało sokiem marchewkowym i parującymi ubraniami.

Wcisnęliśmy się na dwa wolne krzesła tuż przy drzwiach, piosenka, którą śpiewała ta dziewczyna, miała mnóstwo zwrotek. Seb znów zdążył się zdenerwować, zapomniał, że jest Murzynem, kolor spłynął z niego jak pasta do butów. Ja byłem przezroczysty jak szkło i opanowany. Dziewczyna odśpiewała swoje do końca, dostała ogromne brawa, zaczerwieniona, podeszła do stolika i usiadła. Wówczas wstał naczelny śpiewak i oświadczył, że chwilowo, aż do występu Hege Tunaal, będzie przerwa, ale jeśli komuś coś leży na sercu, to bardzo proszę, może wystąpić.

Nam leżało.

Zaciągnąłem Seba na wolne miejsce, w którym wcześniej stała tamta dziewczyna.

Zobaczyłem, że Cecilie nas zauważyła. Otworzyła usta ze zdziwienia i wyglądała trochę głupio.

W środku zanosiłem się od śmiechu.

Rozmowy w lokalu ucichły, wkrótce zapadła kompletna cisza. Kilka pojedynczych oklasków zerwało się jak ptaki ze śniegu.

Seb wygrzebał harmonijkę, ukrył ją w dłoniach i kilka razy głęboko odetchnął. Ja zacząłem wybijać rytm śniegowcem. Seb wydmuchał przeciągłe wycie spomiędzy drżących palców, wtedy zacząłem wrzeszczeć.

Miałem dziewczynę, na nartach jeździła.
Miałem dziewczynę, na nartach jeździła.
Jak się wywróciłem, to mnie zostawiła.

Przy wyciągu czekał już na nią Król Slalomu.
Przy wyciągu czekał już na nią Król Slalomu.
Stary wazeliniarz, zabrał ją do domu.

Miałem dziewczynę, spałem z nią na łodzi.
Miałem dziewczynę, spałem z nią na łodzi.
Odeszła z narciarzem, czułem się jak złodziej.

Potem na długo zapadła cisza. W końcu żółwie zaczęły klaskać. Ale my wtedy rozpoczęliśmy już następny kawałek. Seb cały zmienił się w jedną wielką harmonijkę, a ja byłem śniegowcem i krzykiem.

Jestem śmierdzącą kiełbasą na jej talerzu.
Jestem śmierdzącą kiełbasą na jej talerzu.
Jestem dla niej wart tyle, co łupież na kołnierzu.

Mieszkam w namiocie, a ona w pałacu.
Mieszkam w namiocie, a ona w pałacu.
Ona ma diamenty, ja marzę o erzacu.

Nikt nic nie rozumie, ja wszystko pojmuję.
Nikt nic nie rozumie, ja wszystko pojmuję.
Ona chciała cukru, choć sól lepiej smakuje.

Patrzyłem na Cecilie. Wpatrywała się w stearynę spływającą na obrus i krzepnącą w czerwony wzór. Nie słyszałem, żeby ktoś klaskał, widziałem jednak dłonie tłukące się o siebie. Seb już szedł do wyjścia. Pobiegłem za nim, ktoś próbował nas zatrzymać, ale już zrobiliśmy swoje. Stoczyliśmy się ze stromych schodów na lodowatą, gryzącą, kąsającą zimę, która natychmiast nas otrzeźwiła i ściągnęła na ziemię.

Nagle zobaczyłem, że dookoła jest pełno nagrobków.

– To cmentarz? – Zachichotałem i dostałem konwulsji ze śmiechu.

Seb jeszcze nie złapał tchu.

– Warsztat kamieniarski, zakuta pało – wysapał.

Zacząłem rzygać, białym lapskausem i mlekiem, puściłem pawia na nagrobek, na którym nie wyryto jeszcze żadnego imienia, na taki, który czekał na człowieka i na grób.

To był pierwszy i ostatni występ Waltera i Jacobsena.

Dzień później Cecilie się do mnie odezwała. Na dużej przerwie przyszła pod wiatę, w której stałem i powtarzałem francuski, blady, z mdłościami, marzłem w bosmance jak pies.

– Jak ci poszła klasówka z angielskiego? – zagadała.

Prawie już zapomniałem, jak brzmi jej głos.

– Na czwórę – wydusiłem z siebie. – Zapomniałem o ściądze.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, uśmiechnęła się ostrożnie, prawie mnie dotknęła ręką.

– Chory jesteś? – spytała tylko.

Nie odpowiedziałem. Nie bardzo wiedziałem, do czego to zmierza. Uznałem, że lepiej się nie wychylać.

– Seb świetnie zagrał na harmonijce – ciągnęła. Przytrzymała mnie wzrokiem i ze śmiechem dodała: – Ale ty śpiewałeś okropnie!

Mdłości wystrzeliły z żołądka, uderzyły o podniebienie jak harpun.

– Naprawdę? – spytałem, bez mrugnięcia przełykając cały ten szajs.

Kiwnęła głową. Uszy miałem lodowate. Cecilie była w czapce. Szynka rugał jakiegoś pigmeja za rzucanie śnieżkami.

– Okropnie – powtórzyła Cecilie, nagle, bez słowa uprzedzenia, przytulając się do mnie. I tak stała aż do dzwonka.

Po ostatniej lekcji poszedłem prosto do domu. Postanowiłem, że poproszę Jenseniusa, żeby nauczył mnie kilku porządnych sztuczek, bardzo proszę, niech przerobi mój wrzask na śpiew słowika. Chyba miałem gorączkę. Na ciele czułem odcisk ciała Cecilie. Pobiegłem przez Gabels gate. Marzłem i miałem dreszcze. Ale na Svoldergata panował kompletny chaos, przy wejściu na klatkę migały niebieskie światła. Ludzie stali, wspinając się na palce, wyciągając szyje, żeby coś zobaczyć, gapili się i poszeptywali. Podszedłem tam, ciężki lęk zawisł na sercu. Nagle usłyszałem przeciągłe wycie, takie jak krzyk wieloryba na środku Atlantyku, kiedy wypuszcza kolumnę powietrza i wody do nieba. Dochodziło od strony schodów. Potem zapadła cisza i słychać było tylko kroki wolno przemieszczające się po stopniach.

Wyszli, niosąc Jenseniusa unieruchomionego na noszach. Leżał z szeroko otwartymi oczami. Spojrzeniem zawadził o moje, przyciągnął mnie jak magnes. Potrzeba było pięciu ludzi, żeby go unieść.

Wepchnęli go do samochodu i ruszyli.

Pobiegłem na górę, mama stała w oknie.

– Co się stało?! – krzyknąłem. – Co oni zrobili Jenseniusowi?

– Nie mógł dłużej mieszkać sam, Kim. Zabrali go do zakładu. Będzie mu teraz dobrze, Kim.

Jensenius odszedł. Cecilie wróciła.

Poprzedniego wieczoru ojciec siedział w salonie, jakby nic się nie miało wydarzyć. Ze skupioną miną rozwiązywał krzyżówki. Mama robiła na drutach. Na pierwszej stronie „Nå" było zdjęcie Johna Lennona i Yoko Ono, nagusieńkich, z gołymi tyłkami.

Ojciec chyba wyczuł, że na niego patrzę, bo podniósł wzrok. Druty mamy znieruchomiały.

– Inne określenie zmiany? – spytał.

– Rewolucja – odpowiedziałem.

– Rewolucja – powtórzył, policzył na palcach, znów nachylił się nad kratkami, a mama wróciła do przerabiania oczek, jakby nic się nie miało wydarzyć.

Dzień później otwarto supermarket Bonus na Bygdøy allé, Nixona wybrano na prezydenta, a ojciec wrócił do domu z banku radiowozem policyjnym. Towarzyszyło mu trzech mężczyzn, dwóch w mundurach, trzeci w długim, szarym płaszczu. Miał wyłupiaste oczy i obwisłe policzki. Ojciec spojrzał na mamę i na mnie, a potem głosem, którego nie poznałem i w który on sam jakby nie wierzył, oznajmił:

– Napad. Był dzisiaj napad na bank.

Śledczy próbował dodać mu trochę otuchy.

– Tych, którzy napadli na urząd pocztowy w Homansbyen, zatrzymaliśmy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Miasto jest hermetycznie zamknięte, nie uciekną, może pan być pewien.

– Chyba był tylko jeden – powiedział tym samym głosem ojciec.

– W samym banku owszem, ale najprawdopodobniej miał pomocników na zewnątrz.

Śledczy usiadł naprzeciwko ojca. Przybliżył twarz do jego twarzy, jednocześnie kartkując zniszczony notatnik.

– Proszę sobie przypomnieć każdy szczegół, nawet taki, który uważa pan za nieistotny. Wszystko nas interesuje.

Ojciec oparł głowę na rękach, mówił przez palce.

– Już wszystko powiedziałem. Wszedł do mojego gabinetu i zagroził, że będzie strzelał, jeśli nie dam mu pieniędzy.

– Ale broni pan n i e w i d z i a ł?

– Nie. – Ojciec opuścił dłonie. – Nie miałem wyboru! – krzyknął. – Nie miałem żadnego wyboru!

Na chwilę zapadła cisza. Słowa ojca huczały mi w uszach. Mama płakała.

– Trzysta tysięcy – mruknął śledczy. – Wyjątkowo dużo.

– Dzisiaj jest dzień wypłaty – wyjaśnił zmęczonym głosem ojciec. – Piątek. Zazwyczaj tyle mamy.

– Broni pan nie widział – ciągnął śledczy. – Ale czuł się pan z a g r o ż o n y?

Ojciec sprawiał wrażenie, jakby na te same pytania odpowiadał już wcześniej wiele razy.

– Tak. On naprawdę mówił to, co myślał. Że będzie strzelał. – Ojciec podniósł głos. – Moim obowiązkiem jest myśleć o pracownikach. Przede wszystkim o pracownikach!

Śledczy pokiwał głową. Policzki mu zafalowały.

– Ma pan rację, panie Karlsen. Całkowitą rację.

– On się wydawał… – zaczął ojciec i wbił wzrok w podłogę, jakby pożałował swoich słów.

– Tak?

– Wydawał się… – Ojciec odwrócił wzrok. – Wydawał się trochę szalony.

– Szalony?

– Tak. To znaczy… nienormalny. To wprawdzie była niezwykła… sytuacja, ale on się wydawał… szalony.

Śledczy wyraźnie się ożywił, przerzucił jeszcze jedną kartkę w notesie.

– Mógł być pod wpływem narkotyków?

Ojciec pokręcił głową.

– Nie wiem. Możliwe.

Zadzwonił telefon. Mama już chciała go odebrać, ale policjant ją uprzedził, jakby tu mieszkał.

Chwilę posłuchał.

– Jasne, szefie. Archiwa zdjęć. – Odłożył słuchawkę i wstał.

Ojciec dalej siedział.

– Pojedzie pan z nami jeszcze raz do komendy. Sprawdzimy, czy nie rozpozna pan jakichś twarzy.

– Przecież mówiłem, że nie widziałem jego twarzy! Była zasłonięta szalikiem. A czapkę miał ściągniętą na czoło.

– Człowiek zawsze wie więcej, niż mu się wydaje – stwierdził śledczy.

Ojciec spojrzał na niego, wystraszony. Ręce opadły mu jak dwa odważniki.

– Co?

– Musimy się pospieszyć – oświadczył zniecierpliwiony śledczy.

Ojciec poszedł za nim jak lunatyk.

W wiadomościach telewizyjnych był materiał na ten temat. Przeprowadzono wywiad z jednym z kasjerów, który zwrócił uwagę na napastnika już w chwili, gdy ten stanął w drzwiach, bo miał brzydki nawyk.

– Ten człowiek cały czas rzucał głową, wyraźnie był nerwowy. My, bankowcy, zwracamy uwagę na takie rzeczy – oświadczył z wielką pewnością siebie. – Poza tym na dworze nie było aż tak zimno, żeby owijać szalikiem całą twarz.

Wokół kasjera błyskały flesze. Potem przez ekran przeszedł ojciec. Głowę miał odwróconą. Towarzyszył mu śledczy. Jednak lepiej wypadliśmy obaj z ojcem wtedy, kiedy byliśmy razem w „Wiadomościach” na Stadionie Bislett. Wydawało się, że to już nieskończenie dawno temu.

Ojciec wrócił do domu dopiero po północy. Nie odzywał się do nas. Poszedł prosto do sypialni i się położył. Następnego dnia nie wstał i nie chciał czytać gazet. Mama wezwała lekarza. Przyszedł ze stetoskopem i słoiczkiem tabletek, długo siedział u ojca, a potem cicho rozmawiał z mamą. Zjawił się też jeden z dyrektorów banku, pocieszał mamę, mówiąc, że ojciec zrobił jedyną słuszną rzecz: zachował spokój. Zadzwonił Hubert. Ale ojciec nie wstał. Dalej leżał.

CARRY THAT WEIGHT

’69

Podczas pierwszego losowania w styczniu stryj Hubert wyciągnął szczęśliwy los i wyjechał do Paryża. Ojciec ciągle jeszcze nie wstał. Rabusiów dotychczas nie złapano, ale gazety więcej nie pisały o napadzie. Tego samego dnia, kiedy Hubert zadzwonił, żeby poinformować o wygranej, mama przekazała to ojcu. Godzinę później już stał w salonie, ubrany w piżamę, chudy, poszarzały, z czarnym zarostem, przypominającym cień, na udręczonej twarzy. Oczy miał chore, zaropiałe, wpatrywał się w nas, ale nic nie mówił. Zobaczyłem go pierwszy raz od tamtego historycznego dnia, kiedy otwarto Bonus, a Nixon został prezydentem. Prawie go nie poznałem i mogło się wydawać, że on też nie bardzo wie, kim jesteśmy. Byłem bliski szaleństwa ze strachu. Ojciec tylko patrzył na mamę i na mnie tymi swoimi chorymi oczami, jakbyśmy byli obcymi ludźmi w jakimś pensjonacie na pustkowiu. W końcu opadł na swój fotel i sięgnął po gazetę, która leżała tam od tamtego dnia, tę ze zdjęciem Johna Lennona i Yoko Ono na okładce. Przekartkował ją aż do krzyżówek i podjął rozwiązywanie w miejscu, w którym przedtem przerwał. Długopis z nazwą banku trzymał tak, jakby był kotwicą utrzymującą go przy brzegu.

Ale nie odleciał nam zupełnie. Jakoś się ubrał, chociaż garnitur na nim wisiał, tak bardzo schudł. Ogolił się, ale nie usunął cienia, który się nad nim pochylał. Poszedł do pracy. W pewien mroźny ranek stawił się w banku i wrócił do domu z kwiatami od personelu. Mama włożyła bukiet do wody, stał trzy tygodnie. Ojciec rozwiązywał nowe krzyżówki. Któregoś dnia przyszedł lekarz, rozmawiali spokojnie. Ojciec powoli się wydobywał ze złego snu, który śnił mu się od ubiegłego roku. Ale cienia nie zdołał zgolić. Wrósł mu w skórę. Nigdy też nie zdołał na powrót wypełnić sobą garnituru.

Powolutku zaczął przypominać dawnego siebie, pojawiło się w nim jednak coś dziwnego. Jakby nic go już nie obchodziło. Nie wspominał

więcej o moich włosach, nic nie mówił, kiedy późno wracałem do domu, nie pytał, jak mi idzie w szkole. Nie wspominał nawet Huberta, który wyjechał do Paryża, żeby tam już zostać.

Tak więc mój ojciec powoli wydobywał się na powierzchnię, a tymczasem ojciec Gunnara bardzo szybko opadał na dno. Bonus na Bygdøy allé świecił się jak wesołe miasteczko, miał osiem stanowisk kasowych, samoobsługę i promocje na wszystkie towary przez okrągły rok. Sklepikarz Holt pomału rezygnował z walki. Klienci znikali jeden po drugim, zostali tylko najstarsi, ci, którzy kupowali najmniej i mieli najwięcej czasu. Tak samo jak u ojca Oli – do niego na strzyżenie przychodzili wyłącznie łysi.

Któregoś wieczoru, kiedy siedzieliśmy u Gunnara i słyszeliśmy, jak jego ojciec krąży po salonie, zajrzał do nas Stig. Studiował filozofię na uniwersytecie i nie bardzo rozumieliśmy, co do nas mówi.

– Owszem, nasz stary to mieszczanin, ale drobnomieszczanin i nikogo nie wyzyskuje, prawda? – Stig kolejno patrzył nam w oczy.

Słuchaliśmy.

– Trzeba odróżniać drobnomieszczaństwo od kapitału monopolistycznego, prawda? Bonus rujnuje drobnomieszczan. Bonus to kapitał monopolistyczny. Nie tylko ojciec przez niego cierpi. Kolejno upadają wszystkie małe sklepy, w końcu zostanie tylko ten supermarket. A co się wówczas stanie? Podwyższą ceny jak cholera! Myślicie, że to przypadek? Irma. Bonus. Domus. Wszystkie te sklepy kuszą niskimi cenami. Niszczą małe sklepiki. A potem zniszczą samych klientów. Jasne jak słońce, prawda?

Słuchaliśmy.

– To pokazuje, przeciwko czemu należy walczyć, chłopaki! Przeciwko kapitałowi monopolistycznemu! Poczujemy to na własnej skórze, prawda?

Stig wstał, wyprostował się na całą swoją wysokość, pociągnął się za brodę i spojrzał na nas z góry, mrużąc oczy.

– Nasz staruszek nie jest wrogiem. Jest jedną z ofiar. To klasa robotnicza i drobnomieszczanie cierpią!

Ruszył do drzwi i zniknął.

– On ma rację – stwierdził Gunnar.

Dość długo usiłowaliśmy to przetrawić. Rzeczywiście na to wyglądało. Miał rację. Ale piwo w Bonusie było tańsze.

*

Za to między mną a Cecilie nie działo się nic gwałtownego, przyjęliśmy pozycję spocznij. Nie miałem nic przeciwko temu. Cecilie tej zimy stanowiła dla mnie punkt oparcia i bardzo się cieszyłem, że Cwany Leif, Peder, Kåre i cała reszta tej ferajny muszą się obejść smakiem i poprzestać na spirytusie medycznym. Z Cecilie spotykaliśmy się wieczorami w różnych miejscach, bo nie chciałem jej zapraszać do domu, kiedy ojciec był w takiej formie. A pójście do niej nie wchodziło w grę, byłem wyklęty i nie mógłbym nawet przejść na drugą stronę Olav Kyrres plass. Chodziliśmy więc po ulicach, ciężkich od śniegu, i do kina, gdzie umierałem z nudów, ale tam przynajmniej mogłem trzymać Cecilie za rękę i to mi wystarczało. Pozycja spocznij, a ja byłem zadowolony. Czasami jednak czułem lęk. Cecilie przestała chodzić do Dolphins, nie mówiła już o chwytach gitarowych i nie wspominała więcej o tamtym popisie, który urządziliśmy z Sebem w kwaterze balladzistów. Trochę tak, jakby znudziła ją zabawka, więc ją wyrzuciła. Jak rozpieszczone dziecko, które dostaje wszystko, co tylko wskaże palcem. Tak myślałem w moich najgorszych chwilach. Nie zdarzały się często. Ale kiedy nadchodziły, przeczuwałem, że ja też jestem taką zabawką, którą Cecilie może w każdej chwili wyrzucić. Mimo wszystko się cieszyłem, spędzaliśmy razem wieczory, przesiadywaliśmy na ławkach, chodziliśmy na narty, patrzyliśmy, jak śnieg topnieje, a słońce świeci coraz mocniej, słuchaliśmy kapania i plusku. Trwaliśmy w pozycji spocznij aż do czasu, gdy pojawiły się borsuki.

Zaczęło się od pojemników na śmieci. Co rano były przewrócone, a śmieci leżały rozsypane dookoła. Na pierwszy ogień rozwścieczeni dozorcy wzięli na przesłuchania pigmejów. Ale pigmeje przysięgały, że nie tykały śmieci, po co, u licha, miałyby to robić? Czasy, kiedy w śmieciach można było znaleźć biżuterię albo znaczki pocztowe, już minęły, a kapsli od piwa nikomu nie chciało się zbierać. Pojemniki były jednak przeszukiwane co noc i wreszcie po pewnym czasie na podwórkach

wystawiono straże. Wieści wywołały prawdziwy szok. Mało brakowało, a wyludniłaby się cała dzielnica Skillebekk. Zaobserwowano potwory. Plotki krzewiły się na topniejącym śniegu, to mogło być wszystko, od szczura po niedźwiedzia. Nie mówiono o niczym innym w sklepach, na przystankach tramwajowych, ludzie zatrzymywali się nawzajem na ulicach, i to tacy, którzy nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawiali, prezentowano rozmaite teorie, wszyscy zastanawiali się, co to za istoty nawiedziły Skillebekk. Nawet ojciec nadstawiał uszu. Plotki posuwały się jeszcze dalej, mówiono wręcz o dinozaurach i krokodylach, wymieniano wszystkie nazwy, aż do czasu, gdy pewien czujny myśliwy z Gabels gate wyłożył karty na stół: borsuk. To grasował borsuk.

Był początek wiosny albo koniec zimy. Śnieg w brudnych strużkach spływał ulicami, narty wróciły do piwnic, smarowano łańcuchy od rowerów, chowano śniegowce, do domów przynoszono nowe buty. Polowanie na borsuka trwało. Przestał już grzebać w śmietnikach, przerażony wrócił do nory, ale trzeba go było znaleźć. Niedobrze, żeby na Skillebekk grasował borsuk.

Któregoś wieczoru przyszła do mnie Cecilie. To był najcieplejszy do tej pory dzień tego roku i długi jak rzeka, a na ulicach roiło się od myśliwych. Ja też chciałem zapolować.

– Idziemy szukać borsuka – oznajmiłem.

Cecilie popatrzyła na mnie zdumiona.

– Borsuka?

– Właśnie!

Wyszła za mną na dwór, ruszyliśmy w górę Gabels gate. Ludzie stali w bramach, mrużyli oczy, czołgali się wzdłuż żywopłotów, wspinali na drzewa. Cecilie szła obok mnie.

– Borsuka? – powtórzyła.

– Owszem.

– Ale w jaki sposób borsuk mógł się tu znaleźć? W środku miasta?

Odpowiedź na to pytanie interesowała bardzo wielu. Niektórzy uważali, że przepłynął przez Oslofjorden, najgłupsi utrzymywali, że przedostał się rurami kanalizacyjnymi, myśliwy z Gabels gate twierdził, że borsuk

przyszedł tu jesienią z lasów Nordmarka, wyszukał sobie gdzieś norę i przespał w niej całą zimę.

– Wszystko jedno, jak tu trafił. Chodzi o to, że tu jest. Musimy go znaleźć.

Przecięliśmy Drammensveien, bo wiedziałem, gdzie go szukać. Musieliśmy spenetrować ogród Robsahmów, między Gabels gate a Niels Juels gate, tam gdzie stał stary, drewniany dom ze spichlerzem i stajnią. Jeśli gdzieś był borsuk, to właśnie tam.

Po drodze spotkaliśmy myśliwego. Wyszedł z jakiejś bramy, wyglądał dość dziko, poruszał się tak, jakby między palcami stóp miał ołów, i właściwie nie mijało się to z prawdą.

– Znalazł pan coś? – spytałem.

– Jesteśmy na tropie. Zaobserwowano odchody. Psy już zwietrzyły zwierzynę.

Ciągnął za sobą sforę psów, nie on jeden zresztą. Wszędzie węszyły psy, wlokąc ozory po ziemi i merdając sztywnymi ogonami.

Spojrzał na moje nogi.

– Nie poluje się na borsuka w spacerowych butach – zadrwił.

Miałem nowe sztyblety, zamszowe, szpiczaste, na dość wysokich obcasach, z metalowymi okuciami, nie ruszałem się bez nich na krok.

Myśliwy wskazał na swoje nogi.

– Zobacz! Gumiaki. Wypełnione koksem. Borsuk, jak chwyci, to gryzie, dopóki nie zaczną trzeszczeć kości, chłopcze. Dlatego koks. Zwierzak puszcza, gdy tylko usłyszy chrzęst koksu!

Pogardliwym spojrzeniem obrzucił moje sztyblety i ruszył ulicą, ciągnąc za sobą zziajaną sforę.

Znałem drogę do ogrodu Robsahmów i chciałem znaleźć borsuka pierwszy.

Przemknęliśmy przez kilka ogrodów, przeleźliśmy przez płot i wreszcie stanęliśmy na przegniłym, mokrym śniegu w samym środku rezerwatu w samym środku Oslo. Nieduży pagórek, wielkie drzewa, ogromny dom, stajnia i spichlerz.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała szeptem Cecilie, jakbyśmy znaleźli się w jakimś świętym miejscu.

– Borsuk musi gdzieś tu być – mruknąłem jej do ucha. Pachniała tak przyjemnie, musiałem jej trochę podotykać, odsunęła się z uśmiechem.

– A co zrobisz, jak go znajdziesz?

O tym nie pomyślałem.

– Chodź – powiedziałem.

Zaczęliśmy się skradać, z okien domu nikt nas nie widział, my też nic nie widzieliśmy. Mrok zaczynał wsączać się w powietrze, staliśmy się niewidzialni dla siebie nawzajem, więc zapaliłem latarkę.

Cecilie zatrzymała się w świetle.

– Czy on jest niebezpieczny? – spytała.

Niewiele wiedziałem o borsukach.

– Niebezpieczny? Borsuk? Przecież nie jest większy od żaby!

Poświeciłem dookoła. Śnieg, zbrązowiała trawa, drzewa, gałęzie. Stanęliśmy nieruchomo, nasłuchując. Słychać było jedynie tramwaj z Drammensveien.

Nagle światło latarki wyłowiło z mroku furtkę z rozdartej siatki i schody prowadzące w głąb ziemi. Cecilie złapała mnie za rękę.

– On na pewno jest tam. – Pokazała.

Poświeciłem w inne miejsce, natknąłem się na ogrodzenie.

Pokierowała moją ręką tak, by światło znów natrafiło na furtkę.

– On musi być tam – powtórzyła, ciągnąc mnie za sobą.

Zatrzymaliśmy się przy starym schronie.

– Zejdź tam – poleciła.

– Borsuki nie mieszkają w takich miejscach – powiedziałem. – Wygrzebują nory.

Popatrzyła na mnie.

– Pójdziesz pierwszy.

Starałem się utrzymać latarkę nieruchomo, musiałem używać obu rąk. Poświeciłem na schody. Strome. Na samym dole półotwarte drzwi.

– Szybciej! – zniecierpliwiła się Cecilie.

Czy ona naprawdę o tym nie wiedziała? Nie wiedziała, że nikt z całego Frogner nigdy nie odważył się tam zejść? Już ci, którzy dotarli do furtki, nigdy nie byli tacy sami. Nawet podczas wojny gwoździowej, nawet przy zagrożeniu i otoczeniu ze wszystkich stron, nikt nie miał odwagi się tam ukryć. Powiadano, że w schronie jest Niemiec, Niemiec, który się w nim ukrył po zakończeniu wojny.

Poświeciłem na schody.

Cecilie mnie popchnęła.

Ruszyłem. W świetle latarki stopnie przede mną podskakiwały. Cecilie szła tuż za mną. Zatrzymałem się przy uchylonych metalowych drzwiach.

– Idź dalej – powiedziała.

Otworzyłem drzwi. Paskudnie zazgrzytały. Snop światła wyłowił z mroku podziurawioną kulami ścianę, stos desek, jakąś skrzynkę, kolejne drzwi.

Cecilie znów lekko mnie popchnęła. Zrobiłem kilka kroków. Było cicho, jakby świat wokół nas przestał istnieć. Kurczowo ściskałem w rękach latarkę, zatrzymałem się przy tych następnych drzwiach.

Wstrzymałem oddech. Wstrzymywałem go, a serce we mnie huczało. Naczynia krwionośne rozpychały ręce, pulsowały w gardle, przelewał się przeze mnie czerwony, palący strach.

Cecilie stała tuż za mną.

Poświeciłem do następnego pomieszczenia.

Wszedłem.

Cecilie została na zewnątrz.

Natychmiast poczułem ten zapach. Ostry smród zakręcił w nosie. Moja ręka zaczęła żyć własnym życiem, światło omiotło pomieszczenie wkoło i kiedy wreszcie udało mi się nad nim zapanować, spojrzałem prosto w oczy rozwścieczonego borsuka. Leżał wyciągnięty na podłodze. Kierował w moją stronę szpiczasty pysk i lekko powarkiwał, jak chory pies. Nie mogłem się ruszyć z miejsca, wstrętny odór jakby mnie spętał, ale w końcu zacząłem się wycofywać, tyłem, powoli, nie natrafiłem jednak na drzwi. Uderzyłem plecami o ścianę i stanąłem przyklejony do wilgotnego muru.

Poświeciłem na borsuka.

Podpełzł do mnie, jakby nie miał nóg. Pokazał białe zęby i czerwone dziąsła. Zacząłem się przesuwać w bok pod ścianą, potknąłem się o coś, krzyknąłem, ale nie wydałem z siebie żadnego dźwięku. Borsuk przyczołgał się bliżej, smród stawał się coraz ostrzejszy. Zapędził mnie do rogu. Zdarłem z siebie plecy. Lęk nadpełzał od dołu niczym z przepaści. Borsuk podczołgał się bliżej, czarno-biały, z wąsami sterczącymi jak antenki z obu policzków. Poświeciłem na niego, nie miałem odwagi zachować się inaczej, nie miałem odwagi zostawić go w ciemności, ani też sam w niej pozostać. Świeciliśmy na siebie. W końcu rzucił się w moją stronę, szorując o podłogę, i jeszcze mocniej przyparł mnie do muru. Czułem szorstką wilgoć na ramionach i z tyłu głowy. Borsuk podczołgał się do moich nóg, smród wycisnął mi łzy z oczu i nagle zwierzę się zatrzymało. Zatrzymało się i zaczęło tym swoim paskudnym nosem wodzić po moich stopach. Stałem wciśnięty w kąt, a borsuk mnie obwąchiwał. Węszył i niuchał przez całą wieczność tą swoją paskudną, szpiczastą mordą. Wydawało mi się, że się do mnie uśmiecha, że się do mnie szczerzy, a potem się odwrócił i usiadł wprost na moich sztybletach. Zaczął się ocierać i nie miał zamiaru skończyć. Trząsłem się, poświeciłem na to szalone zwierzę, które się wycierało w moje nowiusieńkie, czyste buty. W końcu borsuk, zadowolony, przeszedł w inny kąt, z którego dobiegały piski. Poświeciłem tam, na posłaniu z gałązek i liści leżały cztery bezwłose ciałka z różowymi łebkami i zamkniętymi oczkami. Stałem. Smród zgnilizny świdrował w nozdrzach. W końcu usłyszałem głos Cecilie, wołała mnie gdzieś z ciemności. Przyświecając sobie, poszedłem za tym dźwiękiem.

Na czworakach wspięliśmy się po schodach.

– Znalazłeś go – powiedziała.

Przelazłem przez płot, słyszałem, że Cecilie idzie za mną. Wybiegłem na Gabels gate. Dogoniła mnie.

– Znalazłeś go. – Roześmiała się.

Oświetliłem ją latarką.

Ledwie mogłem złapać oddech.

– Świnia jesteś – syknąłem.

W błysku światła jej oczy wyglądały dziwnie.

– Świnia! – zawołałem.

Patrzyła na mnie, nie rozumiała, co mówię.

Czułem krew w gardle, odbijało mi się nią, kwaśno i paskudnie. Chyba mówiłem niewyraźnie.

– Nie jestem zabawką! – wrzasnąłem. – Nie zmusisz mnie do wszystkiego, rozumiesz?

Ruszyłem w dół Gabels gate. Cecilie szła za mną. Dudniło mi w uszach, zdawało mi się, że czoło mam za małe, za ciasne. Znów przystanąłem i poświeciłem na nią.

– Nie jestem twoim służącym! – krzyknąłem.

Cecilie stała nieruchomo. Latarka się trzęsła. Bolała mnie cała dłoń, aż po mój wykrzywiony palec.

– Co z nim zrobiłeś? – spytała tylko, dotykając mnie.

Ale zanim udało mi się odpowiedzieć, otoczyły mnie rozwścieczone psy. Zbiegły się ze wszystkich stron, miały rozjarzone, złe ślepia i ociekające śliną pyski. Warczały, stękały, zgrzytały zębami i jeżyły sierść. Tego było już dla mnie za dużo, zacząłem biec, ale ruszyły za mną, cała armia psów. W końcu mnie dopadły. Obszczekiwały moje stopy, gryzły skórę butów, ciągnęły i szarpały. Wreszcie udało mi się zdjąć jeden sztyblet i cisnąć go za jakiś płot. Psy z ujadaniem wyskoczyły za nim w powietrze.

Na końcu ulicy stała Cecilie.

Pokuśtykałem do domu.

Następnego dnia dostałem swój but z powrotem. Cecilie przyniosła go do szkoły. Pozszywała go i zaimpregnowała.

– Prawie tak samo ładny jak przedtem. – Uśmiechnęła się.

Wcale nie. Przypominał przeżuty przez kogoś i wypluty herbatnik.

Wręczyła mi but, a ja stałem na szkolnym dziedzińcu i czułem się jak półgłupi szewc.

Cecilie tylko się śmiała.

– Wcale się na ciebie nie gniewam – powiedziała.

Spojrzałem na nią przerażony. O n a miałaby się gniewać? N a m n i e? Nie mogłem tego pojąć.

Wyskubała mi z marynarki drobinki tytoniu. Peder i Cwany Leif stali przy źródełku z wodą do picia, patrzyli spod oka, kompletnie nic nie rozumiejąc.

– Nie myśl o tym więcej – dodała. – Nie gniewam się.

Przez głowę przetoczyło mi się mnóstwo myśli, ale przede wszystkim odżył w pamięci Carlsberg: dystans, poddańczość, lojalność, wygolony trawnik, długie ciemne palce.

Zaczarowała mnie, odbierając mi mowę.

– Nie zmierzysz? – nalegała.

Zrzuciłem mokasyn i wsunąłem stopę w sztyblet. W ogóle nie pasował.

Roześmiała się.

– Przecież to nie ta noga!

Wcisnąłem palce w czubek, w paluchu zachrzęściło.

– No właśnie – powiedziałem. – No właśnie.

Po borsuku oczywiście nic nie mogło być już takie jak dawniej. Sztyblet stał głęboko w szafie, poszarpany i okaleczony, bezużyteczny, skryty w ciemności jak wstyd, a ja przez całą wiosnę musiałem nosić mokasyny i czułem się jak platfus. Cecilie przychodziła do szkoły w czerwonych butach na obcasie, jakby chciała mnie jeszcze bardziej upokorzyć, poruszała się niczym ptak brodzący w wodzie, aż śliniły się wszystkie żaby w sitowiu, a ja, ja, chlapiąc, chodziłem za nią w płetwach, w masce do nurkowania i za ciasnym kombinezonie, zaczynało mi też brakować tlenu, ale chodziłem za nią. Wydawało mi się, że wręcz ją to bawi, nie rozumiałem wielu rzeczy, które działy się tej wiosny. Mama namolnie wypytywała, co się stało z moimi butami, powiedziałem, że podczas polowania na borsuka potknąłem się o drut kolczasty, nie mogłem jej opowiedzieć całej tej historii o Niemcu, który w czterdziestym piątym ukrył się w schronie, nigdy by mi nie uwierzyła. Za to o przygodzie z borsukiem opowiedziałem dziadkowi w domu starców w pewne popołudnie, gdy poszedłem do niego sam, z torbą pomarańczy. Śmiał się

przez trzy kwadranse, a potem mi powiedział, że borsuczej sierści używano w dawnych czasach do wytwarzania pędzli do golenia. Długo gładził się po szorstkim podbródku, kiwając głową. Nie ma już takich pędzli. Borsucza sierść była najlepsza. No ale ja do golenia miałem elektryczną maszynkę i zero brody.

Któregoś dnia Cecilie zażyczyła sobie, żebym po szkole towarzyszył jej do miasta. Chciała kupić jakieś ciuchy. Był kwiecień, śnieg już zniknął, lekko pachniało wiosną i zielenią.

Cecilie trzymała mnie pod ramię.

– Co właściwie się stało z tymi borsukami? – spytała wprost, jakby nic się nie zdarzyło.

– Trafiły do zoo gdzieś na południu kraju – odparłem ze złością.

Mijaliśmy ambasadę amerykańską. Trzy razy splunąłem na chodnik.

– Świnia – skomentowała Cecilie.

Na Universitetsplassen przystanęliśmy. Ktoś rozstawił wielki namiot i nie byli to harcerze. Tłoczyło się przy nim mnóstwo ludzi. W ucho wpadł mi nieprzyjemny dźwięk, przypominający przyspieszone bicie serca. Dochodził z licznika przy wejściu. Z każdym uderzeniem zmieniała się ostatnia cyfra świecącego napisu, obwieszczającego: „Dzisiaj od godziny 9.00 rano liczba ludzi na Ziemi zwiększyła się o 100 054". W czasie gdy to czytaliśmy, przybyło jeszcze czterdziestu trzech. Spojrzeliśmy na siebie. O rany. Weszliśmy do namiotu.

Na wszystkich ścianach wisiały wielkie fotografie mówiące o zanieczyszczeniach, o eksplozji zaludnienia, samochodach, autostradach, fabrykach i plantacjach kawy. Obeszliśmy namiot w milczeniu, mrużąc oczy. Nie było tu nic przyjemnego. Żyliśmy na bombie z zapalnikiem czasowym. Żyliśmy w ściekach. Sraliśmy we własne pożywienie. Sami sobie kopaliśmy grób. Ta Ziemia, którą odziedziczyliśmy i za którą powinniśmy być tak piekielnie wdzięczni, okazywała się jedynie brudną piłką tenisową wybitą na aut już w pierwszym secie. To były kolejne obrazy do mojego ciemnego pokoju, do mojego gabinetu strachów. Te fotografie wpalały pesymizm w moje oczy, mimo optymizmu, który próbował przekazać tekst pod nimi. Pisano tam, że wciąż możemy poprawić tę sytuację, rozwiązać ten kryzys, że to wszystko kwestia

polityczna, kwestia gospodarki, podziału dóbr, władzy, zysków i solidarności. Przez cały czas słyszałem pulsowanie licznika, kolejne uderzenia serca co sekundę, a nawet kilka na sekundę, dodawane do krzyczącego chóru Ziemi.

Cecilie przywołała mnie pod inną ścianę. Tam było zestawienie środków antykoncepcyjnych. Skojarzyły mi się ze sztućcami do wielkiego obiadu. Kondomy, spirale, krążki, tabletki. Dyskretnie dotknąłem tylnej kieszeni, tej z portfelem, w którym trzymałem swoje rubiny ekstra, różowe, kupione kiedyś, jeszcze w epoce kamiennej, zamówione na nazwisko Nordahla Rolfsena i nigdy nie zapłacone. Tuzin ciągle jeszcze był nienaruszony.

Podczas naszego pobytu w namiocie urodziło się 48 246 ludzi. Przez Karl Johan szła orkiestra gwardzistów, zagłuszyła bicie serca.

– Chciałbyś mieć kiedyś dzieci? – spytała Cecilie.

– Nie. – W uszach odezwało mi się bicie własnego serca. – Nigdy.

To była dziwna wiosna. Przyszła bez Jenseniusa. Czegoś tej wiośnie brakowało, trochę jakby zabrakło ptaków. Pierwszy maja był już za progiem i Stig ostro naciskał na każdego z nas z osobna, zbiórkę na pochód Czerwonego Frontu wyznaczono przed elektrownią o czternastej trzydzieści, a głównymi hasłami były „Nie dla VAT-u", „Zwalczajcie prowadzoną przez kierownictwo związków zawodowych politykę współpracy klasowej", „NATO precz z Norwegii", „Pełne wsparcie dla zwycięskiego narodu wietnamskiego!". Gunnar oczywiście zamierzał się stawić, Ola musiał kuć matmę, Seb obiecał przyjść, ale nigdy do końca nie wiedzieliśmy, co Seb wymyśli, bo Sebowi jakby się trochę posypało tej wiosny, gdy rodzice się rozwiedli. Harmonijkę odłożył na półkę, teraz liczyli się tylko Doorsi, *Waiting for the Sun*, stale cytował Jima Morrisona, parę razy przyszedł zaćpany na lekcje i ciągle wagarował. Tej wiosny wszystko mu zwisało. Ale powiedział, że spróbuje przyjść. Jasne. Jeśli go wpuszczą. Zachichotał pod cieniutkim wąsem. Mnie też Stig wziął na przesłuchanie. Ale u mnie się skomplikowało, ja bowiem dostałem zaproszenie i kompletnie się pogubiłem, bo to było zaproszenie od Cecilie, miałem przyjść do niej na obiad pierwszego maja. Powiedziałem Stigowi, że postaram się stawić, ale kiedy nadszedł pierwszy dzień maja i na Solli

plass gruchnęła *Międzynarodówka*, powędrowałem w stronę Bygdøy w odprasowanych sztruksach i tweedowej marynarce, zastanawiając się, co to, do cholery, może znaczyć.

Kiedy przyszedłem, Cecilie stała przy bramie. Włosy miała upięte w luźny węzeł na karku. To mi wystarczyło. Hasła natychmiast wywietrzały mi z głowy. Gotów byłem gryźć ziemię, gdyby mi kazała. Nogi mi się plątały, kiedy do niej podchodziłem, jednocześnie usiłując wypatrzyć Alexandra Wielkiego.

– Cześć – powiedziała Cecilie i obdarzyła mnie powitalnym uściskiem.

– Jesteśmy tylko we dwoje? – spytałem ostrożnie.

– Rodzice czekają w środku.

– Co? To był twój pomysł?

Wzruszyła ramionami.

Przespacerowaliśmy się po polu golfowym, Cecilie trzymała mnie za rękę. Potrzebowałem tego. Jej matka pomachała do nas z tarasu. Ojciec pojawił się nagle za rozsuwanymi drzwiami.

Poszliśmy w jego stronę. Już czekał z wyciągniętą ręką. Cecilie mnie puściła, ująłem jego dłoń. Przyjaźnie mi ją zmiażdżył.

– Miło, że mogłeś przyjść, Kim – powitał mnie.

Wymamrotałem coś, jąkając się, teraz przyszła też jej matka, w odświętnej sukni, z biżuterią na każdym kawałku odsłoniętej skóry. Brakowało jej tylko królewskiego diademu na głowie. Rozpromieniła się, błysnęła białym uśmiechem i oderwała mnie od ojca Cecilie.

– Nareszcie jesteś – powiedziała.

Nie rozumiałem z tego nic a nic. Miałem mokre skarpetki.

– Niech młodzi pospacerują teraz trochę po ogrodzie, a ojciec w tym czasie się przebierze. – Lekko popchnęła nas na zieloną łąkę.

Skierowaliśmy się pod jabłonie. Zapaliłem papierosa.

– Co to, u diabła, ma znaczyć? – spytałem szeptem.

Cecilie szła w odległości kilku kroków ode mnie. Nie odpowiedziała.

Zatrzymałem ją.

– Czy im kompletnie odbiło? Nie pamiętają, kim jestem?

Pokręciła tylko głową, jakby sama niewiele z tego rozumiała. Węzeł na karku się poluzował i spłynął jej po plecach jak rzeka.

Gotów byłem się założyć, że właśnie w tej chwili usłyszałem kroki dudniące na Drammensveien i hasła wykrzykiwane pod niebo, bo było wpół do czwartej, a o tej godzinie miał wyruszyć z Solli plass pochód.

Gdzieś na Zamku rozdzwonił się dzwonek. Obiad był gotowy. Do stołu nakryto w ogromnym salonie. Zakręciło mi się w głowie od wszystkich tych kieliszków, noży i widelców, ukradkiem zerknąłem na Cecilie, żeby zobaczyć, od czego zacznie. Jej ojciec włożył żeglarską marynarkę i jedwabny fular. Klasnął w ręce, wtedy otworzyły się podwójne drzwi na końcu pokoju i dwie ubrane na czarno pokojówki wniosły parujące półmiski i zielone butelki z białym winem. Był koktajl z krewetek, pstrąg i były bomby lodowe. Czyżbyśmy mieli się pobrać? Alexander Wielki siedział przy końcu stołu i z zadowoleniem patrzył na zegarek, a kiedy wszystkie zegary w salonie wybiły czwartą, uniósł kieliszek i z serdecznym, szerokim uśmiechem powiedział:

– No, pociąg już odjechał. Na zdrowie!

Jasne było, że zwariował. Ojciec Cecilie kompletnie zwariował.

Rozpoczęła się nudna konwersacja. Matka Cecilie wypytywała trochę o szkołę, odpowiadałem byle jak. Na pomoc Cecilie nie bardzo mogłem liczyć. Mój głos brzmiał głucho w tym wielkim pomieszczeniu. Pokojówka stała tuż za moimi plecami, z kolejną butelką w pogotowiu. W zęby weszła mi ość, sterczała z kącika ust i nie mogłem jej wyjąć, cholernie mnie łaskotało. Piłem białe wino i kasłałem w serwetkę. Kolejne kwestie padały nad stołem, ojciec Cecilie pochłaniał pstrąga, sprawiając wrażenie kompletnie obojętnego na to, co się dzieje. Matka wyglądała na nieco zakłopotaną, a ja pochwaliłem jedzenie i powiedziałem, że ta ryba jest jeszcze lepsza niż tamten pstrąg tęczowy, którego własnoręcznie złowiłem w Lille Åklungen rok świetlny temu.

Ojciec Cecilie zapalił cygaro i jakby się ocknął, wrócił do życia.

– Mucha? – spytał.

Spojrzałem na niego przez kłęby dymu buchające w moją stronę.

– Słucham?

– Mucha? – powtórzył.

Musiałem bardzo uważać, nie powiedzieć czegoś, co mogło go zirytować. Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, spod włosów ściekał mi pot. Kołnierzyk na karku miałem mokry.

– Komary – powiedziałem. – Było mnóstwo komarów.

Jednym parsknięciem oczyścił powietrze między nami.

– Mucha! – Ryknął śmiechem. – Pytam, czy złowiłeś go na muchę!

Rumieniec wypełzł mi na twarz. Cecilie zachichotała, matka kopnęła ją pod stołem. Widziałem to i nienawidziłem ich wszystkich.

– Na spinning.

Przy bombach lodowych rozmowa zamarła. Pokojówki krążyły, jakby je nakręcono i puszczono na podłogę. Zacząłem się bać. W podwójnych drzwiach mignął mi Carlsberg, jego długie ciemne palce. Byłem śmiertelnie przerażony.

– Co zamierzasz robić po maturze? – spytała matka Cecilie.

– Nie jestem do końca pewien. Może będę studiował języki.

– Właśnie na tym polega błąd, który popełniacie wy, młodzi – wtrącił się ojciec i jednym dmuchnięciem zgasił wszystkie świece na stole. – Nie patrzycie w p r z y s z ł o ś ć. Nie macie p e r s p e k t y w. Ja zaczynałem z pustymi rękami!

Zademonstrował je. Wnętrze dłoni miał spocone, a linia życia ciągnęła się daleko, aż po palec wskazujący. Opadło mnie przygnębienie.

– Masz jakieś hobby? – ciągnął, uderzając dłońmi o blat stołu.

W mojej głowie pojawił się rój pszczół. Odpowiedzi krążyły we wszystkich kierunkach. Złapałem pierwszą lepszą.

– Znaczki pocztowe – powiedziałem.

Z uznaniem pokiwał głową.

– Dobrze. To jest i n w e s t y c j a.

Nagle było już po wszystkim. Podniósł się gwałtownie. Chwilę później staliśmy na tarasie, wieczorny wiatr niósł ów szczególny chłód od fiordu. Był pierwszy maja 1969 roku. Cecilie i jej matka musiały wrócić do domu po coś cieplejszego do ubrania. Zostałem sam z jej ojcem. Poczęstował mnie cygarem i przypalił. Staliśmy każdy w swoim obłoku dymu, nie odzywając

się do siebie. Na trawniku Carlsberg wtykał w ziemię metalowe bramki. Miał gniewną, urażoną minę.

Potem graliśmy w krokieta. Przegrałem. Zadbał o to ojciec Cecilie. Prześladował moją kulę i wybijał ją daleko za każdym razem, gdy miał na to szansę. Musiałem stać niemal osobno w kącie ogrodu i walić idiotycznym młotkiem w głupią żółtą kulę.

– Warunki są takie same dla wszystkich! – wrzasnął do mnie na zachętę.

Wydawało mi się, że słyszę krzyki ze Stortorget.

Uderzałem i uderzałem, ale nie mogłem wcelować w bramkę.

Po pięciu moich przegranych z rzędu rodzice weszli do domu, a Cecilie i ja zostaliśmy w zielonym, wilgotnym mroku.

Gdy już się zamknęli w swojej twierdzy, zapaliłem papierosa.

– Ty to wymyśliłaś? – spytałem wprost.

Cecilie ruszyła przed siebie.

– To był pomysł taty.

– Ale jaki to miało mieć sens? – nie ustępowałem. Niczego nie mogłem pojąć.

– Może chciał być miły.

Pobiegłem za nią.

– Wydaje mi się, że kiedyś mówiłaś, że nienawidzisz swoich rodziców. Nie mówiłaś tak?

Wzruszyła tylko ramionami. Nieźle się zirytowałem.

– I co on miał na myśli, mówiąc, że ten pociąg już odjechał? Zwariował czy jak?

Cecilie nie odpowiedziała.

I wtedy nagle zdałem sobie sprawę ze wszystkiego, z całego kontekstu, stanąłem, musiałem głębiej odetchnąć. On wcale nie był szalony. Był przebiegły. Oszukał mnie, nabrał, wyprowadził w pole. Po prostu bał się, że zaciągnę Cecilie na pochód pierwszomajowy, dlatego zwabił mnie tutaj. Tu byliśmy pod kontrolą. Boże, jak mogłem być tak cholernie głupi.

Podszedłem do Cecilie, która stała odwrócona do mnie plecami. Niczego nie wyjaśniałem. Niech sama się domyśli. Zaplotłem jej włosy, wypełnił mnie ból, którego do tej pory zaznałem tylko raz, po śmierci Freda. Byłem

obolały w środku, jakby na wskroś przechodziło przeze mnie długie, piekące otarcie. Położyłem dłonie na jej piersiach. Wolno mnie odepchnęła.

– Muszę już iść – powiedziałem.

Nie ruszyła się z miejsca.

Wyminąłem Carlsberga, który wyciągał z ziemi bramki i murzyńskimi dłońmi wygładzał trawę.

Zajrzałem do Gunnara. Tam atmosfera była nieźle podminowana. Stig siedział z zapuchniętym okiem i klął. Seb spał na kanapie. Gunnar łamiącym się głosem usiłował mi wyjaśnić, co się stało, ale opowieść się rwała i niewiele mogłem z tego zrozumieć. W każdym razie na chwilę zajrzeli do zagrożonej wyburzeniem szkoły, której młodzież broniła w ramach akcji „Miejsce, gdzie da się być", a potem, zdaje się, zaczęli okupować jakiś dom. Gliny wpadły w szał.

Dostałem piwo do łapy i wskazałem na Seba.

– Na haju – wyjaśnił Gunnar. – Nie wie, gdzie jest.

Rozległ się dzwonek do drzwi i wszedł Ola. Pod pachą trzymał książkę do matematyki, był blady i zmęczony. Stig, jedną ręką zasłaniając zasinione oko, drugim patrzył na nas ze złością.

– Gdzie wyście, do jasnej cholery, byli, kiedy my walczyliśmy z burżuazyjnymi świniami? – jęknął.

– Ja miałem korki – bąknął nieśmiało Ola.

– Wiem, wiem. A t y gdzie byłeś? – Wskazał na mnie.

– Na Bygdøy – powiedziałem.

– Pierwszego maja! Za kogo ty się uważasz, do diabła?

– Infiltracja. – Próbowałem się roześmiać.

Chwilę później ocknął się Seb. Wynurzył rozczochrany łeb ze snu i zaczął płakać. Płakał jak dziecko, zalewając się łzami.

– Jasna cholera! – Gunnar wyszedł do kuchni. Przysiadłem na brzeżku kanapy, Seb oparł się o moje ramię i dalej szlochał.

– Jakoś się ułoży – pocieszałem go, gładząc po tłustych włosach. – Ułoży się.

Ola napuścił ciepłej wody do wanny, zanieśliśmy do niej rozebranego Seba. Nie przestawał płakać. Zrobiłem więcej piany, Seb powoli

przytomniał, poprosił o piwo. Stig nastawił Dylana, a Gunnar na głos odczytywał wszystkie zebrane w trakcie pochodu ulotki.

Potem ubraliśmy Seba, Ola i ja odprowadziliśmy go do domu. Czekała już na niego babcia. Przypomniał nam się inny powrót, kiedy wlekliśmy Seba po schodach z głową pod pachą i przekrzywionym sercem.

I tak nadeszła wiosna. Ale czegoś w niej brakowało. Stryja Huberta. Jenseniusa. Ptaków. Obietnicy lata.

Ojciec poruszał się w swoim świecie cieni, milczący, zamknięty w sobie, zapięty na guziki garnituru. Ale kilka razy przyłapałem go, kiedy wydawało mu się, że nikt go nie widzi. Stał wtedy z zaciśniętymi pięściami, z takim wyrazem cierpienia na twarzy, że musiałem zamknąć oczy. Z trudem chwytał oddech i giął się wpół. Zawsze wtedy czułem śmiertelny lęk i bezszelestnie wycofywałem się do swojego pokoju, bo to mi przypominało Gąsiora, wtedy gdy mu odbiło. Mama była coraz bardziej zmęczona, widziałem narastającą w niej histerię, gdy zajmowała się ojcem jak małym dzieckiem, kiedy wracał z banku do domu i rano, kiedy siedział milczący przy śniadaniu i nawet nie czytał gazety. Wokół ust pojawiły jej się zmarszczki, które próbowała ukrywać. Nagle zaczęła wyglądać staro. Tęskniłem za tymi czasami, kiedy ojciec wrzeszczał, krzyczał, wysyłał mnie do fryzjera, nudził o tym, co mam robić po maturze i czym zajmować się wieczorami. Ale on się zamknął na siedem pieczęci, a na czole miał cień katastrofy.

Dziadek dalej żył w domu opieki. Zapuścił brodę.

Babcia kupiła nową papużkę. Wyhaftowała dla niej nową nocną zasłonkę, a starą schowała głęboko do szuflady.

Cecilie i ja razem uczyliśmy się do egzaminów, przepytywaliśmy się ze słówek. Ona ciągle jeszcze nie zrozumiała, że jej ojciec zwyczajnie nas nabrał.

Nie rozmawialiśmy więcej o borsukach.

Zaczynały gromadzić się chmury. Nadciągały ze wszystkich stron, wpływały na niebo, zasłaniając je tak, jak przysłona w aparacie fotograficznym zasłania fotografowany obiekt. Oto jak wygląda zdjęcie z wiosny 1969 roku: zamazane, niedoświetlone, źle wywołane. Seb, Gunnar,

Ola i ja siedzimy na Strandpromenaden i trzęsiemy się z zimna przy piwie. Już po egzaminie. Ola oblał. Nam, pozostałym, udało się ledwo, ledwo. Szkołę Vestheim zamierzają zamknąć, więc jesienią rozpierzchniemy się na cztery wiatry. Oli za cholerę nie chce się powtarzać drugiej klasy, zamierza poszukać jakiejś roboty. Seb na ostatni rok dostał się do Liceum Eksperymentalnego. Gunnar złożył podanie do Szkoły Katedralnej, a ja idę do liceum na Frogner. Otwieramy kolejne piwa. Sztywnymi palcami ledwie udaje nam się przypalić papierosy. W plecy dmucha nam jakaś ogromna gardziel.

Przejechał pociąg.

Trochę pogadaliśmy o ostatnich płytach Beatlesów. *Get Back* i *The Ballad of John and Yoko*.

W oddali prom na Nesodden ciągnął za sobą smugę piany.

Wyobraziłem sobie lato z samymi przeziębieniami i dniami bez końca.

Z warkotem przepłynął prom wiozący turystów na Bygdøy.

– Jesienią spróbuję sobie załatwić jakieś mieszkanie – szepnął Seb. – Za cholerę nie będę żył pod jednym dachem z tym tłustym faszystą!

Jakby coś się popruło, jakby wyrwano nam spod stóp grunt, jakby jakiś drań z zimną krwią się z nami drażnił.

– Cały ten kapitalistyczny system jest na wskroś zgniły – oświadczył głośno Gunnar.

Mogliśmy się pod tym podpisać. Otworzyliśmy kolejne piwa i marzliśmy jeszcze bardziej.

– Spróbujmy się dostać do Club 7 – zaproponował Seb.

Musieliśmy tylko najpierw dopić piwo, a potem się wysikać.

Wtedy to zobaczyliśmy. To było nie do uwierzenia. Zaczął padać śnieg. Śnieg. W czerwcu. Wielkie płaty spadały z nieba i topniały na asfalcie. Wstaliśmy i oniemiali wpatrywaliśmy się w niebo. Padał śnieg.

– To grad – szepnął Gunnar.

– Śnieg! – zawołał Seb. – Do cholery, właśnie że śnieg!

Zaczęliśmy się niespokojnie kręcić. Samochody na Sjølystveien powpadały na siebie, zrobił się ogromny karambol. Pociąg do Drammen

wyleciał z torów. Statek królewski utknął na mieliźnie, a samoloty spadały na Nesodden.

Nagle fotografię przeszyła włócznia słońca i powietrze stopniało.

Osłoniliśmy oczy.

Burza minęła. Tym razem.

Ale w powietrzu został chłód, przed którym nie mogliśmy uciec: chaos, rozwody, histeria.

Nie udało nam się nawet wejść do Club 7.

Tej niedzieli, kiedy „Orzeł" wylądował na Morzu Spokoju, rodzice pojechali do miasta na jakąś uroczystość bankową i mieli wrócić dopiero następnego dnia. Ojciec wziął się w garść, słońce lekko wyzłociło mu twarz, ale oczy zostały takie same, nie zatrzymywały się na niczym. Cały czas trzymał się na uboczu, odpowiadał jedynie „tak" i „nie". Mama trochę się pogubiła, po ich wyjściu znalazłem w szafce opróżnioną do połowy butelkę czerwonego wina i sam ją dopiłem. Poszedłem na przystań, usiadłem na słupku i zapaliłem papierosa. Wokół mnie rozbrzmiewały przytłumione odgłosy lata: warkot silnika łódki, śpiew żyłki chłopczyka łowiącego witlinki. Ktoś skakał do wody na główkę, śmiechy, wysoko wśród jasnego błękitu krążyła mewa, namierzając ławicę. Siedziałem tak i czułem, jak samotność oblepia mi ciało niczym kleiste wodorosty. Wtedy podjąłem decyzję. Zawsze mnie dziwi, że decyzję można podjąć tak szybko, że to takie łatwe, przypomina lawinę przelatującą przez głowę, jakby czas nagle przestał działać. Podjąłem więc decyzję i poszedłem do Fritjofa na Signalen, zastałem go w szopie, gdzie kończył robić nowiutką błystkę.

– Rzadko cię tu widujemy. – Uśmiechnął się.

Rzeczywiście, miał rację. To Fritjof nauczył mnie zarzucać puszkę. Zakręcenie nad głową, z kciukiem na żyłce jak na cynglu sześciostrzałowca. Nikt nie mógł pokonać Fritjofa, można się było stawić z otwartym kołowrotkiem, wędką z włókna szklanego i woblerami, to i tak nie pomagało, kiedy Fritjof przychodził z puszką i ze swoimi błystkami. Rzucał najdalej, łowił najwięcej.

Pokazał mi prawdziwy cud, lekko wygięty kawałek metalu, pomalowany na srebrno, z czerwonym paskiem wzdłuż.

Był zadowolony.

– Pogubiłeś swoje błystki? – Zaśmiał się.

– Nie. – Trochę pokopałem nogą w żwirze. – Ale chciałbym skorzystać z telefonu.

Zaprowadził mnie do dużego pokoju i stojąc, dalej szlifował, w czasie gdy ja wykręcałem numer.

Cecilie była w domu.

Fritjof uśmiechnął się półgębkiem.

– Twoi rodzice wypłynęli promem o szóstej – powiedział. – Myślisz, że długo zabawią?

– Do jutra wieczór.

Walnął mnie ręką w plecy.

– No to powodzenia, chłopcze! Ja o niczym nie wiem. Nic nie słyszałem ani nie widziałem!

Wyszliśmy na próg.

– Jestem ci winien koronę – zreflektowałem się.

– Zapomnij o tym – odparł Fritjof.

Wróciłem na przystań. Szedłem wzdłuż ogrodzenia z siatki, potem wzdłuż żywopłotu, myślałem o wszystkich tych wieczorach, kiedy się tu bawiłem w chowanego, myślałem o Cecilie, myślałem o podziemnych korytarzach, o tym, co zostało z hotelu Signalen, myślałem o Cecilie.

Słyszałem, jak Fritjof, szlifując, śpiewa.

Odwróciłem się, żeby mu pomachać.

Cecilie pojawiła się po trzech kwadransach. Przedarła się przez letnie odgłosy z wściekłą prędkością stukonnej łodzi wyścigowej i podpłynęła do przystani.

– Gdzie mogę przycumować? – zawołała do mnie.

Podprowadziłem ją do skały, przy której były schody. Wyskoczyła na brzeg i przywiązała łódkę. Pocałowaliśmy się, o mało nie wpadając przy tym do morza. Cecilie była w dobrym humorze, jej włosy pachniały słoną wodą, a paznokcie miała pomalowane na czerwono.

– Nie przypuszczałem, że siedzisz w domu – szepnąłem.

– Rodzice wyjechali do Włoch. Wracają pojutrze.

Serce pod koszulką zadrżało. Mieliśmy dla siebie dobę.

A „Orzeł" zmierzał już ku Morzu Spokoju.

Trzymając się za ręce, ruszyliśmy w stronę Domu. Lato z każdej strony było niczym trampolina. Powietrze pełne ptaków, w różanym żywopłocie bzyczały trzmiele, po drzewach biegały wiewiórki.

Cecilie chciała zobaczyć wszystko, poprowadziłem ją więc przez pokoje, przeszliśmy przez sad, próbowaliśmy niedojrzałych jabłek i kwaśnego rabarbaru, koło studni nazbieraliśmy poziomek i nawzajem się nimi karmiliśmy. Lato życzliwie zamknęło się wokół nas, otaczając nas przezroczystą, żywą ciemnością. Na fiordzie za statkiem ciągnęła się smuga piany.

Nakroiliśmy kromek chleba i nakładliśmy na nie mnóstwo dżemu pomarańczowego, usiedliśmy na werandzie z ciepłym mlekiem, między nami na stole stanęło radio Kurier.

– Nie wzięłaś gitary? – spytałem.

– Cicho – szepnęła Cecilie.

Głosy w radiu mówiły szybko, podniecone, dochodziła dziewiąta. „Orzeł" mógł wylądować w każdej chwili.

Linka do flagi uderzała o maszt, obok leżał wielki kamień rozszczepiony na pół, czarny i kostropaty.

– Mam nadzieję, że komitet powitalny jest gotowy – powiedziałem.

Cecilie siedziała pochylona nad radiem.

– Jak oni muszą się bać – mruknęła, podkręcając głośność.

Zszedłem do piwnicy, żeby przynieść jeszcze więcej mleka. Kiedy stamtąd wróciłem, okazało się, że już po lądowaniu. Cecilie klaskała w ręce. Zapaliłem papierosa i popatrzyłem w niebo. Nie mogłem dostrzec Księżyca.

– Udało im się! – zawołała Cecilie i rzuciła mi się na szyję.

To była dziwna chwila. Ludzie na Księżycu. Cecilie tutaj. Obejmowałem ją mocno, czując serce w gardle. Nie mogłem przełknąć śliny.

Zaczęło się robić chłodno. Przyniosłem koce, którymi mogliśmy się owinąć. Godziny znikały w ciemności. Nic nie mówiliśmy. Mówiło radio. Już wkrótce Armstrong miał wyjść z „Orła". Nawet ptaki ucichły. Ogrzewaliśmy się nawzajem niespokojnymi dłońmi.

O dwunastej wszedłem do domu poszukać czerwonego wina. Nic nie znalazłem. Mama musiała dobrze schować butelki. Nie znalazłem też kondomów, a miałem pewność, że są w portfelu. Musiały tam być. No ale portfel był pusty.

Kiedy znów wróciłem na werandę, Księżyc było widać. Wisiał blady na niebie, jakby przypięty szpilką.

Radio gadało podniecone.

– Chyba będziemy się dalej widywać, nawet jeśli zaczniesz chodzić do liceum na Ullern? – spytałem.

Cecilie nie odpowiedziała.

Jeszcze raz wszedłem do domu, żeby poszukać rubinów ekstra. Nie było ich w portfelu. Sprawdziłem kieszenie. Nie znalazłem.

Cecilie siedziała nachylona nad radiem. Było tuż-tuż. Jej włosy po ciemku jakby zjaśniały i otoczyły jej twarz jak dwa płatki kwiatu. Powiodłem po nich palcem, w oczach Cecilie odbił się księżyc. W ciemności oddychało jakieś zwierzę.

– Kocham cię – szepnąłem, nie bardzo wiedząc, czy mówiłem to już wcześniej, czy tylko tak myślałem.

Pozostawały już tylko minuty. Sekundy. Było wpół do czwartej, letnia noc 1969 roku. Zaczynało świtać.

– Ja też cię kocham – powiedziała Cecilie, z uchem przyklejonym do radia i ręką na antenie.

Jeszcze raz wszedłem do domu, pobiegłem do swojego pokoju. Gorączkowo zacząłem przewracać książki, płyty i ciuchy. Rubiny extra przepadły na amen.

Cecilie zaczęła wołać, więc prędko zbiegłem do niej. Drzwi „Orła" już się otworzyły i Armstrong schodził po schodach. Siedzieliśmy z uchem przy radiu, zatopieni w mokrym, głębokim pocałunku. To niewiarygodne. Nagle membrana okropnie zatrzeszczała i amerykański bełkot zawarczał nad

nami. Nie zrozumiałem, co mówi. Ktoś zaczął klaskać, a ja poczułem w ustach język Cecilie.

– Chodź – usłyszałem jej głos.

Ruszyłem za nią. Szła długimi, powolnymi krokami przez mokrą trawę, jakby w krajobrazie zawieszonym w próżni, rozkołysanymi, długimi, rozbawionymi ruchami. Jej włosy sprzeniewierzały się sile ciążenia, falując, unosiły się i opadały, rysowały połyskliwe łuki. Biegłem za nią, ale nie mogłem jej dogonić. To było dziwne – chociaż poruszała się tak wolno, tanecznie, nie mogłem jej dogonić.

Ze śmiechem wyciągnęła ręce do góry.

Brzozy pachniały sokiem.

Przystanąłem, zdyszany. Uświadomiłem sobie, chociaż właściwie tego nie rozumiałem: że Cecilie i ja już nigdzie dalej nie dojdziemy. Nie dotrzemy już wyżej.

Ale przynajmniej mogłem ją dogonić. Dalej poruszała się jak na zwolnionym filmie. Na wszystkich drzewach rozśpiewały się ptaki, świtało, żwirową alejką przebiegł niewielki kociak.

Musiałem ją dogonić.

Nagle zawołała mnie mama. Odwróciłem się powoli, nieskończenie powoli, i zobaczyłem rodziców idących alejką. Zamknąłem oczy i znów je otworzyłem.

Mama już była przy mnie.

– Nie położyłeś się? – spytała.

– Słuchałem radia – odparłem szeptem. – Myślałem, że przyjedziecie dopiero jutro.

– Tata chciał wracać. – Westchnęła. – Przyjechaliśmy saabem aż tu. – Nagle zauważyła Cecilie. Cecilie stojącą pod śliwą.

Zacząłem się tłumaczyć, ale zanim skończyłem, Cecilie podeszła do nas.

Ojciec nic nie zauważył. Obszedł tylko Dom i zniknął.

Mama spojrzała na nas. Dziwne mi się wydało, że na Księżycu wszystko poszło tak gładko, podczas gdy na Ziemi blokował się najmniejszy drobiazg.

– Możesz spać w salonie na otomanie – zwróciła się mama do Cecilie i poszła przyszykować pościel.

– Kurwa w dupę pierdolona – powiedziałem.

Cecilie ujęła moją głowę w dłonie.

– Chuj z tym wszystkim pojebanym – dodałem.

Roześmiała się i zamknęła mi usta swoimi.

Obudziłem się nagle, gdy w pokoju było już jasno, a za oknem skrzeczały sroki. Usłyszałem głos mamy, szeptała histerycznie, ale ojciec pewnie spał, bo nie odpowiedział. W końcu mama też ucichła. Na palcach przekradłem się wtedy na dół, do salonu. Nikogo tam nie było. Nie było Cecilie. Wpadłem w panikę, włożyłem dżinsy i tenisówki i wybiegłem. Nie było jej też w sadzie. Zbiegłem na przystań. Motorówka zniknęła. Fritjof zerknął na mnie, stał na samym brzegu, żyłka nad głową zataczała wielkie kręgi, w końcu ją puścił, a błystka poleciała do wody.

Podszedłem do niego.

– Odpłynęła pół godziny temu – odezwał się. – O mało nie przejechała mi po piętach.

Usiadłem przy nim, wyłudziłem papierosa.

– Rano jest najprzyjemniej – stwierdził. – Nic nie może się równać z porankiem. Przed szóstą. O szóstej zaczyna się hałas.

– W nocy było niezłe lądowanie – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, nawinął żyłkę.

– Jakie?

– Na Księżycu.

– A, to. – Zarzucił. – Mnie to nie obchodzi. Nie mam tam czego szukać.

Fritjof umilkł. Poczekał, aż błystka się zanurzy, lekkimi szarpnięciami zaczął ją przyciągać, przestał, znów pociągnął, ręka znieruchomiała, potem szarpnęła i żyłka się naprężyła.

Fritjof uśmiechnął się z zadowoleniem. Położył opaloną dłoń na napiętej żyłce.

– Teraz będzie najtrudniejsze, wiesz. Każdemu ryba może wziąć, ale nie każdy umie ją wyciągnąć. – Lekko szarpnął i popuścił żyłkę. – Najpierw musisz ją poznać, zmierzyć jej siłę, przewidzieć sztuczki. – Dał rybie swobodę, nie popłynęła w głąb fiordu, tylko w bok. – Nie ma dwóch takich samych, rozumiesz? Każda ma własne metody. Niektóre idą prosto na dno, inne do góry. Jedne trzymają się haczyka tak długo, że człowiekowi już się wydaje, że mocno siedzą, a one urywają się w ostatniej chwili. Ale jedna rzecz pozostaje taka sama: to zawsze jest walka, prawda? Zawsze walka.

Fritjof mocniej chwycił puszkę w prawą rękę i powoli zaczął nawijać żyłkę. Sprawdzał delikatnymi szarpnięciami, słuchał żyłki, pozwalał jej się prześlizgiwać między kciukiem a palcem wskazującym.

– Już przegrała – oznajmił prawie ze smutkiem.

Nawijał żyłkę zamaszystymi, pełnymi żalu ruchami.

Ryba wyłoniła się z wody, gładka, lśniąca makrela, niemal jak miecznik. Fritjof ostrożnie wciągnął ją ponad brzegiem pomostu. W chwili gdy złamał jej kręgosłup, a na ręce spłynęła mu gęsta, ciemnoczerwona krew, słońce wyłoniło się zza wzgórza za naszymi plecami i odbiło w martwych, pustych rybich oczach.

Pierwszy dzień szkoły, a mnie udało się spóźnić. Wydawało mi się, że mam mnóstwo czasu, więc przeszedłem koło fontanny, przysiadłem na brzegu i zapaliłem, a przez głowę przelatywały mi wspomnienia różnego kalibru, zacząłem się nawet zastanawiać, czy niedługo nie powinienem jednak napisać listu do Niny.

Podobał mi się mocny odgłos wody spadającej za moimi plecami. Tak, powinienem się zabrać do tego listu, przecież nie musi być wcale taki długi. Mogłem napisać coś o fontannach. Wokół moich stóp skakał wróbel, ani trochę się nie bał. Zresztą wcale nie byłem groźny. Ciekawe, czy ojciec kiedykolwiek będzie taki jak dawniej. Ciekawe, jak jest w Liceum Eksperymentalnym, w Szkole Katedralnej i w liceum na Ullern, albo w robocie u Oli, który zaczął pracować jako pikolo w hotelu Norum. Ciekawe, jaka będzie cała ta jesień. Nagle na samym końcu Gyldenløves gate rozdzwonił się dzwonek, w którym pobrzmiewała złość. Pognałem aleją, woźny musiał mi wskazać drogę do klasy. Wpadłem ostatni, wszyscy

gapili się na mnie z ciekawością. Wychowawczyni, kopa siana w amerykańskich okularach, oficjalnie uścisnęła mi rękę i wskazała ławkę. Puls miałem sto pięćdziesiąt, a wszyscy z nienawiścią patrzyli na obcego, który się tu wdarł. Klapnąłem na zbyt wysokie krzesło i dopiero wtedy zobaczyłem Jørgena, siedział w rzędzie pod oknem, skąpany w słońcu, włosy otaczały mu głowę jak aureola, wydawał się daleki i przezroczysty. Siedziałem tuż przed nim i odwróciłem się szybko, zadowolony, że widzę znajomą twarz.

– Fajnie było wtedy u Sidsel – szepnąłem.

Nauczycielka uderzyła wskaźnikiem w katedrę i zaczęła się pierwsza lekcja.

Na przerwie Jørgen podszedł do mnie i uścisnął mi rękę, uosobienie dobrego obyczaju.

– Nie od razu cię poznałem – powiedział. – Miło znów cię widzieć.

– Fajna klasa?

Wzruszył ramionami.

– Jak ci idzie śpiewanie? – spytał.

– Raczej marnie. – Zaśmiałem się. – Trochę mi brakuje głosu.

– Masz ochotę dołączyć do grupy teatralnej?

Akurat na to z całą pewnością ochoty nie miałem.

– Co zamierzacie wystawiać?

– *Wojnę i pokój* Tołstoja.

Znów zadzwonił dzwonek, więc wróciliśmy do klasy. Jørgen podszedł do umywalki i opłukał ręce. Stadko dziewczyn, których nigdy wcześniej nie widziałem, mierzyło mnie wzrokiem od stóp do głów.

– To ty się rozprawiłeś z bandą z Frogner? – spytała któraś.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– I tańczyłeś z kościotrupem na szkolnej zabawie?

Zanim zdążyłem choćby pisnąć w odpowiedzi, już tłoczyły się w drzwiach, bo nadciągał kolejny szalony nauczyciel, w siedmiomilowych butach, ze stoperem w ręku.

Jørgen złapał mnie za ramię i wepchnął do klasy. Przez resztę lekcji czułem się przygwożdżony mnóstwem spojrzeń.

Jørgen rzucił mi karteczkę. Usłyszałem, że kilka dziewczyn chichocze.

Na kartce było napisane: „Pamiętaj o spotkaniu grupy teatralnej".

Miałem już dość jasne pojęcie o tym, jak będzie wyglądała ta jesień.

Wieczorem zadzwoniła Cecilie. Powiedziała, że ma dwa bilety na premierę *Nieba i piekła*[5]. Siedzieliśmy w ciemności kina Klingenberg, a Lillebjørn Nilsen z Young Norwegians snuł się po ekranie. Cecilie nie mogła się powstrzymać od szczypania mnie w ramię za każdym razem, gdy pojawiała się jakaś znajoma gęba, czyli dość często, bo w filmie statystowała połowa mieszkańców zachodnich dzielnic Oslo. Kiedy to dziwaczne przedstawienie się skończyło, całą rękę miałem obolałą.

Stanęliśmy na przystanku i czekaliśmy na autobus na Bygdøy.

– Lillebjørn był fantastyczny – stwierdziła Cecilie.

Zapaliłem papierosa.

– Najgorsza szmira, jaką w życiu widziałem – oświadczyłem. – Zdążymy wpaść na piwo do Pernille?

– Muszę wracać do domu.

– Jak ci jest w nowej szkole?

– Dobrze – odparła, nie patrząc na mnie. – A w twojej?

– Też dobrze. – Pstryknąłem petem na tory tramwajowe.

– Jedziesz do Pernille? – spytała. Na krótką chwilę jej oczy zatrzymały się na mnie, ale zaraz się oderwały.

– Wpadnę do Seba – powiedziałem.

Uściskaliśmy się, lekko. Cecilie wskoczyła na stopień autobusu, chwilę się zawahała, ale nie zawróciła.

Długo stałem, patrząc, jak autobus odjeżdża. Wypluwał czarne kłęby spalin, które rozwiewały się w miękkim, chłodnym powietrzu późnego lata. Do następnego spotkania z Cecilie miało upłynąć bardzo dużo czasu, prawie dwa lata, mój organizm gdzieś w środku już o tym wiedział, miał świadomość, że to koniec.

Seb wyniósł się z domu, kiedy tłuścioch na dobre sprowadził się na Observatoriegata. Babcia załatwiła mu lokum na Munchs gate, w pobliżu

Liceum Eksperymentalnego, ta babcia potrafiła załatwić wszystko, nie było drugiej takiej babci.

Przy wejściu wisiało ze dwieście skrzynek pocztowych, a na jednej z nich napisano „Seb", tylko „Seb". Wszystkie skrzynki były zielone, z wyjątkiem tej Seba, jego była czarno-czerwona, i to jeszcze nie koniec, bo na wszystkich skrzynkach widniały imiona dziewczyn. Seb był jedynym samcem w tej klatce. Pojechałem windą na szóste piętro, towarzyszyła mi pulchna dziewczyna, uśmiechnięta od ucha do ucha. Gapiła się na mnie bez najmniejszych zahamowań.

– Idziesz do tego nowego, który się wprowadził? – spytała.

– Idę do Seba – odparłem.

Dalej się uśmiechała. Wysiadła na piątym.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – odparłem. Krata się zasunęła, winda ruszyła w górę. Zacząłem poważnie czegoś Sebowi zazdrościć.

Korytarz był pomalowany na brudnożółty kolor, drzwi do mieszkań ciągnęły się rzędem. Pachniało tu osobliwą mieszanką jedzenia, trochę tak, jakby w słoneczny dzień wetknąć głowę do tornistra wypełnionego starymi drugimi śniadaniami. Pokój Seba nietrudno było znaleźć. Pomalował drzwi w psychodeliczne kolory, a poza tym wystarczyło kierować się dźwiękiem. Puścił *Soft Parade* na cały regulator. Mieszkanie nie było zamknięte na klucz, a pukanie na nic by się nie zdało, więc po prostu wszedłem. W środku zastałem spowitą we mgłę grupę, która jarała, siedząc w pozycji lotosu, przy miętowej herbacie w kubkach i miseczkach i przy wtórze wokalu Jima Morrisona, przeczesującego mgłę jak stalowy grzebień.

Klapnąłem koło Seba, podał mi skręta.

– Byłem na *Niebie i piekle*. – Zachichotałem.

– Mieszczańskie bzdury – osądził. – Alkohol jest groźniejszy. Widziałeś kiedykolwiek kogoś, kto nabiera agresji od haszu?

Gość, który miał na imię Pelle, uczesany z przedziałkiem na środku, nachylił się i przez nos powiedział:

– Pół miliona ludzi i ani jednej pieprzonej bójki. Ani jednej bójki!

– Gdzie tak było? – zawołałem.

– W Woodstock, ty debilu! Znam babkę, której kuzyn tam był. *Peace and Love*, człowieku! Pół miliona ludzi!

Popił herbaty, patrząc na mnie znad kubka.

Odwróciłem się do Seba.

– Koniec z Cecilie – powiedziałem.

– Którejś nocy śniła mi się Guri – odparł. – Tamta skrobanka. Że to mnie wyskrobała.

Przyjął od kogoś fajeczkę chillum i złożył na niej dłonie.

– Całkiem rzuciłeś harmonijkę? – spytałem.

Zaciągnął się z zamkniętymi oczami.

– Posłuchaj tego. No posłuchaj! *Shaman's Blues*.

Zapadł się w uśmiech i pozostał w nim, dopóki spod igły nie wydobyły się trzaski.

Pelle i reszta towarzystwa podnieśli się niepewnie, jak nowo narodzone cielęta.

– Idziemy się przejść do parku – obwieścił Pelle. – Idziesz z nami?

– Zostaję – powiedział Seb.

Wyszli, Seb odwrócił płytę, położył się na materacu. Otworzyłem okno. Przywiało mi w twarz całe miasto. Patrzyłem na dachy, zastanawiałem się, ilu samotnych ludzi tam mieszka, ilu szalonych, zboczonych, głupich, zagubionych, przeklętych ludzi mieszka w tym kipiącym mieście. Z tyłu muzyka waliła we mnie aż do bólu. Stałem dokładnie na linii strzału. Przypominałem sobie, jak kiedyś chodziliśmy ulicami i tęskniliśmy za tym, żeby móc wejść tam, gdzie grała muzyka. Ta myśl przysiadła mi na głowie jak przygnębiony gołąb.

– Właściwie szybko minęło – stwierdziłem.

– Co?

– Czas.

Seb wstał i pokręcił głową.

– Czas nie mija. Czas po prostu j e s t. Zegarki są dla materialistów i ludzi z przerośniętymi ambicjami. – Pokazał mi swój chudy, nagi

nadgarstek. – Chodzi o to, żeby żyć t e r a z – powiedział. – Wspominanie nie ma sensu. Planowanie też. Chodzi o to, co jest tu i teraz.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Gunnar. Pod pachą miał plik ulotek i od razu rzucił się do okna, żeby złapać łyk świeższego powietrza.

– Palicie jakieś diabelne gówno! – prychnął ze złością.

– A ten tlen, który tam wdychasz – Seb wskazał na niebo – ma w sobie mnóstwo ołowiu i innego radioaktywnego świństwa. Jak dalej tak będziesz robił, umrzesz na raka.

– Mam tego świadomość – odparł spokojnie Gunnar. – Ale nie mam wyboru. Przecież muszę oddychać, prawda? Ale dragi człowiek wybiera sam.

Seb jęknął i usiadł na stołku.

– Wystarczy, Gunnar. Przeprowadziłem się tutaj, żeby mieć spokój.

Zagotowaliśmy więcej wody, ciemność wypełzała na miasto, naciągała tak jak herbata w naszych kubkach.

– Nie podoba mi się twoja skrzynka na listy – powiedział Gunnar.

– Nie ma socjalizmu bez wolności. Nie ma wolności bez socjalizmu – wyrecytował Seb.

Gunnar sięgnął po świeżo odbitą na powielaczu ulotkę.

– Teraz walka toczy się o racjonalizację. Biurokraci od oświaty chcą wprowadzić pięciodniowy tydzień nauki. A kto, do jasnej cholery, na tym skorzysta? Państwo i kapitał monopolistyczny. Uczniowie stracą. Uczniowie i nauczyciele.

Seb nie miał cukru. Herbata zostawiała gorycz w ustach. Zapalił czerwoną lampkę.

– Ktoś rozmawiał z Olą? – spytałem.

– Wczoraj pomieszał walizki jakiegoś amerykańskiego biura podróży. – Gunnar zachichotał. – Działanie rewolucyjne w praktyce!

– Celowo? – Seb aż się zakrztusił.

– Wszystko jedno. Akcja to akcja!

Niedługo Ola sam przyszedł, okropnie zmęczony, z naręczem piwa. Otworzyliśmy butelki i wznieśliśmy toast za lato, które minęło, i trwającą jesień.

– Walczyłeś z pokojówkami? – spytałem, wskazując na otarcie, które Ola miał na czole.

– Niech to szlag – sapnął Ola. – Winda dzisiaj nie działała. Musiałem biegać z walizami po schodach. To takie strome jak cholera, kręte schody z metalowymi stopniami. Poleciałem na pysk z pięcioma walizami z Kuwejtu. Stoczyłem się dwa piętra w dół. Szejk o mało nie oszalał. Groził, że zakręci kurki z ropą. A w walizce miał pełno pornosów. Rozsypały się na wszystkie strony. Kurde, moja kariera wisiała na włosku.

Otworzyliśmy resztę piwa. Seb nastawił *Waiting for the Sun*.

Nie wiem, czy wiedzieliśmy, że siedzimy tam i pijemy za coś, co się kończy, za coś, co kiedyś się zaczęło i już zdążyło dotrzeć do początków końca. Że Beatlesi się rozpadną, że Jim Morrison umrze, że kiedyś będziemy się szukać po całej Europie.

Wznieśliśmy toast ciepłym piwem, a otwarte okno przynosiło wieści z Oslo City i z jeszcze dzikszego świata, który szykował się do skoku w niebieskim, ekscytującym świetle globu.

Napisałem list do Niny. Ta jesień przypominała mi *Revolver*. Zbierało się na burzę. Myślałem o Fredzie i o Kolei Transsyberyjskiej. Tej jesieni znów przyszła śmierć, najpierw do babci. Babcia umarła we śnie, we wrześniu. Nigdy wcześniej nie byłem na żadnym pogrzebie. Kiedy trumna zapadła się pod podłogę krematorium, przypomniało mi się coś, o czym czytałem tysiąc lat temu w *Ilustrowanych Klasykach*, że kiedy marynarze umierali na pokładzie statku, chowano ich w morzu. Nie wiem, dlaczego akurat to mi się skojarzyło. Myślałem o Fredzie. I o Smoku. A teraz odeszła babcia. Na dworze wiatr szeleścił w ciężkich gałęziach świerków, sunął po ziemi, podrywał do góry żółte, lśniące liście i znów rzucał nimi o ziemię. Zbierało się na burzę.

Mama nie płakała, pogrążyła się tylko w delikatnym milczeniu, które w każdej chwili mogło pęknąć jak powierzchnia wody, jak skorupka jajka. Ojciec przebywał we własnym świecie, zamknięty w nierozwiązywalnej krzyżówce. Wzięliśmy do siebie papużkę babci. Została umieszczona w moim pokoju, ale w nocy nie mogłem wytrzymać z tym zielonym stworzeniem, które w klatce śpiewało, biło skrzydłami i dziobało huśtawkę,

widziałem serduszko bijące pod piórkami. Nie śniłem już o lataniu. Któregoś wieczoru wyniosłem klatkę do ojca, a on na moment jakby się ocknął. Oto ja, jego syn, przyniosłem mu ptaszka. Uśmiechnął się, wziął klatkę, wsunął do środka palec, który Pym natychmiast dziobnął. Od tej chwili ojciec kompletnie przepadł. Zapomniał o krzyżówkach, zapomniał o nas, zapomniał wszystko to, co już wcześniej odeszło w niepamięć. Od tej pory liczył się dla niego tylko Pym. Eksperymentował z mieszankami ziaren, kupił nową klatkę, budował dla papużki nowe huśtawki i domki, czyścił jej dziobek, serwował herbatniki, przez całą dobę gotów do usług. A mama krążyła po domu w bliskim pęknięcia milczeniu i obserwowała nas, jakbyśmy byli klęskami żywiołowymi, którym nie da się zaradzić.

Pewnego dnia milczenie pękło i nadciągnęła jesienna burza. Zostałem wezwany do salonu na dywanik. Ojciec siedział z nosem między drucikami klatki, matka z nosem w chusteczce.

– Czy ty bierzesz narkotyki? – zaszlochała.

– Narkotyki? Oczywiście, że nie. A co?

– Palisz haszysz? – ciągnęła, ocierając mokre policzki.

– Całkiem zwariowałaś! – zawołałem.

Spojrzała na ojca, ale on nie słuchał. Za chwilę okazało się, że w „Nå", tygodniku ilustrowanym, przeczytała idiotyczny artykuł o narkotykach, w którym wyliczono wszystkie objawy narkomanii, niezłe bzdury, ale po *Niebie i piekle* ludzie wpadli w histerię. Musiałem długo i namiętnie tłumaczyć, żeby sprowadzić mamę na właściwy kurs, uświadomiłem sobie, że od lat już tak ze sobą nie rozmawialiśmy. Papużka czyściła ojcu paznokcie, co było jej najnowszą sztuczką, a ja usiłowałem przekonać mamę, że naprawdę nie ma się czego bać.

– Nie muszę być od razu narkomanem, nawet jeśli od czasu do czasu dłubię w nosie – mówiłem spokojnie.

Tylko na mnie patrzyła. Nagle zaswędziało mnie w obu dziurkach, ale nie miałem odwagi unieść ręki, bo przecież od razu pomyślałaby sobie najgorsze.

– Tutaj jest tak napisane. – Poklepała czasopismo. – Narkomani muszą często wycierać nos, bo mają w nim ranki.

– Przecież wszyscy dłubią w nosie!

Nachyliła się i odsunęła mi do góry powiekę.

– Uważam, że masz zaczerwienione oczy – stwierdziła przerażona.

– Jestem po prostu trochę niewyspany – powiedziałem.

– O tym też tu piszą! – Już wpadła w histerię. – O zmęczeniu. O braku energii! Kim, co się wyprawia w tym mieszkaniu Sebastiana?

– Nic. Słuchamy płyt, pijemy herbatę i gadamy.

– W Liceum Eksperymentalnym jest dużo narkomanów, prawda?

Nie miałem siły odpowiedzieć. Już to przerabialiśmy. Mama wyobrażała sobie Liceum Eksperymentalne jako indyjską palarnię opium.

Ojciec naśladował dźwięki wydawane przez Pyma, mama odetchnęła głębiej.

– I jeszcze tak dziwnie pachniesz.

– Jeśli tu dziwnie pachnie, to od tego zoologu! – zawołałem i poderwałem się ze złością.

Ojciec się odwrócił.

– Nie mów tak głośno. Pym się boi.

Miałem wrażenie, że mama zaraz się na niego rzuci. Zacisnęła ręce na brzegu kanapy.

– I tak często chodzisz do ubikacji – dodała nagle.

Wybuchnąłem śmiechem. Nie mogłem się nie śmiać. Śmiech nadciągnął jak lokomotywa.

– Nie muszę być narkomanem tylko dlatego, że mam sraczkę!

– Kim! – Mama też wstała.

Wyszedłem do przedpokoju, włożyłem wojskową kurtkę kupioną na pchlim targu zorganizowanym przez orkiestrę dętą szkoły na Uranienborg.

– Dokąd idziesz? – spytała mama.

– Przejść się.

Podeszła do mnie blisko, dopiero teraz zobaczyłem, że się boi. Śmiertelnie się boi. Dłonie jej drżały, a w zagłębieniu szyi puls walił jak zwariowany metronom.

– Zaufaj mi – powiedziałem spokojnie.

Wyszedłem. Za plecami słyszałem jeszcze płacz i ptasie trele. Na dworze wiatr chwytał za łydki, zapowiadając, że nadciągnie z większą siłą, sztormową.

Zajrzałem do Norum, przywitać się z Olą. Uniform pikolaka był lepszy niż ten orkiestry, bordowy ze złotym szamerunkiem i płaską czapką. W butach Oli można się było przejrzeć. Przeszmuglował mnie do kuchni, gdzie sympatyczna dziewczyna poczęstowała nas ciastem i kawą.

Ola westchnął zadowolony i z okruszkami na twarzy nachylił się nad stołem.

– W sobotę idę z nią do kina – szepnął. – Ma na imię Vigdis.

– O rany, ale ten świat mały! Ona mieszka pod Sebem, piętro niżej.

Ola uciekł wzrokiem, a na czole wyrosła mu zmarszczka, głęboka jak przydrożny rów, o który dba gmina.

– Naprawdę? – spytał tylko.

– A co tam u Kirsten?

Potoczył wzrokiem jak oszalały.

– Zamknij się, do diabła!

Vigdis przyniosła świeżą kawę w dzbanku i strzepnęła pyłek z ramienia Oli. Dosłownie zapadł się pod ciężarem jej palców. Przestraszyłem się, że znów zacznie się jąkać. Vigdis spojrzała na mnie, uśmiechnęła się, ale mnie nie poznała.

– Jakieś nowiny z dwadzieścia trzy? – spytała ze śmiechem, wyraźnie kryjącym się w tych słowach.

Ola też się roześmiał, ale pokręcił głową.

Vigdis wróciła do garnków. Do kuchni wpadła gromada pokojówek. My dwaj wróciliśmy do recepcji.

– A co to jest dwadzieścia trzy? – spytałem.

– Pokój numer dwadzieścia trzy – odparł rozbawiony Ola. – Para z Fredrikstad. W podróży poślubnej. Od czterech dni nie wychylili nosa za drzwi.

Zadzwonił dzwonek i Ola musiał przystąpić do akcji – przyjechała taksówka wyładowana grubymi Niemcami.

– Przyjdziesz wieczorem do Seba? – spytałem.

– Nie mam czasu – wysapał Ola, z czterema skórzanymi walizami w objęciach i workiem z garniturem przerzuconym przez ramię.

– No to pozdrów Vigdis – rzuciłem i ruszyłem w stronę miasta.

Seba nie było w domu. Poszedłem do niego do szkoły i znalazłem go na robotach ręcznych. Wyglądał jak pełnokrwisty Indianin, wymalował sobie gębę, a włosy splótł w warkocze.

– Bądź pozdrowiony, Czerwony Lisie – powitał mnie, wymachując w powietrzu pędzlem.

Dwie dziewczyny robiły coś przy tokarce, obok pryskała glina i woda, a jakiś staruszek strugał patyk.

– Zrozumiano sygnały dymne, Żółta Febro – powiedziałem.

– Niezłe! – Seb zarechotał. – Niezłe!

Przenieśliśmy się do świetlicy, w której działał już klub brydżowy. Seb nalał herbaty do dwóch brudnych kubków.

– Nie ma drogi odwrotu. – Zaśmiał się. – Napisali o tym w „Rolling Stone". Beatlesi się rozpadli.

Herbata zostawiła pod językiem nieprzyjemny smak.

– Za kilka tygodni ma wyjść nowy long – rzuciłem.

– O kurde, no tak, wszystko mają na taśmie. Ale potem nie będzie nic więcej. – Wypił łyk. – No i dobrze. Trzeba kończyć, kiedy się jest na szczycie. Powinni byli uciąć po *Sierżancie Pieprzu*. Pogrzebać gwiazdę. Zgadzasz się, Zielony Orle?

– Widziałeś się ostatnio z Gunnarem? – spytałem.

Seb się roześmiał i skręcił sobie papierosa z tytoniu z czerwonym liskiem.

– Zajęty gość. Został wodzem w Katedralnej.

Nabiłem fajkę.

– Szycha – powiedziałem. – Ale Gunnar to lubi.

– Stig był tu wczoraj z wykładem o anarchizmie. Ostre przesłanie.

– O rany. Znaczy, że zmienił kurs?

– O sto osiemdziesiąt stopni. Teraz martwi się o młodszego brata, bo Stalin ma krew na wąsach. – Seb wydmuchał cztery kółka z dymu.

– Gunnar wie, co robi.

– I Bóg mu nie wybaczy. – Seb się zaśmiał i zgasił niedopałek.

Przyszedł Pelle, lekko półprzytomny. Nie lubiłem Pellego. Miał w oczach coś, czego nie dawało się uchwycić. Poza tym brudne paznokcie i pryszcze. Kiedy mówił, nie zwracał się do mnie.

– Zbiórka w parku – szepnął do Seba.

Poszedłem razem z nimi w stronę Zamku Królewskiego. Pomyślałem o mamie i nieprzyjemnie zakłuło mnie w głowie. Pod drzewami stało kilka grupek, czarne, chude cienie. Wiatr gnał otwartą aleją. Błysk zapałki wyłowił z mroku pożółkłą twarz. Pelle podszedł do faceta, który stał samotnie przy krzaku.

– Sklep z cukierkami jest dziś otwarty – szepnął Seb. Farby na jego twarzy płonęły.

– Trawa?

Seb się roześmiał.

– Orzeszki ziemne – powiedział. – Orzeszki. Nie jeździ się na Bogstad, kiedy można mieć za darmo wyprawę do Katmandu.

Pelle wrócił z zaciśniętą garścią. Skinął na Seba, ruszyli w dół po schodach. Ja stanąłem. Seb się odwrócił.

– Idziesz? – zawołał.

Zawahałem się. Wiatr szarpał za drzewa, wywołując nieprzyjemny suchy szelest.

– Muszę spadać – powiedziałem.

Seb i Pelle zniknęli. Ja dalej stałem w erodującym parku. Ziemia była twarda i gruzłowata. Powietrze szarpało za włosy. Widziałem światła na Karl Johan, neony: Freia, Idun, Odd Fellow. Za mną w nierównym rytmie zapalały się zapałki, jak małe ogniska. Już wiedziałem, że ta jesień zeszła na złą drogę, że my zeszliśmy na złą drogę, wiedziałem, ale co, do diabła, mogłem z tym zrobić?

Poszedłem do domu i napisałem jeszcze jeden list do Niny.

Wszystkie matki uwielbiały Jørgena, z wyjątkiem jego własnej. U niego w domu panowała dziwna atmosfera. W ciemnym mieszkaniu przy Jacob

Aalls gate czuło się ciężkie, mroczne wibracje, jakby cały dom pilnie chronił tajemnicę, która za nic nie mogła wyjść na jaw. Pachniało naftaliną i malwersacjami, drzwi zgrzytały, zasłony zawsze były zaciągnięte. Wśród całej tej beznadziei matka Jørgena chodziła ze świdrującym wzrokiem w filcowych kapciach tam i z powrotem, zaciskając białe dłonie w pięści. Ojca, obwoźnego sprzedawcy kosmetyków, prawie nigdy nie było w domu. Pierwszy raz przyszedłem tam w tę sobotę, kiedy miała być prywatka klasowa u Beate, ale raz na zawsze postanowiłem, że w tym roku nie będę się wychylał, nie zaryzykuję żadnej wspinaczki bez zabezpieczenia ani tańców śmierci, więc na tę zabawę się nie wybrałem, Jørgen też nie. W tym czasie spotkaliśmy się u niego, na wstęp popijaliśmy likier truskawkowy, nieźle się wstawiliśmy i słuchaliśmy Mothers of Invention. Kiedy przyszedłem, jego matka spojrzała na mnie z nienawiścią, chyba nawet nie podała mi ręki, zmierzyła mnie tylko wzrokiem od stóp do głów, jakbym przybył wprost z laboratorium i był radioaktywny. Człapała teraz pod drzwiami, od czasu do czasu wypuszczając ciche jęki i westchnienia z zasznurowanych ust. Kurczę, u mnie nastały trudne dni, z mamą na najwyższych obrotach i odjechanym ojcem, ale tutaj było jeszcze gorzej. Jørgen powinien się stąd zrywać, zanim dozna trwałych uszkodzeń pod wpływem środowiska. Powiedziałem mu o tym.

– To minie. – Uśmiechnął się.

– Nie bądź tego taki pewien. Jedyne rozwiązanie to ucieczka w porę.

– Mówisz tak, jakbyś sam miał zamiar uciec – zauważył wesoło Jørgen.

– Po maturze. Po maturze nie zostanę nawet przez sekundę.

Roześmiał się, odchylił do tyłu, potem zacisnął usta i dalej siedział, wgapiony w sufit.

– Któregoś dnia zrozumieją – szepnął. – Któregoś dnia to do nich dotrze.

– Co dotrze? – spytałem, dolewając sobie oranżadki.

Jørgen nie odpowiedział. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Za jego plecami wisiał wielki plakat Rudolfa Nuriejewa. A jednak wcale nie miał takich długich włosów. Stał na palcach, a jaja sterczały mu pod trykotem jak kapusta. Na Jørgena padało światło niebieskiej lampy na biurku. Pierwszy raz dostrzegłem, jaki jest piękny. Rysy miał czyste, regularne, mocno zarysowane kości policzkowe rzucały cień na wąskie policzki, jakby

się umalował. Nie mogłem oderwać wzroku od jego twarzy. Zrozumiałem, dlaczego dziewczynom zrzedły miny, kiedy usłyszały, że Jørgen nie przyjdzie na tę imprezę.

On pewnie wyczuł, że mu się przyglądam. Zachlapałem alkoholem spodnie. Wytarł je swoją chusteczką. Za drzwiami matka krążyła po ciemnych korytarzach.

– Dlaczego nie chciałeś iść na tę prywatkę? – spytał.

Zapaliłem papierosa. To był dziwny wieczór. Kiedy zadał to pytanie, wiedziałem, że niczego nie będę ukrywał. Szczerość wobec Jørgena wydawała się taka łatwa. W domu skrywającym mroczną, okrutną tajemnicę szczerość nie była niczym wielkim.

– Zwykle po pijaku się kompromituję – powiedziałem. – Odbija mi i kompletnie tracę rozeznanie. Jakbym przestawał być sobą. Już nie ja wtedy decyduję. To dość dokuczliwe.

– Tak się dzieje tylko wtedy, kiedy wypijesz?

– Wtedy w każdym razie jest najgorzej. Czasami lekkie ataki zdarzają mi się też na trzeźwo. Zwłaszcza w nocy. Dawniej krzyczałem, i to tak aż do zdarcia gardła. Rano następnego dnia nie mogłem mówić.

– Mnie czasami nachodzi lęk – wyznał spokojnie Jørgen. – Całkiem nagle. Straszny. Chociaż wiem, że nie ma się czego bać. Wiem o tym, a i tak się boję do szaleństwa. To trwa ze dwie godziny. Potem mija.

– Brzmi strasznie.

– Na tamtej imprezie u Sidsel – ciągnął – wtedy kiedy przepędziłeś bandę z Frogner, poczułem, że gdybyś został moim kumplem, to już nigdy więcej bym się nie bał.

Podniosłem rękę. Palec wskazujący był zdeformowany, wyglądał jak gruby hak z paznokciem.

– To on się z nimi rozprawił. – Zaśmiałem się. – Złamali mi go kilka tygodni wcześniej, bo jednemu rzuciłem kamieniem w głowę.

Jørgen spojrzał na mnie trochę zdezorientowany, potem się zaśmiał i napełnił kieliszki czerwonym płynem.

– W każdym razie teraz czuję się bezpieczny, Kim. Odkąd przyszedłeś do naszej klasy, przestałem się bać.

– A dlaczego ty olałeś tę imprezę? – spytałem.

– Bo mnie to nudzi. Takie zabawy mnie nudzą.

Musiałem się wysikać, więc wemknąłem się do gabinetu strachów. Matka Jørgena pojawiła się natychmiast, a mój uśmiech nie okazał się zaraźliwy. Stanęła, trzymając mnie w szachu swoją kipiącą podejrzliwością i złowieszczą tajemnicą.

– Szukam toalety – wybełkotałem.

Wskazała drzwi, przy których stałem. Straciła głos, a oczy miała martwe, musiała zobaczyć coś, co spaliło jej spojrzenie.

Wszedłem tam i opróżniłem pęcherz. Potem zobaczyłem w lustrze swoją twarz, bladą i niezdrową. Ale włosy miałem świeżo umyte, odstawały od głowy jak czarne, naelektryzowane nici. Przyczesałem się, słyszałem trzaski w grzebieniu, jakby z mojej czaszki usiłowały wydostać się wizje.

Jørgen siedział na parapecie i przeglądał maszynopis sztuki.

– Myślałeś trochę o tej grupie teatralnej? – spytał.

– Nie.

Rzucił mi kartki. *Wojna i pokój*.

– Mamy dla ciebie rolę – powiedział z ożywieniem.

– Dla mnie? O nie. Nienawidzę teatru. Byłem raz na *Brandzie* ze starą i o mało nie dostałem krwotoku.

Jørgen się roześmiał.

– Teatr to prawda – stwierdził nagle z absolutną powagą. – Przecież my cały czas przed sobą gramy, kreujemy się, oszukujemy nawzajem, udajemy, że nic się nie dzieje. Tylko na scenie, tam gdzie wszyscy są świadomi swoich ról, jesteśmy naprawdę szczerzy.

– Poprzednim razem mówiłeś, że chcesz zostać aktorem dlatego, że się nudzisz.

– Nudzi mnie kłamstwo – powiedział Jørgen. – Nudzi mnie mówienie, które przelatuje mimo uszu. – Szybko popatrzył na mnie. – A ty chciałeś zostać piosenkarzem!

– Bo chciałem zagłuszyć wszystkie głupie gadki. – Roześmiałem się.

Jørgen usiadł przy mnie.

– Do obsadzenia została nam jeszcze jedna rola – powiedział, przerzucając maszynopis. – Posłańca. Potrzeba nam mocnego głosu.

– A ile kwestii? – spytałem.

– Jedna – odparł.

– Zastanowię się.

Idąc do domu tego wieczoru, kiedy wiatr hulał po Vestkanttorget, a księżyc toczył się po niebie jak piłka, pomyślałem sobie, że w tym czasie, który nadchodził, to właśnie Jørgen będzie moim punktem zaczepienia. To Jørgen będzie kotwicą, okiem cyklonu: kręgiem spokoju pośrodku całego chaosu.

Gunnar zajrzał któregoś wieczoru i jak zwykle przytaszczył transport ulotek. Przeszmuglował je do mojego pokoju i zaczął sortować. „Nie dla racjonalizacji!" miałem rozdać następnego dnia. Z tymi wydanymi przez Komitet Solidarności z Wietnamem, dotyczącymi kłamstwa o wycofaniu żołnierzy amerykańskich, nie było takiego pośpiechu. Wystarczyło, żebym się nimi zajął w sobotę na dużej przerwie.

Gunnar mówił prędko, często gubił rytm. Nie miał czasu nawet napić się herbaty. Szedł na zebranie samorządu szkolnego.

Poczułem, że zaczynam się pocić.

– Nikt inny nie może tego rozdać? – spytałem ostrożnie.

Gunnar wbił we mnie spojrzenie jak harpun.

– O co ci chodzi?

– Zgadzam się z treścią, zgadzam się jak cholera, ale chyba nie dam rady stanąć na środku i wygłosić przemowy.

Gunnar przetasował pliki odbitek.

– Mam wrażenie, że akurat nie tego najbardziej się boisz – powiedział tylko.

– Jak to?

– Wydaje mi się, że już nie raz stałeś na środku i wrzeszczałeś. Na zabawie. W Dolphins.

– No właśnie. Właśnie dlatego uznałem, że w tym roku będę się trzymał spokojniejszej wody. Bardziej *easy*.

Gunnar nie odrywał ode mnie oczu.

– Takie nastawienie jest dość paskudne. W porządku, że nie chcesz się już więcej zbłaźnić, ale zaangażowanie polityczne to, do jasnej cholery, nie to samo!

– I wcale tak nie twierdzę. Ale przecież i tak musiałbym stanąć w blasku reflektorów. Mam rację?

– Reflektorów, no właśnie. Nie zamierzasz przypadkiem dołączyć do grupy teatralnej?

Miał mnie.

– No, owszem. Ale mam wygłosić tylko jedną kwestię.

– I nie chcesz rozdawać ulotek?

– Nie powiedziałem, że nie chcę.

– No a co teraz mówisz? Myślisz, że ruch rewolucyjny może brać pod uwagę takie nieistotne powody? Z takich bredni korzyści odnosi kapitał monopolistyczny. Będziesz rozdawał czy nie będziesz?

– Dawaj, draniu.

Odliczył po sto z każdego rodzaju i się wyszczerzył.

– Świetnie, towarzyszu Kim. W przyszłym miesiącu dostaniesz nowy zapas.

Schowałem ulotki do tej samej szuflady, w której w dawnych czasach ukrywałem pornosy. Gunnar już wychodził. Z salonu dobiegł jakiś przedziwny dźwięk. Zatrzymał się i spojrzał na mnie.

– To tylko Pym.

– Pym?

– Papużka ojca.

Ojcu udało się nauczyć ptaszka gwizdać na polecenie. Wyczarowywał piski z zielonego ciałka własnym ćwierkaniem. Czasami zastanawiałem się, kto właściwie ma tu przewagę, czy to przypadkiem nie Pym zmusza ojca do śpiewu. Zaczynało mi to działać na nerwy.

Przez chwilę wsłuchiwaliśmy się obaj z Gunnarem. Teraz gwizdał ojciec.

– Naszym rodzicom nie jest ostatnio zbyt lekko – szepnął w końcu Gunnar.

Pokiwałem głową.

– Mój ojciec jest już bliski zrezygnowania ze sklepu, a mama zapisała się do przykościelnego klubu miłośniczek szycia – dodał.

Odkryłem, że Gunnar próbuje zapuścić brodę.

– Mogę pożyczyć ci swoją kosiarkę. – Zachichotałem, ciągnąc go za podbródek.

Zaczerwienił się i zaczął jeszcze bardziej się spieszyć. W przedpokoju stała mama wpatrzona we wszystkie przypinki na jego kurtce. Była tam cała galeria, Marks, Engels, Lenin, Mao, Ho Szi Min, Wietkong. Gunnar na chwilę wypiął pierś i zaraz poleciał.

Mama mnie przytrzymała.

– Gunnar przystąpił do Młodzieżówki Socjalistycznej?

Zabrzmiało to komicznie, wymówiła te słowa tak, jakby chodziło o chorobę weneryczną, gorszą niż syfilis, nieuleczalną i zakaźną, dziedziczną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Odniosłem wrażenie, że miała potem ochotę wypłukać usta terpentyną. O mało nie popękały jej wargi.

– Z czego się śmiejesz? – zawołała.

– Z niczego.

– Nie odpowiedziałeś! Czy Gunnar jest socjalistą?

Wytarła usta wierzchem dłoni.

– Nie wiem.

– A ty?

Pym z ojcem śpiewali teraz w duecie.

– Oni ćwiczą strzelanie, prawda? – spytała. – W lasach Nordmarka. Mają magazyny z bronią!

– Skąd ja to mogę wiedzieć.

– Mówili w telewizji!

– Jak będziesz wierzyć we wszystko, co mówią w tym pudle, to będzie z tobą krucho.

Wybrałem najszybszą drogę do swojego pokoju.

Matka nadciągnęła za mną.

– Czy ty się ostatnio czymś denerwujesz, Kim?

– Denerwuję? Jak to?

– Chodzisz tak szybko, zauważyłam to już od jakiegoś czasu. Chodzisz… jakby ktoś cię gonił!

– Daj spokój, mamo. Nikt za mną nie chodzi!

– Na pewno nie bierzesz narkotyków?

– To też gdzieś przeczytałaś? Że narkomani szybko chodzą?

– Odpowiedz mi szczerze, Kim!

– Właśnie zostałem wybrany do Komitetu Centralnego i od dziewięciu lat daję sobie w żyłę.

Trzasnąłem drzwiami. Mama otworzyła je szarpnięciem.

– Nie wolno ci tak do mnie mówić, Kim! Nie wolno!

– A ty się trzymaj z daleka od mojego portfela! Zostaw moje prezerwatywy w spokoju!

Twarz jej się skurczyła, straciła całą moc. Powoli zamknęła drzwi.

Pobiegła do salonu, usłyszałem stamtąd jej płacz, głos ojca i Pyma naraz.

Co za czasy.

Po tej prywatce klasowej, na którą nie poszedłem, wiele osób patrzyło na mnie spode łba. Zrobiłem się przewrażliwiony, nie mogłem się ruszyć w spokoju, czułem na ciele spojrzenia wczepione we mnie jak przyssawki. Na jakiejś przerwie podeszła do mnie Beate, stanęła z tym swoim kwaśnym uśmiechem, aż się skuliłem pod jej zmrużonymi oczami.

– Szkoda, że nie mogłeś przyjść – powiedziała.

– Rzeczywiście, szkoda. – Spojrzałem na nią. Przy pojemnikach na śmieci cała gromada chichotała, coś do siebie szeptali.

– Przecież na imprezach jesteś taki zabawny, prawda? – ciągnęła Beate.

Zwietrzyłem nadciągający kryzys i zacząłem się rozglądać w poszukiwaniu drogi ewakuacji.

– Fałszywe plotki – odparłem.

– Tak napisali w gazetce – zagruchała.

– Naczelnego wylali – odparowałem.

– Ale pewnie miło spędziliście ten czas z Jørgenem?

Głos utknął mi w gardle, Beate odgarnęła włosy do tyłu.

– On zresztą właśnie tu idzie. Nie będę wam przeszkadzać.

Kręcąc tyłkiem, wróciła do tamtego kółka. Obserwowali mnie i Jørgena.

– O co tej idiotce chodzi?

– Nie ma się czym przejmować – mruknął Jørgen. – Umiesz już swoją kwestię?

– Napoleon nadciąga! Chyba jest na mnie okropnie zła. Dlaczego tak się wścieka?

– Powinieneś włożyć w te słowa więcej uczucia, Kim. Publiczność musi zadrżeć!

Zadzwonił dzwonek, ruszyliśmy do klasy. Po naszym wejściu zapadła podejrzana cisza, wzdłuż rzędów przetoczył się szum. Jørgen usiadł na swoim miejscu, nieprzystępny i wyniosły. Ja się zatrzymałem, popatrzyłem na tablicę. Stał pod nią Dick, osiłek ze Smestad, z blisko osadzonymi oczami. Narysował wielkie serce, w które wpisał dwa imiona. „Jørgen + Kim". Coś ciepłego, bolesnego wpadło mi do żołądka, zaswędziało w czaszce. Buchnął śmiech, a Dick chichotał z dumą. Ten śmiech mnie zalał, był lepki i kwaśny jak spleśniały syrop, jak mokry cukier, musiałem walczyć, żeby wyrwać się z tej cukrowej lawy śmiechu wylewającej się z czerwonych, rozdziawionych, śliniących się paszczy.

– Zetrzyj to – powiedziałem.

W klasie nagle zapadła cisza.

Dick dopisał na tablicy coś jeszcze: „Proszę nie ścierać!".

Śmiech gruchnął od nowa, zacząłem w nim tonąć, z trudem łapałem powietrze i wiedziałem już, że tracę nad sobą kontrolę.

Dick ruszył w stronę swojej ławki. Zatrzymałem go. Spojrzał na mnie z góry, spod oka. Splunąłem mu prosto w gębę, zieloną, lepką grudą.

Znów zrobiło się cicho. Zaskoczony Dick wydał z siebie dziwny odgłos, uniósł ręce.

Wtedy uderzyłem. Uderzyłem z siłą, która brała się nie wiadomo skąd. Moja ręka była bombą, armatą, pięść żelazną kulą, a Dick zgiął się wpół jak

bułka paryska. Wbiłem mu szpony w kark, pociągnąłem go do tablicy i starłem napis jego gębą i włosami.

W klasie było cicho jak makiem zasiał.

Czułem w sobie przelewającą się krew i wiatr.

Puściłem Dicka i usiadłem. Jørgen był blady i nieruchomy. Nikt na mnie nie patrzył.

Wychowawczyni wpadła do klasy, jeszcze zanim Dick na czworakach dotarł do ławki. Musiałem się mocno przytrzymać krzesła. Wir o mało nie wyciągnął mnie przez okno.

– Co tu się wyprawia? – Pani Klausen aż gwizdnęła.

Nikt nie odpowiedział. Cisza jeszcze się pogłębiła. Dick podciągnął się na krzesło. Pani Klausen kilka razy zastukała wskaźnikiem i zaczęła mówić o związkach frazeologicznych.

Nie leżałem więc już w okopie, byłem widoczny jak pomalowany na kolorowo kamienny słup. O dziwo jednak, już nikt więcej mi nie dokuczał. Klasa skierowała swoje przyssawki gdzie indziej, Jørgenowi i mnie dała spokój. Dała mi spokój jak trędowatemu: wszyscy go unikają, wszyscy zawsze wiedzą, gdzie jest. Tylko Jørgen chciał ze mną gadać. O tamtym rysunku na tablicy nie wspomniał ani słowem.

Tak doszło do tego, że straciłem odwagę. Po prostu. Straciłem odwagę i nie mogłem się przemóc, żeby stanąć przy bramie i rozdawać ulotki. To by było jak ustawienie się na linii strzału, nie miałem na to siły. Skłamałem Gunnarowi prosto w oczy i wziąłem od niego więcej ulotek o racjonalizacji w oświacie, o podatku VAT, o współpracy klasowej, o Wietnamie, stos ulotek rósł w szufladzie, a w moim brzuchu – wyrzuty sumienia. Czułem się mniej więcej tak samo jak wtedy, kiedy nie zjadałem kanapek szykowanych przez mamę na drugie śniadanie, a one puchły w tornistrze, zieleniały i cuchnęły. Nie mogłem się też przemóc, żeby wyrzucić te ulotki. Codziennie odkładałem to na następny dzień. Wiedziałem, że wkrótce będę brodził w ulotkach. Od Niny nie dostałem żadnej odpowiedzi, jedyny list, jaki do mnie przyszedł, był z wojska. Wzywali mnie na komisję w kwietniu następnego roku.

Mama cała się zapaliła, kiedy usłyszała, że dołączam do kółka teatralnego. Odmieniła się momentalnie, jakby pstryknęła przełącznikiem, i postanowiła, że odtąd będzie mi ufać. Ani słóweczkiem więcej nie wspomniała o młodych socjalistach czy o narkotykach, ciągle mówiła o teatrze i powtarzała podobnie jak Jørgen, że teatr to prawda. Nie bardzo to rozumiałem, ale czułem ulgę, ponieważ trochę się uspokoiła i nie przechodziła załamania nerwowego za każdym razem, kiedy musiałem iść do kibla albo zaswędziało mnie w nosie. Ale tej prawdy, o której oni mówili, nie potrafiłem się dopatrzyć. Czasami leżałem w nocy, zastanawiając się nad tym, czym w ogóle jest prawda, próbowałem sporządzić listę przykładów. Dick to dupek. Ale Beate na pewno wcale tak nie uważa. Na pewno uważa, że dupkiem jestem ja. Beatlesi to najlepszy zespół na kuli ziemskiej. Ale z tym twierdzeniem przynajmniej moi starzy by się nie zgodzili. Zgniotłem myśli: ja to ja. Kasza mózgowa zagotowała się w czaszce: kim ja jestem, do cholery? Kim jestem w oczach innych? Jørgena? Gunnara? Czy jestem w tylu wersjach, ile jest oczu? Kim jestem w oczach Niny?

W takie noce nie mogłem zasnąć.

Wiele było takich nocy.

W kółku teatralnym też nie odnalazłem prawdy, tyle w każdym razie było pewne. Mieliśmy próby w sali gimnastycznej co czwartek. Reżyserowała dość gwałtowna kobieta, z klatką piersiową sterczącą przed nią jak Alpy. Na imię miała Minni. Żarliwie nam tłumaczyła, że *Wojna i pokój* dotyczy ludzi współczesnych, chociaż została napisana w zeszłym stuleciu. Tołstoj, podobnie jak inni wielcy artyści, wyprzedził swoją epokę. Na ilustrację muzyczną wybrała płytę *Jazz po rosyjsku* Jana Johanssona. O mało nie uklękła z zachwytu nad własnym pomysłem: to podpowie publiczności, że sztuka mówi również o naszych czasach, prawda? Zaproponowałem, żebyśmy w tle puszczali na czarnym płótnie zdjęcia z filmu *The War Game*, ale to nie przeszło, przeciwnie, pomysł został uznany za kiepski, nie wolno straszyć publiczności, odpychać jej od siebie, trzeba zachować równowagę, to trudne, równowagę między wojną a pokojem, między wykonawcami a publicznością, jak określiła to Minni. Brzmiało wspaniale. A ja szukałem prawdy, ale jej nie znalazłem. Cegłę Tołstoja oheblowano do jednoaktówki. Jørgen grał faceta, który miał na

imię Pierre, jego partnerką była dziewczyna z drugiej licealnej, Astrid, to ona miała tchnąć ducha w Nataszę. W sztuce brało udział jeszcze dziewięć innych osób plus ja, posłaniec wygłaszający złowieszczą kwestię. W powieści Tołstoja występowało ponad pięćset postaci.

Ale wszyscy już się cieszyliśmy na kostiumy z Teatru Narodowego.

U Seba był odlot, a ja nie miałem siły tam siedzieć. Zebrała się dość niewyraźna banda, paliła skręty, piła herbatę, chlupotało w fajkach wodnych, świszczało w chillumach, zapach kadzidła wisiał w pokoju jak dym z komina fabryki perfum. Zaglądałem tam przez kilka wieczorów, ale dość szybko się z tym pożegnałem, nie bardzo wiem dlaczego, nudziłem się, oni mieli swoje zioła i nawzajem się nie zauważali, wygrzebywali kłębki kłaków z pępków, chichotali tajemniczo, przewracali oczami. To był solowy bieg w głowach, egotrip z plecakiem. Ale któregoś wieczoru Seb zmiótł z podłogi cały park Zamkowy. Zapowiadał się wielki wieczór, największy od lat. Stawił się Gunnar, bez ulotek, i Ola, który wcale się nie wściekał, chociaż dość niewybrednie go przezywaliśmy, a Seb był trzeźwy i umyty. Przyszliśmy tam wszyscy, na talerzu leżał nowy longplay Beatlesów. *Abbey Road*. Podawaliśmy sobie okładkę z rąk do rąk, studiowaliśmy ją dokładnie, dotykaliśmy jej koniuszkami palców. Cisza była naładowana rozpaloną nadzieją, teraz albo nigdy. W końcu nadstawiliśmy uszu, Seb uruchomił maszynę i nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem przez czterdzieści sześć minut i dwadzieścia sekund. Kiedy muzyka ucichła, leżeliśmy wypaleni na podłodze, zamkniętymi oczami wpatrzeni w niebo, i każdy z osobna, każdy z osobna myślał o tym, przez ile lat, przez ile płyt tak leżeliśmy. Przez głowy przelatywało całe stulecie, w sercach łopotały kartki z wagonu kalendarzy. Byliśmy zmęczeni i szczęśliwi. W końcu zapaliliśmy fajki, tytoń Capstan spowił pokój mgłą, poruszyły się języki. Dwie ostatnie piosenki Seba były najlepsze, jakie w ogóle napisał, przeszedł samego siebie, wydobył z ostrygi dwie perły, melodie zostawały w uszach niczym dwie srebrne spirale. Gunnar aż krwawił na *I Want You* i był nieźle napalony na *Come Together*. Nawet Ola sklecił niezły numer, *Octopus's Garden*, i leżał teraz na plecach z głową owiniętą uśmiechem dumy.

– Mimo wszystko pójdę do marynarki! – zawołał. – Do marynarki!

A ja uwielbiałem zaśpiew na *Oh! Darling* – głos już, już się łamał, ale się nie załamywał, drżał na granicy niemożliwości, na samiutkiej granicy. A na *Because* wszystkie głosy splatały się ze sobą, ten chór był najwspanialszą rzeczą, jaką słyszeliśmy. Beach Boys i Srebrne Słowiki mogli sobie zwinąć i spakować swoje struny głosowe i zamiast śpiewem zająć się stepowaniem. Puściliśmy jeszcze raz i nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa przez czterdzieści sześć minut i dwadzieścia sekund. Potem znów nastawiliśmy drugą stronę i już nie mieliśmy żadnych wątpliwości. To było najlepsze. Nie potrzebowaliśmy słów. To było po prostu najlepsze. To byli Beatlesi. Zepchnęliśmy wszystkie nieczyste myśli do piwnicy, myśli o rozpadzie, o kłótni, podkręciliśmy się na ekstremalny optymizm: to dopiero początek. Oto zaczyna się nowa rachuba czasu: od dwudziestego ósmego października 1969 roku, od ciemnego, zimnego wieczoru między jesienią a zimą. Znów zaczęliśmy gadać o The Snafus, o tym, że może mimo wszystko nie jest jeszcze za późno, cholera, pewnie, że nie jest. Nie jest za późno. Kiedy już przebrniemy przez maturę, szybko możemy znaleźć jakąś robotę, zdobyć forsę na instrumenty i wzmacniacze. Ola przecież już zaczął. Kurza twarz. Seb ma gotowy plik tekstów. Do diabła. Tak mówiliśmy, jeden podnosił na duchu drugiego i tak trzymał, znaleźliśmy sobie mieszkanie w niebie, był późny wieczór, a wokół nas świeciło słońce, pławiliśmy się w świetle i w muzyce, a wibracje wokół nas były miękkie jak kocie łapy.

Nagle rozległo się walenie do drzwi i rozpoczęło się spadanie. Do środka wpadł Pelle z całą bandą, mieli zakrwawione gęby i pocięte kurtki. Ledwie trzymali się na nogach i całkowicie wypadli z kursu.

– Gliniarze sprzątali park – jęknął Pelle. – Kurwa mać. Wpadli w kompletny szał. Musieli się nażreć muchomorów na obiad.

Szef przemówił, więc osunęli się na podłogę. Z włosów i ubrań posypała się ziemia.

– Zwinęli co najmniej dwudziestu – szepnął biały jak kreda wymoczek.

– Mieliście coś przy sobie? – zdenerwował się Seb.

Pelle zachichotał, wyciągnął z kieszeni pudełeczko po tabletkach od bólu głowy.

– Bogowie mnie nie opuścili. Schroniłem się przy pomniku Camilli Collett. Powiedziałem, że jestem jej wnukiem.

Położył pudełko na stole, wszyscy zaczęli się tłoczyć wokół niego. Uklękli jak przed jakimś pieprzonym ołtarzem. Gunnar miał złość wymalowaną na twarzy, Ola spróbował nastawić płytę.

Pelle zarośniętym palcem wskazał na okładkę.

– Oszustwo! – prychnął. – *Abbey Road* to czysty chłam! – Zaczął mocować się z pudełeczkiem, w końcu udało mu się zdjąć pokrywkę.

Ale tym razem posunął się za daleko.

– Co masz na myśli? – chciałem wiedzieć, i to szybko.

Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami i wykręcił gębę jak zmywak.

– Paul McCartney nie żyje – oświadczył. – W ogóle go nie ma na tej płycie.

Nie wierzyłem własnym uszom. Zmieniły się w lód. Odpadły. Ola i Gunnar przysunęli się bliżej.

– Umarł? Kiedy?

– Cztery lata temu. Miał wypadek samochodowy.

– Cztery lata temu? To znaczy, że nie grał też na *Sierżancie Pieprzu*? Ani na *Revolverze*? Puknij się w łeb, idioto!

Pelle przewrócił oczami, wziął do ręki jedną tabletkę i uniósł ją nad głowę.

– Mam w Stanach kuzyna, który zna jedną dziewczynę na Środkowym Zachodzie.

– Poprzednim razem to była dziewczyna, która miała kuzyna! – wrzasnąłem.

Pelle mi przerwał.

– Pisali o tym w gazecie, mały. Zginął w wypadku samochodowym w sześćdziesiątym piątym. Znaleźli podobnego do niego chłopaka i go zaangażowali.

– Takiego, który potrafi śpiewać identycznie jak Paul? Kompletnie zdurniałeś?

– To załatwiają chłopaki w studio, głąbie. Odpowiednie zniekształcenia i w ogóle.

Spokój Pellego działał mi na nerwy. Widziałem po nim, że w tyłku ma jeszcze asa pik.

Położył obwolutę przed sobą na podłodze.

– Spójrz tutaj, *mister*. McCartney jest mańkutem, prawda? Myślisz, że mańkut trzymałby papierosa w prawej ręce? Poza tym idzie nie do taktu z resztą. Widzisz? No i uważaj teraz, bracie. Jest b o s y. A to stary symbol umarłych. Jeszcze z czasów wikińskich, bracie.

Rozejrzał się triumfalnie. Oczy mi płonęły jak suchy lód, nie mogłem wydusić z siebie ani słowa.

Pelle pstryknął palcami.

– Jeszcze spójrzcie na ciuchy. John jest w bieli, jak pastor, Ringo w czarnym garniturze, to żałobne ubranie, a George w stroju roboczym, bo jest grabarzem.

Pelle obrócił tabletkę w dłoni.

– I przyjrzyj się temu garbusowi. Uważnie spójrz na tablicę rejestracyjną, człowieku! 28 IF, czarne na żółtym. Paul miałby dwadzieścia osiem lat, gdyby żył. No i co?

Musiałem przystąpić do kontrataku.

– Dlaczego to pokazują akurat teraz? – wydusiłem z siebie. – Skoro minęły już cztery lata!

– Dlatego, że Beatlesi już i tak są skończeni. Rozpadli się, człowieku. Nie dociera to do ciebie?

Gotów byłem udusić Pellego na miejscu, zedrzeć z niego szeroki skórzany pasek, którym tak szpanował, i powiesić go na nim na lampie.

– Poza tym – ciągnął Pelle – wcale nie pierwszy raz tak to demonstrują. – Ze stosu płyt wyciągnął *Sierżanta Pieprza*. Rozłożył i pokazał. – Widzisz ten znaczek na ramieniu Paula? OPD. Znasz angielski? Bo to znaczy *Officially Pronounced Dead*.

Skurczyłem się w sobie. Fajka zgasła. Głowę miałem jak smagany wiatrem płaskowyż. Krew pełzła przez ciało jak dżdżownica.

Pelle się roześmiał.

– Wydaje mi się, że potrzebujemy trochę pożywienia dla mózgu, moi drodzy.

– Co to jest? – mruknął Seb.

– Amfetamina – odparł szeptem Pelle. – Rozjaśnia w głowie i dodaje energii na całą dobę.

Przełknął tabletkę, pozostali Indianie wyciągnęli ręce. Seb też spróbował. Ola nie chciał, Gunnar ze złością patrzył na Pellego, aż w końcu się odwrócił, ja wziąłem tabletkę, połknąłem ją i szybko popiłem zwietrzałym piwem.

Potem w pokoju na długo zapadła cisza.

Na podłodze leżały nekrologi.

Gunnar po pewnym czasie sobie poszedł, Ola za nim. Ja też wstałem i poczułem się tak, jakby głowa została na dole. Musiałem ją podnieść, ale nie udało mi się jej położyć na właściwym miejscu.

Pobiegłem za Gunnarem i Olą. Czekali w windzie. Na ścianie było lustro. Zobaczyłem, jak wchodzę do metalowej klatki, Gunnar nacisnął na parter, a kiedy winda ruszyła, zacząłem rozmywać się po ścianach, rozpływać na wszystkie strony, znikać ze zmatowiałej powierzchni lustra.

Lęk uderzył we mnie jak tępa siekiera.

– Jestem tu? – spytałem.

Gunnar i Ola tylko się na mnie gapili.

– Jestem tu?! – wrzasnąłem.

Gunnar wyciągnął mnie na ulicę. Zimny wiatr ugniatał mi twarz i dodawał lękowi skrzydeł. Puściłem się biegiem. Ruszyli za mną i mnie przytrzymali.

– Cholera, ale z ciebie baran! – syknął mi wprost do ucha Gunnar. – Dlaczego musiałeś koniecznie łyknąć tę pieprzoną tabletkę?

Ola wyglądał na bardzo zdenerwowanego, w każdym razie nie stał spokojnie, tylko biegał wokół mnie.

– Wyrzygaj to! – nakazał Gunnar. – Postaraj się to wyrzygać, do jasnej cholery!

Włożyłem palec do gardła, chlusnęły piwo i herbata. Spróbowałem jeszcze raz. Kwas żołądkowy zapiekł w gardło.

Gunnar walnął mnie w plecy, osunąłem się po słupie latarni. Podnieśli mnie.

Zaczęli mnie prowadzić w kierunku domu.

– Trzeba skończyć z tymi jazdami u Seba – powtarzał przez cały czas Gunnar. – Pelle to reakcyjny bałwan.

Miasto i wiatr owiewały mi skórę, wszystko dookoła wydawało się takie bliskie, takie wyraźne. Czułem się, jakbym się budził, zbliżaliśmy się do Skillebekk, a do mnie ziemia przybliżała się z nową wyrazistością, jakbym potrafił dojrzeć wszystko. Pomyślałem, że puszczenie pawia pomogło. Jakby umyło głowę, wyszorowało oczy. Prawie uwierzyłem w Boga. Wszystko wydawało się takie mocne, jakby ktoś podkręcił głośność świata i wyostrzył obraz. Rany!

Zatrzymaliśmy się na Solli.

– No i jak się czujesz, ty świnio? – spytał Gunnar.

– Świetnie. Całkiem dobrze.

Objąłem ich, uściskałem mocno.

Poszedłem do domu sam. Ojciec siedział w salonie z Pymem. Postanowił, że nauczy go mówić.

– Jak ci dzisiaj poszło na kółku teatralnym? – spytała mama.

– Super – powiedziałem.

Nie miałem siły jeść kolacji i od razu się położyłem. Wszędzie tykały zegary. Słyszałem nawet ręczne zegarki rodziców. Siekały czas na kawałki, musiałem zatkać uszy, zakopać się w poduszkę, owinąć kołdrą czaszkę.

Odgłosy coraz bardziej się wzmagały.

A ja byłem coraz przytomniejszy.

Czułem się jak stary, bezsenny materac, z którego jedna po drugiej wyskakują sprężyny, zawodząc zardzewiałym, przenikliwym dźwiękiem. Biegałem wokół samego siebie, okrążałem potężną, niepojętą pustkę: bezsenność. Na WF-ie przelatywałem nad kozłem, ale w pół skoku zapominałem, co robię, i opadałem okrakiem na skórzany grzbiet. Potem wspinałem się na linę jak wystraszona małpa, ale gdy dotykałem głową sufitu, zapominałem, gdzie jestem, i zsuwałem się, spalając sobie skórę na dłoniach. Nie mogłem zasnąć, ale utrzymywała mnie nieustająca aktywność, odrabiałem lekcje jak nigdy wcześniej, ale kiedy przedarłem się

przez pół strony w podręczniku, okazywało się, że nic nie pamiętam, że mam kompletną pustkę w głowie, więc zaczynałem czytać kolejną książkę, i tak to było. Sprężyny sterczały zewsząd, z oczu, uszu, nosa i ust, zardzewiała, przenikliwa muzyka nie dawała mi zasnąć, zmrużyć oka przez kolejne noce. Nie zasypiałem nawet na lekcjach. Życie pędziło w tempie siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę, a którejś nocy, kiedy leżałem, czując na ciele nacisk całej planety, cuchnącej, spoconej, wstrętnej planety, przypomniał mi się ten sen, który przyśnił mi się latem sześćdziesiątego piątego roku, gdy mama urządziła bal przebierańców, gdy stanęła naga i wystraszona na zimnej podłodze. Śniło mi się, że umarłem. Że leżę w trumnie i czuję, że opadam. Odsunąłem planetę na bok i podniosłem się z łóżka, ociekający potem, zardzewiały, z lękiem w sercu obracającym się jak kołowrotek. Zacząłem szukać kolejnych oznak, coraz głębiej zapadałem się w nierzeczywistość, spowijającą mnie jak brudne prześcieradło.

Przesłuchałem wszystkie płyty Beatlesów, jakie miałem, czyli wszystkie. Przeczesałem je wzdłuż i wszerz, spisałem teksty i je też przesiałem, przestudiowałem okładki, posługując się lupą filatelistyczną, przygotowałem cały album ze zdjęciami Paula przed i po sześćdziesiątym piątym. Szukałem i znalazłem. Stałem w płynącej wściekłym nurtem rzece i wyławiałem z niej gwoździe do trumny. Na *Sierżancie Pieprzu* Paul stał tyłem. Na grobie leżała gitara basowa dla leworęcznych. Wrak samochodu stał w płomieniach. Pastor trzymał nad nim dłoń w geście błogosławieństwa. Na *Magical Mystery Tour* George, John i Ringo mieli wpięte w klapy czerwone goździki, a Paul czarny. Na *Revolverze* Paul jako jedyny został przedstawiony tylko z profilu. John na *Come Together* śpiewał *One and one and one is three*. Jednego brakowało. Jednego nie było. Godzinami stałem przed lustrem, przyglądając się własnej twarzy. Wszędzie miałem zdjęcia Paula McCartneya. Tak mijała ta jesień. Mróz bez śniegu trzeszczał na ulicach. Ciągnęło od okna. Pot zamarzał na skórze, tworząc na niej krę, chłód z wolna przenikał mnie całego, zamrażał do samego środka.

Gunnar wpadał z błyskawicznymi wizytami. Dostarczał kolejne ulotki. Stosy w szufladzie rosły, niedługo mogły przestać się tam już mieścić.

Któregoś wieczoru, kiedy pędził jak łódka z motorkiem na gumkę na jakieś kolejne zebranie, zatrzymałem go.

– Co tam u Seba? – spytałem. Ledwie mogłem mówić, zęby mi dzwoniły jak pingwinowi.

– Zdaje się, że jakoś leci. A ty co, przeziębiony jesteś?

– Dalej bierze te prochy?

– Nie mam pojęcia, co on robi. Ale w każdym razie wiem, że powinien przyhamować, i to niedługo. Pelle to świnia.

Gunnar znów szedł już do drzwi. Zatrzymałem go.

– Myślisz, że te tabletki były niebezpieczne?

Uchwycił moje spojrzenie.

– No, raczej to nie pastylki na gardło.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, przelotnie.

– Zbierasz jeszcze autografy? – spytałem.

– Nie poddam się, dopóki nie będę miał Mao.

Postaliśmy trochę, pogadaliśmy. Pomyślałem o pastylkach IFA i pornosie.

– Mogę ci dać autograf Lin Piao. – Zaśmiałem się.

– Już mam, ty świnio! – Gunnar zarechotał. – Drugi raz mnie nie nabierzesz!

Położył mi rękę na ramieniu, ale szybko ją zdjął i przyciągnął do siebie, jakby zmarzł.

– Przecież ty nie tolerujesz nawet alkoholu, Kim. Zostaw to draństwo. Przyrzekasz?

Spojrzałem mu w oczy.

– Tak – powiedziałem.

– Rozdaj te ulotki przed sobotą! – zawołał i już go nie było.

Nie miałem w sobie ani trochę spokoju, byłem równie zajęty jak Gunnar. Tylko że Gunnarowi coś z tego wychodziło, kręcił powielaczem i miał jakiś cel, a ja jedynie krążyłem w koło, byłem karuzelą wokół lustra, bezsennością, gramofonem i lękiem. Na przerwach nie mogłem ustać

spokojnie, wędrowałem po Gyldenløves gate, usiłowałem znaleźć spokój przy fontannie, przy zabitej deskami, zamarzniętej fontannie. Raz, kiedy tam siedziałem, podszedł Jørgen.

– Opuszczasz próby – powiedział cicho.

– Nie mam czasu – odparłem.

Ze śmiechem zmierzwił mi włosy.

– Następnym razem musisz przyjść. – Nagle spoważniał. – Będziemy czytać całą sztukę.

Zapaliłem papierosa i zacząłem gadać:

– Napisałem list do jednej dziewczyny. Do Niny. Ma na imię Nina. Chodziłem z nią kilka lat temu. Nie odpisuje. Ale wcześniej przysłała mi mnóstwo listów, na które ja nie odpisałem. Myślisz, że to może być zemsta?

Jørgen posmutniał. Przez twarz przeleciał mu cień, który jednak powoli się rozwiał.

– Na ferie świąteczne jadę do Anglii – powiedział.

– Fajnie. Do Liverpoolu?

– Do Londynu. – Splótł palce i nachylił się nade mną. – Trochę się tego boję.

– Mogłaby odpisać, do diabła. Napisałem c z t e r y listy!

– Można się jednocześnie cieszyć i smucić – stwierdził Jørgen.

– Jasne – przyznałem. – Pewnie. Przecież wszystko na tym polega.

– Kochasz tę Ninę?

– Tak.

– Na pewno napisze, skoro ją kochasz.

– Jedziesz do tej Anglii?

– Tak. – W głosie Jørgena zabrzmiał niemal smutek.

– Napoleon nadciąga! – zawołałem.

Zadzwonił dzwonek, więc pobiegliśmy z powrotem do kredy i mokrej gąbki.

W pewien piątek urwałem się z dwóch ostatnich lekcji i wybrałem do Liceum Eksperymentalnego. Przeczytałem bardzo dokładnie wszystkie

teksty na *Białym albumie* i w mózgu stanęła mi w poprzek linijka z *Glass Onion*: *The Walrus was Paul*. Przewertowałem wszystkie leksykony w Bibliotece Deichmana i dowiedziałem się, że *walrus,* mors, to stary symbol śmierci. Zmroziło mnie aż do dna. Byłem pełen skamielin i zakrzepłej energii. Jedyne, co we mnie żyło, to lęk. Pognałem na Akersgata i zastałem Seba w świetlicy. Przed nim stała dziewczyna i wrzeszczała:

– Jesteś dupkiem! Jesteś pieprzonym dupkiem!

Seb usiłował ją uspokoić. Dziewczyna uderzyła pięściami w pianino i okręciła sobie szyję szalem.

– To t y wszystko psujesz! – krzyknęła. – Psujesz wszystko całej szkole!

– Robię, co chcę – powiedział Seb.

– Ale nie tutaj! Tu jesteś częścią wspólnoty. A kiedy jarasz skręty tutaj, psujesz wszystko nam wszystkim. Nie rozumiesz? Ministerstwo Oświaty i Bondevik szukają właśnie takich jak ty, żeby zamknąć szkołę!

Dziewczyna odwróciła się i wybiegła z sali. Seb dalej stał przy pianinie, w którym wciąż dźwięczał tamten nieprzyjemny ostry akord.

Zauważył mnie i ruszył w moją stronę.

– Wielki niszczyciel – warknął. – Zagramy na flipperze?

Udało mi się go posadzić przy brudnym stole. Piętro wyżej z gramofonu dudniła muzyka Led Zeppelin. Seb zwinął niezgrabnego skręta.

– Zestresowany czy jak? – spytał i zapalił. Żar z sykiem przesunął się w stronę warg.

– Kim była ta dziewczyna?

– Naczelna salamandra. – Roześmiał się.

Dziewczyna nagle znów się pojawiła. Czerwona na twarzy, wygrażała Sebowi zaciśniętą pięścią. Ale głos miała spokojny, mówiła wyraźnie.

– Na zgromadzeniu ogólnym podjęliśmy uchwałę, że w szkole nie będzie narkotyków, Seb. Dobrze o tym wiesz. Jeśli chcesz chodzić do parku, tam ćpać i zabijać swoje komórki mózgowe, to twoja sprawa, mimo że to cholernie głupio z twojej strony. Ale to, co robisz t u t a j, dotyczy nas wszystkich. Rozumiesz to, Seb?

Zaczerwienił się lekko pod puszkiem udającym brodę. Niezdrowa cera nabrała nieco przyjemniejszej barwy. Zmusił się do podniesienia wzroku na dziewczynę.

– Masz rację, Unni. Ty masz zawsze rację.

Uśmiech, pięść się roztopiła i Unni pogłaskała Seba po głowie, uściskała go i odeszła.

– Twarda sztuka – powiedziałem.

– Unni jest tu szefową. – Seb nachylił się nad stolikiem. – Ale co, dzieje się coś? Trema przed premierą? Siedzisz jak jo-jo.

W końcu zacząłem mówić.

– To, co ten cały Pelle powiedział tamtego wieczoru o tym, że Paul nie żyje, że umarł cztery lata temu, to było łgarstwo czy co to było?

Seb uruchomił uśmiech w rozmiarze king size i śmiech skroplił mu się między zębami.

– Chyba nie przyszedłeś, żeby mi powiedzieć, że ty też, stary Kim, dałeś się wpuścić w te maliny?

Również włączyłem uśmiech. Palce zmiąłem jak papier śniadaniowy.

– Pewnie, że nie. Tylko wydało mi się to niesamowite.

– I co, siedziałeś w domu i znajdowałeś nekrolog Paula na każdym pieprzonym krążku wydanym od czasu *Help*, tak?

Wzruszyłem ramionami.

– No, nie do końca. Ale trochę się nad tym zastanawiałem. Dziwna historia.

– Tutaj jest specjalna komisja, która sprawdziła wszystkie płyty i doszła do wniosku, że George najpewniej też już nie żyje. W przyszłym tygodniu biorą się do Johna. Najbardziej zatwardziali uważają, że z nich wszystkich tylko Ringo się urodził.

– To znaczy, że ty w to nie wierzysz?

– Daj spokój, Kim! Myślisz, że potrafią znaleźć kogoś takiego, ulepić mu gębę i zmienić głos? Człowieku, to taka reklama! Od razu idzie za tym forsa. Chyba w to nie uwierzyłeś?

Roześmiałem się głośno.

– No co ty, zwariowałeś?

W drzwiach błysnął pucołowaty policzek i wypatrzył Seba.

– Idziesz na norweski?

– Byłem w zeszłym tygodniu.

– Może przyjdzie Bjørneboe[6], ty debilu!

Seb się poderwał i ruszył do drzwi.

– Idziesz z nami? – zawołał do mnie.

Pobiegłem za nim. W korytarzu ściany pomalowane były w psychodeliczne figury. Wyglądały zupełnie inaczej niż rzeźnicze korytarze w szkołach Vestheim i Frogner.

– Nie mam czasu – powiedziałem.

Seb się zatrzymał.

– Wpadniesz któregoś wieczoru?

– Ta tabletka… – zacząłem. – Ta tabletka, którą przyniósł Pelle. Tobie już przeszło?

Seb spojrzał na mnie, przysunął się bliżej, uniósł mi powiekę i obejrzał źrenice.

– Czy mi przeszło? – spytał tylko.

– Przez ostatni tydzień czułem się okropnie.

Długo mi się przyglądał.

– Mówisz o tej tabletce od Pellego?

– No właśnie. Miałem nieprzerwany odlot.

Seb przełknął śmiech.

– To była tylko chinina, stary. Pelle łgał. Naprawdę tylko chinina. Kupujesz w aptece. Bez recepty.

Pobiegł korytarzem, gdzieś trzasnęły drzwi. Nieźle zakręciło mi się w głowie. Z naprzeciwka nadchodziły cztery rozchichotane dziewczyny z rękami oblepionymi mokrą gliną. Mogły ze mnie ulepić cokolwiek. Mogły zrobić ze mnie filiżankę, miseczkę, świecznik, włożyć do pieca i wypalić na wieczność. Po ich oczach poznałem, że mają na to ochotę. Szły w moją stronę z ociekającymi palcami, zgięte wpół, gotowe do ataku.

– Napoleon nadciąga! – zawołałem i pobiegłem do domu, wystraszony, wściekły, cholernie wściekły i wystraszony.

Kiedy wpadłem do mieszkania, mama stała w przedpokoju.

– Jørgen dzwonił – powiedziała, zanim ściągnąłem strój maskujący. – Prosił, żebyś nie zapomniał o dzisiejszej próbie.

– Pamiętam, pamiętam.

– Denerwujesz się przed premierą?

– Przecież premiera będzie dopiero po świętach!

– Na scenie musisz mówić wyraźniej, Kim.

– Nie będę stał na scenie. Ta krowa wymyśliła, że mam stać na sali i stamtąd wygłosić swoją kwestię.

Ruszyłem do pokoju. Mama szła za mną.

– Przyszedł do ciebie list – powiedziała.

Krew odpłynęła od szarego nieboskłonu czaszki. Za dużo wszystkiego jak na jeden dzień. Nogi ugięły mi się w kolanach.

– List – jęknąłem.

– Położyłam ci na biurku.

Z wysiłkiem tam doczłapałem. Leżał przy moich książkach. Wielka, gruba koperta z duńskimi znaczkami. Moje nazwisko wypisane na maszynie. Już wiedziałem, że stało się coś złego. Krew zaczęła mi zastygać, w ustach tworzyły się skrzepy.

Otworzyłem kopertę.

Ze środka wypadły wszystkie moje listy. Dużo listów. Nieotwartych. W końcu znalazłem zapisaną pismem maszynowym kartkę. Na górze w rogu był nadruk. Ambasada Królestwa Norwegii, Kopenhaga. Na samym dole nazwisko jej ojca. Czytałem powoli. List nie był długi. Ojciec Niny pisał, że Nina na początku lata wyjechała za granicę, do Paryża, z przyjaciółmi. Jeszcze nie wróciła do domu. Dostali list z Turcji, w którym informowała, że jedzie na Wschód, może do Afganistanu. To było dwa miesiące temu. Więcej żadnych wiadomości od niej nie mieli. Poproszą, żeby się do mnie odezwała, kiedy wróci do domu albo kiedy się dowiedzą, gdzie jest.

Siedziałem na podłodze. Zwiędłe dzikie wino drapało w szybę. Kiedy przymykałem powieki, stawała mi przed oczami, chuda, uśmiechnięta,

z zębami błyskającymi za pełnymi czerwonymi wargami. Stała mi przed oczami, a była teraz gdzieś daleko w świecie i nikt nie wiedział gdzie.

Zamknąłem oczy jeszcze raz, wiatr zatrząsł szybą, już zapomniałem, jak on wyglądał. Zapomniałem, jak wyglądał Paul McCartney, wiedziałem, że ten czas już minął, Beatlesi się rozpadli, sprawa była jasna, nigdy więcej nie stanę przed lustrem, nie rozluźnię powiek, nie wygnę brwi w łuk, nie będę udawał, że jestem mańkutem. To już minęło. Minęło.

Otworzyłem oczy i poczułem, że jestem śpiący, śpiący całym sobą, jakbym w ogóle nigdy w życiu nie spał, śpiący do szpiku kości.

Obudziła mnie mama. Kucała nade mną przerażona i szarpała mnie za ramię.

– Śpisz na podłodze! Chory jesteś, Kim?

Ocknąłem się. Listy. Pozbierałem je i wyciągnąłem szufladę. Nie mieściły się tam, bo szuflada była wypchana ulotkami, więc wsadziłem je do sąsiedniej.

Pym i ojciec w salonie rozmawiali, mama była przy mnie.

– Musisz się pospieszyć – powiedziała. – Próba zaczyna się o siódmej!

Na dworze panowała dziwna pogoda. Niebo zabarwione obcym światłem, powietrze wydawało się naładowane, jakby w każdej chwili miało eksplodować, drżało w tym dziwnym, niebieskim, padającym z góry świetle. Od czasu do czasu ulicami przelatywał gwałtowny podmuch wiatru, z wyciem odrzutowca. Potem znów zapadała cisza, ale czułem się, jakbym się czołgał przez lufę armaty już po zapaleniu lontu.

Pojawiłem się w sali gimnastycznej ostatni i cycata Minni zaczęła na mnie krzyczeć, gdy tylko stanąłem w drzwiach.

– Uważasz, że to w porządku, że cała trupa musi na ciebie czekać?! – krzyknęła.

– Nie – powiedziałem i poczułem, że ten dzień naprawdę zaczyna mnie już przerastać.

– A mogę spytać, czy zamierzasz przyjść na premierę?

– Postaram się.

Rozłożyła ręce i uśmiechnęła się złośliwie.

– Doprawdy, Kim, sprawiłeś mi ogromną ulgę.

W końcu zaczęliśmy. Minni przerywała mniej więcej przy co drugiej kwestii. Wyliczała kroki na podłodze, dyrygowała, artykułowała, jęczała, skreślała, dodawała, wrzeszczała, łajała i płakała. Dwie dziewczyny się załamały i szlochając, uciekły do szatni. Wydaje mi się zresztą, że widziały coś podobnego na filmie. Zostały na powrót zwabione pochlebstwami i coca-colą, no i trzeba było zacząć od początku. Ja w każdym razie wywrzeszczałem swoją kwestię w odpowiednim momencie, ale ta wiedźma nie była zadowolona z mojego tonu, musiałem bardziej się wczuć w historię narodu rosyjskiego, w okrucieństwa wojny, w chłód Syberii i lęk matek; w moich dwóch słowach miały się zawrzeć stulecia cierpień. Po tym, jak wywrzeszczałem „Napoleon nadciąga!" dwudziesty trzeci raz, poczułem, że kompletnie mnie to nie obchodzi, zabrałem kurtkę i wyszedłem. Sądzili zapewne, że wrócę, więc trupa zbytnio się nie przejęła. Ale ja nie wróciłem. Wyszedłem na ulicę, wiatr zerwał się już na poważnie, gnał przez miasto, dosłownie wepchnął mnie z powrotem do bramy, musiałem z niej wypełzać na czworakach i ledwie udało mi się wyprostować. Piekło w oczach, wyło w uszach, napiąłem mięśnie brzucha, zasłoniłem twarz i zanurkowałem w wiatr.

Dojście do fontanny zajęło mi co najmniej pół godziny. Tam położyłem się pod osłoną muru i szesnastą zapałką udało mi się wreszcie zapalić papierosa. Nigdzie nie było widać żywej duszy, tylko jakiś pudel śmignął mi przed oczami, czarny kłębek. W alei wiatr przyciskał drzewa do ziemi, latarnie, błyskając dziko, kołysały się w najróżniejsze strony, jak pijak usiłujący przyświecić sobie latarką. Gdzieś zabrzęczała stłuczona szyba. Powietrze było jednym wielkim zawodzeniem wiatru.

Podciągnąłem się na nogi i ruszyłem dalej, potknąłem się, zdmuchnęło mnie na trawnik. Przytrzymałem się trawy, kawałek się czołgałem, w końcu znalazłem oparcie dla stóp i wstałem. Między drzewami fruwała gazeta. Przypominała przedpotopowego ptaka. Przedostałem się w aleję i z trudem zacząłem się przemieszczać od pnia do pnia. Minęło już wpół do dziesiątej, kiedy stanąłem na Tidemands gate. Zawołałem ją po imieniu, chociaż wiatr dławił wszelkie dźwięki. Krzyknąłem jeszcze raz, ale nikt nie mógł tego usłyszeć, sam nie słyszałem. Czułem tylko, że gardło mi się zdziera, a bębenki miękko pulsują.

Osunąłem się na chodnik. Gwałtowny poryw wiatru obrócił mną, nie mogłem złapać oddechu, leżałem tylko z otwartymi ustami. Na ulicę przewróciło się drzewo, zmiażdżyło drewniany płot. Coś przeleciało obok mnie i walnęło w ścianę. Dachówka. To z domów sfruwały dachówki. Odłamek trafił mnie w czoło, poczułem, że coś ciepłego spływa po grzbiecie nosa. Zmusiłem się do wstania, osłaniając twarz rękami, próbowałem iść pod wiatr. Wtedy go zobaczyłem. Jørgen szedł przez wichurę z rękami w kieszeniach, pogwizdywał, jakby nic się nie zdarzyło, ani wtedy, ani teraz. Szedł na przekór wiatrowi bez najmniejszego wysiłku, przeskoczył przez zwalone drzewo, ostatni kawałek dzielący go ode mnie przebiegł.

– Tak sobie pomyślałem, że gdzieś tu cię znajdę – powiedział.

Obok niego przeleciała dachówka.

– Uważaj! – wrzasnąłem, odciągając go na bok.

– To tutaj mieszkała Nina, prawda? – spytał, patrząc na wielką drewnianą willę stojącą w ciemnościach w zarośniętym ogrodzie.

– Najgorsza pogoda, z jaką miałem do czynienia! – krzyknąłem. – Chyba w całym mieście nie ma prądu!

Jørgen spojrzał na mnie.

– Wrócisz, prawda? Do kółka teatralnego.

Kiwnąłem głową i poczułem, że wiatr o mało nie wyrwał mi z niej oczu.

Położył mi rękę na ramieniu i mówił na przekór wichurze, jakby wiatr w ogóle na niego nie działał:

– Ty zawsze wracasz, Kim, prawda?

Zapiekło mnie pod powiekami. Przestałem widzieć wyraźnie. Głowa opadła mi do przodu, oparłem czoło na piersi Jørgena. On położył mi dłoń na karku, tak trzymał. Poczułem jego policzek przy swoim, jego usta, objąłem go, staliśmy w tej wichurze, a ja wypłakiwałem się Jørgenowi w pierś.

LET IT BE
WIOSNA/LATO ’70

Rosyjski mundur z samodziału potwornie gryzł, był gorszy niż tarzanie się w nasionkach dzikiej róży. Pot z hukiem lał się po plecach, serce dziobało, nerwy zaczynały się supłać. Siedziałem samiuteńki w szatni i czekałem na hasło, bo cycata Minni wymyśliła oczywiście, że mam wejść zza publiczności, przebiec środkiem, wywrzeszczeć swoją złowróżbną wieść i zniknąć za sceną. Słyszałem Jørgena mówiącego w sali, jego głos brzmiał czysto i wyraźnie, publiczność siedziała cicho jak myszy pod miotłą. Odpowiedziała mu Natasza, wyniosła arystokratka, usłyszałem szelest jedwabiu. Zajrzałem przez dziurkę od klucza, widziałem wszystkie nieruchome głowy w rządkach, jak kury na grzędzie. Scenę zaciemniono, ktoś się potknął, w końcu znów rozbłysnął reflektor i w kręgu światła pojawił się Napoleon, blady, tłusty chłopak z matowym spojrzeniem, dostał tę rolę, ponieważ był najmniejszy w całej szkole, miał metr pięćdziesiąt dziewięć. Stał z ręką na piersi, w tym idiotycznym kapeluszu przypominającym statek, a w tle Jan Johansson grał *Pieśń burłaków znad Wołgi*. Wróciłem na ławkę. Nerwy nie wytrzymywały. Na szczęście zaopatrzyłem się w kilka roboczych piw. Otworzyłem jedno eksportowe i wypiłem. Nie pomogło. Opróżniłem kolejne. Jeszcze tyle czasu do mojego wejścia. Po trzecim powoli zacząłem się uspokajać. Nerwy się poluzowały. Tylko ten samodział nadal gryzł. Musiałem się wysikać. Piwo jedynie w znikomym stopniu szło do głowy, cała reszta trafiała prosto do pęcherza. Miałem jeszcze dużo czasu, więc poszedłem do kibla. Tam czekała mnie straszna robota z rozpięciem rosyjskiego rozporka. Co najmniej dwadzieścia metalowych guzików, które trzeba było powyciągać z dziurek, a jeszcze gorsze okazało się ich zapinanie. Ogarnęła mnie panika. Zapinałem się i szarpałem, skóra mnie swędziała, całe krocze. Ciężkie skórzane buty wydawały się jak z żelaza. Wreszcie udało mi się zapiąć i pognałem do szatni, zatrzymałem się, nic nie słyszałem, w sali nikt nic nie mówił, tylko nad rzędami krzeseł niósł się lekki szum, jakby głuche

mamrotanie. Zajrzałem przez dziurkę. Cała trupa czekała, zerkając na siebie nerwowo, czekała na mnie, serce mi podskoczyło jak łosoś w strumieniu, więc wziąłem oddech, ścisnąłem w ręku szablę i mocnym szarpnięciem otworzyłem drzwi.

Później niewiele już pamiętam, ale musiałem chyba zrobić pewne wrażenie, bo cała sala wrzasnęła chórem, a w tylnych rzędach o mało nie wybuchła panika. Wywrzeszczałem swoją okrutną nowinę i skryłem się za sceną. Terje, oświetleniowiec, cucił mnie piwem, uparcie twierdząc, że moja kwestia musiała pozostawić ślad na sejsmografie w Bergen i że już zapewniłem sobie Oscara za najlepszą męską rolę drugoplanową.

– Przecież to za film, ty durniu! – zawołałem po cichu.

– Wszystko jedno, Igor, ale statuetkę Eli dla teatrzyków szkolnych na pewno dostaniesz.

Potem Jan Johansson zagrał *Podmoskiewskie wieczory*, na sali gimnastycznej się ściemniło, teatralni niewolnicy mieli wnieść różową kanapę, potknęli się o jakiś kabel, polecieli na gęby, ale dali radę, poszli dalej i wrócili, też się potykając. Pojaśniało, Pierre mówił o swojej wielkiej miłości, Natasza płakała, ludzie na sali też zaczęli pociągać nosami, zwłaszcza jedna osoba, z pewnością moja mama, aż się skuliłem nad piwem. No i zaraz było już po wszystkim. Światło nad ciałem Pierre'a przygasło, cisza potrwała kilka sekund, aż w końcu gruchnęły ogłuszające oklaski, a my rzuciliśmy się sobie na szyję. Trup zlazł z kanapy, zanim znów zapaliło się światło, i stanęliśmy rzędem na scenie, trzymając się za ręce. Runął na nas grzmot oklasków i oślepiły nas flesze światowej prasy. Dostrzegłem mamę, w pierwszym rzędzie, promieniała, nie widziałem jej takiej od czasu *Branda*. A na samym końcu siedzieli Seb, Gunnar i Ola, śmiali się i gwizdali. Musieliśmy wychodzić kłaniać się pięć razy, zanim te kozaki wreszcie ustąpiły.

Później była impreza popremierowa u Minni, w wielkiej chacie na Bygdøy allé. Starałem się nie wystawiać nosa, pilnowałem obciążników, ostrożnie stąpałem z dużym piwem, w pełnym skupieniu, jakbym dalej grał jakąś rolę. Pilnowałem tego, co mówię, pilnowałem swoich myśli, m y ś l a ł e m o swoich myślach. To było dziwaczne, ale śmiertelnie się bałem, że fiknę koziołka i nabiorę rozpędu. Wieczór mijał spokojnie, ktoś zasnął w kącie, Natasza szepnęła mi do ucha coś, czego nie dosłyszałem,

głośno się roześmiała i zaraz zniknęła w innym pokoju w tej swojej szerokiej, szeleszczącej sukni, jakby wchodziła w obraz namalowany w poprzednim stuleciu. Zobaczyłem, że Minni przypiera Pierre'a do ściany, potem gwałtownie się odwraca i znika. Usiadłem w fotelu, znalazłem niedopite piwo, zapaliłem papierosa i patrzyłem na Pierre'a, który ciągle stał przyklejony do ściany. W końcu się uśmiechnął i podszedł do mnie.

Od tamtego sztormowego wieczoru prawie nie rozmawiałem z Jørgenem, on zresztą jakby się zmienił od powrotu ze świątecznych ferii, które spędził w Anglii. Teraz przysiadł na podłokietniku i położył mi rękę na ramieniu. Miałem ochotę z nim pogadać.

– Dobrze poszło – powiedziałem.

Kiwnął głową. Ktoś zaczął brzdąkać na pianinie.

– Będziesz zawodowcem – stwierdziłem.

Nie odpowiedział, tylko potarł dłonią o moje ramię.

– Właściwie jak było w Londynie? – spytałem.

Rozejrzał się szybko, jakby się bał, że ktoś może usłyszeć.

– Fajnie – odparł prędko. – Super.

Chwilę tak siedział, patrząc na mnie z góry.

– Zakochałem się tam – szepnął.

Lekko szturchnąłem go w brzuch.

– No to nieźle – powiedziałem. – Jak ona wygląda?

Obrzucił mnie smutnym spojrzeniem, potem wstał i przeszedł do innego pokoju. Zostałem sam z pustą butelką. Nagle poczułem mdłości.

Ktoś chciał, żebym zaśpiewał. Odmówiłem. Dziewczyny błagały na kolanach. Dalej odmawiałem. Napoleon zażyczył sobie, żebym wspiął się na dach, wystarczyło chwycić się rynny na werandzie. Czułem już, że mną trzęsie. Chcieli mnie namówić do robienia różnych dziwnych rzeczy. Przewróciłem lampę, w końcu poszedłem do kibla, zamknąłem drzwi na klucz i oparłem czoło o chłodne kafelki. Nagle za plecami usłyszałem odgłosy fal i lata. Odwróciłem się. Wanna była pełna wody i piany. Dopiero po chwili dostrzegłem w niej Minni. Leżała wyciągnięta, z szerokim uśmiechem i zamkniętymi oczami, jej piersi unosiły się w wodzie jak piłki plażowe. Nie utopiła się, bo mnie zagadnęła:

– Ty się przyjaźnisz z Jørgenem, Kim, prawda?

Już zacząłem mocować się z zamkiem, ale się zaciął. Samodział jeszcze się zbiegł i gryzł coraz bardziej.

– Tak, kumplujemy się.

Plusk i Minni wyjęła rękę z piany.

– Podejdź tutaj – powiedziała.

Nie podszedłem.

Otworzyła oczy i wwierciła je we mnie.

– No chodź – powtórzyła.

Zrobiłem to, co mi kazała pani reżyser. Chwyciła mnie za rękę i mocno przytrzymała. Zaraz pociągnęła ją ku sobie, a była silna, poczułem pod palcami letnią wodę, a potem miękką skórę, ale ona ciągnęła mnie dalej, wcisnęła sobie moją rękę między nogi.

W końcu mnie puściła.

Powoli wyciągnąłem ramię. Zmoczony mundur zrobił się ciężki.

Uśmiechnęła się.

– Powinieneś był mieć większą rolę, Kim. Odkryłam to dziś wieczorem. Powinieneś był mieć… większą rolę.

Uciekłem stamtąd jak najszybciej, śmiertelnie się bałem. Wysikałem się do zlewu w kuchni i schowałem w którymś z pokoi. Na gramofonie kołysał się wolno jazzowy utwór, na kanapie siedziały ciemne pary. Z ubrań sypały się iskry. Napiłem się z jakiejś butelki, poczułem palenie w gardle. Wódka. W momencie gdy zdecydowałem, że sobie stąd pójdę, pojawiła się przy mnie Natasza.

– Szukasz Pierre'a? – spytała szeptem.

– Wybieram się do domu – odpowiedziałem.

– On już dawno poszedł – mruknęła, nachylając się.

Znalazłem kanapę, przyszła za mną, usiadła obok.

– Masz zupełnie mokry rękaw – zauważyła.

– Papieros wpadł mi do butelki z piwem.

Roześmiała się i nachyliła jeszcze bliżej.

– Wcale nie jesteś taki szalony, jak mówią.

Odsunąłem się od niej i spadłem na podłogę.

– A kto tak mówi? – wydyszałem.

Zrobiła trochę nieszczęśliwą minę.

– Nikt – wyjąkała. – Nikt.

Wyszedłem. Na Bygdøy allé wystawy Bonusa świeciły się jasno jak w burdelu. Nie chciałem wracać do domu. Przedarłem się przez śnieg do hotelu Norum. Nacisnąłem dzwonek. Ola miał nocne dyżury trzy razy w tygodniu. Otworzył i zagapił się na mnie zapuchniętym spojrzeniem. Wreszcie jednak rozpoznał posłańca i gestem dał mi znak, że mogę wejść do środka.

– Jest trzecia. – Ziewnął.

– Masz piwo?

Powlókł się do piwnicy i przyniósł dwa pilznery. Za kontuarem miał rozłożone łóżko polowe. Usiedliśmy w saloniku. Wyjął z automatu wielbłąda.

– Najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem – oświadczył.

– Co?

– Ta sztuka, durniu! Przecknąłem się jeden jedyny raz, wtedy kiedy ty wpadłeś!

Zaśmiałem się w samodział. Zapaliłem kolejnego zwierzaka.

– Jak ci się układa z Vigdis? – spytałem.

Rozejrzał się, wystraszony, że na gorącym uczynku przyłapie go w środku nocy, w uśpionym hotelu, Kirsten, która była w Trondheim.

– W porządku – szepnął. – W porządku. Ale to Kirsten jest moją dziewczyną. Są wyraźne granice.

– To świetnie. Wyraźne granice. Gunnar też tak mówi.

Przez chwilę milczeliśmy. Czułem, że jestem pijany. Nic nie stało w miejscu. Ogarnął mnie lęk, chociaż nie było się czego bać, ale lęk pojawiał się teraz z góry i nie wiedziałem, za co będę musiał płacić.

Zdusiłem peta w popielniczce.

– Muszę się położyć – powiedział Ola. – Przedwczoraj zapomniałem zbudzić jednego Hindusa, który miał samolot do Madrytu. Usiłował mnie spalić żywcem.

– Jak myślisz... jak myślisz, co właściwie z nami będzie? – spytałem.

Ola spojrzał na mnie zdumiony. Przymknął jedno oko, uśmiechnął się kącikiem warg po przeciwnej stronie.

– To znaczy?

– Jak nam pójdzie?

Uśmiechnął się teraz również drugą stroną ust.

– Dobrze – powiedział. – Jakżeby inaczej?

Zawarczała centralka telefoniczna, zamrugała czerwona lampka, Ola podszedł do kontuaru, podniósł słuchawkę. Amerykański agent zażyczył sobie coca-colę.

Wygrzebałem się z powrotem na śnieg. W mieście panowała cisza morska. Stanąłem na środku Bygdøy allé w rosyjskim mundurze i wysokich czarnych oficerkach, wyciągnąłem szablę i z wrzaskiem rzuciłem się na Bonusa. Runąłem w zaspę prosto na gębę.

*

Przyszedł Gunnar, przyniósł jeszcze więcej ulotek. Szmuglował je najdziwaczniejszymi sposobami, przenosił w gazetach, w tygodnikach, w reklamówkach z Bonusa, w okładkach płyt, w ogóle zrobił się ostatnio sprytny, rozentuzjazmowany, sprytny i podejrzliwy. Idąc, przez cały czas oglądał się przez ramię, prawie nigdy nie odbierał telefonu. Ale sprawiał wrażenie zadowolonego, w całej tej politycznej nienawiści, która wprost z niego parowała, dawało się zauważyć wyraźne szczęście, polityka naprawdę była jego żywiołem. Wydaje mi się, że był szczęśliwy. Wieczory spędzał na zebraniach Komitetu Solidarności z Wietnamem, chodził na spotkania koła Młodzieżówki Socjalistycznej, dyżurował na ich stoiskach, był członkiem samorządu szkolnego. Wpadał do mnie wyłącznie po to, żeby dostarczyć ulotki. Tym razem chodziło o plany Amerykanów związane z Laosem. Nie miałem już prawie miejsca na więcej. Szuflada była pełna. Natychmiast dopadła mnie bezsenność, myślałem wyłącznie o tych ulotkach, których nie rozdałem.

Gunnar wślizgnął się do mojego pokoju, upewnił, czy drzwi są zamknięte na klucz, zaciągnął zasłony i wyjął plik owinięty w papier

śniadaniowy.

– Najlepiej jutro – szepnął, jakby pod łóżkiem leżał gość ze służby bezpieczeństwa z obiektywem teleskopowym i magnetofonem.

– W porządku – powiedziałem. Czułem się obrzydliwie. Kłamanie gębą to jedno, kłamanie uczynkiem to coś znacznie gorszego. Nawet ja to rozumiałem.

Gunnar posiedział kwadrans i już musiał lecieć. Miał napisać do gazetki szkolnej artykuł o pięciodniowym tygodniu nauki i samodzielnym zgłaszaniu nieobecności.

– Co słychać u Stiga? – spytałem.

Nie chciał o nim rozmawiać.

– Pamiętasz Cecilie z Vestheim? – spytał, zamiast odpowiedzieć.

Popatrzyłem na niego pustym wzrokiem. Czy pamiętam Cecilie?

– Chyba tak – odparłem.

– Chodzi na spotkania tego samego koła naukowego co ja. Została naczelną gazetki szkolnej w Ullern.

– Cecilie?

Wyciągnął płachtę. „Ulke Hulke". Redaktor naczelna: Cecilie Ahlsen.

– I jest też w kole naukowym?

Gunnar kiwnął głową i przekartkował gazetkę.

– Tu jest niezły artykuł o Młodzieżówce Socjalistycznej i Mao. – Pokazał. – I o Norweskim Stowarzyszeniu Licealistów.

Cholera, najlepsza gazetka szkolna w mieście.

Musiał już lecieć. Ale nie wyszedł normalną drogą. Zszedł kuchennymi schodami i przelazł przez płot na podwórzu od tyłu. Zeskoczył po trzepaku sąsiadów i zniknął.

Tej nocy miałem gorączkę. Cecilie. Cecilie redaktor naczelna. Cecilie w kole naukowym. W głowie mi się kręciło. A w szufladzie płonęły ulotki.

Trzy dni później Gunnar wrócił. Oczy miał zmrużone, a dziesięć egzemplarzy „Klassekampen"[7] zawiniętych w „Aftenposten".

– Mógłbyś sprzedawać „Klassekampen" w szkole?

Zawahałem się. Wahałem się długo. Nie miałem już w sobie miejsca na więcej. Wszystko się zakleszczyło i zaczęło mnie przerastać.

Nagle Gunnar chwycił mnie za koszulę i przyciągnął do siebie.

– Nie rozdałeś ani jednej pieprzonej ulotki! – syknął. – Co? Mam rację?

Puścił mnie. Padłem na rozkładaną kanapę, storpedowany. Chciałem coś powiedzieć, ale Gunnar nie dał mi na to czasu.

– Gdzie je masz?

Wyciągnąłem trzecią szufladę. Ledwie się dała otworzyć. Gunnar zaczął wrzucać ulotki do torby. Wietnam. Strajk w Kirunie. Pięciodniowy tydzień. Racjonalizacja. Ministerstwo Oświaty. Laos.

– Wydawało ci się, że nas oszukasz?

– Nikogo nie próbowałem oszukać – usiłowałem się tłumaczyć.

– Aha, nie, a jak to nazwiesz? Usługami magazynowymi?

– Zgadzam się z tym, co jest w nich napisane. Nie mogłem się tylko przemóc, żeby je rozdawać.

Zabrzmiało to słabo. Byłem skończony.

– No wiesz, ale właśnie o to chodzi z ulotkami. Jeśli chcesz je po prostu p r z e c z y t a ć, to nie potrzebujesz pięćdziesięciu egzemplarzy każdej, co nie?

Nie miałem na to nic do powiedzenia. Byłem idiotą. Przyjąłem ochrzan.

Gunnar opróżnił szufladę do dna.

– Jesteś na mnie wściekły? – spytałem nieśmiało.

– To n a r ó d jest na ciebie wściekły – odparł Gunnar. – To n a r ó d jest tobą r o z c z a r o w a n y.

Kiedy wychodził, powiedziałem coś, co zrobiło ze mnie kompletnego dupka. Na zawsze wystawiło mnie na pośmiewisko.

– Nie mów nic Cecilie.

*

Nagle uświadomiliśmy sobie, że zbliża się matura. Nie bardzo jednak potrafiłem się skupić tej wiosny, nie mogłem przy tych myślach o Ninie, o tym, że nikt nie wie, gdzie jest Nina, przy myślach o Cecilie, o redaktor

naczelnej Cecilie w kole naukowym, głowę miałem za ciasną na takie myśli, nie mieściły mi się w niej. Gdyby poślubiła Kårego Pajaca albo zgłosiła się do debla mieszanego z Pederem w mistrzostwach Norwegii, nic bym nie powiedział. No ale to? Moja głowa tego nie obejmowała. Cecilie i Nina. Czasami śniło mi się, że Nina biegnie przez pustynię. To był bezdźwięczny sen, ale po jej twarzy widziałem, że jest bliska śmierci z pragnienia. Niekiedy w takie noce sam musiałem wstać, żeby napić się wody. Jørgen jakby oddalił się ode mnie, rzadko się z nim widywałem. I jeszcze ten blamaż z Gunnarem. Oczy piekły, kiedy o tym myślałem. Byłem upokorzony i zmiażdżony na proszek. Tęskniłem za Wielkim Czynem Rewolucyjnym, w którym mógłbym się odrodzić, zrehabilitować, oczyścić. Za Wielką Ofiarą. Marzyłem o wielkich rzeczach, nie o takich błahostkach jak granie w bramce drużyny narodowej, kiedy Norwegia prowadzi ze Szwecją jeden zero na Stadionie Ullevål, Szwedom przyznają karnego, a ja wyginam się jak banan pod kątem i wybijam piłkę palcem wskazującym. O nie. Ja marzyłem o tym, że morze wyrzuca mnie na brzeg w Wietnamie, zostaję żołnierzem Wietkongu i prowadzę towarzyszy broni do ostatecznej, decydującej bitwy z Amerykanami. Takie miałem marzenia. Albo że porywam Nixona i zmuszam go, by się przyznał, że jest imperialistycznym, faszystowskim szczurem, po czym on, nie stawiając żadnych warunków, podpisuje dokumenty kapitulacji. Takie miałem marzenia. Szansa jednak nigdy się nie nadarzyła, chociaż na komisji wojskowej starałem się jak mogłem, ale to jakby nie było brane pod uwagę, bo okazało się, że Gunnar mimo wszystko nie zamierza odmówić pójścia do wojska.

Dzień przed komisją siedziałem wieczorem w mieszkaniu u Seba. Byliśmy tylko we dwóch. W tle szeptał Jim Morrison, na stole leżało sto sześćdziesiąt teddych, trzy białe wina domowej roboty stały na podłodze, a w kieszeni Seb miał soczystą mieszankę.

– Co jest, do diabła! – wrzasnąłem. – Gunnar jednak nie zamierza się uchylać od woja?

Seb pokręcił głową.

– Nowa linia. Chłopaki chcą iść w kamasze. Będą działać od środka.

Zapaliłem teddy'ego. Palce już miałem ciemnożółte. Ten ohydny wskazujący był brązowawy i nieprzyjemnie cuchnął.

– Zaczyna mnie boleć gardło – jęknąłem.

Seb nalał wina. Było dość mętne, miało smak piasku.

– Nie ma co u d a w a ć, że ci się trzęsą ręce – powiedział. – To nie są głupki, chociaż generałowie.

Popatrzyłem na swoją rękę. Trochę drżała. Za mało. Siedzieliśmy tak co wieczór już od dziesięciu dni. Kręciło mi się w głowie. Seb wyglądał, jakby miał żółtaczkę, migrenę i obustronne zapalenie płuc jednocześnie.

– Chyba łatwiej włożyć damską bieliznę – wybełkotał. – Wywalają cię w sekundę.

– O nie, za diabła. Już raczej powiem, że sikam w łóżko.

Seb zmusił się do przełknięcia wina. Oczy wyszły mu na wierzch.

– To nie wystarczy. Biorą cię do koszar, żeby sprawdzić, czy to prawda. W pociągu też cię pilnują. Sprawdzają, czy sikasz.

Chwilę milczeliśmy. Seb puścił *Unknown Soldier*. Pomyślałem o Gunnarze, który mimo wszystko zamierzał iść do wojska. Popiłem wina. Poczułem pustkę i mdłości.

– Gunnar się zmienił – stwierdziłem.

– Tak myślisz? Ja tak nie uważam. Jest taki jak zawsze.

Puścił *Morrison Hotel*. Wysikałem się do umywalki. Seb przygotował fajkę wodną.

– Spotkałem Guri w zeszłym tygodniu.

– No i jak poszło?

– Poszło, jak poszło. Stałem z rozdziawioną gębą, nie miałem nic do powiedzenia. Idiotyczne, nie?

– Jest razem z tym Królem Slalomu?

– Cholera, a skąd mogę wiedzieć. Nie pytałem. Gówno mnie to zresztą obchodzi. Ale to dziwaczne, że nie daje się gadać z ludźmi, co?

– No.

– A kiedy ludzie gadają, to plotą tylko jakieś płytkie bzdury, o pogodzie, o cenach mleka i o telewizji. Na przykład matka. Od czasu kiedy ten dupek wpadł do klatki, liczy się tylko telewizja. Siedzą przy drinku i orzeszkach. Nieźle się uwalają. Niech to szlag.

– A miałeś jakieś wieści od ojca?

– Widziałeś *Easy Ridera*? Superfilm. Zdam egzamin czeladniczy i też zbuduję taki płaski motocykl. Pojadę nim na południe. Nie widziałeś?

– Nie. Nie mam siły na kino. To dla mnie najgorsze, co może być. Przejadło mi się, kiedy chodziłem z Cecilie.

Seb zapalił fajkę wodną, zabulgotało w niej mniej więcej jak przy zanurzeniu kalosza w bagnie. Podał ustnik mnie, przez chwilę siedzieliśmy zamyśleni.

– Cecilie jest, zdaje się, marksistką-leninistką – powiedziałem.

Seb zachichotał. Żółtym palcem przeciągnął po cienkich, jasnych wąsach, zwisających w kącikach ust.

– No to może w tym roku urządzić u siebie na Bygdøy letni obóz dla towarzyszy – wykrztusił.

Siedzieliśmy i bulgotaliśmy, Morrison śpiewał: *I'm a spy in the house of love*. Popłukaliśmy białym winem. Żołądek był jak suszarka bębnowa, w dodatku zardzewiała, w nieczynnej pralni, w wilgotnej, zapleśniałej piwnicy. Tak się czułem. Następnego dnia mieliśmy się stawić na komisji wojskowej.

– Myślisz, że damy radę?

– Jasne. – Seb wstał, zachwiał się na nogach, z powrotem usiadł.

– Na pewno?

– Tylko nie wolno się pogubić. Nie bierz ze sobą ręcznika. Nie bierz ze sobą wezwania. Odpowiadaj źle na każde pytanie. Od razu poproś o psychologa. Pewne jak w banku, Kim.

– Myślisz, że nam uwierzą?

Seb szeroko otworzył oczy.

– Czy nam u w i e r z ą? Chodzi o to, żeby nas nie c h c i e l i!

– Kiedy się kłamie, opłaca się trzymać prawdy – oświadczyłem nagle.

Przez następną godzinę Seb się nie odzywał. Wypaliliśmy fajkę, wypiliśmy wino. Dopiero wtedy powiedział:

– Cholera jasna, masz rację.

Powlokłem się do domu około drugiej. Miasto było zimne i szare. Ulice przeciągały się zaspane, otoczone inną poświatą teraz, gdy nie było na nich ludzi, niebo jakby cisnęło się do asfaltu. Byłem na nich sam. Przyszło mi do głowy, że mógłbym obudzić całe miasto krzykiem, wrzasnąć na całe gardło i zobaczyć, jak po kolei w oknach zapalają się światła, usłyszeć, jak wędrują w górę rolety, jak trzaskają drzwi, jak mężczyźni krzyczą, a woda leje się z kranu. Mogłem to zrobić. Mogłem całe to miasto obudzić wrzaskiem do życia. Nie zrobiłem tego. Odnalazłem Svoldergata, po cichu wemknąłem się do mieszkania, rodzice już dawno się położyli, ale mama nie spała, słyszałem, jak wierci się w łóżku, słyszałem, jak jej oczy wpatrują się w ciemność.

Nie kładłem się. Otworzyłem okno i wypaliłem resztę teddych. Spojrzałem na swoje dłonie. Były żółtobrązowe, brudne, drżały. Gdybym mógł wetknąć wycior do fajki w jedno ucho i wyciągnąć drugim, to okazałoby się, że moja dusza jest czarna i poplamiona. Tłuste włosy opadały mi na twarz. O czwartej zwymiotowałem na chodnik. O piątej po drugiej stronie miasta wstało światło, żółte migotanie, a może raczej białe, wznosiło się nad wzgórze Ekeberg i rozpościerało po niebie. Stałem w oknie i patrzyłem. Uświadomiłem sobie, że nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego. Dzień przyszedł jak przezroczysty, jaśniejący wachlarz i lekko zdmuchnął noc. Moja rozmiękła głowa była tym kompletnie przytłoczona. No ale tak pewnie bywa co rano.

Ze strychu przyniosłem należącą do ojca maskę przeciwgazową, model dla ludności cywilnej. Wyszedłem z domu. W twierdzy Akershus miałem się stawić za trzy godziny.

Usiadłem na ławce na promenadzie, wciągnąłem maskę. Trudno mi było w niej oddychać. Przejrzałem się w wodzie. Przypominałem kalekiego mrówkojada. Siedziałem tak i szukałem w sobie lęku. Ale byłem pusty. Myślałem o tym, jak stałem na dachu domu Cecilie, jak tańczyłem z kościotrupem, jak walczyłem z borsukiem. Lęk nie przychodził. Dopiero wtedy się przestraszyłem. Wyrzygałem resztki tego, co zostało mi w żołądku, miały szary kolor.

Za moimi plecami ruch na ulicach się wzmagał.

Po niebie przesuwały się dźwigi.

Spóźniłem się o kwadrans. Ubrany na zielono pajac zerwał mi maskę z głowy i wepchnął mnie do pokoju, w którym puszczono film, a przy ekranie stał ostrzyżony na jeża facet ze wskaźnikiem i pieprzył o możliwościach zdobycia wykształcenia w armii. Zdjęcia pokazywały fagasów, którzy siedzieli w biurze, kręcili radarami albo grzebali w odrzutowcu. W końcu zapaliło się światło i dostrzegłem Seba. Wyglądał jak kiepskiej jakości upiór. Za nim siedzieli Gunnar i Ola. Tylko kręcili głowami.

Potem rozdano nam plik kartek z pytaniami i krzyżykami. Dziwaczne. Samochód A wyjeżdża z Drammen o godzinie czwartej, a samochód B wyjeżdża z Oslo o piątej. Samochód A jedzie z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, samochód B sześćdziesięciu. Kiedy się spotkają? Napisałem na marginesie: Zderzą się czołowo w Sandvika. Dalej były figury, które należało ze sobą powiązać, testy na skojarzenia i inne mądrości. „Inspekcja". Co ci się z tym kojarzy? Badanie? Przesłuchanie? Tortury? Zaznaczyłem „Zwycięstwo na wyjeździe". Zaznaczyłem „Zwycięstwo na wyjeździe" w całym rządku. Zawsze to samo okienko. Dzięki temu arkusz z odpowiedziami wyglądał czysto i schludnie. Umiesz pływać? Nie. Hobby? Czy to się nigdy nie skończy? Nie. Odłożyłem kartkę na bok i zapaliłem papierosa. Natychmiast rzucił się na mnie spocony goryl i wyrwał mi go z gęby. Zrobiło się niezłe zamieszanie, w końcu wywalili całą naszą grupę na korytarz. Jakiś generał spytał mnie o ręcznik i wezwanie. Pokazałem mu maskę przeciwgazową. Zazgrzytał zębami. Posypały się na mnie iskry. Gunnar i Ola zniknęli w głębi korytarza. Cień Seba wszedł do jakiegoś pokoju. Mnie wepchnięto w inne drzwi. Stało tam już co najmniej dwadzieścia obwisłych ciał. Złapałem kogoś ubranego. Cofnął się pod wpływem mojego oddechu.

– Muszę do psychologa – szepnąłem. – Muszę do psychologa.

Uspokoił mnie, poklepując po przyjacielsku, całkiem od tego zmiękłem w środku. No proszę, tutaj też są ludzie. Obejrzał mnie od góry do dołu i zrobił szczerze zmartwioną minę. Zostałem stamtąd wyprowadzony i kazano mi czekać. Wypaliłem cztery zwykłe skręty jeden po drugim. Dym zapiekł w oczy. Łzy mi popłynęły. Facet wrócił. Na pewno był zaledwie kapralem, może nawet szeregowym albo po prostu dozorcą, ale w każdym razie sympatyczny.

– Płaczesz? – spytał.

– Tak – powiedziałem.

– No to chodź.

Zaprowadził mnie do wielkiego gabinetu, w którym za biurkiem siedział bogato udekorowany olbrzym. Przysiadłem na krześle i wbiłem wzrok w podłogę.

– Co się z tobą dzieje? – spytał. Głos miał zaskakująco miękki. Spodziewałem się świdra elektrycznego, a to była dobranocka.

Nie dałem rady odpowiedzieć.

Generał pochylił się nad wypolerowanym do połysku biurkiem.

– Za dużo palisz – skonstatował.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Zaczęła mnie swędzieć głowa. Podrapałem się, drapałem szponami jak orzeł, on tylko na mnie patrzył.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – To jedynie formalność.

Otworzyły się drzwi i mój kapral wyprowadził mnie do poczekalni u lekarza. Trzy kąty już były zajęte przez trzech chłopaków. Usiadłem na środku, na podłodze.

Kwadrans później zostałem wezwany do gabinetu. Lekarz popatrzył na mnie zimnymi oczami.

– Zażywasz haszysz? – spytał.

Nie odpowiedziałem.

Sprawdził mi puls, ponaciskał nerki, napisał coś na kartce i mi ją dał.

– Przekaż to psychologowi – polecił i przez interkom wywołał inne nazwisko.

Kapral zaprowadził mnie dalej. Przeczytałem tę kartkę. „Problemy z narkotykami. Silne cechy neurotyczne". O rany. Zacząłem się na poważnie denerwować. Zorientowałem się, właśnie w tym miejscu, w tym śmierdzącym korytarzu, z wesołym kapralem u boku, że już niczego nie udaję, że sytuacja jest poważna, przekroczyłem jakiś próg, przeszedłem ze swojego pokoju do ich pokoju, a z tego pokoju pragnąłem się wydostać, i to jak najszybciej.

– Na pewno wszystko będzie dobrze – pocieszył mnie kapral.

Psycholog był dość młody i pełen zapału. Przeczytał kartkę, spojrzał na mnie. Nie patrzyłem na niego. Ptak rozbił się o szybę. Psycholog się nie spieszył, zaczął chodzić po pokoju, poprawił sznurowadła, wyprostował krzywo wiszący obraz, stanął za mną, w końcu usiadł.

– Kiedy się urodziłeś? – spytał.

Zacząłem mówić, ale gardło mnie bolało.

– W pięćdziesiątym pierwszym. W dniu jesiennego zrównania dnia z nocą. Dokładnie między Panną a Wagą. W niektórych horoskopach piszą, że jestem spod znaku Panny, w innych – że Wagi. No bo urodziłem się w jesienną równonoc, rozumie pan? To naprawdę okropne.

Cisza zawisła w pokoju jak echo. Potem psycholog zaczął pstrykać paznokciami.

– Opowiedz trochę więcej o sobie – powiedział.

Mój głos więc kontynuował, runęła lawina słów, moje ciało mówiło samo, poza moją kontrolą. Opowiedziałem o dachu domu Cecilie, o kościotrupie, o borsuku, o tym, że byłem kiedyś ptakiem, że umiałem latać w nocy, mówiłem o lęku, który otwiera się we mnie jak rana zadana nożem, o tym, jak krwawiłem, kiedy gliniarze bili demonstrantów w Paryżu, o tym, że co noc krzyczę i że czuję się winny napadu na bank.

Psycholog cały czas trzymał w palcach pióro. Napisał coś na kartce. Zaskrzypiało. Nagle przerwał, dmuchnął na to, co napisał, podrapał się pod pachą.

– Chciałbyś mnie o coś spytać?

– Dlaczego pan pstryka paznokciami?

Jego spojrzenie błyskawicznie prześwidrowało moje czoło, więc natychmiast tego pożałowałem. Wrócił do pisania. Znowu dmuchnął, złożył kartkę i schował ją do koperty, którą polizał szarawym językiem.

W końcu się uśmiechnął.

– Dlatego że od siedzenia tutaj jestem bliski szaleństwa – powiedział.

Odprowadził mnie do drzwi i wręczył mi list. Ukłoniłem się, zaszurałem nogami.

– Oddaj to temu lekarzowi, u którego byłeś. – Wypchnął mnie za drzwi.

Kapral już czekał w gotowości i sprowadził mnie z powrotem na dół. Zaczynałem czuć się zmęczony. Zauważyłem, że na poręczy schodów są kulki, takie jak w szkole. Żeby generałowie nie mogli zjeżdżać. Miałem zamiar powiedzieć o tym kapralowi, ale to przemilczałem, chyba słusznie.

A piętro niżej było mnóstwo ludzi. Rozglądałem się za Sebem, Olą i Gunnarem, ale ich tu nie zauważyłem. Za to daleko, na samym końcu stał Jørgen. Podszedł diabeł w zielonym mundurze i zabrał go ze sobą.

Znów byłem u lekarza. To nie miało końca. Stanął tyłem do mnie i czytał list od psychologa. Potem gwałtownie się odwrócił i złożył kartkę na palcu wskazującym, jak banknot.

– Masz kłopoty z żołądkiem? – spytał.

– Mam.

Kilka razy kiwnął głową, zerkając na mnie. Trzymałem ręce na brzuchu. W końcu sięgnął po książeczkę wojskową i zaczął pisać. Odczytałem to do góry nogami: NZ. NZOC. Spytałem, co to znaczy. Okazało się, że niezdolny. Niezdolny nawet do służby w obronie cywilnej. Od tej pory „niezdolny" stało się moim drugim imieniem. Ale to jeszcze nie był koniec. Dostałem książeczkę wojskową, a mój wierny sługa znów zaprowadził mnie do generała. Wręczyłem mu książeczkę, przekartkował ją powoli, wstał, oczy miał smutne, takie smutne. Obszedł biurko.

– Tak, tak – powiedział. Właśnie tak powiedział. – Tak, tak.

Lęk wezbrał we mnie jak ogromna fala i uderzył w czerwone klify serca. O mało nie obaliłem się na podłogę. Generał podtrzymał mnie stalową ręką.

– Najgorsze te nerwy – zawyrokował z żalem. – Na nerwach nie za bardzo się znamy. – Prawie zaniósł mnie do drzwi i otworzył je. – Powodzenia! – rzucił mi w kark. – Powodzenia, Kimie Karlsen!

Stałem w korytarzu. Czuć było chlorem. Kapral podszedł do mnie z maską przeciwgazową, wetknął mi ją do ręki.

– Możesz już iść – oświadczył i sam sobie poszedł.

Czuć było chlorem. Wyszedłem. W samym blasku słońca, w samym środku ulgi zakłuła mnie nagle wściekła myśl: list. Ten list, który napisał psycholog. Co w nim było? Co tam było takiego, że natychmiast mnie

wypuścili? Przecież mówiłem samą prawdę. Co zostało napisane w tym liście?

Wróciłem do domu przez zepsute do cna miasto. Mama rzuciła się na mnie, zanim zdążyłem wyjąć klucz. Pytania tłoczyły się w kolejce. Z wystraszoną miną pogłaskała mnie po brudnych włosach.

– Gdzie ty byłeś? – wydusiła z siebie.

– Na komisji wojskowej.

– Ale w nocy? I rano? – Ręka jej drżała.

– U Seba. Wyszedłem, zanim wstaliście.

Szła za mną. W salonie śpiewał Pym.

– Kiedy idziesz do wojska? – spytała.

– Nie chcieli mnie. – Pokazałem jej swój palec. – Myślisz, że takim hakiem można strzelać?

Poszedłem do siebie i zasnąłem jak niedźwiedź.

Obudził mnie Seb. Pojawił się z najszerszym w tym roku uśmiechem. Mama w tle bacznie wszystko obserwowała. Zamknąłem drzwi, bo Seb nie mógł już dłużej wytrzymać:

– No i jak ci poszło? – dopytywał się. – Jak poszło?

– W końcu jakoś poszło – powiedziałem. – Ale cholernie długo trwało.

Usiadł na kanapie i zaczął boksować materac.

– Gunnar dostał kategorię A. Olę biorą do marynarki!

Długo się z tego śmialiśmy. Seb nagle się wyprostował i wytrząsnął z rękawa małą butelkę wina. Mógłby się z tym zgłosić do cyrku. Wypiliśmy po łyku.

– A jak ty to załatwiłeś? – spytałem.

Ze śmiechem postukał mnie w czoło ciemnożółtym palcem.

– Poszedłem za twoją radą. O kłamaniu i trzymaniu się prawdy. Powiedziałem, że jestem zdrowy jak ryba i cholernie się cieszę z tego, że pójdę do wojska. Nie uwierzyli mi. Wykopali mnie po pięciu minutach. Cholera, naprawdę mi nie uwierzyli!

Wielki Czyn Rewolucyjny kazał na siebie czekać. Byłem zbędną szprychą w Kole Historii. Byłem niepotrzebny. Gunnar chyba zapomniał o ulotkach w mojej szufladzie, bo Koło przecież toczyło się dalej. Toczyło się przez Norwegię wiosną siedemdziesiątego roku, wszędzie zostawiając swój ślad. Strajkowali robotnicy. Tramwaje stały. Strajkowali pracownicy fabryki Norgas. Strajk uznano za nielegalny, policja pobiła straż robotniczą, a oni dalej strajkowali. Gunnar chodził z puszką i podzwaniał, wrzuciłem mu dwie dychy. Tego by jeszcze brakowało, żebyś nic nie dał, powiedział. Dwudziestego drugiego kwietnia, w setne urodziny Lenina, walka została ukoronowana zwycięstwem. Koło Historii toczyło się ku mecie, a ja byłem jedynie zardzewiałą, niepotrzebną szprychą.

Ale pierwszego maja nie zamierzałem stać na linii bocznej z czapką w garści. Stawiłem się na Grønlands torg dziesięć minut przed wymarszem i znalazłem Gunnara z ogromnym, powiewającym na wietrze transparentem: „NIE DLA PIĘCIODNIOWEGO TYGODNIA NAUKI!". Wyszczerzył się, kiedy mnie zobaczył, kazał mi go przytrzymać i zniknął w tłumie. Musiało być kilka tysięcy ludzi. Stałem na Grønlands torg, w tym mrowisku, i kołysałem się razem z transparentem, który chciał mi wyrwać wiatr. Ktoś zaczął śpiewać *Międzynarodówkę*, gdzie indziej chórem krzyczano: „USA precz z Wietnamu", za mną podzwaniały puszki na pieniądze. Przede mną stała dziewczyna z płaczącym dzieckiem na ręku. W powietrzu niosły się trzaski megafonu. Nagle ta ludzka masa ruszyła. Ściskając transparent w rękach, rozglądałem się za Gunnarem. Zniknął. Stałem w środku strumienia ludzi zdążających powoli, ale zdecydowanie ku wyznaczonym miejscom. Gunnar przepadł. Seba też nie widziałem. Wiatr usiłował mnie przewrócić. Jakiś facet z czerwoną opaską na ramieniu kazał mi spadać do sektora szkolnego. Wskazał tyły pochodu. Posłusznie się tam powlokłem. Słyszałem muzykę, ktoś klaskał. Jakiś zawodnik wagi ciężkiej z obwisłym wąsem trzymał uniesiony wysoko portret Stalina. Przeciskałem się dalej. Ci z przodu już ruszyli. Przepychałem się w złą stronę. W końcu zostałem wciągnięty w szeregi, zrobiono mi miejsce obok faceta niosącego portret Mao nad brzegiem morza.

Tutaj też nie było Gunnara. Jakaś dziewczyna kazała mi stanąć w miejscu. W końcu ruszyliśmy. Okrzyki poszczególnych sekcji mieszały

się ze sobą i łącząc się, tworzyły wyższą, zbiorczą jednostkę, okrzyk, który gromadził wszystkie hasła i wszystkie myśli w jednym, esperanto rewolucji, tak jak orkiestry 17 Maja. Zabrzmiało to jeszcze wspanialej. Przyłączyłem się do tych okrzyków. Nie słyszałem własnego głosu, z całej siły wołałem z innymi, ale własnego głosu nie słyszałem.

Nagle coś się wydarzyło. Akurat w momencie gdy wychodziliśmy z placu. Gliniarze stali jeden przy drugim i wciskali w chodnik jakąś wierzgającą gromadę. Ci wrzeszczeli, krzyczeli, wymachując czerwono-czarnymi flagami. Jednemu udało się wyrwać. Przebiegł przez ulicę z wielkim transparentem nad głową: „STALIN = MORDERCA". To był Stig. To był Stig w akcji. Dwaj strażnicy rzucili się na niego, cisnęli go na ziemię, a transparent podarli na kawałki. Gliniarze odciągnęli resztki Stiga. Gniew buzował. Straż Czerwonego Frontu musiała stać w rzędzie z gliniarzami, żeby nie dopuścić anarchistów. Dostrzegłem też Seba. Przeszliśmy dalej. Nic z tego nie rozumiałem. Wcisnąłem kije transparentu w ręce faceta idącego za mną, wyskoczyłem z szeregów i bokiem pobiegłem na przód pochodu. Musiałem znaleźć Gunnara. Wydało mi się, że widzę Cecilie, ale nie miałem pewności. Biegłem dalej. Wkrótce znalazłem się na samym przodzie, przy rzędach flag. Wzdłuż chodnika było gęsto od ludzi. Okrzyki echem niosły się przez Storgata, odbijały się od ścian domów. Gunnara znalazłem w sektorze antyimperialistycznym.

– Gdzieś ty się, do cholery jasnej, podział? – wysapałem.

– Musiałem tu kogoś zastąpić. Co zrobiłeś z transparentem?

– Dałem jakiemuś chłopakowi. Widziałeś, co się stało?

– A co się stało?

– Pogonili anarchistów. Gliny ich wywaliły. Wspólnie ze strażą. Gliny i straż pochodu.

– Ten pochód nie jest dla anarchistów.

– Przecież to był Stig! I Seb! Seb i twój brat!

Gunnar patrzył przed siebie. Byłem siódmy w rzędzie i zaburzałem rytm.

– Rewolucja to nie podwieczorek – oświadczył Gunnar.

Stanąłem w miejscu. Pochód mnie potrącał. W końcu ktoś mnie z niego wypchnął. Zacząłem się cofać, podbiegłem do tyłu, skręciłem w stronę

placu. Minęli mnie już ostatni, plac opustoszał. Oparty o latarnię stał zapomniany czerwony sztandar. Pod butami chrzęścił piasek. Na placu nie było żywej duszy. Na wietrze tańczyły ulotki i papierki po kiełbaskach. Stałem na środku Grønlands torg i rozglądałem się na wszystkie strony.

Na Uniwersytecie Stanowym w Kent zabito czworo studentów. Pamiętam zdjęcie dziewczyny, która z płaczem osuwa się przy zakrwawionych zwłokach. Mam bliznę na oczach. Pamiętam ojca Gunnara, biegacza, który nagle pojawił się w dziale warzywnym w Bonusie w niebieskim fartuchu z plakietką z imieniem na piersi. Musiał zrezygnować ze swojego sklepu. Pamiętam, stał tam tego dnia, kiedy przyszedłem, żeby kupić piwo na oblewanie matury. Nie miałem siły na to, by spojrzeć mu w oczy, zawróciłem i tylko w lustrze nad ladą z mięsem zobaczyłem zgarbionego, pokonanego mężczyznę, który ważył cytryny, ziemniaki i pomidory. Czym prędzej stamtąd wyszedłem, taszcząc skrzynkę piwa, i rzuciłem się w wir zabawy, na którą wyczekiwałem od dwunastu lat, bo było po maturze i szlaban wreszcie poszedł w górę. Owszem, samą maturę też pamiętam. Lejący się ciurkiem pot, duszny pogrzeb w sali gimnastycznej, w której rozsadzono nas na świeżo wypastowanej podłodze. Nauczyciele krążyli w czarnych garniturach i odprasowanych krawatach, dyżurni emeryci towarzyszyli nam aż do kibla, a poza tym siedzieli w swoich skrzypiących butach i mieli cukierki opakowane pojedynczo w papier śniadaniowy, pamiętam to wszystko. Znów mogłem pisać o Nansenie, tym razem nie mieszałem już Nansena ze Schweitzerem, pisałem o tym, co Nansen myślał o mieszkaniu w mieście, a co było dość niesamowite. Nansen porównywał ludzi ze zwierzętami, które mieszkają w skrzynkach, śpią w skrzynkach, jedzą w skrzynkach, nie bardzo wiem, czy do końca zrozumiałem sens. Pisał też o przyjęciach, podczas których ludzie po prostu siedzą w wielkich wspólnych skrzyniach i w nich się upijają. „To się chyba nazywa uroczystość", napisał Nansen, a ja od siebie dodałem jeszcze, że po śmierci trafiamy do kolejnej skrzynki, ale wyraziłem też swoje wątpliwości, czy aby na biegunie północnym jest tak znów o wiele lepiej niż w miastach. Musiałem to napisać w nynorsk i byłem umiarkowanie zadowolony. Główne wypracowanie w moim standardzie norweskiego pisałem na temat wiersza André Bjerkego *Zabawa dorosłych*.

Przypominał mi opery w radiu, których przed laty stale słuchałem, w czasach, gdy w radiu nadawano wyłącznie operę. Leżałem wtedy przy uchylonych drzwiach i nadstawiałem uszu, bo tam był świat, który zaczynał żyć, kiedy ja się kładłem, tajemniczy świat, coś, co miało pozostać przede mną ukryte. Teraz wiedziałem, że to było oszustwo. I o tym właśnie napisałem. A w związku z angielskim dobre przeczucie mnie nie zawiodło, pod opakowaniem batonika Kvikk Lunsj ukryłem miniaturową Magna Carta, bo rzeczywiście było pytanie o Magna Carta. Na ustnym z historii spytano mnie o wojny napoleońskie. Odpowiedź zakończyłem wygłoszeniem swojej kwestii „Napoleon nadciąga!" i dostałem zasłużoną piątkę. Właśnie wtedy pognałem do Bonusa i spotkałem ojca Gunnara, udałem, że go nie widzę, i czym prędzej stamtąd wyszedłem ze skrzynką piwa. Czułem się mniej więcej równie wielki jak Armstrong po wylądowaniu na tej gomóle sera.

Z Gunnarem mało się widywałem. Spotkałem go 17 Maja na Drammensveien. Rozdawał ulotki przeciwko świętowaniu matur, nawet nie spytał, czy mu pomogę. Ola pracował na dwie zmiany, żeby mieć jakieś pieniądze, kiedy zacznie służbę na morzu, którejś nocy wpadłem do niego do hotelu, żeby wypić pierwsze albo ostatnie piwo tej doby, i nagle na jego okrągłej twarzy zauważyłem jakiś rys smutku.

– W przyszłym roku ja też spróbuję zdać maturę – szepnął, odwracając głowę.

– Co tam słychać z Vigdis? – spytałem, idiota.

Ola zakrył usta ręką.

– Z żadną Vigdis. K i r s t e n.

Długo kiwałem głową.

– Wiesz, że Vigdis mieszka na tej samej klatce schodowej co Seb?

Mięsień w czole zaczął mu nieprzyjemnie drgać.

– Chociaż wtedy wygadałem się o Ninie temu pajacowi Kåremu, to nie musisz mi teraz robić koło pióra.

– Spokojnie – łagodziłem. – Spokojnie. Nie mam pojęcia, kim jest Vigdis. Nigdy o niej nie słyszałem.

Ola zmusił się do uśmiechu i usiadł na łóżku polowym za kontuarem. Nachyliłem się do niego.

– Fajna jest? – spytałem szeptem.

Uśmiechnął się krzywo. Stuknęliśmy się butelkami, wypiliśmy.

– Jakie to uczucie świętować zdaną maturę?

– Nie wiem – odparłem. – Nie bardzo zauważyłem.

Ola zasnął na posterunku. Ja wyszedłem w majową noc, myślałem o wszystkim, co minęło.

Seb musiał zdawać wszystkie egzaminy ustne w Liceum Eksperymentalnym i Budda przeniósł go przez nie na własnych rękach, epoka cudów jeszcze nie minęła. Leżałem u niego w mieszkaniu i spocony, usiłowałem przetrwać upalne dni, piłem piwo i herbatę, nie miałem żadnych planów. Myślałem głównie o Ninie, a kiedy mi się śniła, to zawsze w świecie, w którym panowały zima i noc, chociaż u nas, w Oslo, był czerwiec siedemdziesiątego roku i były jasne dni.

Któregoś dnia rano spytałem Seba:

– Na pewno zamierzasz iść na morze?

Usiłował zdrapać słońce, które wpadało przez okno i lądowało na jego pępku.

– Tak. Czekam tylko na list od ojca. Z informacją, gdzie mam się z nim spotkać.

– A zgodzisz się, żebym korzystał z twojej chaty, kiedy ciebie nie będzie?

– Jasne, stary. Jasne.

Wyciągnął rękę i natrafił na zaczęte piwo eksportowe.

– Mam wrażenie – mruknął – mam wrażenie, że coś się wydarzy.

Razem wykończyliśmy tę butelkę i zaczął się nowy dzień.

Kilka dni przed ogłoszeniem wyników zajrzałem do domu, żeby trochę podkarmić organizm i zdać ogólną relację. Mama nie mogła sobie znaleźć miejsca, wypytywała, gdzie się podziewałem, ojciec siedział w salonie z Pymem na ramieniu. Przysnąłem w swoim pokoju, obudził mnie telefon. Dzwonił Jørgen. Umówiliśmy się na piwo w Herregårdskroa, w parku Frogner. Czyli znów wychodziłem. Matka pobiegła za mną ze świeżo wyprasowaną koszulą i spodniami w kant, ale te czasy już minęły. Poszedłem tak, jak stałem, chodziłem tak ubrany od trzech tygodni.

Jørgen wybrał stolik, przy którym najdłużej jest słońce. Opierał się o żółty mur, a przed nim stała żółta, pienista szklanka, to był świat w świetle pomarańczy. Wkrótce jednak słońce miało zniknąć za wzgórzem i poczerwienieć, zmienić się w krwawą pomarańczę. Jørgen pomachał do mnie.

Też wziąłem piwo, stuknęliśmy się szklankami. Patrzyliśmy na eleganckie blezery usadzone tu i ówdzie, na gęsi kolebiącym krokiem sunące przez trawę, słuchaliśmy monotonnego szumu wodospadu przedzierającego się przez głosy. Nie bardzo wiedzieliśmy, co mamy mówić. Dawno już ze sobą nie rozmawialiśmy, pojawiła się jakaś bariera.

– Jak tam forma? – spytałem.

– Całkiem nieźle.

– Byłeś w Danii?

Pokręcił głową.

– Nie świętowałem w żaden szczególny sposób. A ty?

– Obchody alternatywne. – Roześmiałem się. – Trzymam się z daleka od wspólnych.

Zamówiliśmy nowe piwa. Słońce wemknęło się za gałąź. Grupa zmęczonych maturzystów w wygniecionych strojach, z pozieleniałymi twarzami krążyła po okolicy. Dostaliśmy piwo. Piliśmy w milczeniu.

– Co będziesz teraz robił? – spytał w końcu Jørgen.

– Nie wiem. Poszukam jakiejś pracy na lato. Zarobię trochę grosza. A ty? Idziesz do wojska?

– Nie. Nie wzięli mnie.

– Nieźle. Mnie też. Stwierdzili, że jestem wariatem. Ty jak to załatwiłeś?

– Powiedziałem prawdę – odparł Jørgen.

Piwo w ustach wydało się zwietrzałe. Najwyraźniej zaczynałem mieć dość. Najwyraźniej zaczynałem się nudzić. Byłem zmęczony do szpiku kości. Zamówiłem kolejną półlitrową szklankę.

– Zaraz po wynikach wyjeżdżam do Anglii – oznajmił Jørgen. – Jeżeli zdam.

– Jasne, że zdasz. Zostaniesz tam całe lato?

– Będę tam mieszkał. W Londynie.

Istniała między nami blokada, szlaban. Opróżniliśmy szklanki. Ludzie zaczęli się rozchodzić. My też stamtąd poszliśmy. Zatrzymaliśmy się na moście i patrzyliśmy w wodę. Cuchnęło kloaką. Ruszyliśmy dalej. Nigdzie się nie spieszyłem, równie dobrze mogłem się przejść kawałek z Jørgenem.

– Nabrałeś większej sympatii do teatru po *Wojnie i pokoju*?

Zaśmiałem się.

– Skąd! Scena to nie miejsce dla mnie.

– A ja będę się starał o przyjęcie do szkoły teatralnej w Londynie. Tam gdzie studiuje moja miłość.

Wyrzeźbiony z granitu Monolit wyciągał się w górę, o zmierzchu wydał mi się nagle fosforyzujący. Na białych ławkach siedziały rozbawione pary, za drzewami i krzakami panował niepokój, cały park zdawał się parować. Prawie nie dało się oddychać.

Skręciliśmy na Psie Pole i nagle zostaliśmy sami. Musiałem się wysikać, stanąłem przy latarni. Jørgen zatrzymał się za mną i szurał nogą po żwirze.

– Przyjedziesz mnie odwiedzić w Londynie?

– No pewnie. Jeśli tylko kiedyś trafię w tamte strony.

– Przyślę ci adres.

Powlekliśmy się dalej. I nagle nie byliśmy już sami. Zaszli nas od tyłu, odwróciliśmy się gwałtownie, wtedy otoczyli nas kręgiem. Było ich siedmiu czy ośmiu, kilka twarzy rozpoznałem z innego przejścia przez Psie Pole, zimą.

Pokazałem im swój palec, ale nie zadziałał.

– Pieprzony dupoliz! – wrzasnął któryś i złapał Jørgena. – Obrzydliwa ciota!

Jørgen stał z otwartymi ustami, z rękami zwieszonymi wzdłuż boków. Tamten go trącił. Jørgen nie zareagował, patrzył przed siebie suchymi, przerażonymi oczami. Inny chłopak szturchnął mnie. Ich twarze świeciły. Mieli dzikie oczy.

– A ty startujesz w kombinacji norweskiej, mały? Co wolisz, biegi czy skoki?

Walnąłem go, chociaż wiedziałem, że to bez sensu. Dostałem kolanem w plecy i upierścieniona ręka przejechała mi po nosie.

Jørgen próbował uciekać. Złapali go jak homara do klatki. Dziko walił na oślep we wszystkie strony, nie celował, nie trafiał, wywijał rękami jak wiatrak. Ze śmiechem podawali go sobie kopniakami. Nagle usłyszałem paskudny odgłos. To ich szef wyciągnął nóż sprężynowy, ostrze wyskoczyło, długie, wąskie, ostre. Pozostali trochę się cofnęli. Jørgen stał zapłakany, zatykał uszy palcami. Nie zdążyłem zareagować, zanim się to stało. Z twarzy Jørgena trysnęła krew, policzek otworzył się jak po cesarskim cięciu. Dostałem metalem w łeb i pocałowałem trawę.

Ktoś mnie trącał. Ktoś mnie obwąchiwał i piszczał. Udało mi się otworzyć oczy i popatrzyłem prosto w czarny pudlowaty pysk. Obok psa stał jakiś staruszek i kręcił nade mną głową. Potem trącił mnie laską. Obróciłem się, dostrzegłem Jørgena. Leżał na brzuchu, z rękami rozrzuconymi w trawie, nieruchomy.

– Pogotowie – wybełkotałem. – Niech pan dzwoni po karetkę.

Na czworakach podpełzłem do Jørgena. Obróciłem go delikatnie. Twarz miał rozciętą od skroni po podbródek. Poczułem, że ręka mi się lepi. Z jego rozporka buchnęła krew.

W mieszkaniu u Seba pachniało czystością i świeżością. Babcia tu była i zrobiła generalne porządki. Wyrzuciła wszystkie spleśniałe skórki od chleba, opróżniła wiadro ze śmieciami. Ogłoszono wyniki matur. Zdaliśmy. Ola dostał pensję i świadczenie urlopowe. Stawił się z whisky Upper Ten i ciemnym piwem. Na parapecie leżał nowy krążek Beatlesów. *Let It Be*. Ale nie był nowy, nagrali go na długo przed *Abbey Road*, miał już ponad rok.

Wypiliśmy, wznieśliśmy toast.

– Jak z twoim nosem? – spytał Gunnar.

– Czuję, że go mam – odpowiedziałem, delikatnie dotknąłem go ręką i głowę jakby rozcięła mi zakrzywiona szabla.

– Dlaczego Jørgena zaatakowali nożem? – spytał Seb.

– Nie wiem, do cholery.

Poszedłem do szpitala go odwiedzić, ale mnie nie wpuścili. Nie wpuścili mnie. Jørgen nie wpuszczał nikogo. Jego matka stała pod drzwiami i płakała. Założyli mu pięćdziesiąt jeden szwów. Musiałem stamtąd odejść. Nie wpuścili mnie do Jørgena.

Seb nastawił *Morrison Hotel*. Domieszaliśmy ciepłej wody do whisky. Mało się odzywaliśmy. Jakbyśmy wiedzieli, że dużo czasu upłynie, zanim znów się tak spotkamy, że to nasz ostatni wspólny wieczór.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytałem w końcu Seba.

– Jak tylko dostanę list od ojca.

– A ty co zrobisz, jak my się porozjeżdżamy? – spytał Gunnar.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo nie miałem pojęcia.

– Pewnie zacznę studiować albo coś takiego.

– Nie posłuchamy *Let It Be*? – spytał Ola.

Otworzyliśmy kilka piw. Nie chciało nam się wychodzić do kibla na korytarzu. Po kolei sikaliśmy do umywalki.

– A co twój brat będzie robił latem? – spytał Seb Gunnara.

– Jedzie nad Mardølę[8] – odparł Gunnar. – Sam chętnie bym się tam wybrał, gdybym mógł.

– Świetny był ten jego wykład o anarchizmie. Chyba i ty musisz się zgadzać z wieloma rzeczami, o których on mówi.

– Z niektórymi owszem, ale główne założenie jest błędne. Wam się wydaje, że kapitaliści to grzeczni chłopcy, którzy dobrowolnie się zgodzą na oddanie środków produkcji.

– To nieprawda – zaprotestował Seb. – My po prostu uważamy, że ten socjalizm, za którym wy się opowiadacie, jest cholernie autorytarny. Nie rozumiesz? Ludzie powinni sami decydować. A co robił Stalin? Brał za mordę wszystkich, którzy się z nim nie zgadzali. Ile ofiar pogrzebał, Gunnar? Dziesięć milionów czy trzydzieści?

– Stalin miał swoje dobre i złe strony – odpowiedział Gunnar. – No i ilu Rosjan zginęło w walce z faszyzmem? Gdyby nie Stalin, wszyscy poszlibyśmy do pieców, całą bandą, no nie?

Ale to nie był wieczór konfrontacji. Piliśmy w milczeniu, bez nerwów. Nie rozmawialiśmy o pierwszym maja, kiedy Stiga i Seba wyrzucono

z pochodu. Trochę wspominaliśmy, wpadając w lekki sentymentalizm, śmialiśmy się do szklanek.

– Puśćcie Beatlesów – poprosił Ola.

– Vigdis któregoś dnia o ciebie pytała – powiedział Seb.

Ola się spiął, przypominał pobudzonego byka.

– Może po nią pójdziemy? – zaproponowałem.

– Nie wygłupiajcie się, chłopaki! – krzyknął Ola. – Nie wygłupiajcie się! Co ja poradzę na to, że Kirsten mieszka w Trondheim? Pojadę do niej w odwiedziny, kiedy dostanę przepustkę!

Poklepaliśmy go po plecach, zaserwowaliśmy mu whisky i piwo. Uspokoił się. Potem długo panowała cisza, bo to był dziwny wieczór.

– Ojciec musiał zrezygnować ze sklepu – obwieścił nagle Gunnar. – Pracuje w Bonusie.

Nic więcej nie dodał. Nie przyznałem się, że już go tam widziałem. Gunnar zmieszał sobie mocnego drinka i wypił go duszkiem, do dna.

– Słuchałeś już solowej płyty McCartneya? – spytał Seb.

Pokręciłem głową.

– Ty myślałeś, że on umarł!

– Wcale nie, do jasnej cholery!

Seb ze śmiechem oparł się o ścianę.

– Jasne, że w to uwierzyłeś. Kompletnie odjechałeś.

Ola i Gunnar śmiali się po cichu.

– Uwierzyłeś czy nie?

– Nie jestem kompletnym świrem. Wcale nie uwierzyłem, że Paul McCartney nie żyje!

Ustąpili. Godziny się wypalały. Ściemniło się, ale przez całą noc nie było całkiem ciemno. Seb zamknął okno.

– Ojciec marudzi, żebym zrobił maturę – powiedział Ola. – Na kursie rocznym. Myślicie, że by się dało?

Jasne, że tak. Nic nie było niemożliwe. Pogadaliśmy trochę o całym tym suszeniu nam głów naszą przyszłością. O wszystkich tych planach, które dla nas szykowano. Gdyby nasi rodzice mieli prorocze sny, bylibyśmy

dyrektorami banków, kierownikami sklepów, właścicielami hoteli i armatorami. Pośmialiśmy się z tego i wypiliśmy za przyszłość.

– Nastawcie *Let It Be*, zanim zaśniemy – poprosił Ola.

Ale i tak zasnęliśmy, wszyscy czterej, każdy w swoim kącie. W pokoju robiło się coraz bardziej niebiesko, miasto w dole ucichło, odurzenie przyczaiło się z tyłu głowy, a z naszych czerwonych oczu wyskakiwały złote rybki. Tak zasnęliśmy, w ten ostatni na długo wieczór, w tę ostatnią noc.

Obudziły nas hałasy i gwałtowne poruszenie. To Seb odebrał pocztę. Dostał list od ojca. Stał wśród butelek i czytał na głos, a my rozplątywaliśmy kołtuny we włosach, połykaliśmy nieprzyjemne oddechy, rozglądaliśmy się w poszukiwaniu petów i ostatnich łyków. Seb miał się spotkać z ojcem w Bordeaux, właśnie tam trwał rozładunek statku „Bolero". Sebowi pozostawało jedynie spakować worek marynarski. Z radości aż pojaśniał na twarzy. Potem odwrócił kartkę i nagle spoważniał. Jakby w niego piorun strzelił, usiadł na podłodze i po kolei na nas patrzył.

– Słuchajcie, chłopaki! P o s ł u c h a j c i e! Ojciec pisze o Smoku!

Natychmiast się ocknęliśmy i nachyliliśmy do niego.

– Ojciec pisze o Smoku! O rany! Posłuchajcie! Smok był na pokładzie statku, który płynął wzdłuż wybrzeża Ameryki Południowej. Jasny gwint! Jakiś bałwan, amerykański oficer, cały czas wyśmiewał się z gęby Smoka. Wiecie, co Smok zrobił? Zabił go! Zadał mu ciosy nożem i zabił tego bałwana! A potem sam wyskoczył za burtę! Smok skoczył prosto do wody i zniknął!

– Pewnie się utopił – szepnął Ola.

Seb jeszcze bardziej spoważniał.

– Ojciec pisze, że w tych wodach jest dużo rekinów. Pewnie jakiś czort go zeżarł.

Pomyśleliśmy o tamtym 17 Maja, kiedy petarda eksplodowała Smokowi w ustach. Długo milczeliśmy. W końcu Gunnar rzucił:

– Ciekawe, czy tamten autograf Micka Jaggera był prawdziwy.

W końcu wyruszyli w drogę, marynarz i żołnierze, a ja zostałem w rozpalonym, cuchnącym mieście, w którym asfalt topił się pod nogami, w czerwcu siedemdziesiątego roku, gdy jedynymi chłodnymi pomieszczeniami były sale kinowe, a piwa nie dawało się schłodzić.

Przeniosłem do Seba swoje rzeczy, to znaczy trochę płyt, trochę książek, ubranie na zmianę. Mama spytała, czy przyjadę do Nesodden, wyraziłem swoje powątpiewanie, więc uroniła kilka łez, kiedy taksówka odjeżdżała, a ja siedziałem z tyłu ze śpiworem i kartonowymi pudłami. Opuszczałem Svoldergata bez żadnych obciążeń. Na wieczór kupiłem zimnego kurczaka i białe wino. Uczciłem tę chwilę sam. Już miałem zejść do Vigdis, ale zmieniłem decyzję. Ten wieczór należał do mnie. Powiesiłem ubrania w szafie, poustawiałem płyty, pod ścianą ułożyłem książki, *Czerwoną książeczkę* Mao, *Podręcznik anarchistyczny*, Nowy Testament, *Kykelipi* Jana Erika Volda *i Wiktorię*, nie bardzo wiedziałem, dlaczego zabrałem akurat ją, to musiała być z mojej strony poważna pomyłka, dostałem ją od babci na Gwiazdkę w sześćdziesiątym piątym roku, stare wydanie, pachniała trochę jak Biblia, na okładce był jeszcze napis *Historia pewnej miłości*, a w środku poplamiony rdzą rysunek przedstawiający faceta, który siedzi ze spuszczoną głową i płacze, a na niego padają kwiaty i krople krwi, niezły kicz, nawet jej nie czytałem. Ale nagle książka otworzyła się w konkretnym miejscu i wyleciał z niej kwiat, zasuszony kwiat, sprasowany czerwony mak, byłem pewien, że go wyrzuciłem. Upadł na podłogę i się rozsypał, rozsypał się w pył, taki był suchy. Najstaranniej, jak umiałem, pozbierałem resztki. Umieściłem je w kubku i byłem pewien, że gdybym teraz zaparzył w nim herbatę, to w pokoju pojawiłby się duch. Gdybym tę herbatę wypił, znalazłbym się tam, gdzie była Nina.

Następnego dnia rano obudziłem się trochę oszołomiony, obudziłem się sam, z gorąca i potu, we własnym mieszkaniu, pierwszy raz. Otworzyłem okno i usłyszałem, że zegar na wieży ratusza wybija jedenastą. Co za przyjemność! Byłem wolny. Wydałem z siebie wielki krzyk ponad miastem, szatański wrzask. Wtedy pode mną otworzyło się okno i wyjrzała dziewczyna. Vigdis z windy.

– Cześć – powiedziała.

– Nawzajem.

Roześmiała się, długo na mnie patrzyła.

– To ty będziesz tu teraz mieszkał?

– Tak. Stary Seb poszedł na morze.

– Ola jest w wojsku?

– W bazie Madla. *Yellow Submarine*.

Rozeszliśmy się do siebie i zaraz pojawił się nieprzewidziany problem o wielkiej wadze. Pieniądze. Nie miałem forsy na śniadanie. Zamyśliłem się głęboko nad kawą. Kiedy już wszystko sobie przemyślałem, wyszedłem, poszukałem budki telefonicznej i zadzwoniłem do Miejskiego Zarządu Parków. Mogłem się zgłosić następnego dnia.

W ten sposób zostałem ogrodnikiem. Sadziłem tulipany na St. Hanshaugen i popijałem ciepłe piwo w knajpie Na Świeżym Powietrzu. Podlewałem trawę w parku Frogner i grałem we frisbee z bandą ospałych ćpunów, którzy kusili mnie gorzałą i skrętami. Dni przesuwały się na luźnym sznurku. Z widzenia poznałem wszystkich włóczęgów i freaków z całego Oslo. Ale któregoś dnia rano wysłano mnie do parku Zamkowego z motyką i widłami, żebym przekopywał ziemię. Słońce rozlało się na jasnoniebieskim ślepym niebie jak rozbite żółtko. Nie było wiatru, a życie płynęło niczym na zwolnionym filmie. Kopałem i odwracałem skiby przez pół godziny, potem uznałem, że mam już dosyć. Obwiązałem głowę koszulą, przysiadłem za drzewem. Najwidoczniej zasnąłem. Bo kiedy się obudziłem, stał nade mną Pelle i szczerzył się w uśmiechu, za nim tłoczyły się jego prosięta. Park ożył. Ludzie leżeli wyciągnięci na spalonej trawie, z gramofonu leciała zdeformowana od gorąca piosenka Fleetwood Mac, cienka gitara konkurowała z parą zaspanych ptaków, wznosił się dym fajek pokoju.

– Horyzontalny pracownik gminy. – Pelle się zaśmiał. – Masz trochę forsy na zbyciu?

W taki dzień trudno było odmówić, mimo że Pellego uważałem za strasznego pajaca. Wygrzebałem kilka dych, całą gromadą przenieśli się do innej grupy. Tam usiedli i dmuchali w niebo. Zamknąłem oczy, szykując się do kolejnej potyczki z widłami. Znów pojawił się Pelle, tym razem z ukrytym między palcami dymiącym skrętem.

– Zapomniałeś drugiego śniadania? – spytał, wyciągając do mnie rękę.

A ja wziąłem. Wypaliłem marokańskiego skręta podczas przerwy na lunch w parku Zamkowym latem siedemdziesiątego roku.

Chyba właśnie wtedy moja kariera ogrodnika dobiegła końca. Porzuciłem rabatkę, znów zasnąłem, śnił mi się Afganistan i śniła mi się Nina, a kiedy obudziłem się po raz trzeci, to już na dobre. Zrobiła się niezła chryja. Gliny podjechały trzema czarnymi sukami, biegały po parku z pałkami i śliniącymi się wilczurami. Nagle zobaczyłem tuż nad sobą gorący czerwony pysk i błyskawicznie poderwałem się na nogi. Pieprzony gliniarz uderzył mnie tym swoim fiutem. Dobiegłem do rabatki i chwyciłem widły, skoczył za mną z kundlem na naprężonej smyczy.

– Ja tu pracuję! – krzyknąłem.

Ładowali ludzi do suk. Widziałem, jak Pelle dostał pałką przez ucho, i zdążyłem zobaczyć krew buchającą mu z nosa, zanim potwór wbił mi kły w nogawkę spodni i urwał kawałek. Zacząłem wywijać widłami.

– Jestem ogrodnikiem! – wrzasnąłem.

Nagle okrążyła mnie cała gromada. Ustawili się półkolem i powoli się zbliżali. Trzymałem widły przed sobą i cofałem się do krzaka. Wilczur leżał płasko na ziemi, ślina lśniła w słońcu. Rzucili się na mnie, więcej nie pamiętam. Ocknąłem się dopiero w suce, na brzuchu, z rękami skutymi na plecach. Podłoga uderzała mnie w gębę. Jechaliśmy.

– Zamierzał się widłami – rozległ się jakiś głos.

– On? Jesteś pewien, że to nie dziewczyna?

Obrócono mnie, jakiś but szturchnął mnie między nogami. Krzyknąłem, ale mój głos zdusiły mdłości. Widziałem krew. Widziałem tylko krew. Moje oczy były czerwonymi balonami.

– Chłopak. – Tamten zachichotał. – Chyba jednak chłopak.

– Próbował nas zabić widłami, prawda? – odezwał się inny. – Cholernie niebezpieczny gość!

Przygrzał mi w żebra czubkiem buta. Potem ktoś stanął mi na plecach i przycisnął moją twarz do podłogi auta, która nieustannie podskakiwała. Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim samochód w końcu się zatrzymał. Wyciągnęli mnie ze środka, jakiś wściekły łeb znalazł się bardzo blisko mojej głowy. Ślina aż pryskała, kiedy wrzeszczał:

– I tak za łatwo się z tego wykręcasz, ty długowłosy pedale! Moglibyśmy na ciebie donieść za napaść na policjanta na służbie!

– Jestem ogrodnikiem – powiedziałem nieśmiało. – Pracuję w Miejskim Zarządzie Parków i Obiektów Sportowych.

W ogóle nie słuchał.

– No i byłeś w posiadaniu haszyszu! – krzyknął.

– O, na pewno nie!

Uśmiechnął się. Gliniarz się uśmiechnął, ale nie był to serdeczny uśmiech.

– Właśnie, że tak, kochaniutki. Zobacz, co przy tobie znaleźliśmy. – Pokazał mi ciemnobrązową tabliczkę. – Prawda, chłopaki, że znaleźliśmy to u tej panienki?

Koledzy przyświadczyli chórem.

– Ale tym razem ci darujemy. Dostaniesz tylko małą nauczkę.

Wokół mnie rozległy się rechoty i rżenie. Ktoś mocno przytrzymał mnie od tyłu, a ta policyjna świnia nie wiadomo skąd wyczarowała nożyczki. Aż się śliniła, ukazując żółte, cuchnące kły. Cztery spocone łapy chwyciły mnie za głowę. A główny gliniarz zacząć ciąć jak popadło, wszerz i wzdłuż. Wrzeszczałem, wyłem, ale wszystko na nic. Moje włosy opadały na podłogę suki, a gliniarze uśmiechali się coraz szerzej.

– Teraz wygląda porządnie – zaćwierkał ten, który mnie strzygł. – Jednak miałem rację. To chłopak.

– Ty śmierdzący chuju! – wrzasnąłem i charknąłem mu flegmą prosto w gębę. Spłynęła po policzku, żółta i gęsta.

Ożywili się. Natarli na mnie ze wszystkich stron. W końcu przestałem już czuć ciosy i kopniaki, znalazłem się poza swoim zmaltretowanym ciałem i ból już tylko mi się śnił.

Wreszcie otworzyli drzwi, a ja się przetoczyłem i wypadłem. Usłyszałem warkot silnika, zobaczyłem, jak policyjna suka znika między jakimiś drzewami. Leżałem na drodze w środku lasu. Nie miałem pojęcia jakiego. Czy to był Las Królewski, czy *Norwegian Wood*? Chyba ani jeden, ani drugi. Leżałem na ziemi, dopóki moja dusza na powrót nie trafiła do ciała. Ból

rzucił się na mnie z nową siłą, rozpłakałem się, moje gorzkie łzy wsiąkały w suchą ziemię.

Próbowałem iść drogą, którą odjechały policyjne świnie. Nogi zwiędły pode mną jak trawa. Musiałem odpocząć na kamieniu. Słońce przypominało wyschniętą jajecznicę. Las kołysał się, jakby mu się kręciło w głowie. Wysłałem nogi dalej. Poniosły mnie kawałek. Kiedy dostrzegłem rzekę, zlazłem na brzeg i zanurzyłem głowę w wodzie.

Gdy ją wyciągnąłem, ktoś na mnie wrzeszczał.

– Hej, ty, krasnalu! Ryby mi straszysz!

Rozejrzałem się. Na środku rzeki stał wędkarz w waderach i w czapce z mnóstwem haczyków.

– Gdzie ja jestem? – odkrzyknąłem.

– Nie widzisz, że łowię, trollu? Wynoś się!

– Gdzie jestem? – powtórzyłem.

– Kompletnie ześwirowałeś? Leżysz w strumieniu, w Åborbekken.

Zdaje się, że miał branie. Zmagał się z wielką wędką i długą żyłką, przeklinał i psioczył. W końcu stanął omotany ogromnym supłem, a na haczyku miał stos splątanych gałęzi.

– To twoja wina! – wrzasnął. – Tak świetnie mi szło, dopóki się nie pojawiłeś, ty gnomie!

– Którędy do miasta? – spytałem ostrożnie.

Nie mógł pokazać palcem, więc musiał kiwać głową. Kiwnął na wschód albo na południe, cały czas szarpiąc żyłką, aż woda przelała mu się przez krawędzie butów. Wróciłem na leśną drogę i ruszyłem dalej.

Wędrowałem przez kilka godzin i nikogo nie spotkałem. Kiedy dotarłem do jakiejś wielkiej wody, myślałem początkowo, że to morze, ale zorientowałem się, że woda jest słodka, byłem więc nad jeziorem w Norwegii. Ruszyłem wzdłuż brzegu. Gdy tak szedłem, obity i wykończony, siny i połamany, zrodziła się we mnie nienawiść do wszystkich parków w Oslo, parki niosły ze sobą wyłącznie katastrofy, parki mnie prześladowały już od czasu, gdy chodziłem do szkółki narciarskiej w parku Frogner. Parki chciały mnie zniszczyć. Postanowiłem, że nigdy więcej nie pójdę do żadnego parku. Poproszę brygadzistę, żeby mnie

przydzielił do pracy na cmentarzach, to mi o wiele bardziej odpowiadało. Tak, tak, na pewno o to poproszę. Nagle dostałem twardą jak kamień kulą prosto w czoło i w zasadzie już można mnie było liczyć. Jednocześnie usłyszałem krzyk, i to nie swój, bo dochodził z daleka. Za piaszczystym pagórkiem stał i szarpał się za włosy jakiś dziwny typ w spodniach w kratkę, a obok niego kręcił się chłopiec z torbą na kółkach pełną kijów.

– Uważaj trochę, durniu! – krzyknąłem.

Osunął się na kolana i zaczął rwać trawę.

Nagle uświadomiłem sobie, gdzie dotarłem.

– To pole golfowe na Bogstad? – spytałem z ulgą. Wtedy tamten wstał i podszedł, z dłońmi aż do białości zaciśniętymi na kiju.

– A myślałeś, że niby gdzie jesteś, kompletny idioto! W cyrku? W wesołym miasteczku? Wydaje ci się, naprawdę ci się wydaje, że c h c i a ł e m cię trafić? Wydaje ci się, że celowałem? Oszalałeś? No powiedz, oszalałeś?

– Z taką piłką trzeba uważać – powiedziałem tylko. – Mogła mi rozwalić czaszkę.

Zmienił kij i próbował mnie nim uderzyć. Musiałem uciekać. Ruszył za mną, cały czas wołając coś o osiemnastym dołku. W biegu wyrwałem kilka chorągiewek, ale w końcu wydostałem się za bramę i znalazłem na pięknej willowej ulicy. Tam usiadłem w rynsztoku i sprawdziłem palcami, na czole wyrastał mi kolejny guz. Byłem człowiekiem prześladowanym. Ale teraz przynajmniej jako tako się orientowałem, gdzie jestem. Jeszcze trochę pobłądziłem, w końcu odnalazłem właściwy kierunek. Powlokłem się przez dzielnicę Røa, minąłem halę sportową Njårdhallen, minąłem Majorstua i dotarłem do centrum w chwili, gdy słońce zapalało lasy na zachodzie, a światło ustępowało miejsca ciemności.

W windzie znów spotkałem Vigdis. Na mój widok krzyknęła przerażona, a ja nie miałem siły spojrzeć sobie w oczy w lustrze wiszącym na ścianie.

Zaczęliśmy wznosić się na piąte.

– Co ci się stało? – zawołała.

– Za długo by opowiadać. I tak byś nie uwierzyła.

Poszedłem do jej mieszkania. To był porządny pokój, z haftowanymi makatkami na ścianach, fotografią rodziców na półce z książkami

i pomarańczami w koszyczku na stole. Spodobało mi się tam.

Vigdis połatała mnie za pomocą plastra i bandaża. Dłonie miała pulchne, czerwone i lekkie jak piórka.

– Twoje włosy. – Roześmiała się. – Co zrobiłeś z tymi swoimi pięknymi włosami?

Spojrzałem w lustro. Nie było się z czego śmiać. Wyglądałem gorzej niż Ola wtedy, kiedy jego ojciec wpadł w szał z nożyczkami. W porównaniu ze mną Ola miał elegancką fryzurę. Ja byłem człowiekiem napiętnowanym.

– Mogę wziąć pomarańczę? – spytałem.

– Ile tylko chcesz. – Vigdis uśmiechnęła się i zaczęła sprzątać stół operacyjny.

Stało się coś niezwykłego. Ale za bardzo się nawet nie zdziwiłem, bo cały ten dzień i tak był przeciwko mnie. Obrałem pomarańczę, a w środku nie było nic. Pusta. Zdjąłem skórkę, a pomarańcza była pusta w środku. Nie powiedziałem o tym Vigdis, położyłem skórkę na talerzyku i wytarłem ręką usta.

Vigdis się odwróciła.

– Szybko ci poszło – zauważyła.

– Pomarańcze to moja specjalność.

– Możesz zjeść jeszcze jedną.

– Jem tylko jedną dziennie.

Wstałem i zrobiłem krok w stronę drzwi. W rękach Vigdis nagle pojawiła się pełna butelka dżinu.

– Masz ochotę na drinka? – spytała przebiegle.

A ja wyjątkowo wykazałem się rozsądkiem, bo nigdzie nie było napisane, że ten dzień nie może zaproponować kolejnych katastrof. Z wysiłkiem przełknąłem ślinę i sprzeciwiłem się Rzymowi, jak, nie przymierzając, król Sverre.

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Kiedy indziej. Może kiedy indziej.

No i mnie wylali. Stawiłem się w robocie dzień później, ale dostałem wielki ochrzan. Nikt nie chciał słuchać mojej historii. Porzuciłem narzędzia i oddaliłem się w godzinach pracy, byłem chwastem, wystarczyło

spojrzeć w lustro, bez żadnych dyskusji. Dostałem wypowiedzenie i wypłatę. Trzy setki, które paliły w kieszeni. Stałem w środku Oslo i zastanawiałem się, co ja, do jasnej cholery, mogę teraz wymyślić? Poszedłem do Pernille. Potem zadzwoniłem do Jørgena. Telefon odebrała matka i niewyraźnym głosem powiedziała, że Jørgen dwa dni temu wyjechał do Londynu. Nie wiedziała, kiedy wróci. Rzuciła słuchawką. Dzień później znów byłem bez grosza.

Leżałem na materacu skacowany i wytrącony z równowagi. Komórki mózgowe skleiły mi się jak rozgotowany ryż. Ale w końcu jedno ziarenko okazało się nieco twardsze od pozostałych i przekazało genialny pomysł: idź do banku, wypłać pieniądze z książeczki. Wykąpałem się pod kranem i popędziłem na St. Olavs gate, do banku, którego szefem był mój ojciec, do tego banku okradzionego przez rabusia, którego nigdy nie złapano. Minęły lata od mojej ostatniej wizyty w tym miejscu, ale zapach pozostał ten sam, zapach monet i świeżo wypastowanej podłogi, no i dźwięki, szelest banknotów, jakby gdzieś w środku cały czas płonęło nieduże ognisko. Wewnątrz było też ciemno. Prawie oślepłem, kiedy wszedłem z jasnego światła na ulicy w ten szeleszczący, czysty mrok. Dawniej ojciec siedział w okienku, pamiętam, że co rano starannie przycinał paznokcie. Teraz miał gabinet w głębi pomieszczeń bankowych. Zaprowadziła mnie tam jakaś pani. Ojciec na mój widok wcale się nie zdziwił. Patrzył życzliwie, ale wyglądał na trochę zmęczonego, ta jego ospałość była chyba najgorsza. Nie zwrócił uwagi na moje ubranie ani na włosy, nie skomentował nawet tej idiotycznej fryzury.

– To ty – powiedział tylko.

– Co tam słychać na Nesodden? – spytałem.

– Wszystko w porządku. Ale jabłek w tym roku będzie mało.

– A porzeczki?

– Porzeczki chyba będą. I agrest. Za to ze śliwkami zapowiada się marnie.

Gabinet był ciasny i duszny, ściany ciemne, na biurku leżały kartki, w segregatorach i w równych stosach. Ojciec spojrzał na mnie, oparł podbródek na dłoniach.

– Co robisz? – spytałem.

Uśmiechnął się.

– Nic.

Roześmiałem się. Przyszło mi do głowy, że to on powinien był zadać to pytanie mnie, a ja powinienem był tak odpowiedzieć.

– Potrzebuję pieniędzy – oświadczyłem. – Pomyślałem, że mógłbym wypłacić z książeczki.

Ojciec kiwnął głową i wstał.

– To powinno być możliwe – powiedział tylko.

Poszedł porozmawiać z kasjerem i kwadrans później byłem już na ulicy, w tylnej kieszeni miałem osiemset sześćdziesiąt koron, a świat stał przede mną otworem, jak obrotowe drzwi. Jeśli nie cały świat, to przynajmniej Oslo. Kupiłem w monopolowym zapas białego wina i zataszczyłem do mieszkania. Ale tam czekała mnie kolejna niespodzianka. W skrzynce na listy leżał piękny rachunek dla Seba, za czynsz niezapłacony od dziesięciu miesięcy. Miałem trzy dni na uregulowanie całej należności. Jeśli nie, to mnie wyrzucą. Musiałem bulić. I koniec końców zostało mi siedemdziesiąt osiem koron. Zastanawiałem się, czy nie powinienem wsiąść na pierwszy prom do Nesodden, ale bohatersko się oparłem. I tak mijało to lato. Byłem spłukany, żyłem o skórkach od chleba i ciepłej wodzie. Ale któregoś dnia znów spotkałem w windzie Vigdis, zorientowała się, co się dzieje, i zajęła się mną. Nakarmiła mnie gęstą zupą jarzynową, kefirem i goframi. Zajmowała się mną przez resztę lata, z jakiegoś powodu utrzymywała mnie przy życiu, a ja się przekonałem, że Wielki Czyn Rewolucyjny nie jest obliczony na takich jak ja, po prostu nie byłem stworzony do takich zadań. Uświadomiłem to sobie pewnego wieczoru, kiedy nachyliłem się nad parapetem, syty po zjedzeniu trzydziestu gofrów Vigdis, właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że to Smok dokonał Wielkiego Czynu Rewolucyjnego. Wyobraziłem go sobie pływającego w spienionej wodzie, z nożem w zębach, otoczonego rekinami. Smoku, pomyślałem. Ty pomściłeś Freda, pomściłeś Jørgena. Smok mściciel!

GOLDEN SLUMBERS
JESIEŃ/ZIMA ’70-’71

Kiedy stałem na stopniach auli uniwersyteckiej z aktem immatrykulacji w ręku, czułem, że jesień już się zaczęła, chociaż przez gałęzie drzew przeświecało słońce wiszące nad Teatrem Narodowym. Pewnie przyszło *Indian summer*, takie jak kiedyś, gdy ojciec powiedział, że mamy jechać po jabłka, był wrzesień, a ja pomyślałem sobie, że chyba niedługo zabiją gwoździami fontannę. Stałem na schodach auli, a obok mnie przesuwali się ludzie. Nie widziałem żadnych znajomych. Niektórzy mieli czarne czapki. Inni byli w strojach ludowych albo w garniturach. Jeszcze inni przyszli w dżinsach, jak ja. Mrużąc oczy, rozglądałem się za kimś, kogo bym znał, ale nikogo takiego nie zauważyłem. Zadawałem sobie pytanie, co teraz zrobić. Zszedłem ze schodów i skierowałem się do ławki, na której siedzieli moi rodzice. Uścisnęli mi rękę, tacy dumni, po kolei musieli wziąć do rąk sztywny akt z czerwoną pieczęcią. Mama spod oka przyglądała się mojemu strojowi, ale go nie skomentowała.

– Masz zamiar zostać w tym wynajętym mieszkaniu, Kim? – spytała.

– Tak zamierzałem.

– Ale czy Sebastian wkrótce nie wraca?

– Nie wiem.

– Dajesz sobie radę sam?

– O rany, jasne.

Rozmowa się zacięła, uśmiechaliśmy się tylko do siebie, ale nagle ojciec się ocknął, jakby gdzieś wewnątrz garnituru odnalazł swoje prawdziwe ja.

– Jesteś pewien, że wybrałeś właściwy kierunek? – spytał głośno i uroczyście.

– Tak mi się wydaje. Ale i tak najpierw muszę zaliczyć pierwszy rok, kurs wstępny[9].

– Filozofia – powiedziała powoli mama. – Kim człowiek potem jest?

Znów trochę pomilczeliśmy. W końcu ojciec wyciągnął z kieszeni nowiuteńką stówę, prosto spod prasy w Narodowym Banku Norwegii.

– Tylko imprezuj z umiarem. – Lekko potrząsnął mnie za ramię.

– Jasne, no pewnie. – Uśmiechnąłem się. – No pewnie.

Stałem z gładziuteńkim banknotem w ręku, rodzice ramię przy ramieniu odeszli aleją pod drzewami. Nie bardzo wiedziałem, czym mam się teraz zająć. Usiadłem na ławce i zapaliłem papierosa. Przechodząca obok dziewczyna wręczyła mi ulotkę przeciwko EWG, a zaraz potem chłopak z Akmedu[10] dał mi drugą. Wepchnąłem je do kieszeni, rozejrzałem się, nikogo znajomego. Pojechałem kolejką na Blindern, na uniwersytet, pokręciłem się trochę po księgarni, obejrzałem kilka książek z listy lektur, czułem się dziwnie słabo. Już lepiej było w sklepie z płytami. Samoobsługa, mogłem posłuchać tylu płyt, ilu chciałem. Puściłem kilka krążków jazzowych, Davisa, Coltrane'a, Mingusa, ale nie bardzo mi podeszły. Przeniosłem się do knajpy w budynku Frederikke, kupiłem smołowatą kawę i usiadłem w tej wielkiej stodole sam przy stoliku. Nikogo znajomego. Wypaliłem za dużo, musiałem iść do kibla. Piętro niżej był cały rząd stoisk. Dyżurujący przy nich od razu się na mnie rzucili, nawtykali mi mnóstwo papieru. Znalazłem w końcu kibel, stał tam już jakiś chłopak i natychmiast zaczął gadać, od razu spytał, czy jestem członkiem Ruchu Narodowego[11] albo Akmedu. Czym prędzej stamtąd wyszedłem, biegiem wyminąłem stoiska i znalazłem się między wysokimi, czerwonymi blokami. Na trawie beztrosko leżeli ludzie, minąłem ich powoli, ale żadnej twarzy nie rozpoznałem. Z powrotem wziąłem kurs na miasto, przez Stadion Tørtberg. Jakieś chłopaczki w biało-niebieskich strojach grały w piłkę. Chwilę się im poprzyglądałem, na bocznej linii stał Åge, tak, to był Åge, trochę przytył, ale to na pewno on, rozpoznałem jego okrzyki. Piłka wśród tych chudziutkich nóg sprawiała komiczne wrażenie. Ruszyłem dalej, trochę się pośmiałem i zaraz znów byłem na Karl Johan. Zastanawiałem się, co robić. Poszedłem do Pernille i zamówiłem ostatnie piwo w tym roku. Szklanka chłodziła dłonie. Dopiero wtedy się zorientowałem, że zgubiłem gdzieś świadectwo immatrykulacji. Musiałem je zostawić w tym sklepie z płytami. Ale nie chciało mi się tam teraz wracać. Posiedziałem, dopóki nie poczułem chłodu na plecach. Tego dnia w Pernille nie było żadnych znajomych. Znów się trochę pokręciłem po

mieście, poszedłem na przystań, popatrzyłem, jak prom do Nesodden cofa się i zawraca. W drodze pod górę zatrzymałem się koło kina Klingenberg, w długiej kolejce panowała niesamowita atmosfera. *Woodstock*. Nie miałem nic innego do roboty, więc też się ustawiłem, wkrótce siedziałem na sali, zapadła ciemność i zaraz obrazy z muzyką zaatakowały moje zmysły. Niedługo całe pomieszczenie rozświetliły zapalniczki. Paliły się wzdłuż rzędów krzeseł, w powietrze wzbił się gęsty, słodki dym. Sąsiad szturchnął mnie i podał mi żarzącego się skręta. Wziąłem. Na ekranie wyświetlały się jednocześnie cztery obrazy. Ktoś od tyłu podał mi chillum. Strażnicy chodzili wzdłuż rzędów i drapali się w głowy. Jakaś dziewczyna poczęstowała mnie pastylką. Śpiewał Country Joe. Deszcz. Deszcz w Woodstock. Tego nie zapomnę nigdy. Nagle było już po wszystkim i wyszliśmy na ulicę. Przeszukałem kieszenie. Byłem spłukany. Od asfaltu biła ciemność. Nie podobał mi się film puszczany na niebie. Ani trochę nie podobały mi się te obrazy. Pobiegłem do domu, na Munchs gate. Winda poniosła mnie w górę. Wcisnąłem się plecami w lustro. Wysiadłem na piątym i zapukałem do Vigdis. Była w domu i mnie wpuściła. Później pamiętałem tylko, że obudziłem się w jej malusieńkiej łazience w samych slipach, w głowie miałem kamieniołom. Dźwignąłem się, a kiedy zobaczyłem lustro, zacząłem krzyczeć, krzyczałem, bo w poprzek twarzy biegła krwawa smuga, moja twarz była podzielona na dwie części, rozcięta, krzyczałem, zaraz pojawiła się Vigdis, naga i pulchna, ciężkimi piersiami dotknęła moich pleców.

– Dziwny jesteś – rzuciła tylko.

Obmacałem twarz, odkręciłem kran i nachyliłem się. Musiałem cholernie mocno trzeć, bo nie chciało schodzić. Na twarzy cały czas tkwił mroczny cień.

– Jesteś mi winien trzy rzeczy – powiedziała Vigdis.

Popatrzyłem na nasze odbicia.

– A co?

– Butelkę dżinu.

Ostrożnie kiwnąłem głową. Co do tego nie mogłem zaprzeczyć.

– Szminkę.

Na podłodze leżało puste opakowanie. Spojrzeliśmy na siebie w lustrze.

– A ta trzecia? – spytałem.

Vigdis powiodła palcem wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Tego ci nie powiem.

Musiała iść do pracy, a ja do domu. Wjechałem windą jedno piętro w górę. Wtoczyłem się do pokoju, wyrzygałem do kosza na śmieci i na główkę skoczyłem na materac, jak z dziesięciometrowej wieży, z dziesięciometrowej wieży do pustego basenu. Spałem dziewięć miesięcy.

CZĘŚĆ III

COME TOGETHER
LATO ’71

To było niesamowite. Tysiące, dziesiątki tysięcy, nigdy wcześniej nie widziałem tylu ludzi zgromadzonych w jednym miejscu. Staliśmy na Youngstorget, był początek czerwca, późne popołudnie, a Gunnar i Ola już wyszli z wojska.

– Rozprawimy się z burżuazją! – wrzasnął Gunnar, przekrzykując hałas tupiących stóp, klaszczących dłoni, skandowanych haseł, trzeszczących mikrofonów, brzęczących puszek, muzyki i wiatru.

Odpowiedziałem mu tylko uśmiechem. Ze wszystkich stron nadciągali ludzie, dobijali do nas, było coraz ciaśniej. Czułem się jak na olbrzymim parkiecie, na którym każdy tańczy z każdym.

– Gdzie Seb? – wrzasnął mi do ucha Ola.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem pojęcia, gdzie może być Seb.

– Nie wrócił jeszcze do domu?

Gunnar miał przerażoną minę.

Pokręciłem głową, bo w tym chaosie nie dało się gadać. Nad tłumem uniosły się ogromne plakaty, transparenty i norweskie flagi. „TEN POCHÓD NIE RUSZA DO BRUKSELI. EWG TO WZROST KOSZTÓW UTRZYMANIA! NIE DLA EWG! TAK DLA DECENTRALIZACJI!” A potem ci stojący na samym przodzie ruszyli w stronę Karl Johan i placu koło ratusza. I od momentu gdy ruszyli ci pierwsi, do chwili gdy ruszyli ostatni, upłynęły co najmniej cztery godziny. Można by pomyśleć, że kręcili się w kółko, ale tak nie było, to naród wyszedł z domów i zajął ulice Oslo w ten czerwcowy dzień w 1971 roku.

Miasto było zielono-czerwone, pachniało bzem i spalinami, słońcem i zaciśniętymi pięściami.

Na Rådhusplassen zrobiło się jeszcze ciaśniej. Na pace ciężarówki ustawiono mównicę, norweskie flagi powiewały pod niebem. Staliśmy mniej więcej pośrodku tej ludzkiej masy, czując naciski od tyłu. Ola robił

się coraz bledszy, zaczął się osuwać, paskudnie zbliżał się już do poziomu bruku.

Dźwignąłem go.

– Źle się czujesz?

Przewrócił oczami, pot lał mu się z czoła.

– Klaustrofobia – szepnął. – Klaustrofobia się zbliża.

Zbierało mu się na wymioty, więc wyprowadziliśmy go stamtąd w bezpieczne miejsce przy Teatrze Narodowym.

– Jak ty sobie dawałeś radę na okręcie podwodnym, skoro nie możesz wytrzymać na placu przy ratuszu? – Zaśmiałem się.

Ola dochodził już do siebie.

– Wcale sobie nie dawałem rady – jęknął. – Mało nie popsułem całych manewrów NATO. W Madla byłem kucharzem!

Długo się z tego śmialiśmy, a potem poszliśmy do ogródkowej knajpy Namioty Sary, zamówiliśmy kolejkę i wystawiliśmy czułki, żeby się nawzajem obmacać. Dawno się nie widzieliśmy. Wypatrywaliśmy zmian, sprawdzaliśmy, czy jesteśmy tacy sami jak dawniej.

– Nie miałeś kompletnie żadnej wiadomości od Seba? – spytał znów Gunnar.

– Nic. Zero.

Nie miałem też żadnej wiadomości od Niny ani od Jørgena. Mama obiecała przeadresowywać pocztę, gdyby coś przyszło, ale skrzynka na listy codziennie rano była tak samo cholernie pusta. Czarna studnia. Ani jednego znaku życia. Nawet jaskrawokolorowej pocztówki.

– Dziwne – mruknął Gunnar. Zrobił zmartwioną minę, napił się, skręcił sobie papierosa z tytoniu Petterøes. – Rozmawiałeś z matką Seba?

– Nieee.

– Co ty właściwie robiłeś przez ten rok? – zainteresował się Ola, który już odzyskał formę.

Zawahałem się.

– Nic specjalnego. Spałem.

– Nie zaliczyłeś kursu wstępnego na studiach?

– W ogóle tam nie poszedłem.

Do stolika przyniesiono następną kolejkę, stuknęliśmy się i wypiliśmy.

– Dziwne, że Seb się nie odezwał – powtórzył Gunnar.

– Was też ręce nie świerzbiły, żeby napisać – zauważyłem. – I nie mieliście ani jednej przepustki?

Trochę się zawstydzili, a ja od razu pożałowałem tego ataku. Ola każdą przepustkę spędzał u Kirsten, Gunnar współpracował z jakimś oddziałem czegoś w Bodø.

Zbyłem to śmiechem.

– Trochę tu było bez was smutno – powiedziałem, podnosząc szklankę.

Gunnar popatrzył mi prosto w oczy, jego wzrok nie drgnął nawet o milimetr.

– Paskudnie z naszej strony, Kim. Bardzo źle. Składamy samokrytykę. Ale my przynajmniej tu teraz jesteśmy. A Seba nie ma.

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo przy sąsiednim stoliku zasiadł Stig, z plikiem anarchistycznej gazety „Gateavisa" przewieszonym przez ramię.

– Bądźcie pozdrowieni, krewniacy! Siedzicie tu i trujecie się dobrowolnie? – Pstryknął w nasze piwa. – Ty też, braciszku? Myślałem, że marksiści-leniniści tworzą front przeciwko alkoholowi.

– Przeciwko pijaństwu – poprawił go Gunnar. – Walczymy z pijaństwem. Robotnicy mogą się napić w ciepły letni wieczór, prawda?

Stig przysłonił oczy dłonią i rozejrzał się dokoła.

– Robotnicy, mówisz. Gdzie ich widzisz?

– Byłeś na pochodzie? – spytałem, żeby trochę rozładować atmosferę.

– Jasne, chłopaki. – Stig poklepał Gunnara po plecach. – Szkoda, że ty nie mogłeś być, braciszku.

Gunnar powoli odwrócił się do niego.

– Przecież byłem, do cholery!

– Naprawdę? A ja myślałem, że Akmed uważa Ruch Narodowy za burżuazyjną bzdurę. Sądziłem, że Akmed ma własne hasła.

Wstał, zanim Gunnar zdążył się odciąć, i wyciągnął przed siebie ręce jak papież, jakby miał zamiar nas pobłogosławić.

– Zajrzyjcie któregoś dnia do nas na Hjelmsgate, chłopaki. Kawiarnia z książkami i biodynamiczne jedzenie. Widzimy się!

Przeszedł do następnego stolika. Gunnar nie odezwał się przez kolejne trzy kwadranse. A wtedy powiedział:

– Niech to szlag. Musimy się dowiedzieć, co się stało z Sebem!

Wieczorem powlokłem się sam do domu. Skrzynka na listy nadal była pusta. Wjechałem windą na piąte i zadzwoniłem do mieszkania Vigdis. Otworzyła mi jakaś obca dziewczyna i dopiero wtedy zauważyłem, że na drzwiach jest też inne imię. Vigdis wyprowadziła się już kilka miesięcy temu. Dziewczyna przyglądała mi się dziwnie. Nie udało mi się więc oddać Vigdis tego, co jej byłem winien.

Wszedłem na górę po schodach i otworzyłem kluczem drzwi do siebie. Ale bajzel. Musiałem posprzątać. Najwyższa pora. Otworzyłem okno. Opróżniłem cuchnący kosz na śmieci, wrzuciłem ubrania do szafy, poukładałem książki, ustawiłem równo płyty, zdmuchnąłem kurz z igły, wylałem skwaśniałe mleko, wywaliłem twarde jak kamień i porośnięte pleśnią skórki od chleba, sprzątnąłem na mokro. Seb będzie miał miłe przywitanie, kiedy wróci. A jeśli nie wróci, to pojedziemy go szukać. Cholera, pewnie, że tak.

Następnego dnia zajrzeliśmy do matki Seba, która potwierdziła nasze obawy. Seb nigdy nie dotarł do Bordeaux. Ojciec długo czekał, w końcu musiał odpłynąć bez syna. Sebowi najwidoczniej coś się poplątało po drodze. Przysłał jedną jedyną kartkę, tuż po Nowym Roku, z Amsterdamu. Napisał, że jedzie do Paryża i że wszystko u niego w porządku. Matka wyglądała na nieszczęśliwą i wystraszoną.

– A co u was? – Próbowała się uśmiechnąć, po kolei obrzucając każdego spojrzeniem.

– No, jakoś leci – wykrzesaliśmy z siebie, wycofując się do wyjścia.

– Dajcie znać, jeśli się czegoś dowiecie – poprosiła, zaciskając ręce.

Padało, więc naradę zorganizowaliśmy w knajpie, w Krølle. Sytuacja była krytyczna. Musieliśmy jechać do Paryża i szukać Seba.

– Pojedziemy stopem – zdecydowałem. – Dotrzemy na miejsce w parę dni, idę o zakład.

– Nie mam forsy – westchnął Ola.

– W wojsku poznałem chłopaka, który często latem pracował w firmie transportowej z Majorstua – przypomniał sobie Gunnar. – Podobno przez całe lato potrzebują mnóstwo ludzi.

– A jak już dotrzemy do Paryża, to będę mógł pożyczyć forsę od stryja – powiedziałem.

Omówiliśmy na wszystkie strony, co mogło się przytrafić Sebowi, a nie było tego mało. Skupieni wokół stolika, rozmawialiśmy szeptem, spieszyło nam się, nie mieliśmy ani jednego dnia do stracenia.

W poniedziałek rano ustawiliśmy się na Aslakveien na Røa razem z gromadą innych, od których jechało wódą. Drżącymi, pożółkłymi palcami skręcali papierosy z mocnej czerwonej mieszanki. Facet w czapce z daszkiem, nazywany Kaszkietem, zapisał nasze nazwiska, potem odbyło się wywoływanie, pomocnicy szli za kierowcami. Gunnar dostał robotę, Ola dostał robotę, w końcu mnie też wywołali. Zostałem wysłany do magazynu po sześć pasów i zaniosłem je do bedforda, ciężarówki, przy której czekało pięciu olbrzymów z owłosionymi rękami. Nogi się pode mną ugięły. Przydzielili mnie do pianinowozu. Musieli mnie pomylić z Gunnarem. Olbrzymi zmierzyli mnie wzrokiem, śmiejąc się kpiąco, szybko wymienili spojrzenia. Moje uda były cieńsze od ramion kierowcy. Ledwie mogłem unieść pasy.

– Wrzuć je do transita – burknął któryś – i usiądź na nich.

Usłuchałem, reszta się śmiała. Ruszyliśmy. Samochód okropnie podskakiwał i szarpał, nagle przypomniała mi się tamta policyjna suka, oblał mnie zimny pot. Wyjrzałem przez brudną szybę, tuż za nami jechał bedford. Kierowaliśmy się w stronę Majorstua, w końcu stanęliśmy na Slemdalsveien, przed knajpą Mayong. Poszli na śniadanie, o mnie zapomnieli. Zostawili mnie w ciasnym, cuchnącym transicie. Waliłem w drzwi i szarpałem, ale nie chciały się otworzyć. Byłem jak pies zamknięty w klatce, nienawidziłem ich. Wreszcie któryś przyszedł i otworzył. Wyskoczyłem i całą piersią chłonąłem tlen. Z rechotem poklepał mnie po plecach.

– *Sorry*, kolego. Zapomnieliśmy o bagażu.

Za szybą cała banda mięśniaków zaśmiewała się nad siekanymi kotletami. Żałowałem, że Seba nie ma w domu. Posadzili mnie przy swoim stoliku, miałem tylko kilka koron, na jedną kawę.

Zdenerwowany i wściekły, zacząłem skręcać papierosa.

– Wiesz, że w tej pracy właściwie jest nakaz noszenia siatek na włosy? – powiedział jeden z tych byków, naprężając tatuaże. – Żeby ci się nie dostały pod pasy. Bo to gorsze niż złapać fiuta na haczyk.

Gruchnął śmiech. Śmiałem się razem z nimi, wreszcie udało mi się zwinąć tego skręta.

– Mamy przenosić pianino? – spytałem, zanim śmiech ucichł.

Urwał się prędko. Wszyscy spojrzeli na mnie. Pokręcili wielkimi głowami.

– Nie. Nie pianino.

Poczułem ulgę i nagły przypływ odwagi.

– Fortepian koncertowy – powiedział kierowca.

Instrument miał trafić do dużej sali w Chateau Neuf, siedzibie Norweskiego Związku Studentów, betonowego kloca, który zmasakrował okolicę Tørtberg. Nogi zostały odkręcone, pudło obrócono na bok, opakowano w brezent i przywiązano do metalowej ramy z sześcioma otworami na pasy do noszenia. Całość ważyła pół tony. Było nas sześciu ludzi. A raczej pięciu i ćwierć.

Nie umiałem zawiązać węzła na pasie, musieli mi pomóc. Przewracali oczami, a ja czułem się mniej więcej tak samo jak wtedy, kiedy ojciec stał z tyłu za mną i wiązał mi krawat. Potem wyregulowaliśmy wysokość, wsunęliśmy haki w otwory i podnieśliśmy się na sygnał bossa. Poczułem się tak, jakby cały kręgosłup wcisnęło mi w jedną nogę. Krew pożegnała się z głową. Chwiejnie ruszyłem w kierunku schodów, ciągnąc za sobą na haku całą kulę ziemską. Przy schodach zatrzymaliśmy się i odstawiliśmy ładunek. Pas szorował w kark, barki bolały, węzeł wrzynał się w nerki.

– Ty pójdziesz przodem – rozporządził boss, wskazując na mnie. – Wyreguluj do Kallego.

Kalle to był ten barczysty, z tatuażami. Zdjąłem pas, rozwiązałem węzeł, porównałem z jego długością. Wpatrywał się we mnie bez słowa.

– Co ty, do diabła, wyprawiasz?! – wrzasnął w końcu.

– Reguluję.

– To do chuja niepodobne. Nie możesz zdejmować pasa, kiedy regulujesz!

– Nie?

– Jesteśmy równego wzrostu?

– No nie. Jesteś wyższy ode mnie.

– No właśnie, mądralo. Wobec tego twój pieprzony pas musi być krótszy od mojego, jeśli mamy nieść równo, co nie?

Rumieniec objął mi głowę jak ciasny, gorący hełm. Prędko włożyłem pas, potem opuszczaliśmy i podnosiliśmy, aż wreszcie haki ułożyły się jednakowo. Znów miałem kłopoty z węzłem, ale bałem się prosić o pomoc. W końcu jakoś go zawiązałem, wydawał mi się odpowiednio solidny.

Dźwignęliśmy, podnieśliśmy jednocześnie i zaczęliśmy się wspinać po schodach. To było gorsze niż podnoszenie samego siebie. Serce wciskało w żołądek, mózg wsysało do gęby. Nagle jednak coś się wydarzyło, w połowie pierwszej kondygnacji zrobiło mi się lżej, jakbym przywykł do ciężaru, jakby mi już tak okropnie nie ciążył. Prawdziwy cud. Czułem się lekko, niesamowicie lekko, miałem ochotę gwizdać, rzucić jakiś dowcip, zupełnie jakbym unosił się w powietrzu. Za to Kalle coraz bardziej czerwieniał na twarzy, z czoła tryskał mu pot, oczy miał wąskie, mętne, a usta wykrzywione we wściekłym grymasie.

– Odstawiamy! – wrzasnął, więc na podeście opuściliśmy fortepian. Kalle oparł się o brezent, z trudem łapał oddech, płuca mu grały jak kobza. Ja nic nie czułem i uśmiechałem się do pozostałych.

W końcu Kalle się wyprostował, odpiął hak, z wściekłością podszedł do mnie i zmierzył mój pas. Był co najmniej o dziesięć centymetrów dłuższy od jego.

– Próbujesz sobie żartować? – syknął. – Cały ciężar przerzuciłeś na mnie.

– Nie chciałem – wydusiłem z siebie.

Spojrzał na węzeł, potem na mnie.

– Do kurwy nędzy, nie możesz wiązać babskiego węzła, kiedy masz dźwigać fortepian!

Reszta aż jęknęła, waląc się rękami w czoło.

– Całość mogła się przechylić, ty durniu!

Kalle musiał znów wiązać mi krawat, ale donieśliśmy fortepian na górę, do dużej sali. Dźwigałem aż do łez w oczach. Czułem się jak karzeł, gdy go w końcu odstawiliśmy. Miałem odciski na plecach i wodę w kolanach. Byłem obity, powykręcany i zawstydzony.

Kalle podszedł do mnie, poczęstował mnie gotowym papierosem i poklepał po ramieniu. Odwieźli mnie do firmy, tam kazano mi ustawiać kartony w magazynie.

O wpół do czwartej wrócili też Gunnar i Ola. Pokazaliśmy w kasie kartki z liczbą godzin i dostaliśmy wypłatę. Kolejką wróciliśmy do miasta. Ale trudno było przejść przez Majorstua z takimi wypchanymi kieszeniami, więc znaleźliśmy sobie stolik u Starego Majora.

– Za diabła nie wrócę więcej do tej zasranej roboty – oświadczyłem. – Dali mnie na pianinowóz i ośmieszyli jak ostatnią łajzę.

– Jutro trafi ci się lepszy wóz. Ola i ja mieliśmy robotę super.

– A mnie o mało kręgosłup nie pękł od tego cholernego fortepianu. Powinni, do diabła, dawać ochraniacze na kolana. Jutro nie idę i koniec.

– Dlatego że fortepian był ciężki? Czy że się ośmieszyłeś? – spytał Gunnar.

– Jeszcze jeden taki ciężar, a na pewno nie dowlokę się do Paryża.

Atmosfera zgęstniała, Gunnar też się wkurzył. W końcu nachylił się nad stołem i rozsunął szklanki.

– Z tobą, Kim, sprawy tak się mają, że jesteś tchórzem. Zawsze się idiotycznie popisywałeś, ale kiedy przychodzi co do czego, okazuje się, że jesteś tchórzliwy i obrażalski. Owszem, możesz się wspinać na dach i tańczyć z kościotrupem, ale nie możesz wytrzymać, kiedy stary robotnik się z ciebie śmieje, bo nie potrafisz zawiązać porządnej pętli!

Czy to Gunnar tak powiedział? Niezbyt dobrze pamiętam. Zresztą wszystko jedno. Następnego dnia się stawiłem. Jasne, że tak. Wyznaczono mnie do opróżniania pięknej willi na Persbråten, były nadgodziny i piwo. W każdym razie to Gunnar zaproponował, żebyśmy brali z kasy tylko tyle, ile potrzebujemy, żeby przeżyć, i w ten sposób nie przehulali u Starego Majora wszystkich pieniędzy na wyjazd. No i tak zrobiliśmy. Jako

pomocnicy tragarzy przemierzyliśmy całą południową Norwegię, jak własną kieszeń poznaliśmy każdą kawiarnię i każdy sklep spożywczy w Oslo i okolicach, tak jak kiedyś znaliśmy każdą trawiastą polanę i każde boisko piłkarskie, a później każdy park. Ola spotkał tego faceta, który zabrał go stopem ze Slemmestad w tamten straszny dzień. Przywitali się serdecznie, Ola został już na stałe przy jego samochodzie. Gunnar zajął moje miejsce w pianinowozie, a ja przenosiłem i dźwigałem, pakowałem śmierdzące gacie i brudne talerze, mordowałem się z zamrażarkami wypchanymi żarciem, które w upale topniało i zaczynało cuchnąć, ustawiałem w stosy książki, zwijałem dywany, otwierałem szafy i wyciągałem szuflady. Zajrzałem za fasadę połowy Norwegii i niezbyt mi się spodobało to, co zobaczyłem. Widziałem kurz, brud i mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Przychodziliśmy do ludzi, którzy się rozstawali, walczyli o każdy talerzyk i łyżeczkę, widziałem nienawiść, widziałem miłość, zdjęcie pod poduszką, które ktoś zapomniał zabrać, kartkę między książkami, a kiedy już opróżniliśmy jakieś mieszkanie, to wiedziałem wszystko o ludziach, którzy je wcześniej zajmowali. Nie mieli przede mną żadnych tajemnic. Przeprowadzaliśmy internat dla czeladników na Bogstadveien, znosiliśmy z czwartego piętra cuchnące materace z plamami spermy i wszystko wywoziliśmy na wysypisko koło Skui. Pamiętam, stałem tam, dzień był gorący, słońce prażyło, a ja w sandałach wywalałem ten szajs na śmierdzące wysypisko, ogromne muchy, wielkie jak helikoptery, krążyły wokół mnie, bielusieńkie mewy krzyczały mi nad głową, a dookoła biegały spasione szczury. Tego dnia musiałem iść do Starego Majora, bez względu na wszystko.

Ale w końcu któregoś dnia trafiła mi się sama śmietanka w tej robocie, mieliśmy spakować *Dom lalki* w Teatrze Narodowym. Przedstawienie wyjeżdżało na tournée. Podjechaliśmy, kierowca i dwóch pomocników, zaparkowaliśmy koło Pernille, weszliśmy do tego ponurego przybytku i przeszliśmy za scenę, gdzie stały elementy scenografii, a z sufitu zwieszały się sznurki i liny. Dozorca pokazał nam, co trzeba zabrać. Szybko wzięliśmy się do roboty, nosiliśmy te sprzęty i wtedy uświadomiłem sobie raz na zawsze, że film, teatr, książki i wiersze to jedno wielkie oszustwo. Tylko muzyka nie oszukuje, nie udaje czegoś, czym nie jest naprawdę. Muzyka. Wszystko inne to kłamstwo. Chwyciliśmy na pasy pianino,

szarpnęliśmy, a ono wyleciało w powietrze. Ważyło zaledwie kilka kilogramów. Dozorca się roześmiał i otworzył pokrywę. W środku było pusto. Wszystkie wnętrzności wygrzebano. Kiedy Helmer grał na scenie, odtwarzano muzykę z taśmy. Wynieśliśmy je więc na jednym palcu, a goście w Pernille aż powstawali od stolików, wybałuszając na nas oczy. Wyszliśmy z Teatru Narodowego tylnymi drzwiami i dostaliśmy owację na stojąco, trzej tragarze przenoszący pianina, piece kaflowe i trumny jedną ręką. Żałuję, że mama mnie wtedy nie widziała.

Tak mijały dni, płynęły równo, wieczorami padałem z nóg, czując zmęczone mięśnie, spałem dobrze, szykowałem sobie drugie śniadanie i codziennie rano zabierano mnie z Pilestredet. Dni mijały chłodne, któregoś wieczoru, kiedy już wracałem do domu w brudnym roboczym ubraniu, z odciskami na rękach, na Grensen spotkałem Cecilie. Nie poznałem jej na pierwszy rzut oka, była krótko ostrzyżona, wyprostowana, musiałem pogrzebać w pamięci, aż w końcu dotarło do mnie, no tak, oczywiście, to Cecilie.

– Cześć – przywitaliśmy się.

Popatrzyła na mnie z uznaniem. Wyłowiłem z kieszeni niedopalonego skręta.

– Pracujesz? – spytała.

– Tak. Przy przewozie rzeczy. A ty co robisz?

Powiedziała, że uzupełniła maturę o przedmioty ścisłe i od jesieni będzie studiować medycynę na Islandii.

– Na Islandii?

– W Rejkiawiku. Tutaj się nie dostałam.

– Daleko – rzuciłem, żeby w ogóle coś powiedzieć. – I cholernie zimno, prawda?

Roześmiała się.

– Możesz przyjechać mnie odwiedzić.

Zapisała adres w notesie i wyrwała kartkę.

Rozeszliśmy się do swoich spraw.

Pieniądze gromadziły się w kasie. Ale któregoś dnia Kaszkiet spytał, czy Gunnar ma prawo jazdy. Owszem, miał, a na bedforda nie potrzebował

wyższej kategorii. Polecono nam we trzech, z Olą i ze mną w roli pomocników, przeprowadzić jakiegoś natowskiego generała z Kolsås do Blommenholm. Uradowaliśmy się, wszyscy trzej pokrzykiwaliśmy z radości, gnając w stronę głównej kwatery NATO. Gość mieszkał w szeregowcu. To była spokojna robota, w sam raz dla emeryta. Obcięty na jeża wieprz zaserwował nam na schodach o dwunastej bezcłowego tuborga, mówił z dziwnym akcentem, był nadzwyczaj przyjacielski. Gunnar węszył za tajnymi dokumentami i bronią, ale znaleźliśmy jedynie gruby stos pornosów i arsenał zapieczętowanej whisky. Generał pomachał nam z uśmiechem, kiedy ruszyliśmy w stronę Blommenholm, desperacko uprzejmy.

– Pieprzony imperialistyczny szczur – warknął Gunnar, kiedy jechaliśmy w stronę Sandvika. – Na pewno służył w Wietnamie!

– Facet był w porządku – zaoponował Ola.

– Odurzył nas piwem, i to w samo południe! Cholera, jak można pracować dla takiej świni! – nie ustawał Gunnar.

Dodał gazu i skręcił na Blommenholm, zbliżaliśmy się do wiaduktu z torami kolejowymi. Gunnar zwolnił.

– Przejedziemy pod nim? – spytał, zupełnie się zatrzymując.

Wiadukt nie wyglądał na zbyt wysoki. Wysiedliśmy, żeby ocenić sytuację, i znów wsiedliśmy.

– Chyba pójdzie – powiedziałem.

– Chyba nie – zaprzeczył Gunnar.

– Być może – wahał się Ola.

– A jest jakaś inna droga? – spytał Gunnar.

– Będzie dobrze – obstawałem przy swoim.

– Ola, myślisz, że pójdzie?

– Nooo.

– Pójdzie jak po maśle – zapewniłem.

Gunnar zapuścił silnik i ruszyliśmy w stronę wiaduktu. Usłyszeliśmy głośne szorowanie o dach, rzuciło nas do przodu, a generalskie meble narobiły z tyłu piekielnego hałasu. Utknęliśmy.

Gunnar zbladł, spojrzał na nas.

– Nie poszło – powiedział tylko.

Jakoś wydostaliśmy się z kabiny, żeby na własne oczy obejrzeć katastrofę. Bedford stał jak przyklejony, był nie do ruszenia. Utknęliśmy z ładunkiem należącym do NATO.

Podrapaliśmy się w głowy.

– A jakbyśmy wyjęli te graty? – spytał Ola.

– Wtedy samochód jeszcze bardziej się podniesie, ty durniu! – warknął Gunnar.

– To była tylko taka propozycja – łagodziłem. – A poza tym NATO to zgniły sojusz.

Przez chwilę przyglądaliśmy się nieszczęściu. Za nami wytworzył się już niezły korek.

Pozostawało tylko jedno. Znaleźliśmy sklep spożywczy sto metrów dalej i zadzwoniliśmy do firmy. Przyjechali pół godziny później z papierem ściernym i kierowcą precyzyjnym, musieliśmy wejść na pakę, żeby dociążyć koła. Nie brzmiało to przyjemnie, kiedy bedford się cofał. Kaszkiet też był niezbyt zadowolony. No ale trudno. Lipiec już się kończył, zarobiliśmy wystarczająco dużo i o trzy godziny opóźniliśmy agresywny imperializm NATO. Dość już się napracowaliśmy w tej branży.

Odebraliśmy wypłatę i pognaliśmy do Starego Majora. Mieliśmy mnóstwo forsy. Przy pierwszym i ostatnim piwie Gunnar oświadczył:

– Niezłą akcję dzisiaj przeprowadziliśmy! Wojna ludowa się rozpoczęła. A jutro wyjeżdżamy!

Wznieśliśmy toast, wypiliśmy i poszliśmy do domu pakować worki sportowe.

Nie byłem jedynym zwierzęciem na Place Saint-Michel. Ludzie leżeli rozłożeni dookoła, jakby park Zamkowy wykopano i przeniesiono do Paryża. Czułem się tu jak w domu, siedziałem zmęczony i szczęśliwy na brzegu basenu fontanny, mrużyłem oczy wśród spalin, gołębi i słońca, licząc się z tym, że Gunnara i Oli nie zobaczę co najmniej przez parę dni. Miałem niesamowite szczęście. W czwartek rano o siódmej ustawiliśmy się na Mosseveien. Po trzech kwadransach podjechał opel z małżeństwem

grubasów. Jechali do Kopenhagi, ale mieli miejsce tylko dla dwóch. Do tej taksówki wsiedli Gunnar z Olą.

– Spotykamy się na Place Saint-Michel! – zawołałem, machając im na pożegnanie.

– Ostatni stawia wino! – wrzasnął Ola.

Zniknęli na horyzoncie, a ja czekałem przez kilka godzin, ale auta objeżdżały mnie szerokim łukiem i już rozbolał mnie kciuk. Może Gunnar miał rację, że powinienem się ostrzyc, bo nikt nie będzie miał ochoty zbierać z drogi długowłosego łazęgi. Ale nie. O mojej fryzurze za diabła nie będą decydować cholerni ulizani prywatni kierowcy. Stałem więc na Mosseveien, czas płynął, samochody mnie mijały, Gunnar i Ola pewnie dojeżdżali już do Göteborga. I wtedy nagle się zjawił, jak zbawienie, tir z naszej firmy. Zacząłem podskakiwać i wrzeszczeć, przyhamował ze zgrzytem, pobiegłem za nim. To był Robert, fajny gość, ale piekielnie ambitny. Bez słowa wskoczyłem do kabiny, bo cholernie mu się spieszyło. Dodał gazu i już byliśmy w drodze.

– Dokąd się wybierasz? – mruknął, kiedy minęliśmy odchodzącą w bok drogę na Drøbak. Nie zaliczał się do najbardziej gadatliwych.

– Do Paryża.

– No to masz szczęście.

– A ty dokąd jedziesz?

– Do Paryża.

Kiedy dotarliśmy do granicy w Svinesund, odwrócił się do mnie i wypowiedział jedną długą kwestię:

– Teraz czeka cię robota, wiesz? Masz nie pozwolić mi zasnąć, jasne? Zamierzam pobić rekord do Paryża. Matisen jeździ w trzydzieści cztery godziny.

Przez resztę drogi starałem się więc nie dopuścić do tego, żeby Rob zasnął. Przejechaliśmy przez Szwecję, na promie Rob wypił czternaście kaw i dwie kminkówki. Danię pokonaliśmy jednym skokiem, pola spowił zmierzch. Pognaliśmy przez Niemcy. Na parkingu za Hamburgiem przespaliśmy się dwie godziny. Rob miał ze sobą trzy budziki, świdrowały w uszach po kolei, no i poszybowaliśmy dalej autostradą, w nocy, w kabinie wysoko ponad drogą, w ciemności, ponad wszystkimi światłami. Za

każdym razem gdy głowa mi opadała, Rob wbijał mi łokieć w bok, a na łeb wylewał wiadro złorzeczeń. W Belgii słońce wstawało nad hałdami odpadów górniczych, we Francji zatankowaliśmy paliwo. Wypatrywałem wieży Eiffla, ale Paryż powitał mnie widokiem wielkich skupisk bud z blachy falistej, zrujnowanych baraków, skrzynek, śmieci, slumsów, w których mieszkali ludzie. Minęliśmy to jednak i daleko na horyzoncie, w niebieskiej mgiełce, ukazała się wieża Eiffla, jak skruszała fontanna. Oblał mnie pot. Byłem w Paryżu. Rob dociskał pedał gazu i szczerzył zęby w uśmiechu. Przy pierwszym napotkanym urzędzie pocztowym gwałtownie zahamował i wysłał telegram do firmy, trzydzieści godzin, równiusieńko. Nie potrzebował pomocy przy wyładunku, więc zawiózł mnie bezpośrednio na Place Saint-Michel, malusieńkie francuskie samochodziki uskakiwały na bok, kiedy wjeżdżaliśmy w wąskie uliczki, no i takim sposobem o piątej w piątek siedziałem na brzegu basenu fontanny, zmrużonymi oczami przyglądałem się ludziom, a po głowie krążyła mi szalona myśl, że nagle pojawi się tu Seb. Seb, Henny i Hubert. Nie wiem, jak długo tak siedziałem, w każdym razie zrobiło się ciemno i zatęskniłem za domem. Zapalały się światła, coraz więcej świateł. Czułem, jak to wielkie miasto naciska na pierś, ciało wciąż było w ruchu, światła restauracji, sklepików, wystaw, samochodów pędziły na mnie, gnając w szalonym pędzie i zostawiając mnie z czerwonymi, łzawiącymi oczami. Byłem głodny jak wilk, lecz nie wiedziałem, gdzie szukać jedzenia. Mogłem iść pod adres Henny, ale musiałem czekać na Gunnara i Olę. Siedziałem na brzegu fontanny, skrzydlate lwy pluły brązową wodą. Gdzieś w pobliżu płynęła Sekwana. Ktoś grał na gitarze, ktoś na flecie, ktoś inny śpiewał, na placu było mnóstwo ludzi, krążyły wielkie butle z winem, wolno przejechał policyjny radiowóz, ciśnienie mi skoczyło, bo przypomniała mi się Henny w telewizji. Zbliżała się noc, a ja byłem głodny, sam w Paryżu. W pewnej chwili podeszła jakaś dziewczyna, usiadła obok i spojrzała na mnie wyłupiastymi piwnymi oczami.

– Jesteś tu nowy? – spytała po angielsku z amerykańskim akcentem.

– Przyjechałem kilka godzin temu.

Z torby na ramię wyciągnęła wino, bułkę paryską i śmierdzący ser. Ugryzła i popiła, podała mnie, zrobiłem tak jak ona. Powiedziałem jej, że jestem Norwegiem. Zapaliła papierosa, którym też się ze mną podzieliła.

Najmocniejszym, jakim się w życiu zaciągałem. Roześmiała się i rozmasowała mi plecy. Żłopałem wino. Godziny dosłownie spalały się ogniem. Byłem w Paryżu, a zapomniałem wziąć ze sobą śpiwór. Joy, tak się przedstawiła, rozwinęła swój i zaprosiła mnie do środka. Wygrzebałem dwa niewyraźne, zrobione w automacie zdjęcia, pokazałem jej i spytałem, czy nie widziała tu kogoś podobnego. Pokręciła głową i zasnęła. Leżałem, nie śpiąc, w śpiworze naćpanej Amerykanki, w samym środku Paryża, i wpatrywałem się w zdjęcia Seba i Niny. Zrobiono je idiotycznie dawno temu. Nagle jak wściekły homar uszczypnęła mnie w serce myśl, że jeśli ich znajdziemy, to wcale nie będą tak wyglądać. Nie poznamy ich. Nie poznamy się nawzajem.

Joy spała, w śpiworze było ciasno. W pewnym momencie miasto ucichło na kilka sekund, a potem dziesięć milionów ludzi zaczęło się poruszać. Wyślizgnąłem się ze śpiwora, zmarzłem, wciągnąłem sweter. W butelce zostało trochę wina, wypiłem połowę. Rynsztokami płynęła woda. Ubrani na niebiesko Murzyni i Arabowie zamiatali chodniki. Otwierano kawiarenki, wynoszono na dwór stoliki i krzesła, wyjrzało słońce, dotknęło mojego karku. Zdjąłem sweter. Zwierzaki na Place Saint-Michel zaczęły się budzić. Jakaś dziewczyna śpiewała *Blowin' in the Wind*. Joy zwinęła posłanie.

– Cześć – rzuciła tylko.

– Dokąd się wybierasz?

– Nad Morze Śródziemne – powiedziała i ruszyła w tamtą stronę.

O dziesiątej zjawili się Gunnar i Ola. Na mój widok nie kryli zdumienia. Objęliśmy się i zatańczyliśmy w koło.

– Co ty, do diabła, tu robisz? – zawołał Gunnar. – Przyleciałeś samolotem?

– Rob z firmy mnie przywiózł – wyjaśniłem. – A z wami jak było?

Obaj jęknęli.

– Ten grubas z opla okazał się kompletnym głupkiem – zaczął opowiadać Ola. – Mieliśmy jechać do Kopenhagi, a wylądowaliśmy w Sztokholmie. Cały czas mu powtarzałem: źle pan jedzie, *mister*, ale nie słuchał. No i skończyliśmy w Sztokholmie. Mało brakowało, a wjechałby na prom do Finlandii.

– Ale to jeszcze nie koniec – przejął opowieść Gunnar. – Ta jego tłusta żona stwierdziła, że Sztokholm wydaje się ładniejszy niż Kopenhaga, więc tam zostali. A my znów musieliśmy łapać stopa i do Kopenhagi dotarliśmy dopiero wczoraj.

– Stamtąd przyjechaliśmy pociągiem – dodał Ola.

Obydwóm wymierzyłem kuksańca w brzuch.

– Siadajcie – powiedziałem. – Jesteście mi winni wino!

Gunnar wytarł pot z czoła i rozejrzał się wkoło.

– Cholera, tutaj raczej nie da się mieszkać.

– A masz jakąś lepszą propozycję?

– Chyba jest w pobliżu jakiś hotel!

– Tyle masz forsy?

– Nie mówiłeś, że pożyczysz od stryja?

– Jasne – powiedziałem. – Szukamy hotelu.

Znaleźliśmy hotel przy Place de l'Odéon. Pokój na szóstym piętrze kosztował osiem franków od osoby. Wyprawiliśmy Olę po zapas wina. Wrócił szybko z całym naręczem butelek. Otworzył jedną, upił potężny łyk, pokręcił głową, jęknął i ruszył do umywalki. Powąchaliśmy to, co wypluł. Zaświdrowało w nosie.

– Ty durniu, kupiłeś ocet! – Roześmiałem się.

– Ocet?

Ola, biały jak pergamin, opadł na łóżko.

– *Vinaigre* – przeczytałem mu. – *Vinaigre*!

Tak więc to ja z klasy językowej musiałem iść wymienić zaopatrzenie. Przyniosłem do domu kosz *vin de table*. Otworzyliśmy okno, widać było kawałek Notre Dame, wywijając butelkami, wznieśliśmy toast za Paryż, wypiliśmy łapczywie, pełni nadziei w sercach.

W końcu wszyscy trzej zasnęliśmy, jeden przy drugim, w miękkim łóżku. Obudził nas deszcz padający na podłogę. Zamknąłem okno, otworzyłem kolejną butelkę wina.

– Teraz musimy szukać Seba – oświadczyłem.

Zaczęliśmy od kilku piw w barze Le Ronsard naprzeciwko hotelu. Deszcz przestał już padać, z rozstawionych obok straganów unosił się karnawał zapachów. Wielkie baby wołały jedna przez drugą, szczerzyły się, odsłaniając zgniłe pieńki zębów, parchate psy snuły się po chodniku, utuczone wróble turlały się jak nadmuchane piłki tenisowe, gdzieś z tyłu brzęczał flipper, ale przede wszystkim pamiętam zapach truskawek, olbrzymich, lśniących, jaskrawoczerwonych truskawek; cholernie przypominały mi Ninę. Musiałem iść kupić kilka, udało mi się kalekim francuskim poprosić o koszyczek, podzieliłem się nimi z chłopakami. Truskawki, wino, piwo.

A potem przemierzyliśmy Paryż wzdłuż i wszerz. Powęszyliśmy w Dzielnicy Łacińskiej, zjedliśmy tunezyjskie bułki, o mało nie spaliwszy sobie przełyków, pospacerowaliśmy nad Sekwaną, pogadaliśmy z jakimiś holenderskimi freakami, ale nie spotkaliśmy żadnych Norwegów, popatrzyliśmy na starych dziadków łowiących ryby w brązowej rzece, po której sunęły czarne barki i świecące statki z turystami, poszliśmy na Pont Neuf, ale wśród najaranej bandy zaległej pod kasztanowcami i wierzbami płaczącymi też nie było Seba, trzymaliśmy wartę na Place Saint-Michel, a raz wydało mi się, że widzę Jørgena, z gorąca rzeczy mi się odkształcały.

Co wieczór, a raczej co noc wracaliśmy wykończeni do hotelu i kończyliśmy ciemnym piwem w Le Ronsard.

– Nie zamierzasz wkrótce odwiedzić stryja? – spytał Gunnar.

Bałem się tej wizyty i dlatego ją odkładałem. Bałem się jak cholera.

– Zamierzam, zamierzam.

Poszedłem do kontuaru po jeszcze jedną kolejkę.

– W zasadzie to idiotyzm – stwierdził Gunnar.

– Co? – mruknął Ola.

– Wydaje nam się, że znajdziemy Seba w tym mrowisku, a przecież nie ma nawet pewności, czy on tu w ogóle jest.

Przygnębieni, poszliśmy do hotelu i zasnęliśmy natychmiast, razem z chrzęszczącymi karaluchami.

Ale następnego dnia znów wyruszyliśmy. Szukaliśmy w Ogrodzie Luksemburskim, zaatakowaliśmy prawy brzeg, powędrowaliśmy przez Champs-Élysées, widzieliśmy tylko szpanerów i sklepy. Wspięliśmy się po

schodach do Sacré-Cœur – sami Japończycy, poszwendaliśmy się wokół placu Pigalle – dziwki, *liveshow*, obrzydliwi naganiacze, odnaleźliśmy drogę z powrotem nad Sekwanę, powłóczyliśmy się wzdłuż zielonych bud z książkami. Coraz wyraźniej docierało do nas, że spudłowaliśmy, spudłowaliśmy totalnie. Ola uważał, że najwyższa pora zacząć jeździć metrem, bo miał już odciski nawet na kolanach, ale Gunnar upierał się, że nie możemy szukać Seba pod ziemią.

– Ja w każdym razie umieram z głodu – oświadczył Ola.

Znaleźliśmy nędzną restaurację w bocznej uliczce, zamówiliśmy *croque monsieur* i piwo.

– Ale z czego on, u diabła, żyje? – zastanawiał się Gunnar.

– Cholera wie. Pewnie od czasu do czasu znajduje jakąś robotę.

Żaden z nas jednak jakoś w to nie wierzył. Przyniesiono jedzenie, trzy przypalone bułki z serem i szynką. Trochę tu śmierdziało, pewnie tylko zgniłą wodą z rynsztoka. Kelner zapalił papierosa tuż nad naszymi głowami, my rzuciliśmy się na jedzenie. Smakowało całkiem nieźle. Wyskrobaliśmy wszystko do ostatniej okruszyny i zaczęliśmy się zastanawiać nad repetą. Nagle poczułem, że coś ociera mi się o nogi. Uniosłem obrus i popatrzyłem prosto w oczy najbrzydszego zwierzęcia, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Spadłem z krzesła, Gunnar i Ola się poderwali, a ten kundel wylazł, niewiarygodne, parszywe skrzyżowanie przodu pudla z tyłem wilka. Skoczył na mnie i przeciągnął mi po twarzy szorstkim, cuchnącym ozorem. Usłyszałem czyjś rechot, niemożliwe, żeby to był Gunnar albo Ola. Nagle dostrzegłem sztywnego fiuta, sterczącego między tylnymi łapami, cienkiego i czerwonego, ślina ciekła potworowi z pyska, rytmicznie ocierał się o moją nogę. Gunnar przyszedł mi na ratunek, odciągnął psa, wstałem, ale kundel się nie poddawał, znów do mnie przyskoczył i położył mi przednie łapy na brzuchu. Kopnąłem go z całej siły, aż zatrzeszczały drewniaki, łysy potwór przetoczył się i powlókł w głąb restauracji, brzuchem szorując po ziemi. Ale wtedy zaatakowało mnie coś innego, poczułem na karku spoconą owłosioną łapę, która mnie obróciła. Kelner. Zbluzgał mnie, plując naokoło. Teraz miarka już się przebrała. Gunnar użył swoich dźwigów, podniósł drania i rzucił nim prosto w bar. Uciekliśmy stamtąd, zostawiając niezapłacony rachunek i rozwrzeszczanego, czarniawego kelnera. Zatrzymaliśmy się dopiero w Le

Ronsard. Tam usiedliśmy przy naszym stałym stoliku, zasłużyliśmy na piwo jak nigdy.

– We Francji jest wścieklizna – powiedział Gunnar.

Piwo stanęło mi w gardle.

– Co?

– Uczyłem się o tym w wojsku. Jeśli masz jakąś otwartą ranę albo zadrapanie i znajdziesz się w bezpośredniej bliskości psa chorego na wściekliznę, to możesz się zarazić.

– Kurza twarz, myślisz, że ten kundel miał wściekliznę?

Już ogarniała mnie panika. Czułem się brudny, trędowaty, wrócił tamten ohydny odór zwierzęcia. Gorączkowo szukałem rany. Znalazłem skaleczenie na dłoni, ale prawie już zagojone, zaczęło mnie swędzieć, wszędzie, całe ciało. Wszy, świerzb, miałem wszystko naraz.

– A jak się objawia wścieklizna? – spytał Ola.

– Pić ci się chce – wyjaśnił Gunnar. – Cholernie chce ci się pić. Ale nie masz odwagi się napić, bo się boisz, że się utopisz w tym, co pijesz. W końcu zaczynasz się bać, że utoniesz we własnej ślinie. No i umierasz.

Nachyliłem się nad stołem, usiłowałem zachować spokój.

– A jeżeli komuś chce się pić i pije jak cholera, to znaczy, że nie ma wścieklizny? – spytałem.

– Chyba tak – odparł Gunnar.

Podszedłem do baru i zacząłem pić. Wszystko we mnie spływało. Piłem, aż w Le Ronsard wyschły piwne krany. Gunnar i Ola zaprowadzili mnie do hotelu, pamiętam, śniło mi się, że jestem bezpańskim psem.

Następnego dnia rano obudziłem się sam, z bańką większą niż kopuła Hagii Sophii. Było już późno, uliczny hałas na Boulevard St. Germain wznosił się sześć pięter w górę, walił w szyby i w powieki. Chciało mi się pić. Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciało mi się pić, czułem suche, piekące pragnienie nie tylko w ustach, czułem je w całym sobie, od duszy aż po stopy. Powlokłem się do umywalki, udało mi się odkręcić kran, lecz wtedy od razu przypomniały mi się ostrzeżenia przed piciem wody z kranu w Paryżu. W pokoju nie było jednak nic innego do picia, a ja o mało nie zwariowałem z pragnienia, więc wsadziłem głowę pod kran, usiłowałem

przełknąć, plułem, pojawił się lekko kłujący lęk, karaluchy chichotały, pewna myśl oplotła mi szyję i mocno się na niej zacisnęła: gdybym teraz przemienił się w psa, nikt by tego nie zauważył, nikt nie próbowałby mnie zatrzymać, gdybym zbiegł ze schodów parszywy, zaśliniony, najwyżej by mnie stąd wykopali i byłbym jeszcze jednym bezpańskim psem Paryża. Spróbowałem kolejny raz, po kilku łykach w końcu udało mi się przełknąć, piłem ohydną, cuchnącą ściekami wodę, odzyskałem równowagę, głowa znów zaczęła działać. Tak jak stałem, usiadłem na podłodze, wmawiając sobie, że będzie dobrze; lekko trzymałem się za brzuch, powtarzając, że nic złego się nie stanie. Potem zacząłem rzygać. Łukiem do umywalki puściłem pawia z wody i rozmoczonych frytek. Byłem jak fontanna. Później znalazłem kartkę od Gunnara i Oli. „Spotkamy się w Ronsardzie o czwartej".

Kiedy przyszedłem, kelnerzy powitali mnie oklaskami. Zamierzałem poprzestać na wodzie Vichy, ale zanim w ogóle zdążyłem coś powiedzieć, przynieśli olbrzymie piwa i nie chcieli wziąć za nie pieniędzy. Przyglądali mi się tylko z namaszczeniem, mało brakowało, a poprosiliby o autograf. Wypiłem piwo, utrzymało się.

– Jak tam forma? – spytał Gunnar.

– Marnie. Mam sierść na plecach i ręce mi się wydłużają.

Pośmialiśmy się bez komentarza. W końcu Ola stwierdził:

– Nigdy nie znajdziemy tutaj Seba, nawet jeśli on tu jest. Szukamy w jednym miejscu, a on może być w innym. Na pewno cały czas tylko wokół siebie krążymy.

Zastanowiliśmy się nad tym, Ola miał rację. To była najbardziej nieudana misja poszukiwawcza stulecia. Miałem te dwa zdjęcia z automatu w tylnej kieszeni spodni, wszystko wydawało się żałosne. Nawet widok na targ nie poprawił mi nastroju. W skrzynce z truskawkami zauważyłem wielkiego robala.

– Musisz się wreszcie skontaktować z tym swoim stryjem – upomniał się Gunnar. – Zaczyna nam brakować forsy.

Miałem tego świadomość.

– Przenosimy się do Le metro – zdecydowałem. – Denerwuje mnie siedzenie tutaj. Kelnerzy świdrują mi dziurę w głowie.

Przenieśliśmy się na drugi róg, stanęliśmy przy kontuarze i dostaliśmy trzy kieliszki wypełnione po brzegi białym winem. Kelner z żółtym petem w przednich zębach wyszczerzył się i dolał jeszcze trochę, tak że musieliśmy się nachylić i siorbać.

– Francuskie poczucie humoru – westchnął Gunnar.

Sytuacja zaczynała robić się nerwowa. Pierwszego dnia pękalibyśmy ze śmiechu i jeszcze raz poprosilibyśmy o pełne kieliszki. Pora wracać do domu. Musiałem odwiedzić Henny i Huberta.

I nagle przez hałas i odgłosy rozmów w barze, przez ścianę warkotu samochodów przedarł się blues, ostry blues, zawodząca harmonijka ustna, torturowany wilk, dźwięk wydobywał się z ziemi, ze stacji metra tuż obok. Wokół nas zrobiło się ciszej, samochody zwolniły, dźwięk docierał coraz wyraźniejszy. Spojrzeliśmy po sobie oczami wielkimi jak cynowe talerze, rzuciliśmy się do wyjścia, przedarliśmy się, wymijając ludzi, i po schodach zbiegliśmy na stację. Tam stanęliśmy jak wryci. Nie wierzyliśmy własnym oczom. W przeciągu z korytarzy, w chmurze smrodu szczyn, oparty o brudnożółte kafelki stał Seb. Obok niego leżała zielona mapa metra. Był zmieniony nie do poznania, jedynie bardzo, bardzo głęboko dawało się dostrzec dawnego Seba. On też nie wierzył własnym oczom. Jeśli to w ogóle nadal były jego oczy. Harmonijka odpadła mu od ust, wargi miał pokryte strupami.

– Wy tutaj? – wydusił z siebie.

– A to nie tędy jeździ tramwaj na Frogner? – spytał Ola. Co byśmy zrobili bez Oli?

Udało nam się roześmiać. A potem Seb się rozpłakał. Odwrócił się, zaczął walić głową o ścianę. Nieliczni słuchacze zabrali swoje monety i po cichu odeszli.

Zaciągnęliśmy Seba do pokoju hotelowego, położyliśmy go do łóżka. Drżał jak płomyk, w końcu musieliśmy go przytrzymać. Seb się splątał, tak jak jego długie, tłuste włosy i cienka, brudna broda.

– Gdzie masz swoje graty? – spytał trzeźwo Gunnar.

Seb wskazał niedużą zieloną torbę na ramię. Leżał sztywny w łóżku i między jednym a drugim atakiem konwulsji powiedział:

– Chłopaki, ja potrzebuję… Wiem, gdzie dostaniecie… działkę.

Tak bardzo nas to nie zdziwiło, ale mimo wszystko strasznie było to usłyszeć. Gunnar zbielał na twarzy, przyskoczył do Seba i zaczął nim potrząsać jak zapałką, która nie chce zgasnąć.

– Ty cholerny dupku! Nie proś nas o takie rzeczy, słyszysz? Słyszysz?!

Potem ściągnął z niego koszulkę i na ramionach zobaczyliśmy tatuaże niedoszłego marynarza, ale nie kotwicę i serce, tylko wzór z brązowych śladów igły.

Wlaliśmy w Seba wódkę, żeby go trochę uspokoić. Buchał z niego brudny pot. Trochę go podnieśliśmy i oparliśmy o ścianę. Między popękane wargi wsunęliśmy zapalonego papierosa.

– Co się stało? – spytałem szeptem.

Seb opowiedział swoją historię, nierówno, szarpnięciami, potrzebna do tego była cała butelka calvadosu i dwie paczki gauloise'ów. Siedział ze spuszczoną głową i opowiadał wśród spazmów.

Źle się podziało już na promie do Danii. Spotkał tam najaraną dziewczynę z Tåsen, która wybierała się na festiwal na Isle of Wight, temu nie mógł się oprzeć, bo dziewczyna twierdziła, że Jim Morrison osobiście pobłogosławi trzodę. Seb przyłączył się do dziewczyny. Stopem pojechali do Calais, przeprawili się promem i dotarli do wietrznej wyspy, na której już było ze dwieście tysięcy upalonych Indian.

Seb zrobił przerwę. Czekaliśmy ze źrenicami spoconymi z przejęcia i uszami w trybie gotowości.

– No i… no i Morrison tam był? – wydusiłem z siebie.

Seb kiwnął głową, popiół spadł na łóżko.

– Był. Pijany, zaćpany, z brodą apostoła i bezpośrednim kontaktem z bogami. Onanizował się mikrofonem, że aż pryskało. W życiu czegoś takiego nie słyszałem, chłopaki!

Już same wspomnienia go wykończyły. Nalaliśmy mu paszy, przypaliliśmy mu prowiant.

– Opowiadaj dalej – szepnął Ola.

Po zakończeniu bitwy na wyspie Wight Seb miał jeszcze tydzień do spotkania z ojcem w Bordeaux. Dziewczyna z Tåsen przekonała go, że zdąży zajrzeć do Amsterdamu, to przecież ledwie po drugiej stronie rzeki,

Seb wybrał się więc razem z wielonarodową, odjechaną bandą do miasta tulipanów i tam już na poważnie zaczęło się źle dziać. Dni płynęły, ale Seb tego nie zauważał. Kiedy pierwszy raz trochę oprzytomniał, była jesień. Panna z Tåsen zniknęła, a on znajdował się w jakiejś ruderze nad zgniłym kanałem razem z dwudziestoma innymi zdezorientowanymi ćpunami.

– Nic gorszego nie przeżyłem, chłopaki. Łeb miałem kompletnie wydmuchany. Statek odpłynął. Byłem bez grosza i siedziałem jak przyklejony w Amsterdamie. Co się wtedy robi, chłopaki?

– Idzie się do ambasady – oświadczył rzeczowo Gunnar.

– No rzeczywiście, bosy, z wytrzeszczem, na głodzie w gabinecie ambasadora. Niezły pomysł. Następny przystanek w pierdlu.

– No to co zrobiłeś? – spytał szeptem Ola.

Seb nie poszedł do ambasady. Ukradł komuś organki i grał bluesy na ulicach Amsterdamu. Zbierał monety, ale nie zdołał nigdzie dalej wyjechać ani wrócić do domu. Chodzenie na trzeźwo było zbyt męczące. Wpadł w ciąg. Został w Amsterdamie do Nowego Roku.

– Wiesz, na kogo się natknąłem któregoś dnia, Kim? – spytał nagle. – Na Ninę.

– Na Ninę?

Zapadłem się w sobie. Nagle poczułem mocny smak jabłek w calvadosie, esencję, jabłkową krew.

– Ninę?

– No tak. Ninę ze szkoły na Vestheim.

W pokoju zrobiło się cicho, od okna nadciągał mrok. Z gzymsu dochodziło gruchanie.

– No i co u niej? – spytałem powoli.

– A jak ci się wydaje? Była w ciągu. Tak samo jak wszyscy inni.

Seb pustym wzrokiem patrzył przed siebie poprzez dym.

– Myślałem, że jest w Afganistanie – powiedziałem.

Zaśmiał się cicho ochrypłym, nierównym śmiechem.

– Wszyscy tak mówią. Wszyscy, którzy są na haju. Wszyscy ci przepaleni, przeżarci, zaćpani.

Zasłonił twarz rękami i zaczął się trząść. Zesztywniałem z przerażenia. Lęk mnie paraliżował. Był niczym strzała z trucizną wbita w plecy. Nie mogłem nawet się rozpłakać.

Seb podniósł głowę.

– Nigdy tam nie docierają. Nina była w Paryżu. Dalej nie dotarła. Musiała wracać do domu, nad kanały.

Zwymiotowałem do umywalki, krew jabłek wytrysnęła ze mnie, opryskując mi twarz. Nikt tego nie skomentował. Nie miałem siły więcej pytać.

– Straciłem ją z oczu – podjął Seb. – A potem pojechałem do Paryża. Wziąłem harmonijkę i pojechałem do Paryża.

– No ale gdzieś ty, do jasnej cholery, był? Przecież szukaliśmy cię wszędzie.

Seb zgasił papierosa, parząc palce, czego najwyraźniej nie zauważył.

– Latem byłem na cmentarzu – powiedział. – Na Père-Lachaise.

– Gdzie? Na cmentarzu?

– Na grobie Jima.

– Jima?

– Jima Morrisona.

Zgasł. Czuwaliśmy przy nim. Był chudy jak gwóźdź. I zardzewiały. Nawet karaluchy nie zwracały na niego uwagi. Łaziły po suficie. Za oknem, w niebieskim powietrzu Paryża wschodziło słońce.

Gunnar i Ola pilnowali Seba, a ja pojechałem do Henny. Byłem zbyt zmęczony i miałem za dużego kaca, żeby się bać. Kartkę z adresem wręczyłem kierowcy taksówki, zawiózł mnie na Rue de la Grande Chaumière na Montparnasse. Przypomniałem sobie, jak już kiedyś jechałem taksówką przez obce miasto do dziewczyny. Nie czułem żadnego niepokoju. Byłem na tyle głupi, by wierzyć, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, gorzej być nie może.

Pokręciłem się trochę po uliczce, zanim znalazłem właściwy numer, wielkie zielone drzwi ze szkłem i kratą, na marmurowej płytce złotymi literami wypisano: *Ateliers*. Pod drzwiami leżały trzy bagietki, ale drzwi

były zamknięte na klucz, bez żadnego nazwiska. Tuż obok była niewielka księgarnia, z albumami o sztuce i reprodukcjami na wystawie. Przysadzisty gość w środku patrzył na mnie z ciekawością. Podszedłem do niego, wydusiłem z siebie po francusku coś o młodej Norweżce, pokazałem mu kartkę z adresem, a wtedy jego twarz rozpromienił najszerszy uśmiech, jaki w życiu widziałem. Jego ręce zatańczyły nad głową, którą nieprzerwanie kiwał, i mówił mnóstwo rzeczy, z których zrozumiałem tyle, co z chińskiego. Wydaje mi się jednak, że spytał, czy ja też jestem Norwegiem, co potwierdziłem, a on wtedy jeszcze bardziej ześwirował. Zaczął czegoś szukać w zapchanej szufladzie, w końcu wyciągnął kartkę, którą wcisnął mi do rąk. Popatrzyłem na nią i wbity w serce tępy nóż obrócił się trzy razy: Munch. *Dziewczyna i śmierć*. Wyszedł ze mną na zewnątrz, wcisnął guzik przy trzecim piętrze, otworzył bramę i kazał mi iść.

Wdrapałem się po trzech kondygnacjach schodów i zadzwoniłem do drzwi. Minęło sporo czasu, zanim ktoś się pojawił. Dostatecznie dużo, żebym mógł stamtąd uciec. Ale stałem tam, kiedy Henny mi otworzyła, półnaga. Rzuciła mi się na szyję, wciągnęła mnie do środka. Potem nieco się cofnęła i uważnie mnie obejrzała. Trochę przytyła. Nabrała miękkości jak kołdra, stała się jeszcze piękniejsza.

– Chyba cię nie obudziłem – powiedziałem.

– Owszem. – Zaśmiała się.

Stała tak, przyglądając mi się, w tym wielkim pokoju z ogromnym oknem i mnóstwem zielonych roślin wijących się po ścianach i suficie.

– Zmieniłeś się – stwierdziła.

Otworzyły się drzwi sypialni. Spodziewałem się Huberta. Ale wyłoniła się stamtąd naga dziewczyna. Zakołysała się, podeszła do Henny, pocałowały się, mocno i długo. Na moich oczach. Odwróciłem się powoli, zawstydzony.

– To jest Françoise – przedstawiła ją w końcu Henny. – A to Kim.

Françoise pocałowała mnie w policzki czternaście razy, a potem wycofała się do kąta.

Musiałem wreszcie coś powiedzieć.

– Gdzie Hubert? – spytałem.

Henny przysunęła sobie krzesło, usiadła i zapaliła papierosa.

– Hubert mieszka na Île de Ré. To wyspa u wybrzeży Atlantyku.

Ja też usiadłem. Kac nie próżnował. W głowie trwała wycinka, drwale zaczęli też odgałęziać pnie i zdzierać korę.

– Muszę się z nim skontaktować. To daleko?

– Trzeba jechać pociągiem do La Rochelle, a stamtąd promem – wyjaśniła Henny.

Opowiedziałem jej o Sebie. Wyznałem, że potrzebujemy forsy na pociąg do domu.

– Pójdziesz z nami do Coupole! – zdecydowała Henny.

Obie z Françoise zniknęły w sypialni. Zabawiły tam dość długo, a ja pociłem się w tej cieplarni. Myśli krążyły niespokojnie. Dziewczyny w końcu przyszły. Spacerkiem dotarliśmy do Coupole, restauracji wielkości prawdziwego hangaru. Kiedy tylko usiedliśmy, wokół stolika zaroiło się od mydłkowatych typów z ulizanymi włosami, w wymiętych dwurzędowych marynarkach i białych butach. Françoise i Henny zamówiły jajka i herbatę, ja wziąłem *un demi*, a wszystkie te typki koniecznie chciały się ze mną przywitać i szeptać mi coś prosto do ucha. Potem Henny mówiła bardzo dużo po francusku, a ślimaki kładły na stoliku banknoty i poklepywały mnie po ramieniu. Z każdą chwilą przestawały mi się wydawać ślimakowate. Właściwie nigdy dobrze nie umiałem oceniać ludzi, w zasadzie jestem pod tym względem dość głupi.

– Wiesz, Françoise i ja jesteśmy kompletnie spłukane – oświadczyła Henny, podsuwając mi te banknoty.

Zrobiło mi się trochę głupio. Dopiłem piwo.

– Przecież mogę pojechać stopem – powiedziałem.

– Weź te pieniądze – nalegała. – I pozdrów Huberta.

Zapisała mi jego adres i wytłumaczyła, gdzie jest dworzec. Trzy kwadranse później siedziałem w pociągu jadącym na zachód, w przedziale pełnym śpiących Francuzów. Siedząc zupełnie nieruchomo, próbowałem uporać się z myślami, ale moja głowa przypominała pojemnik na śmieci i nie dałem rady jej opróżnić. Zamiast tego również zasnąłem i może było to najlepsze, co mogło mi się zdarzyć. O dwunastej obudził mnie jakiś piekielny hałas, pozostali pasażerowie w przedziale powyciągali butelki

z winem, nagryzali krwistoczerwone pomidory, pochłaniali szynkę i kurczęta, rozkładali na kolanach zgniły ser, więc wyszedłem na korytarz i opuściłem okno, żeby wiatr podwójnie oczyścił mi głowę. Wioski. Pola. Winnice. Nad jakąś rzeką nagle wyrzuciłem zdjęcia, które miałem w tylnej kieszeni.

Z La Rochelle przedostałem się dalej autobusem i promem, na Île de Ré dotarłem już po ciemku. Tam musiałem wsiąść do nowego autobusu i pół godziny później wyskoczyłem w La Flotte, malusieńkim porcie, w którym dął wiatr wprost z Atlantyku. Usłyszałem kutry rybackie huśtające się na falach i zobaczyłem światła dwóch barów. Wszedłem do pierwszego i pokazałem adres. Dobrze wiedzieli, gdzie to jest. Dostałem nawet darmowe piwo, a potem nieduży chłopczyk zaprowadził mnie na miejsce. Zatrzymał się przed bramą, pokazał palcem dom i już go nie było. Wyszła jakaś staruszka i uważnie mi się przyjrzała. Pokazałem jej kartkę, mówiąc *Norvège*. Zaklaskała w dłonie i popchnęła mnie na podwórze, gdzie stał niski, murowany budynek z werandą.

– Yber! – zawołała. – Mesje Yber!

Wyszedł. Wychylił się przez balustradę i spojrzał na nas. Wbiegłem do niego po schodach. Stał w szlafroku z paskiem i nie wyglądał na zbyt zaskoczonego. Zapuścił brodę.

– Dobrze się tu ukryłeś – wypaliłem.

Położył mi ręce na ramionach.

– Wejdź – powiedział cicho.

To był dość pusty pokój. Na środku stał stół. W kącie leżał stos blejtramów. Ściany były nagie.

Ostre światło wydobyło lęk. Po tak długim czasie nagle okazało się, że jestem na to nieprzygotowany.

– Niełądnie z twojej strony – stwierdziłem.

– Tutaj się taniej żyje, Kim. Mogę tu zostać do końca życia.

Wyszedł do kuchni i wrzucił do rondla małże. Stał odwrócony do mnie tyłem. Słyszałem fale bijące o brzeg.

– Udaje ci się coś tu namalować? – spytałem.

Hubert nie odpowiedział. Zalał małże białym winem, sam wypił łyk, pokroił cebulę. Stał odwrócony plecami. Dostrzegłem jakiś obraz. Przedstawiał mężczyznę z głową owiniętą zakrwawionym bandażem. Małże w winie zapachniały.

– Niełądnie z twojej strony – powtórzyłem.

– Twój ojciec mi wybaczył?

Głos zabrzmiał jak ze starej płyty mamy.

– Tak – powiedziałem.

Przesiedzieliśmy całą noc, jedliśmy małże, piliśmy wino. Hubert tłumaczył, że *La Flotte* znaczy „morze", a kiedy się trochę upił, dodał, że *moule* mówi się nie tylko na małżę, ale też na cipkę. Nie mogłem ich więcej jeść.

– Mam ci przekazać pozdrowienia od Henny – powiedziałem.

Hubert poszedł po kolejną butelkę.

– Nie pasowaliśmy do siebie – szepnął.

– Potrzebuję pieniędzy. Na cztery bilety kolejowe do Oslo.

Potem piliśmy prince hubert de polignac i słońce znów wzeszło, jakby nic się nie wydarzyło. Wyszliśmy na werandę, słuchaliśmy, jak wypływają kutry. Słuchaliśmy morza, wiatru i ludzi.

– W zeszłym tygodniu złowili rekina – powiedział Hubert. – Rekina!

Odprowadził mnie na przystanek koło portu. Tam był targ, było życie. My byliśmy zmęczeni i samotni.

Przyjechał autobus. Nad nami z krzykiem krążyła mewa. Pachniało rybami, solą i wodorostami.

– Masz dość pieniędzy? – spytał Hubert.

– Wystarczy.

– Pozdrów wszystkich.

– Wydaje mi się, że powinieneś niedługo wrócić do domu. Możesz spokojnie wracać.

Ujął mnie za rękę i nie chciał puścić. Potrząsał nią, broda mu drżała, nie mógł się oderwać. Oczy miał pełne słonej wody. Kierowca zaczął trąbić. Hubert nie puszczał. Wszystkie twarze w autobusie zwróciły się na nas. W końcu musiałem się wyrwać.

Usiadłem na samym końcu i patrzyłem, jak stryj Hubert zostaje na pustym przystanku. Zniknął równie szybko, jak w moich myślach przemknęło całe życie, zasłoniły go maszty i mewy.

W hotelu Odéon zastałem kompletną panikę. Seb zwiał. Poszedł do kibla i nie wrócił. To się stało dwadzieścia cztery godziny temu.

– Trzeba było za nim iść! – wrzasnąłem.

– Przecież nie jesteśmy przedszkolankami, idioto! A ty, u diabła, gdzie się podziewałeś?

Ola się włączył:

– Nie wolno się teraz kłócić, chłopaki. Cholera, nie wolno się teraz kłócić!

Znów siedzieliśmy w Le Ronsard, czyli wróciliśmy do punktu wyjścia. Miało się już ku wieczorowi, Paryż puszczał do nas oko, wrzeszczał i wionął nam w twarze cuchnącym oddechem. Gdybym zaczął teraz liczyć ludzi, tobym oszalał. Maszerowali obok nas całymi rzędami, zbierali się w grupkach na wszystkich rogach, wypełniali sklepy, samochody, domy, bary, byli wszędzie. Przypomniało mi się, jak bawiłem się w chowanego w Nesodden, znalazłem idealne miejsce, nieduże zagłębienie w ziemi za krzakiem, ułożyłem się na brzuchu, z zamkniętymi oczami, bo wydawało mi się, że dzięki temu stanę się jeszcze bardziej niewidzialny. Nagle poczułem łaskotanie na nogach i zorientowałem się, że leżę na środku mrówczej ścieżki, mrówki ruszyły na mnie, nie miałem odwagi kiwnąć nawet palcem, leżałem w pozycji na baczność, a mrówki pokryły mnie całego. Leżąc tak, myślałem o żmii, o martwej żmii, którą widziałem w mrowisku przy płocie, a w tym czasie ktoś daleko liczył powoli do stu.

Gunnar rozpostarł mapę na stole. Seb był na głodzie. Seb poszedł po działkę. Jakaś dziewczyna włączyła *Light My Fire* w szafie grającej. Już wiedziałem.

– Cmentarz – oznajmiłem. – Grób Morrisona.

Odszukaliśmy Père-Lachaise na planie miasta i złapaliśmy taksówkę.

– Jeśli go znajdziemy, to jeszcze dziś wieczorem wsiadamy do pociągu – postanowiłem.

Cmentarz Père-Lachaise okazał się całym miastem, smaganą wiatrem ruiną, między grobami biegały dzikie koty, a były tam nie tylko nieduże nagrobki, ale całe domy, posągi, schody, świątynie, kolumny, poczułem się chory od przebywania w tym miejscu, to była druga strona Paryża, królestwo zmarłych, oddalone o krótką podróż taksówką od strumienia żywych ludzi.

Przeszukaliśmy cmentarz w poprzek i wzdłuż, widzieliśmy stare, ubrane na czarno kobiety, stojące w milczeniu między drzewami, słuchaliśmy zawodzenia kotów, oglądaliśmy zwiędłe kwiaty i potłuczone witraże, czuliśmy zapach zgniłych liści i piwnic, uchodziliśmy sobie nogi, baliśmy się, że zabłądzimy, jeśli przystaniemy w środku tego szalonego labiryntu. Ola poszarzał i zamilkł, Gunnar pustymi oczami patrzył przed siebie, wiatr przewiewał nas na wskroś, ciężkie chmury nasunęły się na niebo i kiedy zagrzmiało, spadły pierwsze krople deszczu. Wtedy usłyszeliśmy coś jeszcze między grobami kawałek dalej. Pianino elektryczne, bas, perkusję, grzmot, deszcz, a potem głos Jima. *Riders on the Storm*. Pobiegliśmy tam. Na jakiejś ścianie zauważyliśmy napis „Morrison Hotel". Ruszyliśmy w kierunku wskazanym przez strzałkę, muzyka dochodziła coraz wyraźniej. Echo, deszcz, grzmot, przepchnęliśmy się obok wielkich nagrobków. Za nimi, wokół nędznego skrawka ziemi, siedziała banda freaków, a jednym z nich był Seb.

Jak obuchem uderzyła nas podniosłość tej chwili. Usiedliśmy po cichu obok Seba. Ciemnowłosa, blada dziewczyna wczepiona w magnetofon kasetowy bezgłośnie płakała. Na drewnianej tabliczce był napis: „Douglas Morrison James". Z ziemi sterczała butelka po winie z wetkniętym w nią kwiatem. Wokół grobu bielała obwódka z muszli.

– Musimy spadać – szepnąłem do Seba. – Wieczorem mamy pociąg.

Wstał bez słowa i poszedł za nami. Nie stawiał oporu. Jakby ogarnął go wielki, nierzeczywisty spokój, oczy pod tłustym przedziałkiem błyszczały. Wróciliśmy do hotelu po nasze rzeczy, metrem pojechaliśmy na Gare du Nord, kupiłem cztery bilety do Oslo przez Kopenhagę. Pociąg odjeżdżał za pięć jedenasta, zostały nam jeszcze dwie godziny. Kupiliśmy piwo w bufecie i usiedliśmy, żeby czekać.

Wtedy Seb zaczął mówić. Powoli i wyraźnie, jakby się bał, że go nie zrozumiemy. Jakby był księdzem, a wielka hala dworcowa jego kościołem.

– Jim nie umarł – oświadczył. – Jim nie umarł.

Nachyliliśmy się bliżej.

– Jim nie umarł?

– On tylko udaje umarłego. Zabrał się stąd. Do Afryki. Żeby tam żyć ze swoją nową duszą. Na Père-Lachaise pochowano jego starą duszę.

– Co ty wygadujesz? – spytał Gunnar.

– Nikt nie widział ciała – ciągnął Seb. – Pamela brała udział w tym wszystkim.

– Pamela?

– Jego dziewczyna. Spotkałem ich w Rock'n'Roll Circus i byłem w ciągu z Jimem przez tydzień. Mówił, że niedługo wyjeżdża. – Nagle Seb się zdenerwował, zaczął rozglądać się na wszystkie strony i kazał nam się przysunąć. – To tajemnica, chłopaki. Ani słowa nikomu innemu, dobra? FBI go szuka.

Napiliśmy się piwa i na tablicy wyświetlił się nasz pociąg.

– Co ty właściwie masz w tej swojej torbie? – spytał nagle Gunnar.

Seb przyciągnął ją do siebie i nie odpowiedział. Do odjazdu zostało dwadzieścia minut. Gunnar nie ustępował. Wyrwał mu torbę i otworzył. W środku leżały strzykawka i pudełko zapałek.

– Masz zamiar zabrać to gówno do domu?

– Cholera, chłopaki, muszę sobie strzelić przed wyjazdem!

Gunnar trzymał torbę, patrząc na Seba z mroczną miną.

– Nie – powiedział. – Wrzucimy to do kibla.

Wstał. Seb skoczył za nim. Z krzykiem.

– Gunnar! Do diabła! Zabijesz mnie!

– Nie ja, tylko to. – Gunnar wskazał na zieloną torbę.

– To nie są petardy czy kapiszony! – krzyknął Seb, nagle całkiem przytomniejąc.

Ale Gunnar już poszedł w stronę toalet. Seb nie wierzył własnym oczom.

– On to zrobi – powtarzał tylko cicho do siebie. – On to naprawdę zrobi.

Po drugiej stronie ulicy kupiłem trzy butelki wódki i w ostatniej sekundzie wskoczyliśmy do pociągu. Opuściliśmy Paryż, wszyscy czterej.

Jechaliśmy do domu przez cuchnącą Europę, która lepiła się do skóry w postaci szarego brudu.

SENTIMENTAL JOURNEY
JESIEŃ ’71

Nastała jesień. Gunnar zaczął studiować na uniwersytecie, znalazł sobie mieszkanie w miasteczku studenckim Sogn. Seb, karmiony mlekiem z miodem u babci, odzyskał spokój. Ja skończyłem dwadzieścia lat, dostałem kredyt studencki, kupiłem podręczniki na kurs wstępny na uniwersytecie i dalej zajmowałem pokój na Munchs gate. Ola mieszkał u rodziców na Solli plass i dostał się do Bjørknes, prywatnej szkoły średniej, po której mógł zdać maturę eksternistycznie. Wszystko zapowiadało się nieźle, wyglądało na to, że będzie przebiegać gładko i bezboleśnie. Aż do pewnego telegramu z Trondheim, który położył gwałtowny kres wszelkim planom Oli na przyszłość. Kirsten była w czwartym miesiącu, a człowiek honoru nie ucieka od odpowiedzialności. Ola kupił obrączki i bilet na pociąg, a wieczorem w dniu jego wyjazdu zorganizowałem mu niezły wieczór kawalerski w apartamencie na Munchs gate. Kredyt studencki był wciąż jeszcze ciepły, więc zaserwowałem tonę krewetek, szampan, białe wino i dżin. Siedzieliśmy we czterech, ale o dobry nastrój było ciężko. Piliśmy, wyglądało na to, że Seb, trzeźwy od powrotu z Paryża, teraz pęknie. Wyniosłem skorupki po krewetkach do zsypu, a kiedy wróciłem, Ola płakał. Palił, pił, płakał, a jednocześnie usiłował mówić.

– Niech to szlag, chłopaki. Niech to szlag! I to teraz, kiedy w końcu się zebraliśmy!

– Daj spokój – łagodził Gunnar. – Przecież nie jedziesz na Alaskę.

Ola ryczał coraz głośniej.

– Nie tak to sobie wyobrażałem! – szlochał. – Przecież dostałem się do Bjørknes i w ogóle. Cholera!

Gunnar potrząsnął nim, łagodnie, ale zdecydowanie.

– Posłuchaj mnie, panie młody. Maturę możesz zrobić i w Trondheim. A będziesz mieszkał razem z Kirsten. Przecież zawsze tego chciałeś,

prawda?

Ola otarł łzy i się uśmiechnął. Nalałem mu mocnego drinka.

– Co ja bym bez was zrobił?

Poklepaliśmy go po ramieniu, w końcu podniósł głowę.

– Mam nadzieję, że to będzie chłopak – szepnął.

Atmosfera trochę się poprawiła. Ola wyglądał tak, jakby już był ojcem czwórki dzieci. Pochłaniał drinki w zawrotnym tempie, dumny jak kogut. Nagle jednak twarz mu się zmieniła. Skulił się, przerażone oczy wpadły w głąb czaszki.

– A jeśli to nie mój dzieciak? – wymamrotał.

– Weź się w garść, do jasnej cholery! – wrzasnął Gunnar. – Będziemy udawać, że tego nie słyszeliśmy.

Ola rozpaczliwie rachował na palcach, liczył i liczył, w końcu z cichym westchnieniem, po błyskawicznym solo na skrzynce od butelek, z ulgą usiadł na podłodze.

– Czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień – zaśpiewał. – To musiało być tamtego dnia rano…

– Oszczędź nam szczegółów. – Roześmiałem się, szykując mu prawdziwą piłę motorową w drinku.

Seb przez cały wieczór nie wykazywał szczególnej chęci do rozmowy, ale teraz się ożywił i wyciągnął z kieszeni grubą, czarną księgę.

– Ponieważ nie będziemy na ślubie, to uważam, że powinniśmy odprawić taki mały ślub na próbę.

Położył sobie, rany boskie, Biblię na kolanach i zaczął ją kartkować.

– Kompletnie ci odbiło! – krzyknął Gunnar.

Ale Seb w ogóle go nie słuchał.

– Wstań! – z powagą zwrócił się do Oli. – A Kim będzie Kirsten.

– Przecież on, do cholery, nie bierze ślubu w katedrze Nidaros! – Gunnar nie posiadał się ze zdumienia.

– Tym ważniejsze jest odprawienie tej symbolicznej ceremonii – oświadczył spokojnie Seb.

Albo był kompletnie pijany, albo niemożliwie się wygłupiał. Ale my też w tym uczestniczyliśmy.

Gunnar, wstrząśnięty, siedział w kącie, Ola i ja, chwiejąc się na nogach, staliśmy obok siebie, a Seb powoli i wyraźnie odczytał fragment rozdziału z czarnej księgi. Złożyliśmy sobie przysięgę na dobre i na złe, pomajdrowaliśmy obrączkami, dostaliśmy ataku śmiechu i przewróciliśmy się na podłogę.

Seb zachował twarz pokerzysty, więc świrowaliśmy jeszcze bardziej. Tylko Gunnara najwyraźniej wcale to nie bawiło. Wyciągnął z półki *Czerwoną książeczkę* Mao i do siódmych potów odczytywał fragmenty z rozdziału *Odważyć się toczyć walkę, odważyć się zdobyć zwycięstwo*. Ola i ja wstaliśmy, nalaliśmy sobie wódki i czknęliśmy chórem. Ceremonia dobiegła końca. Duchowni zamknęli księgi i Ola znów wybuchnął płaczem. Tym razem wydawał się niepocieszony. Dni z chłopakami minęły, teraz czekały go już tylko pieluchy, długi, teściowa i ględzenie. Nigdy więcej The Snafus, nigdy więcej zebrań przy kręcącej się płycie i dzikich solówek na perkusji. Wszyscy trochę pociągnęliśmy nosami. W końcu Ola zasnął.

Odwieźliśmy go razem z walizką na Dworzec Wschodni na taczce znalezionej na tylnym podwórzu, zanieśliśmy go do pociągu, a na szyi zawiesiliśmy mu tabliczkę z napisem: *Silent homecoming*. Pociąg ruszył. Krztusząc się, opuścił dworzec, minął okno Freda, a my machaliśmy, jakby to było konieczne, staliśmy z pustymi rękami i machaliśmy.

WORKING CLASS HERO
JESIEŃ ’71

Niezbyt często widywałem się z Gunnarem, odkąd przeprowadził się do miasteczka studenckiego, więc kiedy Ola wyjechał, a Seb odgrywał mnicha u babci, wokół mnie zrobiło się dość spokojnie. Zajrzałem na kilka wykładów z logiki, ale nie dotarł do mnie ich sens. Któregoś dnia doszło do jakiejś wielkiej awantury pod Frederikke, stała tam wściekła gromada, kolektywnie wymachiwała rękami, obrzucając się błotem, a w samym środku tego zgromadzenia wrzeszczał Gunnar. Podkradłem się do niego, stał przy stoisku komitetu poparcia dla strajkujących kontrolerów ruchu lotniczego.

– Nie uważacie, że piloci zarabiają dość, co? – Jakiś facet walnął w stół. – Będziecie chodzić z puszką, nawet jeśli zastrajkują szefowie w „Aftenposten”!

Gunnar chyba stał na palcach, w każdym razie wydawał się wyższy, niż go zapamiętałem.

– Popieramy walkę o wynagrodzenia! Walka o wynagrodzenia jest skierowana przeciwko państwu kapitalistycznemu!

– Przeklęci kontrolerzy lotów powinni raczej podzielić się kilkoma tysiącami z tymi, którzy zarabiają najmniej!

– To znaczy, że różnice klasowe mają w tym kraju wyrównywać pojedynczy ludzie? Co to za polityka?

Trwało to blisko godzinę, w końcu tłum się rozszedł, Gunnar, spocony i zadowolony, usiadł za stołem i znów zabrzęczał puszką.

Nagle dostrzegł mnie.

– Dawno się nie widzieliśmy – powiedziałem i wrzuciłem mu piątkę.

– Myślisz, że pan młody dotarł na miejsce? – spytał ze śmiechem.

– Nie słyszałem, żeby był poszukiwany.

Skręciliśmy sobie po papierosie z tytoniu Petterøes.

– Jak tam kurs przygotowawczy? – spytałem.

– Marnie. Nie mam czasu chodzić na wykłady. Ale dziewczyna z akademika pożyczy mi notatki. A co u ciebie?

Pokiwałem głową, że w porządku.

– Zajrzysz któregoś dnia? – spytałem.

– Postaram się, postaram. Mam cholernie dużo roboty.

Tydzień później zadzwonił.

– Masz się stawić na placu przed uniwersytetem o trzeciej! – krzyknął.

– Cholera, coś się dzieje?

– Daj spokój, nie wiesz? Rząd próbuje zrujnować uniwersytet. Katastrofalny budżet. Ledwie wystarczy na wypłaty dla dyżurujących podczas egzaminów.

Ale kiedy przyszedłem na Universitetsplassen trochę przed trzecią, było tam zupełnie pusto. Sprawdziłem godzinę na zegarku i zorientowałem się, że wskazówka sekundowa stoi. Pobiegłem w dół Karl Johan, zimny listopadowy deszcz padał mi prosto w twarz. Zegar nad jaskrawą reklamą Frei pokazywał wpół do piątej. Pod parlamentem też nie było ludzi. Zmarzłem. Przypomniało mi się, jak oszukałem Gunnara z ulotkami. Trochę potupałem. Ledwie byłem w stanie zapalić papierosa. Poszedłem za róg, na Stortorget. Tam go zobaczyłem. Za późno, żebym mógł się wycofać niezauważony. Patrzył prosto na mnie. Skierowałem się do stolika, przy którym siedział z jakimiś nieznajomymi typami.

– Mogę się przysiąść?

Gunnar spojrzał na mnie, pozostali wrócili do ostrej dyskusji.

Było miejsce na ławce. Wcisnąłem się.

– Mimo wszystko najwyraźniej nie mogłeś przyjść – powiedział obojętnym tonem Gunnar.

Już miałem wymyślić jakąś niezłą historyjkę o niedomagającej matce czy chorobie na Munchs gate, ale zrezygnowałem z tego, jakby mi się nie chciało.

Postukałem w zegarek.

– Stanął.

Gunnar z powrotem włączył się w dyskusję, ja zamówiłem piwo. Kiedy je dopiłem, tamci wstali i poszli. Gunnar dalej siedział naprzeciwko mnie, przez dłuższą chwilę milczeliśmy.

W końcu się odezwał:

– Podjęliśmy się pewnego zadania, prawda? Chcemy wyrwać całe to diabelstwo z korzeniami. Olewamy reformy i parlament. Nienawidzimy kapitalizmu. Gardzimy socjaldemokracją, która zdradziła robotników. Brzydzimy się gadaniną tych, którzy są u władzy, potrafimy przejrzeć ją na wylot. Dwie trzecie ludności świata żyje w głodzie i uciemiężeniu. Dlatego nie wierzymy w obietnice, nie wierzymy w słowa. Na pierwszym miejscu stawiamy d z i a ł a n i e. – Odpoczął przy łyku piwa, ale nie odrywał ode mnie oczu. – A ty po której stronie stoisz, Kim? Musisz się opowiedzieć po jakiejś stronie. Bez względu na to, co robisz, i tak ją wybierasz. Teraz zachowujesz się tak, jakbyś był chłopcem na posyłki Bratteliego i Nixona.

Nie bardzo pamiętam, co odpowiedziałem, ale wydaje mi się, że Gunnar był zadowolony. W każdym razie zamówił jeszcze jedną kolejkę i nachylił się nad poplamionym obrusem.

– Wywodzimy się z drobnomieszczaństwa, owszem, ale i drobnomieszczaństwo cierpi pod brzemieniem kapitalizmu. Musimy się uczyć od klasy robotniczej, oddać się na jej usługi.

– Mój dziadek układał podkłady kolejowe – powiedziałem.

– A potem został urzędnikiem! To ideał w socjaldemokracji. Bycie robotnikiem nie jest wystarczająco dobre. Jesteś upośledzony, jeśli chcesz być robotnikiem.

Napiliśmy się. Gunnar dalej robił mi wykład:

– Nasi rodzice ucierpieli na skutek kapitalizmu, prawda? Mojego starego zgnoił kapitał monopolistyczny. Musi teraz sprzedawać zgniłe kartofle w Bonusie. A twój ojciec w banku stał się ofiarą. Żeby prawa strona mogła jeszcze bardziej oczerniać rewolucjonistów!

Tego już w ogóle nie zrozumiałem.

– Jak to?

– Przecież to jasne, stary. Nie widziałeś, co później wypisywały burżuazyjne gazety? Młody narkoman napada na bank. Zaostrzyć kary.

Więcej policji. Więcej kontroli. Oni na nas patrzą jak na przestępców, Kim! A czy bank nie miał tajnych list młodych socjalistów, co?

– Ty chyba nie myślisz, że ten napad… że ten napad był sfingowany?

– Jasne, że był! Gdyby to naprawdę zrobił narkoman, natychmiast by go złapali. Miasto było hermetycznie zamknięte, a nie złapano n i k o g o! Burżuazyjne media mogły rozpuścić języry i szczekać o przeklętej młodzieży, o budowaniu nowych, większych więzień. Cholera, Kim! To śmierdzi na odległość!

Nie bardzo wiedziałem, co mówić i w którą stronę patrzeć. Zrolowałem sobie papierosa.

– Widziałeś się ostatnio z Sebem? – spytałem.

– Nie. Nie podobał mi się zresztą ten jego religijny odlot.

– Przecież to były tylko wygłupy!

– Wcale nie jestem taki pewien. Chłopak ma zadatki.

Przerwała nam dziewczyna w czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym, z wypchaną torebką. Podeszła do Gunnara, nachyliła się i go pocałowała.

– Merete – przedstawił ją, kiedy już mógł mówić. – Mieszka w akademiku w Sogn.

– Kim – powiedziałem, unosząc szklankę.

Gunnar zaczął zbierać swoje rzeczy.

– On się waha – orzekł, najwyraźniej mając na myśli mnie. – Ale jest trochę ospały. Potrzebuje solidnego kopa w tyłek.

Merete zrobiła krok do przodu, przestraszyłem się, że naprawdę zaraz mnie kopnie. Ale ona tylko zacisnęła dłoń w pięść.

– Nigdy nie jest za późno – stwierdziła. – Będziesz mile widziany.

Poszli. Wybierali się na zebranie Akmedu. Ja dalej siedziałem nad cuchnącą popielniczką, próbując nakręcić zegarek. Przyłapałem się na tęsknocie za tym, żeby coś się wydarzyło. Coś wielkiego, niesamowitego.

Sekundnik zaczął się poruszać.

MY SWEET LORD
JESIEŃ ’71

Któregoś wieczoru w połowie listopada zjawił się Seb. Wyglądał na półprzytomnego, ale był czysty i trzeźwy. Odstawił torbę i ciężko westchnął. Seb wrócił na Munchs gate.

Zaparzyłem kilka litrów herbaty, trochę pogadaliśmy, ale obok siebie, nie od razu udało nam się znaleźć ton. Twarz Seba była ściągnięta i poważna, już chciałem wyjąć gorzałę, ale zrozumiałem, że to mogłoby się źle skończyć. Seb stanął przy oknie i się pocił.

– Postaram się znaleźć sobie inne lokum – powiedziałem. – Może dostanę miejsce w akademiku.

Odwrócił się szybko.

– To nie ma sensu. Możesz zostać tutaj. Będziemy mieszkać we dwóch.

– Naprawdę? Naprawdę tak myślisz?

– Jasne, że tak myślę. Nie wyprowadzaj się, Kim, do cholery.

Uśmiechnęliśmy się do siebie leciutko. Seb miał za plecami czarne okno, miasto, mróz bez śniegu. Podszedłem do niego i go objąłem.

– Będzie dobrze, no nie? – mruknąłem.

Zobaczyłem, że tatuaże na jego ramionach prawie już zniknęły.

Seb pościelił materac, ja rozłożyłem śpiwór pod drugą ścianą. Zasnął, zanim zgasiłem światło. Ja nie mogłem spać aż do świtu. Wtedy Seb się obudził, ubrał i wyszedł. Wrócił dopiero późnym wieczorem i nie mówił, gdzie był. A ja nie pytałem.

Jedno było pewne. Niewiele zostało z dawnego Sebastiana. Chciałem rozmawiać o Paryżu, o jego odlocie, o Jimie Morrisonie i o Ninie, ale Seb jakby narysował kreskę, odcinając się od tego wszystkiego, i nie wspominał już o tym ani słowem. Leżał tylko na materacu, rozmyślał albo wychodził. Nie miałem pojęcia, co robi. Atmosfera na Munchs gate zaczęła się stawać niebezpiecznie napięta. Bałem się, że pękł, więc po długich wahaniach, któregoś dnia, kiedy włóczył się nie wiadomo gdzie, przeprowadziłem

błyskawiczną rewizję w jego rzeczach. Narkotyków nie znalazłem. Znalazłem natomiast plik kartek autorstwa Mojżesza Dawida[12]. A więc tak się sprawy miały. Wyszedłem po butelkę czerwonego wina, a potem, czekając na Seba, przeczytałem wszystkie listy Dawida. Odliczanie do dnia Sądu już się zaczęło. Jeszcze przed Nowym Rokiem Ziemia zmieni się w proszek. Seb wrócił o dziesiątej. Butelka była już wtedy pusta, a mnie się nie chciało ukrywać, że znalazłem jego Jezusowe certyfikaty.

– Skąd wziąłeś te brednie?

– Od jednego chłopaka. – Seb usiadł na materacu.

– Nie próbuj mi wmawiać, że się nawróciłeś!

Długo się nie odzywał. Założył włosy za uszy, oparł głowę na rękach. Nie odpowiadał.

– Przecież to ty wywaliłeś pastorowi prawdę w oczy przed konfirmacją.

Rozpaczliwie usiłowałem wyczarować powrót do tamtych czasów świetności, ale Seb nie reagował. Szczerze mówiąc, przestraszyłem się. Na szczęście zaczął mówić.

– Dużo się nauczyłem – powiedział cicho. – Próbowałem alkoholu, dymu i strzykawki. Ale nie znalazłem tego, czego szukałem. Teraz jestem na dobrej drodze. Na dobrej drodze, Kim.

– Na drodze dokąd, u diabła?

– Musimy mieć jakiś punkt odniesienia, taki, którego można się trzymać – ciągnął. – Wszyscy ludzie muszą mieć taki punkt. Światło, sens.

– Właśnie to jest napisane na tych kartkach! – krzyknąłem.

– Inaczej będziemy tylko pustymi wydmuszkami, a nasze życie zmarnowaną sekundą. Gunnar podąża s w o j ą drogą, Kim. Ola ma rodzinę, będzie miał dziecko. Ale ty, Kim, ty ciągle się błąkasz i nie wiesz, co chcesz zrobić ze swoim życiem.

Nie wierzyłem własnym uszom. Nagle jednak poczułem, że krew dudni mi tuż pod skórą, i zobaczyłem ją, własną krew. Usiłowałem mówić bardzo spokojnie, ale głos szorował język jak papier ścierny.

– Ty wcale nie czekasz na Jezusa – powiedziałem. – Nie szukasz Jezusa. Ty czekasz na Jima Morrisona, Seb. Ciągle jesteś na odlocie. Jeszcze nie wylądowałeś. Oczy masz mętne jak kiszona kapusta. Nie wiesz, co mówisz.

– Może i jestem ślepy – odparł Seb z takim samym przeklętym spokojem. – Właśnie dlatego złożyłem swój los w Jego ręce. On mnie doprowadzi na miejsce.

Wsunąłem się wtedy do śpiwora, a kiedy się obudziłem, Seba znów nie było. Obok materaca leżała stara, czarna Biblia.

Zrobiłem śniadanie. Nie zajęło mi to dużo czasu. Miałem przed sobą nowy dzień, lecz brakowało mi czystych kartek i kredek, tych z piosenki. Próbowałem czytać, ale byłem zbyt niespokojny. W roztargnieniu wertowałem podręcznik psychologii Schjelderupa. Przedarłem się przez fragment dotyczący teorii typów Kretschmera i roześmiałem się w głos. Spróbowałem umieścić nas w przegródkach. Dość dziki pomysł. Ola był pyknikiem, a Gunnar atletykiem. Seb w oczywisty sposób zaliczał się do leptosomatyków, a ja do dysplastyków, do tych, którzy w taki czy inny sposób odbiegają od normy. Aż mi się niedobrze zrobiło od patrzenia na mój haczykowaty palec, którym sunąłem po linijkach, więc go zakryłem. Już mi nie było do śmiechu. Dzień był pochmurny, niezgrabny stos niespokojnych godzin. Przypomniał mi się inny dzień, również wtorek, ospały i powolny jak dziś, tamten jednak nagle się odmienił, nagle wypełnił się radością, ale ten dzisiejszy wtorek nigdy nie przyniósłby niczego takiego. Był i pozostał wtorkiem, niemożliwym, martwo urodzonym.

Postanowiłem się przejść. Na dworze nie było dużo lepiej – miasto nieprzyjemne, drzewa na Karl Johan stały jak strachy na wróble w wyasfaltowanym ogrodzie. Ludzie szli pochyleni, walcząc z wiatrem i drożyzną. Freaki trzęsły się z zimna w swoich afgańskich kożuchach. Afganistan! Przy Teatrze Narodowym Armia Zbawienia śpiewała na cały głos, od serca. Przedstawiciel innej sekty, Ruchu Jezusa, stał sztywno i nieruchomo z wielkim plakatem: „Za 39 dni świat ulegnie zagładzie". Zamówiłem kawę we Frokostkjelleren, dręczyło mnie to, co powiedzieli Gunnar i Seb. Musiałem zebrać się na odwagę. Tłumaczyłem sobie, że jeszcze nie przepadłem, wystarczy, żebym zrobił krok w jedną albo w drugą stronę, i byłbym tam gdzie Seb i Gunnar, wystarczy powiedzieć słowo, to jedno słowo. Coś jednak w całym moim ciele, w rękach, w nogach, w piersi, opierało się temu. To nie było takie proste. Pomyliłem się. Należało zacząć od pewnego punktu. Tutaj. Teraz. Zgasiłem papierosa i ruszyłem prosto na Munchs gate z zamiarem zaprowadzenia porządku

w swoim życiu. Ale tam natrafiłem na mur. Na otomanie siedział Seb, a obok niego zgarbiony gość w opasce na głowie i w pelerynie. Odwrócił się do mnie i powiedział:

– Niech cię Bóg błogosławi, Kim.

Nie od razu poznałem tego pulchnego typa, ześwirowanego na punkcie Jezusa. Ale nagle się wyłonił. Ukazał mi się jak wywoływana fotografia i nabrał ostrości. To był Gąsior.

– Christian? – spytałem szeptem.

– Możesz mnie nazywać Gąsiorem.

Został na wieczór, opowiadał, że przez jakiś czas mieszkał w komunie Children of God koło Göteborga, ale wysłano go do Oslo, żeby tu łowił dusze. Dopiero wtedy zauważyłem jego śpiwór. Spojrzałem na Seba.

– W porządku, że Gąsior zostanie, prawda? – spytał.

Nie miałem nic do powiedzenia.

I Gąsior został. W ciągu dnia wychodzili ze swoimi kartkami, wieczorami siedzieli przy świecy i wertowali Biblię. Jedzenie musiałem kupować ja, bo oni obaj byli bez grosza przy duszy. Ale tego dnia, kiedy Gąsior podjął próbę wyrąbania jeszcze większej dziury w moim zdychającym kredycie studenckim, Kimowi Karlsenowi przebrała się miarka.

– Chcesz powiedzieć, że mam dać forsę tej twojej mafii?

– Tobie niepotrzebne pieniądze – odparł tylko.

– Przypuszczam, że w dniu Sądu bilety będą bardzo drogie – powiedziałem. – Zostały jeszcze trzydzieści dwie doby, prawda?

Ale to nie podziałało na Gąsiora. Nic na niego nie działało. Był uosobieniem wielkiego spokoju. Tylko na mnie patrzył tymi swoimi wilgotnymi oczami i dalej reklamował wieczność. Spróbowałem od innej strony:

– To t y nie potrzebujesz pieniędzy. Bo żerujesz na innych. Chodzisz tu jak święty pasożyt, a rachunki każesz przesyłać do mnie.

Też nie zadziałało.

– Cieszę się, że mogę się z tobą dzielić swoją wiarą. – Uśmiechnął się.

Zrozumiałem w końcu. Było nas o jednego za dużo.

Po prostu musiałem się stamtąd wydostać. Ale brakowało mi sił na powrót do domu, na Svoldergata, strasznie dawno tam nie byłem. Nie miałem odwagi odpowiadać na te wszystkie pytania. Tamtej nocy, gdy mnie zamknęli w kinie, w Palassteatret, podjąłem decyzję. Odwiedzę Cecilie na Islandii.

Szwendałem się po mieście przez cały wieczór. Starałem się jak najdłużej nie wracać na Munchs gate. Koło północy szedłem przez Karl Johan, zachciało mi się sikać, więc schowałem się do bramy przed Palassteatret. Kiedy byłem w połowie strumienia, usłyszałem kratę uderzającą o ziemię. Zapiąłem się i pobiegłem. Daleko nie dotarłem. Byłem zamknięty, na ulicy Karl Johan pusto. Wołałem, szarpałem za pręty, ale nikt mnie nie słyszał. Brama ani drgnęła. Pojawiła się panika. Kręgosłup zmienił się w lont z sykiem spalający się w stronę mózgu. W końcu zmusiłem się do bardziej logicznego myślenia. W tym czasie zaczął padać śnieg, wielkie płatki powoli pokrywały ulicę bielą. Myślałem trzeźwo i chłodno. Sprawdziłem repertuar. Następnego dnia był seans o piątej, *Kaczor Donald na Dzikim Zachodzie*. A więc dłużej niż do piątej nie będę tu siedział. Jeszcze raz szarpnąłem za pręty, znów krzyknąłem. Wszystko na nic. Byłem zamknięty. Zapaliłem ostatniego papierosa, zacząłem marznąć. Żółte szczyny zamarzły w kształt mapy Norwegii. Nagle dostrzegłem szparę w drzwiach do sali kinowej, lekko nacisnąłem klamkę, a one się otworzyły. Stanąłem, puls galopował jak dziki koń, ale wszedłem do pustej sali, usiadłem na środku, nogi oparłem o fotel z przodu i zapatrzyłem się w czarny ekran. Powoli zaczęły się na nim poruszać obrazy. Wszystkie te obrazy, które w sobie zmagazynowałem i od których nie ucieknę. Pachniało potem i roztopioną czekoladą, perfumami i ubraniami. Słyszałem oddechy publiczności wypełniającej salę. Przesiedziałem tak całą tę noc, w niebieskiej pustce Palassteatret. Na ekranie wyświetlał się film za filmem. Właśnie wtedy postanowiłem, że pojadę do Cecilie, przecież mnie zaprosiła, miałem adres.

WILD LIFE
JESIEŃ/ZIMA ’71

Zrobiłem to. Wybrałem się na Islandię. Samolot dał nura w niebo, świat za oknem się przewrócił, a półwysep Nesodden przeleciał koło szyby. Potem czas przestał istnieć, w głowie pękła jakaś bańka, a ja pędziłem nad Norwegią przez przezroczyste jak szkło, migoczące zimowe powietrze, w odległości kilku metrów od słońca. Ukazało się Morze Północne, zobaczyłem platformę naftową, wyłoniły się Wyspy Owcze. Potem chmury zgęstniały i zanim dokończyłem drinka, czy w ogóle jako tako się pozbierałem, już opadałem szarpnięciami ku lotnisku Keflavik. Z mocnym stuknięciem wylądowałem na pasie, chociaż samolotem targały podmuchy wiatru. Zrzygałem się do torebki, uśmiechnięta stewardesa wyprowadziła mnie między lodowce, a potem dłużej jechałem autobusem do Rejkiawiku niż samolotem na Islandię.

Wysadzono mnie przy zamkniętej stacji benzynowej, gdy noc już otuliła stolicę. Wiatr uderzał prosto w twarz jak kastet, w głowę stukało coś przypominającego grad i żwir. Rozglądałem się za ludźmi, ale najwyraźniej na Islandii wszyscy już poszli spać. Wypiłem łyk z samolotowej butelki i ruszyłem w jakimś kierunku. Starałem się trzymać czegoś, co przypominało chodnik, chociaż wiatr zmierzał w inną stronę. Wypchnął mnie na miękką ziemię i w końcu znalazłem się na samym środku pustkowia, po kolana w błocie, a przy sobie miałem jedynie butelkę, szczoteczkę do zębów, bilet powrotny i adres Cecilie.

Wypiłem jeszcze kilka łyków i z mozołem powędrowałem dalej. W sztybletach chlupała woda. Nagle znalazłem się w miejscu, które musiało być żwirowym boiskiem do piłki nożnej, bo dostrzegłem dwie bramki. Dryblingiem pokonałem wiatr i wyszedłem na jakąś drogę. Tam wreszcie zobaczyłem ludzi. Pobiegłem za nimi i podsunąłem im kartkę z adresem. To były dwie pary, a więc cztery osoby, które pokazały mi cztery różne kierunki, zanim w końcu się zdecydowały i posłały mnie na północ, pod wiatr, z gradem atakującym z boku i lękiem depczącym mi po piętach.

Było już dobrze po północy, gdy wreszcie odnalazłem ulicę i dom Cecilie. Mieszkała na piętrze. Pomalowana na zielono klatka cuchnęła zgniłymi jajami. Zadzwoniłem do drzwi, minęło sporo czasu, zanim się pojawiła. Otworzyła w szlafroku, zaspana i zła. W chwili gdy wbiła we mnie oczy, które powoli zaczęły się rozszerzać, a usta zmieniły się w wielką, pustą dziurę na twarzy, zrozumiałem, że to chyba najgłupsza rzecz, jaką w ogóle mogłem wymyślić.

– Kim – powiedziała tylko cicho, nieźle przerażona.

– Akurat byłem w okolicy – spróbowałem zażartować.

I tak staliśmy, rozdzieleni progiem, milczący, zagubieni, ona jak zaspana figura dziobowa, ja jak ociekający wodą troll z bagniska.

– No to wejdź – odezwała się wreszcie. Ściągnąłem przyrośnięte do nóg buty i wszedłem w samych skarpetkach.

Cecilie myślała praktycznie i działała skutecznie. Pożyczyła mi własne suche ubranie, a moje powiesiła do suszenia w łazience. Nalałem sobie kieliszek i usiadłem w umeblowanym po spartańsku pokoju. Dwa plakaty na ścianach, EWG, NATO, wąska półka na książki zastawiona grubymi tomami, na stole okruchy po kolacji, islandzka gazeta, radio.

– Co zrobiłeś z butami? – zawołała Cecilie.

Skuliłem się.

Nawet tego nie pamiętała. Borsuka. Nigdy nie powinienem był tu przyjeżdżać. To nieporozumienie.

– Zabłądziłem na mokradłach – odparłem.

Po chwili i ona usiadła, poprawiła szlafrok, była w żółtych kapciach. Długo mi się przyglądała, a ja szukałem odpowiednich słów.

– Co słychać w Norwegii? – spytała pierwsza.

– W porządku. Gunnar przeprowadził się do Sogn, Ola się ożenił w Trondheim, a Seb został Bożym Dziecięciem. Poza tym wszystko okej.

– No a ty?

– Ja? Ciągle ten sam stary idiota. Usiłuję studiować.

– Rzuciłeś pracę?

– To było tylko wakacyjne zajęcie.

– I poświęciłeś kredyt studencki na przyjazd tutaj?

– No właśnie.

– Żeby mnie odwiedzić?

– Tak.

– Tylko po to?

Rozbolała mnie głowa. Pewnie przez ten lot. Ciągle miałem zatkane uszy.

– Pomyślałem, że przy okazji kupię też prezenty gwiazdkowe – powiedziałem.

Nareszcie się uśmiechnęła i mnie uściskała.

– Ty się nie napijesz? – spytałem prędko.

Wstała.

– Jutro rano mam ważny wykład, na który m u s z ę iść.

– Jasne.

– Ale potem możemy się wybrać na wycieczkę. Chciałbyś zobaczyć gejzer, prawda?

– Pewnie.

Przyniosła mi pled, mogłem położyć się na kanapie. Nie zasnąłem, bo latałem, tak jak w najwcześniejszym dzieciństwie, unosiłem się w powietrzu, musiałem się mocno trzymać poduszek. I przez cały czas czułem dziwny zapach, zapalonych zapałek, spalenizny, pewnie koła się zepsuły, zapowiadało się lądowanie na brzuchu, straciłem kontakt z wieżą, katastrofa była tuż-tuż.

Obudziłem się jako wrak człowieka. Na stole znalazłem naskrobaną kartkę: „Będę o dwunastej. Cecilie". Powlokłem się do łazienki, żeby podreperować szkody, ale kiedy zbliżyłem się do kranu, o mało nie zwariowałem. Albo kanalizacja się zepsuła, albo miałem najbardziej cuchnący oddech stulecia. Spróbowałem w kranie w kuchni. Ta sama zgnilizna. Ten sam odór, który czułem w nocy, smród przypalonej gumy, siarki, stałem na wulkanie, wkrótce wyleje się lawa, parująca, czerwona maź, pod stopami czułem drżenie. W lodówce znalazłem butelkę piwa o nazwie Skallagrímsson, to musiał być jakiś mocny trunek, miód według przepisu z dawnych sag, skoro wziął nazwę od wikińskiego skalda. Miał jednak smak zwietrzałego lagera i utkwił mi w żołądku jak obciążnik.

Pęcherz znów pognał mnie do łazienki. Zmusiłem się, żeby odrobiną tej wody przemyć się pod pachami, włożyłem suche ubranie. Gdy tak stałem w palącym zapachu siarki, zwyciężyła ciekawość. Zajrzałem do szafki Cecilie nad umywalką, zapasowa szczoteczka do zębów, eau de cologne, cholera, powinienem był coś jej kupić w samolocie, tampony, struny gitarowe. Nagle ogarnęła mnie ogromna tęsknota, tak ogromna, że musiałem wykasłać Skallagrímssona. Z wyrzutami sumienia ostrożnie zamknąłem drzwiczki szafki. Oczywiście to wcale nie były struny do gitary, tylko nitka do zębów. Ale gitara stała w sypialni, zauważyłem przez szparę w drzwiach. Nie wszedłem tam. Usiadłem przy oknie i czekałem. Do dwunastej została godzina. Najpierw padał deszcz. Potem było pochmurno, ale nie padało, aż w końcu słońce zaświeciło na pełny gaz. Później zerwał się wiatr, niebo zrzuciło porcję śniegu z deszczem, deszcz zwyciężył, wiatr dmuchnął mocniej i przegnał chmury, orkan przewrócił dwa pojemniki na śmieci i przetoczył je przez ulicę, następnie wszystko ucichło i nagle znów zaświeciło słońce. Wróciła Cecilie. Przyżeglowała nowiusieńkim land-roverem i zawyła klaksonem. Zbiegłem na dół i poklepałem maskę.

– Jedziemy od razu – zarządziła Cecilie. – Zdążymy wrócić do domu, zanim się ściemni.

– Superwózek – powiedziałem i nie mogłem się powstrzymać: – Alexander Wielki zafundował?

– Jak chcesz, możesz iść na piechotę – warknęła Cecilie i dodała gazu.

Pobiegłem za nią. Zatrzymała się na rogu.

– Nie miałem nic złego na myśli. – Zaśmiałem się.

Wpuściła mnie. Zawróciła z piskiem opon i ruszyliśmy z gazem do dechy.

– Klasa wyższa przez stulecia wykorzystywała robotników, prawda? A kiedy mój tatuś z klasy wyższej chce mi kupić land-rovera, to godzę się, bo w ten sposób wykorzystuję j e g o. Ale m n i e nie uda mu się kupić, jeśli tak ci się wydaje.

– Jasne, że nie. A tak w ogóle to woda u ciebie miała smak grzybicy stóp.

– Wszędzie jest tak samo. Taka jest woda w Rejkiawiku.

– Wydawało mi się, że dotarłem na samo dno piekła. Siarka aż kręciła w nosie.

– Tam dopiero jedziemy – powiedziała Cecilie.

– Dokąd?

– Do piekła.

Mocno wcisnęła pedał i już po chwili zostawiliśmy miasto za sobą. Na wzgórzu stało ogromne straszydło, niedokończony kościół, konstrukcja przypominała szkielet dinozaura. Wkrótce znaleźliśmy się na pustkowiu, w oddali dostrzegłem śnieżnobiałe płaskowyże i lśniące lodowce. Zobaczyłem też krępego konia pasącego się na podmokłych łąkach. Znów zaczęło padać.

– Tutejsi meteorolodzy muszą być niezłymi frustratami – stwierdziłem.

– Byle tylko nie spadł śnieg. – Cecilie westchnęła. – Bo wtedy utkniemy na przełęczy. Nieraz już się zdarzało, że ludzi zasypywało tam w samochodach.

– A w Rejkiawiku nie ma nic ciekawego do oglądania? – spróbowałem.

Ale ona dalej gnała do przodu. Zapaliłem papierosa. Przestało padać. Stado przerażonych owiec uciekło z drogi. Wiatr szarpał wysokim samochodem, otoczył nas dziwny krajobraz, sękate, czerwonawe, falujące formy, które przypominały skamieniałe morze. I właśnie tym były.

Cecilie podjechała do skraju drogi.

– To zastygła lawa – powiedziała. – Widzisz, co przypomina?

– Skamieniałe morze – odparłem.

– Krajobraz księżycowy. Amerykańscy astronauci trenowali tu przed pierwszą wyprawą na Księżyc.

Popatrzyłem na nią. Powiedziała to ot, tak, jakby to nie było nic wielkiego.

– Naprawdę? – szepnąłem.

Otworzyłem drzwiczki i chciałem wysiąść. Cecilie mnie powstrzymała.

– Nie możesz tam iść w tych sztybletach. – Zaśmiała się.

Sięgnęła na tylne siedzenie po solidne buty na grubej podeszwie, włożyłem je. Wyszedłem, ale Cecilie nie chciała ze mną iść, została w samochodzie, a ja chodziłem po Księżycu sam, w tych ciężkich butach,

musiałem iść powoli, ostrożnie, balansować na ostrych kamieniach, pachniało siarką, z ziemi wydobywał się dym, chodziłem po Księżycu, a kosmos milczał, przesycony wiatrem.

– Dziecinny jesteś – śmiała się Cecilie, kiedy ruszyliśmy dalej.

– Jestem turystą.

Wspięliśmy się na przełęcz i pomknęliśmy przez biały płaskowyż. Myślałem, że zaczął padać śnieg, struchlałem, ale to tylko marznący deszcz siekł w szybę. Cecilie ściskała kierownicę w rękach, a strzałka prędkościomierza dotarła do stu trzydziestu. Cecilie warczała, pokazywała zęby, jeszcze mocniej dusiła gaz, wyciskała więcej koni, smagała je batem, nie mogłem się nawet napić, bo butelka uderzała o zęby.

– Nie zasypie nas, nawet jeśli trochę zwolnisz! – zawołałem.

Ale ona wciąż pędziła z gazem do dechy, a wycieraczki szalały na przedniej szybie. To tylko ja się mylę, pomyślałem. To ja włączyłem niewłaściwą prędkość. Nastawiłem longplay na czterdzieści pięć. Ostatnio cały czas się tak działo. Za szybko. W końcu opadliśmy do poziomu morza. Cecilie uśmiechnęła się do mnie z dumą. Opuściłem szybę. Fen, cieplejszy wiatr, nagłe słońce, zapach soli. Zobaczyłem morze. Zielona ziemia rozwijała się w stronę gór jak dywan. Gorące źródła bulgotały i dymiły, przy gospodarstwach stały wielkie szklarnie, po polu biegały dwa konie. Za kamiennym ogrodzeniem wznosił się biały kościółek.

Cecilie skierowała land-rovera na nową drogę, asfalt zamienił się w żwir. Brunatnoszary płaskowyż ciągnął się w stronę łańcucha górskiego na wschodzie. Wciąż jeszcze nie widziałem ani jednego drzewa.

– Kiedy się mieszka na Islandii, to od razu się rozumie, czym jest imperializm – zaczęła Cecilie.

Spojrzałem na ogromne głazy rozrzucone po ziemi. W powietrzu przefrunął czarny jak węgiel ptak, w żółtych szponach dźwigał jakieś zwierzę.

– Rząd cały czas powtarza, że zlikwiduje bazę amerykańską, a tymczasem coraz bardziej uzależnia od niej Islandię. Miejsca pracy, dochody walutowe, przecież ten rząd klęczy przed Ameryką!

Przejechaliśmy przez rzekę, którą płynęła zielona woda. Podpełzła do nas ławica mgły i przez chwilę nie widziałem dalej niż na metr.

– Wiesz, że Amerykanie mają tu własne programy telewizyjne i radiowe? A Islandczycy je oglądają! To pranie mózgów w czystej postaci!

Kiedy znów się przejaśniło, Cecilie zatrzymała samochód i wyskoczyła. Wysiadłem za nią.

– Jesteśmy na miejscu?

Pokręciła głową.

– Chodź – powiedziała.

Wspięliśmy się na jakieś wzgórze. Powietrze było chłodne, kwaskowate. Dotarliśmy na szczyt. Płuca ściągnęły mi się w jęku. Krew schowała się pod kolanami. Patrzyłem wprost w głąb wulkanu, w krater, wielki na kilkaset metrów, daleko w dole, na brązowej wodzie pływały szarobiałe kawały kry, przypominało to zmiażdżone oko.

Cofnąłem się. Cecilie się roześmiała.

– Nie jest groźny. Już dawno wygasł.

Ośmieliłem się podejść jeszcze raz. Z całej siły rzuciłem kamień, ale nie usłyszałem, jak upada.

– Pomyśl tylko o tych siłach. – Więcej nie udało mi się wykrztusić.

– Owszem. Może któregoś dnia znów się obudzi. Tak jak naród.

– Powiedziałaś przecież, że wygasł już dawno.

Zawróciła do samochodu. Musiałem się wysikać. Puściłem strumień w otchłań. Dało mi to pewne poczucie przewagi. Pobiegłem za Cecilie.

– Rzeczywiście jesteś turystą – stwierdziła. – Wszyscy faceci za wszelką cenę muszą się wysikać do tego krateru. Powinieneś zobaczyć, co się dzieje, kiedy podjeżdża autobus z amerykańskimi turystami!

Roześmiała się bardzo głośno. Zezłościłem się. Jechaliśmy godzinę. Nie było już drogi, tylko koleiny. Brudne łaty śniegu. Mgła przesłaniała widok. Zmarzłem.

W końcu dotarliśmy do celu. Wysiedliśmy i znów uderzył mnie smród. Siarka. Musiałem zatkać nos, o mało się nie porzygałem. Ruszyłem za Cecilie. Ziemia była czerwonobrunatna, w głębokich rozpadlinach bulgotała wrząca woda, para wiła się wokół nóg. Zacząłem tracić poczucie miejsca, jakbym spacerował we śnie, w dodatku razem z kimś, kto nie śpi. Dookoła wszystko drżało. Nagle usłyszałem huk i w odległości kilkunastu

metrów wytrysnęła w górę lśniąca kolumna. Utrzymała się dziesięć sekund, dwadzieścia, pół minuty, huczący słup wrzątku, potem powoli opadła i zniknęła w jamie. Zamarłem. Ostrożnie podszedłem bliżej. Ziemia oddychała, wzdłuż brzegu jamy ukazywały się niewielkie bąble, woda się podnosiła, nadymała jak szklana bańka, przezroczysta błona, płód, pulsowanie, pulsowanie i znów wybuch, kolejna fontanna wytrysnęła w powietrze. Biegiem wróciłem do Cecilie.

– W życiu niczego straszniejszego nie widziałem – szepnąłem.

– To nie jest Geysir – wyjaśniła. – Tylko Strokkur. Geysir jest tam. – Wskazała parujący wzgórek za nami. – Ale już prawie nigdy nie tryska. Strokkur to tylko młodszy brat. – Uśmiechnęła się. – Jedynym sposobem na zmuszenie Geysira do wytryśnięcia jest wlanie do niego mydła w płynie.

– Czego?

– Często tak robią, kiedy przyjeżdża dużo turystów. Dzięki temu zwiększa się ciśnienie.

– Aha, to takich rzeczy się uczycie na uniwersytecie. Lewatywa!

Roześmiała się.

– Chodź tutaj! – Podprowadziła mnie do niewielkiej kałuży. – To tu jest zejście do piekła.

Niewielki stawek był nieruchomy, zielony. Zanurzyłem palce, sparzyłem się.

– Do piekła?

Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

– Nie widzisz zejścia? – Cecilie się uśmiechnęła.

Wtedy je zobaczyłem. Pod nieruchomą powierzchnią widniała czarna dziura, otchłań, prowadząca wprost w głąb ziemi, do środka.

– W dawnych czasach wrzucano tu ludzi – dodała.

Oblałem się potem.

– I nikt… nikt nie wie, jak tam głęboko?

– Nie.

Stałem wpatrzony w piekło, gdy nagle za naszymi plecami coś eksplodowało, potężny siarkowy pocałunek w szyję nieomal wepchnął mnie do jamy. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy niewiarygodną fontannę

lecącą ku niebu, wodną rakietę, która wznosiła się i wznosiła bez końca. Strokkur w porównaniu z nią był jak wytrysk soku z plastikowej torebki. Spadł na nas gorący deszcz, o mało nie złamałem karku, zadzierając głowę, żeby dostrzec czubek, pięćdziesiąt metrów, sto, utrzymywał się na tej wysokości z siłą, która powaliła mnie na ziemię. Cecilie pomogła mi wstać i zaczęła wokół mnie tańczyć.

– To Geysir! – wołała. – To Geysir!

Przyłączyłem się do tego tańca i przez chwilę, gdy fontanna osiągnęła najwyższy punkt, zbliżyliśmy się do siebie, tchnęliśmy życie w dawną tajemną bliskość. Wkrótce jednak Geysir znów zniknął w ziemi, pozostały po nim jedynie gorąco i siarka.

– Był nieczynny od lat! – krzyknęła Cecilie. – Ożył dla nas, Kim!

Bałem się zapalić papierosa, bo jeszcze cały kraj wyleciałby w powietrze.

– Ktoś w piekle musiał wcisnąć jakiś guzik – powiedziałem.

To się stało w powrotnej drodze do domu. Jechaliśmy zaledwie kwadrans, kiedy przednie koła nagle zaryły się w błocie i rzuciło nas do przodu, jak w zwariowanym samochodziku sterowanym radiem, w którym nastąpiło krótkie spięcie. Cecilie próbowała cofać, ale wtedy utknęły tylne koła. Próbowała wykręcić. Zapadliśmy się jeszcze głębiej. Próbowała wszystkiego. Nic nie pomagało. A ja sądziłem, że land-rover potrafi jeździć pod wodą. Okazało się, że to nieprawda. Wóz zapadł się w błoto aż po próg. Cecilie najwyraźniej uległa histerii. Kazała mi pchać, ale mnie się nie podobało, że mam służyć za chlapacz. Koła coraz głębiej pogrążały się w błocie. Rozejrzałem się. Płaski krajobraz znikał w szarej mgle. Lodowaty wiatr ze śmiechem poklepał mnie po plecach. Ja też zacząłem wpadać w histerię.

– Musimy zaczekać w samochodzie – oświadczyłem. – Przynajmniej nie zamarzniemy.

– Czekać! – krzyknęła Cecilie. – Na kogo? Na Świętego Mikołaja?

– Na ludzi.

– Tędy nikt nie będzie przejeżdżał co najmniej przez tydzień! Nie wiesz, że pojutrze Wigilia?

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem. Ale ona nigdy by w to nie uwierzyła.

– Jasne – powiedziałem. – Jasne, że wiem.

– A ty może miałeś zamiar spędzić święta na Islandii? W takim razie twoje życzenie się spełniło. Prawda, że tu całkiem przyjemnie?

– Trochę trudno będzie znaleźć choinkę – wysiliłem się na dowcip.

Cecilie wysiadła z samochodu, ja za nią.

– Wracam jutro do domu. Dzień przed Wigilią. Ty też wracasz?

– Nie! – krzyknęła.

Prawie płakała. Chciałem ją jakoś pocieszyć, ale nie miałem jej co powiedzieć.

– Jeżeli ludzie nas nie znajdą, to my musimy znaleźć ludzi – stwierdziłem nie bez logiki.

Cecilie z jakiegoś powodu mi uległa. Ruszyła za mną wzdłuż nierównych kolein, chociaż żadne z nas nie przypominało sobie, żebyśmy po drodze tutaj widzieli jakiś dom.

Krążyliśmy przez co najmniej godzinę i niewiele brakowało, żebyśmy się poddali. Wiatr ścigał nas ze wszystkich stron. Widoczność stale się zmniejszała. Nagle Cecilie zobaczyła przy drodze coś, co przypominało ptasią budkę, chyba dla bielików. Ale to była skrzynka na listy. Odżyła w nas nadzieja. Oderwaliśmy się od kolein i ścieżką ruszyliśmy prosto we mgłę i pustkowie. Szliśmy dość długo, trzymając się za ręce, bo nie był to najprzyjemniejszy teren do wędrówki dwa dni przed Wigilią. W momencie gdy dostrzegliśmy gospodarstwo, dom – wąską murowaną skrzynię – i dwie niby-obórki, wyskoczył skądś rozwścieczony buhund i zaczął wokół nas krążyć, miarowo powarkując. Zatrzymaliśmy się, a kłapiący paszczą kundel coraz bardziej się zbliżał. Wreszcie w progu domu pojawił się facet, wrzasnął: „Seppi!", pies od razu się uspokoił i zaczął merdać ogonem. Jego pan ruszył ku nam. Miał bujną, siwą brodę, a wokół łysiny na nierównej czaszce wystrzępiony wianuszek włosów.

Powiedział po islandzku trzy słowa, uznałem, że się przedstawił, dlatego wyciągnąłem rękę i zawołałem: „Kim Karlsen!". Roześmiał się wtedy, splunął i walnął mnie w ramię.

– Gisle Tormodstad.

Cecilie mnie zastąpiła, ze zdumieniem słuchałem, jak mówi po islandzku, jakby była troszeczkę pijana, a może to ja byłem na prostej

drodze prowadzącej poza rzeczywistość? Pozwalałem, żeby rzeczy po prostu się działy, i właściwie bardzo mi to odpowiadało.

Gisle spod brezentu wyczarował prastarego jeepa, który po wielu daremnych próbach dał się wreszcie uruchomić, i ruszyliśmy przez wietrzną równinę. W końcu udało nam się odnaleźć zakopanego w błocie land-rovera.

Założyliśmy liny i łańcuchy, nie minął moment, a Gisle wyciągnął samochód, tak gładko, jak wyciąga się drzazgę z palca. Cecilie ukłoniła się i długo szwargotała po islandzku, na co Gisle wypowiedział jedno krótkie zdanie.

– Zaprasza nas na kawę – przetłumaczyła Cecilie.

Dom Gislego był wąski, pomieszczenia w amfiladzie. Usiedliśmy w pierwszym, od murowanych ścian ciągnęło chłodem i wilgocią. Seppi mnie polubił i grzał mi nogi. Na półce z książkami stały wielkie, stare, oprawione w skórę tomy, ze złotymi napisami na grzbietach. Gisle przyniósł nam czarną jak smoła kawę i alkohol, w przezroczystej butelce z czarną etykietką.

– Czarna Śmierć – szepnęła Cecilie. – Islandzka kminkówka.

Gisle nalał, wypiliśmy, zapiekło w gardle. Nalał jeszcze raz. Cecilie miała łzy w oczach. Wiatr uderzył w szybę. Gisle odwrócił się powoli, wyjrzał, później znów wypowiedział krótkie zdanie. Cecilie pobladła, prędko wytarła łzy.

– O co chodzi? – spytałem.

– Musimy tu zostać. Twierdzi, że nadciąga burza śnieżna. Że nie możemy teraz jechać przez góry.

– Tyle powiedział przez ten moment?

Gisle wymówił jeszcze jedno zdanie.

– Musisz mu pomóc zapędzić owce pod dach – przetłumaczyła Cecilie.

Poszedłem za Gislem i Seppim przez równinę do miejsca, w którym teren się obniżał. Ze wszystkich stron dobiegało beczenie. Wicher wywiewał wosk z uszu, ledwie mogłem utrzymać się na nogach, ale Gisle stąpał pewnie jak słoń. Seppi kompletnie oszalał, kiedy zwietrzył zapach owiec, zataczał wokół nich wielkie kręgi, żeby je wszystkie pozbierać, aż zbiły się jedna przy drugiej, gęsto, jakby utworzyły sweter. Wtedy Gisle

wyczarował dwa kudłate, dość chyba zmęczone konie, wskoczył na jednego, a ja zrozumiałem, że mam dosiąść drugiego. Liczyłem się z tym, że koń natychmiast mnie zrzuci, ale łatwiej było wsiąść na niego niż na damkę z balonowymi oponami. Wiatr rozwiewał mi włosy, chwyciłem się końskiej grzywy i ruszyliśmy w kierunku domu po dwóch stronach stada, a Seppi cały czas krążył, zbierając maruderów. Cecilie czekała na nas w progu z teleobiektywem, pstrykała jak szalona. Uderzyłem wierzchowca w boki piętami, coś się wtedy stało i poleciałem na gębę między owce. Chodziły po mnie, ciągnęły mnie za sobą, patrzyłem w ich matowe, suche ślepia, czułem ostry zapach pozlepianej wełny, dużo było krzyku. Słyszałem śmiech Gislego, parskanie koni i powarkiwanie Seppiego. W końcu udało mi się wstać, Cecilie zaprowadziła mnie do domu, a Gisle zajął się zwierzętami.

Musiałem wypić trzy kolejki Czarnej Śmierci, zanim doszedłem do siebie. W końcu Gisle i Seppi wrócili. Gisle wypowiedział trzy słowa. Cecilie uśmiechnęła się i popatrzyła na mnie.

– On pyta, czy jesteś Duńczykiem – przetłumaczyła złośliwie i przewinęła film.

Długo kręciłem głową.

Zaczął padać śnieg.

Seppi znów ułożył się przy moich nogach i wylizał mi buty do czysta.

Nic poza tym się nie działo. Za oknem zapadła ciemność. Domem szarpnął wicher. Gisle spojrzał na nas, skinieniem głowy wskazał butelkę. Pociągnąłem łyk i podałem mu ją. Wypił, nie odwracając wzroku. Oczy miał powolne, prawie nieruchome. Seppi ułożył się w kącie, z jednym uchem nastawionym. Cecilie ubrała się cieplej. Gisle poszedł po jedzenie. Położył na środku stołu wielki kawał mięsa, a ja sobie przypomniałem, że od przyjazdu na Islandię nic nie jadłem. Cecilie odwróciła się, pobladła, jakby zrobiło jej się niedobrze. Wtedy zobaczyłem, co to jest. Owczy łeb. Z oczami. Gisle ukroił kawałek i mi podał. Ostrożnie włożyłem go do ust i długo żułem. Smakował jak tenisówka. Ukroił jeszcze. Wziąłem. Obserwował mnie, kiedy jadłem. Chciałem coś powiedzieć. Językiem sięgnąłem do mózgu. Przypomniało mi się, co Sfinks wyrył w mojej korze mózgowej w drugiej klasie liceum.

Wyrecytowałem:

Zdycha ci bydło, umierają krewni
I ty umierasz;
Wiem jedną rzecz, co nigdy nie umrze:
Sąd o umarłym[13].

Na twarzy Gislego pojawił się piękny uśmiech. Podał mi butelkę, a sam podszedł do półki z książkami i wyciągnął gruby tom. Napis na grzbiecie mówił, że to *Saga o Egilu*. Przez resztę wieczoru czytał nam na głos, powoli, wyraźnym dziecinnym głosem. Niczego nie rozumiałem, a jednocześnie rozumiałem wszystko.

Gisle wcześnie chodził spać. Zaprowadził nas do pokoju na piętrze i poszedł sobie. Pod ścianą stało wąskie łóżko.

Słuchaliśmy wichru. Cecilie usiadła w kącie. Ja położyłem się na łóżku. Cecilie siedziała. Wczuwaliśmy się w wicher.

– Ty się nie kładziesz? – spytałem. – Zmieścimy się we dwoje.

Nie odpowiedziała. Koc pode mną był sztywny jak kaktus i cuchnął owcami.

– Nie chce ci się spać?

Nie odpowiedziała. Z obrzydzeniem patrzyła na brudne łóżko. Wtedy wstąpił we mnie diabeł.

– Skoro chcesz walczyć o klasę robotniczą, to musisz, do jasnej cholery, choć raz się przespać w robotniczym łóżku – warknąłem.

Nie spojrzała na mnie, tylko wstała i położyła się przy mnie, obrócona plecami.

Pogładziłem ją po głowie.

– Mam okres – szepnęła.

Tak leżeliśmy, dopóki nie przeszyło nas światło, a Seppi nie zaczął szczekać jako kogut. Cecilie nie chciała jeść śniadania. Gisle stał w progu, kiedy wyruszaliśmy w biały krajobraz. Seppi biegł za samochodem i ujadał. Na wschodzie widać było Heklę. Burza minęła. Było pusto i cicho. Silnik.

Dwie godziny do Rejkiawiku przejechaliśmy bez słowa. Parkując przed wejściem do domu, Cecilie powiedziała:

– Zdążymy na samolot, jeśli się pospieszymy.

– Ty też wracasz?

– Nie.

Pobiegła na górę po moje drobiazgi, ja w tym czasie zmieniłem buty i ruszyliśmy dalej, znów opuściliśmy miasto, wjechaliśmy w strefę amerykańską, mijaliśmy żołnierzy z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Cecilie opuściła szybę i splunęła.

– Kiedy przyjedziesz do Norwegii? – spytałem.

– Latem. Być może.

Zbliżaliśmy się do lotniska, a mnie przypomniał się pewien stary film, który oglądaliśmy razem, czarno-biały, pożegnanie pod skrzydłem samolotu, w tajemniczej mgle.

Wysiadłem z samochodu, zostałem uściskany przez okno.

– Masz bilet?

– Mam. Nie musisz czekać, aż samolot wystartuje. Na pewno odlecę. Na bank.

Nagle już jej nie było. Zostałem w chmurze spalin i śniegu. Nadjechał autokar z amerykańskimi żołnierzami. Przelatujący myśliwiec zmierzwił mi włosy.

Wszedłem do hali tranzytowej i skierowałem się do baru. Tam wszyscy głośno się śmiali, zatykali nosy i pokazywali, że mam wyjść. Z głośnika popłynęła kolęda. Znalazłem sklep z pamiątkami.

Najpierw się rozpłakała, wcisnęła we mnie ze szlochem, potem się cofnęła, pociągając nosem, i posypały się pytania tak gęsto, że przydałby się automat z numerkami.

– Czym od ciebie czuć?

– Chyba owcą – odparłem, odstawiając worek sportowy w przedpokoju. Ojciec był w salonie, ubierał choinkę. Krótko skinął mi głową, jakbym tylko wyszedł po pocztę. Pym przysiadł na gwieździe na czubku drzewka.

– Gdzieś ty był? – krzyknęła mama.

– Na Islandii.

– Na Islandii! A co ty robiłeś na Islandii? Dlaczego nic nam nie mówisz? Całkiem o nas zapomniałeś? Latem też nie powiedziałeś, że wyjeżdżasz do Francji! Co w ciebie wstąpiło?

Już miałem zawrócić w drzwiach, ale byłem spłukany, a z kuchni płynął zapach żeberek i siedmiu rodzajów ciasteczek.

Podszedł ojciec z watą we włosach, z koszulą posypaną brokatem.

– Co powiedziałeś? Gdzie byłeś?

– W zimnym kraju na osiem liter.

– Ale co tam robiłeś? – krzyknęła mama. – Jaki miałeś interes na Islandii?

– Wybrałem się odwiedzić Cecilie. Ona studiuje w Rejkiawiku. Może i ja tam pójdę na studia. Na geologię.

Nastrój natychmiast się odmienił. Wszystkie oczy błyszczały świetlaną przyszłością. Mama znów mnie objęła.

– Ale przecież mogłeś nas powiadomić, Kim. Tak się o ciebie baliśmy. Musisz obiecać, że nigdzie nie będziesz wyjeżdżał bez uprzedzenia.

– Dobrze.

– Obiecujesz?

– Obiecuję, mamo.

Poddano mnie dezynfekcji w wannie, a potem mogłem poczuć przedsmak świątecznego jedzenia. Śmiertelnie zmęczony padłem na wyprasowaną pościel, leżałem i słuchałem pociągu jadącego wzdłuż zatoki, tramwaju na Drammensveien, wyciągnąłem stare radio i przekręciłem się przez całą Europę, ale baterie się wyczerpały, więc zacząłem liczyć owce, w swoim chłopięcym pokoju, w nocy przed Wigilią siedemdziesiątego pierwszego roku.

*

Kiedy szliśmy do dziadka do domu opieki, było cholernie ciepło. Komuś pomyliły się dni. Termometr pokazywał dziesięć stopni plus. Nie było już takich zim jak kiedyś. Mikołaj chodził w hawajskiej spódnicy.

– *Indian winter* – stwierdziłem.

Roześmialiśmy się wszyscy, rodzina idąca mokrymi, ciepłymi, przystrojonymi odświętnie ulicami.

– Mógłbyś się ostrzyc – powiedziała mama dobrodusznie, ciągnąc mnie za włosy.

– Już się ostrzygłem. W zeszłym roku.

Radość. Ale momentami czułem się jak tancerz na linie, drążek mi się przechylał, a lina drżała. Niemożliwe, żeby o to mi chodziło. Postanowiłem jednak wytrzymać do następnego roku.

Dziadek jak zwykle siedział przy oknie. Skurczył się, zmienił w starca, twarz miał tak wychudzoną, że w ustach nie mieściła się mu sztuczna szczęka. Szczerzyła zęby w szklance z wodą na nocnym stoliku. Ale dziadek się śmiał, jego poczucie humoru najwyraźniej się nie zestarzało. Sięgnął do szuflady po zdjęcie, które chciał mi pokazać. Mówił trochę niewyraźnie, mniej więcej tak jak Gisle, ale rozumiałem prawie wszystko. To było zdjęcie robotników budujących kolej na trasie przez Dovre w 1920 roku. Dziadek stał w środku gromady, miał wąsy i błysk w oku. W tle królował szczyt Snøhetty.

Na przyniesione przez mamę pomarańcze dziadek machnął tylko ręką.

– Byłem na Islandii! – zawołałem.

– Na Islandii! Promem?

– Samolotem!

– Na Islandii nie mają pociągów?

– Nie. Ani drzew.

– Podkłady kolejowe – powiedział dziadek. Przywołał mnie bliżej. – Przez cały tydzień wnosili i wynosili drzewa, Kim. Będzie wojna?

– Nie. Tylko mierzyli wysokość do sufitu.

Dziadek długo kiwał głową. Potem dostał prezenty. Bardzo się zdziwił. Kupiłem mu kubek ze zdjęciem Geysira. Postawił go na parapecie i spojrzał na nas.

– Przecież ja nie mam urodzin!

– Jest Wigilia – wyjaśniła mama.

Dalej na nas patrzył. Oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Wskazał na drzwi.

– Kiedy mnie tędy wyniosą, to dopiero będzie! – Wybuchnął śmiechem, głośnym rechotem, aż cały się trząsł, a z oczu ciekły mu łzy.

Rodzice poszli na czwartą do kościoła na Frogner, a ja wróciłem do domu i napiłem się Czarnej Śmierci. Prezenty już leżały pod choinką. Ukradkiem przeczytałem karteczki. Hubert nic nie przysłał. Nina też. Usiadłem na podłodze i w tym momencie z mieszkania na górze spłynęła muzyka. Aż cały drgnąłem i w jednej chwili przypomnieli mi się wszyscy, za którymi tęskniłem. Ale to ta nowa rodzina, która się tu sprowadziła. Dziecięcy chór śpiewał kolędę.

Rodzice wrócili z kościoła, usiedliśmy do stołu. Musiałem opowiedzieć o Islandii. Mówiłem wszystko, co wiedziałem. O wulkanach, lawie, gorących źródłach i Geysirze.

– Masz zamiar studiować tam geologię? – spytał ojciec.

– No tak. To chyba właściwe miejsce na geologię.

– Już nie studiujesz filozofii?

Zaczynały się kłopoty. Straciłem równowagę, musiałem chwycić się liny. I nagle mama spytała:

– Odwiedziłeś latem Huberta?

– Nie.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego on się nie odzywa!

Ojciec siedział schylony nad talerzem. Nad pustym talerzem. Milczenie wbiło się w nas jak harpun.

Mama wyszła do kuchni, żeby uzupełnić półmiski.

Spojrzeliśmy na siebie z ojcem.

– Powiedziałem, że mu wybaczyłeś – szepnąłem. – Prosiłem, żeby wrócił do domu.

Ojciec dalej na mnie patrzył.

– Uważam, że wspaniale się zachowałeś – dodałem.

Pym, ta zielona wrona, wylądował na jego ramieniu, ojciec uśmiechnął się przelotnie, mama przyniosła więcej jedzenia.

Później otwieraliśmy prezenty. Ojcu kupiłem owieczkę, taką jak prawdziwa. Pym poczuł chyba zazdrość, bo jak szalony fruwał po pokoju i nie chciał odpocząć, dopóki ojciec nie odłożył kudłatego klocka na stos papierów. Mama dostała talerzyk z Heklą. Ja nie dostałem mikrofonu, tylko nowe narty. Wigilia ze swoją dobrą nowiną minęła, okres międzyświąteczny przyniósł mokry śnieg i bomby. Mordowałem się na nartach w lesie, a Amerykanie zrzucali swoje podarki na Wietnam, aniołowie się spalili i Dzieciątko Jezus witało świat w zimnym, wilgotnym schronie. Mama serwowała ciasteczka, a ojciec rozwiązywał krzyżówki. Któregoś wieczoru, kiedy w pobliżu rozlegały się eksplozje i krzyki, zajrzałem do jednego z jego czasopism. Krzyżówki były rozwiązane, ale nie było w nich żadnych słów, same litery. Powpisywał tylko litery w kratki, na chybił trafił. Byliśmy w pokoju sami, nie patrzył na mnie.

– Nie myśl o tym więcej – powiedziałem zrozpaczony. – Już po wszystkim!

Nie wiem, czy mnie usłyszał. Choinka już się sypała.

– Podziwiam cię, tato – dodałem prędko i naprawdę tak myślałem. – Podziwiam cię!

Mama przyniosła siedem rodzajów ciasteczek, a trzydziestego grudnia nadeszła wiadomość, że bombardowania zostaną wstrzymane. Nowy Rok już szykował się do skoku. Przyszła pora na noworoczne postanowienia. Nie miałem żadnych. Nic złego nie zrobiłem.

REVOLUTION 9
ZIMA/WIOSNA/LATO ’72

Wytrzymałem w domu do lutego. W gnieździe zrobiło się za ciasno. Albo ja, albo Pym. Padło na mnie. Kiedy Nixon pojechał do Chin, spakowałem sportowy worek i poszedłem na uniwerek. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu czekała na mnie rata kredytu studenckiego, cztery banknoty z Ibsenem, i stypendium podstawowe. Poszedłem do sklepu z płytami, posłuchałem kilku ostrzejszych kawałków, ale mnie nie porwały, kupiłem więc krążek Little Waltera, wypiłem piwo w stodole i policzyłem na palcach. Wsiadłem w taksówkę i pojechałem na Munchs gate.

Nie Seb mi otworzył, tylko dziewczyna. Guri.

– O rany – powiedziałem. Nic więcej.

– Cześć, Kim! Wejdź!

Wszedłem, rozejrzałem się. Tu zaszła zmiana. Panowały spokój i porządek, pachniało herbatą i mydłem, pled na materacu, kwiatki na parapecie, dwie świeżo uprane piżamy suszące się na sznurku.

– O rany – powtórzyłem. – Gdzie Seb?

– Zaraz przyjdzie. Poszedł zrobić zakupy na obiad.

Usiadłem. Guri nalała wody do garnka. Poczułem radość, patrząc na nią, wyglądała na taką silną i tak doskonale czuła się w swoim ciele.

Uprzedziła mnie.

– Mieszkam tutaj – oświadczyła.

– To świetnie.

Spojrzała na mój worek.

– A tobie jak idzie?

– Do przodu. A tobie?

– Zaczęłam studiować prawo.

– O rany. Świetnie.

Woda się zagotowała, Guri jakąś naukową metodą wydzielała listki. Herbata naciągała w ciszy. Zastanawiałem się, co teraz zrobię.

– Fajne rośliny. – Wskazałem na parapet. – Bardzo zdobią.

– To Seba. – Uśmiechnęła się. – Jego nowe hobby.

Nalała herbaty, złocistobrązowej, usiadła naprzeciwko mnie. Postanowiłem się trochę rozeznać.

– Co słychać u Sidsel?

– Chyba poszła do szkoły dla sekretarek.

Herbata w ustach była jak rozgrzana brzoskwinia.

– Miałaś jakieś wiadomości od Niny?

Guri odstawiła filiżankę.

– Wróciła do domu – powiedziała cicho, a mnie gorąca herbata pociekła po palcach. – Do Danii. Jest… jest na odwyku.

– A gdzie… gdzie była?

– Ojciec znalazł ją w Afganistanie. Przez ambasadę, no wiesz. On przecież pracuje w ambasadzie.

Musiałem odstawić filiżankę. Ręce miałem poparzone.

– A więc jednak tam dotarła – mruknąłem.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Seb, z wielkim dorszem w ręku. Spojrzał na mnie i szeroko się uśmiechnął. Zauważyłem, że jest świeżo ogolony.

– Byłeś na rybach? – próbowałem zażartować, ale głos ciągle nie chciał mnie słuchać. Na strunach zrobił się supeł.

Wrzucił rybę do zlewu, usiadł okrakiem na krześle, widać było, że jest bardzo zadowolony.

– A ja myślałem, że wpadłeś do wulkanu! Jak było na Islandii, co?

– W porządku. Chyba zacznę tam studiować. Geologię. To raczej dobre miejsce na geologię.

– Słyszałeś już o Ninie? – Spojrzał na Guri. – Cholerna historia, ale wyjdzie z tego, Kim. Będzie dobrze, do diabła. Parę miesięcy w czystości i będzie miała skórę jak pupa niemowlaka.

Seb był w dobrym nastroju. Nie widziałem go takiego od tamtego dnia, kiedy wyruszył na morze. Miałem nadzieję, że tym razem rejs bardziej się uda.

– Gdzie się podział Gąsior? – spytałem.

Seb roześmiał się i odwrócił głowę.

– To był ślepy tor, Kim. No tak, wiesz, on wierzył, że nadejdzie dzień sądu, chodził i liczył, zakreślał dni w kalendarzu i w ogóle. Kiedy został już tylko jeden dzień, całą noc przesiedział na kolanach, mamrocząc jak szaleniec. Ciebie zresztą też wspominał. I tamtego faceta z kiosku. Dość męcząca noc. A rano podczołgał się do okna i ostrożnie wyjrzał. Cholera, nie wiem, czego się spodziewał. Może czarnej dziury. A na zewnątrz wszystko było bez zmian. Wtedy się wkurzył. Kompletnie mu odbiło. Spakował plecak i poszedł sobie. Nie widziałem go od tamtej pory.

Trochę się z tego pośmialiśmy, Guri dolała herbaty.

– No a potem przyszłam ja – powiedziała. – Spotkałam Seba w sylwestra.

Całowali się bardzo długo. Pora była się wynosić.

Wyjąłem płytę i dałem ją Sebowi. Rozjaśnił się.

– *Hate to See You Go*! O kurde. Little Walter!

– Zatrzymaj ją – rzuciłem, już stojąc w drzwiach.

– Dziękuję, Kim, fajnie z twojej strony. Wpadnij któregoś wieczoru, to sobie czegoś posłuchamy.

Guri spojrzała na mnie.

– Jeśli będziesz miała jakieś wieści od Niny… albo będziesz do niej pisać, to pozdrów ją ode mnie – powiedziałem.

– Dobrze.

– Pozdrów ją ode mnie. Pozdrowisz?

– Dobrze, Kim.

Powlokłem się do knajpy Gjestgiveriet, na Stortorget, i tam zaaplikowałem sobie chłodny okład na myśli. Nie bardzo wiem, co czułem, byłem pusty w środku, całkowicie nieczynny, jak tamten wulkan, do którego nasikałem. Było tego już dla mnie za dużo, w końcu zrobiło się za dużo, bramkarz mnie wyrzucił, plotąc ogólne bzdury o długowłosych pawianach. Stortorget był ciemną dziurą obstawioną rusztowaniami. Mróz

wywracał pory w skórze na drugą stronę. Taksówką pojechałem do Gunnara w Sogn. Trochę się zdziwił, ale wciągnął mnie do swojego pokoju. Dwanaście metrów, lampa, rozkładana kanapa i książki.

– Dawnośmy się nie widzieli, towarzyszu. Co tam u ciebie?

– Właśnie o to chodzi, Gunnar. Myślisz, że mógłbym tu pomieszkać przez jakiś czas?

Natychmiast zwołał zgromadzenie ogólne w kuchni, pojawiły się jeszcze cztery osoby, dwóch chłopaków i dwie dziewczyny, w tym Merete, którą już poznałem. Gunnar przedstawił sytuację, zgodzili się, żebym zamieszkał w korytarzu, pod warunkiem, że będę sprzątał jak inni, płacił pięć dych do wspólnej kasy i jak ognia wystrzegał się portierki. Uchwałę przyjęto jednogłośnie. Inni rozeszli się do swoich pokoi, Gunnar i Merete zostali. Gunnar wyjął duże piwo i rozlał, chociaż była jedynie środa, a Merete pokazała mi grafik sprzątania. Już się czułem jak w domu. Nad kuchennym stołem wisiał Mao, nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego sobie nie usunął tej wstrętnej brodawki.

– Co teraz studiujesz? – spytałem.

– Nauki polityczne, a ty?

– Chcę spróbować skończyć wstępny. I może zacznę studiować w Rejkiawiku. Geologię.

– Mogę ci pożyczyć swoje notatki z filozofii – zaofiarowała się Merete.

– Super.

Położyliśmy się. Niedługo później zadzwoniło pięć budzików. Byłem studentem.

I tak mijała w kalendarzu ta zima. W czasie, gdy Gunnar był na uniwersytecie, uczyłem się w jego pokoju. Merete zasypała mnie segregatorami, a ja z idealnie trzeźwą głową robiłem notatki z notatek, liczyłem linijki, zapisywałem na marginesie godziny. Gotowałem spaghetti, myłem i szorowałem. Wszystko się dobrze układało. Nie podobał mi się jedynie widok. Za Sognsveien, za ogródkami działkowymi, za zielonym, nakrapianym białymi plamkami lasem widziałem iglicę Gaustad i wysoki komin.

Zaciągałem zasłony.

Któregoś dnia przyszła wiadomość z Trondheim. Oli urodził się syn, zamierzali dać mu na imię Rikard. Uznaliśmy to za wzruszające i poszliśmy do restauracji na piwo, chociaż był środek tygodnia. Poza tym chodziliśmy w soboty do Samfunnet, klubu studenckiego w Chateau Neuf, nigdy nie udało mi się wejść do tego bunkra bez przypominania sobie o pasach do dźwigania. Czerwieniłem się na samą myśl. Wszystko jedno gdzie siedziałem, na samym końcu czy na samej górze, przy piwie, czułem ciężar koncertowego fortepianu, podczas gdy oni zabijali się nawzajem na mównicy. Później szliśmy do domu przez zimną, trzaskającą mrozem noc, Gunnar, Merete i ja, przez Tørtberg, Gunnar rozprawiał o debacie, złościł się na anarchistów, gadał przez całą drogę przez Blindern, przez obwodnicę, opowiadał o swoim bracie, który mieszkał w rolniczej komunie w Gudbrandsdalen i odmawiał używania traktora, ponieważ zanieczyszcza ziemniaki. Gunnar z pogardą podsumowywał, że walka ludu wypadła z torów, i dalej perorował o wrześniowym referendum, o tym, że Bratteli już strzelił sobie w stopę. Zapalał się przy tym tak, że znikał w chmurze pary buchającej mu z ust, mówił o niecierpliwości, o rewolucji, Gunnar i Merete, czułem się trochę niepotrzebny, jak piąte koło u wozu, jak kłoda rzucana im pod nogi.

Zwykle kiedy wracaliśmy do domu w takie wieczory, korzystałem z łóżka Gunnara. A w niedziele, jeżeli miałem czas i nie musiałem się uczyć, chodziłem do rodziców. Zgarniałem wałówkę i wracałem do siebie. Starzy sprawili sobie kolorowy telewizor i oglądali Ashtonów, *Family at War*, nie mówili o niczym innym, tylko o Ashtonach. Nawet ojciec był ciekaw, co to będzie z Ashtonami. Miałem dość po dwóch minutach oglądania tych sztucznych twarzy. Najwyraźniej nie zauważali, jak wychodziłem. Trzaskałem drzwiami. Czasami kierowałem się na Munchs gate, ale zawsze zmieniałem decyzję, powoli wyruszałem w długą powrotną drogę do Sogn.

Wszystko szło gładko. Czytałem notatki Merete i sam robiłem notatki. Przeglądałem listę lektur, zrzucałem się do wspólnej kasy i chowałem się przed portierką. Nie podobał mi się jedynie widok. Iglica. Komin.

Zaciągałem zasłony.

Zima rozmarzała, Wielkanoc, świat topniał. Coś było z Gunnarem. Krążył jak kot wokół sperki. Sperką byłem ja. A on krążył razem z Merete.

Organizowali zebrania. Przychodzili ludzie, pojedynczo, wychodzili też pojedynczo, wieczorem. Gunnar nie pytał, czy chciałbym wziąć w tym udział, nie wspomniał ani słowem. Ale wyraźnie myślał o daniu mi jeszcze jednej szansy. Nadarzyła się na dzień przed pierwszym maja.

– Pójdziesz ze mną dzisiaj na imprezę roboczą? – spytał.

– Na imprezę roboczą?

– Musimy trochę pozbijać i pomalować na jutro. A przy okazji wypić trochę piwa. Rejon Ytre Vest.

– Nie wiem, czy mam czas. Powinienem przeczytać kilka rozdziałów.

Przekonanie mnie zajęło mu dwadzieścia sekund. Po siódmej stawiliśmy się w willi w pobliżu Ekely, kolonii artystycznej, zaopatrzeni w deski i pędzle. Praca już się zaczęła. Poszczególne sekcje zajęły osobne pokoje. Gunnar i Merete zniknęli w piwnicy, ja zostałem w trzecim świecie. Jakaś dziewczyna wręczyła mi młotek, więc nim waliłem. Później były lapskaus i piwo. Czułem, że mnie to pochłania, że wciąga mnie atmosfera – optymizm, wspólnota, hultajstwo, walka, żar, szczęście, to był wir, czułem, wciągał mnie, twarz mi błyszczała, bo Gunnar i Merete się do mnie śmiali. Jakiś chłopak stanął na skrzynce po piwie i przeczytał *Pytania czytającego robotnika*, dziewczyna zagrała akord i wszyscy zaczęli śpiewać *Odsuń się EWG, bo zasłaniasz nam słońce*, aż ściany zadrżały, w sercu podskoczyło mi ciśnienie, sufit się uniósł, a to ciepło, to poczucie wspólnoty najwyraźniej trochę mnie przerosło, bo wdrapałem się na stół i zgromadzeni ucichli.

– Towarzysze! – zawołałem. – Właśnie wróciłem z Islandii! Przywożę pozdrowienia od naszych towarzyszy stamtąd! Tam ludzie walczą przeciwko bazie amerykańskiej, praniu mózgów i uciemiężeniu. Reakcyjnemu rządowi spadła maska. Rządzący klękają przed Stanami Zjednoczonymi i przywiązują Islandię do zmierzającego do podboju świata amerykańskiego imperializmu. Uzależniają Islandię od Stanów, islandzkich robotników zmuszają do pracy dla Amerykanów. Ale walka już się zaczęła! To taka sama walka, jaką my prowadzimy przeciwko EWG! Któregoś dnia byłem daleko w głębi kraju i poznałem wieśniaka o imieniu Gisle. Czytał mi fragmenty z *Kapitału* i kazał przekazać pozdrowienia narodowi norweskiemu. Nasza walka jest ich walką! Ich walka jest naszą walką!

Byłem bliski omdlenia, pot wystąpił mi na czoło. Zaraz jednak rozległ się ryk radości, spadłem ze stołu, ale zostałem przyjęty przez wyciągnięte ramiona, przez miękkie policzki i zaciśnięte pięści.

Było już po północy, kiedy grupa klejowa uporała się wreszcie z mieszaniem pięciu wiader mąki z wodą. Plakaty nasmarowano i zwinięto z gazetami, po czym grupę podzielono na dziewięć par, które miały nimi pokryć całą zachodnią część Oslo. Mnie powierzono Skillebekk i okolice. Niebezpieczny rejon, bo tam roiło się od radiowozów policyjnych węszących wokół ambasad, dlatego potrzebny był ktoś znający okolicę jak własną kieszeń. Gunnar na ten wybór z uznaniem pokiwał głową. Wraz z rudowłosą sikorką wyszedłem w ciepłą, majową noc z pięcioma torbami pełnymi „Nie dla sprzedaży Norwegii". Wskoczyliśmy na rowery, minęliśmy Hoff i wjechaliśmy w Bygdøy allé. Zaparkowaliśmy przy Thomas Heftyes gate i dalej poszliśmy już na piechotę.

– Od czego zaczynamy? – spytał Czerwony Kapturek.

Zatrzymałem się przed Bonusem.

– Tutaj – zdecydowałem.

Rozwinąłem plakaty i starannie zakleiłem całą wystawę. Cholernie brudna robota. Wszędzie miałem klej. Ale efekt był niezły. Nie zostało miejsca na ani jedną ofertę. Zdrapanie tego zajmie im rok.

– Nie możemy zużyć wszystkich tutaj – szepnął Czerwony Kapturek.

– Masz rację – przyznałem. Rozlepialiśmy dalej, przemieszczając się w kierunku Skillebekk, od jednego słupa latarni do następnego. Czerwony Kapturek był chłodny i systematyczny. Przecięliśmy Drammensveien, dziewczyna chciała iść w kierunku ambasady rosyjskiej, ale pociągnąłem ją w stronę Svoldergata. Tam zakleiłem każdą latarnię i każdą bramę. Aż mnie załaskotało na widok saaba ojca. Potem znów wróciliśmy do linii tramwajowej.

– To ważna okolica – szepnąłem do Czerwonego Kapturka. – Tutaj wiele osób się waha, wiem o tym, bo tu się wychowałem.

– Drobnomieszczanie bywają uparci – stwierdziła.

Zostały nam trzy torby plakatów, więc rozklejaliśmy je na Drammensveien. Czerwony Kapturek świetnie sobie radził, udawało mu się nie uronić nawet kropli kleju. Ja za to wyglądałem jak chodząca tubka.

Ale szło nam dobrze. Aż do momentu, gdy zobaczyliśmy samochód glin jadący Frederik Stangs gate i skręcający w lewo.

Czerwony Kapturek przejął dowodzenie.

– Rozdzielamy się! – krzyknął i zniknął jak czerwony wiatr.

Zawróciłem i ciągnąc za sobą torby, rzuciłem się w górę Gabels gate, czułem już na plecach kwaśny oddech policji, ogarnęła mnie paranoja i nogi poruszały się pode mną jak koło. Syreny. Pisk opon na zakręcie. Skręciłem na jakieś tylne podwórze, przeskoczyłem przez płot i znalazłem się na wsi. Zbrązowiała, mokra trawa. Jasnozielone drzewa w chłodnej ciemności. Spichlerz. Stajnia. Usłyszałem hamulce, wsteczny bieg, trzaskanie drzwiczek samochodu. Nie miałem wyboru. Po omacku zszedłem do schronu. Ale nie całkiem, tylko do połowy. Usiadłem na schodach. Słyszałem głosy. Nasłuchiwałem psów. Wstrzymywałem oddech. Nie wiem, jak długo tak siedziałem. Nic już nie słyszałem, jedynie własny nierówny puls. Schody były ciemne i zimne. Wydawało mi się, że w dole, głęboko w ciemności, widzę oczy. Nie miałem siły wstać. Siedziałem oblepiony błotem z kleju, plakatów i gazet. Wydawało mi się, że coś się porusza. Że słyszę odgłos zamykającej się bramy. Zawołałem. Głos zygzakiem odbił się od zapleśniałych ścian, jakby stał tam rząd ludzi odkrzykujących do mnie. Wołałem, wzywałem wszystkie moce, wzywałem borsuka i Mao, Jezusa i Marksa, Lenina i rodziców, wołałem zdjęty strachem, gdy tak siedziałem wymazany klejem, ale to nie była modlitwa, to wcale nie była modlitwa.

Do Sogn dotarłem dopiero nad ranem. Gunnar i Merete nie położyli się, czekali na mnie, nakryli w korytarzu wielki stół do śniadania. Ogromnie się uradowali na mój widok, byli przekonani, że siedzę w areszcie, poddawany przesłuchaniom trzeciego stopnia. Ale zaraz zaczęli się śmiać. Kiedy przejrzałem się w lustrze, zrozumiałem dlaczego. Byłem wędrującym słupem ogłoszeniowym. Śmiechy zbudziły pozostałych lokatorów. Chłopak, który studiował historię sztuki, stwierdził, że przypominam kubistyczny kolaż, i chciał mnie wyprawić na Wystawę Jesienną. Zdjąłem zalepione łachy i przebrałem się w jedyne czyste rzeczy, jakie mi jeszcze zostały. Potem spakowałem worek sportowy, książki wziąłem pod pachę.

– Spadam – oznajmiłem.

– Nie zostaniesz na śniadaniu?

– Raczej nie.

Na stole było pełno flag, norweskich i czerwonych.

– Świetna była ta twoja przemowa o Islandii – pochwaliła mnie Merete.

Gunnar podszedł do mnie.

– Do zobaczenia wkrótce. Powodzenia na egzaminie!

Uścisnął mi rękę.

– Tego nie powinieneś był robić – powiedziałem.

Popatrzył na mnie dziwnie. Ale zaraz zrozumiał. Skleiliśmy się ze sobą. Ciągnęliśmy każdy w swoją stronę, ale na nic się to nie zdało.

– W dzielnicy Ytre Vest robią świetny klej. – Gunnar się zaśmiał. Ale musieliśmy iść pod kran.

Opuściłem miasteczko studenckie Sogn. Była wiosna. Powietrze przenikał łagodny zapach perfum. Z okien zwisały wielkie, czerwone flagi i wszędzie grała muzyka.

U Seba znów wszystko stanęło na głowie. Przedostanie się od materaca do drzwi zajęło mu trzy kwadranse, ale wreszcie stanął przekrzywiony, dwa metry w poplamionych gaciach, z klatką piersiową wątłą jak u ptaka. Poczułem pewną ulgę.

– Cholera, ale pora na wizytę!

Wpakowaliśmy się do środka, Seb otworzył okno. Na parapecie nie było już roślin. Nie suszyły się żadne piżamy.

– Gdzie Guri?

Zwalił się na materac i zapalił grubego skręta.

– *She's gone and left me* – westchnął.

– Kiedy byłem tu ostatnio, wydawało mi się, że wszystko idzie jak po maśle.

– No właśnie, mądralo. A pamiętasz mój ogród botaniczny na parapecie? No cóż, Guri myślała, że to hiacynty, ale w końcu któregoś dnia odkryła, że

to solidne konopie z wysokich gór. Kupiłem od jednego chłopaka w parku około Bożego Narodzenia. Guri zniszczyła cały plon i poszła sobie.

– Hodowałeś haszysz na parapecie?

– No. Grzałem na cały regulator i tylko czekałem na wiosenne słońce. Południowe okno. Prawdziwa szklarnia, Kim.

– Niezły z ciebie wariat.

– E tam. Przecież wódę ludzie też pędzą sami, no nie?

Nastawił wodę na kawę, wręczył mi peta, a sam zakopał się w stosie ubrań.

– Wyprowadziłeś się z Sogn? – usłyszałem.

– Owszem. Za dużo marudzenia. Pomyślałem sobie, że może u ciebie się pouczę do egzaminu.

Wciągnął wystrzępione dżinsy i spraną koszulkę.

– Nie podoba mi się to twoje zakuwanie do egzaminu, Kim. Oczy ci się ustawiły całkiem poziomo. Ale jasne, możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz!

Wypiliśmy kawę w proszku. Miała smak grzyba.

– Masz flaszkę? – spytałem.

– Świetny pomysł, profesorze! Idziemy do babci. U niej w piwnicy pełno flach po dziadku.

Babcia mieszkała przy Sankthanshaugen, zastaliśmy ją przy śniadaniu. Pachniało grzankami i marmoladą. Uściskała nas obu i natychmiast chciała zrobić Sebowi coś pożywnego do jedzenia, gdy zobaczyła, jak bardzo schudł. Ale Seb od razu przystąpił do rzeczy.

– Babciu, moglibyśmy pożyczyć od ciebie kilka butelek soku? Jest pierwszy maja, wszystkie sklepy zamknięte.

Popatrzyła na niego chytrze, mrugnęła pomarszczoną powieką i przyniosła klucz do piwnicy.

– Tylko nie bierzcie za dużo tego z czarnych porzeczek, chłopcy, bo mam go mało.

Przejrzała nas. Zjechaliśmy na sam dół i otworzyliśmy boks babci. Całą dłuższą ścianę pokrywały butelki ułożone na leżakach.

– Dziadek zbierał, a babcia wypija. – Seb się zaśmiał. – Niezły system. Nie da rady temu wszystkiemu do śmierci.

Wzięliśmy dziesięć butelek białego wina i jeden dobry koniak. Kiedy oddawaliśmy klucz do piwnicy, babcia wystąpiła z kilkoma ogólnymi zaleceniami, ale mogła być o nas spokojna. Nie zamierzaliśmy nigdzie nabrudzić. Ruszyliśmy z powrotem w stronę miasta. Minęliśmy Szkołę Katedralną i Cmentarz Zbawiciela, na ulicach pojawili się ludzie. Zza rogu dobiegał dźwięk orkiestry dętej, przyspieszyliśmy. Przy Liceum Eksperymentalnym była już pełna jazda, transparenty wywieszone z okien, istne wesołe miasteczko. Wepchnęliśmy korek do środka jednej butelki i zafundowaliśmy po łyku smarkaczom i nauczycielowi od religii. Po powrocie do domu wstawiliśmy zaopatrzenie do lodówki.

Zaczęliśmy od koniaku, żeby mieć solidny podkład.

– Idziesz na pochód? – spytałem.

– Nie. Już mnie kiedyś wywalili. Idę na Hjelmsgate.

– Wiesz, co u Niny? – rzuciłem prędko.

– Chyba lepiej. Ale była głęboko na dnie. Głębiej niż ja.

– Dotarła do Afganistanu – powiedziałem.

– Naprawdę?

Otworzyliśmy schłodzone białe, a miasto pod nami się zagotowało.

– Ojciec wrócił do domu. Mieszka u matki.

Chwilę milczeliśmy, rozmyślając nad różnymi rzeczami.

– Miałeś jakieś wieści od Oli? – spytałem.

Seb się roześmiał i położył.

– Rikard rośnie. Urodził się trzy tygodnie za późno. Miał już grzywkę i przednie zęby!

Śmialiśmy się z tego długo, zanurzeni w winie.

– Musimy go odwiedzić – oświadczyłem. – Niech to wszystko szlag, jedziemy do Trondheim! Po egzaminie!

– Świetny pomysł! Zaskoczymy rodzinę Jensenów błyskawicznym atakiem miejskiej partyzantki!

Wypiliśmy za to i otworzyliśmy kolejną butelkę.

– Ale czego ty się, do jasnej cholery, uczysz na tym porośniętym mchem uniwersytecie?

– Tego, że osiągnęliśmy stadium oralne. Gadamy i pijemy.

Nagle poczułem się piekielnie śpiący. Seb zniknął gdzieś we mgle, głowę miałem całkiem pustą. On jednak się nachylił i mną potrząsnął.

– Towarzyszu Kim, idziemy na miasto!

– Chyba nie mam siły – wymamrotałem.

I to była ostatnia rzecz, jaką pamiętam sprzed powrotu Seba. Ale wtedy był już nowy dzień.

Seb wyciągnął mnie ze snu.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że śpisz, odkąd cię ostatnio widziałem?

Nie miałem pojęcia, gdzie jestem, byłem we wszystkich miejscach, we wszystkich pomieszczeniach, które znałem, a w każdym siedzieli ludzie próbujący mnie obudzić. Wreszcie dostrzegłem Seba.

– Stało się coś? – wymamrotałem.

– Całe miasto się poderwało, Kim! Nie było gdzie stanąć. Zorganizowaliśmy rzucanie strzałkami na placu przed uniwersytetem. Do Stalina jako tarczy. Kurde, ale jazda! – Wyciągnął się na materacu, kiedy ja wstawałem. – A poza tym spotkałem Stiga. Jesteśmy zaproszeni na wieś. Kiedy jedziemy?

– Po egzaminie.

– Aż tak ci to zawróciło w głowie?

Teraz z kolei Seb spał, a ja siadłem do czytania. To był dobry system. Nigdy nie wpadliśmy w ten sam rytm. Kiedy ja spałem, Seb krążył gdzieś po Oslo i okolicach. Kiedy on spał, ja siedziałem nad książkami, a któregoś dnia w połowie maja nareszcie był egzamin. Nerwy miałem luźne jak włóczka w motkach mojej matki, a mózg w najwyższej gotowości. Seb właśnie przyszedł z dziewięcioma flachami wina, które przyniósł od babci, życzył mi powodzenia i padł na materac. Szedłem na uniwersytet na Blindern w nic nie ważącym deszczu. Odnalazłem salę gimnastyczną, dostałem miejsce pod ścianą z drabinkami. Wokół mnie siedziały same nerwusy z mięśniakami na czołach. Ja byłem Buddą. Byłem wiatrem i morzem. Położyłem przed sobą zaostrzone ołówki, gumkę i długopis.

Miałem to wszystko w małym palcu, a właściwie we wszystkich palcach oprócz jednego, tego haczykowatego, obrzydliwego, to była moja jedyna dziura. W końcu trzasnęły drzwi, przez salę przebiegło ciężkie westchnienie i emeryci rozeszli się między stolikami, żeby rozdać zadania. Zanim jednak zdążyłem je przeczytać, pojawił się jeszcze jeden dziadek, który koniecznie chciał zobaczyć moją legitymację studencką. Pokazałem mu. Czytałem dalej. Wyglądało na łatwe. Na śmiesznie łatwe. Tu nawet nie był potrzebny ołówek. Sięgnąłem po długopis i poczułem na ramieniu czyjąś dłoń.

– Nie ma cię na liście – szepnął mi dziadek prosto do ucha.

– Na jakiej liście?

– Egzaminacyjnej. Zapisywałeś się?

– Czy się zapisywałem?

Musiałem z nim iść do przewodniczącego komisji przy katedrze. Tam sprawę szybko i bezwzględnie rozstrzygnięto. Nie zapisałem się na egzamin. Przykra sprawa. Kim Karlsen musiał się poddać już po czterech minutach. Wszyscy się na mnie gapili. Nie chciało mi się nawet wracać po ołówki. Poszedłem do Frederikke i zamówiłem piwo. Wszystko przez ten palec. Nienawidziłem tego palca. Uderzyłem nim w stół. Miałem ochotę go zdeptać, pogryźć na kawałeczki, urwać. Trzy dziewczyny w kącie zaczęły mi się przyglądać. Prędko stamtąd wyszedłem. Pobiegłem na Munchs gate i obudziłem Seba.

– No i jak ci poszło? – wycharczał.

– Wywalili mnie. Zapomniałem się zapisać.

Wstał i szeroko się uśmiechnął.

– Ostro, Kim. Ostro. Najlepsze, co mogło się zdarzyć. Trzeba to uczcić.

Wyjął z lodówki białe wino i nalał do półlitrowych szklanek.

– Później pójdziemy na przystań, nakupimy krewetek, położymy się pod drzewami przy twierdzy Akershus. Dobrze będzie, Kim?

– A jutro jedziemy do Oli!

– No właśnie.

Ale nie wyjechaliśmy następnego dnia, nie ruszyliśmy palcem do połowy czerwca, dopiero wtedy, w gorący poranek, stanęliśmy na

Trondheimsveien z wystawionymi kciukami, nieźle oszołomieni. Gunnar nie mógł z nami jechać. Wyruszał w trasę, agitować w regionie Sørlandet. Zaopatrzył nas natomiast w poszewkę od poduszki wypełnioną ulotkami i folderami.

– Dziwne – powiedziałem do Seba. – Mam wrażenie, że to ostatnie pół roku po prostu gdzieś mi się wyślizgnęło. Nie miałem czasu nawet się zastanowić.

– Tak samo czułem w Amsterdamie, kiedy byłem w ciągu. Zupełnie nowa rachuba czasu. Mrugałem prawym okiem i okazywało się, że minął tydzień.

– Cholera, człowiek się od tego robi nerwowy! Traci kontrolę.

– Uspokój się, Kim! Mamy wakacje.

Mijały nas samochody pędzące w stronę Sinsenkrysset. Miasto spowijała mgiełka. Fiord wyglądał jak niebieska podłoga, a półwysep Nesoddlandet jak zielone zbocze na tle nieba.

– Pewien jesteś, że nie powinniśmy zadzwonić i uprzedzić, że przyjeżdżamy? – spytałem.

– Daj spokój. Byłyby tylko nerwy i panika. Chłopak ma przecież r o d z i n ę! Nie zapominaj o tym.

Na chodnik przed nami zjechał jakiś prychający wóz i otworzyły się drzwi.

– Wskakujcie, chłopaki! Jadę do roboty.

Wskoczyliśmy do tyłu, a facet zdążył minąć wzgórze Gjelleråsen, zanim zamknęliśmy drzwiczki.

– I co, wybieracie się do Trondheim? Tak właśnie myślałem, skoro staliście na Trondheimsveien, cha, cha. Spotkałem raz typka, który stał na Stavangergata i łapał stopa. A wcale nie jechał do Stavanger.

Zaśmialiśmy się dość uprzejmie. Obrzucił nas spojrzeniem w lusterku.

– Zrozumieliście? – spytał.

Zaśmialiśmy się jeszcze głośniej, a wybrylantynowany tłuścioszek wykonał wściekły manewr wyprzedzania i udało mu się w ostatniej sekundzie wbić między autobus a tira.

– Na ogół jakoś się udaje. – Roześmiał się.

Seb wyjął z kieszeni grubego skręta i zapaliliśmy.

– Nie znam tego tytoniu, chłopaki. Nowy gatunek?

– Pakistański mentol – odparł Seb.

– No właśnie, ciągle powtarzam, że ci cudzoziemscy robotnicy wciskają się dosłownie wszędzie. Co jest złego w naszych teddych, chłopaki? Powiedzcie mi. Nie da się przejść przez miasto, żeby się nie natknąć na całą hordę buszmenów. Ale coś wam opowiem, chłopaki. W zeszłym tygodniu byłem w Lillesand i spotkałem Araba, który mówił z idealnym południowonorweskim akcentem, więc co wy na to? A dacie mi spróbować?

Odchylił się, chwycił skręta w powietrzu, zaciągnął się, zainhalował i rozkasłał nad kierownicą. Samochód zarzuciło na lewy pas, kierowca wrzasnął, z krzykiem wrócił na prawy.

– Paskudny smak! – charknął. – Mentol, mówiliście? No to sami widzicie! Mówią, że to mentol, a w środku jest czyste gówno. Ośle. Ja je znam. A kiedy wejdziemy do EWG, ci południowcy podbiją nasz kraj tymi swoimi oszustwami. Jak myślicie, co Hiszpanie i Włosi wiedzą o mydle, perfumach i szmince? Nic, chłopaki! Ale sprzedają te swoje śmieci tanio i psują wszystko nam, poważnym graczom. To będzie katastrofa. Cała Norwegia będzie cuchnąć potem. Zgadzacie się ze mną?

– Jest pan sprzedawcą? – spytałem.

– Nieźle kombinujesz. Sprawiam, że kobiety pięknieją. „Puzderko Pedersena". To ja. Perfumy, pincetka i puder. No i inne przybory. To ja. Macie jeszcze takiego papierosa? Tytoń mi się skończył.

Seb dał mu skręta, Pedersen zapalił, otworzył okno i gnał sto dwadzieścia. Po lewej ciągnęło się jezioro Mjøsa. Zegar na desce rozdzielczej pędził tak samo jak szybkościomierz. Zbliżaliśmy się do gór. Pedersen przymknął okno. Przyjrzałem się jego twarzy, poczerniała od wyjazdu z Oslo. Ze schowka na rękawiczki wydobył maszynkę do golenia i zaczął przesuwać ją po policzku.

– Na baterie. – Wyszczerzył się. – To również coś, co lubią kobiety. Zwłaszcza samotne. Rozumiecie?

Seb zasnął. Pedersenowi oczy wyłaziły z głowy. Droga należała do niego. Kiedy na szosie pojawiał się samochód, zaczynał trąbić i mijał go z rykiem silnika. Czasami o włos. Godziny i kilometry pędziły na łeb, na szyję.

Widziałem brodę rosnącą na twarzy Pedersena, naprawdę widziałem, czarna szczecina sypała się z niej, gdy manewrował maszynką po podbródku, jednocześnie zygzakiem jadąc przez Norwegię. Trondheim zaatakował w sam pępek i gwałtownie zahamował. Seb obudził się ze szlochem.

– Koniec pieśni, chłopaki.

Zatrzymaliśmy się na środku mostu. Katedra Nidaros rzucała na nas cień.

Podziękowaliśmy za podróż i otworzyliśmy drzwi. Kierowca chwycił mnie gładką ręką.

– Nikt nie powie, że Pedersen jest chytry – wybełkotał. Z kartonu na przednim siedzeniu wyjął dwie paczki. – Puzderka Pedersena. Bardzo proszę. Wyglądacie okropnie.

Staliśmy na moście nad rzeką o zmierzchu i patrzyliśmy, jak jedzie dalej. Czuć było przypaloną brylantyną. Na pierwszym skrzyżowaniu rozległ się huk. Z prawej nadjechał radiowóz, a Pedersen dodał gazu. Gliny otoczyły samochód i wyciągnęły ze środka przeraźliwie krzyczącego Pedersena.

– Chyba spadamy – powiedział Seb.

I tak zrobiliśmy. Dobiegliśmy do jakiegoś parku, tam usiedliśmy na ławce i otworzyliśmy swoje puzderka. Seb dostał kolki ze śmiechu, ale zaczął pudrować niezdrową cerę.

– Musimy się odpicować – zarżał.

Rzeczywiście prezentowaliśmy się nieźle, kiedy zadzwoniliśmy do drzwi rodziny Jensenów. Tusz do rzęs, puder, szminka, perfumy i lakier do włosów. W drzwiach nagle pojawił się Ola i aż rozdziawił gębę. Byliśmy przybyszami z Księżyca. Rzuciliśmy się na niego i przewróciliśmy go na podłogę. Wyrwał się i odskoczył pod ścianę.

– Kto to, Ola? – usłyszeliśmy z salonu. Najpewniej małżonkę.

Ola nie był w stanie nawet pisnąć. Otworzyliśmy drzwi na oścież i zobaczyliśmy salon z kinkietami, hafty na ścianach, kawę i ciasto na stole. Siedziały przy nim trzy osoby, które zastygły nad filiżankami jak posągi, a szczęki wypadły im z zawiasów.

Ola przedstawił nas, wymachując rękami.

– To Se-Se-Seb i Ki-Ki-Kim z Oslo – tłumaczył gorączkowo, wskazując na wszystkie strony. – A to K-K-Kirsten i jej ro-ro-rodzice.

– A gdzie Rikard? – upomniał się Seb.

Wpuszczono nas do sypialni, tam w koszyku leżał pulchny bobas, a gdy tylko zobaczyłem tę różową śpiącą główkę, zrobiłem się krystaliczny i przezroczysty jak szkło, a diament wyrył we mnie lęk w poprzek i wzdłuż.

– Fajny – szepnąłem. – O rany, jaki fajny.

Dotknąłem palcem jego czoła, Rikard od razu się rozpłakał. Przybiegła Kirsten, wzięła go na ręce, zaczęła cicho i miękko kołysać, a ja tylko przełykałem ślinę. Ola stał dumny i przerażony, nie bardzo wiedział, co ma robić. Kirsten rozpięła bluzkę, Rikard sięgnął do jej piersi.

– Chyba chodźmy do sa-sa-salonu – zaproponował cicho Ola.

To wtedy wszystko się posypało. Za każdym razem, gdy rodzice Kirsten się odzywali, Seb pękał ze śmiechu. Siedział w fotelu zgięty wpół i pluł okruszkami. Atmosfera z każdą chwilą gęstniała. Ola zgniótł w palcach filiżankę. Seb w końcu spadł z fotela na dywan, trzymał się za brzuch i rechotał do sufitu, aż z twarzy osypywał mu się puder. Ja wytarłem szminkę razem z potem. Przyszła Kirsten z surową miną. Ola siedział na kanapie jak na gwoździach.

Musiałem zaprowadzić porządek.

– Przyjechaliśmy prosto z balu przebierańców – zacząłem tłumaczyć nieśmiało. – Kończącego semestr na uniwersytecie w Oslo. To dlatego, to dlatego… tak wyglądamy.

Poczułem nagle, że mi nie wychodzi, że nie umiem kłamać. Nie uwierzyli mi. Podniosłem rechoczącego Seba z podłogi i zaciągnąłem go do drzwi. Ola też przyszedł, staliśmy w przedpokoju we trzech.

– Przepraszamy – szepnąłem. – Przepraszamy. Mam nadzieję, że niczego nie popsuliśmy.

– Szkoda, że nie u-u-uprzedziliście. – Ola nie patrzył na nas, tylko gdzieś w bok.

– Zazdrościmy ci – powiedziałem. – Masz dzieciaka i w ogóle.

– Co teraz zro-zro-zrobicie?

– Wrócimy do domu. Pozdrowienia od Gunnara.

Wręczyłem mu powłoczkę wypełnioną ulotkami. Seb już stał. Nachylił się teraz nad Olą.

– Dobrze, że wróciło ci tylko jąkanie. – Zaśmiał się. – Ten dialekt z Trondheim niszczy nerwy śmiechowe! Słyszałeś kiedyś, jak Arab mówi dialektem z południa Norwegii?

Wyprowadziłem Seba na klatkę i poklepałem Olę po ramieniu.

– Pozdrów Rikarda – powiedziałem. – Za piętnaście lat będzie grał na perkusji w The Snafus!

Ola się nie odezwał, ale w jego oczach wyczytałem całą księgę. Pchnąłem Seba, żeby ruszył po schodach. A kiedy wyszliśmy w trzeźwą, czerwcową noc, usłyszałem płacz dziecka.

– Jasna cholera. Musiałeś akurat teraz tak się wygłupiać? Przy teściach?

– Nic na to nie poradzę, Kim. To było dla mnie za wiele.

– Dupek! – krzyknąłem mu w twarz. – Dupek!

Nie było już czego szukać w Trondheim. Miałem pieniądze na pociąg do domu. Odjeżdżał o dziesiątej, zdążyliśmy.

– Jedziesz ze mną do Stiga? – spytał Seb, kiedy staliśmy na korytarzu, a światła przelatywały nam przed oczami jak spadające gwiazdy.

– Nie.

– Cholera, bo co? Chyba się nie wkurzyłeś?

Oparłem czoło o szybę i poczułem, że drży. Przycisnąłem mocniej. Złączenia szyn wbijały się w czaszkę.

– Jadę do Nesodden – oświadczyłem.

Seb wysiadł po drodze, w Oppdal. Ja pojechałem dalej, do Oslo. Widziałem stojącą w oknie matkę Freda. W oczach miałem poranną rosę.

Na Munchs gate panował nieznośny upał. Miasto budziło się jak znudzony lew. Byłem spłukany. Nie miałem pieniędzy nawet na prom do Nesodden. Położyłem się na materacu, żeby przemyśleć sobie różne sprawy. Później wyszedłem. Słońce stało wysoko. Na ulicy, koło piekarni, jakieś maluchy grały w nogę. Podbiegłem do nich, chwyciłem piłkę, żeby pokazać im kilka sztuczek. Gnojki się wściekły, wykiwały mnie, coś za mną pokrzykując. Powlokłem się dalej. Musiałem skołować forsę przed

wyjazdem. Miałem pewien plan. Poszedłem do domu na Svoldergata, otworzyłem kluczem drzwi do mieszkania. Zapach wakacji. Zasłony filtrujące światło. Kurz. Meble przykryte kocami. Wziąłem wszystkie płyty Beatlesów, włożyłem je do torby i prędko wyszedłem. Ulica była pusta. Wiatr zwiewał piasek. Z tyłu za mną krzyczała mewa. Poszedłem do sklepu na Skippergata i pokazałem starej, chytrej wiedźmie, co mam do zaoferowania. Wyciągnęła płyty kościstymi palcami, obejrzała je zmrużonymi oczami, podmuchała.

– Zniszczone – szepnęła. – Rysy. Plamy.

Nie odezwałem się.

– Dziewięćdziesiąt koron – powiedziała prędko.

Pieniądze miała już przygotowane. Wziąłem banknoty i wybiegłem. Postałem kilka sekund, kilka godzin, i poszedłem w górę Karl Johan. Zaczynało mnie palić sumienie. Sprzedałem się. Był wolny stolik u Sary. Zamówiłem piwo, ale na wszelki wypadek złożyłem razem dwie dychy i schowałem je do tylnej kieszeni, żeby mieć pewność, że dostanę się na prom. Mogłem popłynąć dopiero wieczorem. Rozglądałem się za znajomymi. Wypiłem piwo i znów wyszedłem na Karl Johan. Ludzie nadciągali z przeciwka jak ukośne, padające kolumny, ubrani na czarno w upale, z białymi, zakurzonymi twarzami. Dotarłem do parku Studenckiego. Nagle ktoś wcisnął mi do ręki ulotkę. Peder i Cwany Leif. „ODRZUCASZ WSPÓLNOTĘ?" – głosił napis na wielkim plakacie. Wyrzuciłem ten papierek od nich, pobiegłem przed siebie i gwałtownie zahamowałem. Przede mną siedzieli wszyscy, siedzieli na żółtych ławkach pod drzewami, w zielonej poświacie opadającej w powietrzu niczym bezszelestny deszcz. Trzewia podeszły mi do gardła. Siedziała tam Nina ze strzykawką wbitą w ramię, siedział Fred ociekający wodą, chudszy niż kiedykolwiek, siedział Smok z rozwaloną twarzą i z zakrwawionym kikutem po odgryzionej ręce. I Jørgen, gruby, z rzadkimi włosami, z sinym nacięciem na policzku i martwymi oczami. Uciekłem stamtąd ile sił w nogach. Usłyszałem pisk opon gwałtownie hamującego samochodu. W parku Zamkowym było pusto. Klęknąłem na trawie i zwymiotowałem. Zamek odnawiano. Rusztowania. Usiadłem w cieniu drzewa. Obudził mnie gwardzista i kazał mi się wynosić. Wolnym krokiem wróciłem na Karl Johan. Na ławkach nikt nie siedział. Zielona poświata pociemniała.

Parasole w Pernille przypominały ogromne muchomory. Ludzka masa znów ruszyła w moją stronę, ukośne, przewracające się kolumny. Zawróciłem, wyrwałem się, pognałem do Club 7. Zamknięte. Musiałem zejść na przystań. Dzwony na wieży ratuszowej zabiły. Ruszyłem betonowym wykopem, zatrzymałem się, rozejrzałem. Nie mogłem dostrzec nieba. Przypomniało mi się, jak ta dzielnica wyglądała dawniej, i nagle poczułem stalowy skurcz w plecach. Krzyczałem, krzyczałem, to był ten oczekiwany przeze mnie krzyk, wrócił, krzyczałem, wokół mnie pękały szyby, stałem w lawinie szkła, a w każdym odłamku widziałem odbicie czerwonego zachodu słońca.

LOVE ME DO
LATO/JESIEŃ ’72

Budziłem się powoli, z powodu bólu przeszywającego ramię i dochodzącego do serca. Kobieta w bieli położyła mi ściereczkę na czole. Gdzieś daleko stała inna kobieta, podobna do mamy. Zbliżyła się do mnie, nachyliła nad łóżkiem.

– Boli, Kim? – usłyszałem niewyraźnie.

– Gdzie ja jestem?

Kobieta w bieli delikatnie uniosła moją rękę i położyła ją na kołdrze. To stamtąd płynął ból. Bandaże. Mama ciągle tu była.

– Co się stało? – spytałem szeptem.

– Rozbiłeś szybę wystawową – powiedziała cicho. – Musieli cię szyć na pogotowiu.

Dostałem szklankę wody. Pielęgniarka mocną, chociaż miękką ręką podtrzymała mi głowę.

Pokój był wąski, miał gołe, jasnozielone ściany. W szafie przy drzwiach wisiały ubrania. Moja tweedowa marynarka. Garnitur od konfirmacji.

Popatrzyłem na mamę.

– Gdzie ja jestem?

Odwróciła się.

– W Gaustad.

Poczułem zapach terpentyny i znów zasnąłem.

Kiedy obudziłem się następnym razem, ludzi było więcej. Przyszedł ojciec, przyszła mama, tamta kobieta w bieli, a na krześle przy łóżku siedział nieduży ciemnowłosy człowieczek. Rękę trzymał pod marynarką. Jego twarz się zbliżyła. Palące oczy, połyskujące, czarne włosy. Napoleon. Zacząłem krzyczeć. Usłyszałem mnóstwo głosów, mama stała nade mną i opowiadała mi bajki. Lekarz liczył uderzenia mojego serca, kobieta w bieli

przyniosła szklankę. Ojciec stał odwrócony plecami. W oknie chyba było słońce. Słyszałem ćwierkanie ptaka.

– Dlaczego tu jestem?

– Musisz odpocząć, Kim – powiedział człowieczek. – Jesteś tu po to, żeby odpocząć. A my wszyscy ci w tym pomożemy. Rozumiesz?

Ale było coś jeszcze. Wyczułem to, coś z moją głową. Zrobili coś z moją głową. Sprawdziłem zdrową ręką. Łysa pała. Zupełnie gładka. Wymacałem wybrzuszenie, tam gdzie czaszka się zrosła.

– Coście ze mną zrobili? – wrzasnąłem. – Coście ze mną zrobili?

– Porozmawiamy później, Kim – powiedział mały lekarz. – Teraz jesteś za bardzo zmęczony.

Pielęgniarka podwinęła mi rękaw i ludzie zniknęli. Byłem malusieńki i siedziałem w dziurce od klucza. Z jednej strony drzwi panowała całkowita ciemność. Z drugiej – po podłodze toczyło się białe słońce.

Usłyszałem brzęk kluczy.

*

Mama była u mnie prawie codziennie. Włosy nie chciały mi odrastać. Poprosiłem, żeby przyniosła mi czapkę. Zimny korytarz za drzwiami do pokoju. Kroki. Stołówka pełna szarych twarzy. Pozbawione smaku, ohydne obiady. Nie mogłem jeść. Tabletki rano. Wieczorem. Pokój wizyt ze starym radiem, tygodnikami i blaszaną popielniczką. Odwiedzający, którzy siedzieli sztywno, dusząc w sobie lęk i obrzydzenie. Niektórzy wpadali w amok. Izolatka. Stłumione krzyki. Jakiś chłopak rzucił się z okna. Krwawił na brązowej ziemi. Wanny, zielona, obdrapana emalia. Rozebrać się, podczas gdy kobiety w bieli nalewają wody i żartują. Stanąć z zapadniętym ciałem, wystawiając się na pośmiewisko. Nie zgadzałem się na zdjęcie czapki. Nie zgadzałem się i już. Śmiały się z tego. Drzwi do kibla, których nie wolno zamykać na klucz. Drzwi do pokoju zamykane od zewnątrz. Widok: ciemny, świerkowy las tuż obok. Po drugiej stronie: główny budynek. A na wprost, za płotem i za drogą: pole i łąka, zielona, otwarta, słoneczna.

Mama:

– Jak się czujesz, Kim?

Spojrzałem na nią. Starała się być silna. Nie widziałem w jej oczach cienia słabości.

– Rozmawiasz z doktorem Vangiem? – pytała dalej.

Z Napoleonem. Nazywałem go Napem. W swoim skremowanym umyśle. Musiałem co trzeci dzień chodzić do jego gabinetu w sąsiednim skrzydle.

– No i jak ci się tutaj podoba? – pytał zawsze, jakby to był luksusowy hotel w górach.

Nigdy nie odpowiadałem.

Prędko zaczynał się niecierpliwić. Był zajętym człowieczkiem.

– Nie za bardzo jesteś skłonny do współpracy, Kim – powtarzał za każdym razem z takim samym uśmiechem. – Z matką też nie chcesz rozmawiać.

Nabierałem coraz większej pewności, że on nosi perukę. Tkwiła przyklejona do głowy, a przedziałek był jak pionowa kreska.

Zawsze wstawał pierwszy.

Nie miałem odwagi nic powiedzieć. Nie umiałem już kłamać.

Pielęgniarze byli rosłymi mężczyznami. Dyskutowali o EWG. Kiedyś jeden z najstarszych wariatów stanął na krześle i wrzeszczał, że EWG to bestia z Księgi Objawienia, traktat rzymski to porządek wymyślony przez Antychrysta, a w uszach wieje już wiatr zapowiadający nadejście Sądu Ostatecznego. Zrobiła się niezła chryja. Siedziałem głównie u siebie w pokoju. Tam było spokojnie. Wyglądałem przez okno. Lato. W głowie miałem tylko jedną myśl: czy już zawsze będę tutaj? Nie wiedziałem, dlaczego tu jestem.

Czasami oglądałem telewizję. Czasami patrzyłem na zegarek, na białą wskazówkę sekundową obracającą się w kółko. Raz zamknąłem oczy, coś mi się przyśniło, zmierzyłem, ile trwał ten sen, a kiedy otworzyłem oczy, okazało się, że minęło zaledwie pół minuty, ja zaś gotów byłbym się założyć, że przesiedziałem tak kilka godzin. Jakiś idiota cały dzień układał pasjansa. Idiota, bo w dodatku się denerwował, że mu nigdy nie wychodzi.

– Nie daj się oszukać telewizji – szeptał, tasując karty i nerwowo rozglądając się dokoła. – Widziałeś wiadomości sportowe? Widziałeś powtórki goli? Bramkarze za każdym razem wtedy bronią. Na powtórkach!

Poszedłem do pokoju. Noc zawsze przychodziła niezauważona. Granicę między snem a dniem powoli zacierał obowiązkowy, bezlitosny dyżurny.

Mama:

– Dlaczego nic nie mówisz, Kim? Przecież dawniej potrafiliśmy ze sobą rozmawiać.

– Potrafiliśmy?

Teraz było jej trudno, napięła wszystkie mięśnie w twarzy, ale w oczach nie miała słabości, jedynie żal.

– Co myśmy złego zrobili?! – zawołała.

Przez resztę odwiedzin czepiała się mojego ramienia.

– Stęskniłem się za Nesodden – powiedziałem. – Bardzo się stęskniłem.

Nap chciał, żebym mówił. Chodził wokół mnie z rękami na plecach i był w tym co nieco patetyczny. W gabinecie czuć było potem. W jego ciemnych oczach widziałem innego Napoleona, groźniejszego niż ten, za którego chciał uchodzić.

Nic nie mówiłem.

Nie miałem apetytu i coraz bardziej chudłem. Jakiś lekarz usunął mi szwy z ręki. Blizny biegły w poprzek i wzdłuż. Najgorszy był ten złamany palec. Wieczorem znieczulenie przestało działać, wygotowało się. Przyjemnie było poczuć ból. Przynieśli kolację. Tabletki. Chlorpromazynę. Fenotiazynę. Nie pamiętam tych wszystkich pieszczotliwych nazw, których używali. Nie pamiętam wszystkiego, co mówili. Ale zawsze powtarzali, że to dla mojego dobra.

Mama:

– Stryj Hubert wrócił do domu!

Nie pojmowałem, jak mogła pić tę kawę.

– Przyjęli jego obraz na Wystawę Jesienną!

Odwróciłem się do okna.

– Myślisz, że przestępstwo popłaca?

Natychmiast się wystraszyła.

– Chyba nie zrobiłeś nic złego, Kim?

– Dlaczego tutaj jestem?

– Oni chcą ci pomóc, Kim. Niedługo wyzdrowiejesz. Niedługo stąd wyjdziesz.

– Dużo będzie jabłek w tym roku?

– Dużo.

Sen.

Któregoś dnia pozwolili mi iść na wycieczkę. Całą nędzną gromadą powlekliśmy się przez pola nad jezioro Sognsvann. Dwaj pielęgniarze szli przed i za hordą. Lato wkroczyło w ostatnią fazę. Matowe. Wycieńczone. Musiał być sierpień. Z trudem ciągnęliśmy nogi za sobą. Sunęliśmy drogą. Nagle ich zobaczyłem. Czterech chłopców z wędkami na ramionach, z czarnymi wędkarskimi torbami. Zwolnili i umilkli, kiedy ich mijaliśmy. Odwróciłem się. Poszeptali coś ze sobą, patrząc na nas.

Tego wieczoru nie mogłem zasnąć.

Zerwał się wiatr. Szeleścił za szybą.

Cień na ścianie. Procesje.

Gdzieś w pobliżu ktoś grał na pile.

Następnego dnia miałem gości. Gunnar i Seb siedzieli w pokoju odwiedzin i palili jednego papierosa za drugim. Poszedłem do nich w czapce mocno naciągniętej na uszy. Nie próbowali mi jej zerwać.

Usiadłem na rozchwianym krześle.

Byli cholernie zdenerwowani, w ogóle nie wiedzieli, co mówić.

– Jak było u Stiga? – spytałem.

Seb był opalony. Miał bicepsy.

– W porządku – szepnął. – Grzebałem w ziemi. Przenoszę się tam jesienią. Możesz korzystać z mojego mieszkania – dodał prędko.

– Chyba nie będę go potrzebował.

Poszliśmy do mojego pokoju.

– Szukaliśmy cię po całym mieście – powiedział Gunnar. – Twoja stara wyjawiła nam w końcu, że tu jesteś. Cholera, nie mogliśmy uwierzyć!

Długo milczeliśmy. Skręcili sobie papierosy, wypalili.

– Co się właściwie stało? – spytał Seb, patrząc w podłogę.

– Nie wiem. Dostałem wścieklizny.

Próbowali się śmiać, marnie to wypadło. Bali się spojrzeć mi w oczy.

– Co z tobą robią? – spytał nagle Gunnar.

– Faszerują mnie lekami.

– Jasny gwint! – Gunnar poderwał się i stanął przy oknie. – Wypluwaj to. Wypluwaj im to prosto w gębę!

– Słyszycie te krzyki? – spytałem.

Ucichli, nasłuchiwali. Krzyki. Jakby ktoś krzyczał z tłumikiem przy twarzy.

– Izolatka – wyjaśniłem.

Pora odwiedzin minęła. Odprowadziłem ich na korytarz.

– To nie George grał solo na *While My Guitar Gently Weeps* – powiedziałem. – Tylko Clapton.

Seb spojrzał na mnie trochę dziwnie, kiwnął głową. Musieli już iść.

Resztę dnia przesiedziałem cichutko jak myszka.

Deszcz.

Mama:

– Chciałam kiedyś zostać aktorką. Brałam lekcje. Opowiadałam ci o tym, Kim?

– Dlaczego przestałaś?

– Życie nie zawsze układa się tak, jak człowiek to sobie wyobraża. Tego też musisz się nauczyć.

Czapka gryzła w czoło. Zdjąłem ją. Mama mogła mnie takiego widzieć. Pogłaskała moją gładką czaszkę, uśmiechnęła się.

– Mogę ci ufać? – spytałem.

– Tak – powiedziała. – Zawsze.

– Bez względu na wszystko?

– Tak, Kim. Bez względu na wszystko.

Deszcz. Tabletki. Woda.

Nap znów chciał ze mną rozmawiać. Siedziałem u niego w gabinecie. Patrzyłem na jego włosy.

– Przykro mi, że muszę to powiedzieć, Kim, ale nie masz motywacji do leczenia, jak to nazywamy. Chętnie przestałbyś zażywać leki, prawda? Ale to niemożliwe, skoro nie chcesz współpracować inaczej. – Przerzucił kilka kartek na biurku. – A my nie możemy cię tu trzymać przez całą wieczność, prawda?

Pomyślałem o sklerotycznych upiorach w jadalni, które nie miały już żadnego wieku.

– Ile trwa wieczność? – spytałem.

Prędko podniósł głowę, zdumiony tym, że słyszy mój głos.

– Kiedy wymyślasz te swoje wybryki, Kim, to dlatego, że wcześniej piłeś albo paliłeś? Czy też sam postanawiasz to zrobić, z własnej woli? Z własnej nieprzymuszonej woli?

Nie mogłem zamknąć ust. Napoleon się we mnie wpatrywał.

– Mam dzisiaj dużo czasu. Nie spiesz się, Kim. Poświęć tyle czasu, ile potrzebujesz.

– Jakie wybryki?

– Dobrze wiesz. Na przykład ten z kościotrupem.

Mama musiała mu powiedzieć. Mama. Teraz nie mogłem już ufać nikomu. Zamknąłem się. Już nigdy więcej nie otworzę ust. Nap czekał. Ale dłużej już nie mógł.

– Czy masz jakiś rodzaj poczucia winy związany z napadem na bank twojego ojca?

Miałem gorączkę, a jednocześnie byłem przytomny, przytomny, przebiegły i czujny jak ścigany Indianin.

Zobaczyłem list. Ten list, który własnoręcznie dostarczyłem lekarzowi na komisji wojskowej.

Leżał otwarty na biurku Napoleona.

W pierwszej chwili się ucieszyłem. Mama jednak nie doniosła.

Potem się zdecydowałem. Nachyliłem się, jakbym chciał powiedzieć mu coś w zaufaniu. Nap miał minę pełną wyczekiwania. Ale ja, zamiast mówić, zwaliłem jego lampkę biurkową na podłogę, porwałem list i rzuciłem się do drzwi. Zbiegł za mną po schodach. Próbowałem czytać w biegu, ale byłem za słaby, nie miałem siły, złapał mnie od tyłu, objął lewą ręką, zdążyłem jeszcze zobaczyć spadającą perukę, potem sam zacząłem z niesamowitą prędkością spadać w białą, pozbawioną obrazów ciemność.

Słońce późnego lata. Powietrze ostre, przejrzyste jak szkło. Można liczyć igły na świerku w odległości dziesięciu kilometrów.

Mama:

– Zrobiłam ci na drutach nową czapkę.

Przymierzyłem. Pasowała. Miękka. Czarna.

– Dziękuję.

– Mam cię pozdrowić od ojca.

– Dlaczego on nie przychodzi?

– Nie możesz więcej tak się zachowywać wobec doktora Vanga.

– Co wy o mnie wiecie?

Schowała starą czapkę do torebki.

– Czy nie pora, żebyśmy się lepiej poznali? – spytała po namyśle.

Dziwne słowa.

– Owszem – powiedziałem.

Zadzwonił dzwonek.

Nie dawałem rady odróżniać dni. Nie dawałem rady odróżniać nocy. Rząd szklanych kulek. Widok z okna. Musiało już iść ku jesieni. Szkło.

Żółty liść. A jednak jeden dzień pamiętam. Nigdy go nie zapomnę.

Miałem gościa w pokoju.

Nina.

Siedziała na krześle, z wielkimi, ciężkimi oczami, chuda jak szkielet, w długiej czarnej sukience. Usta.

Siadłem na łóżku, ukryłem twarz w dłoniach, po raz pierwszy od dawna poczułem, że żyję.

Usiadła obok mnie.

– Kim – powiedziała, dotykając mnie barkiem.

– Kiedy przyjechałaś? – spytałem. – Do Oslo?

– Wczoraj.

– Wczoraj?

– Tak. Teraz już tu zostanę. Mieszkamy na Tidemands gate. Pamiętasz?

Zasłoniłem oczy.

– Jesteś już zdrowa? – spytałem szeptem.

– Chyba tak. To już minęło. Są inne rzeczy, dla których warto żyć. Prawda, Kim?

– Owszem. Ale nie tutaj.

– Niedługo wyjdziesz.

Spletliśmy ze sobą, w jakiś sposób, nasze wychudzone ciała, nachyliłem się nad nią, znalazła się pode mną, płakała albo się śmiała. Podciągnąłem jej sukienkę, a ona mocno objęła mnie za szyję.

– Tylko uważaj – poprosiła.

– Nie bój się – mruknąłem. – Nie bój się. Miałem świnkę.

To się potoczyło tak szybko. Byliśmy jak dwa kamienie szlifierskie ocierające się o siebie, naprowadziła mnie, musiało zaboleć, rozpłakała się i zaraz wszystko się w nas przelało, a w momencie gdy poczułem ostry ból wytryskujący z członka, drzwi się otworzyły, odwróciłem głowę do tyłu i krzyknąłem, stała tam Cecilie, sparaliżowana, w progu, Cecilie, odwróciła się i zniknęła, jak sen i jak budzik.

Obróciłem się, spadłem, poczołgałem się po podłodze. Nina oniemiała, płakała bezgłośnie, włożyła ubranie. Przybiegł pielęgniarz. Słyszałem

więcej kroków. Dalej pamiętam tylko, że byłem w śnieżnej lawinie, szczekały psy, czułem tyczki kłujące moje ciało, ale nikt nie kopał tam, gdzie leżałem.

Któregoś dnia, kiedy byłem na górze, kiedy zostałem odnaleziony, kobieta w bieli przyniosła mi fotografię.

Na zdjęciu byłem ja. Leżałem w stadzie owiec, wywijając rękami i nogami.

Nowe dni. Stare dni. Nabrzmiewające noce.

Pozwolono mi spacerować po terenie. Oko w każdym oknie. Zimno. Czas zniknął. Włosy nie odrastały. Widziałem z bliska ten komin. Płot. Poszedłem ścieżką w dół, ktoś szedł z naprzeciwka, jakaś wielka sylwetka, poruszająca się powoli góra. Chciałem zawrócić, ale było już za późno. Myśli zaczęły mi wirować, rozdzielały się, odrywały jedna od drugiej, tworząc obszar wściekłego światła.

Stanął tuż przede mną. Całkowicie zasłonił mi widok. Był większy niż kiedykolwiek.

– Jensenius – powiedziałem i zdjąłem czapkę.

Jego spojrzenie padło na moją czaszkę.

Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Cały się trząsł. Oczy miał jak sadzawki wypełnione starym lękiem. Język, wielki i nieruchomy, leżał na wargach.

Jensenius był niemy.

Wskazał przez ramię na główny budynek.

Zielona iglica.

Potem wyjął ogryzek ołówka i kartkę. Napisał coś, dał mi to, odwrócił się powoli i poczłapał z powrotem.

Przeczytałem kartkę.

„Uciekaj stąd. Zanim będzie za późno".

Tego wieczoru zacząłem chować leki. Byłem przerażony. Byłem gotowy. Byłem śmiertelnie wystraszony i niebezpieczny.

Wrzesień.

Znak Panny. Ja byłem Wagą.

Mama:

– Kim, musisz z nimi współpracować. Musisz nam wyzdrowieć.

– Mogę ci ufać, mamo?

– Tak, Kim, oczywiście, że możesz. Ale dlaczego nie chcesz rozmawiać z doktorem Vangiem? Przecież on chce ci tylko pomóc.

– Jaki obraz Hubert namalował na Wystawę Jesienną?

Mama się roześmiała.

– Małża.

Obracałem w ustach papierosa.

– Mamo, nie mogłabyś któregoś dnia przynieść mi mnóstwa kartek i czegoś do pisania?

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

– Oczywiście. Na co ci to?

– I kopertę ze znaczkiem.

Żółte liście szybujące w powietrzu.

Siedziałem u Napoleona. Peruka leżała nienagannie. Spojrzał na moją czapkę i uśmiechnął się złośliwie.

– Wolałbyś być w więzieniu? – spytał nagle.

– Tak.

Koniec rozmowy.

Kiedy zszedłem na dół, w pokoju wizyt siedział Gunnar i palił.

– Idziemy do mnie – zdecydowałem.

Korytarz.

Zamknąłem drzwi, chwilę nasłuchiwałem.

Gunnar popatrzył na mnie.

– Ostatnie sondaże pokazują czterdzieści trzy procent przeciwko i trzydzieści sześć za – powiedział.

Usiadłem przy oknie i zapaliłem papierosa.

– Wiesz, że dzisiaj mija dokładnie dziesięć lat, odkąd Beatlesi nagrali *Love Me Do*? – spytałem. – Jedenastego września sześćdziesiątego drugiego roku.

– Cholera. Byliśmy tacy mali!

Gunnar jakby się ożywił, rozluźnił mięśnie.

– A pamiętasz ten autograf, który ci wcisnąłem tamtej jesieni?

– Z pastylek na gardło, ty świnio! Ale na towarzysza Lin Piao nie dałem się nabrać!

Pośmialiśmy się trochę. Przypomniały mi się ulotki w szufladzie.

– Pamiętasz tamtego pornosa, którego Stig przywiózł z Kopenhagi?

– Kiedy pojechał na mecz piłki ręcznej? Pamiętam.

– No właśnie.

Gunnar sprawiał wrażenie ucieszonego tym, że da się tak ze mną rozmawiać.

– Niezłe świństwo. – Zaśmiał się.

– A pamiętasz, jak cię wybroniłem z tamtej afery w kiblu?

– Nigdy nie zapomnę, Kim.

– Podałeś mi wtedy rękę i obiecałeś, że mi pomożesz, jak będę miał kłopoty.

– Jasne, że tak, Kim. Gunnar o takich rzeczach nie zapomina.

Uklęknąłem nagle przed nim, zacisnąłem dłonie w pięści, uderzyłem nimi o podłogę, podniosłem je i nasłuchiwałem.

– Musisz mnie stąd wyciągnąć! Musisz mnie stąd wyciągnąć, Gunnar!

Indian summer.

Siedziałem w pokoju i czekałem.

Stygnąca papka na talerzu. Wszyscy mówili o zabójstwach w Monachium.

Nieprzespane noce.

Mama:

– Po co ci tyle papieru?

Schowałem go do swojej torby w szafie.

– A koperta i znaczek? – spytałem.

Dała mi, długopisy też.

– Będziesz pisał listy do Niny? Ona tu była, prawda?

Wczoraj zdjąłem okiennice z okien. Na parapetach leżały martwe owady. Słońce wlało się do Domu jak fala. Oślepiło mnie. Zataczałem się, zasłaniając twarz rękami. Wiosna przyszła do mnie ze wszystkich stron. Maj. Sama przezroczystość. Kartki świeciły. Pismo niknęło w piekącym słońcu. Poczłapałem na werandę, usiadłem, oczy przyzwyczajały się do światła, jakbym długo był niewidomy i powoli odzyskiwał wzrok. Na fiordzie tłoczyły się łodzie. Żaglówki. Statek wycieczkowy. Motorówki. Nagle usłyszałem jakiś dźwięk. Ktoś był w pobliżu Domu. Wstałem ostrożnie. Na kamieniu, który dziadek przytaszczył aż z przystani, siedziała Nina. Okrakiem na obu szorstkich czarnych częściach. Z wielkim brzuchem opiętym sukienką w kwiatki.

Popatrzyła na mnie.

– Cześć, Kim! – zawołała, wolno machając ręką.

Chciałem podbiec do niej, ale nie miałem siły.

Odwróciła się i uśmiechnęła, podtrzymując ten swój wielki brzuch.

Pomachałem jej zranioną ręką.

– Czekam na ciebie! – zawołała.

Zniknęła na stromej ścieżce.

Za mną stały jabłonie obsypane białym kwieciem.

To był wieczór referendalny.

Dwudziesty piąty września 1972 roku. Skończyłem dwadzieścia jeden lat.

Siedziałem w pokoju. Wzburzony pielęgniarz wpadł do mnie, wymachując rękami.

– Głosów sprzeciwu przybywa! Lars-Jakob[14] już spuścił nos na kwintę!

Wyszedł tak samo szybko. Usłyszałem odgłosy z telewizora, oklaski, okrzyki „hura!”. Zagłuszały izolatkę.

Wyjrzałem przez okno. Niedługo noc. Łóżko, gołe ściany.

Kobieta w bieli przyniosła kolację. Tackę z tabletkami postawiła na stoliku i położyła mi rękę na ramieniu.

– Chyba jednak będzie „tak”, Kim. Teraz napływają głosy z miast.

– Mogę dziś prosić o taryfę ulgową? Przecież nie mogłem głosować. Na pewno głosowałbym na „nie”.

Była zniecierpliwiona i spięta.

Te odgłosy z telewizora.

– To moja praca – powiedziała.

– Niech pani idzie pooglądać telewizję. Sam sobie poradzę z jedzeniem.

Uściskała mnie i wyszła. Usłyszałem jeszcze szczęknięcie zamka w drzwiach.

Zmiażdżyłem tabletki i rozsypałem je pod łóżkiem.

Słyszałem wrzaski i jęki z pokoju, w którym białe kołnierzyki siedziały przed odbiornikiem.

Atmosfera była nerwowa.

Wiatr za oknem. Cienie na ścianach.

Znów przyszła.

– Nie położyłeś się?

Siedziałem na łóżku. Zabrała pustą tacę.

– Bratteli był na ekranie. Będzie „tak”.

Wyciągnąłem się na łóżku, wyszła. Klucz. Zamek. Kroki.

Obudziło mnie delikatne pukanie. Rozejrzałem się w ciemności. Nie ustawało. Okno. Wyjrzałem przez zasłony, zobaczyłem podświetloną latarką twarz Gunnara. Machnąłem ręką, zgasił latarkę. Ubrałem się. Wyjąłem torbę z przyborami do pisania i listem. Zdumiało mnie, że tak łatwo otworzyć okno, skoro zamykają od zewnątrz drzwi. Prześlizgnąłem się po parapecie, Gunnar mnie złapał. Zgięci wpół pobiegliśmy po mokrej ziemi, przeleźliśmy przez ogrodzenie, bo dziury w płocie w Gaustad mimo

wszystko nie było, i tam, przy drodze, czekało już volvo PV z zapuszczonym silnikiem.

Gunnar wepchnął mnie do środka, Ola wcisnął gaz do dechy i ruszyliśmy po zakrętach.

Seb z przodu odwrócił się i podał do tyłu butelkę białego wina.

Byłem bliski płaczu.

– Cholera, chłopaki! Niech to cholera!

Nic więcej nie przeszło mi przez usta.

– Wygraliśmy! – wrzasnął mi do ucha Gunnar. – Wygraliśmy!

– Co?

Ola szykował się za kierownicą jak bramkarz.

– Wyjechaliśmy z Trondheim, kiedy strzałka zatrzymała się na „tak". Sześć godzin, rekord!

– Jest „nie"?

– Tak!

W aucie panował kompletny chaos. Seb grał na harmonijce wesołego bluesa, Gunnar śpiewał, gnaliśmy ku miastu, a na wietrze podnoszono norweskie flagi. Jakiś maruder ze znaczkiem Europy na tylnej szybie wlókł się naszym pasem. Ola wyprzedził go po zewnętrznej, prawie zepchnął do rowu. Wystawiliśmy głowy i pokazaliśmy mu trzy proste palce i jeden krzywy.

– Wsadź go sobie w dupę, cymbale! – wrzasnął Seb, chociaż minęliśmy faceta już dawno.

Ola zaparkował na samym środku Karl Johan. Na Universitetsplassen było aż gęsto od ludzi. Tańczyli, skakali, z flagami, butelkami i fajerwerkami. Niebo zaczynało jaśnieć. My też puściliśmy się w taniec, opętani, szczęśliwi, szaleni. Fikaliśmy koziołki, odnieśliśmy zwycięstwo nad światem.

Odwróciłem się plecami od tej radości i od chaosu, zostawiłem ich, przy Continentalu wrzuciłem do skrzynki list do mamy i poszedłem dalej, na przystań. Zegar na wieży ratusza wybił sześć uderzeń. Wkrótce powinien przypłynąć pierwszy prom z Nesodden.

Podczas przeprawy stałem na pokładzie.

PRZYPISY

[1] W okresie od lutego do kwietnia 1965 roku w Oslo kilkakrotnie dochodziło do wybuchu granatu w wyniku uruchomienia zastawionej pułapki. Sprawcy tych zdarzeń nigdy nie wykryto (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Szkoła realna – w latach 1935–1969 trzyletnia szkoła ponadpodstawowa; po dwóch latach można było kontynuować naukę w liceum.

[3] 17 Maja – święto narodowe Norwegii.

[4] Anders Lange (1904–1974) – norweski działacz, dziennikarz i polityk; założyciel narodowo-konserwatywnej partii, obecnie noszącej nazwę Partia Postępu (Fremskrittspartiet).

[5] *Niebo i piekło* (*Himmel og helvete*) – norweski film fabularny z 1969 roku, w reżyserii Øyvinda Vennerøda, nakręcony z zamiarem odstraszenia młodzieży norweskiej od zażywania narkotyków.

[6] Jens Bjørneboe (1920–1976) – wybitny pisarz norweski.

[7] „Klassekampen" [Walka klas] – miesięcznik wydawany w latach 1969–1972 przez niezrzeszonych marksistów-leninistów, obecnie dziennik lewicowy.

[8] Latem 1970 roku trwały protesty przeciwko uregulowaniu rzeki Mardøla w celu wykorzystania jej mocy do produkcji energii elektrycznej. Była to pierwsza tego rodzaju akcja w Norwegii.

[9] W Norwegii studenci wszystkich kierunków muszą ukończyć tzw. kurs przygotowawczy – wprowadzenie do filozofii – i zdać *examen philosophicum*.

[10] Akmed (Arbeiderkomiteen mot EEC og dyrtid) – Robotniczy Komitet do Walki z EWG i Podwyżkami Cen.

[11] Ruch Narodowy (Folkebevegelsen mot norsk medlemskap i EEC) – Ruch Narodowy Przeciwko Norweskiemu Członkostwu w EWG.

[12] Mojżesz Dawid (Moses David, właśc. David Berg) – założyciel sekty Children of God, obecnie The Family International.

[13] *Edda poetycka. Pieśni Najwyższego*, strofa 77, przeł. Apolonia Załuska-Strömberg, Wrocław 1986, s. 32.

[14] Lars-Jakob Krogh – dziennikarz telewizji norweskiej, prowadzący wieczór referendalny.